

**CLIVE CUSSLER**

# **SMOK**

(Przełożył: Andrzej Leszczyński)



## „DEMONY DENNINGSA”

6 sierpnia 1945

Wyspa Shemya, Alaska

Diabeł trzymał w lewym ręku bombę, w prawym widły i uśmiechał się po czarciemu. Byłby nawet wyglądał groźnie, gdyby nie wielkie, krzaczaste brwi i półprzymknięte oczy, które nadawały mu charakter rozmarzonego chochlika, pozbawiając całkowicie owego demonicznego wyrazu, jakiego należało się spodziewać po władcy piekieł. Miał jednak tradycyjną czerwoną pelerynę, nad podziw olbrzymie rogi i długi, widlasty ogon. W dodatku szponami stóp obejmował sztabkę złota z wytłoczonym symbolem 24 K.

Czarne litery, otaczające półkolistą ten rysunek na kadłubie bombowca B-29, układały się w napis: „Demony Denningsa”.

Samolot, ochrzczony przez załogę od nazwiska dowódcy, przypominał zagubionego ducha, moknącego w strugach deszczu, który silny wiatr od Morza Beringa gnał na południe przez Wyspy Aleuckie. Szereg przenośnych reflektorów oświetlał teren wokół otwartych pod brzuchem maszyny klap przedziału bombowego, rzucając długie cienie krzątających się ludzi na błyszczące blachy aluminiowego poszycia. Tę upiorną scenerię urozmaicały błyskawice, które z niezwykłą częstotliwością rozcinały mrok nad lotniskiem.

Major Charles Dennings, oparty o jedno z wielkich kół prawego podwozia samolotu, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie skórzanej kurtki lotniczej, obserwował tę krzątanicę personelu naziemnego. Teren lotniska został otoczony przez oddział uzbrojonych żandarmów oraz agentów z wydziału K.-9, a niewielka grupa dokumentacyjna utrzymywała przebieg wydarzeń na taśmie filmowej. Major z wyraźnym niepokojem przyglądał się mocowaniu pękatej bomby w przerobionych uchwytach bombowca - była ona za duża na to, by zmieścić ją w standardowym leżu, i musiała być transportowana w zawieszaniu.

Dennings, który po dwóch latach walk w Europie, z ponad czterdziestoma rajdami bombowymi na koncie, cieszył się opinią jednego z najlepszych dowódców, nigdy przedtem nie widział czegoś tak ogromnego. Bomba przypominała monstrualną piłkę do rugby z bezsensownie stłoczonymi na jednym końcu statecznikami. Zaokrąglony balistycznie czub miał pomalowany na jasnoszaro, a ciąg klamer, spinających mniej więcej w połowie długości masywną obudowę, wyglądał jak zębki wielkiego zamka błyskawicznego.

Niemal fizycznie czuł zagrożenie bijące od tego ładunku, który miał przetransportować na odległość prawie pięciu tysięcy kilometrów. Naukowcy z Los Alamos, przed uzbrojeniem bomby na lotnisku, poprzedniego wieczoru udzielili instruktażu całej załodze Denningsa, a pokazany im film z próbnej eksplozji na wyspie Trinity wprowadził młodych ludzi w

oszołomienie - nikt nie potrafił uwierzyć, że jedna bomba może wybuchnąć z mocą zdolną zburzyć duże miasto.

Major stał jeszcze przez pół godziny, aż wreszcie zamknięto drzwi przedziału bombowego. Zawieszony wewnątrz ładunek był już uzbrojony i zabezpieczony, a samolot zatankowany do pełna i gotów do startu.

Dennings kochał tę maszynę, dziwnie utożsamiał się z nią, w powietrzu stawał się jakby częścią skomplikowanego mechanizmu, mózgiem tego latającego kolosa. Ale na ziemi dostrzegał w niej tylko martwe urządzenie, które teraz - w blasku reflektorów i w strugach lodowato zimnego deszczu - jawiło mu się latającym grobowcem.

Otrząsnął się z posepnych rozważań i ruszył szybko w kierunku półcylicylniczno go hangaru z falistej blachy na odprawę załogi. Wszedł do środka i usiadł obok kapitana Irva Stantona, bombardiera, uśmiechniętego grubasa o wydatnych, sumiastych wąsach.

Po drugiej stronie Stantona, z wyciągniętymi daleko przed siebie nogami, siedział kapitan Mort Stomp, drugi pilot, nadęty południowiec, który poruszał się ze zwinnością trójpalczastego leniwca. Za plecami major miał porucznika Josepha Arnolda, nawigatora, oraz komandora marynarki Hanka Byrnasa, inżyniera zbrojmistrza, który miał sprawować nadzór nad bombą w czasie lotu.

Odprawę prowadził jakiś oficer wywiadu - pokazywał na zwijanym ekranie zdjęcia lotnicze. Ich pierwszym celem miało być przemysłowe centrum Osaki; drugim zaś, na wypadek grubej powłoki chmur, zabytkowe Kioto. Stanton podkreślił w swych notatkach, że radzono im na próbę zrzucić kilka klasycznych bomb.

Potem zabrał głos specjalista od meteorologii, który przewidywał lekki wiatr od dziobu i częściowe zachmurzenie. Ten ostrzegł Denningsa przed możliwością silnej turbulencji mas powietrza nad północną Japonią. W celu zapewnienia im spokojnego lotu godzinę wcześniej wystartowały dwa inne bombowce B-29, które miały składać meldunki o warunkach pogodowych na trasie i widoczności nad celami ataku.

Kiedy wreszcie rozdano wszystkim polaryzujące okulary ochronne spawaczy, major podniósł się z krzesła.

- Nie mam zamiaru dodawać wam animuszu, jak trener drużynie przed wyjściem na boisko - rzekł, z ulgą przyjmując niewyraźne uśmieški na twarzach członków swojej załogi. - W ciągu miesiąca przeszliśmy szkolenie, które powinno trwać rok, wierzę jednak, że potraficie wypełnić tę misję. Moim skromnym zdaniem stanowicie najlepszą drużynę spośród wszystkich załóg w naszym lotnictwie. Jeśli dobrze wypełnimy swoje zadania, może nawet doprowadzimy do zakończenia tej wojny.

Następnie skinął głową kapelanowi, który zaintonował wspólną modlitwę za sukces i bezpieczny lot.

Kiedy ludzie zaczęli wychodzić, zmierzając w stronę przygotowanego samolotu, do Denningsa podszedł generał Harold Morrison, wysłannik generała Leslie'ego Grovesa, kierującego projektem "Manhattan". Przez chwilę spoglądał majorowi prosto w oczy, lecz mimo zmęczenia widocznego w cieniach pod powiekami dostrzegł w nich tylko skupienie. Wreszcie wyciągnął rękę i rzekł:

- Powodzenia, majorze.

- Dziękuję, generale. Odwalimy ten kawałek roboty.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę - odparł Morrison, uśmiechając się przyjaźnie.

Widocznie czekał na odpowiedź Denningsa, lecz pilot milczał przez długą chwilę, w końcu zapytał:

- Dlaczego wybrano nas, generale?

Uśmiech Morrisona jakby nieco przygasł.

- Chce się pan wycofać?

- Nie, ja i załoga jesteśmy gotowi na wszystko. Chcę tylko wiedzieć dlaczego - powtórzył. - Niech mi pan wybaczy, generale, ale nie wierzę, że jesteśmy jedyną załogą w całym lotnictwie, której można powierzyć transport bomby atomowej przez Pacyfik, zrzućenie jej w centrum Japonii i dociągnięcie na resztkach paliwa do bazy na Okinawie.

- Chyba lepiej, żeby wiedział pan tylko tyle, ile wam powiedziano.

Dennings wyłowił jakieś złowróżbne tony w głosie generała.

- "Oddech Matki" - rzekł cicho, powoli, jakby wymawiał nazwę przerażającego koszmaru. - Jakiż to chybiony poeta nadał bombie ten bzdurny, ckliwy kryptonim?

Morrison z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Sądzę, że sam prezydent.

Dwadzieścia siedem minut później major wbijał spojrzenie w przednią szybę kabiny, którą czyściły wycieraczki. Poprzez nasilający się deszcz widać było najwyżej dwieście metrów pasa przed dziobem.

Wciskając obiema nogami hamulce, rozpędzał silniki do 2200 obrotów na minutę. Inżynier pokładowy, sierżant Robert Mosely, doniósł o spowolnieniu czwartego silnika o ponad pięćdziesiąt obrotów na minutę, ale Dennings postanowił to zignorować; nie miał wątpliwości, że przyczyną tego jest wyłącznie pogoda. Ściągnął wszystkie dźwigniki przepustnic na pozycję biegu jałowego.

Siedzący po jego prawej stronie drugi pilot, Mort Stomp, odebrał przez radio z wieży

kontrolnej pozwolenie na start, po czym opuścił klapy. Dwaj strzelcy w górnej wieżycze zameldowali o sprawności obu płatów.

Dennings włączył interkom.

- W porządku, chłopcy. Ruszamy.

Ponownie pchnął przepustnice do przodu i dał nieco więcej mocy lewym silnikom, chcąc wyrównać moment oporowy śmigieł. Wreszcie zwolnił hamulce.

“Demony Denningsa”, ważące niemal 68 ton i zatankowane pod korki wlewu ponad 26 tysiącami litrów paliwa, potoczyły się po pasie, unosząc dwunastoosobową załogę i sześciotonową bombę w dziobowym przedziale. Samolot był przeciążony o prawie 8 ton.

Cztery silniki typu Wright Cyclone, o pojemności 55 litrów każdy, były na najwyższych obrotach, z mocą 8800 koni mechanicznych, rozcinając ścianę niesionego wiatrem deszczu śmigłami o łopatkach pięciometrowej długości. Bombowiec, wśród błękitnych języków płomieni buchających z dyszy wylotowych spalin i otoczony mleczną mgiełką rozpryskujących się o skrzydła kropel deszczu, popędził w mrok.

Ale nabierał szybkości przeraźliwie wolno. Długi pas startowy, wykuty w czarnej skale wulkanicznej, urywał się nagle na szczycie niemal trzydziestometrowego urwiska nad brzegiem lodowatego morza. Strzelające na horyzoncie błyskawice zalewały rozstawione wzdłuż pasa wozy strażackie i karetki widmowym, niebieskawym blaskiem.

Przy szybkości osiemdziesięciu węzłów Dennings przejął kontrolę sterów i otworzył przepustnice prawych silników do oporu. Zacisnął mocno palce na kole, gotów za wszelką cenę poderwać “Demony” w powietrze.

Bombardier Stanton, siedzący w wysuniętym przed kabinę pilotów dziobie, patrzył z przerażeniem na znikającą przed nimi czarną drogę startową. Nawet flegmatyczny Stomp wyprostował się w fotelu i wbił oczy w mrok, chcąc wypatrzeć tę ciemną linię, gdzie pas urywał się ponad falami.

Przejechali już trzy czwarte drogi, jakby przyklejeni do ziemi. Sekundy miały przeraźliwie szybko, wszyscy ludzie mieli wrażenie, że pędzą prosto w otchłań piekielną. Nagle przez zasłonę deszczu przebiły się światła dżipów zaparkowanych u końca pasa startowego.

- Boże miłosierny! - wrzasnął Stomp. - Podrywaj go!

Ale minęły jeszcze trzy sekundy, zanim Dennings bez pośpiechu przyciągnął stery do siebie. Koła B-29 oderwały się od ziemi. Brzuch maszyny znajdował się ledwie dziesięć metrów nad powierzchnią skały, kiedy w dole pas startowy zniknął nagle, ustępując miejsca spienionym falom.

Morrison wraz z czterema towarzyszącymi mu oficerami obserwował lotnisko spod daszku przed wejściem do nagranych pomieszczeń kontroli radarowej, choć w zasadzie mógł zobaczyć start "Demonów Denningsa" jedynie oczyma wyobraźni. Sylwetka bombowca tylko mignęła mu przed oczyma, kiedy pilot dał pełną moc i zwolnił hamulce, po czym zniknęła w ciemnościach.

Wśluchiwał się w ginące w dali wycie silników, łowiąc ledwie słyszalną nieregularność. Mógł ją rozróżnić tylko inżynier lotnictwa bądź doświadczony mechanik pokładowy, lecz Morrison pełnił obie te role w ciągu swej wieloletniej kariery w siłach powietrznych.

Jeden z silników samolotu nie pracował tak jak powinien, widocznie któryś z jego osiemnastu cylindrów nie palił prawidłowo.

Z rosnącym lękiem Morrison nasłuchiwał, czy bombowiec w ogóle zdoła się poderwać z ziemi. Gdyby "Demony Denningsa" rozbiły się podczas startu, wszystkie żywe stworzenia na wyspie w ułamku sekundy przestałyby istnieć.

Wreszcie przez uchylone drzwi dobiegł okrzyk oficera kontroli radarowej:

- Samolot w powietrzu!

Generał odetchnął z ulgą. Dopiero teraz odwrócił się plecami do zasłony deszczu i wszedł do baraku.

Nie zostało mu już nic innego, jak przesłać wiadomość do generała Grovesa w Waszyngtonie, że "Oddech Matki" wyruszył w drogę do Japonii, a później tylko czekać z nadzieją.

Ale w głębi duszy coś go gryzło. Znał upór Denningsa i wiedział, że tamten za nic nie zawróci z powodu drobnej usterki jednego silnika. Major gotów był doprowadzić "Demony" nad Osakę, nawet gdyby miał nieść samolot na plecach.

- Niech im Bóg dopomoże - mruknął generał pod nosem, chociaż świetnie zdawał sobie sprawę, że na jego stanowisku nie wypada wspomagać tej akcji modlitwą.

- Schować podwozie - rozkazał Dennings.

- Jakże się cieszę, że mogę to znów usłyszeć - warknął Stomp, popychając dźwignię. Zawyły silniki elektryczne i trzy potężne podwozia pod dziobem i skrzydłami maszyny zniknęły pod poszyciem. Schowane, klapy zamknięte!

Major zmniejszył nieco ciąg, chciał bowiem powoli nabierać szybkości, zarazem maksymalnie oszczędzając paliwo. Kiedy osiągnęli 200 węzłów, zaczął stopniowo wznosić maszynę na wyższy pułap.

Łańcuch Aleutów, wygięty ku pomocnemu wschodowi, zniknął pod prawym skrzydłem bombowca. Od najbliższego lądu dzieliło ich ponad 4000 kilometrów.

- Co z tym silnikiem numer cztery? - zwrócił się do Mosely'ego.
- Jakoś ciągnie, ale trochę się przegrzewa.
- Jak tylko wejdziemy na tysiąc pięćset metrów, zdejmę mu nieco obrotów.
- Przydałoby się, majorze - odparł Mosely.

Arnold naprowadził Denningsa na kurs, którego mieli się trzymać przez następne dziesięć i pół godziny. Na wysokości 1490 metrów major przekazał stery Stropowi, przeciągnął się i spojrzał na mroczne niebo. Nie widać było ani jednej gwiazdy. Samolot zadygotał z lekka od turbulencji, gdy pilot wprowadził go w skłębioną masę chmur burzowych.

Kiedy wreszcie centrum sztormu zostało za nimi, Dennings odpiął pasy i wstał z fotela. Przez prawe dolne okienko widział wąski korytarz, prowadzący do tylnej części samolotu, ale jemu zdawało się, że dostrzega przez blachy zarys wiszącej tam olbrzymiej bomby.

Po przeróbkach, umożliwiających prawidłowe zamocowanie atomowego monstrum, ledwie można się było przecisnąć wąziutkim korytarzem. Dennings wręcz przeczołgał się nad przedziałem bombowym, zeskoczył po jego drugiej stronie, otworzył maleńkie drzwiczki i wszedł do środka.

Wyjął z kieszeni latarkę i świecąc pod nogi ruszył wzdłuż kratownicy prowadzącej przez dwa przedziały, które teraz stanowiły jedną olbrzymią komorę. Miał wrażenie, że bomba została specjalnie dopasowana wielkością do rozmiarów luku bombowego - na obu krańcach pozostawiono zaledwie po pięć centymetrów luzu od jego krawędzi.

Powoli wyciągnął rękę i dotknął jej, poczuł pod palcami zimny jak lód stalowy korpus. W wyobraźni ujrzał setki tysięcy ludzi w ułamku sekundy zmienionych w pył czy też popalonych od żaru i napromieniowanych. Czarno-biały film z próbnego wybuchu na wyspie Trinity nie mógł oddać ani temperatury eksplozji termojądrowej, ani siły fali uderzeniowej. Major szybko jednak pomyślał o tym, że mają się przyczynić do zakończenia wojny i ocalić życie setkom tysięcy rodaków. Wracając do kabiny zajrzał do przedziału Byrnesa, który siedział pochylony nad schematami elektrycznymi układu detonatora bomby, zerkając na umieszczoną z boku prowizoryczną konsolę.

- Czy istnieje ryzyko wybuchu tej bomby, nim znajdziemy się nad celem? - zapytał.
- Owszem, gdyby na przykład trafił w nas piorun.

Dennings spojrzał na Byrnesa z przerażeniem.

- Trochę za późno na takie ostrzeżenia, nie uważasz? Po północy przechodziliśmy przez sam środek wyładowań elektrycznych.

Komandor uniósł głowę i uśmiechnął się krzywo.

- Równie dobrze mogliśmy zostać trafieni jeszcze na lotnisku. Cóż to za różnica? Mamy to przecież za sobą.

Major nie mógł uwierzyć własnym uszom, słysząc spokojny ton tamtego.

- Czy generał Morrison zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

- Lepiej niż ktokolwiek inny. Siedzi w dowództwie projektu bomby atomowej od samego początku.

Dennings wzruszył ramionami i wyszedł. To czyste szaleństwo, pomyślał, trzeba cudu, by ktoś z nich przeżył i opowiedział innym o tym wariactwie.

Pięć godzin później Dennings wznosił cięższy o 7500 litrów paliwa bombowiec na pułap 3000 metrów. Wszyscy poczuli się znacznie różnie, kiedy niebo na wschodzie rozjaśniła pomarańczowa łuna świtu. Burza została daleko w tyle i pomiędzy rozproszonymi białymi obłokami można było dojrzeć spienione morze.

“Demony Denningsa” bez pośpiechu, z szybkością 220 węzłów, leciały na południowy zachód. Na szczęście mieli lekki wiatr z tyłu. W pełnym świetle dnia ukazało się pod nimi bezkresne pustkowie północnego Pacyfiku. Bombardier Stanton, rozglądając się uważnie ze swego przeszklonego stanowiska na dziobie, stwierdził w duchu, że przypominają samolot widmo, zmierzający znikąd i donikąd.

Pięćset kilometrów od brzegu największej z wysp japońskich, Honsiu, Dennings zaczął stopniowo wznosić maszynę na pułap 10000 metrów, z tej to bowiem wysokości Stanton miał zrzucić bombę na Osakę. Nawigator Arnold zameldował, że o dwadzieścia minut wyprzedzili rozkład lotu i jeśli utrzymają obecną szybkość, w granicach pięciu godzin powinni dotrzeć nad Okinawę.

Dennings zerknął na wskaźniki paliwa i odczuł radość: gdyby nawet musieli teraz walczyć z przeciwnym wiatrem o szybkości stu węzłów, powinni wylądować z zapasem około 1500 litrów paliwa.

Nie wszyscy jednak podzielali jego dobry nastrój. Mosely, siedzący przed konsolą mechanika pokładowego, z lękiem obserwował wskaźnik temperatury silnika numer cztery, który coraz mocniej się przegrzewał. Z przyzwyczajenia postukał palcem w obudowę.

Wskazówka zadygotała i z wolna przesunęła się na czerwone pole.

Mosely wyszedł do ciasnego korytarzyka i spojrzał przez okienko na dolną obudowę silnika. Cała gondola była zachlapaną olejem, a z dyszy wylotowych sączył się dym. Mosely wrócił do kabiny i uklęknął w wąskiej przestrzeni między fotelami pilotów.

- Złe wieści, majorze. Będziemy musieli wyłączyć czwórkę.

- Nie dasz rady jej podkręcić, żeby popracowała jeszcze kilka godzin? - zapytał



Dennings.

- Nie. W każdej chwili mogą puścić zawory i staniemy w płomieniach.

Stromp popatrzył na nich z zasepioną miną.

- Proponuję wyłączyć ten silnik na jakiś czas i pozwolić mu ostygnąć - rzekł.

Dennings pojął, że tamten ma rację. Musieli zostać na obecnej wysokości i doglądać pozostałych trzech silników, by i te się nie przegrzały. Czwórkę trzeba było oszczędzać na wspinanie się na pułap 10 000 metrów przed zrzuceniem bomby.

Zawołał Arnolda, który pochylony nad swym pulpitem wykreślał kurs.

- Kiedy będziemy nad Japonią?

Nawigator zerknął na prędkościomierz i dokonał kilku szybkich obliczeń.

- Za godzinę i dwadzieścia jeden minut.

Major skinął głową.

- W porządku, wyłączamy na razie czwórkę.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy Stromp popchnął dźwigenkę przepustnicy, wyłączył zapłon i ustawił śmigło krawędziami do kierunku lotu, po czym włączył automatycznego pilota.

Przez następne pół godziny wszyscy spoglądali z niepokojem na silnik numer cztery, lecz Mosely meldował o spadku temperatury.

- Ziemia na horyzoncie! - oznajmił w pewnej chwili Arnold. Mała, samotna wysepka jakieś trzydzieści kilometrów przed nami.

Stromp sięgnął po lornetkę.

- Wygląda jak wystający z wody kawałek hot-doga.

- Naga skała - dodał Arnold - nie ma nawet skrawka plaży.

- Jak się nazywa? - zapytał Dennings.

- Nie figuruje na mapie.

- Są jakieś oznaki życia? Japońcy mogli tu urządzić posterunek obserwacyjny.

- Wygląda na bezludną - odparł Stromp.

Dennings się rozluźnił. W zasięgu wzroku nie było żadnych nieprzyjacielskich statków, a w tej odległości od brzegu nie zagrażały im jeszcze japońskie myśliwce. Usiadł w swoim fotelu i zapatrzył się na morze.

Wśród ludzi zapanował spokój, rozdano kawę i kanapki z salami. Pośród monotonnego zawodzenia silników nikt nie zwrócił uwagi na drobną plamkę, która pojawiła się na niebie 30 kilometrów od nich i ponad 2000 metrów wyżej.

Nikt z załogi "Demonów Denningsa" nie był także świadom faktu, że zostało im

zaledwie kilka minut życia.

Porucznik podchorąży Sato Okinaga dostrzegł w dole błyszczący w promieniach słońca punkcik. Pochylił maszynę na skrzydło i zanurkował, chcąc podejść bliżej. Nie miał wątpliwości, że to jakiś samolot, sądził jednak, że spotkał inny patrolujący myśliwiec. Sięgnął już do włącznika radia, lecz zawahał się - postanowił poczekać kilka sekund i zidentyfikować tamtą maszynę.

Okinaga, jako młody i niedoświadczony pilot, miał sporo szczęścia. Spośród całej promowanej niedawno grupy dwudziestodwulatków, która w tym trudnym dla Japonii okresie przechodziła przyspieszone szkolenie, tylko on i trzech inni otrzymali przydział do lotnictwa straży przybrzeżnej, pozostałych wysłano do eskadr kamikadze.

Sato był głęboko rozczarowany, gdyż bez zmruczenia oka oddałby życie za cesarza. Traktował jednak tę nudną służbę patrolową jako zajęcie tymczasowe i łudził się nadzieją, że i dla niego nadejdą czasy chwały, gdy Amerykanie rozpoczną inwazję na jego ojczyznę.

Kiedy zbliżył się do tamtego samolotu, nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom, przetarł je i zamrugał szybko. Bez trudu rozpoznał błyszczący, pokryty aluminium trzydziestometrowy kadłub, olbrzymie skrzydła blisko pięćdziesięciometrowej rozpiętości i charakterystyczny, trójelementowy stabilizator pionowy amerykańskiego B-29.

Wpatrywał się w niego jak urzeczony. Bombowiec nadlatywał z północnego wschodu, od strony oceanu, i znajdował się ponad 6000 metrów poniżej swego normalnego pułapu bojowego. Przez jego myśli przemykały dziesiątki pytań. Skąd on się tu wziął? W jakim celu leciał w kierunku Japonii z jednym wyłączonym silnikiem? Jaką misję miał do spełnienia?

Okinaga uśmiechnął się krzywo, niczym rekin na widok krwawiącego wieloryba. Tamci nie podejmowali żadnych działań, widocznie załoga spała w najlepsze albo zdecydowała się popełnić zbiorowe samobójstwo.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu do namysłu, olbrzymi bombowiec leciał tuż pod nim. Okinaga przymknął przepustnice swego myśliwca typu Mitsubishi A6M Zero i lekkim łukiem wszedł w lot nurkowy. Silnik marki Sakae, o mocy 1130 koni mechanicznych, jak po sznurku skierował samolot ku lecącemu przed nim w dole wysmukłemu B-29.

Strzelec z wieżyczki pokładowej dostrzegł go i w panice otworzył ogień, ale było już za późno. Niemal w tej samej chwili Okinaga wcisnął oba spusty, a pociski ze sprężonych karabinów maszynowych i dwóch działek kalibru dwudziestu milimetrów zaczęły rozszarpać na równi blachy kadłuba, jak i ciała ludzi.

Delikatny ruch drążkiem wystarczył, by serie pocisków runęły na prawe skrzydło i trzeci silnik bombowca. Spod strzypów poszycia trysnął olej i benzyna, pojawiły się

płomienie. Samolot momentalnie się zachwiał, pochylił na bok i zaczął spadać do morza.

Dopiero serie z broni maszynowej i krzyk trafionego strzelca uświadomiły Amerykanom, że "Demony" znalazły się pod ostrzałem, nikt nie wiedział jednak, skąd nadlatuje myśliwiec wroga. Ludzie nie zdążyli jeszcze otrząsnąć się z letargu, kiedy pociski Japończyka posiekały prawe skrzydło.

- Spadamy! - wrzasnął Stromp gardłowym głosem.

Dennings, próbując utrzymać samolot w poziomie, krzyknął do interkomu:

- Stanton, spuść bombę! Słyszysz? Zrzuć tę przeklętą bombę!

Bombardier, którego siła odśrodkowa przygniotła do ściany, zawołał:

- Bomba nie przejdzie przez luk, dopóki nie wyrównacie lotu!

Trzeci silnik stał już w płomieniach. Nagła utrata całej siły nośnej po jednej stronie cisnęła maszynę w bok, a następnie dziobem w dół. Dennings i Stromp ze wszystkich sił napierali na drążki sterowe, starając się zlikwidować przechył spadającego samolotu.

Gdy tylko Stanton odzyskał równowagę, szybko otworzył klapy luku bombowego.

- Utrzymajcie go tak! - wrzasnął pośpiesznie.

Nie tracąc czasu na ustawianie celownika, wdusił przycisk spustowy.

Ale nic to nie dało. Wskutek silnego przechyłu samolotu bomba musiała się zaklinować w uchwytach.

Poblady Stanton kilkakrotnie walnął przycisk pięścią, lecz także bez rezultatu.

- Zaklinowała się! - krzyknął. - Nie mogę jej zrzucić!

Mimo świadomości, że w razie schwytania będą musieli zażyć cyjanek, Dennings rozpaczliwie walczył o utrzymanie się przy życiu; usiłował posadzić niesprawny bombowiec na powierzchni morza.

I prawie mu się udało. Brzuch samolotu znajdował się zaledwie osiemdziesiąt metrów ponad falami, kiedy w płonącym silniku zajęły się części wykonane z magnezu, a żar w krótkim czasie pokonał mocowania. Spadający silnik zerwał cięgła sterów poziomych.

Porucznik Okinaga położył myśliwiec Zero na skrzydło i zatoczył koło nad spadającym B-29. Spoglądał na buchające w niebo płomienie i jakby namalowaną grubym pędzlem smugę czarnego dymu. W końcu amerykański bombowiec zwałił się do morza, wzbijając biały gejzer spienionej wody.

Przez jakiś czas Okinaga krążył nad miejscem katastrofy, wypatrując rozbitków, lecz na falach unosiły się tylko poszarpane szczątki. Wreszcie, przepełniony dumą z zestrzelenia swego pierwszego samolotu wroga, po raz ostami okrążył wielką, przypominającą grobowiec chmurę dymu, po czym skierował maszynę w stronę macierzystego lotniska.

W tym samym czasie, kiedy pogruchotany samolot Denningsa wraz z martwą załogą spoczął na dnie trzysta metrów pod powierzchnią morza, z innej wyspy, oddalonej o tysiąc kilometrów na południowy wschód, startował do rajdu bombowego kolejny B-29. Pułkownik Paul Tibbets, na pokładzie "Enola Gay", zmierzał w stronę innego japońskiego miasta, Hiroszimy.

Żaden z pilotów nie wiedział o zadaniu drugiego, obaj uważali za swój wyłączny zaszczyt zrzućenie pierwszej bomby atomowej w czasie tej wojny.

"Demony Denningsa" nie dotarły do celu, znalazły swe przeznaczenie w ciszy morskiej głębin, równie złowroziej jak chmura czarnego dymu znacząca miejsce katastrofy. A heroiczna próba Denningsa i jego załogi wkrótce została pogrzebana w lawinie biurokratycznych tajemnic i poszła w zapomnienie.

**CZEŚĆ I**  
**„WIELKI JOHN”**

## 1

Tajfun powoli przycichał. Morze uspokoiło się nieco, lecz gigantyczne fale o zielonych grzbietach nadal przewalały się przez pokład, zostawiając za sobą białe smugi piany. Lita warstwa ciężkich, czarnych chmur popękała miejscami, a szybkość wiatru sięgała w porywach zaledwie trzydziestu węzłów. Na południowym zachodzie promienie słońca przedarły się przez chmury, rozświetlając wzburzoną po wierzchnie oceanu plamami jasnego błękitu.

Walcząc z wiatrem i bryzgami fal, kapitan Arne Korvold stał na odkrytym mostku liniowca "Narvik", należącego do norweskiej spółki Rindal Lines, i obserwował przez lornetkę olbrzymi towarowiec miotany falami. Sądząc z wyglądu, był to japoński statek do przewozu samochodów - jego część nadwodna, począwszy od tępo ściętego dziobu po kanciastą rufę, przypominała wielkie, unoszące się na wodzie, prostopadłościennie pudło. Z wyjątkiem mostka oraz pomieszczeń załogi na górnym pokładzie, w burtach nie było żadnych okien czy bulajów.

Statek miał stały, dziesięciostopniowy przechył, który przy każdym uderzeniu fal w wysoką, prawą burtę wzrastał do dwunastu stopni. Jedyłą oznaką życia była wąska smużka dymu wydobywającego się z komina. Korvold zauważył, że łodzie ratunkowe towarowca zostały spuszczone, lecz nie mógł ich nigdzie dostrzec wśród fal. Opuścił nieco lornetkę i odczytał angielską nazwę wymalowaną na burcie pod szeregiem japońskich ideogramów.

Statek nazywał się "Niebiańska Gwiazda".

Kapitan wszedł z powrotem do sterowni i zajrzał do kabiny łączności.

- Nadal nie odpowiada?

Radiooperator pokręcił głową.

- Nie. Od czasu, jak go ujrzeliśmy, nie odebrałem żadnego sygnału. Musieli wyłączyć radio. Wierzyć mi się nie chce, że opuścili statek, nie nadając wezwania o pomoc.

Korvold w milczeniu popatrzył przez szybę na japoński towarowiec, dryfujący z ich prawej burty w odległości kilometra. Kapitan był niskim, dystyngowanym mężczyzną, jak większość Norwegów nieskorym do pośpiechu. W jego zimnych niebieskich oczach rzadko pojawiały się jakieś żywsze błyski, a usta, okolone starannie przystrzyżonymi wąsami i brodą, jakby zastygały w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Po dwudziestu sześciu latach na morzu, głównie na pasażerskich liniowcach, miał opinię sympatycznego, przyjacielskiego oficera, darzonego respektem przez załogę i uznaniem przez pasażerów.

Poskubał palcami krótką szpakowatą brodę i zaklął pod nosem. Szstorm tropikalny,

którego nikt się nie spodziewał, zniósł go z kursu na pomoc, przez co rejs z Pusanu w Korei do San Francisco miał być o dwa dni dłuższy niż w rozkładzie. Korvold nie schodził z mostka przez czterdzieści osiem godzin i był wykończony. Miał już udać się na odpoczynek, kiedy dostrzeżono wrak "Niebiańskiej Gwiazdy".

Zetknął się z dziwną zagadką, a w dodatku czekało go czasochłonne poszukiwanie łodzi ratunkowych japońskiego towarowca. Z drugiej strony ponosił odpowiedzialność za 130 pasażerów, w większości powalonych chorobą morską i z pewnością niechętnych jakimkolwiek akcjom ratunkowym.

- Pozwoli pan, kapitanie, wysłać na tamten statek szalupę z grupą rozpoznawczą?

Korvold spojrzał na pierwszego oficera Oscara Steena, wysokiego i trzymającego się prosto jak tyczka mężczyznę, o pociągłych, klasycznie nordyckich rysach, niebieskich, nieco ciemniejszych niż u Korvolda oczach, a także spalonych przez słońce, niemal bezbarwnych włosach i ciemnej cerze.

Nie odpowiedział od razu, przeszedł przez mostek, stanął przy oknie i wyjrzał na fale przewalające się między dwoma statkami - ich wysokość, od podstawy do szczytu, sięgała trzech lub nawet czterech metrów.

- Nie mam zamiaru ryzykować życia ludzi, Steen. Zaczekajmy lepiej, aż morze nieco się uspokoi.

- Spuszczałem już łodzie w gorszych warunkach.

- Nie ma pośpiechu. To martwy statek, jak trup w kostnicy, i wydaje mi się, że z powodu przemieszczenia ładunku nabiera wody. Chyba lepiej zostawić go i zająć się poszukiwaniem łodzi ratunkowych.

- Ale na pokładzie mogą być jeszcze ranni.

Korvold pokręcił głową.

- Żaden kapitan nie zszedłby ze statku, zostawiając rannych marynarzy na pokładzie.

- Nie zrobiłby tego nikt przy zdrowych zmysłach, ale tamci porzucili chyba sprawny jeszcze statek i spuścili szalupy w samym sercu wiejącego z prędkością sześćdziesięciu pięciu węzłów tajfunu, nie nadając przy tym wezwania o pomoc.

- Zgadzam się, że to zagadkowe - przyznał Korvold.

- Trzeba chociażby rozpoznać ładunek - ciągnął Steen. - Sądząc po zanurzeniu, ładownie są pełne, a może w nich być jakieś siedem tysięcy samochodów.

Korvold obrzucił Steena karcącym spojrzeniem.

- Czyżbyś myślał o opłacie za uratowanie statku, Steen?

- Owszem, kapitanie. Jeśli na pokładzie nie ma nikogo i zdołalibyśmy doprowadzić

statek z pełnym ładunkiem do portu, ręczę, że opłata za uratowanie wynosiłaby połowę jego wartości albo nawet więcej. Nasze towarzystwo zarobiłoby jakieś pięćset lub sześćset milionów koron i cała załoga otrzymałaby premie.

Korvold zamyślił się na chwilę, konfrontując swoje złe przeczucia z chciwością, która ostatecznie przeważała szalę.

- Dobra, zbierz grupę rozpoznawczą i nie zapomnij o mechaniku. Dym unoszący się z komina może oznaczać, że maszyny są jeszcze na chodzie. - Zawiesił na chwilę głos. - Nadal jednak uważam, że trzeba zaczekać, aż morze się uspokoi.

- Nie ma czasu - odparł spokojnie Steen. - Jeśli przechył tamtego zwiększy się jeszcze o dziesięć stopni, będzie za późno. Musimy się pośpieszyć.

Kapitan westchnął ciężko. Działał wbrew zdrowemu rozsądkowi, z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że gdy inni dowiedzą się o sytuacji "Niebiańskiej Gwiazdy", wszystkie okręty ratownictwa w promieniu tysiąca mil popędzą w tę stronę z pełną szybkością, niczym kierowcy wozów holowniczych na wieść o wielkiej kraksie na autostradzie.

Wreszcie wzruszył ramionami.

- Kiedy się upewnisz, że nikogo z załogi "Niebiańskiej Gwiazdy" nie ma na pokładzie, a statek da się prowadzić, przyślij meldunek, wtedy rozpocznę poszukiwania łodzi ratunkowych.

Steen zbiegł z mostka, zanim jeszcze kapitan skończył mówić.

W ciągu dziesięciu minut skrzyknął załogę i spuścił szalupę na wzburzone fale. Oprócz niego znalazło się w niej czterech marynarzy, starszy mechanik Olaf Andersson oraz oficer łączności David Sakagawa - jedyny członek załogi "Narvika", który znał japoński. Marynarze mieli przeszukać cały statek, Andersson sprawdzić maszyny, Steen natomiast przejął dowództwo towarowca, gdyby okazało się, że na pokładzie nikogo nie ma.

Pierwszy oficer stanął za sterem barkasa o spiczastej rufie i skierował go pod fale, które niemal rzuciły się na łódź, jakby chciały ją zatopić. Ale wielki silnik marki Volvo pewnie popychał szalupę, zbliżającą się od zawietrznej do towarowca.

Sto metrów od "Niebiańskiej Gwiazdy" marynarze spostrzegli, że mają towarzystwo - wokół statku kręciło się stado rekinów, przeczuwających widocznie, że wrak może wkrótce zatonać, dostarczając im kilku smakowitych kąsków.

Kiedy sternik skierował łódź na spokojniejsze wody w cieniu masywnej, pochylonej burty, wszyscy odnieśli wrażenie, że japoński statek pod naporem fal może się w każdej chwili na nich przewrócić. Steen rozwinął lekką, nylonową drabinkę, zakończoną aluminiowym



hakiem, który przy trzecim rzucie zaklinował się na krawędzi burty.

Oficer zaczął się wspinać po sznurowej drabince, za nim pospieszył Andersson i pozostali. Weszli przez ogromny luk kotwiczny i ruszyli na górę po wąskiej stalowej drabince przytwierdzonej do masywnej przedniej grodzi. Minęli pięć pokładów i wreszcie stanęli na największym mostku, jaki Steen widział w ciągu piętnastu lat spędzonych na morzu. Przyzwyczajony do niewielkiej, przytulnej sterowni "Narvika" poczuł się jak w przestronnej sali gimnastycznej - imponujący blok elektronicznej aparatury sterowania zajmował tylko niewielką, centralną część pomieszczenia.

Nie było tu nikogo, a na podłodze wały się mapy, sekstansy i inne przyrządy nawigacyjne, które powypadały z otwartych szafek. Na pulpicie leżały dwa otwarte nesesery, jakby ich właściciele tylko na krótko stąd wyszli. Wszystko wskazywało na to, że ludzie opuszczali statek w panice.

Steen obejrzał konsolę elektroniczną.

- Jest w pełni zautomatyzowany - rzekł do Anderssona.

Inżynier skinął głową.

- Co więcej, komputer jest sterowany głosem, nie trzeba przestawiać żadnych dźwigni ani przekazywać rozkazów sternikowi.

Pierwszy oficer obrócił się do Sakagawy.

- Potrafisz to uruchomić i wydać kilka poleceń?

Urodzony w Norwegii Japończyk pochylił się nad konsolą, w milczeniu badał ją wzrokiem przez kilka sekund, wreszcie wcisnął szybko dwa klawisze. Zapaliły się światełka na pulpicie i z wnętrza maszynierii dobiegł cichy szum. Sakagawa z lekkim uśmiechem spojrzał na Steena.

- Mój japoński nie jest najlepszy, ale mam nadzieję, że zdołam się z nim porozumieć.

- Poproś go o raport o stanie statku.

Sakagawa powiedział coś krótko do mikrofonu i po chwili z głośnika popłynął niski męski głos. Kiedy skończył, łącznościowiec popatrzył rozszerzonymi oczyma na Steena.

- Komputer mówi, że zawory wyrównawcze są otwarte, a poziom wody w maszynowni sięga dwóch metrów.

- Każ mu je zamknąć!

Po szybkiej wymianie słów Sakagawa pokręcił głową.

- Według komputera zawory są zablokowane i nie da się ich zamknąć elektrycznie.

- Wygląda na to, że mam już robotę dla siebie - wtrącił Andersson. - Zejdę na dół i spróbuję je zamknąć ręcznie. Rozkażcie temu durnemu robotowi, żeby uruchomił pompy.

Skinął ręką na dwóch marynarzy i cała trójka zniknęła w wąskim przejściu wiodącym ku maszynowni.

Do Steena podszedł inny marynarz, twarz miał bladą jak ściana, a oczy rozszerzone z przerażenia.

- Panie oficerze... znalazłem zwłoki. To chyba radiotelegrafista.

Pierwszy pospieszył do kajuty łączności. Na krześle przed pulpitem z aparaturą radiową siedział dziwnie bezkształtny trup, tylko w zarysach przypominający człowieka, który w porcie wszedł na pokład "Niebiańskiej Gwiazdy". W ogóle nie miał włosów i gdyby nie zęby, widoczne pod nie istniejącymi wargami, trudno byłoby nawet powiedzieć, z której strony jest twarz. Wyglądał odrażająco, jak gdyby ściągnięto z niego całą skórę - ciało było niemal stopione i częściowo nadpalone.

Nigdzie jednak nie widać było śladów działania żaru lub ognia. Mundur trupa wyglądał na świeżo wyprany i wyprasowany.

Można by odnieść wrażenie, że człowiek wypalił się od wewnątrz.

Duszący fetor i okropny widok wstrząsnęły Steenem, minęła dobra minuta, nim się otrząsnął. W końcu odsunął na bok krzesło z odrażającymi zwłokami i pochylił się nad pulpitem łączności.

Na szczęście wyświetlacz wskazywał częstotliwość cyframi arabskimi. Po kilku minutach wciskania na ślepo różnych klawiszy udało mu się nawiązać łączność z "Narvikiem" i niemal natychmiast zgłosił się kapitan Korvold.

- Słucham, Steen - odparł napiętym głosem. - Co tam zastaliście?

- Wydarzyło się tu coś strasznego, kapitanie. Na statku nie ma żywej duszy. Znaleźliśmy tylko jedne zwłoki, spalonego radiooperatora.

- Mieli pożar na pokładzie?

- Nic na to nie wskazuje. W automatycznym układzie kontroli przeciwpożarowej w centralnym komputerze świeci się zielona lampka.

- Czy możesz stwierdzić, z jakiego powodu załoga opuściła statek?

- Nie. Wygląda na to, że rozkaz spuszczenia szalup został wydany w pośpiechu i ludzie uciekali w panice.

Korvold zagryzł wargi, a kostki palców zaciśniętych kurczowo na słuchawce aż pobielały.

- Jak mam to rozumieć?

- Zawory wyrównawcze są otwarte i zablokowane, Andersson poszedł do maszynowni, aby zamknąć je ręcznie.

- Więc dlaczego, do diabła, cała załoga porzuciła statek z tysiącami nowych samochodów w ładowniach? - zapytał Korvold podniesionym głosem.

- Stało się tu coś podejrzanego, kapitanie, coś niezwykłego. Zwłoki radiooperatora są w strasznym stanie, wygląda tak, jakby przypiekano go na ruszcie.

- Chcesz, żeby dołączył do was lekarz okrętowy?

- W niczym nie pomoże, najwyżej wystawi akt zgonu.

- Rozumiem - odparł Korvold. - Zostaniemy w miejscu jeszcze przez pół godziny, potem ruszamy na poszukiwanie rozbitków.

- Czy porozumiał się pan już z armatorem, kapitanie?

- Nie, czekałem na informację, czy ktoś z załogi został przy życiu i czy możemy występować o opłatę za uratowanie statku. Zbadajcie go dokładnie. Jeśli tylko będziesz miał pewność, że na pokładzie nie ma żywej duszy, zawiadomię dyrektora naszego towarzystwa, że przejmujemy w posiadanie "Niebiańską Gwiazdę".

- Inżynier Andersson zamyka już zawory, silniki są sprawne i wkrótce po osuszeniu maszynowni powinniśmy być gotowi do drogi.

- Im szybciej, tym lepiej - rzekł Korvold. - Dryfujecie w kierunku brytyjskiej jednostki oceanograficznej utrzymującej stałą pozycję.

- W jakiej odległości od nas?

- Około dwunastu kilometrów.

- To bezpieczny dystans.

- Powodzenia, Oskarze. Wracaj bezpiecznie do portu - rzucił krótko Korvold i przerwał połączenie.

Steen odwrócił się od nadajnika, próbując nie patrzeć w kierunku zdeformowanego trupa na krześle. Przeszył go zimny dreszcz. Nie zdziwiłby się, gdyby ujrzał teraz schodzącego z mostka upiora kapitana "Latającego Holendra". Nie ma nic gorszego niż porzucony i sprawny statek - pomyślał z goryczą.

Kazał Sakagawie odnaleźć dziennik okrętowy i przetłumaczyć ostatnie wpisy. Dwóch pozostałych marynarzy wysłał na przeszukiwanie ładowni, a sam zaczął systematyczną inspekcję pomieszczeń załogi. Czuł się tak, jakby zwiedzał nawiedzone przez duchy zamczysko.

Nie znalazł niczego szczególnego, poza paroma sztukami rozrzuconych ubrań. W przeciwieństwie do bałaganu na mostku tu panował porządek, jak gdyby ludzie mieli wkrótce wrócić z wachty. Na biurku w kajucie kapitańskiej stała taca z dwiema filiżankami herbaty, które jakimś cudem nie spadły podczas sztormu. Na łóżku leżał mundur, a na dywaniku pod koją stała para wyczyszczonych do połysku butów. Podniósł fotografię, która przewróciła się na biurko - przedstawiała kobietę i trzech kilkunastoletnich chłopców.

Nie miał zamiaru grzebać się w sekretach obcych ludzi, i tak czuł się jak intruz.

Trafił stopą na jakiś przedmiot leżący pod biurkiem, schylił się i podniósł pistolet kalibru 9 mm, automatyczny austriacki steyr GB.

Wsunął go za pasek spodni.

Dzwonienie wiszącego na ścianie zegara przeraziło go do tego stopnia, że zaklął na głos. Wyszedł z kajuty i szybkim krokiem wrócił na mostek.

Sakagawa siedział z nogami opartymi o maleńkie biurko w pokoju mapowym i czytał dziennik okrętowy.

- Znalazłeś - stwierdził Steen.

- Leżał w jednym z neseserów - odparł tamten, przerzucił kilka kartek i zaczął czytać: "Niebiańska Gwiazda", dwustupiętnastometrowy towarowiec, zwodowany szesnastego marca

tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, jest własnością spółki przewozowej Sushimo Limited. W tym rejsie wiezie siedem tysięcy dwieście osiemdziesiąt osiem samochodów marki Murmoto do Los Angeles.

- Czy znalazłeś jakąś wzmiankę o przyczynach opuszczenia statku przez załogę? - spytał Steen.

Tamten w zamyśleniu pokręcił głową.

- Nie ma ani słowa o katastrofie, epidemii czy buncie, nie ma też notatki o przejściu tajfunu. Ale ostatni wpis jest dość dziwny.

- Przeczytaj.

Sakagawa milczał przez chwilę, układając w myślach tłumaczenie z japońskiego.

- W dość luźnym przekładzie brzmi to następująco: "Pogoda się załamuje, morze wzburzone. Ludzie zapadli na tajemniczą dolegliwość, która nie oszczędziła nikogo, także kapitana. Podejrzanie zatrucia pokarmowego. Nasz pasażer, pan Yamada, jeden z dyrektorów towarzystwa, dostał ataku hysterii i krzychał, że powinniśmy uciekać i zatopić statek. Kapitan, według którego pan Yamada przeszedł poważne załamanie nerwowe, rozkazał położyć go do łóżka i nie wypuszczać z kajuty".

Steen ze zdziwieniem popatrzył na Sakagawę.

- To wszystko?

- Owszem, to całość ostatniego wpisu. Nie ma nic więcej.

- Jaką nosi datę?

- Pierwszego października.

- To przedwczoraj.

Sakagawa smętnie pokiwał głową.

- Krótco potem musieli opuścić statek. Dziwne, że nie zabrali ze sobą dziennika.

Steen powoli przeszedł do kajuty łączności, próbując wyłuskać jakiś sens z owego wpisu. Przystanął nagle i oparł się ręką o futrynę drzwi. Miał wrażenie, że pokład kołysze mu się przed oczyma, i poczuł mdłości. Z trudem przełknął żółć podchodzącą mu do gardła. Ale dolegliwości minęły równie szybko, jak się pojawiły.

Podszedł na sztywnych nogach do nadajnika i wywołał "Narvik".

- Pierwszy oficer Steen wzywa kapitana Korvolda. Odbiór.

- Tak, Oskarze. Słucham,

- Szkoda czasu na poszukiwanie rozbitków. Zgodnie z wpisem do dziennika okrętowego załoga opuściła statek, jeszcze zanim tajfun uderzył z pełną mocą. Spuścili szalupy dwa dni temu, a wiatr mógł je do tego czasu odegnać nawet o kilkaset kilometrów.

- O ile ich nie zatopił.

- To mało prawdopodobne.

- W porządku, Oskarze. Zgadzam się, że poszukiwania byłyby bezcelowe. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Zawiadomiłem amerykańskie ratownictwo morskie na wyspie Midway oraz na Hawajach i przekazałem informację wszystkim statkom w tym rejonie. Jak tylko będziecie mogli ruszyć w drogę, wracamy na kurs do San Francisco.

- Przyjąłem - odparł Steen. - Idę teraz do maszynowni zobaczyć, co zdziałał Andersson. Zaledwie wyłączył nadajnik, zaterkotał telefon w sterowni.

- Tu mostek.

- Panie Steen... - rozległ się słaby głos.

- Słucham, o co chodzi?

- Mówi marynarz Arne Midgaard. Czy może pan zaraz przyjść do ładowni na pokładzie C? Sądzę, że coś znalazłem...

Urwał nagle i w słuchawce rozległy się odgłosy wymiotowania.

- Źle się czujesz, Midgaard?

- Proszę się pospieszyć...

W telefonie brzęknęło i zapadła cisza.

- Który klawisz mam nacisnąć, żeby połączyć się z maszynownią?! - zawołał do Sakagawy, ale tamten nie odpowiadał.

Steen zajrzał do pokoju mapowego. Sakagawa siedział skulony, blady jak ściana i oddychał ciężko. Po chwili uniósł głowę i syknął przez zęby, z trudem łapiąc powietrze:

- Czwartą od lewej... łączy z maszynownią.

- Coś ci dolega? - zapytał Steen.

- Nie wiem... Czuję się... parszywie.. już dwa razy wymiotowałem.

- Trzymaj się - rzekł pierwszy. - Zbiorę pozostałych i wyniesiemy się z tej choleralnej trupiarni.

Zadzwoił do maszynowni, ale nikt nie podniósł słuchawki. Stopniowo ogarniał go strach - lęk przed nieznanym, z którym się tu zetknęli. Miał wrażenie, że fetor śmierci czuć już na całym statku.

Pospiesznie rzucił okiem na rozkład ładowni umieszczony na grodzi i zaczął zbiegać po schodach, przeskakując po sześć stopni naraz. Chciał tak samo pognać do ładowni, ale w wąskim korytarzyku chwyciły go tak silne nudności, że jedynie powłókł się chwiejnym krokiem niczym pijak wędrujący bocznymi uliczkami.

W końcu dotarł do drzwi prowadzących na pokład ładowni C i ujrzał szeregi

wielobarwnych aut ciągnące się na sto metrów w jedną i drugą stronę. Ku swemu zdumieniu stwierdził, że mimo szalejącego sztormu i sporego przechyłu statku wszystkie samochody stoją w idealnym porządku.

Zawołał Midgaarda, lecz jego głos ugrzął między setkami pojazdów. Odpowiedziała mu cisza. Po chwili jego uwagę przyciągnęło coś, co wyróżniało się niczym żołnierz w kolumnie wojska, trzymający transparent.

Maska jednego z samochodów była otwarta i sterczała do góry.

Ruszył na miękkich nogach między autami, wspierając się o drzwi oraz błotniki i objając łydki o wystające zderzaki.

- Czy jest tu ktoś?! - zawołał ponownie, kiedy zbliżył się do pojazdu z uniesioną maską.

Tym razem usłyszał cichy jęk. W kilku krokach dopadł samochodu i ujrzał Midgaarda leżącego przy kole.

Twarz młodego marynarza pokrywały jątrzące rany, z kącika ust spływała piana przemieszana z krwią. Rozszerzone oczy wpatrywały się w sufit, a odsłonięte przedramiona były sine pod pergaminowe białą skórą. Dosłownie rozkładał się na oczach Steena.

Pierwszy oparł się ramieniem o sąsiednie auto; był zbyt przerażony.

W geście bezradności i desperacji objął dłońmi głowę, nie zwrócił uwagi na grube pasma włosów, które przykleiły mu się do palców i odpadły, kiedy opuszczał ręce.

- Na Boga! - szepnął, widząc po Midgaardzie, jak straszliwa czeka go śmierć. - Dlaczego mamy tu umrzeć? Co nas zabija?

### 3

Badawcza łódź głębinowa "Stara Gerda" kołysała się pod wysięgnikiem potężnego dźwigu przy prawej burcie brytyjskiego statku oceanograficznego "Niezwycięzony". Morze uspokoiło się na tyle, że można już było spuścić ją w celu pobrania próbek z leżącego na głębokości 5200 metrów dna morskiego. Załoga przeprowadzała właśnie szczegółowe testy systemów bezpieczeństwa.

Oprócz nazwy batyskaf nie miał w sobie nic starego - kształtem przypominał dzieło sztuki współczesnej. Po trwających rok pracach w Brytyjskim Towarzystwie Badań Kosmicznych musiał przejść teraz wszelkie próby podczas pierwszych zanurzeń wzdłuż grzbietu Mendocino, wielkiego uskoku na dnie Pacyfiku, ciągnącego się od północnych wybrzeży Kalifornii aż po środek oceanu w kierunku Japonii.

Wyglądem zewnętrznym całkowicie różnił się od klasycznych batyskafów o opływowych kształtach. Nie składał się z cygarokształtnego kadłuba z umieszczoną pod spodem kabiną, ale z czterech przezroczystych kul wykonanych z tytanu oraz tworzyw sztucznych, połączonych grubymi rurami, co upodabniało go do czapki błazna. W pierwszej kuli znajdował się sprzęt fotograficzny wszelkiego autoramentu, druga mieściła zbiorniki powietrzne i balastowe oraz akumulatory, trzecią przeznaczono na silniki elektryczne i butle sprężonego tlenu. Czwarta, największa i umieszczona centralnie powyżej tamtych trzech, stanowiła zarazem kabinę załogi i sterówkę.

Konstrukcja "Starej Gerdy" miała wytrzymać ogromne ciśnienia największych głębin oceanicznych. Łódź z pełną załogą mogła przebywać w mrocznych otchłaniach wód przez czterdzieści osiem godzin i poruszać się z prędkością do ośmiu węzłów.

Craig Plunkett, główny konstruktor i jednocześnie pilot "Starej Gerdy", złożył wreszcie podpis na ostatnim formularzu. Wyglądał na czterdzieści pięć lub pięćdziesiąt lat, a siwiejące włosy starannie zaczesywał na bok, aby ukryć wydatną łysinę. Z rumianej twarzy spoglądały piwne oczy z obwisłymi jak u psa gończego dolnymi powiekami. Z racji swego udziału w projektowaniu łodzi traktował ją niczym prywatny jacht wycieczkowy.

Naciągnął gruby, wełniany sweter, mający chronić go przed chłodem morskiej toni, i wsunął stopy w miękkie, obszyte futrem mokasyny. Przepchnął się przez tunel wejściowy, zamknął za sobą klapę wjazdu i usiadł przed pulpitem, uruchamiając sterowane komputerem mechanizmy batyskafu.

Doktor Raul Salazar z uniwersytetu w Meksyku, specjalista od geologii podmorskiej, siedział już na swoim stanowisku i sprawdzał działanie sonaru do penetracji dna.

- Jestem gotów - oznajmił. Był to drobny mężczyzna z wielką szopą czarnych włosów,



okaz kipiącego energią wulkanu; jego czarne, świdrujące oczka nie zatrzymywały się na niczym dłużej niż przez dwie sekundy. Plunkett zdążył go polubić. Salazar należał do ludzi mających dar gromadzenia tylko istotnych informacji i podejmowania właściwych decyzji opartych o konkrety. Ponadto traktował pobieranie próbek dna morskiego jako dochodowy interes, a nie czysto akademicką pasję.

Zerknął na pusty fotelik po prawej stronie.

- Myślałem, że Stacy jest już na pokładzie.

- Bo jest - odparł Salazar, nie unosząc głowy znad swojej konsoli. - Zanurkowała do kuli zdjęciowej, żeby jeszcze raz sprawdzić sprzęt wideo.

Plunkett zajrzał w wylot rury wiodącej do kuli zdjęciowej i ujrzał tuż przed nosem parę stóp w grubych skarpetach.

- Jesteśmy gotowi do zanurzenia - rzekł.

- Za chwilę kończę - odparł mu kobiecy, silnie stłumiony głos.

Craig wsunął nogi pod pulpit sterowniczy i ustawiał właśnie oparcie swego fotelika w pozycji półleżącej, kiedy Stacy Fox tyłem wczółgała się do kabiny. Przez jakiś czas pracowała niemal wisząc głową do dołu i krew napłynęła jej do twarzy.

Dziewczynę trudno byłoby nazwać uderzająco piękną, choć bez wątpienia była ładna. Jej twarz okalały długie, proste blond włosy, które często ruchem głowy odrzucała do tyłu. Szerokie jak na kobietę ramiona kontrastowały ze szczupłą sylwetką, a żadnemu z marynarzy spekulujących na temat kształtu jej piersi nie było dane ich ujrzeć, gdyż Stacy zawsze nosiła luźne, obszerne bluzy. Niemniej, kiedy się czasem przeciągała, można było dostrzec drobne wypukłości na umięśnionym torsie.

Wyglądała bardzo młodo jak na swoje trzydzieści cztery lata. Miała szeroko rozstawione oczy o zielonkawych tęczówkach i grube brwi, a wargi nad silnie zarysowaną brodą, niemal zawsze rozchylone w delikatnym uśmiechu, ukazywały równiutkie zęby.

Stacy, którą zaliczano niegdyś do grona złotych dziewcząt kalifornijskich plaż, uzyskała dyplom sztuki fotograficznej w Instytucie Chouinarda w Los Angeles. Po studiach przemierzyła pół świata, utrwalając na zdjęciach sceny z życia podwodnego, które niejednokrotnie zyskiwały miano unikatowych. Po dwóch małżeństwach i dwóch rozwodach, zostawiwszy jedyną córkę pod opieką siostry, przyjęła stanowisko fotografa w załodze "Starej Gerdy", będące tylko przykrywką dla znacznie ważniejszej funkcji.

Kiedy tylko dziewczyna zajęła miejsce w fotelu, Plunkett wydał rozkaz zanurzenia i operator dźwigu spuścił łożdź po pochylni, w jaką zamieniła się opuszczona prawa burta statku, i zaczął powoli odwijać linę.

Sztorm ucichł, lecz spienione fale wciąż jeszcze miały do dwóch metrów wysokości. Jednakże wprawny operator tak zgrabnie posadził batyskaf na grzbiecie fali, że łagodnie zsunął się z niej i zaczął kołysać w rytm falowania. Sterowany elektrycznie zaczep uwolnił linę dźwigu, a płetwonurkowie dokonali ostatniej kontroli zewnętrznych mechanizmów “Starej Gerdy”.

Po pięciu minutach Jimmy Knox, rubaszny Szkot nadzorujący akcję, przekazał przez radio zgodę na zanurzenie. Zbiorniki balastowe napełniono wodą i batyskaf zniknął pod powierzchnią wzburzonego oceanu, rozpoczynając wędrówkę na dno.

Choć “Stara Gerda” była ostatnim krzykiem techniki, zastosowano w niej wypróbowany system zbiorników balastowych napełnianych wodą morską. Przed wynurzeniem zachodziła jednak potrzeba zrzuć żelaznych sztab balastu, gdyż nie wyprodukowano jeszcze pomp, które zdołałyby napełnić zbiorniki powietrzem, pokonując ogromne ciśnienie mas wody otaczających łódź.

Długotrwałe opadanie w głębinę wydało się Stacy hipnotycznym transem. Światło docierające od strony powierzchni stopniowo zmieniało barwę, przygasało, aż w końcu otoczyły ich nieprzeniknione ciemności.

Różne pulpity kontrolne rozmieszczone były na całym obwodzie kuli, ale powyżej nich roztaczał się panoramiczny widok. Czasza z wytrzymałego polimeru, wypełniającego szkielet z cienkich listew tytanowych, zapewniała taką widoczność, jak olbrzymi ekran telewizora o wysokiej rozdzielczości.

Salazar, pochylony nisko nad ekranem sonaru dennego, nie zwracał uwagi na otaczające ciemności, przecinane od czasu do czasu rozbłyskami luminescencyjnych ryb. Plunkett z kolei uważnie śledził przebieg zanurzania, nie odrywając wzroku od wskaźników pokazujących stopniowy wzrost ciśnienia oraz spadek temperatury na zewnątrz.

Na pokładzie “Niewyciężonego” nie było drugiego batyskafu.

W wypadku jakiegokolwiek katastrofy, ugrzęźnięcia “Starej Gerdy” między skałami lub awarii silników czy pomp, która by uniemożliwiła powrót na powierzchnię, mogli odłączyć kulę sterowniczą i wynurzyć się w niej niczym w bąblu powietrznym. Ale skomplikowane systemy ratunkowe nie były jeszcze przetestowane w warunkach wysokiego ciśnienia. Wystarczyła drobna usterka, by pożegnać się z nadzieją na ocalenie i stanąć przed perspektywą uduszenia i pewnej śmierci w niezwykłym grobowcu pośród wiecznego mroku głębin.

Tuż za oknem przepłynęła niewielka węgorzowata ryba, a błyski jej luminescencyjnego ciała przypominały oglądaną z dala kolumnę pojazdów sunących w ciemnościach krętą drogą. Z drobnego pyszczka wystawały nieproporcjonalnie długie zęby, zakrzywione na

podobieństwo smoczycich kłów z chińskich malowideł. Zwabiona światłem płynącym z wnętrza łodzi, zbliżyła się do kopuły, obracając w stronę ludzi jedno ze swych niesamowitych, upiornych oczu.

Stacy błyskawicznie skierowała na nią obiektyw kamery i wykonała serię ujęć, zanim w końcu ryba odpłynęła.

- Czy możecie sobie wyobrazić to stworzenie, gdyby miało sześć metrów długości? - mruknęła z podziwem.

- Na szczęście czarne smoki żyją tylko w głębinach - odparł Plunkett - gdzie ciśnienie zewnętrzne pozwala im osiągać co najwyżej kilkucentymetrowe rozmiary.

Stacy włączyła reflektory i ciemności za kopułą ustąpiły nagle miejsca zielonkawej poświacie. Otaczała ich pustka, w zasięgu wzroku nie było żadnego stworzenia. Czarny smok odpłynął. Dziewczyna wyłączyła reflektory, aby oszczędzać baterie.

Wilgotność we wnętrzu kuli stopniowo rosła, a zarazem od ścian bił coraz silniejszy chłód. Stacy poczuła, że jej ramiona pokrywają się gęsią skórką; objęła je rękoma, uniosła głowę i zadrżała. Plunkett zauważył ten gest i włączył niewielki nagrzewacz, który i tak nie był w stanie pokonać zimna.

Dotarcie na dno zajęło dwie godziny, które byłyby straszliwie nudne, gdyby wszystkich nie pochłaniały ich zajęcia. Plunkett znalazł sobie taką pozycję, w której mógł równocześnie obserwować ekrany sonaru i echosondy, i tylko od czasu do czasu zerkał na wskaźniki napięcia baterii oraz ciśnienia tlenu. Salazar układał schemat poboru próbek z dna, Stacy zaś próbowała schwytać obiektywem kamery wszelkie przejawy życia w głębinach.

Potem Craig zaproponował swą ulubioną muzykę smyczkową Johanna Straussa, lecz Stacy namówiła go na jedną ze swoich kaset elektronicznej muzyki "nowej ery", która według niej działała kojąco i była mniej dokuczliwa. Już po chwili Salazar nazwał ją "muzyką wodospadu", ale nie zaprotestował.

Głos Jimmiego Knoxa z "Niezwyciężonego", który doleciał przez głośnik podwodnego telefonu akustycznego, brzmiał jak zza grobu.

- Opadacie trochę za szybko, będziecie na dnie za dziesięć minut.

- Zgadza się - odparł Plunkett. - Mam wszystko na ekranie sonaru.

Salazar i Stacy równocześnie obrócili głowy w stronę ekranu.

Przystawka komputerowa wykreślała trójwymiarowy zarys kształtu dna morskiego. Plunkett jednak ustawicznie zerkał w okno: dowierzał sonarowi i komputerowi, lecz wolał oglądać wszystko na własne oczy.

- Uważajcie - ostrzegł Knox - opadacie wzdłuż ściany kanionu.

-Widzę. Skały tworzą tu jakby szeroką dolinę. - Sięgnął do pulpitu i uwolnił jeden z żelaznych obciążników, aby spowolnić opadanie. Trzydzieści metrów nad dnem zrzucił kolejny blok balastu, przez co batyskaf niemal zawisł na stałej głębokości. Wreszcie wysunął trzy wsporniki rozmieszczone na spodach trzech dolnych kul.

Błękitnawy blask reflektorów ukazał im nagle nierówne, pofałdowane dno. Wszędzie dokoła piętrzyły się czarne, dziwacznie uformowane, jakby poskręcane skały.

- Osiedliśmy na polu lawy, którego krawędź znajduje się jakiś kilometr stąd i opada mniej więcej trzystumetrowym urwiskiem na dno tej niby-doliny - oznajmił Plunkett.

- Rejestruję wszystko - odparł Knox.

- Dlaczego te skały mają wygląd dżdżownic? - zapytała Stacy.

- To poduchy wulkaniczne - wyjaśnił Salazar. - Kiedy rozpalona lawa styka się z zimną wodą, jej zewnętrzna warstwa szybko zastyga, tworząc coś w rodzaju rury, wewnątrz której przemieszcza się płynna skała.

Plunkett włączył automat poziomujący, który miał samoczynnie utrzymywać batyskaf na wysokości czterech metrów ponad nierównym dnem i zaczęli powoli płynąć między skałami, tworzącymi istic księżycowy krajobraz. W mule wypełniającym gdzieniegdzie zagłębienia lawy widać było ślady żerujących na dnie stworzeń, prawdopodobnie rozgwiazd i krewetek, a także strzykw, które pośpiesznie umykały w ciemność przed światłami reflektorów.

- Trzymajcie się - rzekł Craig. - Zaraz zejdziemy jeszcze głębiej.

Faktycznie, w kilka sekund później dno zaczęło gwałtownie opadać, a łódź przechyliła się, automatycznie zachowując odległość czterech metrów od stromego zbocza kanionu.

- Jesteście na głębokości pięciu tysięcy trzystu sześćdziesięciu metrów - poinformował ich Knox przez telefon matowym głosem.

- Zgadza się, mam taki sam odczyt.

- Kiedy osiądziecie u stóp tego urwiska, będziecie już na głównej płycie dna oceanicznego.

- To oczywiste - mruknął Craig, nie odrywając wzroku od wskaźników kontrolnych, ekranu komputera oraz monitora, przekazującego obraz z kamery wycelowanej między trzy dolne kule łodzi. A gdzie indziej moglibyśmy się znaleźć, do cholery?

Po dwunastu minutach w dole ukazało się płaskie dno i "Stara Gerda" stopniowo wróciła do poziomu. Wokół kopuły zawirowały cząstki osadów, które w snopach światła reflektorów przypominały płatki śniegu. W kręgu światła pojawiły się muldy piasku zaścielającego dno. Ale było tam coś jeszcze - tysiące czarnych obiektów podobnych do

dawnych kul armatnich pokrywało piach dość grubą warstwą.

- Buły manganowe - wyjaśnił Salazar tonem wykładowcy. - Nikt nie wie dokładnie, jak powstają, choć istnieje teoria, że formują się wokół takich zarodków krystalizacji, jak zęby rekinów czy kosteczki słuchowe wielorybów.

- Czy przedstawiają jakąś wartość? - zapytała Stacy, uruchamiając sprzęt fotograficzny.

- Oprócz manganu zawierają pewne ilości rud kobaltu, miedzi, niklu oraz cynku. Przypuszczam, że takie skupisko ciągnie się wzdłuż strefy uskoku na przestrzeni setek mil. Można je wycenić na jakieś osiem milionów dolarów z każdego kilometra kwadratowego.

- Pod warunkiem, że dałoby się je bez trudu wyciągnąć na powierzchnię odległą o pięć i pół kilometra - wtrącił Plunkett.

Salazar zaczął instruować Craiga co do kursu, którym mieli dalej popłynąć "Starą Gerdą", gdy nagle z prawej burty zamajaczył jakiś błyszczący obiekt. Plunkett skręcił nieco w tamtą stronę.

- Co to może być? - zapytał Salazar, unosząc głowę znad swego pulpitu.

Stacy wychyliła się do przodu.

- Kula! - wykrzyknęła. - Olbrzymia metalowa kula z dziwaczными listwami na jednym końcu. Ma chyba ze trzy metry średnicy.

Plunkett lekceważąco machnął ręką.

- Musiała wypaść z jakiegoś statku.

- I to dość niedawno, bo nie ma nawet śladu korozji - dodał Salazar.

Nagle przed nimi ukazał się szeroki pas czystego piachu, na którym nie było ani jednej buły. Wyglądało to jak ślad po przejściu gigantycznego odkurzacza przez usłane kulami pole.

- Jak nożem uciął! - krzyknął Salazar. - Na dnie morskim nie może istnieć coś takiego jak prosta, równa granica występowania buł manganowych.

Stacy patrzyła na to rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

- Ten pas jest aż nazbyt idealny, musi być efektem działalności człowieka.

Plunkett pokręcił głową.

- To niemożliwe, nie na tej głębokości. Nie ma jeszcze takich maszyn, które by umożliwiały eksploatację dna oceanicznego.

- A z drugiej strony ten pas oczyszczonego piachu nie może być efektem żadnego ze znanych mi ruchów geologicznych - odparł rzeczowo Salazar.

- Te rowki ciągnące się wzdłuż krawędzi pasa dowodzą raczej, że ma on coś wspólnego z tamtą kulą.

- Załóżmy - mruknął sceptycznie Plunkett. - Tylko jakim urządzeniem można by

oczyścić dno morskie na tej głębokości?

- Olbrzymią pompą hydrauliczną, która by zasysała buły z dna i węzłem dostarczała je na powierzchnię - odparł Salazar. - Konstruktorzy opracowali projekt takiej maszyny już przed laty.

- Podobnie jak projekt rakiety, którą ludzie mają polecieć na Marsa. Tyle że ta rakietka do dziś nie została zbudowana. To samo dotyczy twojej monstrualnej ssawki. Znam mnóstwo ludzi związanych z inżynierią morską i nie słyszałem ani jednej plotki na temat podobnego projektu, a żadnych prac wydobywczych na taką skalę nie dałoby się utrzymać w tajemnicy. Potrzeba by do tego co najmniej pięciu statków oraz tysięcy ludzi pracujących latami. Sądziś, że taka flota umknęłaby uwadze przepływających w pobliżu jednostek i satelitów szpiegowskich?

Stacy popatrzyła na Salazara.

- Nie domyślasz się nawet, kiedy to mogło powstać?

Meksykanin wzruszył ramionami.

- Równie dobrze wczoraj, jak i kilka lat temu.

- Kto tego dokonał? - zapytała cicho. - Kto dysponuje odpowiednią technologią?

Nikt nie odpowiedział. Owo odkrycie nie pasowało do żadnych realiów. Cała trójka w milczeniu spoglądała z niedowierzaniem na pas oczyszczonego piachu, czując narastający z wolna lęk.

Wreszcie Plunkett zdołał powiedzieć na głos to, co zdawało się napływać w odpowiedzi gdzieś z bardzo daleka, z głębin otaczających batyskaf:

- Z pewnością nikt na ziemi, nikt spośród ludzi.

Steen znajdował się w coraz większym szoku. Patrzył wielkimi oczyma na pęcherze tworzące mu się na rękach i cały dygotał, po części z napięcia, lecz także z powodu silnego bólu brzucha. Zgięty w pół i targany konwulsjami, z trudem łapał powietrze. Dostrzegał u siebie wiele różnych objawów naraz. Serce waliło jak młotem, coraz bardziej nieregularnie, a silna gorączka jakby spalała jego ciało.

Nie miał już siły, by wrócić do kabiny łączności i ostrzec Korvolda, a wiedział, że jeśli kapitan norweskiego statku przez dłuższy czas nie otrzyma od niego żadnych wiadomości, wyśle drugą szalupę z załogą i narazi jedynie następnych ludzi na bezsensowną śmierć.

Pot zalewał mu oczy, a gdy uniósł głowę, ujrzał przed sobą dziwnie znienawidzony samochód z otwartą maską. Na wpół przytomny dostrzegł w tej maszynie z metalu, skóry i gumy jakieś nie rozpoznane zło.

Jakby w ostatnim akcie buntu postanowił się zemścić na martwym pojeździe. Wyciągnął zza paska automatyczny pistolet, który znalazł w kapitańskiej kajucie, wycelował w osłonę chłodnicy i nacisnął spust, pakując cały magazynek pocisków w samochód.

Korvold z odległości dwóch kilometrów patrzył przez lornetkę na "Niebiańską Gwiazdę", kiedy ta nagle przestała istnieć, a towarzyszący temu błysk natychmiast zamienił oczy kapitana w parę.

Gigantyczna kula ognia rozbłysła jaśniej niż słońce, a rozgrzane do białości gazy ułamku sekundy wypaliły obszar o średnicy czterech kilometrów. Błyskawicznie utworzyła się półkolista chmura kondensacji, rosnąca szybko niczym wielki grzyb podsycany od środka przez jaśniejącą wciąż kulę ognia.

Na powierzchni morza powstało olbrzymie wgłębienie o średnicy trzystu metrów, a z jego środka uniósł się w niebo słup zawierający miliony ton wody, z którego tryskały poziomo tysiące gejzerów o przekroju mogącym pomieścić całego "Narvika".

Fala uderzeniowa pomknęła od ognistej kuli we wszystkich kierunkach z szybkością niemal pięciu kilometrów na sekundę. Kiedy uderzyła w "Narvika", zmieniła go w bezkształtną kupę złomu.

Korvold na pomoście przy sterówce nie mógł już widzieć tego piekła, jego oczy i mózg nie zdążyły niczego zarejestrować. Promieniowanie cieplne w ciągu mikrosekundy zwęgliło ciało kapitana. Cały statek został uniesiony z wody i ciśnięty do tyłu, jakby wpadł pod olbrzymią prasę hydrauliczną. Na zgruchotane i odkształcone pokłady "Narvika" spadł deszcz pyłu oraz kulek stopionego metalu, jakie zostały po "Niebiańskiej Gwieździe". W maszynowni wybuchł pożar, który szybko zaczął się rozprzestrzeniać. Kotły parowe eksplodowały jeden po

drugim, a kontenery z pokładu towarowego zostały rozrzucone niczym liście przy pierwszych podmuchach huraganu.

Nikt nie zdążył nawet jęknąć czy krzyknąć. Ludzie znajdujący się na pokładzie spłonęli jak zapalki i błyskawicznie wyparowali. "Narvik" stał się wspólnym grobowcem dla 250 osób.

Statek zaczął się szybko przechylać i nabierać wody. W pięć minut po eksplozji przewrócił się, a nad wodą została jedynie część stępki. Wkrótce całkowicie zniknął pod falami i poszedł na dno.

Zaraz po wyparowaniu "Niebiańskiej Gwiazdy" wszystko zaczęło się uspokajać. Wielki grzyb chmury, która powstała nad kulą ognia, szybko uległ rozproszeniu i stał się niedostrzegalny z wybrzeża. Wody opadły, powierzchnia oceanu wygładziła się i na nowo poczęła rytmicznie falować.

W odległości dwunastu kilometrów "Niezwycięzony" nadal utrzymywał się na morzu. Straszliwa fala uderzeniowa nie osłabła na tym dystansie i z pełną mocą uderzyła w burtę statku. Nadbudówki zostały zmiażdżone i pozrywane, odsłaniając masywne grodzie. Cały komin odleciał i wpadł do spienionej wody, a mostek zmienił się w bezkształtną płataninę blach i ludzkich ciał.

Maszty były pogięte i połamane, wielki dźwig, wykorzystywany do opuszczania "Starej Gerdy", skręcony i przechylony na bok. Poszycie prawej burty w części rufowej zostało silnie wgniecione do środka. Podobnie jak "Narvik", statek oceanograficzny zmienił się w kupę bezużytecznego złomu.

Farba na burcie złuszczyła się i poczerniała od żaru, a nad wodą wokół rufy zawisła chmura czarnego, tłustego dymu. Promieniowanie termiczne uśmierciło wszystkich ludzi znajdujących się na pokładzie, inni, przebywający za osłoną blach, odnieśli poważne rany od wstrząsu albo zostali pokaleczeni przez wyrywane części statku.

Jimiego Knoxa cisnęło na grodzie rafową. Z rozrzuconymi rękoma padł na plecy, szeroko otwartymi ustami próbował złapać powietrze, jakby nagle znalazł się w próżni, i gapił się tępo na błękit nieba, który jakimś cudem zajął miejsce sufitu.

Leżał przez jakiś czas bez ruchu - czekał, aż minie szok, próbował określić swe położenie i zastanawiał się mętnie, coż to za kataklizm zniszczył wszystko dokoła. Wreszcie, spod chylącej się nad nim grodzi, omiół wzrokiem wnętrze kajuty i zniszczony sprzęt elektroniczny, który wyglądał niczym bebechy wypatroszonego robota, a kiedy poczuł swąd dymu, ogarnęła go panika; poczuł się jak dziecko, które w tłumie zgubiło rodziców.

Przez wyrwany sufit zerknął w stronę mostka i kabiny mapowej, ale tam wszystko było zmiażdżone. Postrzępione ściany sterówki znaczyły jedynie miejsce, gdzie zginęli pełniący



wachtę ludzie, których krew zaczynała powoli ściekać do położonych niżej pomieszczeń.

Knox obrócił się na bok i jęknął, odczuwając ból trzech złamanych żeber, skręconej w kostce stopy i licznych ran na całym ciele. Ostrożnie dźwignął się do pozycji siedzącej, uniósł rękę i poprawił okulary na nosie, zaskoczony, że pośród totalnego zniszczenia zostały nie naruszone.

Kiedy przed oczami przestały mu wirować ciemne plamy, pomyślał o “Starej Gerdzie”. W wyobraźni ujrzał batyskaf uszkodzony i odcięty od świata w mroku oceanicznej głębin.

Popęłznął na czworakach po pokładzie, próbując zapomnieć o bólu, aż dotarł do pulpitu i sięgnął po słuchawkę telefonu podwodnego.

- “Gerda” - wrzasnął w panice. - Czy mnie słyszycie?

Czekał kilka sekund, ale odpowiedź nie nadeszła. Zaklął pod nosem.

- Niech cię cholera, Plunkett! Odezwij się, łobuzie!

Znów odpowiedziała mu cisza, wszelka łączność między “Niezwycięzonym” a batyskafem została zerwana. Urzeczywistniały się jego najgorsze przeczucia. Owa siła, która zniszczyła statek, musiała tak samo oddziaływać pod wodą i widocznie zmiażdżyła “Starą Gerdę”, przebywającą w środowisku tak podatnym na zmiany ciśnienia.

- Martwi - szepnął Knox. - Zgnieceni na miazgę.

Dopiero teraz pomyślał o załodze statku i krzyknął głośno. Pośród zgrzytów blach tonącego okrętu rozległy się niewyraźne jęki. Odwrócił głowę ku drzwiom i ujrzał przed wejściem pięć nieruchomych ciał, rozrzuconych niczym zużyte manekiny.

Siedział, pogrążony w rozpacz, nie mogąc pojąć tego, co się stało. Jak przez mgłę odebrał konwulsyjne drgania “Niezwycięzonego” - statek obracał się i przechylał, jakby pochwycony gigantycznym wirem. Świadomość tego, że okręt badawczy w każdej chwili może zapaść się w otchłań, podziałała na niego jak zimny prysznic.

Stwierdził, że musi przeżyć za wszelką cenę; zaczął się czołgać po odkształconych blachach, a wola przetrwania stłumiła ból w poranionym ciele. Przelazł przez wyrwę drzwi i na pokładzie dźwigowym rozejrzał się po resztkach zdewastowanych konstrukcji stalowych usłanych ciałami marynarzy. Przeżalenie, które zastąpiło pierwszy szok, zaczęło w nim narastać niczym wielki, napełniany powietrzem balon.

Sięgnął do powyginanego relingu, dźwignął się w górę i nie patrząc za siebie skoczył do morza. W odległości kilku metrów dostrzegł na falach szczątki drewnianej skrzyni. Podpłynął do nich, objął deski ramieniem i podciągnął się nieco. Dopiero teraz spojrzał na “Niezwycięzonego”.

Statek pogrążał się rufą, coraz wyżej unosząc nad powierzchnię Pacyfiku smukły dziób.

Na jakiś czas zawisł ukośnie, jakby chciał pożeglować ku chmurom, lecz po minucie zaczął szybko tonąć i wkrótce zniknął pod wodą. Zostało po nim tylko trochę pływających rzeczy i gejzer spienionej wody, który po następnej minucie przerodził się w pojedyncze bańki powietrza, mieniające się tęczowo od rozlanej ropy.

Knox zaczął wypatrywać na falach innych rozbitków z “Niewyciężonego”. Kiedy umilkło bulgotanie tonącego statku, zapanowała niczym nie zmacona cisza. Nie dostrzegł nigdzie ani szalupy, ani głowy pływającego człowieka.

Tylko on uszedł z życiem z katastrofy, dla której nie umiał znaleźć żadnego wyjaśnienia.

Pod powierzchnią wody fala uderzeniowa pomknęła jak rozszerzająca się półkula z szybkością 6500 kilometrów na godzinę, niszcząc wszelkie życie na swej drodze. "Starą Gerdę" od natychmiastowego zmiążdżenia ocaliła wysoka krawędź uskoku, która wznosząc się niemal pionową ścianą nad batyskafem osłoniła go przed głównym uderzeniem.

Mimo to łódź pokoziołkowała nad dnem niczym piłeczka wprawiona w ruch przez turbulencję. Kula zawierająca akumulatory oraz silniki napędowe uderzyła w skaliste buły, pękła i została wgnieciona do środka przez straszliwe ciśnienie. Na szczęście wytrzymały śluzy rozmieszczone po obu krańcach rury łącznikowej, w przeciwnym razie woda wdarłaby się do kajuty załogowej, zmieniając ludzi w krwawą miazgę.

Huk eksplozji w głośniku podwodnego telefonu przypominał trzask gromu, a dudnienie wywołane przejściem fali uderzeniowej rozbrzmiało jak odgłos ekspresu przejeżdżającego przez tunel. Gdy wreszcie zapanowała cisza, po chwili wypełnił ją zgrzyt metalu i głośny bulgot powietrza uchodzącego ze zniszczonych, tonących statków, których szczątki spoczęły na dnie w chmurach uniesionego mułu.

- Co to było? - krzyknęła Stacy, kurczowo trzymając się fotelika, aby nie wylądować na podłodze.

Salazar, który czy to z przerażenia, czy też z bezprzykładnego oddania nauce nie odrywał oczu od instrumentów, odparł:

- To nie trzęsienie ziemi. Wszystko wskazuje na silne wzburzenie powierzchni morza.

Po złamaniu się trzech wsporników Plunkett utracił wszelką kontrolę nad "Starą Gerdą". Mógł tylko siedzieć i bezradnie patrzeć, jak prąd wlecze batyskaf przez pole usiane bułami manganowymi. Odruchowo krzyknął do mikrofonu, pomijając jakiegokolwiek formalne sygnały łączności:

- Jimmy, znaleźliśmy się w silnej turbulencji! Straciliśmy wszystkie wsporniki! Czekam na wiadomość.

Ale Jimmy Knox, który w tejże chwili walczył o utrzymanie się na falach, nie mógł go usłyszeć.

Plunkett nadal próbował wywołać "Niewyciężonego", kiedy batyskaf zakończył wreszcie swój obłąkany taniec i zatrzymał się pod kątem czterdziestu stopni, zahaczywszy o piasek kulą mieszczącą sprzęt elektryczny i butle sprężonego powietrza.

- To koniec - mruknął Salazar, do tego stopnia skołowany i wstrząśnięty, że chyba sam nie wiedział, co chce przez to powiedzieć.

- Co ty pieprzysz?! - warknął Craig. - Wciąż jeszcze możemy zrzucić cały balast i

wynurzyć się na powierzchnię.

W tej samej chwili pojął jednak, że odczepienie wszystkich żelaznych sztab może nie wystarczyć do zrównoważenia dodatkowej masy wody oraz mułu, które wypełniły strzaskaną kulę. Szybko sięgnął do przełączników i spod brzucha łodzi opadł ważący kilkaset kilogramów balast.

Przez kilka sekund nic się nie działo, w końcu "Stara Gerda" oderwała się od dna i powolutku, centymetr po centymetrze, zaczęła się unosić, jak gdyby napędzana wyłącznie oddechami i biciem serc trojga ludzi zamkniętych w centralnej kuli.

Po upływie pół minuty, która wszystkim zdawała się co najmniej godziną,

Plunkett oznajmił:

- Unieśliśmy się na trzy metry.

Kiedy batyskaf zakołysał się z wolna i wyrównał do pionu, cała trójka jednocześnie odetchnęła z ulgą, a Craig znów podjął próbę nawiązania łączności ze statkiem.

- Jimmy, tu Plunkett. Odezwij się.

Stacy z takim napięciem wpatrywała się w odczyt głębokościomierza, że gotowa była wzrokiem skruszyć szybkę osłony.

- Szybciej... szybciej - szeptała.

Nagle stało się to, co mogło im się tylko przyśnić w najgorszym z możliwych koszmarów: kula ze sprzętem elektrycznym i butlami tlenowymi nieoczekiwanie implodowała. Musiała widocznie pęknąć podczas uderzenia o dno i teraz prysła jak bańka mydlana, zgnieciona przez olbrzymie ciśnienie wody.

- Jasna cholera! - parsknął Plunkett, gdy łódź opadła z powrotem i z głuchym hukiem osiadła na dnie.

Jakby tego było jeszcze mało, światła w kabinie zamrugały i po chwili zostawiły załogę na pastwę wiecznego mroku - owej przerażającej, absolutnej czerni, którą znają wyłącznie ludzie całkowicie ślepi. Dla widzających nagła utrata orientacji jest tak silnym wstrząsem, jak gdyby bezbronny umysł został niespodziewanie wystawiony na żer wszystkich demonów.

W ciszy rozległ się chrapliwy głos Salazara.

- Matko najświętsza! Jesteśmy załatwieni na dobre.

- Jeszcze nie - odparł Plunkett. - Możemy dokonać wynurzenia awaryjnego, odczepiając kabinę od reszty batyskafu.

Sięgnął do pulpitu i wymacał odpowiedni przełącznik. Dał się słyszeć cichy trzask i światła awaryjne zalały kopułę mętным blaskiem.

Stacy ponownie odetchnęła z ulgą i wyraźnie się odprężyła.

- Dzięki Bogu, że możemy przynajmniej coś widzieć.

Plunkett zaprogramował komputer na wynurzenie ratunkowe, położył dłoń na dźwigni i odwrócił się do Salazara oraz Stacy.

- Trzymajcie się. To może być dosyć karkołomna podróż.

- Do cholery, przystanę na wszystko, byle tylko wynieść się stąd jak najszybciej - warknął Meksykanin.

- Jesteśmy gotowi - rzuciła dziewczyna.

Craig zerwał plombę z dźwigni, zacisnął palce na uchwycie i szarpnął.

Nic się nie stało.

Trzy razy powtarzał tę samą czynność, lecz główna kula z uporem nie chciała się odczepić od pozostałej części batyskafu. W panice uderzył w kilka klawiszy komputera, chcąc odnaleźć przyczynę awarii. Odpowiedź pojawiła się na ekranie w ułamku sekundy.

Mechanizm zaczepu został wygięty i zakleszczony podczas uderzenia pod kątem w dno, nie było sposobu, aby go naprawić.

- Przykro mi - rzekł zrezygnowany Plunkett. - Wygląda na to, że musimy tu siedzieć i czekać na pomoc.

- O ile nadejdzie - parsknął Salazar i rękawem kurtki narciarskiej otarł pot spływający mu po twarzy.

- Ile mamy tlenu? - zapytała Stacy.

- Straciliśmy główne źródło, kiedy implodowała dolna kula - odparł Craig. - Ale butle awaryjne oraz wymiennik z wodorotlenkiem litu, który będzie pochłaniał dwutlenek węgla, powinny nam wystarczyć na jakieś dziesięć do dwunastu godzin.

Meksykanin pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- Żadna modlitwa w żadnej świątyni tego świata nie zdoła nam pomóc w tym czasie. Dostarczenie na miejsce drugiego batyskafu zabierze co najmniej trzy doby, a nawet w takim wypadku nie jestem pewien, czy udałoby się wydobyć nas na powierzchnię.

Stacy spojrzała w oczy Plunketta, chcąc znaleźć choćby najdrobniejszą iskierkę nadziei, ale nic w nich nie wyczytała: Craig patrzył gdzieś w dal, jakby w ogóle jej nie widział. Odniosła wrażenie, że o wiele bardziej przygnębia go utrata drogiego batyskafu niż perspektywa bliskiej śmierci. Po chwili, kiedy zauważył jej natarczywe spojrzenie, otrząsnął się szybko.

- Raul ma rację - rzekł. - Przyznaję to z żalem, ale tylko cud może nam pomóc zobaczyć jeszcze światło dzienne.

- Jest przecież "Niezwyciężony" - wtrąciła Stacy. - Poruszają niebo i ziemię, żeby nas wyciągnąć.

Plunkett zaprzeczył ruchem głowy.

- Na morzu wydarzyła się jakaś tragedia. Te zgrzyty, które słyszeliśmy, były odgłosami statku opadającego na dno.

- Kiedy wyruszaliśmy, w zasięgu wzroku znajdowały się dwa inne statki. Może zatonął któryś z nich?

- Cóż to za różnica? - mruknął ociężale Plunkett. - I tak nie wydostaniemy się na powierzchnię, a naszym wrogiem jest czas, z którym nie umiemy walczyć.

W kuli zapanował nastrój przygnębienia. Wszelkie nadzieje na ratunek wydawały się złudą. Mogli jedynie liczyć na to, że kiedyś podjęta zostanie akcja wydobycia "Starej Gerdy", ale oni od dawna będą już martwi.

Dale Nichols, specjalny doradca prezydenta, wypuścił kłęb dymu z fajki i zerknął zza staromodnych okularów do czytającego na wchodzącego do gabinetu Raymonda Jordana.

Tamten uśmiechnął się krzywo, gdyż chmura mdlącego, słodkiego dymu, która wisiała w pokoju, przypominała mu smog spychany deszczem na miasto.

- Dobry wieczór, Dale.
- Ciągłe pada? - zapytał Nichols.
- Przeszło w mżawkę.

Jordan zauważył, że Nicholisa coś trapi. Ten, który miał "pilnować, żeby prezydent nie tracił poczucia rzeczywistości", i który zawsze tak doskonale panował nad sobą, miał wściekłe spojrzenia, jego ciemnoblond włosy wyglądały jak łan kukurydzy po przejściu orkanu, a ściągniętą twarz znaczyły tak głębokie bruzdy zatroskania, jakich Raymond do tej pory nie widział.

- Prezydent i wiceprezydent czekają na informacje o tym wybuchu na Pacyfiku - rzekł szybko Nichols.

- Otrzymałem właśnie ostatni meldunek - odparł Jordan.

Raymond, który zaliczał się do piątki najbardziej wpływowych ludzi w Waszyngtonie, nie był znany szerokiej opinii publicznej, a i większość urzędników oraz polityków nie znała go zbyt dobrze. Jako dyrektor centrali wywiadowczej i szef krajowych służb bezpieczeństwa podlegał bezpośrednio prezydentowi.

Swe życie poświęcił bez reszty zamkniętemu kręgowi szpiegów i wywiadowców, a niewiele osób spoza wąskiego grona współpracowników zdawało sobie sprawę, ilu nieszczęść i tragedii jego agencji oszczędzili Amerykanom.

Nie wyglądał na człowieka odznaczającego się błyskotliwym intelektem, mającego fotograficzną pamięć i władającego siedmioma językami, był podobny do swych szeregowych agentów działających w terenie. Średniego wzrostu, dobrze zbudowany pięćdziesięciolatek o niezbyt wystającym brzuchu, gęstych, srebrzystosiwych włosach i łagodnych jasnobrązowych oczach, stanowił niemal wzór męża, wiernego trzydziestosiedmioletniej żonie, i ojca dwóch bliźniaczek studiujących biologię morską.

Prezydent i wiceprezydent zajęci byli cichą rozmową, kiedy Nichols wprowadził Jordana do Gabinetu Ovalnego. Obaj równocześnie zwrócili ku niemu spojrzenia i ten spostrzegł, że są nie mniej zatroskani niż doradca specjalny.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Ray - rzekł prezydent tubalnym głosem, nerwowym ruchem wskazując mu miejsce na zielonej sofie pod portretem Andrew Jacksona. - Usiądź,

proszę, i powiedz nam, co się tam, do cholery, dzieje na Pacyfiku.

Jordana zawsze śmieszyło chorobliwe napięcie, które ogarniało wszystkich polityków w obliczu nieuchronnego kryzysu. Żaden z wybieranych urzędników nie odznaczał się taką powściągliwością i spokojem zawodowca, jak szef centrali wywiadowczej. Być może żaden z nich nie mógł się pogodzić z faktem, że Jordan i jego przeciwnicy z obcych wywiadów, władając tak wielką potęgą, mogą odgrywać pierwszoplanową rolę w sterowaniu wydarzeniami na świecie.

Skinął głową prezydentowi, który nie spuszczał z niego oka, i usiadł. Spokojnie, co z pewnością pozostali trzej uznali za denerwującą powolność, położył swą obszerną skórzaną aktówkę na podłodze i otworzył ją, po czym wyjął teczkę z dokumentami.

- Czy zaistniała "sytuacja"? - zapytał niecierpliwie prezydent, posługując się hasłem oznaczającym duże zagrożenie dla ludności cywilnej, takie jak atak nuklearny.

- Tak, panie prezydencie. Niestety tak.

- Jakiego typu?

Dla wywołania większego wrażenia Jordan przez chwilę spoglądał na dokumenty, choć miał już w pamięci najważniejsze dane z trzydziestostronicowego raportu.

- Dokładnie o jedenastej pięćdziesiąt cztery na pomocnym Pacyfiku, około dziewięćset kilometrów na pomocny wschód od archipelagu Midway, miała miejsce eksplozja o wielkiej mocy. Jeden z naszych satelitów szpiegowskich typu pyramider sfilmował błysk i zaburzenia atmosferyczne oraz zarejestrował parametry fali uderzeniowej przekazane z tajnej boi hydrofonowej. Wszystkie dane trafiły bezpośrednio do Krajowej Agencji Bezpieczeństwa, gdzie poddano je analizie. Skorelowano je z zapisami sieci sejsmograficznej, należącej do systemu NORAD, a całość informacji opracowali technicy CIA w Langley.

- Jakie wnioski? - wtrącił prezydent.

- Nie ma wątpliwości, że była to eksplozja nuklearna - odparł spokojnie. - Żaden inny ładunek nie wywołałby takiego efektu.

Z wyjątkiem Jordana, który sprawiał wrażenie, jakby oglądał w telewizji kolejny odcinek tasiemcowego serialu, pozostali mężczyźni obecni w Gabinetce Ovalnym zasepili się wyraźnie, co miało chyba świadczyć, że sprawdziły się ich najgorsze przeczucia.

- Czy ogłoszono alarm DEFCON? - zapytał prezydent, pośrednio chcąc się dowiedzieć o wielkości skażenia radioaktywnego.

Jordan skinął głową.

- Skorzystałem z przysługujących mi uprawnień i zarządziłem alarm DEFCON trzeciego stopnia z przygotowaniem do drugiego stopnia w zależności od reakcji Rosjan.



Nichols popatrzył na niego.

- Czy eskadry wystartowały?

- Nie. Dwadzieścia minut temu z bazy Edwards wystartował tylko jeden samolot zwiadowczy typu Casper SR Dziewięćdziesiąt z zadaniem przeprowadzenia dodatkowych pomiarów.

- Czy to pewne, że fala uderzeniowa była efektem wybuchu jądrowego? - zapytał wiceprezydent, który niedawno przekroczył czterdziestkę i zaledwie po sześciu latach działalności w Kongresie został powołany na drugie pod względem ważności stanowisko w państwie. Jako typowy polityk nie orientował się w sprawach zahaczających o pracę wywiadu.

- Może było to podwodne trzęsienie ziemi albo wybuch wulkanu?

Jordan pokręcił głową.

- Na sejsmogramach widnieje jeden ostry pik, który może być tylko efektem wybuchu jądrowego. Zapis trzęsienia ziemi zawiera wiele pików o stopniowo malejącej amplitudzie. Komputerowa analiza danych potwierdza tę opinię. Pomiar radiacji atmosfery w próbkach pobranych przez zwiad lotniczy umożliwią nam określenie mocy ładunku w kilotonach.

- A dane szacunkowe?

- Bez dokładnych analiz specjaliści twierdzą jedynie, że ładunek miał wielkość od dziesięciu do dwudziestu kiloton.

- Wystarczający, żeby zrównać z ziemią Chicago - mruknął Nichols.

- Czy... - prezydent zawahał się, jakby miał obawy przed sformułowaniem kolejnego pytania. - Czy mogła to być eksplozja którejś z naszych atomowych łodzi podwodnych?

- Dowództwo Operacyjne Marynarki zapewniło mnie, że w promieniu pięciuset kilometrów od miejsca wybuchu nie było żadnego naszego okrętu.

- A może rosyjski?

- Też nie - odparł Jordan. - Kontaktowałem się z moim odpowiednikiem z Moskwy, Nikołajem Gołanowem, który przysiągł, że nawiązywali łączność ze wszystkimi swoimi okrętami atomowymi w tym rejonie, zarówno nawodnymi, jak i podwodnymi. Oczywiście to nas obwiniają za tę eksplozję. Mam więc stuprocentową pewność, że to nie był wybuch rosyjskiego okrętu.

- Gołanow? Nic mi nie mówi to nazwisko - stwierdził wiceprezydent. - Czy to ktoś z KGB?

- Gołanow odpowiada w rządzie za bezpieczeństwo - wyjaśnił spokojnie Jordan.

- Możliwe, że kłamie - rzekł Nichols.

Raymond posłał mu ostre spojrzenie.

-Znamy się z Nikołajem od dwudziestu sześciu lat. Możemy prowadzić różne rozgrywki, ale nigdy byśmy się nawzajem nie okłamali.

- Jeśli to nie my ponosimy odpowiedzialność za ten wybuch i nie Rosjanie, to kto? - zapytał dziwnie miękkim głosem prezydent.

- Co najmniej dziesięć innych państw dysponuje bronią atomową - odparł Nichols - i któreś z nich mogło dokonać próbnej eksplozji.

- Mało prawdopodobne - wtrącił Jordan. - Przygotowania do próbnego wybuchu trudno byłoby zachować w tajemnicy przed służbami wywiadowczymi zarówno państw zachodnich, jak i wschodnich. Sądzę, że byliśmy świadkami wypadku, eksplozji jakiegoś reaktora, mającego niewiele wspólnego z bronią.

Prezydent zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

- Czy wiadomo, jakie statki znajdowały się w pobliżu epicentrum?

- Nie mamy jeszcze wszystkich danych, ale wiadomo o trzech jednostkach, które ucierpiały wskutek eksplozji: norweskim liniowcu pasażersko-kontenerowym, japońskim towarowcu do przewozu aut oraz brytyjskim statku oceanograficznym prowadzącym badania głębinowe.

- To znaczy, że powinni być rozbitkowie.

- Zdjęcia satelitarne zrobione przed i po wybuchu wykazują, że wszystkie te statki zniknęły i poszły na dno, bądź to natychmiast, bądź krótko po eksplozji. Bardzo wątpliwe, czy ktoś się uratował. Jeżeli jacyś ludzie przetrwali falę uderzeniową i wysoką temperaturę, to szybko zginęli wskutek silnego napromieniowania.

- Przypuszczam, że jednak podjęto jakąś akcję ratunkową - rzekł wiceprezydent.

- Na miejsce katastrofy wyruszyły okręty z wysp Guam oraz Midway.

Prezydent wciąż wbijał wzrok w dywan, jakby chciał z niego coś odczytać.

- Nie wierzę, aby Brytyjczycy przygotowali próbny wybuch w tajemnicy przed nami. Ich premier nigdy by nie zezwolił na coś podobnego.

- To samo dotyczy Norwegów - dodał szybko jego zastępca.

Prezydent zamyślił się na chwilę.

- A także Japończyków - rzekł. - Nic nie wskazywało na to, by prowadzili prace nad bombą atomową.

- Mógł to być skradziony ładunek, który w tajemnicy przewożono statkiem bez wiedzy Norwegów czy Japończyków - wtrącił Nichols.

Jordan wzruszył ramionami.

- Mało prawdopodobne. Gotów jestem się założyć o miesięczną pensję, że nawet

szczegółowe dochodzenie nie nasunęłoby żadnych podejrzeń, iż kradziony ładunek był przewożony do portu docelowego któregoś z tych statków.

- A dokąd one płynęły?

- I jeden, i drugi do portów Kalifornii.

Trzej mężczyźni spojrzeli na Jordana, pojmując, jak mało realistyczne były owe spekulacje.

- "Niebiańska Gwiazda" płynęła z Kobe do Los Angeles z ponad siedmioma tysiącami samochodów marki Murmoto na pokładzie - kontynuował. - "Narvik" wiozł z Pusanu do San Francisco stu trzydziestu pasażerów oraz ładunek koreańskiej drobnicy: buty, komputery i sprzęt gospodarstwa domowego.

- Ten ładunek jeszcze by pogorszył nasz ujemny bilans handlowy z Koreą - zauważył ponurym tonem prezydent.

- Wielki Boże! - mruknął wiceprezydent, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Przeraza mnie myśl, że obcy statek mógł szmuglować broń jądrową do Stanów Zjednoczonych.

- Co proponujesz, Ray? - zapytał prezydent.

- Natychmiast powinniśmy wysłać grupy zwiadowcze, najlepiej nurków z marynarki wojennej, żeby odnalazły zatopione statki i zbadały, który z nich przewoził bombę atomową.

Prezydent spojrział znacząco na Nicholisa, po czym rzekł:

- Sądzę, że zespół specjalistów z NUMA, Krajowej Agencji Badań Podwodnych i Morskich, którym kieruje admirał Sandecker, jest lepiej przygotowany do prac na dużych głębokościach. Na pewno sam się z nim dogadasz, Ray.

- Jeśli wolno mi wyrazić swą opinię, panie prezydencie, to wykorzystując jedynie nurków z marynarki wojennej łatwiej byłoby zachować tę akcję w tajemnicy.

Prezydent spojrział Jordanowi prosto w oczy.

- Rozumiem twoje obawy, ale możesz mi zaufać; ludzie z NUMA potrafią trzymać język za zębami.

Jordan podniósł się z sofy, uznając, że zdanie prezydenta musi się opierać na faktach, których on nie zna. Zanotował w pamięci, że powinien dokładniej zbadać charakter tej agencji naukowej.

- Jeśli Dale powiadomi zaraz admirała, udam się bezpośrednio do jego biura.

Prezydent wyciągnął rękę na pożegnanie.

- Dziękuję, Ray. Ty i twoi ludzie odwaliliście kawał dobrej roboty w tak krótkim czasie.

Nichols, który wyszedł za nim z Gabinetu Ovalnego, by razem pojechać do siedziby NUMA, zapytał cicho, kiedy tylko znaleźli się na korytarzu:

- A tak mówiąc między nami, kto według ciebie mógł szmuglować tę bombę?

Jordan zamyślił się na chwilę, po czym odparł normalnym, spokojnym tonem:

- Odpowiedź na to pytanie poznamy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale dla mnie znacznie ważniejszym pytaniem jest: po co i dla kogo przemycano tę bombę. Aż boję się dociekać tej prawdy.

We wnętrzu kuli robiło się coraz bardziej duszno i wilgotno, po ściankach spływała skroplona para z oddechów, a poziom dwutlenku węgla zbliżał się do krytycznej granicy. Ludzie trwali w bezruchu i nawet rzadko się odzywali, żeby oszczędzać tlen. Po upływie jedenastu i pół godziny awaryjne butle były prawie puste, a niemal kompletnie wyczerpane baterie nie wystarczały już do zasilania pochłaniacza dwutlenku węgla.

Strach i przerażenie stopniowo przerodziły się w rezygnację. Z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy Plunkett co kwadrans włączał oświetlenie, aby odczytać wskazania przyrządów pomiarowych, siedzieli w całkowitych ciemnościach, zdani na pastwę własnych myśli.

Craig nie tylko odczytywał wskazania mierników, lecz co jakiś czas ponawiał próby uruchomienia mechanizmów batyskafu, jakby nie mógł pogodzić się z myślą, że rewelacyjna "Stara Gerda" odmówiła mu posłuszeństwa. Salazar trwał bez ruchu w foteliku niczym posąg. Sprawiał wrażenie półprzytomnego lub pogrążonego we śnie. Faktycznie był na krawędzi wytrzymałości - nie widząc sposobu ucieczki przed nieuchronnym, chciał umrzeć i skończyć to raz na zawsze.

Stacy wspominała dzieciństwo, zdawało jej się, że przebywa zupełnie gdzie indziej. Przeszłość wracała w jej myślach szeregiem sugestywnych wizji - to z braćmi grała na ulicy w baseball, to jeździła nowym rowerem, który dostała na gwiazdkę, to znów szła na swą pierwszą zabawę w szkole średniej z jedynym chłopakiem mającym odwagę ją zaprosić, choć wcale jej się nie podobał. Niemal w rzeczywistości słyszała muzykę rozbrzmiewającą w hotelowej sali balowej i choć nie pamiętała nazwy zespołu, utkwiała jej w pamięci tamta ulubiona melodia: "Chyba nie uda nam się po raz drugi" Sealsa i Croftsa. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że tańczy przy dźwiękach tej piosenki z samym Robertem Redfordem.

Odchyliła głowę do tyłu, jakby wsłuchiwała się w muzykę, ale coś jej nie pasowało. Piosenka, która rozbrzmiewała w jej myślach, nie mogła pochodzić z połowy lat siedemdziesiątych - za bardzo przypominała rytmiczny jazz w starym stylu.

Ocknęła się i otworzyła oczy, choć otaczał ją nieprzenikniony mrok.

- Puścili niewłaściwą muzykę - mruknęła.

Plunkett włączył światło.

- Co mówiłaś?

Nawet Salazar spojrział na nią z ukosa i warknął:

- Ma halucynacje.

- Powinni grać "Chyba nie uda nam się po raz drugi", tak jak wtedy, ale słyszę coś zupełnie innego.

Craig popatrzył na nią wzrokiem pełnym współczucia.

- Tak, ja też to słyszę.

- Nie możesz tego słyszeć. Przecież to zupełnie inna melodia.

- Niech ci będzie - mruknął Salazar, z trudem łapiąc powietrze. Czuł coraz silniejszy ból w piersiach, którym brakowało tlenu w zatęchłym powietrzu. Chwycił Plunketta za rękę. - Na miłość boską, człowieku! Wyłącz pochłaniacz i skończmy z tym. Nie widzisz, że ona majaczy? Wszystkich nas to czeka.

Craig także odczuwał ból w piersi. Dobrze wiedział, że przedłużanie cierpień nie ma sensu, ale brakowało mu sił, by pokonać instynktowną chęć przetrwania aż do ostatniego tchu.

- Wyjdziemy z tego - rzekł ochryplym głosem. - Może na pokład "Niezwycięzonego" dostarczono helikopterem inny batyskaf?

Salazar gapił się na niego szklistymi oczyma, jakby za wszelką cenę próbował odzyskać umierające poczucie rzeczywistości.

- Oszalałeś. W promieniu siedmiu tysięcy kilometrów nie ma innego batyskafu, a gdyby nawet "Niezwycięzony" jeszcze pływał po morzu i dostarczono helikopterem drugą łódź, potrzebowaliby co najmniej ośmiu godzin na zejście na dno.

- Nie będę się z tobą spierał. Nikt z nas nie ma ochoty zostać na wieki w tym grobowcu na dnie oceanu. Nie mogę jednak porzucić nadziei.

- To szaleństwo - odparł Salazar. Wychylił się do przodu w foteliku i zaczął rytmicznie kręcić głową, jakby chciał w ten sposób pokonać ból. Wyglądał tak, jak gdyby z każdą minutą przybywał mu rok życia.

- Nie słyszycie tego? - zapytała znów Stacy niskim, zachrypniętym głosem. - Są coraz bliżej.

- Ona też oszalała! - warknął Meksykanin.

Plunkett złapał go za rękę.

- Cicho! Ja także słyszę. Coś tam jest na zewnątrz!

Salazar zamilkł, nie miał ochoty znów przytaczać logicznych argumentów. Skupił się na walce z przenikliwym bólem, który coraz mocniej przeszywał jak gdyby ścisną w obręcz klatkę piersiową. Chęć zaczerpnięcia głębokiego oddechu stłumiła wszelkie myśli poza jedną - pragnieniem jak najszybszej śmierci.

Stacy i Plunkett wbijali oczy w ciemności na zewnątrz kuli. W mętym blasku padającym ze środka kabiny pojawiło się jakieś niezwykle stworzenie z długim, szczurzym ogonem. Nie miało oczu, ale okrążyło kulę zachowując precyzyjnie dystans dwóch

centymetrów od jej ścian, aż w końcu zniknęło z pola widzenia.

Wodę w głębinach przeniknęło jakieś drżenie i wkrótce w oddali zamajaczyło coś olbrzymiego. Z ciemności stopniowo wypłynęła dziwna, błękitnawa poświata, której towarzyszyły dźwięki piosenki, lecz jej słowa tłumiała gruba warstwa wody.

Stacy sprawiała wrażenie zauroczonej, natomiast Plunkett poczuł, jak włosy stają mu dęba. Pomyślał, że zbliża się do nich jakiś niesamowity, przerażający potwór będący wytworem niedotlenionego mózgu. Miał pełną świadomość, że coś podobnego w rzeczywistości nie może istnieć. Jego wyobraźnia podsuwała mu obraz istoty z innego świata. Spięty i przerażony czekał, aż stwór podpełźnie bliżej, mając zamiar wykorzystać resztki energii z baterii awaryjnych do zapalenia reflektorów na zewnątrz. Szykował się na to, że bez względu na rodzaj potwora będzie to ostatni widok, jaki ujrzą jego oczy.

Stacy zbliżyła się do ściany kuli, niemal przyciskając nos do plastikowej szyby. Przybierające na sile głosy rozbrzmiewały echem w jej głowie.

- Mówiłam wam - oznajmiła pełnym napięcia szeptem. Mówiłam, że słyszę piosenkę. Posłuchajcie.

Plunkett zaczął stopniowo rozróżniać napływające z oddali, niezbyt jeszcze wyraźne słowa. Stwierdził, że chyba postradał zmysły. Usiłował sobie wmówić, że brak tlenu wywołuje omamy, zarówno wzrokowe, jak i słuchowe, ale błękitnawe światło wyraźnie jaśniało i wkrótce rozpoznał piosenkę:

*Ach, jakież cudowne chwile z matką Syrenką spędziłem*

*Tam na dnie, w podmorskich głębinach.*

*Uleciały precz kłopoty tak jak piana słonej wody,*

*Gdyż wspaniale razem nam było.*

Craig włączył zewnętrzne reflektory i oniemiał. Był wycieńczony, zmęczony jak pies i znajdował się u kresu wytrzymałości. Toteż teraz, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, nie dopuszczając do siebie myśli, że naprawdę coś wynurzyło się z oceanicznego mroku, opadł zemdłony na fotelik.

Zdumiona Stacy przetarła palcami oczy, ale to coś za oknem kuli nie zniknęło. Olbrzymia maszyna poruszała się na wielkim ciągniku gaśnicowym, a spod jej brzucha wystawały dwa długie, przegubowe wysięgniki zakończone manipulatorami. Pojazd zatrzymał się w kręgu światła padającego ze "Starej Gerdy".

W przezroczystej kabinie tego dziwnego urządzenia, nie dalej jak dwa metry od ściany kuli, dało się zauważyć nieco zamazaną sylwetkę człowieka. Stacy zacisnęła mocno powieki i po chwili znów otworzyła oczy. Niewyraźna, jakby widmowa postać wyostrzyła się i nabrała

cech realności - człowiek miał na sobie turkusowy skafander pletwonurka, z przodu do połowy rozpięty i odsłaniający skołtunione czarne włosy na piersi, a na głowie wielką, potarganą czuprynę. Spaloną słońcem twarz, z drobnymi zmarszczkami w kącikach nieprawdopodobnie zielonych oczu, rozjaśniał delikatny uśmiech błędzący na wargach.

Mężczyzna spoglądał na nią z zainteresowaniem. Po chwili sięgnął w dół, podniósł notatnik, napisał coś, a następnie oderwał kartkę i przyłożył ją płasko do szyby swej kabiny.

Stacy wyteżyła wzrok i przeczytała: "Witajcie na Morskim Poletku. Jeśli wytrzymacie jeszcze trochę, zaraz podłączymy wam tlen".

Czyżby tak wyglądała śmierć? - przemknęło Stacy przez myśl. Czytała o przeżyciach ludzi, którzy wędrowali dziwnym tunelem w stronę jaskrawego światła, gdzie mogli się spotkać z dawno zmarłymi krewnymi i znajomymi. Ale ten człowiek był dla niej kimś obcym. Skąd mógł się tutaj wziąć?

Zanim jednak znalazła odpowiedź na to pytanie, jakieś wrota w jej umyśle zatrzasnęły się z hukiem i Stacy zapadła w nieświadomość.



Dirk Pitt stał na środku przestronnej, kopulaste sklepionej sali i z rękoma wciśniętymi w kieszenie skafandra patrzył na "Starą Gerdę". Omiatał spojrzeniem swych turkusowych oczu zniszczony batyskaf, który spoczywał na gładkiej czarnej skale wulkanicznej niczym zepsuta i wyrzucona zabawka. Wreszcie powoli precyzyjnie przesunął się przez śluzę, usiadł w fotelu pilota i ogarnął wzrokiem wskazania mierników umieszczonych na konsoli.

Pitt był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o szerokich ramionach, trzymającym się prosto, może nawet zbyt prosto, ale w jego ruchach wyczuwało się jakąś kocią zwinność, jakby w każdej chwili gotów był do skoku. Z jego miny można było wyczytać, że jest człowiekiem nieustępliwym, choć nie brakowało mu przyjaciół, nawet w bardzo wysokich kręgach rządowych, którzy cenili go i podziwiali za oddanie oraz bystrość umysłu. Zawsze kierował się zdrowym rozsądkiem i życzliwością, co zjednywało mu względy wielu kobiet - ale choć lubił spędzać czas w ich towarzystwie, jego największą miłością było morze.

Jako szef działu projektów specjalnych NUMA spędzał niemal tyle samo czasu na wodzie, czy też w jej głębinach, co na lądzie. Pasjonowało go przede wszystkim nurkowanie, ale rzadko przekraczał próg sali treningowej. Palenie rzucił przed wieloma laty, ściśle przestrzegał diety, a i pił z umiarem. Zawsze miał coś do roboty, wiecznie zajęty przemierzał po dziesięć kilometrów dziennie, załatwiając różne sprawy. Poza pracą zawodową jego największą pasją było penetrowanie zatopionych okrętów.

Na zewnątrz batyskafu rozległo się echo szybkich kroków - ktoś zbliżał się w pośpiechu po skalistym podłożu, identycznym jak gładkie ściany i sklepienie pieczary. Pitt obrócił się na foteliku i ujrzał w wejściu swego starego przyjaciela i współpracownika z Agencji, Ala Giordina.

Tamten miał również ciemne włosy, lecz w przeciwieństwie do falistej czupryny Pitta silnie poskręcane, gładką, młodzieńczą cerę i wąskie wargi ułożone niezmiennie w tajemniczym uśmiešku. Padające z zewnątrz jaskrawe światło lamp sodowych utworzyło żółtawą aureolę wokół jego głowy. Giordino był niższy, sięgał Pittowi zaledwie do ramienia, ale miał sylwetkę kulturysty, a olbrzymi tors przypominał wysunięty zderzak, tak że patrząc na idącego mężczyznę, odnosiło się wrażenie, iż bez zatrzymania przeszedłby przez każdą przeszkodę, którą by napotkał na swej drodze.

- I co o tym sądzisz? - zapytał.

- Brytyjczycy skonstruowali całkiem ładną zabawkę - odparł Pitt, kierując się w stronę śluzy.

Giordino popatrzył na zmiażdżone kule i pokręcił głową.

- Mieli szczęście. Jeszcze pięć minut dłużej i znaleźlibyśmy jedynie zwłoki.

- Jak oni się czują?

- Szybko odzyskują siły - odparł Al. - Siedzą w kuchni, rozprawiając się z naszymi zapasami żarcia, i nalegają, by jak najszybciej odstawić ich na pokład macierzystego statku.

- Czy ktoś im już powiedział, co się stało? - zapytał Pitt.

- Tak jak rozkazałeś, trzymamy ich z dala od pomieszczeń załogi, a każdy, kto się do nich zbliży na odległość splunięcia, udaje głuchoniemego, co doprowadza naszych gości do istnej furii. Daliby sobie wyciąć po lewej nerce, byle tylko dowiedzieć się, kim jesteśmy, skąd się tu wzięliśmy i jakim sposobem możemy swobodnie mieszkać na dnie oceanu.

Pitt spojrział po raz ostami na "Starą Gerdę", po czym ruchem ręki omiół gigantyczną pieczarę.

- Całe lata utrzymywania ścisłej tajemnicy w jednej chwili diabli wzięli - mruknął ze złością.

- Przecież to nie twoja wina.

- Lepiej było zostawić ich tam na śmierć, niż narażać cały nasz projekt.

- Do kogo ta mowa? - Giordino zaśmiał się. - Sam byłem świadkiem, jak podniosłeś z ulicy przejechanego psa, zawiozłeś go do weterynarza i nawet zapłaciłeś rachunek, chociaż to nie ty go potrafiłeś. Masz miękkie serduszko, przyjacielu. Poświęciłbyś wszystkie tajne projekty, byle tylko ratować ludzi, choćby chorowali na wściekliznę, trąd i czarną ospę jednocześnie.

- Znasz mnie aż tak dobrze?

Al popatrzył na niego z ukosa.

- Nie zapominaj, że to ja podbiłem ci oko w przedszkolu, za co w rewanżu rozkwaśliłem mi nos kijem od baseballa. Znam cię lepiej niż rodzona matka. Może i grasz wśród ludzi rolę twardego łajdaka, ale pod wodą jesteś najłagodniejszym ze stworzeń.

Pitt popatrzył na Giordina.

- Sam jednak rozumiesz, że zabawa w siostry miłosierdzia przysporzy nam mnóstwo kłopotów z admirałem Sandeckerem i Departamentem Obrony.

- To się samo przez się rozumie. A jeśli już o wilku mowa, dział łączności odebrał szyfrowaną wiadomość. Admirał leci do nas z Waszyngtonu, ma być na miejscu za dwie godziny. Można by rzec, że zapowiedział się z wizytą. Polecilem, by przygotować batyskaf i zabrać go z powierzchni.

- Co mu odbiło? - mruknął Dirk.

- Gotów jestem się założyć, że ta wizyta ma coś wspólnego z owym niezwykłym

wstrząsem.

Pitt pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Zatem nie mamy nic do stracenia, odkrywając karty przed naszymi gośćmi.

- Zupełnie nic - przyznał Al. - Kiedy admirał dowiedział się o ich obecności, każe ich trzymać pod strażą aż do czasu zakończenia naszych prac.

Pitt ruszył w stronę kolistego wyjścia z pieczary, Giordino poszedł razem z nim. Sześćdziesiąt lat wcześniej podobna półkolistą konstrukcja mogłaby się narodzić w pracowni architekta jako futurystyczny projekt hangaru, ale ta budowla nie miała chronić żadnego samolotu przed deszczem, śniegiem lub palącym słońcem. Wielka kopuła z plastiku wzmocnionego włóknem węglowym i ceramiką stanowiła bazę urządzeń głębinowych, umieszczoną 5400 metrów pod powierzchnią oceanu. Obok "Starej Gerdy" na gładkim podłożu skalnym stał olbrzymi pojazd gaśnicowy, kształtem przypominający obłe cygaro na podwoziu. Dwa spoczywające obok siebie batyskafy wyglądały jak potężne atomowe okręty podwodne, z których usunięto całą część środkową, łącząc tylko dziób i rufę. Kręciło się przy nich kilku mężczyzn i jedna kobieta.

Pitt przeszedł wąskim cylindrycznym korytarzem podobnym do rury ściekowej i minął dwie mniejsze, również kopulaste sklezione komory. W całej tej budowli nie było żadnych ostrych krawędzi, wszystkie ściany zostały zaokrąglone, by konstrukcja mogła wytrzymać olbrzymie ciśnienie otaczających mas wody.

Weszli w końcu do urządzonej po spartańsku jadalni z długim stołem i rozmieszczonymi dokoła niego aluminiowymi krzesłkami, w której kącik do przyrządzania potraw nie był większy od kuchenki w wagonie sypialnym ekspresu. Przy drzwiach stali dwaj pracownicy NUMA, nie spuszczać oczu z nieproszonych gości.

Plunkett, Salazar i Stacy, którzy siedzieli przy końcu stołu i rozmawiali półgłosem, zamilkli nagle i spojrzeli podejrzliwie na dwóch wchodzących mężczyzn.

Pitt, chcąc rozmawiać z nimi jak równy z równym, rozsiadł się na sąsiednim krzeselku i powiódł wzrokiem po twarzach całej trójki niczym inspektor policji przesłuchujący grupę podejrzanych.

- Witajcie - rzekł po chwili. - Nazywam się Dirk Pitt i kieruję tym kompleksem, który przypadkiem odkryliście.

- Dzięki Bogu! - ryknął Plunkett. - Wreszcie ktoś chce z nami porozmawiać.

- W dodatku po angielsku - dodał Salazar.

- Pan Albert Giordino - Pitt wskazał kolegę - jest tu szefem odpowiedzialnym za wszystko. Na pewno z przyjemnością was oprowadzi, wskaże kwatery i dostarczy

niezbędnych drobiazgów, takich jak ubrania, szczoteczki do zębów i tym podobne.

Goście także się przedstawili, wymieniono uściski dłoni. Giordino poprosił o kawę dla wszystkich i wkrótce zapanowała swobodniejsza atmosfera.

- Chciałbym w imieniu naszej trójki - rzekł Plunkett uroczystym tonem - gorąco podziękować za uratowanie nam życia.

- Al i ja możemy jedynie wyrazić zadowolenie, że zdążyliśmy na czas.

- Sądzę po waszym akcencie, że jesteście Amerykanami - zagadnęła Stacy.

Pitt wlepił w nią badawcze spojrzenie.

- Tak, jesteśmy ze Stanów.

Stacy, jakby nieco przestraszona, niczym łania na widok górskiego lwa, nie mogła oderwać oczu od Dirka.

- To pana widziałam w kabinie tej niezwyklej łodzi, tuż przedtem, zanim straciłam przytomność.

- Nie łodzi, lecz PEGO - wyjaśnił Pitt - a skrót ten oznacza Pojazd Eksploracyjny Głębin Oceanicznych. Nazywamy go "Wielki John" i używamy głównie do pobierania próbek geologicznych z dna morskiego.

- To znaczy, że prowadzicie prace wydobywcze na dużą skalę? - zapytał Plunkett z niedowierzaniem.

Pitt skinął głową.

- To ściśle tajny projekt eksploracji dna morskiego, finansowany przez rząd Stanów Zjednoczonych. Trwa już osiem lat od zatwierdzenia, włączając prace konstrukcyjne i wszelkie testy.

- Jak nazywa się ten projekt?

- Nadano mu jakiś zwariowany kryptonim, ale w kręgu zainteresowanych osób nazywamy to miejsce "Morskim Poletkiem".

- Jak udało się wam utrzymać to w tajemnicy? - zapytał Salazar. - Musicie przecież dysponować choćby małą flotą na powierzchni, którą z łatwością można zlokalizować z przepływających statków czy nawet satelitów.

- Ta baza jest w pełni samowystarczalna. Mamy tu najnowsze urządzenia, które wytwarzają tlen z wody i pozwalają ludziom pracować przy ciśnieniu niemal takim samym, jak na powierzchni morza. Odsalacze dostarczają wody pitnej, w wymiennikach ciepła krąży woda nagrzana w odwiertach w dnie morskim, nasze pożywienie stanowią głównie omułki, małże, krewetki i kraby, które osiedliły się w pobliżu tych odwiertów, a przed masowym rozwojem bakterii zabezpieczamy się promieniowaniem ultrafioletowym oraz środkami do

dezynfekcji. Niezbędne produkty, sprzęt i części zamienne zrzucane są z samolotów, a my zbieramy je z powierzchni i transportujemy do bazy. Ludzi dowozi się odrzutowym hydroplanem, a następnie batyskafem.

Plunkett automatycznie kiwał głową, jakby słuchał opowieści o bajkowej krainie.

- Musicie mieć jakąś niezwykłą metodę utrzymywania łączności ze światem zewnętrznym - rzekł Salazar.

- Jesteśmy połączeni kablem z nadajnikiem umieszczonym na boi i komunikujemy się za pośrednictwem satelity. Nie ma w tym nic niezwykłego.

- Od jak dawna tu jesteście?

- Nie widzieliśmy światła słonecznego od ponad czterech miesięcy.

Plunkett w zamyśleniu utkwił spojrzenie w filiżance z kawą.

- Nie miałem nawet pojęcia, że dysponujecie technologią pozwalającą na założenie stacjonarnej bazy na tak wielkiej głębokości.

- Chyba można nas nazwać ekspedycją pionierską - odparł z dumą Pitt. - Prowadzimy równolegle kilka projektów. Oprócz testowania sprzętu zajmujemy się badaniem życia morskiego, geologią oraz mineralogią dna oceanicznego, a wszystkie dane przesyłamy do sieci komputerowej. Prace wiertnicze i wydobywcze są dopiero we wstępnej fazie.

- Ilu ludzi stanowi załogę bazy?

Pitt upił trochę kawy i odpowiedział:

- Niewielu, dwunastu mężczyzn i dwie kobiety.

- Widzę jednak, że kobiety i tu wykonują tradycyjne prace - rzekła kwaśno Stacy, wskazując głową ładną rudowłosą trzydziestolatkę, która szatkowała jarzyny.

- Sara zajmuje się kuchnią na ochotnika. Jej głównym zadaniem jest przetwarzanie danych komputerowych. Jak większość z nas pełni kilka funkcji.

- Domyślam się, że druga kobieta jest skrzyżowaniem służącej z technikiem naprawy sprzętu głębinowego.

- Jest pani bliska prawdy - odparł Pitt, uśmiechając się lekko. - Jill faktycznie pomaga przy konserwacji sprzętu podwodnego, a w dodatku jest naszym głównym biologiem. Na pani miejscu jednak nie pouczalbym jej o prawach przysługujących kobietom na dnie morza. Zdobyła kiedyś tytuł "Miss Kolorado" w zawodach kulturystycznych i bez trudu radzi sobie ze sztangą ważącą dziewięćdziesiąt kilogramów.

Salazar odsunął swoje krzesło od stołu i rozprostował nogi.

- Idę o zakład, że cały ten projekt nadzoruje wojsko.

- W naszej bazie nie znajdzie pan ani jednego wojskowego - odparł szybko Dirk. -

Wszyscy jesteście pracownikami agencji naukowej.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić jedną rzecz? - wtrącił Plunkett. Jakim sposobem dowiedzieliście się o naszej katastrofie i jak nas odnaleźliście?

- Al i ja poruszaliśmy się trasą naszej wcześniejszej wyprawy pobierającej próbki z dna i szukaliśmy czujnika wykrywacza złota, który jakimś cudem musiał nam spaść z "Wielkiego Johna", kiedy znaleźliśmy się nagle w zasięgu waszego telefonu akustycznego.

- Sygnał był bardzo słaby, ale udało się go przechwycić i namierzyć waszą pozycję - dodał Giordino.

- W końcu znaleźliśmy wasz batyskaf - mówił dalej Pitt - ale nie mogliśmy przenieść was do naszego pojazdu, gdyż zostalibyście zmiażdżeni przez ciśnienie zewnętrzne. Jedynym ratunkiem było podłączenie zewnętrznego źródła tlenu do waszego zaworu awaryjnego za pomocą manipulatorów "Wielkiego Johna". Na szczęście okazało się, że końcówki do siebie pasują.

- Potem wykorzystaliśmy oba wysięgniki jako haki, podwiesiliśmy na nich wasz batyskaf - ponownie włączył się Giordino, ruchami rąk objaśniając przebieg operacji - i dowieźliśmy do bazy, wprowadzając go do komory przez służbę powietrzną.

- To znaczy, że "Stara Gerda" jest tutaj? - zapytał wyraźnie ożywiony Plunkett.

- Tak, stoi w głównej komorze - odparł Al.

- Kiedy będziemy mogli wrócić na nasz statek? - zapytał Salazar ostrym tonem.

- Obawiam się, że niezbyt szybko - rzekł Pitt.

- Musimy przecież zawiadomić kapitana, że nic nam się nie stało - powiedziała Stacy. - Czy możecie się z nim skontaktować?

Al, Pitt i Giordino wymienili znaczące spojrzenia.

- Jadąc do was minęliśmy straszliwie zniszczony statek, który niedawno osiadł na dnie.

- To nie mógł być "Niezwycięzony" - mruknęła z niedowierzaniem Stacy.

- Był tak pogruchołany, jakby ucierpiał wskutek potężnej eksplozji - dodał Al. - Wątpię, czy ktokolwiek się uratował.

- Kiedy rozpoczynaliśmy zanurzenie, w pobliżu znajdowały się dwa inne statki - wtrącił Plunkett. - Widocznie zatonął któryś z nich.

- Trudno powiedzieć - odrzekł Dirk. - Coś się stało na powierzchni, zarejestrowaliśmy tu niezwykle silną turbulencję. Nie było jednak czasu, żeby to zbadać, zatem trudno powiedzieć coś pewnego.

- To była chyba ta sama fala uderzeniowa, która zniszczyła nasz batyskaf.

- Nasza baza znajduje się w zagłębieniu, pod osłoną krawędzi uskoku, trzydzieści

kilometrów od miejsca, gdzie znaleźliśmy waszą łódź i zatopiony statek. Jeśli była to fala uderzeniowa, to przeszła bokiem, do nas dotarła jedynie turbulencja wody oraz wzburzenie osadów, takie samo, jakie na suchym gruncie powstaje po przejściu trąby powietrznej.

Stacy spojrzała na Pitta ze złością.

- Czy chcecie nas tu trzymać jako więźniów?

- Nie użyłbym tego określenia, ale ponieważ realizujemy projekt ściśle tajny, zmuszony jestem prosić was o nieco dłuższy pobyt w naszym towarzystwie.

- Jak mamy rozumieć "nieco dłuższy pobyt"? - zapytał znużonym głosem Salazar.

Dirk posłał drobnemu Meksykaninowi ironiczny uśmiech.

- Nie przewidujemy powrotu na powierzchnię przed upływem dwóch miesięcy.

Zapadła cisza. Plunkett spoglądał to na Salazara, to na Stacy, to znów na Pitta.

- Do jasnej cholery! - parsknął w końcu. - Nie macie prawa nas tu trzymać przez dwa miesiące!

- Moja żona pomyśli, że zginąłem - jęknął Salazar.

- Ja mam córkę - oznajmiła cicho Stacy.

- Proszę mnie zrozumieć - odrzekł Dirk. - Być może sprawiam wrażenie bezwzględnego tyрана, ale wasza obecność stawia mnie w trudnej sytuacji. Kiedy będziemy wiedzieli, co się stało na powierzchni, i uzyskamy zgodę naszego kierownictwa, może przewieziemy was wcześniej na ląd.

Pitt urwał, dostrzegłszy Keitha Harrisa, sejsmologa, który stanął w drzwiach i dał mu znać, że chce z nim porozmawiać na osobności.

Przeprosił zebranych i wyszedł. Zwrócił uwagę na niepokój malujący się na twarzy Harrisa.

- Jakież problemy? - zapytał pośpiesznie.

Keith, mężczyzna o skołtunionej, siwej brodzie i tegoż koloru włosach, odparł basem:

- Owa turbulencja, którą zarejestrowaliśmy, wywołała szereg wtórnych wstrząsów podłoża. Na razie drgania są nieznaczne, ledwie wyczuwalne, lecz powoli przybierają na sile, ale ich amplituda wzrasta.

- Co z tego wynika?

- Siedzimy na cholernie niestabilnej skale, poza tym w rejonie aktywności wulkanicznej, a mamy do czynienia z tak wielkimi naprężeniami krystalnymi, z jakimi się jeszcze nie zetknąłem. Obawiam się, że możemy oczekiwać potężnego trzęsienia ziemi o sile dochodzącej nawet do sześciu i pół stopnia.

- Nie przeżyjemy tego - rzekł ponuro Pitt. - Wystarczy jedno pęknięcie w którejs

kopule, a ciśnienie wody zmiażdży całą bazę jak prasa hydrauliczna.

- Też się tego obawiam - przyznał ponuro Keith.

- Ile mamy czasu?

- Nie sposób tego przewidzieć. Wiem, że chciałbyś wiedzieć z całą pewnością, ale mogę jedynie zgadywać. Sądząc po sile wstrząsów, mamy nie więcej jak dwanaście godzin.

- To starczy, żeby ewakuować bazę.

- Niewykluczone, że się mylę - powtórzył Harris. - Jeśli wkrótce poczujemy pierwsze wstrząsy, to najsilniejszych można się spodziewać nawet za parę minut. Z drugiej strony drgania mogą się wytlumić i równie dobrze ucichnąć...

Nie zdążył dokończyć, kiedy obaj poczuli delikatne drzenie skały pod stopami, a filiżanki po kawie zaczęły dzwonić o podstawki.

Pitt z zaciśniętymi mocno wargami spojrział na Harrisa.

- Wygląda na to, że sytuacja nam nie sprzyja - rzekł.



Wstrząsy przybierały na sile w przerażającym tempie, a dobiegający z oddali huk zdawał się przybliżać. Po chwili zagłuszyło go dudnienie drobnych głazów, spadających z krawędzi uskoku na kopuły bazy. Wszyscy utkwili spojrzenia w sklepieniu olbrzymiej hali, bojąc się, że lawina kamieni może je skruszyć. Ludzie mieli świadomość, że wystarczy drobne pęknięcie, a woda wtargnie do środka z siłą tysięcy pocisków rakietowych.

Panował jednak spokój, nikt nie wpadał w panikę. Z wyjątkiem rzeczy osobistych nie zabierano nic, poza dyskietkami z wynikami prac. Tylko osiem minut zajęło ludziom przygotowanie obu batyskafów do opuszczenia bazy.

Pitt nie mógł się uwolnić od myśli, że ktoś i tak tu zginie. Każda z łodzi mieściła najwyżej sześć osób. Gdyby ścisnąć się po siedmioro, można by natychmiast ewakuować całą ekipę. Ale teraz, kiedy musieli brać pod uwagę również załogę "Starej Gerdy", sprawa się skomplikowała.

Wstrząsy przybierały na sile i przybliżały się zarazem. Dirk nie widział najmniejszych szans, aby batyskaf dotarł na powierzchnię, wylądował ludzi i zdążył jeszcze wrócić po tych, którzy zostaną w bazie. Taka wyprawa nie mogła trwać krócej niż cztery godziny. Podmorskie budowle stopniowo słabły wskutek coraz silniejszego trzęsienia ziemi i w ciągu najbliższych minut należało się spodziewać, że ustąpią pod naporem wody.

Giordino, jakby odczytując troskę na twarzy Pitta, rzekł:

- Będziemy musieli obrócić po raz drugi. Lepiej, jeśli to ja zaczekam...

- Nic z tego, przyjacielu - przerwał mu Dirk. - Ty poprowadzisz pierwszą łódź, ja popłynę drugą. Po dotarciu na powierzchnię wylądujesz pasażerów na ponton i wrócisz pełnym gazem po tych, którzy tu zostaną.

- Nie widzę szans zdążyć na czas - oznajmił ponurym głosem Al.

- A masz lepszy pomysł?

Giordino pokręcił głową.

- Komu zatem przyszło wyciągnąć ułamane zapalki?

- Załodze brytyjskiej łodzi.

Tamten spojrzał na Dirka ze zdumieniem.

- Nie pytałeś o ochotników? To do ciebie niepodobne, byś zostawiał tu kobietę.

- Przede wszystkim muszę myśleć o naszej ekipie - odparł chłodno Pitt.

Giordino wzruszył ramionami i skrzywił się nieco.

- Po to ich ratowaliśmy, żeby teraz zostawiać na pewną śmierć?

Kolejna fala wstrząsów z głuchym dudnieniem przetoczyła się przez skalne podłoże.

Dirk spojrział na zegarek: trzęsienie trwało dziesięć sekund. Wreszcie zapanował spokój i nastąpiła cisza - grobowa cisza.

Al przez dłuższą chwilę spoglądał prosto w oczy przyjaciela, ale nie dostrzegł w nich nawet cienia strachu. Pitt sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego. Al nawet przez moment nie pomyślał, że Dirk mógłby go okłamać. A Pitt w rzeczywistości wcale nie miał zamiaru uciekać drugą łodzią, gdyż czuł się zobowiązany opuścić bazę jako ostatni.

Ale było już za późno na jakiegokolwiek dyskusje, nie mieli nawet czasu się pożegnać. Pitt chwycił Giordina za ramię i na pół włokąc, na pół niosąc niskiego Włocha, wpełznął go do wąskiej śluzy pierwszej łodzi głębinowej.

- Powinieneś zdążyć na powitanie admirała - rzekł. - Przekaż mu pozdrowienia ode mnie.

Al nie słyszał go jednak, głos Dirka utonął w huku następnej lawiny kamieni, które uderzając w osłonę kopuły wywoływały jej silny rezonans. Pitt zatrzaskał za nim pokrywę śluzy i zniknął.

Sześciu mężczyzn, ściśniętych we wnętrzu łodzi, zdawało się zajmować każdy centymetr wolnej powierzchni. Nikt się nie odzywał, a wszyscy unikali patrzenia sobie w oczy. Kiedy jednak dołączył do nich Giordino i węzowym ruchem zaczął się przepychać między nimi w stronę siedzenia pilota, równocześnie unieśli głowy, jakby uważnie śledzili lot piłki w ostatnich sekundach meczu.

Al pośpiesznie uruchomił silniki elektryczne, które przesuwały batyskaf po szynach w kierunku śluzy. Szybko sprawdził wskazania wszystkich instrumentów i zaczął programować komputer, gdy wielkie wrota śluzy zatrzaskały się z hukiem i przez specjalne zawory redukcyjne komorę zaczęły wypełniać lodowato zimne wody oceanu. Kiedy powietrze uszło do końca i ciśnienie się wyrównało, komputer bazy automatycznie otworzył zewnętrzne wrota. Giordino przełączył łódź na sterowanie ręczne, wyprowadził ją ze śluzy i z pełną mocą silników popłynął w kierunku falującej powierzchni morza.

Kiedy Al i jego pasażerowie znaleźli się w śluzie, Pitt szybko podszedł do drugiego batyskafu. Kazał kobietom ze swojej ekipy wsiąść jako pierwszym, a następnie bez słowa skinął głową Stacy.

Ta zawahała się przed włazem i rzuciła Dirkowi przeciągłe, pytające spojrzenie. Wydawać by się mogło, że cała ta sytuacja wprawiała ją nagle w osłupienie.

- Czy chce pan zginąć, odstępując mi swoje miejsce w batyskafie? - zapytała cicho.

Pitt uśmiechnął się głupawo.

- Proszę na mnie czekać z butelką rumu collins, w pełnym słońcu, na tarasie hotelu

“Halekalani” w Honolulu.

Stacy otworzyła już usta, żeby mu odpowiedzieć, gdy z szeregu wystąpił kolejny wskazany mężczyzna i bezpardonowo wepchnął ją do wnętrza łodzi.

Pitt podszedł wreszcie do Dave’a Lowdena, głównego inżyniera projektu. Ten, wyraźnie zmieszany, szybko dopiął suwak skórzanego kurtki lotniczej, równocześnie poprawiając na nosie okulary bez oprawek.

- Chcesz, żebym popłynął z tobą jako drugi pilot? - zapytał basowym głosem.

- Nie, sam poprowadzisz łódź. Ja zaczekam tu na powrót Ala.

Lowden nie potrafił ukryć zdumienia.

- Chyba lepiej, żebym został z tobą.

- Masz piękną żonę i trójkę dzieciaków, a ja jestem kawalerem, więc zbieraj się i nie zwracaj mi głowy.

Pitt odwrócił się do niego plecami i podszedł do stojących nieco na uboczu Plunketta oraz Salazara.

Anglik także nie okazywał strachu. Silnie zbudowany oceanograf przypominał pasterza, który uważnym spojrzeniem obrzuca stadko swoich owiec moknących w ciepłym, wiosennym deszczu.

- Czy ma pan rodzinę, doktorze? - zapytał Dirk.

Plunkett łagodnie potrząsnął głową.

- Ja? Skądże znowu. Jestem wielkim zwolennikiem stanu kawalerskiego.

- To tak jak ja.

Natomiast Salazar nerwowo splatał palce, a w jego spojrzeniu czaił się cień strachu. Widocznie zdawał sobie sprawę z beznadziejności swego położenia i szykował się na śmierć.

- Pan, jak pamiętam, wspominał coś o żonie - zwrócił się do niego Pitt.

- Mam też syna - mruknął Salazar. - Są w Veracruz.

- Znajdzie się jeszcze miejsce dla pana, proszę wskakiwać szybko.

- Będę ósmy, a łódź może pomieścić najwyżej siedem osób.

- Wybrałem największych mężczyzn do pierwszej łodzi, a w tej są najniżsi i trzy kobiety. Sądzę, że starczy jeszcze miejsca dla takiego drobnego faceta jak pan.

Salazar bąknął słowa podziękowania i zanurkował do włazu, a Pitt zamknął klapę, niemal wpychając go dalej, i po chwili Lowden uszczelnił wejście od środka.

Kiedy batyskaf wjechał do śluzy i wrota zatrzasnęły się za nim, Plunkett położył swą wielką dłoń na ramieniu Pitta.

- Jest pan niezwykle dzielny człowiekiem, panie Pitt. Chyba nikt lepiej nie odegrałby

roli Boga.

- Przykro mi, że nie znalazłem już miejsca dla pana.

- Nie ma sprawy. Poczytuję za honor umrzeć w tak świetnym towarzystwie.

Dirk z nieskrywanym zdziwieniem spojrział Anglikowi w oczy.

- A któż tu mówi o umieraniu?

- Przestańmy się czarować. Dobrze znam morze i nie trzeba geniuszu seismologa, by przewidzieć, że ta wspaniała konstrukcja może w każdej chwili runąć pod naporem wody.

- Niech mi pan zaufa, doktorze - odparł Pitt, próbując przekrzyczeć narastający huk.

Plunkett obrzucił Pitta sceptycznym spojrzeniem.

- Czyżby miał pan jeszcze jakąś tajemnicę w zanadrzu?

- Powiedzmy, że uda nam się złapać ostatni pociąg odjeżdżający z naszego Morskiego Poletka.

Dwanaście minut później nadeszła długa fala niezwykle silnych wstrząsów. Ze stromej ściany uskoku spadły na kopulaste budowle setki ton skalnego gruzu.

W końcu spękane ściany bazy zapadły się do środka, a miliardy litrów lodowatych, mrocznych wód oceanicznych przemieniły ludzką konstrukcję w drobny pył.

Pierwszy batyskaf wynurzył się pośród fal i zatańczył na powierzchni szmaragdowej toni niczym uradowany wieloryb. Morze uspokoiło się znacznie, najwyższe fale nie przekraczały metra wysokości, a na niebie nie było ani jednej chmurki.

Giordino pośpiesznie przecisnął się do wyjścia, zacisnął dłonie na kole i zaczął nim kręcić. Po dwóch obrotach opór wyraźnie zelżał, wreszcie szczęknięty zamki i kłapa odchyliła się na bok. Wąski strumyk wody pociekł do wnętrza łodzi, a stłoczeni ludzie z rozkoszą wciągnęli w płuca czyste, świeże powietrze. Dla niektórych była to pierwsza wizyta na powierzchni od kilku miesięcy.

Giordino przecisnął się przez właz i stanął w płytkiej, owalnej wieżyczce chroniącej wejście przed falami. Spodziewał się widoku pustego oceanu, lecz gdy tylko spojrzął przed siebie, rozdziawił usta z przerażenia.

W odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów dostrzegł dziób sunącego wprost na nich klasycznego chińskiego stateczku zwanego *fu-czou* - trójmasztowca o jednym prostym pokładzie i podwyższonej, zaokrąglonej rufie, z trzema identycznymi, prostokątnymi żaglami, naciągami z bambusowego łyka i kontrastującym z nimi nowoczesnym kliwerem. Wielkie oczy wymalowane na burtach dziobu zdawały się to spuszczać wzrok, to znów unosić go na Ala.

Przez krótką chwilę Giordino nie mógł uwierzyć w nieuchronność zderzenia, wydawało mu się nieprawdopodobne, by na ogromnej przestrzeni oceanu wynurzył się dokładnie tuż przed dziobem statku. Wreszcie wetknął głowę do włazu i wrzasnął:

- Wszyscy wyskakiwać! Natychmiast!

Dwaj chińscy marynarze dostrzegli kołyszącą się na falach turkusową łódź podwodną i krzyknęli na sternika, by wykonał gwałtowny skręt w lewo. Ale było już za późno, połyskliwy dziób z tekowego drewna statku pchanego sprzyjającym wiatrem sunął prosto na ludzi wysypujących się z wieżyczki i wskakujących do wody.

Poculi na twarzach rozbryzgi, gdy dżonka zaczęła powoli zakręcać pod wiatr. Jej załoga gromadziła się przy relingu, patrząc z niedowierzaniem na tę przeszkodę, która nagle pojawiła się na kursie statku, a zarazem z obawą, że w wypadku rozbicia burty dżonka może pójść na dno.

Zaskoczenie, nieco spowolniona reakcja obserwatorów na statku, czas potrzebny na obrócenie kołem, którym zastąpiono tradycyjne wiosło sterowe - to wszystko nie mogło zapobiec katastrofie. Mało zwrotna dżonka zbyt późno zaczęła wchodzić w ostry skręt.

Cień wysokiej burty statku padł na Giordina, kiedy ten podawał rękę ostatniemu już,

wychodzącemu na zewnątrz mężczyźnie. Tamten znajdował się do połowy we władze, gdy dziób dżonki opadającej z grzbietu fali przygniótł część rufową batyskafu. Nie było nawet huku zderzenia, rozległ się jedynie bulgot wody wpadającej przez otwarty właz do wnętrza silnie przechylonej na prawą burzę łodzi.

Na statku rozbrzmiały okrzyki, błyskawicznie ściągnięto żagle, które opadły niczym weneckie zasłony. Zaterkotał silnik dżonki, pracując całą wstecz. Z pokładu rzucono koła ratunkowe.

Giordino, który do końca pomagał się wydostać ostatniemu pasażerowi i kucał ledwie na wyciągnięcie ręki od burty statku, poleciał do tyłu, obcierając sobie kolana, i znalazł się nagle pod wodą, przygnieciony ciężarem tamtego mężczyzny. Zdążył odruchowo zamknąć usta, ale słona woda naląła mu się do nosa. Wypluł ją, rozejrzał się dokoła i podziękował Bogu, widząc sześć głów ponad falami. Niektórzy ludzie płynęli spokojnie, inni chwytały koła ratunkowe.

Za to błyskawicznie nabierający wody batyskaf utracił stateczność i rufą do dołu szybko pograżył się w falach, na co Al spoglądał z wściekłością i rozgoryczeniem.

W końcu uniósł głowę i odczytał nazwę dżonki, wymalowaną na fantazyjnie rzeźbionej rufie: "Muszla Szanghaju". Zaczął na cały głos przeklinać swego pecha. Jak to możliwe, żeby zderzyć się z jedynym statkiem w promieniu setek kilometrów? - mamrotał. Jego poczucie winy pogłębiał jeszcze fakt, że zostawił w potrzebie swego najlepszego przyjaciela.

Uznał, że musi poczekać na wynurzenie się drugiego batyskafu i tamtym wrócić na dno po Pitta, choćby cały ten wysiłek miał pójść na marne. Byli sobie bliźsi niż bracia i Al zbyt wiele zawdzięczał temu dobrodusznemu awanturnikowi, by teraz zostawić go na pastwę losu. Przypomniawszy sobie, ileż to razy znajdował się w sytuacji bez wyjścia, a Dirk przychodził mu z pomocą. Na razie jednak trzeba się było uzbroić w cierpliwość.

Ponownie rozejrzał się dokoła.

- Kto jest ranny, niech podniesie rękę! - zawołał.

Dostrzegł tylko jedno uniesione ramię, młodego geologa.

- Zdaje się, że zwicznęłam nogę w kostce - oznajmił tamten.

- Jeśli tylko zwicznęłam nogę, to możesz się uważać za szczęśliwca - warknął Giordino.

Dżonka stanęła po nawietrznej nie dalej niż dziesięć metrów od grupy rozbitków. Znad relingu wychylił się starszy mężczyzna o rozwichrzonych siwych włosach i drugich poskręcanych wąsach. Przytknął złożone dłonie do ust i zawołał:

- Czy ktoś jest ranny? Mamy spuszczać szalupę?

- Opuśćcie drabinkę, sami wdrapiemy się na pokład - odkrzyknął Giordino, a po chwili

dodał: - I uważajcie pilnie, wkrótce powinien się wynurzyć drugi batyskaf.

- Rozumiem.

W ciągu pięciu minut cała grupa z NUMA znalazła się na pokładzie dżonki, jedynie geologa ze zwichniętą kostką trzeba było wciągnąć w sieci przez burzę. Mężczyzna, który do nich krzyczał, podszedł bliżej i rozłożył szeroko ręce w geście bezradności.

- Na Boga, tak mi przykro, że straciliście swoją łódź. Nie widzieliśmy was aż do ostatniej chwili.

- To nie wasza wina - odparł Giordino, wysuwając się do przodu. - Wskoczyliśmy niemal wprost pod waszym kilem. Obserwatorzy i tak zareagowali szybciej, niż mogliśmy się tego spodziewać.

- Czy ktoś zginął?

- Nie, jesteśmy w komplecie.

- Dzięki Bogu. Cóż za zwariowany dzień. Nie dalej jak dwadzieścia kilometrów stąd na zachód wyłowiliśmy z wody innego samotnego mężczyznę. Jest w kiepskim stanie, twierdzi, że nazywa się Jimmy Knox. Czy to ktoś od was?

- Nie. Reszta naszej ekipy wypłynie w drugim batyskafie.

- Kazałem marynarzom mieć oczy szeroko otwarte.

- To miło z pańskiej strony - rzekł odruchowo Giordino, nie bardzo kojarząc jeszcze wszystkie fakty.

Starzec, który najwyraźniej dowodził dżonką, z wyrazem zdumienia na twarzy rozejrzał się po pustym morzu.

- Skąd się tu wzięliście?

- Wyjaśnimy to później. Czy mogę skorzystać z waszej radiostacji?

- Oczywiście. A propos, jestem Owen Murphy.

- Al Giordino.

- Proszę za mną, panie Giordino - rzekł Murphy, roztropnie powściągając swą ciekawość. Wskazał ręką otwarte drzwi, prowadzące do pomieszczeń pod pokładem rufowym.

- Kiedy pan będzie zajęty, ja się zatroszczę, by pańscy ludzie dostali jakieś suche ubrania.

- Będę bardzo zobowiązany - rzucił Giordino przez ramię, spiesząc do nadajnika.

Od chwili szczęśliwego zakończenia katastrofy batyskafu już kilkakrotnie w wyobraźni Ala pojawiał się obraz Pitta i Plunketta, bezradnych w obliczu milionów ton wody, które miażdżyły podwodną bazę. Zdawał sobie sprawę, że chyba jest już za późno na ratunek, gdyż szansę przeżycia ludzi oceniał jako równe czy nieskończenie bliskie zeru. Niemniej nawet mu do głowy nie przyszło, by uznać ich za zaginionych i nie wracać w głębiny. Był gotów popłynąć

za wszelką cenę, bez względu na to, jak koszmarny widok tam zostanie.

Drugi batyskaf agencji, pilotowany przez Dave'a Lowdena, wynurzył się o pół kilometra od dżonki. "Muszla Szanghaju", prowadzona wprawną ręką sternika z załogi Murphy'ego, zatrzymała się dwa metry od wieżyczki wjazdu i tym razem cała grupa, z wyjątkiem Lowdena, przeszła na statek suchą nogą.

Giordino powiadomił admirała Sandeckera o sytuacji i polecił pilotowi hydroplanu, żeby lądował w sąsiedztwie dżonki, po czym pognął biegiem przez pokład. Popatrzył z góry na Lowdena wychylonego do połowy z wjazdu i krzyknął:

- Zostań! Chcę, żebyś wrócił razem ze mną na dno.

Tamten machnął ręką.

- Nic z tego. Odkryliśmy wyciek z akumulatorów, cztery zostały zwarte na krótko. Nie starczy energii do zejścia na dno.

Zapadła grobowa cisza. W geście bezsilności Giordino huknął pięścią w reling. Naukowcy i technicy z NUMA, Stacy z Salazarem, a nawet załoga dżonki - wszyscy posępnym wzrokiem wpatrywali się w Ala.

- To nie fair - mruknął w przyływie gorzkości. - Nie fair.

Stał tak przez jakiś czas, wbijając wzrok w fale, jakby chciał je przebić i dostrzec dno. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy hydroplan admirała Sandeckera wynurzył się spoza nadciągających chmur i zatoczył koło nad statkiem.

Stacy i Salazarowi wskazano kabinę, w której leżał półprzytomny Jimmy Knox. Na ich widok z krzesła stojącego przy koi podniósł się łysiejący siwy mężczyzna o pogodnej twarzy.

- Witajcie. Nazywam się Harry Deerfield.

- Czy możemy się z nim zobaczyć? - zapytała Stacy.

- Znać pana Knoxa?

- Jesteśmy przyjaciółmi z tej samej brytyjskiej ekspedycji naukowej - odparł Salazar. - Jak on się czuje?

- Odpoczywa - odparł Deerfield, lecz z jego miny można było odczytać, że nie ma na myśli szybkiego powrotu do zdrowia.

- Pan jest lekarzem?

- Tylko pediatrą. Wziąłem sześciotygodniowy urlop, żeby pomóc Owenowi Murphy'emu przyprowadzić ten statek do stoczni w San Diego. - Obrócił się w stronę Knoxa.

- Dasz radę porozmawiać z gośćmi, Jimmy?

Leżący nieruchomo, chorobliwie blade Knox lekko poruszył dłonią na znak zgody. Twarz miał pokrytą siniakami i zadrapaniami, lecz gdy otworzył oczy i rozpoznał Stacy oraz



Salazara, pojawiły się w nich żywsze rozbłyski.

- Dzięki Bogu, żyjecie - wychrypiał. - Nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek was zobaczę. A gdzie ten wariat Plunkett?

- Wkrótce do nas dołączy - odparła Stacy, posyłając Salazarowi szybkie spojrzenie. - Co się wydarzyło, Jimmy? Co się stało z "Niezwyyczajnym"?

Knox ostrożnie pokręcił głową.

- Sam nie wiem, chyba jakaś eksplozja. W jednej sekundzie siedziałem przy telefonie, żeby się z wami połączyć, a w następnej byłem na pogruchotanym i płonącym statku. Pamiętam, że próbowałem was jeszcze wywołać, ale nikt nie odpowiadał. Potem przedarłem się przez rumowisko i zwłoki ludzi, bo statek błyskawicznie tonął.

- Zatonął? - mruknął Salazar, jakby nie mógł się z tym pogodzić. - Statek zatonął, a załoga zginęła?

Knox ledwie zauważalnie skinął głową.

- Na moich oczach poszedł na dno. Nawoływałem i wypatrywałem innych rozbitków, ale nikt się nie uratował. Nie mam pojęcia, jak długo pływałem, dopóki pan Murphy i jego załoga mnie nie wyłowili. Przeszukali jeszcze spory obszar, ale nikogo nie znaleźli. Wychodzi więc na to, że tylko ja ocalałem.

- A co z tamtymi dwoma statkami, które były w zasięgu wzroku, kiedy rozpoczynaliśmy zanurzanie? - zapytała Stacy.

- Nawet ślad po nich nie został. Chyba też musiały zatonąć.

Głos Knoxa zmienił się w szept i widać było wyraźnie, że usiłuje nie zemdleć. Był skrajnie wycieńczony. Oczy powoli mu się zamknęły, a głowa na poduszce obróciła na bok.

Deerfield ruchami rąk skierował Stacy i Salazara w stronę drzwi.

- Porozmawiacie później, jak odzyska nieco sił.

- Czy on z tego wyjdzie? - zapytała półgłosem Stacy.

- Trudno powiedzieć - odparł tamten typowym dla lekarzy unikiem.

- Co mu właściwie dolega?

- Co najmniej dwa złamane żebra, tyle mogę powiedzieć bez prześwietlenia. Poza tym skręcona kostka, może nawet pęknięta kość, ogólne potłuczenia i poparzenia pierwszego stopnia. Te obrażenia dadzą się łatwo wyjaśnić, ale reszta objawów jest co najmniej dziwna.

- Cóż to za objawy? - zapytał Salazar.

- Gorączka, hipotensja arteryjna, czyli bardzo niskie ciśnienie, silny rumień, skurcze żołądka i dziwna wysypka.

- Co może być przyczyną?

- Nie jestem fachowcem - rzekł powoli Deerfield - ale na podstawie tego, co czytałem, mogę stwierdzić, że stan Jimmy'ego jest skutkiem śmiertelnej dawki promieniowania.

Stacy milczała przez chwilę, w końcu zapytała:

- Promieniowania jądrowego?

Deerfield skinął głową.

- Chciałbym się mylić, ale fakty mówią same za siebie.

- Czy może mu pan jakoś pomóc?

- Niech się pani rozejrzy - rzekł tamten kwaśno, ruchem ręki omiatając kajutę. - Czy to przypomina szpital? Zgodziłem się na rolę sanitariusza w tym rejsie, ale mam pod ręką tylko podstawowe lekarstwa i trochę środków opatrunkowych. Nie możemy nawet wezwać helikoptera, dopóki nie podpłyniemy bliżej lądu. Wątpię jednak, czy jakiegokolwiek środki medyczne zdołają go uratować.

- Powiesić ich! - krzyknął Knox, aż wszyscy podskoczyli. Otworzył oczy, lecz jego rozszerzone źrenice wpatrywały się wskroś ludzi w jakiś urojony obraz, który widział na ścianie. - Powiesić tych morderców!

Cała trójka spojrzała na chorego w zdumieniu. Salazar stał jak oniemiały, lecz Stacy i Deerfield podbiegli do koi, na której półprzytomny Knox usiłował się dźwignąć do pozycji siedzącej.

- Powiesić tych drani! - wrzeszczał, jakby miotał przekleństwa. - Dalej będą mordować. Powiesić ich!

Zanim jednak Deerfield zdążył mu wstrzyknąć środek uspokajający, Knox zeszywniał nagle i przewrócił błyszczącymi oczyma, które po chwili zaszyły mgłą. Opadł na poduszkę, westchnął spazmatycznie i znieruchomiał.

Deerfield natychmiast przystąpił do masażu serca, lecz obawiał się, że w niczym nie zdoła już pomóc Knoxowi. Szybko zasapał się, a po twarzy pociekły mu grube krople potu. W końcu przerwał, przyznając ze smutkiem, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, i że tylko cud mógłby uratować Jimmy'ego.

- Przykro mi - szepnął, z trudem łapiąc oddech.

Stacy i Salazar, jak gdyby wyrwani z hipnotycznego transu, powoli wyszli z kajuty. Meksykanin nie odezwał się nawet słowem, gdy Stacy zaczęła cicho szlochać. Szybko jednak otarła dłonią łzy i uniosła głowę.

- On coś widział - mruknęła.

Salazar spojrział na nią.

- A cóż mógł widzieć?

- Jakimś niewiarygodnym sposobem poznał prawdę. - Odwróciła się i popatrzyła przez otwarte drzwi kajuty na leżącą nieruchomo postać. - W ostatnich chwilach życia Jimmy ujrzał w objawieniu, kto jest odpowiedzialny za te straszliwe zniszczenia i śmierć tylu ludzi.

Szczupła, niemal wychudzona sylwetka świadczyła wyraźnie o tym, że mężczyzna jest fanatykiem właściwego odżywiania. Był niski, a wysunięta dolna szczęka i klatka piersiowa nadawały mu wygląd wojowniczego koguta. Nienagannie ubrany w jasnobłękitny golf i takiegoż koloru spodnie, starannie przyczesane rude włosy osłonił przed wiatrem słomkowym kapeluszem. Natomiast ruda broda, przystrzyżona jak u Vandyke'a, zakończona była tak ostrym szpicem, że można było odnieść wrażenie, iż wbije mu się w piersi przy szybkim skłonie głową.

Ściskając w zębach grube cygaro, które na wietrze sypało iskrami, wkroczył między marynarzy dżonki, jakby to on był tu panem i władcą. Gdyby rozdawano nagrody za najbardziej dramatyczne wejście na scenę, admirał James Sandecker, szef Krajowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, byłby poza wszelką konkurencją.

Jego zacięty wyraz twarzy świadczył o tym, że poruszyły go smutne wiadomości, jakie otrzymał od Giordina jeszcze w czasie lotu. Kiedy tylko stanął na pokładzie "Muszli Szanghaju", uniósł wysoko rękę, dając znak pilotowi hydroplanu, który odpowiedział takim samym gestem. Po chwili maszyna zawróciła pod wiatr i pomknęła, ślizgając się po grzbietach fal, aż wreszcie wzbila się w powietrze i nabierając wysokości zakreśliła szerokim łukiem na południowy wschód, w kierunku Hawajów.

Giordino i Murphy podeszli bliżej, a Sandecker utkwił spojrzenie w kapitanie dżonki.

- Witaj, Owen. Nie spodziewałem się, że cię tu zobaczę.

Murphy z uśmiechem wyciągnął rękę.

- Tak samo jak ja, Jim. Witaj na pokładzie. Cieszę się z tego spotkania. - Wskazał dłonią stojących dookoła zasepionych pracowników NUMA i dodał: - Może ktoś mi wreszcie wyjaśni, cóż to był za straszliwy huk i oślepiający błysk, jaki widzieliśmy wczoraj na horyzoncie, i dlaczego ci ludzie wynurzyli się nagle na środku oceanu.

Admirał nie odpowiedział. Omiótł spojrzeniem cały pokład oraz spuszczone żagle i zapytał:

- A skąd ty się tu wziąłeś?

- Ten statek został zbudowany w Szanghaju, prowadzę go do Honolulu, i dalej do San Diego, gdzie chcę go oddać do remontu.

- Wy się znacie? - wtrącił Giordino.

Sandecker skinął głową.

- Razem z tym starym piratem zaczynaliśmy studia w Annapolis, ale Owen był sprytniejszy. Rzucił służbę w marynarce dla jakiejś firmy elektronicznej i teraz ma chyba

więcej forsy niż Departament Skarbu.

- Tak wyszło - rzekł Murphy z uśmiechem.

Admirał spoważniał nagle.

- Czy od czasu tamtego komunikatu przez radio macie jakieś nowe wieści o bazie? - zwrócił się do Ala.

- Obawiam się, że już jej nie ma - ten odparł cicho. - Wszelkie próby nawiązania łączności przez telefon akustyczny z drugiego batyskafu nie dały rezultatu. Keith Harris uważa, że zaraz po ewakuacji nastąpił najsilniejszy wstrząs. Jak już mówiłem, nie mieliśmy dość miejsca, żeby zabrać wszystkich ludzi. Pitt i oceanograf z brytyjskiej ekspedycji na ochotnika zostali w bazie.

- Co zrobiliście, żeby ich ratować? - zapytał Sandecker.

Giordino wyglądał jak skazaniec, któremu już nic nie jest w stanie pomóc.

- Nie mogliśmy nic zrobić.

Admirał przybrał surowy wyraz twarzy.

- Nie wywiązał się pan ze swoich obowiązków. Mieliście przecież wrócić do bazy drugim batyskafem.

- Ale przekazywałem panu meldunek, jeszcze zanim wynurzył się Lowden i doniósł mi o wycieku z akumulatorów - odparł pośpiesznie Giordino. - Po zatonięciu pierwszego batyskafu i awarii drugiego znaleźliśmy się w ślepym zaułku.

Sandecker złagodniał nieco, lecz w jego spojrzeniu pozostał głęboki smutek. Pojął, że Giordino miał wyjątkowego pecha, i pożałował szybko, że w ogóle przyszło mu do głowy, iż mały Włoch nie będzie próbował spieszyć na ratunek. Przygnębiła go jednak wiadomość o śmierci Pitta.

Traktował Dirka jak własnego syna. Wprowadziłby do akcji całą armię specjalnie przeszkolonych ludzi oraz tajny sprzęt, o którego istnieniu nie wiedział prawie nikt w kraju, gdyby tylko los dał mu ze trzy doby czasu; miał odpowiednie kontakty w stolicy, nie piastował przecież tak odpowiedzialnego stanowiska tylko dlatego, że zgłosił się do pracy z ogłoszenia w "Washington Post".

- Czy są jakieś szanse usunięcia awarii? - zapytał.

Giordino wskazał głową łódź, która, uwiązana liną do rufy "Muszli Szanghaju", kołysała się na falach w odległości dwudziestu metrów.

- Lowden pracuje jak szalony, próbując coś z tym zrobić, ale wyraża się niezbyt optymistycznie.

- Winą należy obarczać przede wszystkim mnie - rzekł Murphy.

- Możliwe, że Pitt jeszcze żyje - powiedział Al, ignorując tamtego. - Nie należy do ludzi, którzy ze spokojem godzą się na śmierć.

- To prawda - odparł admirał w zamyśleniu. - Niejednokrotnie dowodził tego w przeszłości.

Giordino spojrział na Sandeckera, a w jego oczach pojawiły się żywsze błyski.

- Gdybyśmy mieli tu jeszcze jeden batyskaf...

- "Szperacz głębinowy" może zejść nawet na dziesięć tysięcy metrów - odparł admirał, który także odzyskiwał równowagę. - Stoi przy naszym nabrzeżu w porcie Los Angeles. Można go załadować na pokład wojskowego C-Pięć i dostarczyć tu jeszcze przed zachodem słońca.

- Nie wiedziałem, że C-Pięć może lądować na wodzie - wtrącił Murphy.

- Nie może - odparł szybko Sandecker - ale "Szperacz" waży jedynie dwanaście ton i można go zrzucić przez luk transportowca. Spojrział na zegarek. - Sądzę, że nie wcześniej niż za osiem godzin.

- Chcecie zrzucić z samolotu na spadochronie dwunastotonową łódź podwodną?

- Czemu nie, do cholery? Transport statkiem zająłby z tydzień.

Giordino utkwiał zamyślane spojrzenie w deskach pokładu.

- Uniknęlibyśmy wielu problemów, gdyby na miejscu został statek z odpowiednim sprzętem i częściami zapasowymi.

- W tym rejonie jedynym naszym statkiem jest "Sonda", która prowadzi sonarowe badanie dna na południe od Aleutów. Rozkażę kapitanowi przerwać prace i ruszyć pełną parą w naszym kierunku.

- Może ja mógłbym w czymś pomóc? - wtrącił Murphy. - Po tym, jak zatopiłem wasz batyskaf, czuję się w obowiązku zaoferować pomoc swoją i całej załogi.

Al uśmiechnął się krzywo, kiedy Sandecker oburącz uściśnął ramiona Murphy'ego - wręcz utulił go w objęciach, jak mawiał Pitt. Admirał znany był z takich gestów, bez zgody delikwenta często zachowywał się jak Chrystus odpuszczający pokutnikowi wszystkie grzechy.

- Owenie - rzekł podniosłym tonem - NUMA zostanie twoim dozgonnym dłużnikiem, jeśli zgodzisz się na wykorzystanie tej dżonki jako okrętu dowództwa floty na czas trwania akcji.

Murphy niemal wyprężył się na baczność, jakby dały o sobie znać dawne odruchy.

- Jakiej znowu floty? - zapytał z nie skrywanym zdumieniem.

- No cóż, chyba połowa jednostek marynarki wojennej kieruje się w tę stronę - odparł Sandecker takim tonem, jak gdyby rewelacje, które przekazał mu Raymond Jordan, były już powszechnie znane. Nie zdziwiłbym się, gdyby już teraz pod naszym kilem krążyła jedna z

atomowych łodzi podwodnych.

Murphy musiał przyznać w duchu, że jest to najbardziej niesamowita sytuacja, w jakiej zdarzyło mu się kiedykolwiek znaleźć. Ale nikt na pokładzie "Muszli Szanghaju", łącznie nawet z samym admirałem, nie przypuszczał, jak bardzo prorocze były te słowa. Nikt też nie sądził, że próby ratowania ludzi mogą stanowić zaledwie preludium wydarzeń.

Dwadzieścia kilometrów dalej okręt podwodny "Tucson" płynął na głębokości 400 metrów, kierując się na pozycję dżonki. Był pierwszy. Dowódca okrętu, komandor Beau Morton, zaraz po odebraniu w Pearl Harbour rozkazów z dowództwa wyruszył na pełnej szybkości w kierunku miejsca eksplozji. Jego zadaniem było wykonanie pomiarów wtórnej radioaktywności na różnych głębokościach oraz zebranie z powierzchni morza wszystkich szczątków, które można by bezpiecznie wziąć na pokład.

Morton, oparty niedbale o stalową grodz, z pustą filiżanką po kawie w dłoni, przyglądał się pracy kapitana Sama Hausera z Laboratorium Ochrony Radiologicznej Marynarki Wojennej, który nawet nie zwracał uwagi na obecność komandora. Nie spuszczał oka z mierników radiometrycznych podających natężenie promieniowania beta i gamma w sąsiedztwie próbników, które holowano w pewnej odległości za łodzią.

- Czy nie świecimy jeszcze w ciemnościach? - zapytał ironicznie Morton.

- Poziom radioaktywności jest dość wyraźnie podwyższony - odparł Hauser - ale jeszcze daleko mu do progu dopuszczalnego. Im wyżej, tym większe natężenie.

- A więc eksplozja miała miejsce na powierzchni?

- Tak, to musiał być statek, a nie łódź podwodna. Większość opadu poszła w powietrze.

- Czy ta chińska dżonka na północ od nas nie jest w strefie zagrożenia?

Hauser pokręcił głową.

- Nawet dużo dalej na nawietrznej dostaliby jedynie śladową dawkę.

- A nie ma znaczenia to, że dryfują w stronę epicentrum eksplozji? - zapytał Morton.

- Dzięki silnym wiatrom oraz wzburzonemu morzu, zarówno w czasie wybuchu, jak i tuż po nim - wyjaśniał cierpliwie Hauser - większość chmury radioaktywnego pyłu uleciała do atmosfery i została uniesiona daleko na wschód. Sądzę, że załódze dżonki nic nie zagraża.

Rozległ się piskliwy sygnał telefonu łączności wewnętrznej i Hauser sięgnął po słuchawkę.

- Tak?

- Czy jest tam dowódca, panie kapitanie?

- Chwileczkę. - Hauser przekazał słuchawkę Mortonowi.

- Słucham.

- Mówi Kaiser z kabiny hydrolokacji. Złapałem echo i myślę, że powinien pan tego posłuchać.

- Zaraz przyjdę. - Morton odłożył słuchawkę, zafrapowany faktem, że Kaiser nie wywołał go zwyczajnie przez interkom.

Zastał starszego hydrolokatora Richarda Kaisera ze słuchawkami na uszach, pochylonego nad konsolą aparatury. Brwi miał mocno ściągnięte, a na jego twarzy malował się wyraz oszołomienia. Pierwszy oficer, kapitan Ken Fazio, siedział obok, przyciskając dłońmi słuchawki, i także wyglądał jak rażony gromem.

- Macie jakieś echo? - zapytał Morton.

Kaiser nie odpowiedział od razu. Nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, wreszcie ściągnął słuchawki z głowy i mruknął:

- To wariactwo.

- Wariactwo?

- Nie mam pojęcia, skąd mógł się tu wziąć taki sygnał.

Fazio pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Niech mnie kule biją.

- Czy moglibyście mi wreszcie uchylić rąbka tej tajemnicy? - zapytał zniecierpliwiony Morton.

- Przełączę to na głośnik - odparł Kaiser.

Morton, a także kilku innych oficerów i marynarzy, do których wieści o niezwykłym sygnale dotarły chyba drogą osmozy, stłoczyło się wokół sonaru, wbijając spojrzenia w głośnik. Dźwięk, który stamtąd popłynął, nie był zbyt czysty, ale dostatecznie wyraźny. W niczym jednak nie przypominał wielorybich pisków czy też basowego dudnienia silników okrętowych. Czyjś głos śpiewał:

*Każdej nocy, gdy rozgwiezda zamykała oczu gniazda.*

*Pocałunkom końca nie było.*

*Ach, jakież cudowne chwile z małą Syrenką spędziłem*

*Tam na dnie, w podmorskiej głębinie.*

Morton utkwiał w Kaiserze lodowate spojrzenie.

- To jakiś dowcip?

- Żaden dowcip, panie komandorze.

- Widocznie łowimy głosy z tej chińskiej dzonki.

- Niemożliwe, panie komandorze. Nie mogą pochodzić z żadnego statku na powierzchni.



- To może z innej łodzi podwodnej? - zauważył Morton sceptycznie. - Na przykład rosyjskiej?

- Sądzi pan, że oni potrafią budować dziesięciokrotnie wytrzymalsze łodzie od naszej? - zapytał Fazio.

- Proszę podać odległość i kierunek - rozkazał Morton.

Kaiser zawahał się, miał taką minę jak dziecko, które znalazło się w kłopotach, a nie ma odwagi wyznać prawdy.

- Namiernik horyzontalny pokazuje zero, panie komandorze. Śpiew dolatuje z dna morza wprost pod nami, z głębokości pięciu tysięcy metrów.

Żółtawa chmurka, utworzona przez mikroskopijne szkieleciki morskich żyjątek zwanych okrzemkami, powoli odpłynęła w dal i zniknęła w mroku oceanicznej toni.

Dno wąwozu, w którym jeszcze niedawno znajdowała się baza eksploracyjna NUMA, zostało usłane głazami i kamieniami, tworząc niesamowity, dziki krajobraz, gdzie z grubej warstwy mułu wystawały ostre krawędzie skał i różne szczątki konstrukcji. Po ostatnim spazmie trzęsienia ziemi powinna tu nastać grobowa cisza, ale właśnie z tego rumowiska płynęła w morską otchłań śpiewana chórem Mała Syrenka.

Gdyby ktoś przeszedł się po tym terenie, szukając źródła głosów, znalazłby jedynie wystającą z mułu, pogiętą i złamaną antenę. Na krótko zainteresowała się nią szaroróżowa rybka z rodziny chimer, kiedy stwierdziła jednak, że ów przedmiot jest niejadalny, machnęła ogonem i bez pośpiechu popłynęła dalej.

Tuż przed zniknięciem ryby kilka metrów od anteny muł zaczął się burzyć, tworząc coraz szerszy wir, z którego wypływała dziwna poświata. Po chwili snop jaskrawego światła wychynął spodniego, a za nim pojawiła się wielka metalowa łapa, zakończona czerpakiem na przegubie. Wyprostowała się z wolna niczym piesek preriowy, stojący słupka i wypatrujący kojotów.

Po chwili opadła jak złamana, czerpak zanurzył się w mule i odgarnął go, tworząc szeroki rów, opadający niczym pochylnia. Kiedy łapa trafiła na wielki odłam, który nie mieścił się w czerpaku, obok niej jak zaczarowane wynurzyło się drugie ramię z chwytakiem, jego wielkie paluchy objęły głaz, uniosły z podłoża i zrzuciły na bok, gdzie spadł w wielkiej chmurze mułu. Łapa z czerpakiem podjęła pracę kopania rowu.

- Wspaniałe urządzenie, panie Pitt - rzekł Plunkett, uśmiechając się z ulgą. - Za jego pomocą wydostaniemy się stąd i pojedziemy po równym nie później niż w porze obiadu.

Dirk pólleżał w odchylanym foteliku i wpatrywał się w ekran monitora z taką uwagą, jaką poświęcał tylko meczom piłkarskim.

- Jeszcze nie wyjechaliśmy na autostradę.

- Zamknijcie się w tym PEGO i wjazd do służby ciśnieniowej tuż przed nadejściem najsilniejszych wstrząsów to było iście genialne posunięcie.

- Bez przesady - mruknął Pitt, zajęty wprowadzaniem do komputera sterującego drobnymi zmianami w profilu kopanego wyjazdu. Nazwijmy to zastosowaniem w życiu dobrych rad pana Spocka<sup>\*1</sup>.

---

<sup>1</sup>\* Benjamin Spock, ur. 1903, amerykański lekarz pediatra i działacz społeczny, autor licznych książek z zakresu pielęgnacji niemowląt i opieki nad dziećmi (przyp. tłum.)

- Ale przecież śluzą wytrzymała i dzięki Opatrzności nie skończyliśmy jak rozgniatane obcasem pluskwy - odparł Plunkett.

- Komora została tak zaprojektowana, aby wytrzymać ciśnienie czterokrotnie większe od tego, czemu mogły się oprzeć pozostałe budowle - stwierdził Dirk stanowczo. - Dzięki Opatrzności, jak się pan wyraził, przed zejściem tej lawiny zdążyliśmy wyrównać ciśnienie w śluzie, otworzyć wrota zewnętrzne i wyjechać przynajmniej na tyle, by móc operować wysięgnikami. W przeciwnym razie zostalibyśmy uwięzieni w pułapce na tak długo, że aż boję się o tym myśleć.

- Och, niech to wszyscy diabli! - zaśmiał się Plunkett. - Cóż to za różnica, jeśli i tak jesteśmy zamknięci w tej trumnie.

- Wolalbym, żeby nie nazywał pan tego trumną.

- Przepraszam. - Anglik siedział na sąsiednim, nieco odsuniętym do tyłu foteliku i uważnie rozglądał się po wnętrzu PEGO. - To cholernie zmyślna maszyna. Czym jest zasilana?

- Małym reaktorem atomowym.

- Atomowym? Wy, jankesi, nigdy nie przestaniecie mnie zadziwiać. Gotów byłbym się założyć, że ten potwór może przejechać po dnie i wynurzyć się na plaży Waikiki.

- I wygrałby pan ten zakład - odparł Pitt z lekkim uśmiechem. - Reaktor "Wielkiego Johna" i systemy wytwarzania tlenu umożliwiają taką podróż, jest tylko pewien problem: jego maksymalna prędkość wynosi pięć kilometrów na godzinę. Umarlibyśmy z głodu co najmniej tydzień przed dotarciem do celu.

- Zapomniał pan spakować kanapki? - zapytał z humorem Plunkett.

- Nie ma tu nawet jabłka.

Anglik spojrzał na Dirka z ukosa.

- Nawet śmierć mi nie straszna, bylebym tylko nie musiał już słuchać tej przekłętej piosenki.

- Nie podoba się panu Mała Syrenka? - w głosie Pitta brzmiało wyraźne zdumienie.

- Po dwudziestu powtórzeniach obrzydłaby mi każda piosenka.

- Linia komunikacyjna została zerwana i naszą jedyną łączność ze światem stanowi nadajnik fal akustycznych. Ma zbyt małą moc do przekazania wiadomości, zatem nie pozostaje nam nic innego. Mógłbym zaproponować walce Straussa albo nagrania big-bandów z lat czterdziestych, sądzę jednak, że taka muzyka byłaby nie na miejscu.

- Cóż, nie przeglądałem katalogu pańskich nagrań - mruknął Plunkett, po czym zerknął na Pitta. - A co się panu nie podoba w walcach Straussa?

- To muzyka instrumentalna, a zniekształcone przez wodę dźwięki skrzypiec mogą przypominać głosy wielorybów czy innych ssaków morskich, Syrenka zaś jest utworem wokalnym. Jeśli usłyszy ją ktoś na powierzchni, to bez względu na zniekształcenia rozpozna mowę ludzką i będzie wiedział, że ktoś jeszcze oddycha tu powietrzem.

- Mimo wszystkich logicznych argumentów - rzekł Plunkett - nawet jeśli odnajdzie nas jakaś wyprawa ratunkowa, nie będziemy mogli się przesiąść z tego pojazdu do łodzi podwodnej bez śluzy powietrznej, a tego właśnie brakuje w tej skądinąd fantastycznej maszynierii. Jeśli mam mówić realistycznie, to nie widzę w najbliższej przyszłości niczego poza naszym nieuchronnym zgonem.

- Wolałbym, żeby nie używał pan słowa zgon.

Plunkett sięgnął do kieszeni swego obszernego, wełnianego swetra i wyciągnął stamtąd butelkę.

- Zostało nie więcej jak cztery łyki, ale i to na jakiś czas powinno nas podnieść na duchu.

Pitt przyjął z jego rąk butelkę, lecz w tej samej chwili olbrzymi wehikuł zadygotał spazmatycznie. Czerpak zgrzytnął o wielki odłam skalny, próbując unieść go z podłoża. Przekraczający nośność urządzenia ciężar zachwiało się na łyżce, grożąc przewróceniem "Wielkiego Johna". W końcu jednak, jakimś tytanicznym wysiłkiem, ramię dźwignęło olbrzymi głaz, przeniosło w bok i zrzuciło na stertę obok kopanego wyjazdu.

Chmura podniesionego mułu przesłoniła światła reflektorów, a ekrany monitorów w kabinie wypełniły spiralne, żółte i szare pasma. Tylko komputerowa, trójwymiarowa projekcja dna oparta na wskazaniach sonaru pozostała nie zmieniona.

Minęło pięć godzin od chwili rozpoczęcia przez Pitta kopania rowu, kiedy wreszcie na ekranach ukazał się wąski, lecz stosunkowo równy wyjazd na płaską powierzchnię dna morskiego. Pewnie zdrapiemy trochę farby z błotników, ale mam nadzieję, że się przeciwniemy - oznajmił zadowolony Dirk.

Oblicze Plunketta rozjaśnił uśmiech.

- Zatem gaz do dechy, panie Pitt. Robi mi się niedobrze od ciągłego patrzenia na ten muł.

Dirk uniósł głowę i mrugnął znacząco swym zielonym okiem.

- Jak pan sobie życzy, panie Plunkett. - Przełączył komputer na sterowanie ręczne i przez chwilę gimnastykował palce niczym pianista przed koncertem. - Niech pan trzyma kciuki, żeby gąsienice nie zagrzebały się w dnie, bo inaczej będziemy musieli tu założyć stałą rezydencję.

Delikatnie pchnął dźwignię gazu. Szerokie gąsienice "Wielkiego Johna" ruszyły jednocześnie, ślizgając się nieco po ruchomym podłożu. Pitt zwiększył obroty, koła zakręciły szybciej i pojazd z wolna przyspieszył.

Po chwili jedna gąsienica zagrzebała się w kupie drobnego żwiru, ściągając olbrzymi wehikuł na ścianę wykopu. Dirk szybko poruszył dźwigniami, lecz traktor zawadził o zbocze i masa mułu osunęła się na bok pojazdu.

Zmniejszył gaz, wrzucił wsteczny bieg, cofnął trochę i ponownie ruszył całą w przód. Rozbijał w ten sposób "Wielkiego Johna", lecz choć reaktor zapewniał odpowiednią moc, gąsienice wciąż nie mogły znaleźć solidnego oparcia. Wypadały spod nich strugi kamieni i mułu przemielonego w grząską maź.

PEGO wciąż nie mógł się wydostać z wąskiego wykopu.

- Może powinniśmy zatrzymać i zgrnąć jeszcze trochę tego mułu - powiedział Plunkett śmiertelnie poważnym tonem. - Albo jeszcze raz zastanowić się nad naszą sytuacją.

Dirk poświęcił kilka chwil na obrzucenie Anglika twardym, przenikliwym spojrzeniem, które - co do tego Plunkett nie miał wątpliwości - spopieliło zauważalną liczbę komórek w jego mózgu.

- Ja i moi ludzie ciężko pracowaliśmy przez dłuższy czas aby zbudować tę pierwszą podmorską bazę - oznajmił wręcz diabolicznym tonem. - Ktoś ponosi odpowiedzialność za jej zniszczenie, a także za uszkodzenie pańskiego batyskafu, zatopienie statku oceanograficznego i śmierć jego załogi. Tak wygląda sytuacja. Z mojej strony jestem gotów zrobić wszystko, żeby wyleźć z tego gówna, choćbym miał dokumentnie zarżnąć ów pojazd, wydostać się na powierzchnię, znaleźć gnoja odpowiedzialnego za te straszne zniszczenia i wbić mu wszystkie zęby w głąb czaszki.

Odwrócił się szybko i zaczął dalej mleć gąsienicami mieszaninę mułu i kamieni. "Wielki John" szarpnął nagle i skoczył metr do przodu. Po chwili pokonał następny metr drogi.

Plunkett siedział jak oniemiały, był pod silnym wrażeniem, a nawet trochę przestraszony. Na Boga, pomyślał, ten facet byłby naprawdę zdolny do czegoś podobnego!

Osiem tysięcy kilometrów dalej, w głębokiej sztolni wykutej w skale wulkanicznej, grupa górników rozstała się, przepuszczając dwóch mężczyzn, którzy zajrzeli do dziury w betonowej ścianie. Buchający stamtąd fetor poraził dwudziestoosobową ekipę jak powiew straszliwej tajemnicy.

Słabe światło reflektorów, które w sztolni rozrzucało długie cienie, ledwie przenikało do tego tuneliku wybitego w metrowej grubości betonowej ścianie. Za nią dało się odróżnić jedynie starą, zardzewiałą ciężarówkę, stojącą jakby w morzu szarobrunatnych suchorośli.

Mimo chłodnego i wilgotnego powietrza, które wypełniało korytarz w zerodowanej skale wysepki Corregidor u wejścia do Zatoki Manilskiej, obu mężczyzn zagładających przez otwór zalewał pot. Mieli już pewność, że po latach poszukiwań znaleźli jedno z miejsc ukrycia największej ze zrabowanych w czasie drugiej wojny światowej kolekcji skarbów, zwanej "złotem Yamashity" - od imienia generała Yamashity Tomoyuki, będącego od października 1944 roku dowódcą wojsk japońskich na Filipinach.

Na niewyobrażalny łup zebrany przez Japończyków podczas ich podbojów - od Chin, przez państwa Azji Południowo-Wschodniej, Holenderskie Indie Wschodnie, aż po Filipiny - składały się tysiące ton rzadkich kamieni szlachetnych, wyrobów jubilerskich, przedmiotów ze srebra i złota oraz posążków Buddy, kielichów i lichtarzy z kościołów katolickich, często pokrywanych złotem i wysadzanych klejnotami.

Cały ten skarb gromadzono w Manili, skąd miał zostać przetransportowany do Japonii, ale z powodu wielkich spustoszeń, jakie w japońskiej flocie czyniły w ostatniej fazie wojny amerykańskie łodzie podwodne, nie więcej niż dwadzieścia procent łupu dotarło do Tokio. W obliczu inwazji posuwających się szybko Amerykanów japońscy strażnicy skarbu stanęli wobec dylematu. Nie w głowie było im jednak zwrócić zagrabione kosztowności wyzwalanym narodom. Wybrali jedyne możliwe rozwiązanie: ukryli łup w ponad stu kryjówkach na wyspie Luzon i w najbliższym jej sąsiedztwie, mając nadzieję wrócić tu kiedyś i przemycić go do Japonii.

Według bardzo ostrożnych szacunków wartość zrabowanego skarbu w cenach bieżących wahała się od 450 do 500 miliardów dolarów.

Prace poszukiwawcze w tym szczególnym miejscu wyspy Corregidor, kilkaset metrów na zachód i dobry kilometr poniżej wcześniejszych fortyfikacji, gdzie mieściła się przed ewakuacją do Australii główna kwatera generała Douglasa MacArthura, trwały już od czterech miesięcy. Kierowali nimi agenci wywiadów amerykańskiego i filipińskiego, posługując się starymi mapami Urzędu Służb Strategicznych, które ostatnio odnaleziono w

archiwach CIA w Langley. Drażenie sztolni posuwało się bardzo powoli.

Dzięki temu, że udało się odczytać opis mapy, wykonany w starożytnym, nie używanym od tysiąca lat dialekcie języka japońskiego, sztolnię do bunkra ze skarbami poprowadzono pod kątem do pierwotnego tunelu, który został zaminowany kilkoma ćwierć- i półtonowymi ładunkami i zawaliłby się przy pierwszej próbie przejścia. Penetrację trzydziestokilometrowego labiryntu, wydrążonego przez Japończyków w czasie okupacji Luzonu, zaplanowano niezwykle starannie, w przeciwnym bowiem razie górnicy mogliby pracować przez wiele miesięcy, odkrywając niewłaściwe poziomy, choćby nawet sąsiadujące z korytarzem wiodącym do komory ze skarbem.

Wyższy z dwóch mężczyzn, Frank Mancuso, ruchem ręki kazał podać sobie latarkę, a następnie wsunął ją do otworu w betonowej ścianie. W żółtawym, mętnym blasku jego twarz okryła się nagle bladością. Z przerażeniem ujrzał, co naprawdę otacza ciężarówkę, a co początkowo wziął za jakieś suche badyle.

Rico Acosta, inżynier górnictwa nadzorujący prace ze strony filipińskich służb wywiadowczych, przysunął się jeszcze bliżej do Mancusa.

- I co tam widzisz, Frank?

- Kości - odparł Mancuso ledwie słyszalnym szeptem. - Szkielety. Mój Boże, muszą ich tam być setki. - Odsunął się i skinął głową w stronę Acosty.

Niski Filipińczyk wskazał górnikom otwór i polecił:

- Poszerzcie to.

Tubylcy chwycili za kilofy i w niespełna godzinę wykuli przejście wielkości człowieka. Cement, z którego wzniesiono ściany bunkra, był kiepskiej jakości, kruszył się i rozpadał, co czyniło ich pracę łatwiejszą. Wszyscy poczytali ten fakt za przychylność losu, nikt bowiem nie chciał ryzykować tragedii, do jakiej mogło doprowadzić użycie materiałów wybuchowych.

Mancuso cofnął się nieco w głąb sztolni i zapalił pękata, bogato rzeźbioną fajkę. Mimo czterdziestu dwóch lat był szczupłym mężczyzną o długich rękach i typowej sylwetce koszykarza. Kosmyki ciemnych włosów opadały mu na kark posklejanymi strąkami, które aż się prosiły o wymycie, a okrągła twarz o łagodnych, germańskich rysach bardziej pasowałaby do poborcy podatkowego niż inżyniera górnictwa. Błękitne oczy zdawały się wiecznie rozmarzone, chociaż niewiele uchodziło ich uwadze.

Po ukończeniu Wyższej Szkoły Górniczej w Kolorado przez wiele lat wędrował po świecie w poszukiwaniu drogocennych kamieni. Ze zmiennym powodzeniem wydobywał opale w Australii, szmaragdy w Kolumbii i rubiny w Tanzanii, przy czym aż trzy lata poświęcił na bezowocne poszukiwania na pomocnej japońskiej wyspie Hokkaido najrzadszych okazów:

czerwonych painitów.

Jako trzydziestolatek został zwerbowany przez komórkę wywiadowczą z Waszyngtonu, a po uzyskaniu stopnia kontraktowego agenta specjalnego otrzymał pierwsze samodzielne zadanie: przydział do jednostki bezpieczeństwa na Filipinach, która zajmowała się poszukiwaniem "złota Yamashity".

Sztolnię drażono w całkowitej tajemnicy, gdyż nikt nie zamierzał niczego zwracać pierwotnym właścicielom kosztowności. Jakikolwiek znaleziska miały zasilić kulejący budżet rządu filipińskiego i choć trochę podreperować ekonomiczną pozycję państwa zdewastowanego finansowo przez reżim Marcosa.

Partner Mancusa, Acosta, także pracował w górnictwie przed wstąpieniem do służby bezpieczeństwa. Jak na Filipińczyka był wysoki, ale lekko skośne oczy świadczyły wyraźnie, że wśród jego przodków byli Chińczycy.

- A zatem plotki się sprawdziły - rzekł teraz.

Mancuso uniósł głowę.

- Słucham?

- Japończycy zmuszali jeńców wojennych do kopania tuneli, a następnie zamuroywali ich żywcem, żeby nikt nie mógł zdradzić lokalizacji bunkrów.

- Na to wygląda. Szczegóły poznamy po wejściu do środka.

Acosta zdjął z głowy kask i rękawem koszuli otarł spocone czoło.

- Mój ojciec służył w pięćdziesiątym siódmym filipińskim pułku zwiadowczym. Dostał się do niewoli i wylądował w starych hiszpańskich lochach w Forcie Santiago. Nigdy stamtąd nie wyszedł. Zginęło tam z głodu bądź podusiło się ponad dwa tysiące jeńców, choć dokładna liczba ofiar nie jest znana do dziś.

Mancuso ociężale pokiwał głową.

- Przyszłe pokolenia nie będą potrafiły sobie nawet wyobrazić, jakim barbarzyństwem charakteryzowały się działania wojenne na Pacyfiku. - Zaciągnął się głęboko i wypuścił kłęb niebieskawego dymu. - Statystyki mówią, że zginęło pięćdziesiąt siedem procent jeńców wojennych przetrzymywanych w japońskich obozach, podczas gdy w hitlerowskich obozach jenieckich stracił życie tylko co setny żołnierz.

- Wydaje mi się dziwne, że Japończycy nie wrócili tu później i nie podjęli wysiłków wydobycia skarbu z bunkra.

- Zgłaszały się różne grupy pod szyldem firm budowlanych, chcąc w ramach reparacji uczestniczyć w odbudowie kraju i zapewne w tajemnicy wywieźć złoto, lecz gdy Ferdynand Marcos dowiedział się o istnieniu skarbu, zamknął przed nimi wszystkie drzwi i sam



rozpoczął poszukiwania.

- Znalazł część łupu - dodał Acosta - mniej więcej o wartości trzydziestu miliardów dolarów, który udało mu się wywieźć za granicę przed upadkiem reżimu.

- Sporo też ukradł własnemu narodowi.

Acosta z pogardą splunął na skalne podłoże sztolni.

- On i jego żona byli chorobliwie pazerni. Potrzebujemy teraz chyba ze stu lat, żeby dźwignąć kraj z ruiny.

Brygadzysta górników pomachał ręką, przywołując ich do siebie.

- Teraz będziecie chyba mogli się precyzyjnie - rzekł.

- Spróbujemy. - Acosta skinął głową na Mancusa. - Idź przodem.

Bijący z wnętrza fetor przyprawiał o mdłości. Amerykanin zawiązał sobie chustę na twarzy, osłaniając nos i usta, po czym wszedł w wąską wyrwę w betonowej ścianie. Do jego uszu doleciał stłumiony plusk, po chwili trafił butem na kałużę. Stał u wylotu tunelu i zasłuchał się w odgłos wody kapiącej ze spękanego kopulastego sklepienia. Wreszcie włączył lampkę na hełmie i skierował wąty strumień światła pod stopy.

Stał na zmiążdżonej jego ciężarem kości przedramienia szkieletu, który pokrywały strzępy munduru i czarne plamy błota. Obok czaszki leżał okrągły znaczek tożsamości, a na szyi kościotrupa wciąż jeszcze wisiał cieniutki łańcuszek.

Mancuso przykucnął i uniósł jeden z identyfikatorów do światła. Kilkoma ruchami kciuka otarł z niego nalot i odczytał wybite nazwisko: William A. Miller.

Pod spodem widniał numer akt wojskowych, lecz Frank odłożył znaczek na miejsce. Wiedział, że gdy tylko przedstawi swym przełożonym raport o znalezisku, na wyspę Corregidor przybędzie specjalna grupa, która odeśle do ojczyzny prochy Williama A. Millera i jego towarzyszy na spóźniony o pięćdziesiąt lat uroczysty pogrzeb.

Mancuso podniósł się i powiódł światłem lampki dokoła: gdziekolwiek sięgnął promyk, napotykał szkielety, bądź to leżące pojedynczo, bądź zrzucane na stosy. Odczytał jeszcze kilka znaczków rozpoznawczych, zanim we wnętrzu bunkra pojawił się Acosta, ciągnąc za sobą kabel przenośnego reflektora.

- Matko przenajświętsza - szepnął, ujrawszy masę ludzkich szczątków. - To cała armia poległych.

- Armia sił sprzymierzonych - wyjaśnił Mancuso. - Są tu Amerykanie, Filipińczycy, a nawet kilku Anglików i Australijczyków. Wygląda na to, że Japończycy zwozili na roboty przymusowe do Manili jeńców z różnych frontów.

- Bóg jeden wie, przez jakie piekło przeszli ci ludzie - mruknął Acosta; aż poczerwieniał

z wściekłości, a żołądek podszedł mu do gardła. Musnął palcami krzyżyk noszony na szyi. - Jak zginęli?

- Nie zauważyłem żadnych śladów po kulach. Musieli się podusić, zamurovani żywcem w tym bunkrze.

- Ci, którzy wydali rozkaz takiej masowej egzekucji, powinni za to zapłacić.

- Prawdopodobnie zginęli w tej rzezi, jaką armia MacArthura urządziła w okolicach Manili. A jeśli jeszcze żyją, nie da się im niczego udowodnić. Siły sprzymierzone na Pacyfiku postępowały zbyt łagodnie, nie podjęto żadnej akcji ścigania odpowiedzialnych za ludobójstwo, choćby takiej, jaką Żydzi podjęli wobec faszystów. Jeśli nie zostali zdemaskowani i powieszani zaraz po wojnie, nic im już nie grozi.

- Ja jednak uważam, że powinni zostać ukarani - powtórzył Acosta, którego złość przeradzała się powoli w zapiekłą nienawiść.

- Porzuć myśli o zemście - rzekł Mancuso. - Naszym zadaniem jest odnalezienie skarbu.

Podszedł do pierwszej z długiego szeregu ciężarówek, które stały pośród szkieletów. W kołach nie było powietrza, a górne części plandek dokumentnie przegniły pod wpływem skapującej wody.

Szarpnął przerdzewiałą klapę, opuścił ją i skierował strumień światła na skrzynię, ale oprócz sterty połamanych desek nie było tam niczego.

Straszne przecucie ścisnęło żołądek Franka. Ruszył szybko w stronę następnej ciężarówki, uważając, żeby nie nadepnąć ludzkich szczątków i nie pośliznąć się na błotnistym podłożu. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Olbrzymim wysiłkiem woli zmuszał się do działania, pełen obaw, że niczego tu nie znajdą.

Druga ciężarówka także była pusta, podobnie jak sześć pozostałych. Po dwustu metrach tunel kończył się potężnym zawaliskiem, które górnicy bez trudu określili jako skutek odpalenia ładunku wybuchowego. Ale szok wywołał widok auta zamykającego kolumnę - współczesnej furgonetki kempingowej, której błyszczące aluminiowe boki nie pasowały do reszty wozów pochodzących z lat czterdziestych. Na jej burtach nie było żadnych oznaczeń, lecz Mancuso zanotował w pamięci znaczek producenta widniejący na oponach.

Wszedł po metalowych schodkach i stanął u wejścia do furgonetki, omiatając wnętrze światłem lampki. Umebłowanie auta przypominało pokój biurowy, Mancuso często widywał podobne na różnych budowach.

Po chwili zbliżył się Acosta, za którym czterech górników ciągnęło kabel reflektora. Zamarł w bezruchu, oświetlając furgonetkę.

- A skąd to się tu wzięło, do diabła? - mruknął ze zdumieniem.

- Poświeć do środka - rzekł Mancuso, pełen najgorszych przeczuć.

W blasku reflektora ukazało się im wyczyszczone wnętrze furgonetki; na stolikach nie było niczego, kosz na śmieci stał pusty, nie dostrzegli nawet popielniczki. Tylko wiszący na haku kask budowlany i czarna tablica szkolna na ścianie świadczyły o przeznaczeniu furgonu. Mancuso przyjrzał się wypisanym na niej kolumnom liczb: cyfry były arabskie, ale nad nimi widniały symbole nakreślone katakana.

- Rozkład zajęć? - zapytał Acosta.

- Nie. Inwentarz skarbu.

Filipińczyk opadł na krzesło stojące za biurkiem.

- Przepadło! Udało im się przemycić kosztowności.

- Prawie dwadzieścia pięć lat temu, jeśli wierzyć dacie wypisanej na tablicy.

- To sprawka Marcosa? On miał największe szansę, aby dotrzeć tu pierwszy.

- Nie, to nie Marcos - odparł Mancuso, jakby znał już całą prawdę. - Japończycy.

Wrócili tu, zabrali złoto, a nam zostawili same kości.

Curtis Meeker zaparkował mercurego cougara swojej żony i swobodnym krokiem ruszył w stronę Teatru Forda, znajdującego się przy Dziesiątej, między ulicami E i F. Podmuchy chłodnego wiatru zmusiły go do zapięcia płaszcza. Przyłączył się do grupy starszych ludzi, którzy tego sobotniego popołudnia wybrali się na pieszą wycieczkę po stolicy.

Przewodnik zatrzymał grupę przed frontonem teatru, w którym John Wilkes Booth zastrzelił Abrahama Lincolna, opowiedział im o tamtych zdarzeniach, po czym wskazał gmach Petersena po drugiej stronie ulicy, gdzie prezydent wyzionął ducha. Meeker niepostrzeżenie wysunął się z grupy, pokazał strażnikowi legitymację urzędnika federalnego i wszedł do foyer teatru. Zamienił kilka słów z bileterem, po czym usiadł na sofie i zagłębił się w lekturze programu.

Na wszystkich spóźnionych na premierę, którzy mijali go, śpiesząc na swoje miejsca, musiał sprawiać wrażenie bywałego teatromana wolącego posiedzieć w foyer, zamiast oglądać kolejne przedstawienie z końca dziewiętnastego wieku, opowiadające o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej.

Ale Meeker nie był ani turystą, ani teatromanem. Zajmował stanowisko wicedyrektora do spraw specjalnych operacji i rzadko kiedy spędzał popołudnia poza swoim biurem, gdzie śledzał głównie nad zdjęciami wykonanymi przez satelity szpiegowskie.

Ten małomówny mężczyzna, który nieczęsto wypowiadał więcej niż dwa zdania naraz, cieszył się w kręgach wywiadu wielkim szacunkiem i opinią najlepszego analityka zdjęć w branży. Kobiety uważały go za przystojnego, o czarnych włosach delikatnie przetkanych siwizną, miłych rysach twarzy, uroczym uśmiechu i oczach świadczących o wrodzonej łagodności.

Nie unosząc wzroku znad programu, Meeker dyskretnie wsunął rękę do kieszeni i wcisnął guzik nadajnika.

Siedzący na widowni Raymond Jordan walczył z sennością i mimo karcących spojrzeń żony ziewał ukradkiem, znudzony napisanym przed stu laty dialogiem. Na szczęście dla publiczności siedzącej w starych, twardych fotelikach, sztuki wystawiane w Teatrze Forda były krótkie. Jordan znalazł nieco wygodniejszą pozycję na drewnianym siedzeniu i zatopił się w myślach o planowanej na dzień następny wyprawie na ryby.

Nagle w jego marzenia brutalnie wdarły się trzy krótkie piski elektronicznego zegarka. Urządzenie, wyposażone w sygnalizacyjny aparat nadawczo-odbiorczy, zwane Delta, zostało umieszczone w kopercie marki Raytech i nie różniło się od innych tej klasy zegarków. Jordan pospiesznie osłonił go ręką i zerknął na wyświetlacz. Widniejący tam kod Delta świadczył, że

stało się coś poważnego i że ktoś będzie na niego czekał.

Szepnął żonie słowa przeprosin, przepchnął się do wyjścia i zszedł do foyer. Na widok Meekera ogarnęły go mieszane uczucia: z jednej strony cieszył się z możliwości wyjścia z nudnego przedstawienia, z drugiej zaś martwił, że powodem tego była jakaś krytyczna sytuacja.

- Co się stało? - zapytał prosto z mostu.

- Wiemy, który statek miał na pokładzie bombę - odparł Meeker, podnosząc się z sofy.

- Nie możemy tu rozmawiać.

- Bileter udostępni nam gabinet dyrektora teatru, tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Jordan znalazł ten pokój, poszedł za Meekerem i wkrótce znaleźli się w saloniku umeblowanym tak samo jak w roku 1860. Zamknął za sobą drzwi i spojrzał Curtisowi w twarz.

- Jesteś pewien? Nie ma mowy o pomyłce?

Meeker energicznie pokręcił głową.

- Na wcześniejszych zdjęciach z satelity meteorologicznego widać w tamtym rejonie trzy statki. Uruchomiliśmy czujniki naszego starego Sky Kinga, kiedy przechodził nad miejscem eksplozji, i odnaleźliśmy dwa spośród nich.

- W jaki sposób?

- Komputerowa obróbka danych radaru i sonaru pozwala widzieć dno morza jak na dłoni.

- Kazaleś swoim ludziom zachować ścisłą tajemnicę?

- Tak.

Jordan patrzył Meekerowi prosto w oczy.

- I jesteś pewien swoich konkluzji?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Dowody są oczywiste?

- Całkowicie.

- Wiesz chyba, że wspólnie ponosimy odpowiedzialność, gdyby coś było nie tak.

- Kiedy tylko skończę pisać raport, pojedę do domu i wyśpię się jak niemowlę. .. No, prawie jak niemowlę.

Jordan rozluźnił się i usiadł na krześle przy stole. Spojrzał w górę na Meekera i rzekł:

- W porządku, możesz mówić.

Tamten wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza skórzane etui na dokumenty i

położył je przed Raymondem. Jordan uśmiechnął się.

- Widzę, że nie ufasz aktówkom.

- Lubię mieć wolne ręce - odparł Curtis, wzruszając ramionami. Otworzył etui i wyjął pięć fotografii. Pierwsze trzy ukazywały z detalami grupę statków. - To jest norweski liniowiec pasażersko-kontenerowy, który krążył wokół tego dryfującego towarowca japońskiego, a dwanaście kilometrów dalej stał brytyjski statek oceanograficzny. Widzisz go tu w trakcie spuszczenia na wodę batyskafu.

- To przed wybuchem?

Meeker skinął głową.

- Te dwa zdjęcia, pochodzące ze Sky Kinga, zrobione po eksplozji, przedstawiają dwa wraki leżące na dnie. Trzeci statek zniknął, poza drobnymi szczątkami jego maszyn, które można dostrzec pod wodą, nie zostało z niego dosłownie nic.

- Który zniknął? - zapytał powoli Jordan, jak gdyby bał się poznać odpowiedź.

- Zidentyfikowaliśmy dwa zatopione statki. - Meeker zamilkł na chwilę, obrócił fotografię do siebie i spojrzał Jordanowi w oczy, widocznie chcąc informacji nadać większą wagę. - Bomba atomowa znajdowała się na pokładzie japońskiego towarowca do przewozu aut.

Raymond z głośnym westchnieniem odchylił się na oparcie krzesła.

- Nawet mnie to nie zaskoczyło, że Japończycy mają bombę. Dysponowali odpowiednią technologią już od lat.

- Owszem, dokonali przełomu, konstruując chłodzony ciekłym metalem reaktor powielający na szybkie neutrony, który wytwarza więcej paliwa plutonowego, niż sam jest w stanie zużyć. To pierwszy krok do budowy arsenału nuklearnego.

- Widzę, że odrobiłeś pracę domową.

- Muszę wiedzieć, czego mam szukać.

- Nic trudnego: tajnej fabryki broni atomowej - rzekł kwaśno Jordan.

Meeker spojrzał na niego bez cienia urazy, po czym uśmiechnął się.

- Mam rozumieć, że twoi agenci jeszcze nie znają jej lokalizacji?

- Nie - przyznał Jordan. - Japońcy przygotowali niewiarygodnie szczelną zasłonę. Mam wrażenie, że ich rząd też o niczym nie wie, tak jak my.

- Gdyby ta fabryka znajdowała się na powierzchni ziemi, nasz nowy satelita już dawno by ją namierzył.

- Nie odkryliście żadnych obszarów podwyższonej radioaktywności.

- Żadnych, z wyjątkiem znanych elektrowni atomowych oraz grobowca odpadów

promieniotwórczych w pobliżu miasta Kokota na wybrzeżu.

- Wiem, czytałem raporty. Zatopili stary czterotysięcznik wyładowany odpadami. Czy to możliwe, byśmy coś przeoczyli?

Meeker w zamyśleniu pokręcił głową.

- Musimy się jeszcze dokładnie przyjrzeć dużym placom budowy albo poszukać charakterystycznych konwojów dostawczych.

- Cholera! - parsknął Jordan. - Japończycy spokojnie wożą po oceanie bomby atomowe, które mają być dostarczone do jednego z naszych portów, a my siedzimy na tyłkach, nie wiedząc ani gdzie je produkują, ani kto jest odbiorcą, ani też nie znając celu całej tej operacji.

- Powiedziałeś: bomby?

- Odczyty centrum sejsmograficznego w Kolorado wskazują, że były dwie eksplozje w odstępach kilku milisekund.

- Fatalnie, że nie podjęta została większa operacja jakieś dziesięć lat temu.

- A skąd mielibyśmy wziąć pieniądze? - warknął Jordan. - Ostatnia ekipa co i rusz obcinała budżet służb wywiadowczych. Cała uwaga polityków koncentruje się teraz na Rosji i Środkowym Wschodzie, a nasi kumple z Japonii są chyba ostatni, do których Departament Stanu pozwoliłby się dobrać. Mamy zgodę jedynie na finansowanie tam dwóch emerytowanych agentów. Japonia, podobnie jak Izrael, jest poza naszym zasięgiem. Nie uwierzyłbyś, ile razy kazano nam odwrócić głowy, kiedy Mosad wyczyniał coś, za co później można było obwinie Arabów.

- Ale teraz prezydent będzie musiał dać wam wolną rękę, kiedy dowie się o powadze sytuacji.

- To się okaże jutro z samego rana, gdy tylko przekażę mu te informacje. - Jordan ponownie skrył się za maską obojętności, a jego głos odzyskał chłodny, rzeczowy ton. - Bez względu na to, jak się do tego zabierzemy, czeka nas zabawa w chowanego. Ale najbardziej przeraża mnie to, że może już być za późno, by skutecznie zatamować ten przeciek.

Zza drzwi doleciały stłumione głosy, przedstawienie dobiegło końca i ludzie opuszczali widownię. Jordan wstał z krzesła.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział Meeker, wyjmując z etui kolejną fotografię i unosząc ją do światła.

Raymond zerknął na widoczny w centrum niezwykły obiekt.

- Wygląda jak dziwaczny kombajn rolniczy. Czy on ma w tej sprawie jakieś znaczenie?

- Masz przed sobą tajemniczy pojazd głębinowy poruszający się po dnie morskim, pięć

tysięcy metrów pod powierzchnią i niecałe dwadzieścia kilometrów od miejsca wybuchu. Czy nie wiesz, do kogo on należy i co tam robi?

- Aha... - odparł powoli Jordan. - Wiem, nie poznałem go tylko. Dziękuję ci, Curtis.

Odwrócił się plecami do oszołomionego Meekera, otworzył drzwi i szybko wmieszał się w tłum ludzi wychodzących z teatru.



Pitt dotrzymał słowa i wyprowadził nieco poobijanego PEGO z mulistej pułapki. W końcu stalowe gąsienice zazgrzytały o wulkaniczne podłoże i powolutku, centymetr po centymetrze, wyciągnęły ciężki pojazd na równinę dna morskiego. Zostawiwszy za sobą wielką chmurę błota i kamieni, które niczym rzeka spływały z wysokiego podwozia wehikułu, potoczyli się po płaskim terenie.

- Wyszliśmy! - krzyknął zachwycony Plunkett. - Wspaniała robota!

- Wspaniała robota - powtórzył ironicznie Dirk. Włączył komputer i przywołał na ekran szereg map dna oceanicznego. - To cud, że nie rozhermetyzowaliśmy kabiny i nie mamy poważniejszych uszkodzeń mechanicznych.

- Drogi przyjacielu, moja wiara w ciebie jest bezkresna niczym morze... Aha, jesteśmy w jego głębinach. A zatem nawet przez chwilę nie wątpiłem w twoje męstwo.

Pitt spojrzał na niego spode łba.

- Jeśli przyjmiesz tak wszystko na słowo, to może byś kupił ode mnie jeden z nowojorskich mostów? Jak dla ciebie: za tysiąc.

- Niezły pomysł. To może zagramy w tysiąca?

- Grywasz w karty?

- Owszem, wytrzymuję nawet po kilka rozdań. Mam chyba niezłą rękę do kart. A ty?

- Ja mam raczej ciężką łapę starej służącej.

Dalej rozmawiali w ten sposób o błahostkach, jakby chcąc odegnać od siebie myśli o trudnym położeniu, obaj jednak świetnie zdawali sobie sprawę z sytuacji oraz groźby pozostania na zawsze w oceanicznej głębinie. Lecz jeśli nawet któryś z nich odczuwał strach, żaden nie śmiał tego okazać.

- Co teraz zrobimy, gdy już udało się wyjechać z tego wąwozu? - zapytał Plunkett tak swobodnym tonem, jakby prosił kelnera o następną filiżankę herbaty.

- Musimy wydostać się na powierzchnię - odparł Pitt, wskazując sklepienie kabiny.

- Ale ten wspaniały pojazd nie może się unosić w wodzie, a od powierzchni dzieli nas dobre pięć kilometrów oceanicznej toni, więc jakim sposobem masz zamiar osiągnąć to, co wydaje się niewykonalne?

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Siedząc spokojnie i podziwiając krajobrazy, czeka nas bowiem drobna przeprawa przez góry.

- Witamy na pokładzie, admirale. - Komandor Morton zasalutował sprężysto, po czym wyciągnął rękę w nieco nazbyt oficjalnym geście. Nie był zadowolony z takiego obrotu spraw i

nie miał zamiaru tego ukrywać. - Wyjątkowo zdarza nam się dostać rozkaz wynurzenia na pełnym morzu i wzięcia na pokład gościa. Muszę przyznać, że niezbyt mi się to podoba.

Sandecker uśmiechnął się krzywo, schodząc po trapie z "Muszli Szanghaju" na pokład wieżyczki nie do końca wynurzonego okrętu "Tucson". Od niechcienia uścisnął dłoń Mortona i przyjął taką pozę, jakby w zasadzie nie stało się nic niezwykłego.

- Nie nalegałem, żeby oderwano pana od rutynowych zadań i nie wpraszam się na drinka, komandorze. Jestem tu z rozkazu prezydenta i może mi pan wierzyć, że wołałbym pozostać w wygodnej kajucie dżonki.

Po twarzy Mortona przemknął bolesny skurcz.

- Nie mam nic przeciwko temu, admirale, ale rosyjskie satelity...

- Wykonają nam zdjęcia w naturalnych kolorach, ku uciesze analityków ich wywiadu, lecz zupełnie nie obchodzi mnie to, co tamci zobaczą i jakie wyciągną wnioski, - Odwrócił się w stronę wchodzącego na pokład drobnego Włocha. - To zastępca szefa naszego projektu, Al Giordino.

Niemal odruchowo Morton powitał Ala salutem i gestem zaprosił ich obu do centrum nawigacyjnego okrętu. Mężczyźni zeszli za komandorem do niewielkiego pomieszczenia, pośrodku którego znajdował się stół optyczny, ukazujący trójwymiarową projekcję dna morskiego, opartą na wskazaniach sonaru.

Pochylał się nad nim porucznik David DeLuca, oficer nawigacyjny "Tucsona". Wyprostował się, gdy Morton przedstawiał mu dwóch gości, i powitał ich szerokim uśmiechem.

- To dla mnie zaszczyt, admirale Sandecker. Nie opuściłem ani jednego pańskiego wykładu podczas studiów w akademii.

Admirał odpowiedział uśmiechem.

- Mam nadzieję, że również ani razu pan nie usnął.

- Skądże znowu. Pańskie wzmianki o pracach badawczych NUMA były fascynujące.

Morton posłał porucznikowi karcące spojrzenie, po czym ruchem głowy wskazał stół.

- Admirała bardzo interesuje pańskie odkrycie.

- Co możesz mi pokazać, synu? - zapytał Sandecker, kładąc dłoń na ramieniu DeLuki. - Otrzymałem informację, że przechwyciliście jakieś niezwykle sygnały z dna morskiego.

DeLuca zawahał się przez chwilę.

- Owszem, słyszeliśmy dziwną piosenkę...

- *Małą Syrenkę?* - zapytał Giordino.

Oficer skinął głową.

- Tak, na początku, ale później brzmiało to jak któryś z marszów Johna Philipa Souy.  
Morton zmrużył oczy.

- Skąd możecie to wiedzieć?

- To Dirk - stwierdził Giordino. - Uszedł z życiem.

- Miejmy nadzieję - rzekł Sandecker, tłumiąc uśmiech. Spojrzał na DeLukę. - Czy wciąż jeszcze słyszeć tę muzykę?

- Tak, panie admirale. Zrobiliśmy dokładne namiary i możemy dość precyzyjnie zlokalizować źródło.

- Czy ono się porusza?

- Tak, wędruje po dnie z szybkością mniej więcej pięciu kilometrów na godzinę.

- Zatem on i Plunkett musieli przeżyć trzęsienie ziemi i jada "Wielkim Johnem" - oznajmił kategorycznym tonem Giordino.

- Czy próbowaliście nawiązać kontakt? - admirał zwrócił się do Mortona.

- Usiłowaliśmy, ale nasze systemy akustyczne mają bardzo małą moc i nie sięgają głębiej niż na tysiąc metrów.

- Możemy się z nimi porozumieć przez telefon podwodny z łodzi głębinowej - wtrącił Al.

- Chyba że... - Sandecker zawiesił głos i spojrzał na Mortona. Czy odebraliście przekaz, gdyby tamci usiłowali skontaktować się ze statkiem na powierzchni, komandorze?

- Jeśli odbieramy tę muzykę, to zapewne byśmy zrozumieli także przekaz słowny. Co najwyżej zniekształcony i przytłumiony, ale nasz komputer dałby chyba radę odcyfrować wiadomość.

- A nie odebraliście takiego przekazu?

- Nie.

- Możliwe, że ich telefon został uszkodzony - mruknął Sandecker.

- I dlatego mogą nadawać wyłącznie muzykę?

- W pojeździe głębinowym jest awaryjny wzmacniacz akustyczny, zainstalowany na wypadek usterki systemów łączności - wyjaśnił Giordino. - Po to, żeby wyprawa ratunkowa mogła bez trudu odnaleźć wehikuł. Ale on nie nadaje się do przekazywania ani odbierania wiadomości słownych.

Komandora stopniowo ogarniała złość, bardzo nie lubił tracić kontroli nad sytuacją na pokładzie własnego okrętu.

- Czy wolno mi zapytać, cóż to za ludzie jada "Wielkim Johnem", jak sam pan to określił, i jakim to prawem bezkarnie włączą się po dnie Oceanu Spokojnego?

Sandecker jedynie lekceważąco machnął ręką.

- Pan wybaczy, komandorze, ale to ściśle tajny program badawczy. - Znowu odwrócił się w stronę DeLuki. - Powiedział pan, że się poruszają.

- Tak, panie admirale. - Porucznik wcisnął kilka klawiszy na konsoli i ekran na stole ukazał powiększony fragment trójwymiarowej projekcji dna. Wyglądało tak, jakby mężczyźni spoglądali znad krawędzi akwarium na panoramę zatopionego Wielkiego Kanionu Kolorado. Układy cyfrowe sonaru i komputera silnie uwypuklały szczegóły kształtu dna, a w wielobarwnym obrazie przeważały odcienie błękitu i zieleni.

Uskok Mendocino przypominał tu znany turystom krajobraz pomocnej Arizony, gdzie niemal pionowe skalne ściany pięły się na wysokość blisko trzech tysięcy metrów. Poszarpana krawędź tego gigantycznego pęknięcia skorupy ziemskiej składała się z setek grani, co upodabniało ją do wielkiej szramy wyciętej w szeregu śnieżnych nawisów.

- Najnowsza technologia podmorskiej nawigacji - rzekł z dumą Morton. - "Tucson" był pierwszym okrętem, na którym zainstalowano takie cacko.

- Ochrzczono to kryptonimem "Wielki Karnak" - dodał Sandecker podniosłym tonem. - Widzi wszystko i wszystko rejestruje. Nasi inżynierowie z NUMA uczestniczyli w konstruowaniu tego urządzenia.

Na pociągłej twarzy Mortona wykwitł nagle rumieniec stanowiący dowód, że komandor sromotnie przegrał tę partię przechwałek. Pozbierał się jednak szybko i wykonał brawurowy rzut na taśmę.

- Poruczniku, proszę zademonstrować admirałowi tę zabawkę w działaniu.

DeLuca sięgnął po niewielki wskaźnik optyczny i skierował wąziutki promyk światła na ekran.

- Wasz pojazd głębinowy wyjechał z tego niewielkiego kanionu, odchodzącego w bok od głównej szczeliny, i porusza się zygzakiem po zboczach w kierunku krawędzi uskoku.

Giordino ze smutkiem popatrzył na niewielki płaski obszar, gdzie znajdowała się podmorska baza.

- Niewiele zostało z Morskiego Poletka - rzekł ponuro.

- Kopuły nie były obliczone na to, żeby przetrwać wieczność - zgasił go Sandecker. - Wyniki badań z nawiązką pokryły straty.

DeLuca bez pytania powiększył obraz do tego stopnia, że można było dostrzec niewyraźne zarysy PEGO, który mozolnie wspinał się po stromym zboczu.

- To maksymalne przybliżenie, jakie można uzyskać.

- Całkowicie nam wystarczy - odparł Sandecker.

Obaj mężczyźni w milczeniu przyglądali się drobnej plamce na komputerowej mapie, jakby nie mogli uwierzyć, że mają przed sobą obraz wehikułu, w którym przebywa dwóch żywych ludzi. Owa projekcja wydawała im się tak realna, że mieli ochotę wyciągnąć rękę i wydobyć pojazd z głębin.

Natomiast myśli dwóch oficerów biegły zupełnie odmiennymi torami. DeLuca wyobrażał sobie, że jest kosmonautą podglądającym życie na innej planecie, Morton zaś miał wrażenie, że z lecącego na pułapie dziesięciu tysięcy metrów samolotu obserwuje ciężarówkę na autostradzie. Sandecker i Giordino mieli przed oczyma swoich przyjaciół, toczących bój o przeżycie w dusznej atmosferze kabiny.

- Czy moglibyście im jakoś pomóc z tej łodzi podwodnej? - zapytał w końcu admirał.

Al zacisnął mocniej palce na poręczy biegnącej wokół stołu, aż pobielaly mu knykcie.

- Moglibyśmy się do nich zbliżyć, lecz ani na naszym okręcie, ani na "Wielkim Johnie" nie ma śluzy powietrznej, przez którą mogliby przejść. Gdyby opuścili pojazd na tamtej głębokości, natychmiast zostaliby ściśnięci do jednej trzeciej obecnych rozmiarów.

- A gdyby przymocować linę i wyciągnąć ich na powierzchnię?

- Nie znam okrętu wyposażonego w sześć kilometrów aż tak mocnej liny, która by wytrzymała ciężar podwieszonego pojazdu.

- "Glomar Explorer" mógłby tego dokonać - mruknął Sandecker - ale uczestniczy w próbnym odwiertach u wybrzeży Argentyny i nie zdołałby wrócić do bazy, zabrać odpowiedniego sprzętu i przyplłynąć tu wcześniej niż za cztery tygodnie.

Do Mortona dotarła wreszcie powaga sytuacji i zdeterminowanie gości.

- Przykro mi, ale ja i moja załoga chyba nie możemy wam w niczym pomóc.

- Dziękujemy, komandorze. - Sandecker westchnął ciężko. - Doceniam pańskie starania.

Przez następną minutę cała czwórka w milczeniu wpatrywała się w ekran, na którym miniaturowy pojazd sunął niczym żuczek powoli wspinający się po stromej ścianie wykopu.

- Ciekaw jestem, dokąd oni zmierzają - mruknął DeLuca.

- Słucham? - zapytał admirał, jakby nagle wyrwany ze snu.

- Od kiedy ich obserwujemy, zmierzają ciągle w tym samym kierunku. Zakręcają to w jedną, to w drugą stronę, kiedy stromizna staje się zbyt wielka, ale później zaraz wracają na ten sam kurs.

Spoglądając na porucznika, Sandecker nagle domyślił się prawdy.

- Dirk zmierza do najwyższego punktu dna. Na Boga, uznałem go już za straconego, nie poznawszy nawet jego zamiarów.

- Proszę wyświetlić obrany przez tamtych kurs - rozkazał Morton.

DeLuca wprowadził dane do komputera nawigacyjnego i zapatrzył się w monitor, czekając na wykreślenie kursu. Zaraz też wyświetliły się na nim kolumny liczb.

- Pański człowiek, admirał, porusza się kursem trzysta trzydzieści cztery.

- Trzysta trzydzieści cztery? - powtórzył Morton. - Tam nic nie ma, tylko płaska równina.

Giordino popatrzył na porucznika.

- Czy może nam pan wyświetlić ten sektor dna, do którego zmierza PEGO?

DeLuca skinął głową i po chwili na stole ukazała się trójwymiarowa projekcja.

- Wygląda raczej niepozornie, jeśli nie liczyć tych kilku wzniesień.

- Dirk chce wjechać na masyw Guyot - oznajmił Al.

- Guyot? - spytał z niedowierzaniem DeLuca.

- To góra o szerokim, płaskim wierzchołku - wyjaśnił Sandecker. - Podmorski szczyt wulkaniczny, a obramowanie krateru, rozmyte przez fale, zniknęło pod powierzchnią morza.

- Na jakiej głębokości znajduje się wierzchołek? - zapytał Giordino nawigatora.

Młody oficer wyciągnął z szuflady mapę i rozpostarł ją płasko na ekranie stołu komputerowego.

- Masyw Guyot - odczytał na głos. - Głębokość trzysta dziesięć metrów.

- Ile drogi mają do przebycia? - wtrącił Morton.

DeLuca zmierzył odległość cyrklem, a następnie przyłożył go do skali w legendzie mapy.

- Około dziewięćdziesięciu sześciu kilometrów.

- Przy prędkości ośmiu kilometrów na godzinę - rzekł Giordino - biorąc pod uwagę przeszkody terenowe oraz objazdy wokół zapadlisk i przy odrobinie szczęścia powinni dotrzeć na szczyt masywu mniej więcej jutro o tej samej porze.

Morton spojrział na niego sceptycznie.

- Wjazd na szczyt wulkanu przybliży ich do powierzchni, ale nadal będą się znajdować trzysta metrów, czyli prawie tysiąc stóp pod wodą. Jakim sposobem ten facet...

- Ten facet to Dirk Pitt - wtrącił Al.

- Niech będzie Pitt. Więc jakim sposobem on zamierza się wydostać? Po prostu wypłynie?

- To niemożliwe przy tej głębokości - odparł Sandecker. W kabinie "Wielkiego Johna" panuje takie samo ciśnienie atmosferyczne jak na poziomie morza. Ale na tamtej głębokości ciśnienie będzie trzydziestotrzykrotnie wyższe i nawet gdybyśmy im dostarczyli batyskaf czy

też butle z mieszanką tlenowo-helową do oddychania przy głębokim nurkowaniu, ich szansę i tak są znikome.

- O ile nie zabije ich nagły wzrost ciśnienia przy wychodzeniu z "Wielkiego Johna", to dokona tego choroba dekompresyjna podczas wynurzenia - dodał Giordino.

- Co zatem ten Pitt zamierza uczynić? - powtórzył Morton.

Giordino utkwiał nieruchome spojrzenie w stalowej grodzi za plecami komandora.

- Nie umiem jeszcze odpowiedzieć, ale sądzę, że wkrótce się tego dowiemy.

Jednostajna szara równina ustąpiła miejsca dzungli przedziwnie uformowanych kominów termicznych, wystających z dna oceanu, które niczym gąszcz prawdziwych kominów fabrycznych wyrzucały gorące, rozgrzane do temperatury 365 stopni Celsjusza chmury czarnych gazów, szybko niknące w zimnych wodach morza.

- Czarne dymniki - rzekł Plunkett, rozpoznając je w strumieniach światła "Wielkiego Johna".

- Na pewno w ich pobliżu żyją kolonie różnych stworzeń morskich - powiedział Pitt, nie odrywając oczu od widniejącej na ekranie komputera mapy nawigacyjnej. - Skatalogowaliśmy kilkanaście gatunków w trakcie wypraw eksploracyjnych.

- Lepiej trzymaj się od nich z daleka, szkoda byłoby je zniszczyć gąsienicami tego potwora.

Dirk uśmiechnął się, lecz przełączył pojazd na sterowanie ręczne i zjechał z kursu, omijając pierwszą z kolonii zwierząt obywających się bez światła słonecznego. Przypominała zagubioną na pustyni oazę bujnej zieleni, zajmującą dobry kilometr kwadratowy dna. Gigantyczny pojazd przejechał obok wyniosłego komina, po drugiej stronie którego gąszcz splecionych, wielkich rurkopławów zafalował pod wpływem prądu wody niczym las trzciny pod uderzeniem wiatru.

Plunkett nie mógł oderwać oczu od tych wulkanicznych narośli, z głębi których kolonie delikatnych, różowych i winnych nibykwiatów jakby nieśmiało wysuwały kielichy w mroczną toń.

- Niektóre z nich muszą mieć po trzy metry długości - mruknął z podziwem.

Wokół kominów i kolonii rurkopławów można było także dostrzec olbrzymie białe omułki oraz inne mięczaki, których Plunkett nawet nie potrafił sklasyfikować. Unosiły się nad nimi stworzenia przypominające cytrynowe purchawki oraz inne, wyglądające jak skrzyżowanie meduzy z białym krabem koralowym oraz błękitną krewetką. Żadne z nich nie korzystało z fotosyntezy, żyły wyłącznie dzięki bakteriom przetwarzającym siarkowodór, tlen i inne gazy wypływające z dymników w złożone substancje organiczne. Gdyby słońce nagle zgasło, wszystkie istoty żywe na Ziemi by zginęły, oprócz tych właśnie stworzeń.

Anglik próbował utrwalić w pamięci wygląd różnorodnych mieszkańców tych głębin, którzy szybko znikali w chmurze mułu, podnoszącego się z dna za "Wielkim Johnem", nie mógł się jednak skoncentrować. Skulony w niewielkiej kabinie pojazdu eksploracyjnego, walczył z dreszczem emocji towarzyszącym odkrywaniu tego niezwykłego świata, bo chociaż abisal nie był dla niego czymś obcym, to jednak czuł się tak osamotniony jak astronauta



zagubiony w galaktycznej otchłani.

Dirk przełomie rzucał okiem na tę niewiarygodną scenerię, nie chciał się bowiem rozpraszać. Tylko od jego refleksu zależało, czy zdołają ominąć przeszkodę, która nagle mogła się pojawić na ekranie. Już dwukrotnie zaledwie o włos zdołał ominąć groźne szczeliny, a przed ostatnią zdążył zatrzymać pojazd zaledwie metr od krawędzi. Spękane podłoże okazywało się niemal tak samo trudne do przebycia, jak wulkaniczny masyw tworzący Wyspy Hawajskie. W takich wypadkach trzeba było pospiesznie programować komputer na poszukiwanie chociażby mniej ryzykownego objazdu.

Szczególnie zwracał uwagę na osuwiska oraz kruche krawędzie kanionów, które mogłyby nie utrzymać ciężaru PEGO. Na pewnym odcinku musiał ominąć wielkim łukiem mały, lecz aktywny wulkan, wyrzucający z długiej szczeliny płynną lawę, która u jego podstawy szybko zastygała pod wpływem zimnej wody. Objężdżał dziury o poszarpanych krawędziach i wysokie stożki wulkaniczne, kiedy indziej prowadził przez środek wielkich kraterów - ukształtowanie terenu częstokroć przypominało takie, jakiego należało się spodziewać na Marsie.

Kierował wehikułem obserwując raczej wskazania sonaru i radaru przetwarzane przez komputer niż dość ograniczone pole widzenia, jakie zapewniały słabe reflektory PEGO, nie przystosowane do tego typu podróży. Nieustanne napięcie dawało mu się już we znaki bólem mięśni i pieczeniem oczu, zdecydował więc przekazać na jakiś czas stery Plunkettowi, który dość szybko pojął przeznaczenie poszczególnych dźwigni.

- Minęliśmy właśnie granicę dwóch tysięcy metrów - oznajmił.

- Całkiem nieźle - odparł uśmiechnięty Anglik. - Mamy za sobą więcej niż połowę drogi.

- Ale nie wystawiaj jeszcze czeku. Zbocze staje się coraz bardziej strome i jeśli nachylenie wzrośnie o dalsze pięć stopni, gaśienice mogą stracić oparcie.

Plunkett jednak nie dopuszczał do siebie myśli o porażce. Bezgranicznie już wierzył w Pitta, co tamtego powoli zaczynało irytować.

- Fale wygładziły zbocze masywu, powinniśmy mieć dość prostą drogę na szczyt.

- Może te skały wulkaniczne utraciły ostre krawędzie i zostały zaokrąglone - mruknął Dirk znużonym głosem człowieka będącego u kresu sił - ale w żadnym wypadku nie nazwałbym ich gładkimi.

- Nie ma się czym martwić. Wyszliśmy już ze strefy abisalu i jesteśmy w pelagialu. - Anglik urwał i wskazał niebieskawozieloną plamkę bioluminescencyjną, która pojawiła się za oknem. - *Porichthys myriaster*, rybka, która potrafi świecić przez dwie minuty.

- Mówisz takim głosem, jakby było ci jej żal - rzekł Pitt, z trudem wymawiając słowa.

- Żal? Skądże. *Porichthys* znakomicie dostosowała się do tych warunków, a zdolności luminescencyjne wykorzystuje do odstraszenia rywali, wabienia co smaczniejszych kasków, jako znak rozpoznawczy swojego gatunku, a także do kuszenia partnerów podczas godów w tej krainie wiecznego mroku.

- Ale całe jej życie upływa w absolutnych ciemnościach. Dla mnie byłoby to coś przygnębiającego.

Anglik zrozumiał, że Dirk drwi sobie z niego.

- Bardzo ciekawa obserwacja, panie Pitt. Ja też żałuję, że nie możemy dostarczyć rybom pelagialnym jakiejś rozrywki.

- Za to możemy dać im się trochę pośmiać.

- Naprawdę? A w jaki sposób chce pan tego dokonać?

- Przekazać panu stery na jakiś czas. - Dirk wskazał ręką pulpit kontrolny. - Może pan przejąć to we władanie. Mam tylko nadzieję, że będzie pan zwracał większą uwagę na monitor ukazujący kształt dna niż na meduzy o zdolnościach naśladowania neonu.

Pitt usiadł w sąsiednim fotelu, zamknął oczy i w jednej chwili zapadł w sen.

Dwie godziny później obudził go suchy trzask, przypominający huk strzelby. Natychmiast wyczuł niebezpieczeństwo. Skoczył na nogi i popatrzył na pulpit, na którym świeciła czerwona lampka awaryjna.

- Coś nawaliło?

- Mamy drobny przeciek - oświadczył Plunkett z powagą w głosie. - Sygnalizator zaświecił w tej samej chwili, kiedy coś trzasnęło.

- Co podaje komputer o pęknięciu i jego lokalizacji?

- Przykro mi, ale nie powiedział mi pan, jak się uruchamia program kontrolny.

Pitt szybko wystukał na klawiaturze odpowiednie polecenie i na ekranie pojawiła się kolumna liczb.

- Mieliśmy szczęście - rzekł. - Kabina oraz komora systemów elektronicznego sterowania są szczelne, puściła osłona przedziału reaktora. Woda dostała się do podwozia, do sekcji mieszczącej silnik oraz generator prądu.

- I to ma być szczęście?

- Jest tam trochę miejsca, a wewnętrzne osłony dadzą się załatać. Widocznie w nadwerężonych burtach tego starego autobusu, gdzieś na łączeniu blach podwozia, utworzyła się mikroskopijna szczelina.

- Olbrzymie ciśnienie zewnętrzne spowoduje, że nawet przez otwór wielkości czubka

igły woda wypełni objętość tej kabiny w ciągu dwóch godzin - stwierdził posępnie Plunkett i poruszył się niespokojnie w fotelu. Wpatrywał się w monitor, lecz z jego oczu natychmiast zniknął wszelki optymizm. - A jeśli szczelina się powiększy i blachy zostaną rozerwane... - zawiesił nagle głos.

- Te blachy nie zostaną rozerwane - rzekł Pitt z naciskiem. Według planów PEGO powinien wytrzymać sześciokrotnie większe ciśnienie niż panuje na tej głębokości.

- Co nie zmienia faktu, że przez szczelinę woda wdziera się z mocą laserowego promienia. Jej strumień mógłby w jednej chwili przeciąć gruby kabel elektryczny albo nawet rękę człowieka.

- To znaczy, że będę musiał zachować zwiększoną ostrożność - odparł Pitt, podnosząc się z miejsca i przechodząc do tylnej części kabiny. Musiał kurczowo zaciskać palce na uchwytach, gdyż jadący po nierównym terenie wehikuł kołysał się i podskakiwał. Przykucnął tuż przed pokrywą śluzy wyjściowej, podniósł małą klapę w podłodze i włączył lampkę oświetlającą niewielki przedział silnikowy.

Pomimo syczenia turbiny parowej słychać było głośny świst wdzierającej się wody, która pokrywała już dno przedziału ćwierćmetrową warstwą, lecz Dirk nigdzie nie dostrzegł przecieku. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał, bojąc się wejść na ślepo w tnący jak brzytwa, niewidoczny strumień.

- Widzisz go?! - zawołał Plunkett.

- Nie! - odkrzyknął zdenerwowany Dirk.

- Chcesz, żebym zatrzymał?

- Pod żadnym pozorem. Jedź dalej w stronę wierzchołka góry.

Zajrzał w głąb komory. Jego ciało przeniknął dreszcz strachu, ten przerażający świst wydał mu się o wiele groźniejszy niż cały otaczający ich świat morskich głębin. Nie wiedział, czy strumień wody nie uszkodził już jakiegoś ważnego elementu maszyn, czy nie był zbyt silny, aby można jakoś załatać przeciek. Oceniał jednak, że nie ma czasu do stracenia - nawet jednej chwili do namysłu czy też oceny własnych szans. Wahanie musiało prowadzić do zguby, a nie dostrzegał wielkiej różnicy, czy zginie przez utopienie, pocięty na kawałki, czy też zmiażdżony ogromnym ciśnieniem wody.

Zeskoczył na dół i chwilę w bezruchu, jakby szczęśliwy z faktu, że jeszcze żyje. Świst dobiegał gdzieś z bliska, jakby na wyciągnięcie ręki. Pitt czuł na twarzy rozbryzgi słonej wody, której cieniutki strumyk rozbijał się o jakiś element, ale wypełniająca całą komorę delikatna mgiełka nie pozwalała dojrzeć miejsca przecieku.

Przesunął się nieco w bok, kiedy nagle wpadł na pomysł. Zdjął but i trzymając go w

wyciągniętej ręce zaczął przesuwając w górę i w dół niczym ślepiec swoją laskę. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie, omal nie wyrwało mu buta z dłoni; część obcasa została równiutko odcięta. Wreszcie zauważył przed sobą, nieco po prawej, ledwie widoczny strumyk wody.

Cieńszy od igły, bił w masywną podstawę wielkiej turbiny parowej, która napędzała koła ciągnikowe PEGO. Tytanowa osłona wytrzymywała to niesamowite ciśnienie, była jednak wyraźnie wgłębiona w tym miejscu, jakby naznaczona punktakiem.

Pitt znalazł przeciek, ale nie miał pojęcia, jak go zatamować. Żadna uszczelka, smar czy taśma nie powstrzymałyby strumienia mającego siłę wystarczającą do przecięcia po pewnym czasie grubego arkusza blachy. Rozglądał się wokół turbiny za jakimiś narzędziami lub częściami zamiennymi, wodził wzrokiem po całym przedziale, aż w końcu sięgnął po kawałek rury ciśnieniowej, jaką stosowano do przesyłania pary z kotła do turbiny. Znalazł też wielki, tępo ścięty młot.

W tym czasie poziom wody podniósł się do pół metra. Wymyślony przez Dirka sposób musiał być skuteczny, w przeciwnym razie czekała ich obu niechybna śmierć, albo przez utonięcie, albo przez zmiżdżenie ciśnieniem zewnętrznym, które by rozerwało blachy poszycia.

Bardzo powoli, z wielką ostrożnością, wyciągnął przed siebie trzymaną w jednym ręku rurę, a w drugiej dłoni mocno ścisnął młotek. Zaparł się z całej siły nogami i kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza. Szybkim ruchem naprowadził wylot rury na miejsce przecieku i uważając bacznie, by trzymać się jak najdalej od drugiego jej końca, błyskawicznie zaklinował go o wielką stalową grodz, oddzielającą turbinę od przedziału reaktora. Energicznie zaczął uderzać rurę od dołu młotem, aż wpasował ją na sztywno między lekko zbiegającymi się na górze ścianami i z obu jej końców spływały tylko nieznaczne ilości wody.

Owa prowizoryczna łąta była dość skuteczna, ale nie mogła wytrzymać w nieskończoność. Zaklinowana rura w znaczący sposób ograniczyła przeciek i prawdopodobnie pozwalała im dotrzeć na szczyt krateru, lecz mimo wszystko była rozwiązaniem tymczasowym. Wcześniej czy później albo szczelina musiała się powiększyć, albo rura rozlecieć pod uderzającym w nią z siłą laserowego promienia strumykiem wody.

Pitt przykucnął, zmarznięty i przemoczony, ale do tego stopnia wyczerpany, że nawet nie zwracał uwagi na to, gdzie się znajduje. To zadziwiające, pomyślał po dłuższej chwili, że nawet w lodowato zimnej wodzie człowiek potrafi się spocić jak pies.

W dwadzieścia dwie godziny po wyjściu z mulistego grobu poobijany PEGO nie bez wysiłku osiągnął szczyt podmorskiego wulkanu. Pitt z powrotem przejął kierowanie pojazdem. Gąsienice ślizgały się po okrytym grubą warstwą osadów skalnym podłożu, ledwie

znajdując oparcie na ostatnich metrach coraz większej stromizny u wierzchołka masywu, aż wreszcie gigantyczny traktor zakołysał się na krawędzi i wjechał na płaski teren.

Dopiero tu "Wielki John" mógł odpocząć, silnik został wyłączony i nastąpiła cisza. Otaczająca pojazd wielka chmura mułu powoli osiadała na spłaszczonym szczycie krateru Guyot.

- Dojechaliśmy, staruszkule! - Plunkett zaśmiał się w głos i poklepał Pitta po ramieniu. - Udało nam się dotrzeć do celu!

- Owszem - burknął ociężałe Dirk - ale nadal mamy jeszcze jedną przeszkodę do pokonania. - Skinął głową w stronę cyfrowego wskaźnika głębokości. - Od powierzchni dzielą nas trzysta dwadzieścia dwa metry wody.

Radość Anglika prysła w mgnieniu oka.

- Nie widzisz gdzieś swoich kumpli? - zapytał z powagą.

Pitt ponownie uruchomił sonar z radarem, lecz na ekranie płaski wierzchołek o powierzchni dziesięciu kilometrów kwadratowych ukazał się nagi i pusty jak czysta kartka papieru. Spodziewany pojazd ekspedycji ratunkowej nie dotarł na miejsce.

- Nikogo nie ma w domu - odparł cicho.

- Nie chce mi się wierzyć, że nikt na powierzchni nie odebrał naszej ogłuszającej muzyki i nie domyślił się celu naszej podróży - rzekł Plunkett, bardziej poirytowany niż rozczarowany.

- Nie mieli zbyt wiele czasu na zorganizowanie jakiejś akcji ratunkowej.

- Mimo wszystko sądziłem, że przynajmniej jeden z batyskafów wróci, żeby dotrzymać nam towarzystwa.

Pitt wzruszył ramionami.

- Może coś im nawaliło, załamała się pogoda albo napotkali jeszcze inne, nieprzewidziane trudności.

- Zatem przejechaliśmy taki szmat drogi, żeby teraz podusić się na tym cholernym szczycie? - Plunkett zerknął w stronę powierzchni, ale nad nimi wisiała tylko nieco jaśniejsza, czarnogranatowa opoka. - Tak blisko celu?

Pitt wiedział jednak, że Giordino i admirał Sandecker poruszyliby niebo i ziemię dla ratowania jego i Plunketta. Nie przyjmował do wiadomości, że przyjaciele mogli nie domyślić się jego zamierzeń i nie podjęli odpowiednich kroków. W milczeniu wstał, przeszedł na tył kabiny i podniósł pokrywę przedziału silnikowego. Woda płynęła już znacznie większym strumieniem, a jej poziom sięgał w przybliżeniu metra i za jakieś czterdzieści minut, najwyżej godzinę, musiał osiągnąć turbiny. Po jej zalaniu przestałby także działać generator, zanik

prądu oznaczał kres wytwarzania tlenu, a to równało się śmierci ludzi.

- Wkrótce przybędą - mruknął pod nosem, odwołując się do resztek swego hartu ducha. - Zobaczysz, że przybędą.

Minęło może ze dwadzieścia minut, gdy obu mężczyznom zaczęła strasznie doskwierać samotność. Poczucie zagubienia na dnie oceanu, nieprzeniknione ciemności i pojawiające się od czasu do czasu za oknem dziwaczne stworzenia, to wszystko zdawało się tworzyć przerażający koszmar.

Pitt zatrzymał "Wielkiego Johna" pośrodku przestronnego, płaskiego wierzchołka, po czym zaprogramował komputer na stałe śledzenie wielkości przecieku w przedziale silnikowym. Patrzył od niechcienia na ekran, który pokazywał poziom wody - zaledwie o kilka centymetrów poniżej generatora.

Po osiągnięciu tej stosunkowo niewielkiej głębokości zewnętrzne ciśnienie wody znacznie zmalało, lecz otwór powiększał się stale i żadne wysiłki ludzi nie mogły już zmniejszyć przecieku. Dirk jedynie przykręcał dopływ tlenu, aby rekompensować wzrost ciśnienia w kabinie spowodowany jej malejącą objętością.

Plunkett obserwował Pitta z boku, zwracając uwagę na zastygły wyraz skupienia na jego twarzy i niezwykle rzadkie mruganie powiek. Oczy Dirka zdawały się odzwierciedlać jego złość, nie skierowaną jednak ku żadnej osobie, lecz wywołaną przez sytuację, nad którą Pitt nie umiał zapanować. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie zapomniał o obecności Plunketta, jak gdyby brytyjski oceanograf znajdował się w odległości tysiąca kilometrów. Nie znając strachu ani lęku przed śmiercią, przetrawiał w myślach setki pomysłów wybrnięcia z sytuacji, rozpatrywał każdy szczegół i każdy, nawet najbardziej zwariowany sposób, zanim ostatecznie go odrzucił.

Tylko jedna metoda stwarzała szansę powodzenia, ale wszystko zależało od Giordina. Jeśli przyjaciel nie zjawi się w ciągu najbliższej godziny, będzie za późno.

W końcu Plunkett wyciągnął rękę i swą olbrzymią dłonią poklepał Dirka po ramieniu.

- To wielki wyczyn, panie Pitt. Wyprowadził nas pan z głębin do miejsca, skąd niemal widać powierzchnię.

- Ale to wciąż za mało - mruknął Dirk. - Odwaliliśmy pracę za dolara i zabrakło nam jednego centa.

- Czy wolno mi zapytać, w jaki sposób zamierzał pan pokonać ten ostatni etap, nie dysponując ani śluzą powietrzną, ani kapsułą ratunkową, która by mogła wynieść nas na powierzchnię?

- Chciałem po prostu dopłynąć do domu.

Plunkett uniósł wysoko brwi.

- Myślałeś, że damy radę wstrzymać oddech?

- Nie.

- No właśnie - mruknął usatysfakcjonowany Anglik. - Jeśli o mnie chodzi, prawie wypłułem płuca, nurkując na głębokość trzydziestu metrów. - Zamilkł na chwilę i uważnie popatrzył na Pitta. - Popłynąć? Nie myślałeś o tym poważnie?

- Nadzieja rodzi się z desperacji - odparł filozoficznie Dirk. - Świetnie zdaję sobie sprawę, że nie wytrzymałibyśmy ani tego ciśnienia, ani skutków dekompresji.

- Zapominając o tym nierealnym pomysle, nie masz w zanadrzu czegoś innego? Jakiegoś sposobu na wydobycie tego potwora na powierzchnię?

- Ciepło, a nawet gorąco.

- Trzeba mieć niezłą wyobraźnię, aby wymyślić metodę podniesienia z dna piętnastotonowego pojazdu.

- Mówiąc szczerze, wszystko zależy od Ala Giordina - odparł powściągliwie Dirk. - Jeśli domyślił się, o co mi chodzi, powinien przy płynąć łodzią wyposażoną w...

- Ale on jednak zawiódł - rzekł Plunkett, ruchem ręki wskazując toń morską za oknem.

- Musiał mieć ku temu jakiś cholernie ważny powód.

- Obaj dobrze wiemy, że nikt nie przybędzie nam na ratunek. Ani za godzinę, ani jutro, nigdy. Liczyłeś na cud i przegrałeś. Jeśli w ogóle będą nas szukać, to raczej w sąsiedztwie zniszczonej bazy, a nie tutaj.

Pitt nie odpowiedział, lecz zapatrzył się w dal. W światło reflektorów PEGO wpłynęła gromadka małych rybek o wydłużonych, srebrzystych i silnie spłaszczonych ciałach. Machały energicznie ogonkami, a umieszczone pod brzuchem świecące narządy rozbłyskiwały rytmicznie. Ich oczy, nieproporcjonalnie wielkie, znajdowały się jakby na zagiętych w górę wyrostkach. Niespiesznymi spiralnymi ruchami narybek opływał wysunięty dziób "Wielkiego Johna".

Dirk wychylił się nagle do przodu, jakby nasłuchując, po czym opadł z powrotem na oparcie.

- Zdaje się, że coś słyszałem.

- Dziwne, że nie ogłuchliśmy dokumentnie po tym jazgocie muzyki - mruknął Plunkett.

- Ja mam wrażenie, że popękały mi bębenki.

- Przypomnij mi więc, żebym przy pierwszej sposobności przysłał ci kartę z kondolencjami - odparł Pitt. - A może wołałbyś, żebyśmy zrezygnowali, rozhermetyzowali kabinę i skończyli raz na zawsze?

Siedział usztywniony, nie spuszczać oka z drobnych rybek. Po chwili padł na nie jakiś cień, ryby rozpierzchły się błyskawicznie i zniknęły w ciemnościach.



- Co się stało? - zapytał Plunkett.

- Mamy towarzystwo - rzekł Pitt z uśmiechem, który miał znaczyć: "A nie mówiłem?" Obrócił się w fotelu, zadarł głowę i popatrzył przez górną, przezroczystą część kopuły.

Ponad nimi, nieco przesunięty w stronę rufy, wisiał jeden z batyskafów używanych w podmorskiej bazie NUMA. Zza okna kabiny spoglądał na nich uśmiechnięty od ucha do ucha Giordino, a ponad jego ramieniem widać było głowę admirała Sandeckera energicznie machającego ręką.

Właśnie na tę chwilę czekał Dirk, niemal modlił się o jej nadejście, a niedźwiedzi uścisk Plunketta powiedział mu, że dzieli on jego entuzjazm.

- Panie Pitt - rzekł Anglik podniosłym tonem. - Bardzo przepraszam za mój pesymizm, ale w towarzystwie tak sprytnego drania zawiódł mnie instynkt.

- Robiłem co w mojej mocy - przyznał rozradowany Dirk.

Zaledwie kilka razy w życiu mógł się cieszyć tak wspaniałym widokiem, jakim teraz był dla niego uśmiech Ala. Tylko skąd tu się wziął admirał? - pomyślał. Jakim sposobem tak szybko przybył na miejsce katastrofy?

Giordino nie tracił czasu. Wskazał ręką niewielkie drzwiczki, osłaniające komplet zewnętrznych połączeń pojazdu. Pitt skinął głową i wcisnął klawisz, pokrywa wsunęła się pod obudowę, a Giordino, wykorzystując jeden z przegubowych wysięgników łodzi, szybko dołączył kabel łączności.

- Słyszycie mnie? - niespodziewanie z głośnika popłynął głos Ala.

- Nawet nie masz pojęcia, z jaką radością, przyjacielu - odparł Pitt.

- Przepraszam za spóźnienie. Jeden z naszych batyskafów nabrał wody i zatonął, a ten miał zwarcie akumulatorów i sporo czasu zabrało nam usunięcie awarii.

- Wszystko ci wybaczam. Cieszę się, że pana widzę, admirale. Nie spodziewałem się, że zaszczyci pan te głębiny swoją obecnością.

- Przestań się wdzięczyć! - huknął Sandecker. - Jaka jest wasza sytuacja?

- Mamy przeciek, który odetnie nam źródło zasilania za czterdzieści, może pięćdziesiąt minut. Poza tym czujemy się nieźle.

- W takim razie zabierajmy się do pracy.

Bez zbędnych dyskusji Al tak ustawił łódź podwodną, że jej dziób znajdował się na wysokości mocowania kabiny do wysokiej burty podwozia PEGO, po czym uruchomił oba wysięgniki wystające z burty poniżej czołowego okna batyskafu. Były one o wiele mniejsze i słabsze od analogicznych ramion "Wielkiego Johna".

Sterowane hydraulicznie manipulatory, zaopatrzone w wymienne końcówki, były

przystosowane do wykonywania różnorodnych czynności. Lewy wysięgnik miał obrotową głowicę, a umieszczone na niej trzy grube paluchy z czujnikami na końcach potrafiły zidentyfikować niemal każdy materiał, od drewna, plastiku i stali do jedwabiu oraz bawełny. Przy pewnej wprawie operatora, którego wspomagał komputerowy układ sensoryczny, można było tymi paluchami nawlec igłę lub zawiązać kokardkę czy też - o ile zachodziła taka potrzeba - kruszyć skały.

Ramię to delikatnie rozwinęło wąż biegnący od niewielkiego pojemnika; na jego końcu znajdowała się metalowa końcówka z małym otworkiem.

Prawy wysięgnik zaopatrzony był w cztery piły tarczowe o odmiennej powierzchni tnącej, które znajdowały zastosowanie do cięcia materiałów o różnej twardości.

Pitt ze zdumieniem patrzył na niezwykłą końcówkę lewego ramienia.

- Wiedziałem, że masz na pokładzie komplet wymiennych pił tarczowych, ale skąd wytrzasnąłeś ten elektryczny palnik tlenowy?

- Pożyczyłem od załogi przepływającego okrętu podwodnego - odparł Giordino swobodnym tonem.

- Jasne - mruknął Dirk niezbyt pewnym głosem, nie chcąc wyjść na durnia.

- Zaczynam oddzielanie - powiedział Al. - Zanim odetniesz kabinę, podniosę ciśnienie powietrza o kilka atmosfer, żeby zrekompensować dodatkowy ciężar wody, która dostała się do przedziału silnikowego.

- Dobry pomysł - wtrącił Sandecker. - Potrzebna wam maksymalna wyporność, jaką uda się osiągnąć. Ale pamiętaj o granicy bezpieczeństwa, żebyście nie wpakowali się w kłopoty dekompresyjne.

- Komputer precyzyjnie obliczy nam warunki dekompresji - odparł Pitt. - Ani doktor Plunkett, ani ja nie mamy zamiaru dostać kurczy nadciśnieniowych.

Pitt zaczął włączać sprężone powietrze do kabiny połączonej z sekcją napędową, Giordino natomiast tak manewrował niewielką łodzią głębinową, by móc operować dwoma wysięgnikami niezależnie od siebie. Ramię z trzema paluchami zbliżyło długą elektrodę do metalowej obręczy u podstawy kabiny PEGO, będącej zewnętrznym wyprowadzeniem elektrycznym o ujemnym potencjale. Elektroda musiała być naładowana dodatnio, gdyż w pewnej chwili jaskrawo zapłonął łuk elektryczny, metal zaczął się rozgrzewać i topić, a płynący z palnika sprężony tlen nie pozwalał kroplom zastygać przy powstającej bliźnie cięcia.

- Łuk tnący - wyjaśnił Pitt zdumionemu Plunkettowi. - Mają zamiar odspawać wszystkie blachy, przeciąć łączenia oraz przewody elektryczne i oddzielić kabinę od podwozia

zawierającego cały układ napędowy.

Anglik pokiwał głową, przyglądając się, jak Giordino wprawnie operuje drugim wysięgnikiem. Po chwili snop iskier oznajmił, że piła tarczowa także została zaprzężona do roboty.

- I to jest to. Pożeglujemy w stronę powierzchni równie łatwo, jak opróżniona butelka szampana Veuve Cliquot-Ponsardin ze złotą nalepką.

- Albo flaszka po piwie Coorsa.

- Stawiam kolejkę w pierwszym lokalu, do jakiego uda nam się trafić, panie Pitt.

- Dziękuję, doktorze Plunkett. Przyjmuję zaproszenie, zakładając, rzecz jasna, że starczy nam wyporności na wypłynięcie.

- To proszę dorzucić parę atmosfer - stwierdził bez wahania Anglik. - Wolę dostać kurczy nadciśnieniowych niż utonąć w tym sarkofagu.

Ale Dirk nie zareagował. Straszliwe męczarnie, jakie stawały się udziałem nurków, którzy zaryzykowali pobyt pod zbyt wysokim ciśnieniem, były o wiele gorsze od wszelkich wymyślonych przez człowieka tortur. Ulgę przynosiła jedynie śmierć, a jeśli komuś udało się ująć z życiem, jego zniekształcone ciało już nigdy nie miało zapomnieć o dokuczliwym bólu. Toteż Pitt z uwagą śledził wskazania cyfrowego miernika ciśnienia wewnątrz kabiny i zakręcił zawór, gdy wyniosło ono trzy atmosfery, czyli tyle, ile ciśnienie zewnętrzne na głębokości dwudziestu metrów. Ocenił, że przy tej głębokości będą mogli opuścić kabinę, a w krótkim czasie do chwili wynurzenia nie powinny jeszcze wydzielić się z krwi pęcherzyki azotu.

Dwadzieścia pięć minut później gotów był już zmienić zdanie, kiedy kabinę wypełniła seria trzasków, zakończona ogłuszającym hukiem, dziwnie zwielokrotnionym w atmosferze podwyższonego ciśnienia.

- Jeszcze tylko jedna śruba i będziecie wolni - poinformował Giordino. - Przygotujcie się do startu.

- Zrozumiałem - odparł Pitt. - Jestem gotów do odcięcia głównej linii zasilania.

Sandecker czuł się bardzo niezręcznie, mogąc spoglądać w twarze ludzi poprzez cienką warstwę wody rozdzielającą oba pojazdy, a zarazem mając świadomość, że tamtym w każdej chwili zagraża śmierć.

- Jak stoicie z powietrzem? - spytał niemal ze złością.

- Wystarczy, żeby dojechać do domu, jeśli nie zatrzymamy się nigdzie na piwo - odrzekł Pitt, sprawdzwszy odczyt na monitorze.

Rozległ się jeszcze jeden zgrzyt i kabiną szarpnęło, a jej przód wyraźnie się uniosł. Widocznie puścił kolejny wspornik i całe nadwozie niczym balon popłynęło do góry. Pitt

pośpiesznie przełączył zasilanie z generatora na baterie awaryjne, nie chcąc się pozbawiać łączności oraz wskazań komputera. Lecz kabina znów zamarła w bezruchu, zawieszona nad olbrzymim podwoziem.

- Chwileczkę - z głośnika popłynął głos Ala - przeoczyłem jakiś przewód hydrauliczny. - Na chwilę zapadła cisza. - Będę się trzymał jak najbliżej was, bo gdy dystans wzrośnie, kabel wysunie się z gniazdka i stracimy łączność.

- Pospiesz się. Coraz więcej wody napływa przez ucięte przewody.

- Zrozumiałem.

- Otwierajcie właz i wyskakujcie stamtąd, do cholery, kiedy tylko dotrzecie na powierzchnię - przykazał Sandecker.

- Jak gęsi cierpiące na biegunkę - obiecał solennie Pitt.

Obaj z Plunkettem trwali w napięciu, wsłuchując się w odgłosy piły tarczowej, która wgrzyzała się w wał hydrauliczny. Wreszcie coś strzeliło, kabiną szarpnęło i zaczęła powoli oddalać się od masywnego podwozia "Wielkiego Johna", ze środka którego sterczały pozrywane kable i pocięte mocowania niczym wnętrzości mechanicznego potwora.

- Znów w drodze! - wykrzyknął Anglik.

Pitt zacisnął mocno wargi.

- Za wolno. Woda, która wdarła się do środka, zmniejszyła naszą wyporność.

- Strasznie się wleciecie - przekazał Giordino. - Prędkość wznoszenia nie przekracza dziesięciu metrów na minutę.

- Ciągniemy za sobą silnik, reaktor i co najmniej tonę wody. Objętość powietrza z ledwością rekompensuje zwiększony ciężar.

- Powinniście trochę przyspieszyć bliżej powierzchni.

- Nie wierzę. Napływ wody jest szybszy niż zmniejszanie się ciśnienia zewnętrznego.

- Nie było się co martwić perspektywą utraty łączności - rzekł zadowolony Giordino. - Z łatwością mogę utrzymać tę szybkość wynurzenia.

- Nikła pociecha - mruknął Dirk pod nosem.

- Dwadzieścia metrów za nami - poinformował Plunkett.

- Dwadzieścia - powtórzył jak echo Pitt.

Obaj wbijali oczy w powoli zmieniający się odczyt głębokości wyświetlany na ekranie komputera. Przez kilka minut panowała martwa cisza. Mroczny świat głębin został za nimi, a granatowa poświata w górze stopniowo jaśniała: najpierw pojawił się odcień zieleni, który żółkł systematycznie. Jakby na ich powitanie za oknem przepłynęła drobna ławica tuńczyków. Na głębokości 150 metrów Dirk mógł już odczytać cyferblat swego zegarka elektronicznego.

- Zwalniacie - ostrzegł Giordino. - Prędkość wznoszenia spadła do siedmiu metrów na minutę.

Pitt uderzył w klawisze, wywołując raport o wielkości przecieku, i popatrzył okrągłymi oczyma na ekran.

- Poziom wody jest alarmujący.

- Czy możecie jeszcze trochę zwiększyć ciśnienie powietrza? - zapytał Sandecker z napięciem w głosie.

- Nie, bo dostaniemy kurczy nadciśnieniowych.

- Dotrzecie do celu - rzekł z nadzieją Giordino. - Minęliście poziom osiemdziesięciu metrów.

- Kiedy prędkość wynurzania spadnie do czterech metrów, podwieś kabinę na wysięgniku i podholuj ją trochę.

- Zrobi się.

Giordino podpłynął nieco do przodu i obrócił batyskaf rufą do powierzchni, spoglądając teraz na Pitta i Plunketta z góry. Włączył następnie autopilota, by utrzymywał tę samą wsteczną prędkość, jaką miała unosząca się z wolna kabina "Wielkiego Johna". Zanim jednak zdołał uruchomić wysięgniki, spostrzegł, że nadwozie PEGO zostaje w tyle, a przestrzeń między nimi zaczyna się powiększać.

- Dwa metry na minutę - oznajmił Dirk lodowatym tonem. - Lepiej się pospiesz.

- Zaraz będę gotów - odparł Giordino.

Kiedy manipulatory łodzi głębinowej znalazły pewny uchwyt na wystających częściach kabiny, ta w ogóle przestała już unosić się ku powierzchni.

- Zawisnęliśmy na stałej głębokości - zameldował Pitt.

Al zrzucił resztę żelaznych obciążników balastowych i zaprogramował całą wstecz. Śruby zaczęły jak oszalałe młócić wodę i batyskaf z podwieszonym nadwoziem PEGO podjął monotonną wędrówkę ku powierzchni.

Minęli granicę siedemdziesięciu metrów, ale walka o ujście światła słonecznego zdawała się nie mieć końca. Na głębokości dwudziestu siedmiu metrów szczipione pojazdy zamarły nieodwracalnie. Poziom wody w przedziale silnikowym narastał coraz szybciej z powodu zwiększających się przecieków. Z uciętego doprowadzenia hydraulicznego trysnął nagle tak silny strumień, jak z pożarniczego węża gaśniczego.

- Nie utrzymam was! - jęknął zdruzgotany Giordino.

- Wyskakujcie stamtąd! Uciekajcie! - wrzasnął Sandecker.

Pittowi i Plunkettowi nie trzeba było tego powtarzać, nie mieli ochoty zostać na zawsze

w grobowcu "Wielkiego Johna". Kabina zaczynała stopniowo tonąć, ciągnąc za sobą batyskaf. Ich jedyną nadzieją było podwyższone ciśnienie powietrza, niemal równoważące ciśnienie zewnętrzne. Lecz los, który jeszcze chwilę temu zdawał się do nich uśmiechać, teraz uległ odmianie. Podnoszący się szybko poziom wody nie mógł znaleźć gorszej chwili na to, by odciąć zasilanie awaryjne i zablokować hydrauliczny mechanizm otwierania włazu.

Plunkett błyskawicznie poluzował uszczelkę mocującą i szarpnął klapę, lecz niewiele wyższe ciśnienie wody było niewystarczające, aby pokonać mechaniczny opór włazu. Pitt szybko dołączył do niego i razem zaczęli się mocować z klapą.

Giordino i Sandecker z rosnącym strachem obserwowali z batyskafu te zmagania. Ciężar nadwozia rósł coraz szybciej i w przerażającym tempie zaczynał ich z powrotem ściągać w głąbiny.

Pokrywa włazu odchyliła się w zwolnionym tempie, jakby obmywana gęstniejącą żelatyną. Natychmiast do wnętrza kabiny wdarła się woda, a Pitt zdążył tylko krzyknąć:

- Przewentyluj płuca! I nie zapomnij wypuszczać powietrza w trakcie wynurzenia!

Plunkett jedynie skinął głową, wziął szybko kilka głębszych oddechów, żeby maksymalnie opróżnić płuca z dwutlenku węgla, po czym nabrał powietrza, zanurkował głową w kłębiącą się za włazem ścianę wody i zniknął.

Pitt wykorzystał resztki uciekającego powietrza, by jak najlepiej przewietrzyć płuca, kucnął na krawędzi włazu i z całej siły odbił się w górę. Giordino szybko zwolnił uchwyt metalowych ramion łodzi i resztki PEGO runęły w mroczną toń.

Dirk nie mógł tego wiedzieć, ale opuścił kabinę na głębokości aż czterdziestu dwóch metrów. Widziana z dołu roziskrzona powierzchnia morza zdawała mu się oddalona o dziesiątki kilometrów. Oddałby w takiej chwili roczną pensję za parę solidnych płetw. Żałował również, że nie jest o piętnaście lat młodszy. W wieku lat kilkunastu i zaraz po dwudziestce niejednokrotnie nurkował bez sprzętu na głębokość dwudziestu pięciu metrów w przejrzystych wodach koło Newport Beach w Kalifornii. Wciąż utrzymywał się w niezłej kondycji, lecz wiek i tryb życia nie pozostały bez skutku.

Energicznie pracował rękami i nogami, stopniowo wypuszczając powietrze z płuc, aby rozszerzające się gazy nie porozrywały naczyń kapilarnych, a pęcherzyki nie spowodowały zatoru w układzie krwionośnym.

Promienie słońca, odbite od lekko sfalowanej powierzchni oceanu, wędrowały w toń wodną smugami światła. Pitt dojrzał w górze cienie dwóch statków, nie mając jednak maski widział przez wodę tylko ich niewyraźne zarysy. Pierwszy wydał mu się jedynie większą łodzią, drugi zaś wyglądał na prawdziwego giganta.

Nie chcąc rozbić sobie głowy, skierował się w wąską przestrzeń między nimi. Z pozostającego w dole batyskafu Giordino i Sandecker obserwowali go niczym trenerzy pływackiego sprintera.

Pitt wkrótce zrównał się z Plunkettem, który wyraźnie miał jakieś kłopoty. Starszy od niego Anglik sprawiał wrażenie, jakby zabrakło mu sił, i Dirk pojął szybko, że tamten jest na granicy utraty przytomności. Zacisnął palce na jego kołnierzyku i pociągnął go za sobą.

Kiedy wypuścił z płuc resztkę powietrza, przez głowę przemknęła mu myśl, że nigdy nie zdoła dotrzeć do powierzchni. Puls łomotał mu w uszach. Kiedy właśnie odwoływał się do ostatnich rezerw siły, Plunkett znieruchomiał; przed utratą przytomności podjął nadludzki wysiłek, ale był słabym pływakiem.

Przed oczyma Pitta rozlał się mrok, w którym zaczęły rozbłyskiwać kolorowe fajerwerki. Brak tlenu wpływał już na stan jego umysłu, ale chęć wypłynięcia na powietrze była silniejsza od wszystkiego. Słona woda szczypała go w oczy i drażniła w nosie. Tylko sekundy dzieliły go od utonięcia, wiedział jednak, że nie podda się za nic w świecie.

Zebrał w sobie resztki sił i wypchnął całe ciało w kierunku obłoków. Ciągnąc za sobą ciężar bezwładnego Plunketta, jak szalenciec wymachiwał wolną ręką i nogami. Miał przed oczyma roziskrzoną powierzchnię fal, zwodniczo bliską, a jakby wciąż się oddalającą.

Dotarli do niego głucho łaskoty, jakby coś zderzało się z wodą. Niespodziewanie w jego otoczeniu zmaterializowały się cztery postacie w czarnych kombinezonach. Dwaj ludzie chwycili Anglika i pociągnęli go w górę, jeden z pozostałych wetknął Pittowi między zęby ustnik aparatu tlenowego.

Dirk zaczerpnął kilka oddechów zbawczego powietrza, zanim płetwonurek zabrał mu ustnik, by samemu się nie utopić. Znajoma, śmierdząca żelazem mieszanina tlenu z azotem i kilkoma innymi gazami zrobiła na nim takie wrażenie, jakby nagle znalazł się tuż po deszczu w sosnowym lesie pośród skalistych gór Kolorado.

W końcu wynurzył się z wody i popatrzył na słońce, jakby nigdy przedtem go nie widział. Wydawało mu się, że nie patrzył dotąd na tak błękitne niebo i tak białe obłoki. Morze było dość spokojne, wysokość fal nie przekraczała pół metra. Płetwonurkowie chcieli mu pomóc, lecz uwolnił się z ich objęć. Obrócił się na plecy i podryfował spokojnie, zapatrzony w górującą nad nim olbrzymią wieżyczkę atomowego okrętu podwodnego. Dopiero po chwili zauważył dżonkę. Skąd, u diabła, ona się tu wzięła? - pomyślał. Okręt marynarki wojennej wyjaśniał obecność płetwonurków, ale chińska dżonka?

Przy jej relingu tłoczyła się spora gromada ludzi, z których większość stanowili śmiejący się głośno i witający go machaniem rąk członkowie jego podmorskiej ekspedycji.

Dostrzegł Stacy Fox i pokiwał jej ręką.

Przypomniał sobie nagle o Angliku, ale nie było się czym martwić. Potężnie zbudowany Plunkett leżał w otoczeniu marynarzy na pokładzie okrętu podwodnego, a szybka akcja spowodowała, że odkasływał i wypluwał słoną wodę.

Batyskaf wynurzył się nie dalej jak metr od niego. Po chwili z włazu wyłoniła się głowa Giordina, który sprawiał wrażenie tak uszczęśliwionego, jakby wygrał główną nagrodę loterii fantowej. Znajdowali się na tyle blisko siebie, że mogli mówić ściszymi głosami.

- Czy wiesz, jakich dokonałeś spustoszeń? - zaśmiał się Włoch. - Wiesz, ile to będzie nas kosztowało?

Pitt, nie mniej uszczęśliwiony, że może się jeszcze zaliczyć do grona żywych, spoważniał nagle. Pomyślał o straszliwych zniszczeniach i o ludziach, którzy zginęli, chociaż nie mógł jeszcze znać liczby ofiar.

- Na pewno nie mnie ani ciebie - odparł nienaturalnie spiętym głosem. - Ten, kto jest za to wszystko odpowiedzialny, może się już czuć tak, jakby dostał rachunek do zapłacenia.



**CZEŚĆ II**  
**GROŻBA “KAITEN”**

## 18

Do zobaczenia w Yasukuni” - tak brzmiało pożegnanie pilotów kamikadze przed zajęciem miejsc w samolotach.

Oczywiście, żaden z nich nie miał nadziei spotkać swych kolegów za życia, wierzyli jednak, że ich dusze zjednoczą się w Yasukuni - otaczanym czcigodnym pomniku upamiętniającym wszystkich poległych za cesarza od czasów rewolucji w 1868 roku. Ów przybytek wznosi się na szczycie wzgórza Kudan, położonego w samym centrum Tokio, i jest znany także jako Shokonsha, czyli “Świątynia Przywoływania Duchów”. Historyczna budowla, na której centralnym dziedzińcu odbywają się liczne ceremonie, została zbudowana według ścisłych reguł architektury Shinto i jest niemal całkowicie pozbawiona umeblowania.

Jako swoista religia oparta na wiekowej tradycji, Shinto stworzyło na przestrzeni wielu lat liczne obrządki i sekty bazujące na *kami*, sposobach osiągnięcia boskiej mocy za pośrednictwem różnych bóstw. W czasach drugiej wojny światowej otoczone kultem państwowym i filozofią etyczną, Shinto dalekie było od swych religijnych korzeni. Podczas okupacji amerykańskiej zlikwidowano wszelkie dotacje rządowe dla ośrodków kultowych Shinto, później zaś uznano je za obiekty kultury narodowej i zabytki o szczególnym znaczeniu.

Tylko naczelnicy kapłani mają wstęp do wewnętrznego sanktuarium wszystkich tych obiektów, w którego centralnej części znajduje się jakiś święty przedmiot symbolizujący boskiego ducha. W Yasukuni taką relikwią jest zwierciadło.

Żaden obcokrajowiec nie ma prawa przekroczyć gigantycznych wrót z brązu, prowadzących do sanktuarium bohaterów wojennych. Tym dziwniejszy wydaje się fakt, że wśród uwiecznionych tu niemal 2 500 000 japońskich bohaterów widnieją także dwa obce nazwiska, reprezentujące dusze kapitanów statków, które zatoniły w trakcie przewożenia dostaw dla armii japońskiej podczas wojny z Rosją w 1904 roku. W Yasukuni znajdują się także nazwiska przestępców - zabójców politycznych, przywódców militarystycznego podziemia czy zbrodniarzy wojennych, takich jak generał Hideki Tojo, odpowiedzialny za ludobójstwo i działający z takim okrucieństwem, jakiego nie znano nawet w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu lub Dachau.

Od czasów drugiej wojny światowej Yasukuni zyskało znacznie większą rangę od innych miejsc pamięci narodowej, stało się symbolem prawicowych konserwatystów oraz militarystów, którym wciąż jeszcze marzyło się imperium zdominowane przez kulturę

japońską. Krajowa prasa i sieci telewizyjne szeroko komentowały każdą rocznicę kapitulacji Japonii, podczas której mauzoleum odwiedzali premier Ueda Junshiro i przywódcy rządzącej partii. Co roku wywoływała ona wielką falę protestów organizowanych głównie przez opozycję, ugrupowania lewicowe i pacyfistyczne, fanatyków innych religii niż shintoizm, a także przez rządy krajów sąsiednich, które ucierpiały pod okupacją japońską.

Ultranacjoniści, którzy głosili wyższość rasy japońskiej i otwarcie dążyli do odbudowy imperium, w celu uniknięcia ostrej krytyki i powiększania szeregów swych przeciwników urządzali uroczystości w Yasukuni zawsze nocą. Do mauzoleum przybywali i znikali niczym upiory zarówno dygnitarze rządowi, jak i kryjący się zwykle w cieniu szefowie organizacji przestępczych. Wszyscy oni zaciskali kurczowo szpony na tak potężnej strukturze kultowej, że nawet kolejne rządy nie odważyły się jej tknąć.

A najbardziej tajemniczą i wpływową postacią wśród nich był Hideki Suma.

Pośród drobnej mżawki Suma minął bramę i ruszył wysypaną żwirem ścieżką do świątyni Shokonsha. Było już po północy, ale światła Tokio, odbite od wiszących nisko chmur, rozjaśniały teren mauzoleum. Zatrzymał się pod rozłożystym drzewem i omiół spojrzeniem cały obszar ograniczony wysokim murem, lecz nie było tu żywego ducha poza gromadką gołębi stłoczonych pod bogato rzeźbionym okapem dachu.

Zadowolony, że nikt go nie obserwuje, Hideki Suma dokonał rytualnego obmycia rąk w kamiennej misie i przepłukał usta wodą z niewielkiego czerpaka. Wkroczył następnie do pierwszej sali świątyni, gdzie czekał na niego najwyższy kapłan. W wyszukanych słowach złożył ofiarę, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszczka plik papierów zawiniętych w skrawek materiału i przekazał je kapłanowi, ten zaś uroczyście złożył zawiniątko na ołtarzu.

Cichy dźwięk dzwonka obwieścił osiągnięcie przez Sumę specyficznej boskości, czyli *kami*, po czym obaj mężczyźni złożyli dłonie do modlitwy. Po krótkiej ceremonii oczyszczenia Hideki przez chwilę rozmawiał ścisłym głosem z kapłanem, wreszcie odebrał swoje zawiniątko i niezauważenie opuścił mauzoleum.

Napięcie ostatnich trzech dni opadło z niego jak krople deszczu z liści, a tajemna moc *kami* napełniła go nową nadzieją, jakby odmłodziła. Jego dążenie do oczyszczenia kultury japońskiej z niszczących wpływów Zachodu, przy równoczesnym zachowaniu zdobyczy ekonomicznych, znalazło poparcie boskiej siły.

W siąpiącej mżawce nikt by nie zwrócił większej uwagi na Sumę ubranego w klasyczny urzędniczy garnitur i podniszczony płaszcz. Mierzący 170 centymetrów wzrostu mężczyzna, czyli dość niski według zachodnich standardów, lecz wysoki jak na Japończyka, nie miał kapelusza, a gęste siwe włosy zaczesywał do tyłu. Tak charakterystyczny dla większości jego

rodaków kucyk również dawno utracił ciemną barwę, co sprawiało, że Suma wyglądał nieco starszej niż na swoje czterdzieści dziewięć lat.

Dopiero uważne spojrzenie w jego oczy pozwalało dostrzec, co odróżniało go od rodaków - tęczówki o głębokiej niebieskiej barwie świadczyły, że jego przodkiem był któryś z dawnych kupców holenderskich lub angielskich żeglarzy. Jako młody, piętnastoletni chłopak Suma trenował podnoszenie ciężarów, dzięki czemu miał sylwetkę wspaniale umięśnionego atlety, chociaż był dumny nie ze swej siły fizycznej, lecz z idealnej w jego mniemaniu rzeźby mięśni.

Osobisty strażnik, a zarazem szofer, skłonił się nisko i zaniknął za nim wielkie spiżowe wrota. W przestronnej limuzynie marki Murmoto, wyposażonej w dwunastocylindrowy silnik o mocy 600 koni mechanicznych, zwróceniem tyłem do kierunku jazdy, czekali na niego Moro Kamatori, najstarszy przyjaciel i główny doradca, oraz sekretarka Toshie Kudo.

Toshie także była wyższa od swych rodaczek. Szczupła, o długich nogach i czarnych włosach sięgających do pasa, z cerą bez żadnej skazy i wręcz magicznymi, ciemnobrązowymi oczyma, wyglądała jak ożywiona bohaterka filmów z Jamesem Bondem. Ale w przeciwieństwie do tamtych egzotycznych piękności, które na krok nie odstępowały słynnego szpiega, Toshie odznaczała się niepospolitym intelektem. Jej współczynnik inteligencji wynosił 165 i potrafiła niemal z taką samą wydajnością wykorzystywać obie półkule mózgowie.

Nie podniosła nawet głowy, kiedy Suma wszedł do samochodu; wbijała wzrok w ekran przenośnego komputera, który trzymała na kolanach.

Kamatori rozmawiał przez telefon. Może nie dorównywał intelektem sekretarce, lecz był niezwykle skrupulatnym i sprytnym wykonawcą sekretnych planów Sumy. To on pociągał za sznurki. Znakomicie radził sobie z ukrywaniem nielegalnych dochodów, zwykle występował też publicznie w imieniu Sumy, który wolał trzymać się w cieniu.

Z jego pozbawionej wyrazu, choć inteligentnej twarzy, którą szpeciły duże odstające uszy, zza grubych szkieł okularów bez oprawki spoglądały ciemne, jakby martwe oczy, ocienione ciężkimi czarnymi brwiami. Na zaciśniętych wargach nigdy nie pojawiał się uśmiech. Kamatori był człowiekiem wyciętym z wszelkich emocji i bezgranicznie oddanym swemu panu. Jeśli ktokolwiek, choćby nawet z najwyższych sfer rządowych, stawał na przeszkodzie planom Sumy, Kamatori bezwzględnie usuwał go z drogi, zwykle pozorując wypadek bądź tak organizując zamach, by winą za niego można było obciążyć opozycję.

Prowadził też sumiennie księgę zabójstw, szczegółowo opisując w niej wszystkie okoliczności. W ciągu dwudziestu pięciu lat jego działalności znalazło się w niej 237 nazwisk.

Kamatori odłożył słuchawkę aparatu wbudowanego w poręcz siedzenia.

- Rozmawiałem z admirałem Itakurą z naszej ambasady w Waszyngtonie - rzekł. - Jego agenci potwierdzili, że Biały Dom już wie, iż w epicentrum eksplozji nuklearnej znajdowała się "Niebiańska Gwiazda".

Suma obojętnie wzruszył ramionami.

- Czy ich prezydent złożył już na ręce premiera Junshiro oficjalny protest?

- Rząd amerykański zachowuje dziwne milczenie. Za to Norwegowie i Brytyjczycy podnoszą szum w sprawie zatopienia ich statków.

- Amerykanie siedzą cicho?

- W telewizji i prasie były tylko lakoniczne wzmianki.

Suma pochylił się i postukał palcem w obciążone nylonową pończochą kolano Toshie.

- Proszę o fotografię miejsca wybuchu.

Sekretarka skinęła głową i przebiegła palcami po klawiaturze komputera. Po niecałych trzydziestu sekundach z otworu faksu, wbudowanego w przegrodę oddzielającą pasażerów od kierowcy, wysunęła się kolorowa odbitka, którą Toshie wręczyła Sumie. Ten włączył lampkę w suficie i wziął z rąk Kamatoriego szkło powiększające.

- To fragment zdjęcia wykonanego w podczerwieni półtorej godziny temu przez naszego satelitę szpiegowskiego Akagi.

Suma przez dłuższą chwilę w milczeniu oglądał fotografię, a kiedy uniósł głowę, na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Atomowy okręt podwodny i azjatycka dżonka? Amerykanie zachowują się bardzo dziwnie. Sądzilem, że wyślą na miejsce połowę swojej floty na Pacyfiku.

- Kilka okrętów wojennych zmierza w stronę miejsca eksplozji - odparł Kamatori. - Płynie tam również statek badawczy NUMA.

- A obserwacje z powietrza?

- Wywiad amerykański zebrał już wystarczająco dużo danych ze swoich satelitów typu Pyramider i z samolotu SR-Dziewięćdziesiąt.

Suma wskazał palcem widoczny na zdjęciu niewielki obiekt.

- Między tymi dwoma statkami na powierzchni unosi się batyskaf. Skąd on się tam wziął?

Kamatori pochylił się nad fotografią.

- Na pewno nie z dżonki, musieli go mieć na pokładzie okrętu podwodnego.

- Czyżby chcieli szukać na dnie jakichś szczątków "Niebiańskiej Gwiazdy"? - mruknął Suma. - Nic nie znajdują, statek musiał zostać rozpylony na atomy. - Z powrotem przekazał

zdjęcie Toshie. - Proszę o aktualną informację o pozycjach naszych towarowców i ich portach docelowych.

Sekretarka zerknęła na niego znad komputera, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Przygotowałam już te dane, panie Suma.

- Słucham.

- "Niebiański Księżyc" wczoraj wieczorem zakończył rozładunek samochodów w Bostonie - powiedziała, wpatrując się w kolumny japońskich hieroglifów na ekranie. - "Niebiańska Woda"... zawinęła osiem godzin temu do portu w Los Angeles, trwa rozładunek.

- A pozostałe?

- Dwa statki są w drodze, "Niebiański Firmament" ma przycumować do nabrzeża w Nowym Orleanie za osiemnaście godzin, natomiast "Niebiańskie Jezioro" znajduje się o pięć dni drogi od Los Angeles.

- Może powinniśmy skierować te statki do innych portów, poza granicami Stanów Zjednoczonych? - rzekł Kamatori. - Obawiam się, że amerykańscy celnicy będą teraz szukać śladów promieniowania.

- Kto jest naszym tajnym agentem w Los Angeles? - zapytał Suma.

- W południowo-zachodnich stanach wszystkie tajne interesy prowadzi George Furukawa.

Suma odchylił się na oparcie, wyraźnie rozluźniony.

- To dobry fachowiec, na pewno nas zaalarmuje, jeśli Amerykanie zaostrzą kontrolę celną. - Odwrócił się w stronę Kamatoriego, który już trzymał w dłoni słuchawkę telefonu. - Skieruj "Niebiański Firmament" na Jamajkę, niech tam czeka na dalsze rozkazy. "Niebiańskie Jezioro" niech płynie dalej w kierunku Los Angeles.

Kamatori skłonił się z uznaniem i zaczął wybierać połączenie.

- Czy nie naraża się pan na zdemaskowanie? - spytała Toshie.

Suma zacisnął wargi i pokręcił głową.

- Agenci wywiadu amerykańskiego będą przeszukiwać statki, ale nigdy nie odnajdą bomb. Nasza technologia ich przerasta.

- Eksplozja na pokładzie "Niebiańskiej Gwiazdy" przydarzyła się w bardzo niekorzystnej chwili. Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek się dowiemy, co ją spowodowało.

- Nie obchodzi mnie to - odparł chłodno Suma. - Ten nieszczęśliwy wypadek nie powinien w najmniejszym stopniu opóźnić realizacji naszego projektu "Kaiten". - Urwał i zacisnął mocno szczęki, co nadało jego twarzy wyraz okrucieństwa. - Rozmieściliśmy już wystarczająco dużo obiektów, by zniszczyć jakikolwiek kraj, który odważy się zagrozić

istnieniu naszego nowego imperium.

George Furukawa, wicedyrektor słynnych Laboratoriów imienia Samuela J. Vincenta, w swym obitym pluszem gabinecie odebrał telefon od żony, która przypomniła mu o umówionej wizycie u dentysty. Podziękował jej w kilku ciepłych słowach i odłożył słuchawkę.

Kobieta, z którą rozmawiał, nie była jednak jego żoną, lecz agentką Sumy potrafiącą świetnie naśladować głos pani Furukawa, natomiast przypomnienie o wizycie u dentysty stanowiło hasło, które do tej pory odbierał pięciokrotnie, a oznaczało ono, że kolejny transport samochodów marki Murmoto przybył do portu i statek jest gotów do rozładunku.

Dyrektor przekazał sekretarce, że wychodzi do dentysty i nie wróci już tego popołudnia, wsiadł do windy i zjechał do podziemnego garażu. Kilkoma sprężystymi krokami podszedł do swego sportowego modelu murmoto, stojącego na zastrzeżonym stanowisku, otworzył drzwi i wsunął się za kierownicę.

Dyskretnie sięgnął pod siedzenie; koperta podrzucona w ciągu dnia przez któregoś z agentów Sumy leżała na miejscu. Sprawdził, czy wewnątrz znajdują się odpowiednie dokumenty na odbiór z portu trzech samochodów, lecz te - jak zawsze - były bez zastrzeżeń. Uruchomił potężny, trzydziestodwuzaworowy, ośmiocyldrowy silnik widlasty o pojemności prawie 6 litrów i mocy 400 koni mechanicznych, wyjechał ze stanowiska i zatrzymał się przed stalową barierką przegradzającą ocementowany wyjazd z garażu.

Z budki wyszedł uśmiechnięty strażnik i pochylił się przy oknie wozu.

- Tak wcześnie pan wyjeżdża, panie Furukawa?

- Mam wizytę u dentysty.

- Pański dentysta już chyba tyle zarobił na panu, że stać go na luksusowy jacht.

- Raczej na willę na wybrzeżu Francji - odparł z uśmiechem Furukawa.

Strażnik zaśmiał się głośno.

- Nie wywozi pan żadnych tajnych materiałów? - zadał rutynowe pytanie.

- Nie mam nic, nawet aktówkę zostawiłem w gabinecie.

Strażnik odsunął się, uruchomił mechanizm podnoszący barierkę i wskazując w stronę dwupasmowego wyjazdu na ulicę rzekł:

- Niech pan solidnie przepłucze sobie usta dżinem po powrocie do domu. To szybko uśmierza ból.

- Niezły pomysł - odparł Furukawa, wrzucając pierwszy bieg w sześciobiegowej skrzyni. - Dziękuję.

Laboratoria Vincenta, mieszczące się w wysokim, przeszklonym budynku oddzielonym od ulicy szeregiem drzew eukaliptusowych, to centrum badawcze i projektowe należące do



konsorcjum firm lotniczych oraz kosmonautycznych. Prowadzone tu prace, finansowane głównie z rządowych kontraktów na badania wojskowe, są ściśle tajne, a ich rezultaty pilnie strzeżone. W laboratorium szczegółowo analizuje się wszystkie przyszłościowe projekty technologii aeronautycznych - te najbardziej obiecujące kwalifikowane są do testów i wdrożenia, pozostałe trafiają do archiwum z myślą o ewentualnych późniejszych testach.

Furukawa należał do tych agentów, których w kręgach wywiadu określa się mianem "podkładki". Jego rodzice pośród wielotysięcznej rzeszy Japończyków wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych zaraz po wojnie i dość szybko wtopili się w owo specyficzne środowisko, w którym większość po opuszczeniu obozów dla internowanych próbowała ułożyć sobie życie na nowo. Ale państwo Furukawa nie przenieśli się na drugi brzeg Pacyfiku z tego powodu, że wygasła w nich miłość do ojczyzny. Wręcz przeciwnie, żywili głęboką nienawiść do tak różnorodnej, a zarazem tak obcej im kulturowo Ameryki.

Zostali uczciwymi, ciężko pracującymi obywatelami, którym przyświecał tylko jeden cel - wprowadzić syna do elity tutejszego biznesu. Nie żalowali pieniędzy, by dać mu jak najlepsze wykształcenie, gdyż te wpływały na konto rodziny z tajemniczych źródeł za pośrednictwem japońskich banków. Niezwykła cierpliwość i uporczywe budowanie fałszywego wizerunku przyniosły efekty, kiedy George, specjalizujący się w aerodynamice, uzyskał tytuł doktorski i otrzymał wysokie stanowisko w Laboratoriach Vincenta. Furukawa, który cieszył się znakomitą opinią wśród projektantów lotnictwa, zyskał bowiem dostęp do niewiarygodnej ilości danych o najnowszych amerykańskich technologiach z zakresu lotnictwa i kosmonautyki, które potajemnie zaczął przekazywać firmie Suma Industries.

Tajne informacje wykradane przez Furukawę na rzecz kraju, którego nigdy nawet nie odwiedził, pozwoliły Japonii zaoszczędzić miliardy dolarów na kosztach opracowywania i wdrażania nowych technologii, a jednocześnie pokonać pięcioletni dystans i wejść do grona światowych liderów na rynku aeronautyki.

Podczas spotkania z Hidekim Sumą na Hawajach Furukawa został także zwerbowany do działań w ramach projektu "Kaiten", czuł się bowiem zaszczycony, że jedna z najbardziej wpływowych osób w Japonii wybrała do tej uświęconej misji właśnie jego. Otrzymał zadanie dyskretnego oddzielenia w porcie samochodów w jednym, określonym kolorze i udzielenia wszelkiej pomocy w przewiezieniu ich do jakiegoś, nawet jemu nie znanego miejsca przeznaczenia. Nie zadawał żadnych pytań - odpowiadało mu to, że nie znał szczegółów operacji, gdyż wolał za wszelką cenę uniknąć ryzyka zdemaskowania swej działalności szpiega przemysłowego.

Godzina szczytu minęła i w niezbyt wielkim tłoku dotarł do bulwaru Santa Monica, a

po przejechaniu kilku kilometrów skręcił w wiodącą na południe autostradę do San Diego. Za lekkim dotknięciem pedału gazu sportowy murmoto zaczął wyprzedzać wolniejsze pojazdy, a gdy odezwał się sygnał alarmowy, Furukawa zdążył wyhamować do przepisowej szybkości na trzysta metrów przed wejściem w zasięg działania policyjnego radaru. Uśmiechnął się szeroko i po minięciu radiowozu ponownie przyspieszył.

Po jakimś czasie przepchnął się na prawy pas, zjechał z wiaduktu i znalazł się na autostradzie wiodącej do portu. W dziesięć minut później dotarł do terminalu odprawy celnej, skręcił na podjazd i stanął obok wielkiej ciężarówki oraz furgonetki, które czekały na pustym placu przed magazynem. Na drzwiach ciężarówki i burtach furgonetki widniały emblematy dobrze znanej spółki przewozowej. Furukawa zatrąbił dwukrotnie, na co odpowiedział mu powtórzony trzy razy basowy ryk klaksonu, ciężarówka ruszyła i ustawiła się tuż za jego wozem.

Lawirując między autami, wjeżdżającymi bądź opuszczającymi teren portu, dotarli w końcu do bramy prowadzącej na plac odprawy importowanych samochodów. Na sąsiednich parkingach stały stłoczone toyoty, hondy i mazdy oczekujące załadunku na dwupoziomowe przyczepy, którymi miały dotrzeć do salonów sprzedaży w głębi kraju.

W czasie gdy urzędnik sprawdzał wyjęte z koperty dokumenty, Furukawa zapatrzył się na morze pojazdów. "Niebiańska Woda" była już mniej więcej w jednej trzeciej rozładowana, samochody stały w pełnym słońcu Kalifornii. Odruchowo zaczął liczyć auta wytaczające się przez kilka luków i po ruchomych pochylniach zjeżdżające na olbrzymi plac - portowi kierowcy wyprowadzali je w tempie osiemnastu samochodów na minutę.

Oficer celny oddał mu w końcu kopertę.

-W porządku, proszę pana. Do odbioru trzy sportowe sedany, model SP-Pięćset. Proszę przekazać dokumenty kierownikowi placu, on panu wybierze auta.

Furukawa podziękował i ręką dał znać kierowcy ciężarówki, aby jechał za nim. Zarządzający rozładunkiem olbrzym z cygarem w zębach rozpoznał Japończyka.

-Nadal bierze pan tylko samochody w kolorze ciemnobrązowym? - zapytał z uśmiechem.

Furukawa wzruszył ramionami.

- Mam klienta, który zaopatruje w nie swoich sprzedawców. Może pan wierzyć lub nie, ale on twierdzi, że ten kolor to jego znak firmowy.

- A cóż on sprzedaje, do cholery? Rzadkie głównie jaszczurek z Kioto?

- Nie, importowaną kawę.

- To niech mi pan nie mówi, jakiego gatunku, bo bym jej nie wziął do ust.

George wsunął kierownikowi w łapę studolarowy banknot.

- Ile będę musiał czekać na te samochody?

Tamten wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pańskie wozy łatwo dostrzec na placu, kierowcy dostarczą je w ciągu dwudziestu minut.

Minęła jednak godzina, zanim trzy brunatne pojazdy znalazły się w przestronnym wnętrzu ciężarówki i zostały umocowane na skrzyni. Przez ten czas Furukawa nie zamienił z kierowcą ani jednego słowa, unikali nawet patrzenia na siebie.

Po wyjeździe za bramę portu George zjechał na pobocze i przypalił papierosa. Przyglądał się obojętnie, jak ciężarówka, eskortowana przez furgonetkę, skręca na wiadukt i wjeżdża na autostradę. Numery rejestracyjne wozów pochodziły z Kalifornii, był jednak przekonany, że zostaną zmienione na jakimś pustynnym parkingu przed granicą stanu.

Mimo woli Furukawa zadał sobie w duchu pytanie, cóż jest aż tak niezwykłego w tych brązowych samochodach i z jakiego powodu ich miejsce przeznaczenia jest objęte tak ścisłą tajemnicą.

- Najpierw o wschodzie słońca popływamy nago wokół przylądka Makapuu - rzekł Pitt, ujmując dłoń Stacy. - Potem pokręcimy się trochę po Zatoce Hanauma, wysmarujemy się olejkami do opalania i spędzimy całe popołudnie na rozgrzanym białym piasku tamtejszej plaży. Później przy szklaneczce rumu będziemy podziwiać zachód słońca z tarasu hotelu "Halekalani", a wieczorem zawiozę cię do pewnej przytulnej małej restauracji w dolinie Manoa. Stacy przyglądała mu się z rozbawieniem.

- Czy kiedykolwiek pomyślałeś o tym, żeby związać się z kimś na stałe?

- Nie mógłbym obarczyć żadnej kobiety odpowiedzialnością za mnie - odparł wykrętnie Dirk. - Dlatego zawsze mam złamane serce.

Odwrócił się i wyjrzał przez okienko dwusilnikowego wojskowego helikoptera transportowego, który unosił ich w mrok nocy. Jeszcze tego samego dnia, kiedy wypłynęli razem z Plunkettem, wczesnym wieczorem przyleciała ta wielka maszyna i zabrała z pokładu członki wszystkich członków ekspedycji Morskiego Poletka oraz załogę "Starej Gerdy". Przedtem jednak gorąco podziękowali Owenowi Murphy'emu i jego marynarzom za gościnę, później zaś musieli jeszcze przenieść Jimmy'ego Knoxa. Kiedy owiniętego w koce Anglika ułożono w kabinie, olbrzymi śmigłowiec wzniósł się nad stojące wciąż obok siebie "Muszlę Szanghaju" oraz "Tucsona" i poleciał w stronę Hawajów.

Blask znajdującego się w trzeciej kwadrze księżyca rozlewał się na falach roziskrzoną poświatą; przelatywali właśnie nad statkiem wycieczkowym. Na południowo-wschodnim horyzoncie Pitt dostrzegł lunę światła wyspy Oahu. Powinien spać twardym snem, tak jak Sandecker, Giordino i cała reszta, ale szalona radość z tego, że udało mu się wymknąć z objęć kostuchy, jeszcze do tej pory burzyła mu krew w żyłach. Nie pomagał też fakt, że Stacy postanowiła dotrzymać mu towarzystwa.

- Widać coś? - zapytała między kolejnymi ziewnięciami.

- Oahu na horyzoncie. Za jakieś piętnaście minut powinniśmy przelatywać nad Honolulu.

Stacy wbiła spojrzenie w jego twarz.

- Opowiedz mi jeszcze o planach na jutro, a zwłaszcza o tym, co będziemy robili po kolacji.

- Jeszcze do tego nie doszedłem.

- Właśnie.

- No więc rosną tam dwie palmy...

- Palmy?

- Oczywiście - odparł Pitt, zdumiony niewiedzą Stacy. - A między nimi czeka zawieszony zmysłowy hamak na dwie osoby.

Ultranowoczesny helikopter bez tradycyjnego rotora ogonowego, przypominający sylwetką sportowe ferrari, opadł szybko nad niewielkim trawiastym polem na obrzeżach lotniska Hickam Field, którego granice obstawione były niewidocznymi w ciemnościach komandosami z plutonu specjalnych sił zbrojnych. Sygnałem świetlnym z ziemi dano znać pilotowi, że może lądować, po czym olbrzymia maszyna leciutko osiadła w wysokiej trawie.

Błyskawicznie podjechał do niej niewielki autobus z wymalowanym na boku napisem: "Wycieczki Kawanunai" i zatrzymał się tuż poza zasięgiem potężnych rotorów. Za nim ustawił się czarny ford sedan, a dalej wojskowy ambulans, mający zabrać ciało Jimmy'ego Knoxa do szpitala Triplera w celu dokonania sekcji. Z limuzyny wysiadło czterech cywilów, którzy zajęli miejsca przy drzwiach helikoptera.

Wysiadający z niego wymęczeni pracownicy NUMA byli kierowani do autobusu, gdy jednak wychodzący na końcu Pitt i Stacy zeskoczyli na trawę, strażnik w mundurze wyciągnął rękę, blokując im drogę i wskazując forda, obok którego stali już admirał Sandecker oraz Giordino.

Dirk odepchnął rękę wartownika i swobodnym krokiem podszedł do autobusu.

- Do widzenia - zwrócił się do Plunketta. - Proszę unikać przemoczenia nóg.

Anglik serdecznie uścisnął dłoń Dirka.

- Bardzo dziękuję za uratowanie mi życia, panie Pitt. Przy najbliższej okazji stawiam panu drinka.

- Zapamiętam, szampan dla pana, piwo dla mnie.

- Niech pana Bóg błogosławi.

Kiedy Pitt podszedł do czarnej limuzyny, dwaj mężczyźni trzymali wyciągnięte przed oczyma Sandeckera złote odznaki, świadczące jednoznacznie, że są agentami służb federalnych.

- Działam z polecenia prezydenta, panie admirale. Mam rozkaz zatrzymać pana i wraz z panem Pittem, panem Giordinem oraz panną Fox odstawić jak najszybciej do Waszyngtonu.

- Nie rozumiem - mruknął zirytowany Sandecker. - Po co tyle szumu?

- Tego nie umiem powiedzieć, panie admirale.

- A co będzie z moimi ludźmi z NUMA? Przez cztery miesiące pracowali w bardzo trudnych warunkach pod wodą, realizując ważny projekt. Należy im się odpoczynek i możliwość kontaktu z rodzinami.

- Prezydent zarządził całkowitą blokadę informacji. Pańscy pracownicy, a także doktor Plunkett i doktor Salazar, zostaną przewiezieni na drugi koniec wyspy i umieszczeni w bezpiecznym miejscu do czasu zniesienia blokady. Później dostaną odszkodowania, zostaną uwolnieni i znowu będą do pańskiej dyspozycji.

- Jak długo mają przebywać pod strażą?

- Trzy, może cztery dni - odparł agent.

- Czy panna Fox nie powinna zostać z całą resztą?

- Nie, panie admirale. Otrzymałem rozkaz, by zabrać ją razem z panem.

Pitt obrzucił Stacy przenikliwym spojrzeniem.

- Po co zatem robiłaś mi nadzieje, młoda damo?

Na wargach Stacy pojawił się nikły uśmiezek.

- Ale będę tęskniła za tym, co mnie ominęło na Hawajach.

- Pozwolę sobie w to wątpić.

Jej oczy zwęziły się nagle.

- Będziemy za to mieli inną okazję, może nawet w Waszyngtonie.

- Nie sądzę - odparł niespodziewanie lodowatym tonem. - Zrobiłaś ze mnie osła, wykiwałaś przy wszystkich, poczynając od tych błagalnych próśb o pomoc, jakie odebrałem przez telefon z pokładu "Starej Gerdy".

Popatrzyła na niego hardo, lecz w jej spojrzeniu można było odczytać dziwną mieszaninę urażonej dumy i wściekłości.

- Wszyscy byśmy zginęli, gdybyś wraz z Alem nie zjawił się na czas.

- A owa tajemnicza eksplozja? Czy miałaś z nią coś wspólnego?

- Nie mam pojęcia, kto jest za to odpowiedzialny - odparła szczerze. - Nie czytałam raportu.

- Raportu? - powtórzył wolno. - To dość niezwykle słowo w ustach kobiety zajmującej się podwodną fotografią. Dla kogo pracujesz?

- Wkrótce się tego dowiesz - odrzekła twardym, napiętym głosem, po czym odwróciła się na pięcie i wsiadła do samochodu.

Pitt zdążył zdrzemnąć się przez trzy godziny w trakcie lotu do stolicy. Zapadł w sen gdzieś nad Górami Skalistymi i obudził się, kiedy świt wstawał nad Wirginią Zachodnią. Siedział w tylnej części rządowego odrzutowca typu Gulfstream, z dala od innych, wołał bowiem zostać sam na sam z własnymi myślami, niż brać udział w rozmowie. Wodził wzrokiem po rozłożonej na kolanach płachcie "USA Today", choć na dobrą sprawę nie widział ani tytułów, ani fotografii.

Był wściekły jak rzadko kiedy. Miał żal do Sandeckera za to, że go unikał i w ogóle nie chciał rozmawiać na temat eksplozji, która wywołała trzęsienie ziemi. Był także zły na Stacy, gdyż nabrał przekonania, że brytyjska wyprawa podmorska nie była niczym innym, jak wspólną akcją organizacji wywiadowczych mającą na celu szpiegowanie prac na Morskim Poletku. Prawdopodobieństwo, że "Stara Gerda" przypadkowo osiadła na dnie w sąsiedztwie bazy, oceniał jako bliskie zera. Zatem rola fotografa ekspedycji musiała być dla Stacy jedynie kamuflażem, a dziewczyna pełniła funkcję tajnego agenta - czysta robota. Jediną zagadką pozostawała nazwa instytucji, dla której pracowała.

Zaprzątnięty swoimi myślami nie spostrzegł nawet, kiedy Giordino przeszedł na tył samolotu i usiadł obok niego.

- Wyglądasz na przegranego, przyjacielu.

Pitt wyprostował się.

- Cieszy mnie, że wracamy do domu.

Al bez trudu jednak odgadł nastrój Dirka i sprytnie skierował rozmowę na temat starych, zabytkowych samochodów, które były pasją tamtego.

- Czym się ostatnio zajmujesz?

- Chodzi ci o samochody?

Giordino skinął głową.

- Packardem czy marmonem?

- Ani jednym, ani drugim. Przed odlotem na Pacyfik odremontowałem silnik stutza, ale nie zdążyłem go zamontować.

- To ten zielony kabriolet z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku?

- Właśnie.

- Wracamy dwa miesiące przed terminem, może zdążysz jeszcze zgłosić swój udział w wyścigu starych samochodów w Richmond.

- Za dwa dni upływa termin - odrzekł Pitt w zamyśleniu. - Chyba nie dam rady przygotować w tym czasie auta.

- Pomogę ci, jeśli pozwolisz - zaproponował Giordino. - Razem na pewno wyszukujemy tę zieloną torpedę, by mogła stanąć na starcie.

Dirk skrzywił się z niesmakiem.

- Nie wiem, czy będziemy mieli okazję. Coś się dzieje, Al. Jeśli admirał trzyma buzię na kłódkę, to znaczy, że ktoś znowu ciska krowimi plackami w ramiona wiatraka.

Al uśmiechnął się niewyraźnie.

- Próbowałem coś z niego wyciągnąć.

- Z jakim efektem?

- Mógłbym równie dobrze gadać do kołka w płocie.

- Zdradził tylko jedno - mruknął Pitt - że zaraz po wylądowaniu mamy się udać do Federalnej Kwatery Głównej.

Giordino popatrzył na niego zdumiony.

- Nie wiedziałem nawet, że w Waszyngtonie jest jakaś Federalna Kwatera Główna.

- Ja też nie. - W zielonych oczach Dirka pojawiły się złowieszcze błyski. - To jeszcze jeden powód, by sądzić, że ktoś nas wpuszcza w maliny.



Podejrzenia Pitta, że będą musieli tańczyć tak, jak im się zagra, przerodziły się w pewność, kiedy tylko ujrzał budynek Federalnej Kwatery Głównej.

Nie oznakowana furgonetka bez okien, która zabrała ich z bazy lotniczej Andrews, skręciła w aleję Konstytucji, minęła wielki sklep z używaną odzieżą i niepozorną uliczką wtoczyła się na parking przed odrapanym, pięciopiętrowym gmachem z cegły, wzniesionym - według oceny Dirka - gdzieś w latach trzydziestych.

Kwaterna sprawiała wrażenie całkowicie zaniedbanej. Niektóre okna z powybijanymi szybami zabito deskami, czarna farba z obrzeżonych żelaznymi barierkami balkonów schodziła płatami, cegły były popękane i pokruszone, a w dodatku na wyszczerbionych cementowych schodach przed wejściem siedział jakiś brudny włóczęga, przyciskając do siebie kartonowe pudło, wypełnione nie dającymi się opisać rupieciami i szmelcem.

Dwaj agenci federalni, którzy eskortowali ich aż z Hawajów, wprowadzili całą grupkę do głównego holu, nie zwracając uwagi na bezdomnego oberwańca. Sandecker i Giordino obrzucili go tylko przelotnymi spojrzeniami. Natomiast Stacy - w przeciwieństwie do innych kobiet, które patrzyłyby na biedaka ze współczuciem albo z obrzydzeniem - skinęła mu głową i posłała promienny uśmiech.

Zdumiony Pitt przystanął i zagadał:

- Piękny dzień na opalanie.

Włóczęga, w przybliżeniu czterdziestoletni Murzyn, obrócił ku niemu twarz.

- Ślepy jesteś, chłopie? Po co ja miałbym się opalać?

Dirk zdążył jednak rozpoznać owo świdrujące spojrzenie, tak typowe dla wszystkich obserwatorów, które zdawało się badać każdy centymetr powierzchni rąk obcego, jego ubrania, sylwetki, twarzy w tejże właśnie kolejności. Oczy Murzyna nie miały nic wspólnego z mętnym, rozbieganym wzrokiem zwyczajnego włóczęgi.

- Och, sam nie wiem - odparł Pitt beztróskim tonem. - Ale może ci się przydać, jak odbierzesz pensję i polecisz na urlop na Bermudy.

Włóczęga uśmiechnął się, odsłaniając równe, białe zęby.

- Trzymaj się, chłopie.

- Spróbuję - odrzekł Pitt, rozbawiony tą radą. Minął znudzonego agenta, trzymającego straż na pierwszej linii, i wszedł za pozostałymi do głównego holu.

Wnętrze przedstawiało się równie obskurnie, jak fronton. W powietrzu wisiała nieprzyjemna woń środka odkażającego. Schody, wykładane zielonymi kafelkami, były mocno wyślizgane, a brudne plamy i smugi na pokrytych olejną farbą ścianach świadczyły, że

od wielu lat nie robiono tu remontu. W tym zaniedbanym holu jedynym dobrze utrzymanym elementem była antyczna skrzynka na listy, której mosiężne okucia połyskiwały w mętnym świetle zwieszających się z sufitu lamp, a orzeł wymalowany nad napisem "Poczta USA" wyglądał tak, jakby skrzynka dopiero wczoraj wyszła z fabryki. Pitt przyznał w duchu, że ten kontrast jest nawet zabawny.

Drzwi staroświeckiej windy rozsunęły się bezgłośnie. Przybysze ze zdumieniem popatrzyli na błyszczące od chromu wnętrze klatki oraz windziarza, ubranego w przepisowy, błękitny mundur marynarki wojennej. Pitt zwrócił uwagę, że Stacy zachowuje się tak, jakby była tu już wcześniej.

Wszedł jako ostatni, spoglądając na niewyraźne odbicie w chromowanej powierzchni swoich zaczerwienionych i podkrążonych oczu oraz wyraźnego zarostu na brodzie. Marynarz zamknął drzwi i winda ruszyła w całkowitej ciszy. Nie czuło się w niej żadnych przeciążeń, nie było też światełek rozbłyskujących nad drzwiami ani lampek na tablicy, informujących o numerze mijanego piętra. Jedynie delikatne sensacje ucha środkowego podpowiadały Pittowi, że zjeżdżają z dużą szybkością na dół.

Wreszcie drzwi otworzyły się na hol oraz korytarz, tak czysty i błyszczący, że mógłby stanowić powód dumy każdego kapitana statku. Agenci federalni wskazali im drugie drzwi od szybu windy i odsunęli się na bok. Cała czwórka przeszła przez drzwi zewnętrzne, a następnie wewnętrzne, których istnienie Pitt i Giordino natychmiast potraktowali jako dowód istnienia śluzy powietrznej, zapewniającej dźwiękoszczelność pokoju. W dodatku po ich zamknięciu usłyszeli cichy syk powietrza, tworzącego nadciśnieniową warstwę zabezpieczającą.

Znaleźli się w olbrzymiej, nisko sklepionej sali konferencyjnej, tak dokładnie odizolowanej od wszystkich odgłosów zewnętrznych, że delikatny pomruk świetlówek pod sufitem przypominał brzęczenie roju os, a najcichszy szept można było usłyszeć z odległości dziesięciu metrów. Oświetlenie sali było tak rozmieszczone, że nigdzie nie padał żaden cień; normalny ton głosu rozbrzmiewał tubalnie niczym huk wystrzału. W centrum pomieszczenia stał masywny, stary stół biblioteczny, pokryty silnie zmatowiałym lakierem, prawdopodobnie jeden z tych, którymi Eleonora Roosevelt zapełniła Biały Dom. Na nim spoczywała wielka misa z jabłkami odmiany Jonatan, a podłogę okrywał gruby perski dywan w kolorze krwistoczerwonym.

Stacy podeszła do przeciwległego krańca stołu, zza którego podniósł się jakiś mężczyzna, ucałował ją po bratersku w policzek i przemówił łagodnym tonem z wyraźnym teksańskim akcentem. Wyglądał młodo, musiał być co najmniej sześć czy siedem lat młodszy od Dirka. Stacy nie zadała sobie jednak trudu, by go przedstawić, nie odzywała się zresztą do

Pitta od czasu wejścia na Hawajach na pokład odrzutowca Gulfstream. Ustawicznie starała się udawać, że go nie dostrzega, przez cały czas odwracając się do niego tyłem.

Po obu stronach znajomego Stacy siedzieli dwaj mężczyźni o azjatyckich rysach. Rozmawiali ściszymi głosami i nie unieśli nawet głów, kiedy Pitt i Giordino omiatali uważnymi spojrzeniami całą salę. Nieco z boku tkwił zaczytany w dokumentach jakiś typek z Harvardu - pod rozpiętą marynarką widać było łańcuszek zegarka wystający z kieszonki kamizelki, a przy nim wisiał charakterystyczny znaczek w kształcie kluczyka, oznaczający przynależność do klubu Phi Beta Kappa.

Sandecker podszedł prosto do jednego z foteli u szczytu stołu, usiadł i zaczął przypalać grube hawańskie cygaro. Zwrócił uwagę, że Pitt wygląda na zagubionego i zaniepokojonego, jakby nagle całkowicie stracił rezon.

Do grupy nowo przybyłych zbliżył się starszy, szczupły mężczyzna z włosami do ramion, trzymający w dłoni fajkę.

- Który z panów nazywa się Dirk Pitt?

- Ja.

- Frank Mancuso - przedstawił się tamten, wyciągając rękę. Powiedziano mi, że będziemy razem pracowali.

- Tu ma pan nade mną przewagę - odrzekł Pitt. Ucisnął dłoń mężczyzny i wskazał stojącego obok Włocha. - Mój przyjaciel, Al Giordino, oraz ja jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu.

- Zebrano nas tu w celu utworzenia MZB.

- A cóż to oznacza?

- MZB? Międzyresortowy Zespół Badawczy.

- O Jezu - jęknął Pitt. - Po cholere mi to? Mam ochotę jedynie wrócić do domu, nalać sobie porcję tequili z lodem i walnąć się do łóżka.

Nie zdążył jednak dosadniej wyrazić swego ubolewania, gdyż do sali wkroczył Raymond Jordan w towarzystwie dwóch facetów, którzy mieli takie miny, jakby przed chwilą lekarz zakomunikował im, że ich wątroby zżera nieuleczalny grzybek z dżungli na Borneo. Jordan podszedł prosto do Sandeckera i przywitał go serdecznie.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Jim. Jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc w tej sprawie. Wiem też, z jakim żalem przyjąłeś stratę swojej bazy.

- NUMA wybuduje następną - oznajmił admirał tak typowym dla niego, stanowczym tonem.

Jordan zajął miejsce u szczytu stołu, a jego zastępcy rozsiedli się po bokach, kładąc

przed nim kilka teczek z dokumentami.

Jordan nawet w pozycji siedzącej sprawiał wrażenie niespokojnego - tkwił usztywniony jak struna, nie dotykając plecami oparcia, i wodził spojrzeniem swych ciemnych oczu po twarzach zgromadzonych ludzi, jakby kolejno próbował odczytywać ich myśli. Wreszcie zwrócił się do Pitta, Giordina oraz Mancusa, stojących wciąż w drugim końcu sali.

- Czy moglibyście usiąść wygodnie, panowie?

Jeszcze przez jakiś czas w absolutnej ciszy Jordan układał przed sobą tecki. W sali zapanowała ciężka, pełna oczekiwania atmosfera, a wyczuwalne napięcie i niepokój miały taką intensywność, że mogły przyprawić o wrzód żołądka.

Pitt siedział z obojętną miną, błędząc myślami gdzieś daleko. Był zmęczony po przeżyciach ostatnich dwóch dni i zupełnie nie czuł się na siłach brać udział w poważnej dyskusji. Marzył jedynie o gorącym prysznicu i ośmiogodzinnym śnie, ale z respektu dla admirała, który był przecież jego szefem, starał się panować nad sobą.

- Proszę mi wybaczyć - zaczął Jordan - jeśli w jakiś sposób popsulem państwa plany, obawiam się jednak, że stanęliśmy wobec niezwykle krytycznej sytuacji, która stanowi zagrożenie dla przyszłości naszego kraju. - Urwał, spoglądając na otwarty skoroszyt, w którym zebrane zostały akta personalne. - Wielu z państwa mnie zna, niektórzy pracowali ze mną wcześniej. Chyba tylko panowie Pitt i Giordino znajdują się w tej niedogodnej sytuacji, że prawie nic o mnie nie wiedzą, a ja o nich niemal wszystko.

- To proszę zacząć od początku - mruknął Al, unikając karcącego spojrzenia Sandeckera.

- Przepraszam. Nazywam się Ray Jordan i w imieniu prezydenta zajmuję się wszelkimi sprawami, zarówno wewnętrznymi, jak i na arenie międzynarodowej, dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego. Operacja, którą właśnie rozpoczynamy, dotyczy obu tych obszarów polityki. Przekażę teraz głos mojemu zastępcy do spraw operacyjnych, panu Donaldowi Kernowi, który wyjaśni obecną sytuację oraz rolę wszystkich z państwa.

Niski i chudy jak szkielet Kern miał niebieskozielone oczy, które zdawały się przenikać na wylot umysły zebranych ludzi - wszystkich z wyjątkiem Pitta; kiedy ich spojrzenia się zetknęły, przypominało to zderzenie w locie dwóch pocisków, niezdolnych zniszczyć się nawzajem.

- Po pierwsze - rzekł Kern zaskakująco głębokim basem, nie spuszczać wzroku z Dirka - naszym zadaniem jest utworzyć nową organizację federalną, w której skład wejdą agenci wywiadu, specjaliści z różnych dziedzin, personel pomocniczy, analitycy danych archiwalnych oraz wywiadowcy terenowi, a której podstawowym celem będzie likwidacja

poważnego zagrożenia, jakie zawisło nad mieszkańcami naszego kraju i całego świata. Mówiąc krótko, mamy utworzyć MZB. - Wcisnął kilka klawiszy na konsoli przy stole i odwrócił się do ściany, na której został wyświetlony schemat organizacyjny przyszłego MZB: z dużym centralnym kołem stykało się mniejsze na górze, a cztery inne umieszczono po bokach, co razem tworzyło karykaturalny zarys grubego pająka.

- Górne kółko przedstawia waszyngtońskie centrum dowodzenia - wyjaśnił. - Dolne to nasze centrum gromadzenia i przetwarzania informacji, które znajduje się na wyspie Koror na Pacyfiku, w archipelagu należącym do Republiki Palau. Nasz przedstawiciel na wyspie, Mel Penner, będzie odpowiadał za akcje w terenie. - Przerwał i spojrzął znacząco na Pennera, drugiego mężczyznę, który wszedł do sali w towarzystwie Jordana.

Ten nawet się nie uśmiechnął, tylko pokiwał głową i od niechcenia uniósł rękę, jak gdyby bał się spojrzeć ludziom w oczy albo ukazać im swą rumianą twarz, pooraną głębokimi bruzdami niczym gruby sztruks.

- Formalnie Mel jest socjologiem z UCLA badającym zwyczaje tubylców - dodał Kern.

- Mel prawie nic nas nie kosztuje - wtrącił z uśmiechem Jordan. - Jego dom to zarazem biuro, a całe wyposażenie stanowi tapczan, aparat telefoniczny, szafka na dokumenty oraz biurko, będące jednocześnie stołem jadalnym i barkiem.

Ale zabawne! - pomyślał walczący z sennością Pitt, który nie mógł zrozumieć, dlaczego tamci tyle czasu poświęcają sprawom organizacyjnym.

- Poszczególne grupy otrzymają nazwy kodowe od marek samochodów - mówił dalej Kern. - Na przykład centrum dowodzenia określiliśmy mianem "Lincolna", a Mel Penner będzie "Chryslerem". - Ponownie odwrócił się do ekranu i wskazał następne kółko. - Pan Marvin Showalter, zastępca dyrektora wydziału bezpieczeństwa w Departamencie Stanu, zostanie oddelegowany do naszej ambasady w Tokio i weźmie na siebie ciężar załatwienia wszelkich problemów dyplomatycznych, które mogłyby się pojawić ze strony Japończyków. Otrzyma pseudonim "Cadillac".

Showalter wstał i muskając kciukiem znaczek klubu Phi Beta Kappa skłonił się lekko.

- Będzie mi bardzo przyjemnie współpracować z państwem - rzekł.

- Mary, musisz uprzedzić odpowiedzialne służby ambasady, że nasi ludzie pracujący w terenie mogą się spotkać z zarzutem nielegalnej działalności. Nie chcę też, by jakiegokolwiek informacje przekazywane były normalną drogą służbową z naszej ambasady.

- Dopilnuję tego - obiecał Showalter.

Kern odwrócił się w stronę Stacy i siedzącego obok niej brodacza.

- Panna Stacy Fox i doktor Timothy Weatherhill, którzy nie wszystkim państwu są

jeszcze znani, poprowadzą poszukiwania na terenie naszego kraju i będą działać jako reporterka i fotograf z "Denver Tribune". Ich grupa nosi nazwę "Buick". - Następnie wskazał dwóch mężczyzn pochodzenia azjatyckiego. - Zespół "Honda" to panowie Roy Orita i James Hanamura. Na ich barkach spoczywa największa odpowiedzialność, gdyż pokierują siatką na terenie Japonii.

- Zanim Don przejdzie do dalszej części - wtrącił Jordan może są jakieś pytania?

- Jak będziemy się porozumiewać? - zapytał Weatherhill.

- Najprostszymi sposobami - odrzekł Kern - telefonicznie. To wzbudzi najmniej podejrzeń. - Wcisnął inny klawisz konsoli i na ekranie pojawił się szereg cyfr. - Proszę zapamiętać ten numer. Zabezpieczymy tę linię przed podsłuchem, a operator centrali, znajdujący w każdej chwili miejsce pobytu wszystkich członków sztabu, będzie dyżurował przez całą dobę.

- Chcę dodać - ponownie wtrącił Jordan - że będziecie się musieli meldować co trzy doby i w wypadku braku zgłoszenia natychmiast wyślemy ekipę ratunkową.

Pitt, który odchylił się do tyłu i balansował na dwóch nogach krzesła, podniósł rękę do góry.

- Mam pytanie.

- Słucham, panie Pitt.

- Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby ktoś wreszcie mnie poinformował, co się tu dzieje, do cholery.

Przez chwilę panowała napięta cisza. Jak można się było domyślać, wszyscy zgromadzeni - oprócz Giordina - utkwili w Dirku ostre, pełne dezaprobaty spojrzenia.

Jordan obrócił się w kierunku Sandeckera, a ten pokręcił głową i rzekł skruszonym tonem:

- Tak jak poleciłeś, Dirk i Al nie zostali wprowadzeni w szczegóły sytuacji.

Jordan przytaknął.

- Przez moje niedopatrzenie nie zostaliście, panowie, wtajemniczeni. Ja ponoszę za to odpowiedzialność i proszę o wybaczenie. Byliście traktowani dość szorstko po tym, co przeszliście.

Pitt posłał Jordanowi kąśliwe spojrzenie.

- Czy to pan również odpowiada za próbę szpiegowania prac w bazie NUMA?

Tamten zawahał się i po chwili rzekł:

- Nie chcieliśmy was szpiegować, panie Pitt, ale jedynie obserwować. Owszem, to ja wydałem taki rozkaz, a uczestnicy brytyjskiej wyprawy oceanograficznej, która szczęśliwym

zbiegiem okoliczności działała na północnym Pacyfiku, zgodzili się współpracować z nami i zmienili miejsce swoich próbnych zanurzeń.

- A czy ta eksplozja na powierzchni, która zmiotła brytyjski statek i wywołała trzęsienie ziemi, obracając w pył nasze ośmioletnie wysiłki, także stanowiła element pańskich planów?

- Nie, to była nieprzewidziana katastrofa.

- Możliwe, że coś uszło mojej uwadze - powiedział szorstko Dirk. - Mam jednak dziwne wrażenie, że znajdujemy się po tej samej stronie barykady.

- Bo tak jest, panie Pitt. Mogę pana zapewnić - odrzekł cicho Jordan i ruchem głowy wskazał Sandeckera. - Wasza baza, którą nazwaliście Morskim Poletkiem, została zbudowana w tak ścisłej tajemnicy, że żadna z naszych agencji wywiadowczych nie miała pojęcia, czyje to dzieło.

- I dlatego - przerwał mu bezceremonialnie Pitt - kiedy tylko dowiedzieliście się o jej istnieniu, musieliście wetknąć swój nos i poniuchać, co w trawie piszczy?

Jordan, który nie przywykł do tak napastliwego tonu, spuścił głowę, uciekając przed wzrokiem Dirka.

- Co było, to było. Żałuję, że zginęło tak wielu ludzi, ale nie można nas obwiniać za to, że nasi agenci przypadkiem znaleźli się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwej chwili. Skąd mogliśmy wiedzieć, że japoński towarowiec, przewożący przez ocean samochody, będzie szmuglował pod pokładem bombę atomową i że ta bomba przypadkowo eksploduje akurat w sąsiedztwie dwóch innych statków i niemal dokładnie nad waszą podmorską bazą?

Przez chwilę Pitt czuł się tak, jakby wylano mu na głowę kubeł zimnej wody, szybko jednak opanował zmieszanie. W jego umyśle kawałeczki układanki znalazły się na swoich miejscach. Popatrzył na Sandeckera i rzekł, nadając swemu głosowi lodowaty ton:

- Pan wiedział, admirale. Znał pan szczegóły przed odlotem z Waszyngtonu i nie pisnął pan ani słówka. "Tucson" znalazł się na miejscu nie dlatego, żeby ratować Plunketta i mnie, ale żeby zmierzyć poziom radioaktywności i poszukać ewentualnych szczątków statku.

W takich właśnie chwilach Pitt i Giordino marzyli, żeby choć raz zobaczyć, jak Sandecker rumieni się ze wstydu.

- Prezydent prosił mnie osobiście, bym zachował wszystko w tajemnicy - odparł tamten powoli. - Nigdy cię nie okłamałem, Dirk, ale nie miałem innego wyjścia, jak zachować milczenie.

Pittowi zrobiło się żal admirała, wiedział dobrze, jak trudno mu było utrzymać sekret wobec dwóch bliskich przyjaciół, nie zrobił jednak nic, by stłumić w sobie urazę do Jordana.

- W jakim celu włączono nas do zespołu? - zapytał.

- Sam prezydent dobierał odpowiednich ludzi do zadań - odrzekł Jordan. - Wszyscy państwo macie doświadczenie, bez którego trudno byłoby myśleć o sukcesie tej operacji. Admirał Sandecker i pan Giordino zajmą się penetracją oceanu i poszukiwaniem jakichkolwiek szczątków statku zniszczonego wskutek eksplozji. W naszym zespole będą nosili miano "Mercedesa".

Pitt jednak nie spuszczał spojrzenia podkrążonych oczu z Jordana.

- Tylko połowicznie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Właśnie do tego zmierzałem - odparł nagabywany. - Pan wraz z panem Mancusem, którego, jak sądzę, zdążył pan już poznać, będziecie stanowili grupę wspierającą.

- Co wspierającą?

- Tę fazę operacji, w której zajdzie konieczność poszukiwań pod ziemią lub pod wodą.

- Kiedy i gdzie?

- Tego jeszcze nie wiemy.

- A jaki kryptonim nam przydzielono?

Jordan spojrział na Kerna, który przerzucił kilka kartek i pokręcił głową.

- Ten zespół nie otrzymał jeszcze żadnej nazwy.

- Czy jest dopuszczalne, byśmy sami wybrali sobie nazwę? - zapytał Pitt.

Jordan wymienił spojrzenia z Kernem i wzruszył ramionami.

- Nie widzę specjalnych przeszkód.

Dirk uśmiechnął się do Mancusa.

- Ma pan jakąś propozycję?

Tamten wyjął fajkę z ust.

- Wybór zostawiam panu - rzekł z przesadną uprzejmością.

- W takim razie niech będzie to "Stutz".

Jordan uniósł głowę.

- Słucham?

- Nigdy nie słyszałem o takiej marce - warknął Kern.

- Stutz - wyjaśnił Dirk z dumą w głosie - to jeden z najwspanialszych klasycznych samochodów amerykańskich, budowany w Indianapolis od tysiąc dziewięćset jedenastego do tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku.

- Mnie się to podoba. - Mancuso skinął głową na znak zgody.

Kern wbił wzrok w Dirka i patrzył jak bazyliśzek.

- Mam wrażenie, że pan nie traktuje naszej operacji całkiem poważnie.

Jordan powstrzymał go ruchem dłoni.



- Nie przeszkadza nam to, że panowie wybrali sobie taką nazwę.

- W porządku - odparł spokojnie Pitt. - A teraz, kiedy najważniejsze fakty zostały już ustalone, pozwolą państwo, że opuszczę tę salę. Przerwał i popatrzył na pomarańczową tarczę swej starej, wodoszczelnej doxy. - Znalazłem się tu wbrew własnej woli. Z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin przespałem zaledwie trzy i zjadłem tylko jeden, skromny posiłek. Muszę skorzystać z łazienki, a nadal nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Wasi strażnicy w eleganckich garniturach czy też wartownicy z marynarki wojennej mogą mnie, rzecz jasna, zatrzymać siłą, lecz jeśli doznam obrażeń cielesnych, stanę się bezużyteczny dla mego zespołu. Aha, jest jeszcze jedna sprawa, o której panowie zapomnieli.

- Jaka to znów sprawa? - zapytał coraz bardziej rozzłoszczony Kern.

- Nie przypominam sobie, by mnie czy Ala ktoś prosił o udział na ochotnika.

Kern miał taką minę, jakby połknął w całości paprykę.

- O co panu chodzi? O jaki udział na ochotnika?

- Nie wie pan? Ochotnik to taki człowiek, który z wolnej woli zgłasza się do wykonania jakiegoś zadania - wyjaśnił Pitt z kamienną twarzą, po czym zwrócił się do Giordina: - Czy ty zostałeś oficjalnie zaproszony do udziału w tym spotkaniu?

- Nie, chyba że zaproszenie utknęło na poczcie.

Pitt znowu spojrzał prosto w oczy Jordana.

- Czyżby ktoś próbował grać z nami w kulki? - Wreszcie spojrzał na Sandeckera. - Przykro mi, admirale.

- Wychodzimy? - zapytał Giordino.

- Tak, oczywiście.

- Nie możecie tak po prostu stąd wyjść - rzekł śmiertelnie poważny Kern. - Jesteście obaj w służbie rządowej.

- Ale nie obejmuje ona roli tajnego agenta - odparł Dirk, spokojnym, niemal beznamiętnym tonem. - I jeżeli nie odbyła się tu żadna rewolucja w czasie, kiedy przebywaliśmy na dnie oceanu, to nadal żyjemy w wolnym kraju.

- Chwileczkę, panowie - wtrącił Jordan, który chyba akceptował stanowisko Pitta.

Skupiał w swym ręku olbrzymią władzę i znakomicie umiał grać rolę sternika, ale potrafił też rozpoznać, z której strony wieje wiatr, i żeglować razem z nim, nawet jeśli miało to być pod prąd. Spoglądał teraz na Dirka z wyraźnym zainteresowaniem. Nie dostrzegał w jego zachowaniu ani wrogości, ani arogancji, tylko zdeterminowanie wywołane zmęczeniem. Zapoznał się wcześniej z aktami personalnymi dyrektora działu projektów specjalnych NUMA, które przypominały powieść przygodową, a dokonania tego człowieka chyba nie

miały sobie równych. Przebiegłość Jordana podpowiadała mu, że nie należy się spierać z człowiekiem, którego obecność w tej grupie można było poczytywać za wielkie szczęście.

- Panie Pitt, jeśli wytrzyma pan cierpliwie jeszcze kilka minut, streszczę wszystko, co powinien pan wiedzieć. Niektóre szczegóły pozostaną tajemnicą, sądzę bowiem, iż nie byłoby wskazane, żeby wszyscy obecni w tej sali znali dokładnie całą sytuację. I nie chodzi tu o mnie, ale o bezpieczeństwo każdego z was. Rozumie mnie pan?

- Zamieniam się w słuch - powiedział Dirk.

- Japończycy mają bombę atomową - wypalił z dużego kalibru szef Krajowej Służby Bezpieczeństwa. - Nie wiemy tylko, od jak dawna i jakim arsenałem jądrowym dysponują, biorąc jednak pod uwagę ich zaawansowaną technologię atomową, mogli zacząć konstruować głowice już dziesięć lat temu. Widocznie, pomimo głośzonej na lewo i prawo wierności traktatowi o nieprolifracji, ktoś, prawdopodobnie jakieś wpływowe ugrupowanie, postanowił uruchomić produkcję tej broni, może do celów szantażu. Dowiedzieliśmy się o tym po fakcie. Japoński towarowiec, przewożący samochody marki Murmoto oraz co najmniej dwie głowice atomowe, wyleciał w powietrze pośrodku Pacyfiku, zabierając ze sobą norweski statek pasażersko-kontenerowy oraz brytyjski okręt ekspedycji oceanograficznej wraz z ludźmi znajdującymi się na ich pokładach. Po co japoński statek przewoził bombę atomową? Przemycił ją do jednego z naszych portów. W jakim celu? Prawdopodobnie chodzi o zastraszenie. Japończycy mają broń jądrową, ale nie dysponują raketami ani bombowcami dalekiego zasięgu. Co my byśmy zrobili na ich miejscu, chcąc zabezpieczyć potężną strukturę finansową, której macki sięgają do kieszeni każdego obywatela na tym świecie? Potajemnie gromadzilibyśmy broń jądrową w strategicznych punktach każdego kraju czy też grupy krajów, takich jak Europa, które stanowią potencjalne zagrożenie dla bytu imperium ekonomicznego. Później, gdyby któryś z tych krajów, powiedzmy USA, zaczął się buntować, że przywódcy Japonii zamierzają dyktować politykę Białego Domu, Kongresu i wszystkich organizacji finansowych; gdyby Amerykanie w ramach odwetu odmówili spłacenia wielomiliardowego długu, który Departament Skarbu zaciągnął w japońskich bankach; gdyby zagrożono bojkotem i wprowadzeniem barier celnych na towary japońskie, czyli podjęto drastyczne działania, które mniej więcej w tej chwili senator Mike Diaz i członkini Kongresu Loren Smith przedstawiają na Kapitolu; i wreszcie gdyby rozdrażniony maksymalnie prezydent rozkazał siłom zbrojnym utworzyć blokadę wysp japońskich, odcinając tym samym dostawy ropy naftowej i innych surowców strategicznych, zmuszając nas do ograniczenia produkcji... Czy do tej pory wszystko jest jasne?

- Całkowicie. - Pitt skinął głową.

- Ten koszmarny scenariusz wcale nie jest tak bardzo naciągany, zwłaszcza jeśli Amerykanie pewnego dnia odkryją, że każdego roku muszą poświęcić miesiąc pracy, aby można było spłacać odsetki naszym wierzycielom, których większość pochodzi z Japonii. Czy w takiej sytuacji Japończycy by się martwili? Z pewnością nie, zwłaszcza jeżeli za naciśnięciem guzika mogliby wysadzić dowolne miasto świata, powiedzmy w czasie porannych wiadomości radiowych. Czy teraz jest jasne, po co się tu zebraliśmy? Musimy ich powstrzymać, odnajdując ukryte główce i przejmując kontrolę, zanim oni się o tym dowiedzą. To zadanie grupy "Buick". Stacy jest oficerem Krajowej Agencji Bezpieczeństwa, Timothy zaś fizykiem atomowym, specjalistą od pomiarów promieniotwórczości. Zespół "Honda", w którego skład wchodzi James i Roy, czołowi agenci CIA, skupi się na poszukiwaniach źródła bomb oraz centrum dowodzenia kontrolującego systemy detonacji. Czy to wygląda na koszmar? Niewątpliwie, ale życie pięciuset milionów ludzi zamieszkujących kraje konkurujące z Japonią zależy od tego, co my, zgromadzeni przy tym stole, zdołamy osiągnąć w ciągu najbliższych kilku tygodni. W swojej mądrości, która wynika raczej z ignorancji, nasz Departament Stanu nie wyraził zgody na potajemną obserwację tego, co dzieje się w zaprzyjaźnionych państwach. Jak żołnierze na pierwszej linii frontu, tworzący system wczesnego ostrzegania, zmuszeni jesteśmy działać w ukryciu i ginąć w zapomnieniu. Syreny alarmowe mogą zawyć w każdej chwili i czy pan wierzy, czy nie, panie Pitt, właśnie nasz MZB stanowi ostatnią deskę ratunku przed globalną katastrofą. Czy to dla pana jasne?

- Tak... - powiedział wolno Dirk. - Dziękuję, panie Jordan. Teraz wszystko jest jasne.

- Czy zatem wyrazi pan zgodę na uczestnictwo w naszym zespole?

Pitt podniósł się z krzesła i ku osłupieniu wszystkich, może z wyjątkiem Giordina i Sandeckera, rzekł:

- Muszę się nad tym zastanowić.

Po czym wyszedł z sali konferencyjnej.

Kiedy minął drzwi wejściowe i stanął w wąskiej uliczce dojazdowej, obejrzał się i popatrzył na odrapane ściany oraz zabite deskami okna, kręcąc z niedowierzaniem głową. Wreszcie zatrzymał wzrok na agencie służby bezpieczeństwa, który w postrzępionych ciuchach na wpół leżał rozciągnięty na schodach, i mruknął do siebie:

- Oto są uszy i oczy naszej wspaniałej republiki.

Po zakończeniu spotkania przy stole konferencyjnym zostali jeszcze Jordan i Sandecker.

Niski, kościsty admirał spojrział uważnie na przyjaciela i uśmiechnął się krzywo.

- Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę cygaro?

Jordan skrzywił się z niesmakiem.

- Nie sądzisz, że trochę za późno na takie pytanie, Jim?

- Wstrętny nałóg - przyznał Sandecker. - Ale nie miałem zamiaru dmuchać dymem prosto w twarz komuś, kto porządnie skopał tyłki moim pracownikom. Bo wszystko właśnie do tego się sprowadza, Ray, nakopałeś zarówno Pittowi, jak i Giordinowi.

- Przecież świetnie zdajesz sobie sprawę, w jak krytycznej znaleźliśmy się sytuacji - odparł poważnie Jordan. - Nie mamy czasu, żeby uwzględniać czyjeś humorki primadonny.

Sandecker zmarszczył brwi i wskazał akta personalne Pitta, leżące na wierzchu sterty dokumentów przed Jordanem.

- Kiepsko odrobiłeś pracę domową, gdyż powinieneś wiedzieć, że Dirk Pitt jest większym patriotą niż my obaj razem wzięci. Mało kto uczynił tyle dla swej ojczyzny co on, bo to wymierający gatunek. Nie wiem, czy jeszcze ktoś oprócz niego gwizdże hymn narodowy pod prysznicem i wierzy w to, że uścisk dłoni jest jak podpisanie paktu, a dane słowo wiąże do końca życia. On by duszę diabłu zaprzedał, gdyby w ten sposób miał ocalić Gwiazdzisty Sztandar, ideały amerykańskiej rodziny oraz baseball.

- Jeśli zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji - odrzekł zmieszany Jordan - to dlaczego kręcił, a potem wyszedł?

Sandecker przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym przeniósł wzrok na ekran, gdzie wciąż jeszcze widniał schemat organizacyjny Kerna z dopisaną nazwą zespołu "Stutz".

- Nie doceniasz Dirka - rzekł ze smutkiem w głosie. - Nawet się nie domyślasz, bo i skąd miałbyś wiedzieć, że on w tej chwili myśli intensywnie, jak usprawnić całą tę operację.

Pitt nie pojechał prosto do starego hangaru na obrzeżu waszyngtońskiego lotniska międzynarodowego, który nazywał swoim domem. Najpierw przekazał Giordinowi listę poleceń i wsadził go do taksówki.

Poszedł następnie aleją Konstytucji, aż dotarł do japońskiej restauracji. Tu poprosił o spokojne miejsce w głębi sali, usiadł i złożył zamówienie. Później, między czystym rosołem z małży a sałatką z surowych ryb saskimi, poszedł do holu, gdzie znajdował się automat telefoniczny.

Wyjął z kieszeni niewielki notes i przerzucił kilka kartek, aż znalazł numer doktora Percivala Nasha, czyli Percy'ego Utrapiénca, mieszkającego w Chevy Chase, w Marylandzie. Nash, który był wujem Pitta i zakałą rodziny, wielokrotnie przechwalał się, że w okresie niemowlęctwa Dirka często zakrapiał mu mleko w butelce odrobiną sherry.

Pitt wrzucił monetę i nakręcił numer. Odczekał cierpliwie sześć sygnałów, mając nadzieję, że jednak zastanie Nasha w domu. I tamten odebrał w końcu, kiedy Dirk chciał już odwiesić słuchawkę.

- Doktor Nash - rozbrzmiał silny i dźwięczny głos, choć Percy miał prawie osiemdziesiąt dwa lata.

- Wujek Percy? Mówi Dirk.

- Wielkie nieba, Dirk! Zaczynałem się już niepokoić. Nie dzwoniłeś do starego wuja od pięciu miesięcy.

- Od czterech - poprawił go Pitt. - Pracowałem w terenie, na morzu.

- Jak się miewa moja siostra i ten stary, obrzydliwy polityk, jej mąż? Oni też ostatnio do mnie nie dzwonią.

- Nie byłem jeszcze w domu, ale sądząc z ostatniego listu mamy, u nich wszystko w porządku.

- A ty, siostrzeńcze? Dopisuje ci zdrowie?

- Jak zawsze gotów jestem ścigać się z tobą dokoła Parku Marinda.

- Jeszcze pamiętasz? Miałeś wtedy nie więcej niż sześć lat.

- Jak mógłbym zapomnieć? Za każdym razem, kiedy chciałem cię wyprzedzić, spychałeś mnie w krzaki.

Nash zaśmiał się głośno.

- Nigdy więcej nie próbowałem się z tobą ścigać, od kiedy dorosłeś. My, starzy, wolimy się łudzić, że jesteśmy sprytniejsi od swoich dzieci.

- I właśnie dlatego chciałem cię prosić o pomoc. Czy moglibyśmy się spotkać w

budynku NUMA? Mam nadzieję wydobyć z ciebie trochę informacji.

- Na jaki temat?

- Zastosowania reaktorów atomowych w samochodach wyścigowych.

Nash błyskawicznie się domyślił, że Dirk po prostu nie chce mówić przez telefon.

- Kiedy? - zapytał bez wahania.

- Jak najszybciej.

- Za godzinę, w porządku?

- Wspaniale.

- Skąd dzwonicz?

- Z restauracji, czekam na saskimi.

Percy jęknął głośno.

- Co za świństwo. Bóg jeden wie, ile trucizn i chemikaliów ryba pochłania z wody.

- Ale jest smaczna.

- Będę musiał o tym powiedzieć twojej matce. Na pewno cię nie pochwali.

- Do zobaczenia za godzinę, Percy.

Pitt odwiesił słuchawkę i wrócił do stolika, ale chociaż był głodny, ledwie tknął saskimi. Nie mógł odpędzić od siebie myśli, że skład bomb atomowych może się znajdować chociażby w piwnicach tej restauracji.

Do siedziby Agencji przyjechał taksówką. Zapłacił kierowcy, wysiadł i obrzucił spojrzeniem wieżowiec o lustrzanych, szmaragdowych szybach i zwieńczeniu w kształcie piramidy. Admirał Sandecker, który nie znosił klasycznych budowli kompleksu rządowego, polecił zaprojektować gmach o prostej, nowoczesnej sylwetce i taki też zbudowano. Główny hol stanowiło atrium z fontannami i akwariami, w których trzymano egzotyczne okazy fauny morskiej, a pośrodku zielonej marmurowej posadzki stał olbrzymi globus, przedstawiający plastycznie rzeźbę skorupy ziemskiej, łącznie z dnem wszystkich mórz, większych jezior oraz dolinami głównych rzek.

Pitt wszedł do pustej windy i nacisnął guzik oznaczony liczbą 10. Nie chciał nawet zaglądać do swego gabinetu na trzecim piętrze, pojechał prosto na samą górę, do centrum informatycznego i łączności. Był to główny mózg Agencji, gigantyczne archiwum zawierające każdy strzęp informacji dotyczącej oceanów, tak naukowej, jak i historycznej, zarówno autentycznej, jak i fikcyjnej. Zgromadzone w tej olbrzymiej sali komputery i czytniki pamięci magnetycznej pochłaniały sporą część całego budżetu NUMA, co było powodem nieustającej krytyki Sandeckera ze strony niewielkiej grupki jego przeciwników w Kongresie. Z drugiej strony owa elektroniczna biblioteka pozwoliła już zaoszczędzić wielkie sumy pieniędzy

podczas realizacji licznych projektów, utorowała drogę niejednemu doniosłemu odkryciu oraz pomogło uniknąć kilku tragedii, o których nie pojawiły się nawet wzmianki w prasie.

Tym niezwykłym magazynem danych zarządzał Hiram Yaeger.

Współpracownicy mówili o nim albo "geniusz", co odnosiło się do jego błyskotliwego umysłu, albo "kudłacz", gdyż tak właśnie wyglądał. Miał siwiejące długie włosy blond, które zbierał w imponujący kucyk oraz posplataną w warkoczyki brodę; nosił babcine okulary i wystrzępione, połatane levisy. Przypominał relikw z epoki hipisów, choć nigdy się do nich nie zaliczał. Był odznaczony medalami weteranem, który spędził trzy lata w Wietnamie, służąc w "morsach", jednostce specjalnej marynarki wojennej. Gdyby został w Kalifornii i założył własną firmę, to przy swojej znajomości komputerów wkrótce objąłby stanowisko prezesa wielkiej korporacji i stał się bogatym człowiekiem. Ale Yaegera nie interesowała taka przyszłość, miał dość specyficzne podejście do życia i może dlatego Pitt tak bardzo go lubił.

Kiedy admirał Sandecker zaproponował mu zorganizowanie wielkiego komputerowego archiwum NUMA, dysponującego wręcz nieograniczonymi funduszami, Yaeger od razu wyraził zgodę, przeniósł się z rodziną na małą farmę w Sharpsburgu, w Marylandzie, i w ciągu ośmiu dni powołał do życia bank danych. Spędzał w tej sali wiele godzin, nadzorując działanie archiwum, pracującego dwadzieścia cztery godziny na dobę; zatrudnił trzy zmiany techników, zajmujących się zbieraniem i sortowaniem olbrzymiej ilości informacji, których dostarczały nie tylko amerykańskie, lecz niemal wszystkie oceaniczne wyprawy badawcze.

Pitt zastał Yaegera za biurkiem, stojącym na podwyższeniu pośrodku sali, skąd tamten mógł czujnym okiem ogarnąć cały podlegający mu sprzęt o wartości miliarda dolarów. Yaeger siedział nad pizzą, którą popijał bezalkoholowym piwem, lecz na widok Pitta poderwał się na nogi i uśmiechnął szeroko.

- Cieszę się, że wróciłeś, Dirk.

Pitt wbiegł po schodkach na ołtarz, jak współpracownicy po cichu nazywali stanowisko szefa, i serdecznie uścisnął dłoń kolegi.

- Witaj, Hiram.

- Przykro mi z powodu Morskiego Poletka - rzekł Yaeger z poważną miną - ale strasznie się cieszę, że mogę cię jeszcze zobaczyć wśród żywych. Na Boga, wyglądasz jak morderca, którego dopiero co wypuszczono z karceru. Siadaj i rozgość się.

Pitt spojrzał smętnym wzrokiem na leżącą z boku drugą pizzę.

- Nie poczęstowałbyś mnie kawałkiem?

- Jasne, proszę bardzo. Zaraz wyślę kogoś po następną. A nie masz także ochoty na

porządne piwo? Przepraszam, że nie mogę ci zaproponować nic mocniejszego, ale znasz moje zasady.

Pitt rozprawił się z całym plackiem, nie odmówił też dwóch kawałków z pizzy Yaegera i opróżnił do tego trzy puszki piwa bezalkoholowego, które komputerowy geniusz trzymał w małej lodówce wbudowanej w biurko. W trakcie jedzenia zrelacjonował Hiramowi przebieg wszystkich wydarzeń do chwili przewiezienia całej ekspedycji na Hawaje.

Yaeger słuchał z uwagą, na koniec zaś uśmiechnął się sceptycznie niczym sędzia na sprawie rozwodowej.

- Widzę, że nadzwyczaj szybko udało ci się wrócić do domu.

- Bo wyłoniła się pewna sprawa.

Hiram zachichotał.

- A więc o to chodzi. Nie wpadłeś tu tylko po to, żeby mnie obżerać z pizzy. Cóż zatem knujesz w tym swoim diabelskim mózdzku?

- Za kilka minut ma się tu zjawić mój krewny, doktor Percy Nash, który należał do zespołu pracującego nad projektem "Manhattan", zakończonym skonstruowaniem pierwszej bomby atomowej.

Przed odejściem na emeryturę był dyrektorem Komisji Energii Atomowej. Bazując na wiadomościach Percy'ego o broni jądrowej i wykorzystując twój superkomputer, chciałbym stworzyć pewien scenariusz wydarzeń.

- Czyli dokonać konceptualizacji.

- Właśnie, poczynając od wstępnych przesłanek.

- Jakich?

- Przemyt na dużą skalę.

- Co mamy przemycać?

- Wolę ujawnić szczegóły, kiedy już przyjdzie Percy.

- Czy chodzi ci o coś dużego, jak na przykład głowica nuklearna?

Pitt spojrzał na niego uważnie.

- Owszem, to jedna z możliwości.

Yaeger wolno podniósł się z krzesła i ruszył na dół schodami.

- Zamiast czekać bezczynnie na twojego wuja, lepiej rozgrzeję mój system CAD/CAM.

Zniknął między pulpitemi, zanim Pittowi przyszło do głowy zapytać go, co właściwie ma na myśli.



Wydatna siwa broda Percy'ego Utrapięca spadała mu nisko na piersi, zasłaniając wykwintny krawat. Był to człowiek o wielkim, kartoflowatym nosie i skrytych pod ciężkimi brwiami oczach, które miały przenikliwe spojrzenia kierownika pociągu gotowego za wszelką cenę przewieźć komplet osadników przez terytorium Indian. Szeroki uśmiech żywo przypominał reklamę taniego piwa, lecz dzięki niemu Percy wyglądał zdecydowanie młodo jak na swoje osiemdziesiąt dwa lata. Wujaszek, który nienawidził obowiązujących w Waszyngtonie szarych prążkowanych i granatowych garniturów z nieodzownym czerwonym krawatem, ubierał się wręcz wytwornie. Wkroczył do sali komputerowej NUMA, mając na sobie sportową kurtkę w kolorze lawendowym, dopasowany do niej krawat i saszetkę oraz szare spodnie i kowbojskie buty z jaszczurczej skóry. Mimo usilnych starań co najmniej połowy atrakcyjnych wdów w promieniu stu kilometrów Percy zdołał jakimś cudem zachować stan kawalerski. Był znanym ze swego dowcipu i mile widzianym na wielu przyjęciach smakoszem, a jego piwnica z winem stanowiła obiekt nie skrywanej zazdrości wszystkich jemu podobnych mieszkańców stolicy. Oprócz tego Percy był istną kopalnią wiedzy na temat arsenału śmiercionośnej broni jądrowej. Od samego początku należał do zespołu naukowców z Los Alamos, a przez następne pięćdziesiąt lat ściśle współpracował z Komisją Energii Atomowej i bliźniaczymi agencjami. Wielu przywódców Trzeciego Świata oddałoby nieprzebrane skarby za wiedzę Percy'ego, którego zaliczano do niewielkiej grupy fachowców potrafiących zmontować bombę atomową w garażu za cenę średniej klasy kosiarki do trawy.

- Dirk, mój chłopcze! - ryknął basem. - Jak dobrze znów cię zobaczyć.

- Świetnie wyglądasz - mruknął Pitt, tonąc w objęciach wuja.

Percy smutno wzruszył ramionami.

- Wyobraź sobie, że ten cholerny wydział ruchu drogowego odebrał mi motocyklowe prawo jazdy, musiałem więc przyjechać moim starym jaguarem XK-Sto Dwadzieścia.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, że bez wahania zgodziłeś się mi pomóc.

- Przecież wiesz, że zawsze jestem gotów stawać z tobą w szranki.

Pitt przedstawił Percy'emu Hirama Yaegera. Wujaszek taksującym spojrzeniem obrzucił tamtego od czubków butów po czubek głowy i zapytał swobodnym tonem:

- A gdzie to pan kupuje tak pięknie powycierane i wyblakłe ciuchy?

- Kupuję nowe, ale moja żona moczy je w mieszaninie wielbłądziego moczu, naparu z przyłasczki i soku ananasowego - odparł Hiram z poważną miną - przez co mięknią i nabierają specjalnego aromatu z wyższych sfer towarzyskich.

Percy zaśmiał się głośno.

- Rzeczywiście, zastanawiałem się, jakież to składniki nadają im taki zapach. Miło mi cię poznać, Hiramie.

- Nawzajem. - Yaeger skłonił głowę. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Czy możemy zaczynać? - wtrącił Pitt.

Hiram przysunął dwa dodatkowe krzesła przed ekran komputera, mający w przybliżeniu trzy razy większą średnicę od standardowych modeli. Zaczekał, aż Pitt i Percy zajmą miejsca, po czym wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby otaczał nimi kryształową kulę.

- Oto najnowszy model CAD/CAM, czyli system komputerowego wspomaganie procesów projektowania i wytwarzania. Generalnie jest to komputer o rozbudowanych możliwościach graficznych, pozwalający rysownikom i inżynierom opracowywać projekty techniczne dowolnych przedmiotów, jakie zrodzą się w ich wyobraźni. Zastępuje cyrkle, liniały i przykładnice, wystarczy wprowadzić odpowiednie parametry i narysować piórem świetlnym na ekranie prowizoryczny zarys, a komputer stworzy precyzyjny i szczegółowy rysunek w trzech wymiarach.

- Zdumiewające - mruknął Percy. - Czy można podzielić ekran na okna i powiększyć detale projektu?

- Oczywiście. Można także zaprogramować kolory, zmieniać kształty i symulować naprężenia materiału, po czym utrwalić wszystkie dane, które są dostępne choćby dla zwykłego edytora tekstów. Gama zastosowań tego urządzenia, począwszy od wstępnego projektu do gotowego produktu, jest olbrzymia.

Pitt obrócił swoje krzeselko i oparł brodę na jego oparciu.

- Przekonajmy się więc, czy ta maszyna potrafi nam udzielić właściwej odpowiedzi.

Yaeger zerknął na niego znad staroświeckich okularów.

- Właśnie zmierzałem do wyjaśnienia tego, co ogólnie nazywa się konceptualizacją.

- Dobra, niech ci będzie.

- Czego mamy szukać? - zapytał Percy.

- Bomby atomowej.

- Gdzie?

- W samochodzie.

- Zapewne takiej, którą można bez trudu przemycić przez granicę? - stwierdził Percy.

- Mniej więcej.

- Drogą morską czy lądową?

- Morską.

- Czy to ma coś wspólnego z eksplozją na północnym Pacyfiku, która miała miejsce

kilka dni temu?

- Trudno powiedzieć.

- Mój chłopcze, nie dam się nabrać, że są to błahe rozważania teoretyczne. Nie zapominaj, że jestem na bieżąco ze wszystkim, co choćby zahacza o fizykę jądrową. A poza tym, podobnie jak prezydent, składałem przysięgę zachowania najściślejszej tajemnicy służbowej.

- Czyżbyś chciał mi coś powiedzieć, wuju?

- Może w to nie uwierzysz, ale byłem jednym z pierwszych, z którymi Ray Jordan skontaktował się po tym wybuchu.

Pitt uśmiechnął się ze skruchą.

- W takim razie wiesz więcej ode mnie.

- Owszem, dowiedziałem się, że Japończycy przemycają w samochodach i składują na terenie naszego kraju broń atomową. Jordan nie widział jednak potrzeby włączania starca do swego zespołu, wyciągnął więc ode mnie, co tylko mógł, i odstawił z powrotem na półkę.

- Teraz ja ciebie angażuję na pełnopłatne stanowisko członka zespołu o kryptonimie "Stutz". Ciebie też, Hiramie.

- Rozpęta się piekło, kiedy dotrze do Jordana, że na własną rękę ściągnąłeś posiłki.

- Nic nie powie, jeśli uda się nam coś zdziałać.

- Więc co z tymi japońskimi bombami w samochodach? - zapytał zdumiony Yaeger.

Percy położył mu dłoń na ramieniu.

- Hiramie, wszystko co tu usłyszysz, musi pozostać w najściślejszej tajemnicy.

- Hiram ma status Beta-Q - wyjaśnił Pitt.

- W takim razie możemy śmiało zaczynać.

- Chciałem prosić przynajmniej o kilka słów wstępu - rzekł Yaeger, wpatrując się z uwagą w Percy'ego.

Tamten spojrzał mu głęboko w oczy.

- W latach trzydziestych Japonia rozpętała wojnę z myślą o stworzeniu samowystarczalnego ekonomicznie imperium. Teraz, po pięćdziesięciu latach, znowu sięgają do podobnych metod, chcąc zabezpieczyć swą pozycję. W całkowitej tajemnicy stworzyli arsenał broni nuklearnej i nikomu nawet nie przyszło do głowy, by ich skontrolować. Liczne elektrownie jądrowe dostarczają im plutonu i wzbogaconego uranu. Tylko dlatego przeoczyliśmy fakt, że Japonia stała się mocarstwem atomowym, ponieważ nie stworzyła żadnego systemu przenoszenia głowic, nie mają rakiet, krążowników, bombowców dalekiego zasięgu ani też łodzi podwodnych.

- Przecież Japonia podpisała układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

- To prawda, zarówno władze, jak i większość mieszkańców Japonii otwarcie wypowiada się przeciwko wyścigowi zbrojeń atomowych, ale pewne ugrupowania spoza oficjalnych kręgów rządowych doprowadziły do uruchomienia produkcji, przy czym główce traktuje się jako narzędzie szantażu ekonomicznego, a niejako element militarnego zastraszania. Postanowili wykorzystać bomby do prowadzenia polityki nacisku w wypadku globalnej wojny celnej i nałożenia w Stanach Zjednoczonych oraz Europie embarga na ich towary. Są przygotowani na najgorsze, czyli nawet na blokadę morską ich wysp.

Pitt spostrzegł, że owe informacje wywarły silne wrażenie na Yaegerze.

- Czy to znaczy, że wszyscy już siedzimy na bombie atomowej?

- Prawdopodobnie dzieli nas od niej zaledwie kilka ulic - odparł Pitt.

- To niesłychane - mruknął Hiram ze złością. - Ile tych bomb udało im się przemycić?

- Jeszcze tego nie wiemy - powiedział Dirk. - Może ich być nawet ze sto. Poza tym to nie dotyczy tylko nas, oni rozmieszczają bomby na całym świecie.

- Co gorsza - dodał Percy - jeśli rzeczywiście bomby znajdują się w głównych miastach świata, Japończycy mogą doprowadzić do totalnej zagłady. W wypadku uaktywnienia tego niezwykle groźnego systemu rodzi się niebezpieczeństwo, że zostanie on wykorzystany, czy to przez przypadek, czy też przez kogoś nieodpowiedzialnego. A nie istnieje przeciw niemu żadna obrona, nikt nie zdąży zareagować, żaden system wojen gwiazdnych nie zapobiegnie odpaleniu głowic, nie będzie ostrzeżeń czy możliwości przeciwuderzenia. Kiedy ktoś naciśnie guzik, nastąpi koniec.

- Wielkie nieba! I co my możemy zrobić?

- Odnaleźć bomby - odrzekł Pitt. - Wygląda na to, że szmuglują główce na statkach przewożących samochody, według mnie ukryte wewnątrz aut. Chcę wykorzystać twój komputer i dowiedzieć się, jak to możliwe.

- Jeśli naprawdę przewożą je statkami - powiedział stanowczo Yaeger - urzędnicy celni, którzy szukają narkotyków, powinni znaleźć główce.

Dirk pokręcił głową.

- To bardzo sprytna akcja, wymyślona przez najlepszych specjalistów, którzy znają się na rzeczy. Można nadać bombie kształt jakiejś części samochodu i nie wykryje jej nawet szczegółowa kontrola. Celnicy zwracają baczna uwagę na koła, zbiorniki paliwa, tapicerkę, czyli wszystkie miejsca, gdzie można by coś ukryć. Zatem ładunek musi być tak schowany, by nawet najgenialniejszy inspektor nie domyślił się jego istnienia.

- Całkowicie niewykrywalny przy stosowanych obecnie metodach - rzekł Yaeger.

Percy w zamyśleniu gapił się na podłogę.

- W porządku, zastanówmy się nad jego wielkością.

- To już twoja działka - mruknął Pitt z uśmiechem.

- Nie ruszę bez twojej pomocy, siostrzeńcze. Muszę choć w przybliżeniu znać model tego samochodu, nie znam się na japońskiej maszynierii.

- To murmoto, prawdopodobnie sportowy sedan.

Jowialny uśmiech na twarzy Percy'ego ustąpił miejsca wyrazowi śmiertelnej powagi.

- Podsumowując, szukamy kompletnej głowicy jądrowej z mniej więcej dziesięciokilogramowym ładunkiem, dobrze schowanej wewnątrz średniej wielkości sedana.

- Którą dałoby się uzbroić i detonować z dużej odległości - dodał Pitt.

- To nie ulega wątpliwości, chyba żeby wykorzystywali kierowców samobójców.

- Jakich rozmiarów bomby mamy szukać? - zapytał Yaeger.

- Może być różnego kształtu i wielkości, od beczki po nafcie do piłki baseballowej - odpowiedział Percy.

- Piłki baseballowej? - mruknął zdumiony Hiram. - Czy coś tak małego mogłoby dokonać znacznych spustoszeń?

Percy popatrzył w sufit, jakby chciał tam coś odczytać.

- Przy odpowiedniej konstrukcji taka bomba o mocy jakichś trzech kiloton zrównałaby z ziemią centrum Denver, a fala uderzeniowa dotarła do przedmieść, wywołując liczne pożary.

- Świetny pomysł dla terrorystów - rzekł Yaeger. - Aż strach pomyśleć.

- To fakt, ale zagraża nam to dopiero wtedy, gdyby w posiadanie broni jądrowej weszły kraje Trzeciego Świata. - Percy wyciągnął rękę w kierunku pustego ekranu. - Co możemy wykorzystać jako model do naszych rozważań?

- Mam tu rysunki mojego forda taurusa, rocznik osiemdziesiąty dziewiąty. Wprowadziłem je kiedyś do pamięci w ramach eksperymentu. Mogę teraz wywołać szkice poszczególnych części albo całą sylwetkę.

- Taurus powinien być dobrym modelem - powiedział Pitt.

Yaeger przez kilka sekund przebierał palcami po klawiaturze, po czym złożył je na piersi i odchylił się na oparcie krzesła. Na ekranie pojawił się trójwymiarowy zarys auta w żywych kolorach. Hiram wystukał kolejne polecenie i metalicznościowy ford taurus, czterodrzwiowy sedan, zaczął się obracać - najpierw wokół osi pionowej, a po chwili także wokół dwóch pozostałych.

- Czy możesz nam ukazać wnętrze? - zapytał Dirk.

- Proszę bardzo.

Yaeger znów nacisnął kilka klawiszy i wszyscy odnieśli wrażenie, jakby bez przeszkód wpłynęli pod karoserię. Niczym duchy przenikające przez ściany mogli dokładnie obejrzeć każdy spaw, każdą śrubkę czy nit. Po chwili Hiram pokazał im układ dyferencyjny, a stamtąd przenieśli się wzdłuż wału korbowego, przez skrzynię biegów aż do wnętrza silnika.

- Zdumiewające - mruknął z podziwem Percy. - Zupełnie, jakbyśmy przelatywali przez halę wielkiej elektrowni. Gdyby istniały takie urządzenia w roku czterdziestym drugim, zakończylibyśmy wojnę, zarówno w Europie, jak i na Pacyfiku, o dwa lata wcześniej.

- Niemcy mieli szczęście, że wasza bomba nie była jeszcze gotowa w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku - stwierdził Yaeger.

Percy spojrział na niego, ale nic nie powiedział i zaraz z powrotem skupił uwagę na ekranie.

- Znalazłeś coś ciekawego? - zapytał Pitt.

Percy skubnął swą brodę.

- Niezłą skrytką jest skrzynia biegów.

- Skądże. To nie może być ani w silniku, ani nigdzie w układzie napędowym, bo samochód musi być zdolny do normalnej jazdy.

- A to eliminuje także akumulator i chłodnicę - dodał Yaeger. - Może przedni zderzak?

Percy energicznie pokręcił głową.

- To dobre miejsce na klasyczny ładunek z plastiku, ale ma za małą średnicę, by zmieściła się głowica jądrowa.

Przez kilka następnych minut w milczeniu przyglądali się schematom, Yaeger zaś prowadził tę niezwykłą podróż po wnętrzu samochodu, której ledwie nieliczni mogli doświadczyć. Sprawdzali wszystko, od osi kół i układu zawieszenia, przez system hamulcowy, rozrusznik, alternator - odrzucając kolejne możliwości.

- Przejdźmy teraz do wyposażenia dodatkowego - rzekł Yaeger.

Pitt przeciągnął się i ziewnął. Próbował się skupić, ale z ledwością już panował nad opadającymi powiekami.

- A może nagrzewacz?

- Nie - odparł Percy - nie ten kształt. A zbiornik spryskiwacza szyb?

Yaeger pokręcił głową.

- Za bardzo się rzuca w oczy.

Dirk wyprostował się nagle.

- Klimatyzator! - krzyknął. - Sprężarka klimatyzatora!

Yaeger pośpiesznie wyświetlił na ekranie widok od strony wnętrza kabiny.

- Z samochodu można normalnie korzystać, a żaden celnik nie traciłby dwóch godzin na rozbieranie sprężarki, aby się przekonać, dlaczego ta nie pompuje schłodzonego powietrza.

- Gdyby zostawić samą osłonę, mielibyśmy znakomitą skrytkę na bombę - oznajmił Pitt, wbijając wzrok w ekran komputera. - Co o tym myślisz, Percy?

- W żeberkach wymiennika ciepła dałoby się ukryć nadajnik sterujący uzbrajaniem i detonowaniem ładunku - dodał Percy. - To rzeczywiście bardzo sprytny schowek. Miejsca jest aż nadto, żeby zmieścić głowicę zdolną zniszczyć dość duży obszar. Dobra robota, panowie. Sądzę, że rozwiązaliśmy tę zagadkę.

Pitt podszedł do sąsiedniego biurka i sięgnął po telefon. Wybrał numer zastrzeżonej linii, który przekazał im Kern podczas narady MZB, a kiedy w słuchawce rozległ się głos dyżurującego operatora, rzekł krótko:

- Tu Stutz. Proszę przekazać panu Lincolnowi, że problem tkwi w klimatyzatorach samochodów. Do widzenia.

Percy uśmiechnął się do niego.

- Chyba nic ci tak dobrze nie wychodzi, jak dopiekanie innym do żywego.

- Staram się, jak mogę.

Yaeger siedział nadal bez ruchu, wpatrując się w powiększony na ekranie zarys sprężarki klimatyzatora.

- Moim zdaniem w tej zupie pływa jakaś mucha - rzekł cicho.

- Jaka? - zapytał Percy. - O co chodzi?

- Załóżmy, że olejemy Japończyków i ci zniszczą kilka naszych miast. Nie zdołają jednak wyeliminować wszystkich naszych rodzajów broni, a zwłaszcza atomowych łodzi podwodnych, których przeciwuderzenie zmiotłoby cały archipelag. Sądzę, że cały ten plan nie trzyma się kupy i nosi znamiona samobójczego, więc musi być jednym wielkim blefem.

- W swoim rozumowaniu nie wzięłeś pod uwagę jednej rzeczy - odparł Percy, uśmiechając się pobłaźliwie. - Japończycy zaprzęgli do tej roboty najtęższe umysły w swoim kraju i znaleźli sposób, jak trafić w piętę achillesową tego świata. Z ich punktu widzenia możliwe konsekwencje wcale nie są aż tak katastroficzne. Opracowaliśmy z Japończykami wspólny program badań nad strategicznym systemem obrony, którego zadaniem miało być przechwytywanie i niszczenie nadlatujących rakiet. Kiedy przywódcy obu państw skreślili go, jako zbyt kosztowny i nie rokujący większych nadziei, tamci podjęli prace na własną rękę i przy swojej dokładności mogli stworzyć wręcz idealny system obrony.

- Chce pan powiedzieć, że są niezniszczalni? - zapytał Yaeger lekko drżącym głosem.

Percy pokręcił głową.

- Jeszcze nie są, ale za jakieś dwa lata mogą już mieć tak doskonale funkcjonujący system "Wojen Gwiezdnych", o jakim nam się nie śniło.



Za zamkniętymi drzwiami w gmachu Kapitolu obradowała powołana specjalnie podkomisja, mająca zbadać i określić zasięg japońskich wpływów ekonomicznych i kulturowych w Stanach Zjednoczonych. Owa nazwa zawierała w złagodzonej formie to, co niektórzy zaślepieni kongresmani nazywali niewolnictwem Stanów Zjednoczonych w coraz bardziej odczuwalnym jarzmie Japonii.

Ichiro Tsuboi, naczelny dyrektor Kanoya Securities, największego towarzystwa ubezpieczeniowego na świecie, siedział przy stole ustawionym naprzeciwko wielkiej, biegnącej półkuliście ławy, w której zajmowali miejsca członkowie komisji. Obok niego zasiadało czterech doradców, co straszliwie irytowało kongresmanów, gdyż po każdym pytaniu Tsuboi zasięgał ich opinii.

Japończyk z wyglądu w niczym nie przypominał rekina finansowego, którego firma dysponowała wystarczającym kapitałem, by połknąć za jednym zamachem, w dodatku bez większego uszczerbku, Paine'a Webera, Charlesa Schwaba, Merrill Lynch i całą resztę najlepszych pośredników z Wall Street. W rzeczy samej Tsuboi miał spore udziały w każdej z tych agencji. Był to niski i chudy mężczyzna o twarzy przypominającej rumianą gębę właściciela przybytku z gejszami.

Wygląd był zwodniczy, gdyż Tsuboi zdołałby chyba spopielić wszystkich protekjonistów z Kongresu samym spojrzeniem oczu miotających błyskawice. Jego konkurenci w Japonii oraz innych krajach bali się go i nienawidzili, był on bowiem równie bezwzględny, jak bystry. Rozważne lokaty kapitałowe wydzwignęły go na pozycję otaczanego kultem bożka, co dla Amerykanów i Europejczyków było pojęciem czysto abstrakcyjnym. Najsprytniejsi pośrednicy inwestycyjni oraz maklerzy wielkich korporacji przypominali niewinne gołąbeczki w porównaniu z tym guru japońskiej giełdy towarowej, który jednym kopniakiem mógł przewrócić wszystkie podpory pod chwiejącą się gospodarką amerykańską.

Tsuboi siedział spokojnie, odpowiadając grzecznie na kolejne pytania komisji specjalnej; uśmiechał się przy tym z nie skrywaną wyższością i mówił takim tonem, jakby prowadził swobodną konwersację z gośćmi zaproszonymi na obiad.

-Niektórzy członkowie Kongresu chcieliby uchwalić ustawę, na mocy której firmy japońskie musiałyby odsprzedać waszym firmom swoje udziały w przedsiębiorstwach amerykańskich za drobny ułamek ich ceny, co byłoby niczym innym, jak nacjonalizacją. Na całym świecie przestano by wówczas ufać inwestorom amerykańskim i powstałby chaos. Całemu systemowi bankowemu groziłaby zapaść, a kraje uprzemysłowione stanęłyby w obliczu bankructwa. Czemu więc miałyby to służyć? Według mojej skromnej opinii

inwestorzy z Japonii są największym dobrodziejstwem, jakie mogło spotkać naród amerykański.

- Wcale nie pracujemy nad taką ustawą - parsknął senator Mike Diaz. - Powiedziałem tylko, że te z waszych instytucji, które działają i czerpią zyski w naszym kraju, powinny podlegać takim samym przepisom i płacić takie same podatki, jak nasze firmy. Wasze rynki są dla nas nadal niedostępne, Amerykanie inwestujący i kupujący udziały w waszej ojczyźnie natrafiają na poważne trudności, podczas gdy instytucje japońskie na naszym terenie działają w ten sposób, jakby chciały doprowadzić nas do finansowej zapaści, panie Tsuboi. I pan świetnie o tym wie.

Michael Diaz, demokrat z Nowego Meksyku i przewodniczący komisji, był chyba jedynym człowiekiem w jej gronie, który nie bał się Japończyka. Od dłuższego czasu działał na rzecz nie tylko zahamowania, ale wręcz likwidacji zagranicznych inwestycji, znajdując coraz więcej zwolenników w kręgach rządowych, przemysłowych i obszarowych - gdyby to od niego zależało, natychmiast wprowadziłby embargo na wszystkie towary sprowadzane z Japonii.

Diaz, jako dobiegający pięćdziesiątki wdowiec, był także jedynym senatorem, który cały czas spędzał w swym biurze, gdzie na zapleczu miał prywatną łazienkę oraz niewielki pokój z tapczanem, lodówką, stołem kuchennym i zlewem. W ciągu dwudziestu pięciu lat działalności zyskał miano najbardziej nieugiętego z polityków, który ani na jotę nie zmienił swoich zapatrywań. Jego żona zmarła na cukrzycę krótko po tym, jak został wybrany na pierwszą kadencję. Nie miał dzieci i od czasu śmierci żony nie myślał nigdy o powtórny ożenku.

Czarne włosy, zaczesane do góry, spadały mu na kark; miał okrągłą, śniadą twarz i ciemnopiwnie oczy, a pełne wargi przy każdym uśmiechu odsłaniały doskonale zadbane zęby. Brał udział w wojnie wietnamskiej jako pilot helikoptera i został zestrzelony, odnosząc poważną ranę kolana. Schwytany i przewieziony do Hanoi spędził dwa lata w obozie jenieckim, gdzie bardzo źle zoperowano mu nogę. Dlatego też kulął i chodząc wspierał się na lasce.

Jako zagorzały przeciwnik obcych wpływów oraz ingerencji w sprawy USA Diaz prowadził nieustanną walkę o wprowadzenie restrykcji handlowych i podniesienie opłat celnych, a także występował przeciwko temu, co nazywał nieuczciwą konkurencją i praktykami inwestycyjnymi, które stosował rząd japoński. Postrzegał to nawet nie jako walkę gospodarczą, ale wręcz wojnę finansową, w której Stany Zjednoczone zaczynały coraz wyraźniej przegrywać.

- Panie przewodniczący?

Diaz skinął głową przystojnej kobiecie zasiadającej w ławie komisji.

- Tak, proszę bardzo. Głos ma członkini Kongresu, pani Smith.

- Panie Tsuboi, powiedział pan przedtem, że dolar powinien zostać zastąpiony przez jena. Nie sądzi pan, że to zbyt daleko idąca ingerencja?

- Nie, jeśli się weźmie pod uwagę, że japońscy inwestorzy pokrywają pięćdziesiąt pięć procent waszego deficytu budżetowego - odparł przesłuchiwany, lekceważąco machnąwszy ręką. - Zmiana waszej waluty na naszą to tylko kwestia czasu.

Loren Smith, reprezentująca w Kongresie stan Kolorado, wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ta pochodząca z dalekiego Zachodu, wysoka, uderzająca pięknosc, o starannie ułożonych włosach barwy cynamonu, dość wydatnych kościach policzkowych i ciemnoniebieskich oczach, odznaczała się niespożytą energią, elegancją pantery i odwagą lwicy. Ceniona za swą polityczną przebiegłość, miała olbrzymie poparcie w Kongresie.

Wielu wpływowych waszyngtońskich polityków, zarówno z Kongresu, jak i spoza niego, próbowało zdobyć jej względy, ale Loren Smith, jako kobieta niezależna, umawiała się wyłącznie z mężczyznami, nie mającymi nic wspólnego z polityką czy biznesem. Potajemnie spotykała się z człowiekiem, którego darzyła głębokim podziwem, a świadomość, że nigdy nie zamieszkają razem, ani jako kochankowie, ani jako mąż i żona, pozwalała jej ze spokojem patrzeć w przyszłość. Oboje żyli własnym życiem, spotykając się tylko wtedy, kiedy mieli na to ochotę.

- Czy uważa pan, że nasze kraje mogą się jeszcze bardziej zbliżyć do siebie? - zapytała. - Aktywa banków japońskich w Stanach Zjednoczonych są daleko większe niż aktywa banków amerykańskich. Ponad milion Amerykanów już dziś pracuje w przedsiębiorstwach japońskich, a wasi politycy z zupełnie zrozumiałych względów praktycznych przekupują naszych parlamentarzystów. Sumaryczna wartość majątku amerykańskiego znajdującego się w waszych rękach przekracza osiemdziesiąt miliardów dolarów. Czy zatem sądzi pan, panie Tsuboi, że możliwe jest jeszcze większe zbliżenie naszych krajów? Takie, w którym będziecie mogli dyktować naszą politykę wewnętrzną i zagraniczną? Czy o to właśnie chodzi? Proszę odpowiedzieć.

Tsuboi nie był przyzwyczajony do tego, żeby tłumaczyć się kobietom: ruch feministyczny w Japonii prawie nie istnieje, a kobiet nie dopuszcza się do wysokich stanowisk w przemyśle. Żaden Japończyk nie pozwoli na to, by rozkazywała mu kobieta. Dlatego też wyraźnie stracił rezon, a jego doradcy wręcz oniemieli z otwartymi ustami.

- Wasz prezydent i Kongres powinni zagwarantować, że nigdy nie zamkniecie swego

rynku dla towarów oraz inwestycji z Japonii - odpowiedział wykrętnie. - Poza tym powinniście otworzyć dla nas granice i znieść uciążliwy obowiązek wizowy.

- A jeśli odrzucimy te propozycje?

Tsuboi wzruszył ramionami i uśmiechnął się zjadliwie.

- My jesteśmy narodem wierzycieli, a wy naszymi dłużnikami, największymi na świecie. Jeśli cokolwiek zagrozi naszym interesom, użyjemy wszelkich środków w ich obronie.

- Krótko mówiąc, Ameryka ma się całkowicie podporządkować Japonii.

- Przecież Stany Zjednoczone podupadają, podczas gdy mój kraj bogaci się w niezwykłym tempie, więc może nadeszła wreszcie pora, żeby przyznać, że nasze metody są lepsze od waszych. Powinniście dogłębnie zbadać naszą kulturę, może byście się czegoś nauczyli.

- Czy nie jest to jednym z powodów, dla których w największych przedsiębiorstwach poza granicami kraju zatrudniacie rodaków, a nie miejscowych pracowników?

- Zatrudniamy miejscowy personel - odparł Tsuboi takim tonem, jakby poczuł się urażony.

- Ale tylko na podrzędnych stanowiskach: brygadzystów, sekretarek czy dozorców. Dodam też, że zupełnie wyjątkowo przyjmujecie kobiety albo ludzi innej narodowości i całkowicie wykluczacie małżeństwa.

Loren Smith musiała tym razem poczekać na odpowiedź, gdyż Tsuboi zaczął rozmawiać po japońsku ze swymi doradcami. Albo nie wiedzieli oni, albo nie przywiązywali do tego wagi, że ich gardłowe głosy były nagrywane i tłumaczone, a przed senatorem Diazem co kilka minut kładziono kartki z przekładem rozmów Japończyków.

- Musicie zrozumieć - odezwał się w końcu Tsuboi - że nie jest to kwestia uprzedzeń. Po prostu uważamy, iż nie jest najlepszą praktyką zatrudnianie na wysokich stanowiskach ludzi z Zachodu, którzy nie są obeznani z naszymi metodami i nie odznaczają się przywiązaniem do naszych zwyczajów.

- Ale to nie jest zbyt rozsądne, panie Tsuboi - stwierdziła krótko Loren Smith. - Sądzę, że wyrażę zdanie większości Amerykanów, jeśli powiem, że nikt nie lubi na własnym podwórku być traktowany z pogardą przez obcokrajowców.

- To niezbyt fortunne określenie, pani Smith. Mówiąc w imieniu moich rodaków, muszę zaznaczyć, że taka interpretacja, jaką pani przedstawiła, jest niedopuszczalna. My chcielibyśmy jedynie czerpać zyski, nie ponosząc zbyt wielkiego ryzyka.

- Owszem, świetnie zdajemy sobie sprawę, jak bardzo Japończycy lubią się zasłaniać

względami ekonomicznymi, chociażby przy sprzedaży systemów komputerowych czy strategicznych technologii militarnych do krajów bloku wschodniego. Dla wielkich korporacji, które pan tu reprezentuje, Rosja, Bułgaria, Kuba, Iran czy Libia to tacy sami klienci, jak inni.

- Nas nie interesują dominujące w różnych krajach ideologie i wyznania. Według naszego sposobu rozumowania łączenie podobnych spraw z zagadnieniami praktycznymi dotyczącymi ekonomii jest pozbawione sensu.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziała Loren. - Czy to prawda, że wasz rząd złożył propozycję wykupienia całego naszego stanu, Hawajów, żeby zrównoważyć deficyt w handlu Stanów Zjednoczonych z Japonią?

Tsuboi tym razem nie zasięgał opinii doradców, lecz odpowiedział od razu:

- Tak, proponowałem takie rozwiązanie. Większa część mieszkańców Hawajów to Japończycy, a w naszych rękach znajduje się sześćdziesiąt dwa procent wszystkich udziałów finansowych na wyspach. Proponowałem także, by przekształcić Kalifornię w ekonomiczną wspólnotę, zarządzaną łącznie przez Stany Zjednoczone i Japonię. Nasz kraj dysponuje olbrzymią, nie wykorzystaną siłą roboczą i mógłby uczestniczyć w budowie setek fabryk.

- Pańskie propozycje są według mnie po prostu niestosowne - odparła Loren, tłumiąc w sobie wzbierającą wściekłość. - Nigdy nie dopuścimy do tego, by japońska wspólnota ekonomiczna rabowała Kalifornię. Dowiedziałam się z przykrością, że wiele osiedli na Hawajach zarezerwowanych jest wyłącznie dla Japończyków, a liczne lokale czy kluby golfowe zamykają drzwi przed obywatelami amerykańskimi. - Smith przerwała, patrząc Japończykowi prosto w oczy. Po chwili syknęła przez zaciśnięte zęby: - Osobiście mam zamiar wytoczyć bezwzględną walkę jakimkolwiek dalszym ingerencjom.

Przez salę przetoczył się pomruk aprobaty, rozległy się pojedyncze oklaski, ale Diaz uśmiechnął się tylko i postukał młoteczką, przywołując zebranych do porządku.

- Kto może wiedzieć, co przyniesie nam przyszłość - rzekł Tsuboi z patrycjuszowskim uśmiechem. - Nie mamy żadnego tajnego planu przeciągnięcia na naszą stronę waszego rządu. Po prostu przegraliście w tej ekonomicznej grze w fanty.

- Jeśli przegraliśmy, to tylko na rzecz udziałowców Kanoya Securities - rzuciła Smith ostrym tonem.

- Wy, Amerykanie, musicie się nauczyć akceptować fakty. Jeśli my kupiliśmy Stany Zjednoczone, to tylko dlatego, że wy je sprzedaliście.

Nielicznych obserwatorów wpuszczonych na salę obrad oraz doradców Kongresu przeszył dreszcz grozy, a w oczach niektórych mężczyzn pojawiły się złowrogie błyski. Dziwna

mieszanina arogancji i pokory, a także uległości i bezwzględności Japończyka, wprowadziła na sali atmosferę niepokoju i zmieszania.

Diaz również spoglądał hardo na przesłuchiwanego. Pochylił się nad stołem i rzekł:

- Niemniej, dostrzegam co najmniej dwa pozytywne aspekty naszej niezbyt wesołej sytuacji.

Po raz pierwszy tego dnia na twarzy Tsuboiego pojawiło się zdumienie.

- O jakich pozytywnych aspektach pan mówi, senatorze?

- Po pierwsze, jeśli posuniecie się za daleko, wszelkie wasze aktywa, które są jedynie zapisami figurującymi na papierze bądź w pamięci komputerów, dadzą się łatwo skasować. A po drugie, możecie zapomnieć o istnieniu tych obrzydliwych Amerykanów - syknął Diaz tonem tak lodowatym, jak arktyczny wiatr. - Teraz ich miejsce zajmą ci obrzydliwi Japończycy.

Po rozstaniu z Pittem przed budynkiem Federalnej Kwatery Głównej, Giordino pojechał taksówką do Departamentu Handlu przy alei Konstytucji. Korzystając z pomocy przyjaciela, który zajmował stanowisko młodszego sekretarza w Wydziale Handlu Krajowego i Zagranicznego, wypożyczył akta inwentarzowe dotyczące importu samochodów marki Murmoto, po czym pojechał do Aleksandrii w Wirginii. Po drodze sprawdził jeszcze adres w książce telefonicznej. Szukał siedziby filii Murmoto Motor Corporation, zajmującej się dystrybucją aut na obszarze pięciu stanów. Zadzwoił pod wskazany numer i poprosił telefonistę, by wytłumaczył mu, jak tam dojechać.

Było już późne popołudnie i chłodny wiatr, zapowiadający wczesną jesień, zrywał liście z drzew. Taksówka zatrzymała się w zatoczce przed nowym budynkiem z czerwonej cegły, wyposażonym w duże lustrzane okna z brązowego szkła. Na trawniku przed wejściem stała tablica, a napis wykonany z wypukłych miedzianych liter głosił: "Murmoto Motor Distribution Corp." Giordino zapłacił za taksówkę i stał przez chwilę, spoglądając na parking. Bez wyjątku zapelniały go auta murmoto, nie było ani jednego wozu marki amerykańskiej czy europejskiej. Wszedł przez frontowe dwuskrzydłowe drzwi i zatrzymał się przed bardzo ładną japońską recepcjonistką.

- Czym mogę panu służyć? - zapytała słodkim głosem.

- Albert Giordino z Departamentu Handlu - rzekł. - Chciałbym porozmawiać z kimś, kto się zajmuje nowymi dostawami samochodów.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, po czym zerknęła na listę personelu.

- Najlepiej z panem Dennisem Suhaką, naszym kierownikiem do spraw transportu. Zaraz go powiadomię, że chce się pan z nim zobaczyć, panie Giordano.

- Giordino, Albert Giordino.

- Bardzo przepraszam i dziękuję.

Nie minęła nawet minuta, gdy w holu pojawiła się wysoka, urodziwa sekretarka, również azjatyckiego pochodzenia, nosząca jednak wyraźne ślady operacji plastycznej, zmieniającej kształt oczu. Poprowadziła Ala w stronę gabinetu Suha Id. Idąc długim korytarzem po grubym dywanie, Giordino z rozbawieniem odczytywał tabliczki na drzwiach - nie było tu menedżerów, księgowych czy wiceprezesów, wszędzie urzędowali kierownicy do takich czy innych spraw.

Suhaka, grubasek o pogodnym wyrazie twarzy, uśmiechnął się szeroko, wyszedł zza biurka i uścisnął dłoń Ala.

- Dennis Suhaka. W czym mogę pomóc Departamentowi Handlu, panie Giordino?

Al odetchnął z ulgą, że Japończyk nie zwrócił uwagi na jego dwudniowy zarost i nie poprosił o okazanie legitymacji.

- To nie ważnego - odparł. - Typowe biurokratyczne zbieranie danych do statystyk. Mój szef prosił mnie, bym po drodze do domu wpadł do pańskiej firmy i porównał liczbę samochodów, jakie rozprowadziliście wśród dealerów, z danymi zawartymi w raporcie nadesłanym z Tokio.

- Sprzedajemy bardzo dużo aut. O jaki okres chodzi?

- Interesują mnie ostatnie trzy miesiące.

- Proszę bardzo - rzekł Suhaka, starając się okazać swą usłużność. - Wszystkie zestawienia trzymamy w komputerze, zaraz każę je wydrukować. Będą gotowe najpóźniej za dziesięć minut. Powinny się zgadzać, centrala w Tokio rzadko popełnia błędy. Czy mogę pana poczęstować filiżanką kawy?

- Tak - mruknął Giordino zmęczonym głosem. - Wypiję z przyjemnością.

Suhaka zaprowadził go do niewielkiego, pustego pokoju, a urocza sekretarka przyniosła kawę. Nie zdążył jej wypić, kiedy znalazły się przed nim wydruki sprawozdań.

Giordino w niecałe pół godziny znalazł to, o co prosił go Pitt. Rozsiadł się więc wygodnie, chcąc odczekać jeszcze trochę, by uwiarygodnić swą rolę trybika w wielkiej maszynie biurokracji.

Punktualnie o piątej do pokoju wszedł Suhaka.

- Personel kończy pracę, ale ja jeszcze zostaję. Czy mogę panu w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję - odparł Giordino, składając dokumenty. - Też pójde do domu, odwaliłem już dziś swoje siedem godzin. Najwyższa pora trochę odpocząć. Dziękuję za udostępnienie raportów. Dane o liczbie sprowadzanych przez was aut zostaną wprowadzone do tego gigantycznego komputera rządowego, chociaż sam nie wiem w jakim celu. Co najwyżej zainteresuje się nimi jakiś podrzędny kancelista.

Zawiązał teczkę z aktami Departamentu Handlu, wstał i ruszył w kierunku drzwi. Nagle, jakby coś sobie przypomniał, odwrócił się z tajemniczym uśmiechem, którego mógłby mu pozazdrościć sam Peter Falk, czyli Colombo.

- Jest pewna sprawa...

- Słucham.

- Drobną nieścisłość, o której nawet szkoda mówić.

- Słucham.

- Znalazłem sześć samochodów, które figurują w waszych wykazach odpraw celnych. Przybyły do Baltimore na pokładzie dwóch różnych statków. Nie zostały jednak uwzględnione



w dokumentach eksportowych, przekazanych z centrali w Tokio.

Suhaka miał taką minę, jakby postawiono go w stan oskarżenia.

- Nie zwrócono mi uwagi na podobną nieścisłość. Czy mogę zobaczyć te dane z pańskich dokumentów?

Giordino rozłożył z powrotem na stole zestawienia, które wypożyczył mu przyjaciel z Departamentu Handlu i wskazał analogiczne pozycje w wydrukach sporządzonych dla niego przez sekretarkę Japończyka. Podkreślił w raporcie te wpisy, których nie było w dokumentach przysłanych z Tokio. Chodziło o sześć sportowych sedanów typu SP-500.

- Mówiąc szczerze, taka nieścisłość jest mało istotna - rzekł obojętnym tonem. - Rozliczyliście się z tych aut podczas odprawy celnej, w związku z czym nie można wam niczego zarzucić. Jestem przekonany, że to tylko drobna pomyłka waszego działu rozliczeniowego w Tokio, która do tej pory została z pewnością wykryta.

- To jednak niewybaczalne niedopatrzenie z mojej strony - oznajmił Suhaka takim tonem, jakby cesarskie klejnoty wpadły mu właśnie do zlewu. - Za bardzo ufam raportom z centrali. Ktoś z tutejszego personelu powinien był zauważyć tę niezgodność.

- Ciekaw jestem, do którego z dealerów trafiło tych sześć aut.

- Zaraz sprawdzimy.

Suhaka zaprowadził Ala z powrotem do swego gabinetu, usiadł za biurkiem i zaczął stukać w klawisze komputera. Po chwili odchylił się na oparcie fotela i zapatrzył w monitor. W miarę, jak na ekranie wyświetlały się kolejne wiersze danych, uśmiech z jego twarzy stopniowo zniknął, ustępując miejsca bladości.

- Każde z tych sześciu aut trafiło do innego dealera. Potrzeba kilku godzin pracy, by prześledzić ich trasę. Gdyby był pan łaskaw skontaktować się ze mną jutro, z przyjemnością przekazałbym panu te informacje.

Giordino uniósł dłonie w obronnym geście.

- To niepotrzebne, obaj mamy ważniejsze sprawy na głowie. Ja muszę się przebić przez korki, wziąć kąpiel i zabrać żonę na uroczysty obiad. Obchodzimy dziś rocznicę ślubu.

- Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia - powiedział Suhaka z wyraźną ulgą w głosie.

- Dziękuję bardzo. I jeszcze raz dziękuję za życzliwą pomoc.

Japończyk uśmiechnął się szeroko.

- Zawsze służymy wszelką pomocą. Do widzenia.

Giordino znalazł automat telefoniczny na stacji benzynowej, przy czwartym z kolei skrzyżowaniu. Już po pierwszym sygnale odezwał się w słuchawce męski głos.

- Mówi zaprzyjaźniony sprzedawca mercedesów. Dostałem pewien model, który z

pewnością was zainteresuje.

- Działa pan na obcym terenie. Czemu nie zajmuje się pan akwizycją gdzieś bliżej wybrzeża albo nawet pośrodku Pacyfiku?

- Też mi klient - warknął Al. - Jeśli nie interesuje was solidny niemiecki wóz, to proszę kupić murmoto. Mam na oku sześć sportowych sedanów, model SP-Pięćset, po specjalnej cenie.

- Chwileczkę.

Przez chwilę panowała cisza.

- Pomijając fakt, że wszedł pan na nie swoje terytorium - odezwał się inny męski głos, po którym Giordino natychmiast rozpoznał Donalda Kerna - zawsze chętnie dokonuję transakcji, które pozwalają mi zaoszczędzić pieniądze. Proszę powiedzieć, gdzie można obejrzeć te auta po specjalnej cenie.

- Te informacje można wyciągnąć jedynie od dystrybutora murmoto, mającego siedzibę w Aleksandrii. W ich wykazach komputerowych figuruje sześć samochodów, które przywieziono do nas, chociaż nigdy nie opuściły fabryki. Radzę się pospieszyć, bo gdy wieść się rozejdzie, ktoś może pana uprzedzić przy ich zakupie. Połowa z nich zjechała na plac celny w Baltimore czwartego sierpnia, pozostałe trzy przywieziono dziesiątego września.

Kern natychmiast domyślił się właściwego znaczenia tej wiadomości.

- Chwileczkę - rzucił do słuchawki.

Odwrócił się do swego zastępcy, który słuchał tej rozmowy przekazywanej przez głośnik.

- Bierz się do roboty. Znajdź dostęp do systemu komputerowego Murmoto i spróbuj prześledzić, dokąd pojechało tych sześć samochodów, zanim ktoś z nich się połapie i skasuje dane.

Ponownie zwrócił się do Giordina.

- Dobra robota, wszystko ci wybaczymy. A swoją drogą, skąd miałeś informacje o tej okazji sprzedazy?

- Przekazał mi je Stutz. Nie kontaktował się z wami?

- Owszem, dzwonił pół godziny temu - odparł Kern. - Znalazł źródło naszych kłopotów.

- Tak myślałem, że jeśli ktoś ma rozwikłać tę zagadkę, to chyba tylko on - powiedział Giordino, który świetnie znał niecodzienne zdolności Pitta do rozwiązywania najbardziej zawilych problemów. Mało kto umie tak posługiwać się logiką, jak on.

Było już ciemno, kiedy Yaeger wysadził Dirka przed starym hangarem w odległym końcu międzynarodowego lotniska w Waszyngtonie. Barak, postawiony w 1936 roku, stanowił schronienie kilku maszyn pewnej małej linii przewozowej, wykupionej później przez American Airlines. Nie licząc reflektorów forda taurusa, jedynym docierającym tu światłem była luna wisząca nad miastem po drugiej stronie Potomaku oraz mętny blask latarni stojącej przy drodze dojazdowej, pięćdziesiąt metrów na północ.

- Jak na człowieka, który przebywał cztery miesiące poza domem, nie masz zbyt wiele bagażu - zażartował Yaeger.

- Zostawiłem swoje rzeczy rybom - mruknął Pitt, ledwie panując nad opadającymi powiekami.

- Chętnie bym znowu obejrzał twoją kolekcję starych samochodów, ale muszę wracać do domu.

- A ja marzę tylko o łóżku. Dzięki za podwiezienie i za to, że pomogłeś mi dziś po południu. Świetna robota, jak zawsze.

- Lubię z tobą pracować. Któregoś dnia, jak znajdę włącznik dopalaczy w twoim mózgu, rozwiążemy za jednym zamachem wszystkie tajemnice wszechświata. - Yaeger skinął dłonią, podniósł szybę, żeby osłonić się przed nocnym chłodem, po czym odjechał, znikając w ciemnościach.

Pitt wyjął z kieszeni spodni zapasowego pilota, którego trzymał w swoim gabinecie w NUMA, i wystukał kod cyfrowy, wyłączający system alarmowy i zapalający światła w hangarze.

Otworzył stare, poobijane i odrapane boczne drzwi i wszedł do środka. Wnętrze baraku o gładkiej betonowej posadzce przypominało salę w muzeum transportu. W rogu stał wiekowy trzysilnikowy samolot ford, a obok niego sypialny wagon pullmanowski z przełomu wieków. Pozostałe 10 000 metrów kwadratowych zajmowało ponad pięćdziesiąt samochodów - były tu europejskie rarytasy, marki takie jak Hispano-Suiza, Mercedes-Benz 540K czy przepiękny błękitny Talbot-Lago, a obok nich amerykańskie modele klasyczne: Cord L-29, Pierce-Arrow oraz zapierający dech w piersi, turkusowozielony miejski Stutz. Jedynym eksponatem, który wydawał się w tym otoczeniu zupełnie nie na miejscu, była stara żeliwna wanna z przymocowanym na końcu silnikiem.

Dirk ociężałym krokiem wszedł po kręconych, żelaznych schodkach na antresolę, gdzie znajdowało się jego mieszkanie. Dawne biuro hangaru zostało zamienione w dużą, przytulną kawalerkę, będącą połączeniem sypialni z kuchnią, salonem i gabinetem. Półki na ścianach

zapełnione były książkami oraz butelkami, wewnątrz których zamknięto modele statków odnalezionych i wydobytych przez Dirka. Z kuchni dolatywał jakiś smakowity zapach. Na stole kuchennym znalazł zapisaną kartkę przypiętą do długiego pióra ptaka rajskiego, które trzymał w wazoniku. Uśmiechnął się, odczytując liścik.

*Słyszałam, że znów przekradłeś się do miasta. Zdołałam pokonać tę dziwną, mazistą substancję, która w jakiś miesiąc po twoim wyjeździe opanowała wnętrze lodówki. Pomyślałam, że może będziesz chciał coś zjeść. Sałatka jest na lodzie, a zupa rybna po marsylsku grzeje się w garnku na kuchence. Wybacz, że nie mogłam cię przywitać osobiście, ale muszę uczestniczyć w uroczystym obiedzie w Białym Domu.*

*Ucałowania*

*L.*

Stał przez chwilę, zmuszając swój ospały umysł do podjęcia decyzji - czy najpierw zjeść, a potem wziąć kąpiel, czy od razu wskoczyć pod prysznic? Stwierdził jednak, że gorąca kąpiel zwali go z nóg i wtedy już na pewno nie dojdzie do stołu. Rozebrał się i narzucił krótki szlafrok. Zjadł całą porcję sałatki Waldorfa i niemal opróżnił garnek gęstej zupy rybno-jarzynowej, popijając dwiema szklankami caberneta Smothers Brothers Sauvignon z rocznika 1983, którego butelkę odkrył w podręcznym barku.

Skończył kolację i zmywał talerze, kiedy zadzwonił telefon.

- Słucham.

- Pan Pitt?

- Tak, panie Jordan - odrzekł Dirk, poznawszy rozmówcę po głosie. - Czym mogę służyć?

- Mam nadzieję, że pana nie obudziłem.

- Nie, moja głowa jeszcze przez dziesięć minut pozostanie nad poduszką.

- Chciałem się dowiedzieć, czy otrzymał pan wiadomość od Ala.

- Owszem, dzwonił do mnie zaraz po rozmowie z panem.

- Pomijając fakt, że wasze działania były samowolne, dostarczyliście niezwykle przydatnych informacji.

- Wiem, że nie powinienem był włączyć na nie swoje podwórko, ale chciałem choć trochę posunąć sprawę naprzód.

- Pan nie potrafi działać w zespole, prawda, Dirk? - Po raz pierwszy Jordan zwrócił się do Pitta po imieniu. - Zdecydowanie woli pan grać według własnych reguł.

- "Rozwaga nakazuje dążyć do najwyższych celów najlepszymi metodami".

- Sam pan to wymyślił?

- Nie, to słowa Francisa Hutchesona, filozofa szkockiego.

- Chyba muszę panu uwierzyć na słowo, że tak to brzmi naprawdę - rzekł Jordan. - W takim razie większość polityków waszyngtońskich posługuje się zniekształconym plagiatem mówiąc, że cel uświęca środki.

- Tylko tyle chciał mi pan powiedzieć? - zapytał Dirk, spoglądając tęsknym wzrokiem w stronę łóżka.

- Pomyślałem, że ucieszy pana wiadomość o znalezieniu bomb.

- Macie już wszystkie sześć samochodów? - spytał zdumiony Pitt.

- Tak, zostały ukryte w podziemiach japońskiego banku w centrum Waszyngtonu. Czekają w dobrze zamkniętej piwnicy na ten dzień, gdy ktoś je odkurzy, podstawi pod wybrane cele i zdetonuje ładunki.

- Szybko się uwinęliście.

- Pan ma swoje metody, a my swoje.

- Umieściliście je pod strażą?

- Tak, ale musimy postępować bardzo ostrożnie. Nie możemy się do nich dostać, dopóki nie stwierdzimy, kto odpowiada za ten koszmar, i nie zniszczymy centrum dowodzenia. A jeśli już o to chodzi, dziś po południu Giordino omal nie zniweczył całej naszej akcji. Ktoś w Murmoto Distributors przestraszył się, zdążyliśmy wyciągnąć z ich komputera dane na kilka minut przedtem, zanim wszystkie wpisy odpraw celnych zostały skasowane.

- Te informacje pozwoliły wam odnaleźć samochody?

- Doprowadziły nas do pewnej znanej japońskiej firmy spedycyjnej, zajmującej się transportem tych aut. W ich komputerze, co zrozumieliśmy, nie znaleźliśmy nic na temat odbiorcy przesyłki, ale udało nam się zdobyć kopie kart drogowych kierowców, w których widniała liczba kilometrów przebytych z portu. Reszty dokonały szczegółowe analizy i praca agentów w terenie.

- A także włamania i rewizje.

- Nie musimy się włamywać, żeby dokonać rewizji - odparł Jordan.

- Jeśli rozejdzie się plotka, że Bogu ducha winni obywatele siedzą na bombie atomowej należącej do obcego państwa, cały kraj ogarnie fala paniki.

- Przyznaję, że to stawia nas w trudnej sytuacji. Jakakolwiek wrzawa czy głosy domagające się odwetu mogą spowodować, że Japończycy się przestraszą, rozmieszczą auta na pozycjach strategicznych i odpalą ładunki, nim zdążymy je wszystkie odnaleźć i zabezpieczyć.

- A poszukiwania za granicą mogą potrwać i dwadzieścia lat.

- Nie sędzę - rzekł chłodno Jordan. - Znamy ich metody, a dzięki panu i Giordinowi wiemy też, czego szukać. Japończycy nawet w połowie nie są tak dobrzy jak my na polu wywiadu. Mogę się założyć, że zlokalizujemy każdego murmoto z ukrytą bombą w ciągu miesiąca.

- Gratuluję optymizmu - mruknął Pitt. - A co z naszymi sprzymierzeńcami i z Rosjanami? Japończycy mogli rozlokować głowice także na ich terenie. Czy prezydent ma zamiar uprzedzić przywódców innych krajów o niebezpieczeństwie?

- Nie teraz. Nie możemy zaufać krajom NATO, że przeprowadzą wszystko w ścisłej tajemnicy. Z drugiej strony prezydent mógłby to potraktować jako szansę zacieśnienia stosunków z Kreml. Jeśli dobrze pomyśleć, wszyscy teraz płyniemy w tej samej łódce, zagrożeni przez nowe supermocarstwo.

- Tyle że rodzi się kolejna groźba.

- I tak jest ich wiele. Czyżbyśmy coś przeoczyli?

- Założmy, że Japończycy odpalą kilka bomb albo u nas, albo w Rosji. Każde państwo pomyśli, że to sprawka drugiego, i może dojść do wojny, a sprawcy skorzystają z wszystkiego, co po nas zostanie.

- Nie mam ochoty kłaść się do łóżka z podobną wizją przed oczyma - stwierdził ociężale Jordan. - Przyjmijmy sprawy takimi, jakie są. Jeśli nasza akcja zakończy się sukcesem, znów przekazemy ster w ręce polityków.

- A wtedy - rzekł Pitt z udaną powagą - na pewno wszyscy będą mogli spać spokojnie.

Zasypiał już, kiedy ciche popiskiwanie alarmu powiedziało mu, że ktoś próbuje wejść do hangaru. Z ociąganiem zwłókł się z łóżka, przeszedł do gabinetu i włączył niewielki monitor systemu wizyjnego.

Przed bocznym wejściem do hangaru stała Stacy Fox - bezczelnie uśmiechała się i gapiała prosto w kamerę, którą Dirk uważał za element świetnie ukrytego systemu zabezpieczeń.

Nacisnął guzik otwierający drzwi, a następnie podszedł do szczytu schodów i stanął w oczekiwaniu.

Stacy wkroczyła do hangaru - wyglądała dość seksownie, choć nieco zbyt oficjalnie; miała na sobie błękitną garsonkę bez kołnierzyka, obcisłą spódniczkę oraz białą bluzkę ze stójką. Zwolniła kroku, z wyraźnym zdumieniem oglądając kolekcję starych aut, aż zatrzymała się przy pięknym, metalicznoniebieskim coupe marki Talbot-Lago Grand Sport, ze specjalną tapicerką z pracowni słynnego francuskiego rzemieślnika, znanego jako Saoutchik. Przeciągnęła dłonią po błotniku.

Nie ona pierwsza zareagowała w ten sposób, prawie każda kobieta składająca wizytę w niecodziennej siedzibie Pitta stawała jak zauroczona przed tym wozem. Dirk widział w nim arcydzieło sztuki mechanicznej, ale kobiety od pierwszego spojrzenia czuły do niego magiczny pociąg. Jego wysmukła, jakby kobieca sylwetka i zapach skóry w eleganckim wnętrzu kazały im się domyślać niezwykłej mocy ukrytego pod maską silnika, przez co samochód stawał się dla nich wręcz symbolem erotycznym.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał, a jego głos rozbrzmiał echem w przestronnym hangarze.

Stacy spojrzała w górę.

- Spędziłam dwa dni nad twoimi aktami, zanim wyruszyłam na Pacyfik i znalazłam się na pokładzie "Niezwycięzonego".

- Wyczytałaś tam coś interesującego? - spytał, rozdrażniony faktem, że wszystkie szczegóły jego życia są dostępne dla każdego, kto ma odpowiedni status, by naruszyć sferę spraw osobistych.

- Niezły z ciebie gość.

- Dziękuję za komplement.

- A twoja kolekcja samochodów jest imponująca.

Odwróciła się znowu w stronę talbota.

- Ten mi się strasznie podoba.

- Ja wolę to zielone miejskie auto, które stoi obok.

Stacy obrzuciła stutza takim spojrzeniem, jakby oceniała ubiór na manekinie w salonie mody.

- Też ładny, ale za ciężki, zbyt masywny jak na kobiecy gust.

Ponownie spojrzała na Dirka.

- Czy możemy porozmawiać?

- Mam nadzieję, że nie zasną. Chodź na górę.

Stacy wdrapała się po kręconych schodkach i Dirk pobieżnie oprowadził ją po części mieszkalnej.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję. - Spojrzała mu w oczy, a na jej twarzy pojawił się cień współczucia. - Nie powinnam była przychodzić. Wyglądasz tak, jakbyś miał zaraz paść na miejscu.

- Odzyskam formę, jeśli zdołam się porządnie wyspać.

- Przydałby ci się solidny masaż - oznajmiła niespodziewanie.

- Sądziłem, że chciałaś porozmawiać.

- Możemy rozmawiać w czasie masażu. Jaki rodzaj wolisz, masaż szwedzki czy *shiatsu*?

- Do cholery, rób jeden i drugi.

Zaśmiała się głośno.

- W porządku.

Wzięła go za rękę, zaprowadziła do sypialni i ułożyła na tapczanie, twarzą do dołu.

- Ściągaj szlafrok - nakazała.

- Nie pozwolisz mi zachować skromności i okryć się choć prześcieradłem?

- Czyżbyś miał coś, czego nigdy nie widziałam? - zapytała, pomagając mu wyciągnąć ręce z rękawów.

Dirk zachichotał.

- Tylko nie każ mi się obrócić na plecy.

- Chciałam cię przeprosić, zanim pojedziemy z Timem na Wybrzeże Zachodnie - rzekła poważnym tonem.

- Z jakim Timem?

- Doktorem Weatherhillem.

- Domyślałam się, że już pracowaliście razem.

- Owszem.

- Czy zobaczymy się jeszcze kiedyś?

- Nie wiem, ta akcja może nas zaprowadzić w różne strony świata. - Zamilkła na chwilę. - Chcę, żebyś wiedział, że strasznie mi wstyd za kłopoty, jakie sprawiłam. Ocaliłeś mi życie, wpychając na ostatnie wolne miejsce w drugim batyskafie, przez co omal sam nie zginąłeś.

- Po dobrym masażu uznamy rachunki za wyrównane - odparł Pitt, uśmiechając się sennie.

Stacy omiotła spojrzeniem jego nagie ciało.

- Masz całkiem niezłą opaleniznę., jak na cztery miesiące spędzone pod wodą.

- Cygańska krew - mruknął półprzymkniętymi oczami.

Dziewczyna zaczęła kciukami i knykciami uciskać określone punkty na podeszwach stóp, stosując podstawową technikę masażu *shiatsu*.

- To wspaniałe uczucie - jęknął cicho. - Czy Jordan przekazał ci, co odkryliśmy na temat głowic?

- Tak, daliście mu niezłego łupnia. Sądził, że nie można na was polegać. Teraz, kiedy Tim i ja wiemy dokładnie, na czym się skupić, powinniśmy dość szybko odnaleźć auta z



ukrytymi bombami.

- Macie zamiar odwiedzić wszystkie porty Wybrzeża Zachodniego?

- Tylko Seattle, San Francisco i Los Angeles, czyli te porty, gdzie zawijały statki z samochodami murmota.

Pitt zamilkł, a Stacy przeniosła się na jego łydki i uda, stosując na zmianę techniki *shiatsu* z elementami masażu szwedzkiego. Później wymasowała mu ramiona, plecy i kark, po czym dała lekkiego klapsa w pośladek i kazała Dirkowi obrócić się na wznak, ale on nie zareagował.

Spał jak zabity.

Obudził się wczesnym rankiem w jej objęciach. Jak przez mgłę docierało do niego, że się porusza, że cokolwiek odczuwa i słyszy ciche okrzyki Stacy. Nie wiedział nawet, czy nie śni. Miał wrażenie, że przedziera się przez nawałnicę, pośród grzmotów i błyskawic, aż wreszcie wszystko ucichło, a jego znów pochłonęła czarna otchłań głębokiego snu.

- Niespodzianka, śpiochu! - powiedziała członkini Kongresu Loren Smith, przeciągając palcem po jego nagich plecach.

Pitt z trudem wyplątał się z pajęczyny snu, obrócił na bok i spojrzał w górę. Loren siedziała z nogą założoną na nogę na pustej połowie tapczanu. Miała na sobie kwiecisty jedwabny trykocik, wywinięty pod szyją, oraz zielone szorty marynarskie z obszernymi mankietami. Włosy związała z tyłu głowy wielką kokardą.

Przypomniawszy sobie nagle ostatnią noc i szybko rozejrzał się po tapczanie. Odetchnął z ulgą, gdyż oprócz niego nikogo tu nie było.

- Czy w Kongresie także oczekują od ciebie, że będziesz dokonywała cudów? - zapytał, dziękując w myślach Stacy, że wyszła przed przybyciem Loren.

- Mamy recesję - odparła. Wyciągnęła zza pleców filizankę parującej kawy i zaczęła nią wodzić mu przed nosem.

- Co miałbym zrobić, żeby dostać tę kawę?

- Wystarczy jeden pocałunek.

- To dość wysoka cena, ale nie mam innego wyjścia.

- I małe wyjaśnienie.

Aha, miej się na baczności - pomyślał, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- W związku z czym?

- Nie z czym, lecz z kim. Dobrze wiesz, że pytam o tę kobietę, która spędziła z tobą noc.

- Jaką znowu kobietę? - zapytał niewinnym tonem.

- Tę, która spędziła ostatnią noc w tym łóżku.

- Widziałas tu jakąś kobietę?

- Nie musiałam jej widzieć - rzekła Loren, czerpiąc przyjemność z jego zakłopotania. - Wystarczy, że ją czuję.

- Może mi nie uwierzysz, ale to była masażystka.

Pochyliła się i na dłuższą chwilę przywarła ustami do jego warg. Wreszcie wyprostowała się i podała mu filiżankę z kawą.

- Nieźle. Masz u mnie piątkę za pomysłowość.

- Zostałem oszukany - rzekł, mając nadzieję zmienić temat rozmowy. - Ta filiżanka jest napelniona tylko w połowie.

- Chciałbyś, żebym zachłapała kawą twoją pościel? - zaśmiała się głośno, jakby sprawiało jej radość, że omal nie przyłapała Dirka na gorącym uczynku. - Dobra, zwlecz to swoje wielkie, owłosione cielsko z wyrka i idź pod prysznic zmyć te perfumy, choć muszę przyznać, że są w dobrym guście i zapewne drogie. Przygotuję śniadanie.

Kiedy Pitt wyszedł spod prysznicza, po raz drugi w ciągu ośmiu godzin, Loren przy stole rozkładała grapefiruita. Z ręcznikiem zawiązanym wokół bioder stanął za nią, objął ją w talii i zaczął muskać wargami jej kark.

- Dawno się nie widzieliśmy. Jak ci się udało przeżyć tyle czasu beze mnie?

- Zakopałam się w projektach ustaw i doszczętnie o tobie zapomniałam.

- I nie miałaś nawet chwili czasu na rozrywki?

- Byłam grzeczną dziewczynką. Co wcale nie znaczy, że byłabym nią przy pierwszej nadarżającej się okazji, zwłaszcza gdybym wiedziała, że nie będziesz tracił czasu po powrocie do domu.

Loren zawsze potrafi się znaleźć - pomyślał Dirk, dostrzegając u niej zaledwie cień żalu i zazdrości. Nie dała się jednak nabrać, choć z drugiej strony Pitt nie był jedynym mężczyzną w jej życiu. Ale nie narzucając mu niczego i nie okazując przesadnej zazdrości, czyniła ich związek niezwykle wygodnym dla obu stron.

Kiedy delikatnie ugryzł ją w ucho, odwróciła się i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Jim Sandecker powiedział mi o zniszczeniu waszej bazy i o tym, że ledwie uszedłeś z życiem.

- To miała być tajemnica - mruknął, pocierając nosem jej nos.

- Członkowie Kongresu mają pewne przywileje.

- Ty masz u mnie specjalne przywileje.

Lekko zmrużyła oczy.

- Poważnie. Naprawdę mi przykro, że straciliście bazę.

- Zbudujemy następną - powiedział z uśmiechem. - Wyniki wszystkich naszych badań ocalały i to się liczy.

- Jim powiedział, że tylko sekundy dzieliły cię od śmierci.

Pitt uśmiechnął się.

- Jak to się mówi, starczyło wody pod mostem.

Rozwarł ramiona i usiadł przy stole. Z pozoru wyglądało to na normalny niedzielny poranek w mieszkaniu szczęśliwych małżonków, chociaż ani Dirk nigdy nie był żonaty, ani Loren zamężna.

Sięgnął po gazetę, którą Loren kupiła po drodze, i przebiegł wzrokiem po nagłówkach. Jego uwagę przyciągnął jakiś artykuł, przeczytał go i po chwili uniósł głowę.

- Widzę, że "Post" znowu zamieścił wywiad z tobą - rzekł z uśmiechem. - Zaczynamy się gniewać na naszych przyjaciół ze Wschodu?

Loren wprawnie przerzuciła omlet na patelni.

- Prawo własności trzeciej części naszego majątku narodowego zostało wywiezione do Tokio, a wraz z nim odpłynął nasz dobrobyt i nasza niezawisłość. Ameryka nie należy już do Amerykanów, staliśmy się finansową kolonią japońską.

- Aż tak źle?

- Ludzie nawet nie mają pojęcia, jak bardzo - odparła Loren, stawiając przed Dirkiem talerz z omletem i drugi, pełen tostów. - Deficyt budżetowy to jak otwarte drzwi, przez które wyjeżdżają zdobycze naszej ekonomii, a wlewa się strumień japońskich pieniędzy.

- Tylko siebie możemy za to winić - rzekł machnąwszy widelcem. - U nich jest niedomiar konsumpcji, u nas nadmiar, przez co popadamy w coraz większe długi. Oddaliśmy czy też sprzedaliśmy nasz prymat technologiczny w każdej dziedzinie, gdzie jeszcze można go było sprzedać. A teraz stoimy w kolejce z pustymi portfelami i wywieszonymi ozorami, gotowi sprzedać nasze ostatnie fabryki i każdą piędź ziemi, byle tylko szybko coś włożyć do portfela. Spójrzmy prawdzie w oczy, Loren. Nic takiego by się nie zdarzyło, gdyby cały naród, przemysłowcy, wy, politycy z Kongresu, i ekonomiczni kretyni z Białego Domu zrozumieli w porę, że ten kraj został wciągnięty w bezwzględną wojnę finansową z przeciwnikiem, który traktuje nas z góry. W obecnym stanie rzeczy nie mamy żadnych szans na zwycięstwo.

Loren usiadła przy stole i przysunęła sobie filiżankę kawy. Pittowi naląła soku pomarańczowego.

- To chyba najdłuższa twoja przemowa, jaką kiedykolwiek słyszałam. Masz zamiar startować w wyborach do senatu?

- Nigdy, nawet gdyby mi zrywano paznokcie u nóg. Poza tym jeden Pitt w

zgromadzeniu zdecydowanie wystarczy - stwierdził, mając na myśli swego ojca, senatora George'a Pitta z Kalifornii.

- Widziałeś się z senatorem?

- Jeszcze nie - odparł Dirk, nakładając sobie kawałek omletu. - Nie miałem czasu.

- Co zamierzasz teraz robić? - Loren spojrzała prosto w błyszczące, zielone oczy Dirka.

- Chcę trochę podłubać przy moich samochodach i odpocząć przez kilka dni. Gdyby udało mi się na czas wyszykować stutza, zgłosiłbym swój udział w rajdzie starych samochodów.

- A nie myślałeś o czymś przyjemniejszym od babrania się w smarze? - spytała nieco gardłowym głosem.

Okrzyła stół i nadzwyczaj mocno zacisnęła palce na jego ramieniu.

Dirk czuł niemal jej pożądanie niczym zapach nektaru i nagle zapragnął jej bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Miał tylko nadzieję., że starczy mu energii. Jakby ulegając przemożnej sile magnetycznej, pozwolił się pociągnąć w kierunku kanapy.

- Nie pójdziemy do łóżka - syknęła Loren - dopóki nie zmienisz tej pościeli.

Hideki Suma wysiadł z prywatnego turboodrzutowca pionowego startu, zbudowanego w zakładach Murmoto. Tuż za nim wyszedł Moro Kamatori. Maszyna wylądowała na niewielkim lotnisku w kompleksie lasów tworzących park krajobrazowy, obok wielkiej kopuły z tworzywa wznoszącej się na wysokość pięćdziesięciu metrów. Okrywała ona gigantyczne atrium, pod którym znajdował się doświadczalny kompleks podziemny nazwany Edo - na część stolicy, którą w 1868 roku, w epoce odrodzenia Meiji, przemianowano na Tokio.

Pierwsza część olbrzymiego kompleksu podziemnego, Edo City, została zbudowana przez Sumę jako centrum naukowe i koncepcyjne mogące pomieścić 60 000 ludzi. Miało ono kształt gigantycznego torusa otaczającego atrium i stanowiło dwudziestopiętrową cylindryczną budowlę, zawierającą pomieszczenia mieszkalne dla naukowców, biura, łaźnie, sale widowiskowe, restauracje, ciąg handlowy i bibliotekę. Kompleksu strzegł tysiącosobowy oddział służby bezpieczeństwa.

Mniejsze podziemne cylindry, połączone tunelami z głównym kompleksem, mieściły centra łączności, systemy klimatyzacyjne, układy kontroli wilgotności i temperatury powietrza, generatory elektryczności oraz reaktory przetwórstwa ścieków. Obiekt, który wykonano ze wzmocnionego ceramicznie betonu, sięgał w wulkanicznej skale na głębokość 1500 metrów.

Suma sfinansował całość projektu, nie korzystając z funduszy rządowych, a cała rzesza opłacanych przez niego prawników i urzędników państwowych uporała się ze stroną prawną-organizacyjną niezwykłego przedsięwzięcia.

Razem z Kamatorim wsiedli do zamaskowanej windy, którą zjechali do biur kompleksu, zajmujących cały czwarty poziom zewnętrznego cylindra. Przy drzwiach prowadzących do najsilniej strzeżonych prywatnych apartamentów czekała sekretarka, Toshie Kudo. Zajmujące trzy kondygnacje pokoje ozdabiała wspaniałe obrazy, mozaiki ścienne, gabloty pełne delikatnej ceramiki oraz szesnastowieczne stroje z artystycznie tkanego brokatu, satyny i krepy. Większość malowideł stanowiły krajobrazy i pejzaże morskie. Na niektórych widniały smoki, tygrysy, lamparty i jastrzębie - symbole wymarłej już rasy wojowników.

- Ashikaga Enshu czeka na pana - oznajmiła Toshie.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska.

- Pan Enshu jest specjalistą od wynajdywania rzadkich dzieł sztuki dla wybranych klientów - wyjaśniła dziewczyna. - Zadzwoił i powiedział, że znalazł obraz, który będzie pasował do pańskiej kolekcji. Pozwoliłam sobie zorganizować spotkanie, by mógł

zademonstrować swe odkrycie.

- Mam mało czasu - rzekł Suma, spoglądając na zegarek.

Kamatori wzruszył ramionami.

- Nie zaszkodzi obejrzeć to, co przyniósł, Hideki. Może udało mu się zdobyć ten obraz, którego szukasz od dawna? - Skinął głową Toshie. - W porządku, wprowadź go.

Suma skłonił się wchodzącemu do pokoju handlarzowi dzieł sztuki.

- Czy ma pan coś nowego do mojej kolekcji, panie Enshu?

- Tak i mam nadzieję, że będzie pan bardzo zadowolony z tego, co znalazłem. - Ashikaga uśmiechnął się szczerze. Był to mężczyzna o starannie przyczesanych siwych włosach, grubych brwiach i obfitych wusach.

- Proszę ustawić obraz tam, w pełnym oświetleniu - polecił Suma, wskazując sztalugi stojące przy dużym oknie.

- Czy mogę trochę szerzej otworzyć żaluzje?

- Proszę bardzo.

Eshu pociągnął za linki, obracając nieco żaluzje, po czym ustawił obraz na sztalugach, ale nie zdjął z niego jedwabnej zasłonki.

- To szesnastowieczny pejzaż ze szkoły Kano, pędzla Masaki Shimzu.

- Tego znanego autora pejzaży morskich? - zapytał Kamatori, okazując nie skrywane zaskoczenie. - To jeden z twych ulubionych malarzy, Hideki.

- Wiedział pan, że zbieram płótna Shimzu? - zapytał Suma.

- Ten fakt jest powszechnie znany w kręgach kolekcjonerów sztuki. Wiem również, że szczególnie interesują pana widoki u wybrzeży Japonii.

Suma obrócił się w stronę Toshie.

- Ile takich obrazów mam już w swoich zbiorach?

- W chwili obecnej jedenaście spośród trzynastu pejzaży wysp oraz cztery krajobrazy gór Hida.

- Czyli ten byłby dwunasty w zbiorze wysp?

- Tak.

- Którą z wysp Shimzu przyniósł mi pan tym razem? - W głosie Sumy brzmiało wyraźne zaniepokojenie. - Czy to nie Ajima?

- Nie, Kechi.

Suma skrzywił się, nieco rozczarowany.

- Miałem nadzieję, że to Ajima.

- Przykro mi. - Enshu rozłożył bezradnie ręce. - Ajima zaginęła podczas oblężenia

Berlina. Ostatni raz widziano ten obraz w biurze naszego berlińskiego ambasadora w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

- Jestem gotów płacić panu za prowadzenie dalszych poszukiwań.

- Dziękuję. - Enshu skłonił się nisko. - Moi współpracownicy w Europie i Stanach Zjednoczonych już od jakiegoś czasu próbują odnaleźć ten obraz.

- Świetnie, proszę, nam teraz pokazać tę wyspę Kechi.

Ashikaga z wyszukaną gracją uniósł zasłonkę, odkrywając obraz widzianej z lotu ptaka wysepki, wykonany tuszem, a następnie pociągnięty wielobarwnymi farbami i ozdobiony listkami złota.

- Niezwykły - mruknęła z podziwem Toshie.

Enshu skinął głową.

- Najpiękniejszy okaz sztuki Shimzu, jaki do tej pory widziałem.

- Co o tym sądzisz, Hideki? - zapytał Kamatori.

- Mistrzowski - odparł Suma, pod wyraźnym wrażeniem genialnego malowidła. - Zdumiewające, że artysta potrafił tak szczegółowo przedstawić widok wyspy z powietrza na początku siedemnastego wieku. Mam wrażenie, że malował ten pejzaż z balonu.

- Według legend posługiwał się latawcem - wyjaśniła Toshie.

- Jest bardziej prawdopodobne, że tylko szkicował z powietrza - poprawił ją Enshu - a potem kończył obraz na ziemi.

- To możliwe - rzekł Suma, który nie spuszczał oka z pejzażu. Nasi rodacy posługiwali się latawcami już ponad tysiąc lat temu. Wreszcie podniósł głowę i popatrzył na handlarza. - Świetnie się pan spisał, panie Enshu. Gdzie pan go znalazł?

- W mieszkaniu pewnego bankiera z Hongkongu, który rozpoczął już wyprzedaj swego majątku. Ma zamiar przenieść się do Malezji przed włączeniem miasta do Chin. Pertraktacje trwały niemal rok, w końcu jednak udało mi się namówić go telefonicznie do sprzedaży. Nie traciłem czasu i poleciałem do Hongkongu, dobiłem targu i wróciłem z obrazem. Przyjechałem do pana prosto z lotniska.

- Ile?

- Sto czterdzieści pięć milionów jenów.

Suma aż zatarł ręce z zadowolenia.

- To bardzo przystępna cena, może pan uważać obraz za sprzedany.

- Dziękuję, panie Suma, jest pan bardzo hojny. Będę nadal prowadził poszukiwania Ajimy.

Skłonili się sobie nawzajem i Toshie wyprowadziła Enshu z gabinetu.

Suma ponownie spojrzął na obraz. Brzeg morski na nim usiany był czarnymi skałami, a w dali przedstawiono niewielką wioskę rybacką i wyciągnięte na piach łódzie. Widok był tak doskonały, jakby się oglądało fotografię lotniczą.

- Jakie to dziwne - rzekł cicho - że nie mam w swojej kolekcji tylko tego obrazu, na którym mi najbardziej zależy.

- O ile on jeszcze istnieje, Enshu go znajdzie - zapewnił Kamatori. - Zrobił na mnie wrażenie człowieka wytrwałego.

- Gotów jestem zapłacić mu za Ajimę dziesięć razy tyle co za Kechi.

Kamatori usiadł na krześle i wyciągnął przed siebie nogi.

- Skąd Shimzu mógł wiedzieć, malując Ajimę, że ta wyspa nabierze tak szczególnego znaczenia?

Toshie wróciła do pokoju.

- Za dziesięć minut ma pan spotkanie z panem Yoshishu - przypomniała Sumie.

- Z tym starym złodziejem, przywódcą Żółtych Smoków. - Kamatori uśmiechnął się ironicznie. - Przyszedł, żeby dopytać się o stan swoich udziałów w twoim imperium finansowym.

Suma wskazał palcem wielkie okno o bogato rzeźbionej ramie, za którą widać było atrium.

- Nie mielibyśmy tego wszystkiego, gdyby nie powiązania mojego ojca z organizacją Kororiego Yoshishu, zacieśnione w czasie wojny.

- Dla Żółtych Smoków i innych tajnych organizacji nie ma miejsca w przyszłym Nipponie - stwierdził Kamatori, specjalnie posługując się tradycyjną nazwą Kraju Wschodzącego Słońca.

- Możliwe, że stanowią dziwny anachronizm w porównaniu z naszą współczesną techniką, ale zajmują ważne miejsce w naszej kulturze, a wieloletnie powiązania z nimi okazały się dla mnie bardzo owocne.

- Dysponujesz taką potęgą, że niepotrzebne ci ani fanatyczne frakcje, ani otoczeni kultem przywódcy podziemnych syndykatów - rzekł z naciskiem Kamatori. - Możesz sam jeden pociągnąć odpowiednie sznurki i zmienić cały rząd w marionetki, a ty wciąż czujesz się związany ze skorumpowanymi przywódcami takich organizacji. Gdyby kiedykolwiek się wydało, że jesteś drugim co do ważności Smokiem, mógłbyś słono za to zapłacić.

- Nie jestem z nikim związany - odparł Suma spokojnie. - To, co według prawa jest działalnością przestępczą, stanowi od dwóch wieków tradycję mojej rodziny. Uhonorowałem ten kodeks, poszedłem w ślady moich przodków i na bazie ich osiągnięć stworzyłem



organizację, która jest silniejsza od wielu krajów świata. Nie wstydę się przyjaciół z podziemia.

- Byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybyś otaczał czią cesarza i wyznawał stare zasady moralne.

- Przykro mi, Moro. Chodzę do świątyni Yasukuni i modłę się za duszę mego ojca, ale nie czuję potrzeby otaczania czią mitycznej boskości cesarza. Tak samo, jak nie kultywuję ceremonii picia herbaty, nie spotykam się z gejszami, nie uczęszczam na przedstawienia *kabuki* czy zawody *sumo*, nie wierzę także w dominację naszej kultury. Nie podpisuję się pod najnowszą teorią, że zwyczajami, inteligencją, etyką, językiem, a zwłaszcza pojemnością mózgów przewyższamy ludzi z Zachodu. Nie umiem nie doceniać moich rywali, nie jestem tak układny jak przeciętny Japończyk i nie uznaję pewnych schematów myślowych. Sam dla siebie jestem bogiem, a moją religią są pieniądze i siła ekonomiczna. Czy to cię tak złości?

Kamatori wbijał wzrok w swoje dłonie spoczywające na kolanach. Milczał przez jakiś czas, wreszcie uniósł jak gdyby zadumane oczy i powiedział:

- Nie, to mnie smuci. Chylę nisko czoło przed naszym cesarzem i tradycjami kulturowymi. Wierzę w boskość władcy i w to, że wyspy japońskie oraz ich mieszkańcy pochodzą od bogów. Wierzę w czystość rasy i duchową wspólnotę naszego narodu. Ale rozumiem cię, Hideki, ponieważ łączy nas głęboka przyjaźń. I zdaję sobie sprawę, że nawet jeśli wiele twoich działań jest niezwykle groźnych, to przyczyniają się one do tworzenia obrazu Nipponu jako najpotężniejszego kraju na ziemi.

- Bardzo sobie cenię twoją lojalność, Moro - rzekł poważnie Suma. - Ale chyba nie mógłbym mniej oczekiwać od kogoś, kto szczyli się swoim samurajskim pochodzeniem i umiejętnością władania katana.

- Katana to nie tylko miecz, ale przede wszystkim żywy duch samurajski - odparł uroczyście Kamatori. - Doświadczenie we władaniu nim to jak okrucieństwo boskości. Jeśli uniosę miecz w obronie cesarza, zyskam pewność, że moja dusza spocznie w Yasukuni.

- Unosiłeś go także w mojej obronie, kiedy cię o to poprosiłem.

Moro spojrział uważnie na Sumę.

- I nadal jestem gotów zabijać w twoim imieniu, aby złożyć hołd wszystkiemu, co dobrego robisz dla naszego narodu.

Suma popatrzył prosto w oczy przyjaciela, które zdawały się martwymi perełkami - niemal odbijały się w nich te czasy, kiedy samurajscy wojownicy byli gotowi mordować w imieniu każdego feudalnego pana, który zapewnił im ochronę i utrzymanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ta samurajska lojalność w każdej chwili może zostać skierowana w

inną stronę. Przemówił jednak spokojnym, pewnym głosem:

- Niektórzy wyruszają na łowy z łukiem i strzałami, inni wolą broń palną, ale ty jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, Moro, który do polowania na ludzi używa miecza.

- Świetnie wyglądasz, stary przyjacielu - rzekł Suma na powitanie, kiedy Toshie wprowadziła Kororiego Yoshishu do gabinetu. Gościowi towarzyszył Ichiro Tsuboi, który przyleciał ze Stanów Zjednoczonych zaraz po przesłuchaniu przed specjalną podkomisją Kongresu.

- Wcale nie tak świetnie, za to starzej - odparł z uśmiechem tamten, znany ze swego trzeźwego podejścia do życia. - Jeszcze kilka pełni księżyca i zasną na wieki u boku moich zacnych przodków.

- Zobacysz jeszcze sto pełni księżyca.

- Perspektywa uwolnienia się od tych wszystkich starczych bólów i dolegliwości powoduje, że wręcz z utęsknieniem oczekuję nadejścia tej godziny.

Toshie wyszła, zamykając za sobą drzwi, kiedy Suma składał ukłon Tsuboiemu.

- Cieszę się, że cię widzę, Ichiro. Witaj w ojczyźnie po powrocie z Waszyngtonu. Słyszałem, że sprawiłeś amerykańskiemu politykowi coś w rodzaju drugiego Pearl Harbour.

- Nic tak dramatycznego - odrzekł Tsuboi. - Jestem jednak przekonany, że spowodowałem przynajmniej kilka pęknięć w murze otaczającym Kapitel.

Zaledwie kilka osób wiedziało, że Tsuboi został członkiem Złotych Smoków już w wieku czternastu lat. Yoshishu zaopiekował się chłopcem, a widząc jego postępy w tajnym stowarzyszeniu, nauczył go sztuki obracania pieniędzmi na wielką skalę. Teraz, jako szef Kanoya Securities, Tsuboi osobiście strzegł imperiów ekonomicznych Yoshishu oraz Sumy i przeprowadzał w ich imieniu potajemne transakcje.

- Obaj znacie mego zaufanego przyjaciela i doradcę, Moro Kamatoriego.

- Wojownika niemal tak dobrego, jak ja za młodu - dodał Yoshishu.

Kamatori skłonił się nisko przed gośćmi.

- Sądzę, że twoja *katana* jest wciąż szybsza od mojej.

- Znałem twego ojca, który przygotowywał nas do pracy dyplomowej na uniwersytecie

- odrzekł Tsuboi. - Byłem jego najgorszym uczniem. Proponował zawsze, abym kupił sobie armatę i zajął się polowaniem na słonie.

Suma ujął Yoshishu pod rękę i poprowadził go w stronę krzesła. Człowiek, którego kiedyś lękała się cała Japonia, szedł powoli, na usztywnionych nogach, lecz z jego twarzy nie zniknął szeroki uśmiech, a żywe oczy zdawały się dostrzegać każdy szczegół.

Starzec usiadł, uniósł głowę i patrząc na Sumę zapytał wprost:

- Jak dalece zaawansowany jest projekt Kaiten?

- Na statkach znajduje się jeszcze osiemnaście bomb, ale to już ostatnie. Cztery płyną do Stanów Zjednoczonych, pięć do Rosji, pozostałe zostaną rozładowane w Europie i państwach nad Pacyfikiem.

- Kiedy wszystkie głowice znajdą się w punktach docelowych?

- Nie później niż za trzy tygodnie. Do tego czasu nasze centrum dowodzenia będzie już miało stałe połączenie z radiowymi systemami uzbrajania i detonacji.

Yoshishu zrobił zdziwioną minę.

- Ten przedwczesny wybuch na pokładzie "Niebiańskiej Gwiazdy" nie spowodował opóźnienia w realizacji projektu?

- Na szczęście liczyłem się z możliwością utraty któregoś statku podczas sztormu, wskutek zderzenia czy innych nieprzewidzianych okoliczności, dlatego trzymałem sześć głowic w rezerwie. Te trzy, które eksplodowały, zostały już zastąpione innymi i po instalacji w samochodach popłynęły do Veracruz w Meksyku, skąd przez granicę z Teksasem będą dostarczone na miejsce przeznaczenia.

- Mam nadzieję, że ostatnie trzy są dobrze zabezpieczone?

- Znajdują się na pokładzie starego tankowca zakotwiczonego na wysokości nie zamieszkanym terenów, osiemdziesiąt kilometrów od Hokkaido.

- Czy wiadomo już, co spowodowało eksplozję na pokładzie "Niebiańskiej Gwiazdy"?

- Nie mamy żadnych danych, by wyjaśnić jej przyczyny - odparł Suma. - Zastosowano wszelkie możliwe zabezpieczenia. Widocznie jedno z aut musiało się wyrwać z uchwytów podczas wysokiej fali. Uszkodzenie głowicy sprawiło, że promieniowanie przeniknęło wszystkie pokłady. Załoga w panice opuściła statek, na który następnie natknął się norweski liniowiec i wysłał na pokład grupę rozpoznawczą. Wkrótce "Niebiańska Gwiazda" w tajemniczych okolicznościach wyleciała w powietrze.

- A co z załogą?

- Zniknęła bez śladu podczas sztormu.

- Jaka jest całkowita liczba samochodów tworzących system?

Suma podszedł do biurka i wcisnął klawisz na podręcznej konsoli. Wielki fragment ściany uniósł się w górę, odsłaniając przezroczysty ekran. Hideki wystukał na konsoli polecenie i wewnątrz ekranu rozświetlił się pulsujący żywymi kolorami holograficzny obraz globu ziemskiego. Kolejny rozkaz spowodował, że komputer zaznaczył miejsca planowanych eksplozji złotymi iskierkami światła - wybuchy w strategicznych punktach miały objąć swym zasięgiem prawie dwadzieścia państw.

- Sto trzydzieści aut w piętnastu krajach - odpowiedział Suma na pytanie Yoshishu.

Starzec siedział w milczeniu, ze wzrokiem utkwionym w ekran. Złote iskry, które pojawiały się na obrazie wirującej z wolna planety, rzucały jaskrawe odbłaski w głąb pokoju, niczym lustrzana kula wisząca nad parkietem dyskoteki.

Największe skupisko ogników zapalało się na terenie Rosji, która o wiele bardziej zagrażała Japonii niż handlowi konkurenci z Europy i Ameryki. Co dziwne, za cel ataku nie wybrano żadnych instalacji wojskowych ani dużych miast. Większość światełek błyskała na terenach nie zamieszkałych i rzadko zaludnionych, co miało nadać projektowi Kaiten, będącemu narzędziem szantażu ekonomicznego, znamiona tajemniczości.

- Duch twego ojca musi być z ciebie dumny - rzekł cicho Yoshishu głosem pełnym podziwu. - Dzięki twojemu geniuszowi będziemy mogli zająć należne nam miejsce wśród największych potęg światowych. Dwudziesty pierwszy wiek należy do Nipponu. Ameryka i Rosja są skończone.

Suma uśmiechnął się z satysfakcją.

- Projekt Kaiten nigdy by nie powstał i nie został wcielony w życie bez twego poparcia, mój drogi przyjacielu, a także bez pomocy finansowego geniuszu Ichiro Tsuboiego.

- Jesteś bardzo uprzejmy - odparł Tsuboi, kłaniając się nisko. - Owa makiaweliczna intryga, dzięki której miała powstać tajna fabryka broni atomowej, stanowiła dla mnie nie lada wyzwanie.

- Wywiady państw zachodnich i Rosji na pewno wiedzą, że dysponujemy odpowiednimi technologiami - wtrącił Kamatori, sprowadzając rozmowę na nieco twardszy grunt.

- Jeśli nie wiedzieli tego przed eksplozją, to teraz już wiedzą na pewno - odrzekł Suma. - Amerykanie podejrzewali nas już od dawna, nie potrafili jednak pokonać naszych systemów zabezpieczeń i ustalić lokalizacji fabryki.

- Na szczęście dla nas ci głupcy prowadzili pomiary tylko na powierzchni, nie szukając instalacji podziemnych - powiedział z ironią Yoshishu. - Musimy się jednak liczyć z tym, że wcześniej czy później CIA lub wywiad rosyjski zlokalizuje fabrykę.

- Raczej wcześniej - odparł Kamatori. - Jeden z naszych tajnych agentów poinformował, że kilka dni po wybuchu "Niebiańskiej Gwiazdy" Amerykanie podjęli na szeroką skalę akcję zmierzającą do rozszyfrowania naszych planów. Już weszli w jednym z przedsiębiorstw dystrybucji samochodów murmoto.

Na twarzy Yoshishu pojawił się wyraz z troskaniem.

- Amerykanie mają w wywiadzie dobrych specjalistów. Obawiam się, że projekt Kaiten

jest w niebezpieczeństwie.

- Jeszcze dziś dowiemy się, co zdołali ustalić - odrzekł Kamatori. - Mam spotkanie z naszym agentem, który właśnie wrócił z Waszyngtonu. Przekazał, że ma najświeższe wiadomości.

Yoshishu jeszcze silniej zmarszczył brwi.

- Nie możemy dopuścić do tego, aby poznali nasz sekret, zanim centrum dowodzenia będzie gotowe do działania. Konsekwencją takiego obrotu rzeczy byłby koniec naszego nowego imperium.

- Zgadzam się - przytaknął posepnie Tsuboi. - Przez najbliższe trzy tygodnie, dopóki głowice nie zostaną podłączone do systemu, będziemy całkiem bezbronni. Wystarczy jeden przeciek, a państwa zachodnie sprzymierzą się przeciw nam i uderzą ze wszystkich stron równocześnie, zarówno na froncie ekonomicznym, jak i militarnym.

- Nie ma się czym martwić - zapewnił Suma. - Ich agenci mogą nawet zlokalizować fabrykę głowic jądrowych, ale nigdy nie zdołają odkryć centrum dowodzenia projektu Kaiten, choćby i za sto lat, a co tu mówić o trzech tygodniach.

- A jeśli nawet los się do nich uśmiechnie - dodał Kamatori - nie zdążą w porę rozbroić bomb. Centrum ma tylko jedno wejście, a i tam musieliby pokonać masywne stalowe bariery i silnie uzbrojone oddziały ochrony. Cała instalacja może funkcjonować nawet po bezpośrednim trafieniu bombą atomową.

Na wargach Sumy pojawił się lekki uśmiech.

- To wszystko daje nam znaczną przewagę. Wystarczy pierwsze ostrzeżenie, że ich agent przeniknął do centrali albo że wrogie oddziały specjalne szykują się do szturm, a posłużymy się groźbą zdetonowania jednej lub kilku głowic rozmieszczonych na terenie ich kraju.

- I cóż nam przyjdzie z takiej czezej groźby? - zapytał nie przekonany Tsuboi.

- Hideki ma rację - odparł Kamatori. - Nikt poza nami i grupą inżynierów z centrum dowodzenia nie będzie wiedział, że system zostanie połączony w całość dopiero za trzy tygodnie. Zachodni przywódcy dadzą się łatwo oszukać, jeśli będą sądzili, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Yoshishu z satysfakcją pokiwał głową.

- Zatem nie mamy się czego bać.

- To chyba całkiem zrozumiałe - wtrącił pospiesznie Suma. - Za bardzo przejmujemy się koszmarem, który nie może się wydarzyć.

W urządzonym z przepychem gabinecie zapadła cisza, a każdy z czterech mężczyzn

zagłębił się we własnych myślach. Po minucie na biurku Sumy zadzwonił telefon. Ten sięgnął po słuchawkę, wysłuchał jakiejś informacji, po czym bez słowa odłożył ją z powrotem.

- Sekretarka przekazała, że kucharz przygotował obiad i zaprasza nas do jadalni. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby zacni goście zechcieli zjeść razem ze mną.

Yoshishu powoli wstał z krzesła.

- Przyjmuję to zaproszenie z wdzięcznością, znając mistrzowskie umiejętności twego kucharza. Miałem zresztą nadzieję, że przyjmiesz nas obiadem.

- Zanim wyjdziemy - rzekł Tsuboi - chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę.

Suma skinął głową.

- Słuchamy, Ichiro.

- Trudno zakładać, że za każdym razem, gdy jakiś nieprzyjazny rząd zacznie nam grozić restrykcjami handlowymi czy podniesieniem opłat celnych, będziemy detonowali tu czy tam bombę atomową. Musimy opracować jakiś alternatywny, mniej katastroficzny plan.

Suma wymienił szybkie spojrzenie z Kamatorim.

- Wiele zastanawialiśmy się nad tym problemem - odrzekł i doszliśmy do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie uprowadzanie naszych wrogów.

- Terroryzm jest czymś zupełnie obcym naszej kulturze - sprzeciwił się Tsuboi.

- A jak oceniasz Bractwo Krwawego Słońca, mój synu? - zapytał cicho Yoshishu.

- To banda szalonych, fanatycznych rzezimieszków. Mordują niewinne kobiety i dzieci w imię jakichś wyższych ideałów rewolucyjnych, które dla nikogo nie są jasne.

- To prawda, ale oni też są Japończykami.

- Nieliczni, większość to Niemcy ze wschodu, przeszkoleni przez KGB.

- Możemy to wykorzystać - odparł Suma.

- Nie radziłbym nawiązywać z nimi kontaktu pod żadnym pozorem - rzekł nie przekonany Tsuboi. - Jeśli ktoś nabierze podejrzeń, że mamy z nimi cokolwiek wspólnego, natychmiast zostaną podjęte przeciw nam takie działania, że aż boję się o tym myśleć.

- Hideki wcale nie chce posuwać się do zabójstw - wtrącił Kamatori. - Miał na myśli jedynie to, by odpowiedzialnością za porwanie zakładników obciążać Bractwo Krwawego Słońca.

- To mi się o wiele bardziej podoba - rzekł Yoshishu z uśmiechem. - Rozumiem, że planowaliście stosować jedwabne więzienie.

- Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym - odparł Tsuboi kręcąc głową.

- W dawnych czasach - wyjaśnił Yoshishu - kiedy shogun nie chciał uśmiercić któregoś ze swych wrogów, nakazywał go uprowadzić i na znak respektu przenieść do ukrytego

luksusowego więzienia. Później obwiniał za to porwanie największego rywala swojego więźnia.

- Właśnie tak - przyznał Suma. - Przygotowałem już odpowiednie pomieszczenia w niewielkim, ale ekskluzywnym budynku.

- Czy to nie za bardzo ryzykowne? - zapytał Tsuboi.

- Nie podważa się rzeczy oczywistych.

Kamatori spojrzał na finansistę.

- Jeśli masz już kandydatów do porwania, podaj mi tylko ich nazwiska.

Tsuboi spuścił wzrok, lecz zaraz uniósł głowę.

- Są dwie osoby w Stanach Zjednoczonych, które sprawiają nam wiele kłopotów. Trzeba jednak zachować największą ostrożność, bo to członkowie Kongresu i ich uprowadzenie z pewnością wywoła burzę.

- Porwanie ich przez Bractwo Krwawego Słońca i zażądanie okupu to całkiem zrozumiała przyczyna ich nagłego zniknięcia - rzekł Suma takim tonem, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Kogo masz na myśli? - zapytał Kamatori.

- Senatora Michaela Diaza i deputowaną do Kongresu Loren Smith.

Yoshishu skinął głową.

- Ach, tak. To ta para, która proponuje wprowadzenie ograniczeń w handlu z Japonią.

- Mimo naszych wysiłków udało im się zdobyć wystarczająco silne poparcie, by przegłosować ów projekt w obu izbach. Jeśli ich wyeliminujemy, ten zamysł umrze śmiercią naturalną.

- Politycy z ich rządu będą wściekli - wtrącił Suma. - Może się to na nas zemścić.

- Inwestorzy japońscy mają dość wpływowych sprzymierzeńców w Kongresie i dzięki nim skierujemy niezadowolone przeciwko terrorystom - rzekł Tsuboi, w którym odżyła wściekłość na wspomnienie przesłuchania przed komisją. - Działania polityków amerykańskich już wystarczająco osłabiły naszą pozycję. Dajmy im odczuć, że ta ich potężna machina wcale nie chroni przed odwetem.

Yoshishu skierował niewidzące spojrzenie w stronę okna i wolno pokręcił głową.

- To wielka strata.

Suma popatrzył na niego.

- Cóż jest tą wielką stratą, stary przyjacielu?

- Stany Zjednoczone Ameryki - odparł cicho Yoshishu. - Są jak piękna kobieta umierająca na raka.

Marvin Showalter siedział w czyściutkim i przytulnym wagoniku tokijskiego metra. Nie starał się nawet udawać, że czyta gazetę lub książkę. Gapił się wprost na towarzyszy swej podróży, dwóch agentów japońskich służb bezpieczeństwa, którzy obserwowali go zza szyby sąsiedniego wagoniku - czarował ich wzrokiem, jak mawiali koledzy z branży.

Showalter wyszedł z ambasady zaraz po zakończeniu nudnego spotkania z pewnym kongresmanem, nie mogącym się pogodzić z decyzją Japończyków, którzy nie wyrazili zgody na użycie amerykańskiego sprzętu przy wznoszeniu budynku, gdzie miało się mieścić przedstawicielstwo spółki naftowej ze Stanów. Mieli więc do czynienia z jeszcze jedną barierą protekcyjną Japończyków, którzy bez przeszkód budowali w Ameryce, przywożąc swoich architektów i murarzy, swoje materiały i sprzęt.

Po prostu w stosunkach z Japonią nie działały reguły *fair play*.

Marvin wracał do swego niewielkiego mieszkania służbowego, które na okres pobytu w Japonii zajmował z żoną i dwójką dzieci. Mieściło się ono w budynku należącym do rządu amerykańskiego, zasiedlonym głównie przez pracowników ambasady i ich rodziny. Budowa tego dziesięciopiętrowego gmachu kosztowała jedną trzecią ceny gruntu, na którym go wzniesiono.

Jego dwa cienie wpadły już w rutynę, gdyż zawsze wracał o tej samej porze, tylko wyjątkowo zostawał dłużej w pracy. Uśmiechnął się w duchu, kiedy pociąg wjechał na stację i obaj agenci wstali z miejsc. Podszedł do drzwi razem z innymi pasażerami, musiał zaczekać, aż się otworzą i tłum zacznie wychodzić na peron. Chciał wykorzystać stary i dobrze znany trik, pokazany chociażby na filmie *Francuski łącznik*.

Kiedy drzwi się rozsunęły, Showalter wyszedł na peron i zaczął odliczać. Przystanął, jakby się zawahał, i zerknął na dwóch śledzących go agentów, którzy wysiedli środkowymi drzwiami następnego wagoniku i powoli szli w jego kierunku pośród innych pasażerów.

Kiedy doliczył do dwudziestu pięciu, odwrócił się szybko i wskoczył z powrotem do wagonu. W dwie sekundy później drzwi się zamknęły i pociąg ruszył.

Funkcjonariusze japońskich służb bezpieczeństwa za późno zrozumieli, że ich wykiwał. Próbowali jeszcze rozsunąć drzwi i wskoczyć do środka, ale nic z tego nie wyszło. Stanęli bezradnie na peronie, spoglądając za znikającym w tunelu pociągiem metra.

Showalter nie był specjalnie dumny z tego, że udało mu się zwieść obstawę, wiedział bowiem, że następnym razem agenci zachowają ostrożność, a jemu trudniej będzie ich zgubić. Na następnej stacji przesiadł się do pociągu jadącego do Asakusa - dużego parku w północno-wschodniej części Tokio, w dzielnicy Shitamachi, pełnej zabytków części starego



miasta.

Usiadł i zaczął przyglądać się pasażerom, jak robił to przy każdej podróży. Część tubylców odwzajemniała mu się tym samym. Wszystkich, którzy nie mieli tak jak oni czarnych, gęstych i prostych włosów, ciemnych oczu i właściwego odcienia skóry, nazywano tu *gaijin*, co w wolnym tłumaczeniu znaczyło: człowiek z zewnątrz. Marvin na własny użytek ukuł teorię, że właśnie podobieństwo fizyczne Japończyków legło u podstaw silnego poczucia jedności narodowej i wyjątkowej jednomyślności, a także strzeżonego izolacjonizmu wyspiarzy.

Ich społeczeństwo opierało się na rodzinie, do której zaliczano wszystkich pracujących we wspólnym gospodarstwie. Życie stanowiło dla nich skomplikowaną mozaikę obowiązków i przyjemności, powinności służbowych i dokonań. Traktowali iście wojskowy rygor tak, jakby każdy inny styl życia nie był wart ich uwagi.

Niespójne, przypominające wrzący kocioł Stany Zjednoczone były dla nich czymś niepojętym, a zachodniego stylu życia nikt nawet nie tolerował w Japonii - kraju o najbardziej restrykcyjnych prawach emigracyjnych na całym świecie.

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji Tawaramachi, Showalter wysiadł i w tłumie pasażerów wyszedł na ruchliwą ulicę Kappabashi. Dalej pojechał taksówką wzdłuż wielkiego ciągu sklepów dostarczających gotowe półprodukty dla restauracji, gdzie w witrynach piętrzyły się plastikowe modele oferowanych towarów, aż dotarł do kwartału wypełnionego starymi domami, zabytkowymi świątyniami i warsztatami rzemieślniczymi.

Wysiadł w małej uliczce, zapłacił kierowcy i poszedł wąską, wysadzaną kwiatami alejką, która prowadziła do klasycznego japońskiego motelu zwanego *ryokan*.

W zaniedbanym i brudnym budynku kryło się schludne, atrakcyjne wnętrze *ryokanu*. Stojący przy wejściu portier skłonił się nisko przed nim i rzekł:

- Witamy u "Ritza".

- A ja myślałem, że to "Asakusa Dude Ranch" - odparł Showalter.

Potęźnie zbudowany portier, którego ręce i nogi miały grubość podkładów kolejowych, bez słowa wskazał mu dalszą drogę ścieżką z polnych kamieni. Weszli do środka, do holu recepcyjnego z podłogą z lakierowanych desek dębowych, gdzie Marvina uprzejmie poproszono o zdjęcie butów i włożenie plastikowych kłapek.

W przeciwieństwie do innego podobnego obuwia, za małego na anglosaskie stopy, te kłapki pasowały na niego, jak ulał - bo faktycznie przygotowano je na miarę, gdyż *ryokan* był bazą operacyjną amerykańskich służb wywiadowczych, specjalizujących się w tajnych akcjach i dyskretnych poszukiwaniach.

W pokoju Showaltera znajdowały się odsuwane papierowe drzwi typu *shoji*, które prowadziły na niewielką werandę wychodzącą na ogród kwiatowy, gdzie po głazach spływały strumyki wody doprowadzanej bambusowymi rurami. Podłoga zasłana była tradycyjną matą z włókien tatami, musiał więc zdjąć klapki i stąpać po kruchym podłożu w samych skarpetkach.

Brak jakichkolwiek mebli, nawet krzeseł, rekompensowały rozrzucone na podłodze jaśki. Także "łóżko" składało się ze stosu poduch i Jaśków, zwanych przez Japończyków *futon*. Na środku pokoju gościnnego stał kociołek napełniony żarzącymi się węglami.

Showalter rozebrał się i narzucił lekką, bawełnianą *yukatę* - krótki szlafrok - a następnie służący w kimonie zaprowadził go do motelowej łaźni. Marvin zostawił *yukatę* oraz zegarek w wiklinowym koszyku i osłonięty jedynie ręcznikiem kąpielowym wszedł do łaźni, gdzie było gęsto od pary. Okrążył niziutkie ławki, na których stały drewniane cebrzyki, i stanął pod prysznicem. Namydlił całe ciało, po czym się opłukał. Wreszcie był gotów zanurzyć się w napełnionej gorącą wodą drewnianej balii wielkości małego basenu.

Siedział tu już jeden mężczyzna, zanurzony po pierś w wodzie. Showalter przywitał się z nim.

- Domyślam się, że pan to zespół Honda.

- Tylko jego połowa - odparł Ray Orita. - Jim Hanamura powinien się zjawić lada chwila. Lubi pan sake?

- Co prawda kazano nam nie pić w czasie prowadzenia akcji - rzekł Showalter, zanurzając się powoli w parującej wodzie - lecz niech mnie cholera, jeśli nie jestem spokojny jak przed burzą. Poproszę podwójną porcję.

Orita sięgnął po butelkę stojącą obok basenu i napełnił trunkiem małą porcelanową czarę.

- Co sływać w ambasadzie?

- Zwykły rozgardiasz, jak wszędzie, gdzie zawiaduje Departament Stanu. - Marvin nabrał w usta sake i połykał ją drobnymi łyżkami. - Jak się posuwa śledztwo? Macie jakieś wiadomości o tych produktach, na które naprowadził nas zespół Lincoln?

- Sprawdziłem dokumenty fabryki murmoto i nie znalazłem żadnych nici, które mogłyby łączyć ludzi z zarządu firmy z produkcją głowic jądrowych. Według mnie oni są czyści i nie mają najmniejszego pojęcia, co się wyprawia tuż pod ich nosami.

- Ktoś musi znać prawdę.

Orita uśmiechnął się.

- W spisku może uczestniczyć tylko dwóch pracowników z linii montażu.

- Czemu tylko dwóch?

- Bo tylu wystarczy: monter, który zajmuje się instalacją klimatyzatorów w samochodach i który mógłby dokonywać wyboru odpowiednich aut, oraz kontroler sprawdzający działanie sprężarek przed zakwalifikowaniem wozów do sprzedaży. Jego współpraca byłaby niezbędna, ponieważ każdy fałszywy klimatyzator musi mieć atest.

- Powinien być jeszcze ktoś trzeci - dodał Showalter - wtyczka w skomputeryzowanym dziale dystrybucji aut. Ten człowiek wymazuje wszelkie dane o samochodach z bombami, z wyjątkiem wpisu na listę przewozową, bo ten dokument trafia do rak celników w kraju przeznaczenia.

- A ty znalazłeś jakieś powiązania między wytwórnią sprężarek, dystrybutorem klimatyzatorów i fabryką głowic jądrowych?

- Odnalazłem dostawcę, lecz dalej ślad się urywa. Mam nadzieję, że w ciągu kilku dni odkryję właściwy trop, który doprowadzi mnie do źródła.

Orita nie odpowiedział, gdyż w wejściu pojawił się jakiś mężczyzna, który bez pośpiechu podszedł do basenu z podgrzewaną wodą. Był niski, z siwymi włosami i grubymi węsami. Podbrzusze zasłaniał małym ręcznikiem.

- Kim pan jest, do cholery? - zapytał Showalter, zaniepokojony faktem, że ochrona wpuściła do strzeżonego *ryokanu* kogoś obcego.

- Nazywam się Ashikaga Enshu.

- Jak?

Tamten jednak nie odpowiedział, przez kilka sekund stał bez ruchu. Marvin zaczął się rozglądać nerwowo, mając nadzieję, że dostrzeże któregoś z ochroniarzy. Nagle Orita wybuchnął śmiechem.

- Wspaniałe przebranie, Jim. Oszukałeś nas obu.

James Hanamura zdjął siwą perukę, odkleił sztuczne brwi i wąsy.

- Pewnie że wspaniałe. Udało mi się także oszukać Hidekiego Sumę i jego sekretarkę.

Showalter odetchnął głęboko i usiadł po pierś w wodzie.

- Jezus, ale mnie przestraszyłeś. Byłem przekonany, że zdołałeś jakimś cudem przedrzeć się przez obstawę i za chwilę wykończysz Oritę i mnie.

- Ta sake pachnie bardzo przyjemnie. Zostało jeszcze trochę?

Orita napełnił czarzkę dla niego.

- W kuchni jest tego pełna szafka. - Nagle na jego twarzy odmalowało się zdumienie. - Coś ty powiedział?

- Słucham?

- O Hidekim Sumie.

- Wykonywałem swoje zadanie. Próbowałem odnaleźć właścicieli korporacji samochodowej i lotniczej Murmoto oraz spółki przewozowej Sushimo i ślady od tych fasadowych przedsiębiorstw doprowadziły mnie do Hidekiego Sumy, żyjącego jak pustelnik rekina finansowego. Murmoto i Sushimo to zaledwie dwa małe kwiatki na jego grzędce, należy do niego tyle firm, że mógłby wykupić całą Kalifornię, z Newadą i Arizoną na dokładkę.

- Czy ten statek, który wyleciał w powietrze, "Niebiańska Gwiazda", nie był własnością spółki Sushimo? - zapytał Showalter.

- Owszem. Fragmenty układanki zaczynają tworzyć całość, prawda? Wygląda na to, że Hideki Suma siedzi w tym wszystkim po same uszy.

- Suma to bardzo wpływowy człowiek - rzekł Marvin. - Stosuje dziwne i wyrefinowane metody. Słyszałem nawet zdanie, że gdyby rozkazał premierowi Junshiro i wszystkim ministrom zamachać rękoma i polecieć, to tamci by się bili o to, który ma pierwszy skakać z okna.

- I tak po prostu złożyłeś mu wizytę? - zapytał zdumiony Orita.

- Nic podobnego. Najpierw musiałem przekonać jego obstawę i osobistą sekretarkę, a wszyscy byli bardzo podejrzliwi.

- A skąd przebranie?

- To pomysł zespołu Lincolna. Suma zbiera obrazy szesnastowiecznego japońskiego artysty o nazwisku Masaki Shimzu. Jordan wynajął eksperta, który namalował kopię obrazu uznanego przez znawców za zaginiony. Wiadomo było, że Suma nie ma go w swojej kolekcji. Ucharakteryzowałem się więc na poważnego tropiciela zaginionych dzieł sztuki, Ashikagę Enshu, i sprzedałem ten obraz Sumie.

Showalter pokiwał głową.

- Bardzo sprytnie. Musi pan się znać na sztuce japońskiej.

- Przeszedłem krótki kurs - odparł z uśmiechem Hanamura. - Suma nie mógł się nadziwić, że Shimzu tak wspaniale malował wyspy z lotu ptaka. Zapewne by kazał obdrzeć mnie ze skóry i poćwiartować, gdyby dowiedział się, że wybulił sto czterdzieści pięć milionów jenów za kopię namalowaną na podstawie zdjęcia satelitarnego.

- Po co ta maskarada? - zapytał Orita, na którego twarzy widniał wymuszony uśmiech.

- To chyba jasne. Po to, żeby rozmieścić pluskwy w gabinecie Sumy.

- Jak to się stało, że o niczym nie wiedziałem?

- Sądziłem, że lepiej dla was obu, jeśli żaden nie będzie wiedział, co robi drugi -

odpowiedział Showalter na pytanie Ority. - W ten sposób, gdyby doszło do wpadki, niektóre ważne odkrycia pozostałyby naszą tajemnicą.

- Gdzie umieściłeś pluskwy? - Orita zwrócił się do Hanamury.

- Dwie w ramie obrazu, jedną w sztalugach stojących pod oknem i jeszcze jedną w uchwycie linki do otwierania żaluzji. Te dwie ostatnie znajdują się w polu widzenia przekaźnika, który umieściłem na drzewie stojącym przed kopułą osłaniającą atrium.

- A jeśli Suma dysponuje jakimś ukrytym urządzeniem zagłuszającym?

- Pożyczyłem sobie schemat instalacji elektrycznej piętra, które on zajmuje w budowlu. Zgadza się, ma sprzęt wykrywający pierwszej klasy, ale nie namierzy naszych pluskiew, bo te można dosłownie uważać za pluskwy.

Orita zrobił zdziwioną minę.

- Nie rozumiem.

- Miniaturowe nadajniki w niczym nie przypominają urządzeń elektronicznych. Wyglądają jak mrówki. Jeśli ktoś je zauważy, to albo zignoruje, albo rozgniecie bez żadnych podejrzeń.

Showalter przytaknął ruchem głowy.

- To piękne maleństwa.

- Nawet nasi rodacy przyjęliby z podziwem te wytwory naszej domorosłej techniki podsłuchowej. - Hanamura uśmiechnął się szeroko. - Przekaznik, który ma wielkość piłeczki golfowej, będzie przenosił wszystkie wyłapane przez mikrofony rozmowy, włączając w to rozmowy telefoniczne i wezwania przez interkom, a te zostaną przesłane drogą satelitarną Melowi Pennerowi, czyli zespołowi Chryslera, urzędującemu na Palau.

Orita wbił wzrok w powierzchnię wody.

- Masz pewność, że zarejestrujecie wszystkie rozmowy Sumy?

- Ten system został dokładnie sprawdzony - zapewnił go Showalter. - Przed naszym spotkaniem kontaktowałem się z Pennerem, który odbiera czysty i wyraźny sygnał. My też go odbieramy, jeden z członków mego zespołu siedzi w ambasadzie przy odbiorniku dostrojonym do sieci podsłuchowej Jima.

- Mam nadzieję, że przekażecie nam każdą cenną informację, która mogłaby pomóc w poszukiwaniach.

- Oczywiście. - Showalter nalał sobie drugą porcję sake. - Jeśli o to chodzi, kiedy wychodziłem z ambasady, nagrywała się na magnetofon bardzo ciekawa rozmowa Sumy z Kororim Yoshishu. Żałuję, że słyszałem zaledwie kilka pierwszych minut.

- Yoshishu? - mruknął Hanamura. - Dobry Boże, ten stary jastrząb jeszcze żyje?

- Ma dziewięćdziesiąt jeden lat i trzyma się całkiem nieźle - odparł Marvin.

Hanamura pokręcił głową.

- To absolutny rekordzista wśród przestępców tego wieku, ma na koncie ponad milion istnień ludzkich. Jeśli Yoshishu razem z Sumą stoją za organizacją rozmieszczającą głowice nuklearne na całym świecie, to jesteśmy w wielkim, bardzo wielkim kłopotcie.

Na godzinę przed świtem limuzyna marki Murmoto zatrzymała się przy krawężniku. Z cienia wyskoczył jakiś człowiek i zanurkował do wnętrza auta, które ruszyło wolno boczną, wąską uliczką dzielnicy Asakusa.

- W gabinecie pana Sumy został założony podsłuch - oznajmił Orita. - Jeden z naszych agentów przebrany za handlarza dzieł sztuki rozmieścił wymyślne nadajniki w ramie obrazu, sztalugach i w uchwycie linki od żaluzji.

- Jesteś pewien? - zapytał oszołomiony Kamatori. - Ten handlarz dostarczył oryginalny pejzaż Shimzu.

- To kopia namalowana na podstawie zdjęcia satelitarne.

Kamatori zaklął pod nosem.

- Powinieneś ostrzec mnie wcześniej.

- Dowiedziałem się o tym zaledwie kilka godzin temu.

Kamatori nie odpowiedział. Wbił spojrzenie w ledwie widoczną w półmroku twarz Ority, jak gdyby oceniał jego prawdomówność.

Podobnie jak George Furukawa, Roy Orita był wywiadowcą "podkładką" - urodził się już w Stanach Zjednoczonych i został przygotowany do pracy w CIA.

- Dziś po południu powiedziano wystarczająco wiele, żeby całkowicie pogrzyźć pana Sumę - odezwał się w końcu Kamatori. Jesteś pewien, że nie zaszła tu żadna pomyłka?

- Czy ten handlarz nazywa się Ashikaga Enshu?

Kamatori doznał wstrząsu, a zarazem było mu wstyd. Miał za zadanie czuwać nad tym, aby do organizacji Sumy nie przeniknął żaden obcy agent. Nie wywiązał się z obowiązków, co więcej: stracił twarz.

- Tak, Enshu.

- Jego prawdziwe nazwisko brzmi James Hanamura. Został zaangażowany do tego samego zespołu co ja i zajmuje się poszukiwaniem fabryki głowic nuklearnych instalowanych w samochodach.

- Kto się domyślił, że głowice są ukryte w autach?

- Amator o nazwisku Dirk Pitt, ściągnięty z Krajowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych.

- Czy on jest dla nas niebezpieczny?

- Trudno powiedzieć, ale może sprawić kłopoty. Do tej pory nie brał udziału w operacjach wywiadowczych, lecz cieszy się znakomitą opinią i ma podobno szczególny dar wychodzenia obronną ręką z bardzo trudnych sytuacji.

Kamatori opadł na oparcie i przez chwilę spoglądał za okno, na tonące w ciemnościach budowle. W końcu znowu obrócił się w stronę Ority.

- Czy możesz mi przygotować listę agentów, z którymi współpracujesz i podać w miarę aktualne miejsca ich pobytu?

Orita skinął głową.

- Mogę zrobić listę, ale nie wiem, gdzie teraz przebywa każdy z nich. Działamy niezależnie od siebie, zgodnie ze starym powiedzeniem: nie wie lewica, co robi prawica.

- Postaraj się dostarczyć mi jak najwięcej informacji.

- Jakie ma pan plany w stosunku do Pitta?

Kamatori posłał Oricie jadowite spojrzenie.

- Zabić go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Kierowany z jednej strony przez Loren Smith, z drugiej zaś przez Ala Giordina, Pitt sprowadził stutza z przyczepy po pochylni i zaparkował między czerwonym hispano-suizą z 1926 roku, wielkim francuskim kabrioletem, a przepięknym miejskim marmonem V-16 z 1931 roku. Przez chwilę siedział za kierownicą, przysłuchując się pracy silnika przy coraz większych obrotach. Wreszcie, zadowolony, że nie słyszy żadnych nieprawidłowości, wyłączył zapłon.

Był typowy dzień ciepłego babiego lata, na bezchmurnym niebie świeciło słońce. Pitt miał na sobie sztruksy i szwedzką wiatrówkę, a Loren wyglądała wspaniale w ciemnoróżowym, jednoczęściowym kombinezonie.

Giordino odprowadził furgonetkę z przyczepą na parking, Loren zaś wspięła się na błotnik stutza i ogarnęła spojrzeniem ponad setkę aut zgromadzonych na polu startowym historycznego toru wyścigowego w Wirginii. Zawody składały się z dwóch części: konkursu elegancji, w którym oceniano wygląd samochodów, oraz wyścigu na dystansie jednego okrążenia toru, do którego dopuszczano jedynie standardowe pojazdy z klasy podróży i turystycznych.

- Imponujący widok - powiedziała Loren. - Nigdy nie widziałam tylu egzotycznych samochodów naraz.

- Silna konkurencja - odparł Pitt, który uniósł maskę i wycierał silnik do połysku. - Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się zająć trzecie miejsce w swojej kategorii.

- Kiedy będzie chodziła komisja?

- Już za chwilę.

- A wyścig?

- Zaraz po konkursie, jak tylko zostaną ogłoszone wyniki i rozdane nagrody.

- Z którym wozem będziesz się ścigał?

- Zgodnie z programem, z tym czerwonym hispano stojącym obok nas.

Loren spojrzała badawczo na zbudowany w Paryżu atrakcyjny kabriolet z opuszczanym dachem.

- Sądzisz, że dasz mu radę?

- Nie wiem. Stutz jest o sześć lat młodszy, ale tamten ma mocniejszy silnik i jest lżejszy.

Giordino podszedł do nich i oznajmił z daleka:

- Jestem głodny. Kiedy dostaniemy coś do zjedzenia?

Loren zaśmiała się, cmoknęła go w policzek i zdjęła z tylnego siedzenia auta koszyk z



prowiantem. Rozłożyli się na trawie, dzieląc razowiec, ser brie, mortadelę i ciasto z bakaliami, które popijali czerwonym wytrawnym winem o uroczej nazwie "Księżycowa Dolina".

Wkrótce nadeszła komisja sędziowska i zaczęła dokładnie badać samochód Pitta. Zaliczono go do kategorii D, obejmującej amerykańskie auta o zamkniętym nadwoziu, pochodzące z lat 1930-1941. Po piętnastu minutach szczegółowych oględzin pożegnali Dirka, ściskając mu dłonie, i poszli do następnego wozu w tej kategorii, którym był lincoln V-12 Berline z roku 1933.

Zanim Pitt zdążył z przyjaciółmi opróżnić butelkę wina, przez megafony ogłoszono wyniki konkursu elegancji. Stutz zajął trzecie miejsce, za sportowym coupe packarda z roku 1938 i limuzyną lincolna z 1934 roku.

Dirk stracił półtora punktu ze stu możliwych, gdyż w stutzu nie działała zapalniczka, a dorabiana rura wydechowa miała nieco inny kształt niż oryginalna.

- I tak lepiej, niż się spodziewałem - rzekł z dumą Pitt. - Nie wierzyłem, że zmieszczę się na podium.

- Moje gratulacje - powiedział Frank Mancuso.

Dirk popatrzył zdumiony na inżyniera górnictwa, który niemal dosłownie wyłonił się spod ziemi.

- Skąd się tu wziąłeś?

- Doszło do mnie pocztą pantoflową, że tu cię znajdę - odparł Mancuso. - Pomyślałem zatem, że wpadnę, popatrzę na samochody i zamienię parę słów z tobą i Alem.

- Czyżby nadszedł czas, żebyśmy wkroczyli do akcji?

- Jeszcze nie.

Dirk odwrócił się i przedstawił Franka Loren. Giordino tylko skinął mu głową i wręczył szklanekę wina z drugiej, świeżo otwartej butelki. Kiedy Mancuso usłyszał nazwisko Loren, oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Spojrzał na Pitta z podziwem i ruchem głowy wskazując zarówno Loren, jak i stutza, rzekł:

- Dwie klasyczne piękności. Masz wyborny gust.

Dirk uśmiechnął się wstydliwie.

- Staram się, jak mogę.

- Wspaniały wóz - dodał Frank, wodząc wzrokiem po sylwetce stutza. - Z oryginalną tapicerką LeBarona, prawda?

- Strzał w dziesiątkę. Znasz się na starych samochodach?

- Są pasją mojego brata, chcąc nie chcąc, przejąłem od niego nieco wiadomości. - Wskazał ręką długi szereg aut. - Czy moglibyście opowiedzieć mi coś więcej o tych cudownych

eksponatach?

Mężczyźni przeprosili Loren, która zdążyła właśnie nawiązać znajomość z żoną właściciela hispano-suizy. Uszli zaledwie kilkanaście metrów, gdy Giordino zapytał niecierpliwie:

- O co chodzi?

Mancuso popatrzył na niego.

- Prawdopodobnie dowiecie się o tym od admirała Sandeckera. Całą tę część operacji, którą miał się zająć zespół Mercedesa, chwilowo zawieszono, a projekt badania dna morskiego i poszukiwania jakichkolwiek szczątków statku przewożącego pod pokładem bombę, został skreślony.

- Z jakiego powodu?

- Sam prezydent zdecydował, żeby nie pchać się tam, gdzie nie trzeba. Wynikło mnóstwo problemów. Rosyjska propaganda próbuje obarczyć nas odpowiedzialnością za eksplozję. W Kongresie głośno się mówi o celowości badań podmorskich i prezydent nie chce ryzykować w takiej chwili. Nakazał trzymać w ścisłej tajemnicy fakt istnienia Morskiego Poletka. Obawia się zarzutów złamania prawa międzynarodowego o eksploatacji złóż podmorskich.

- Pobieraliśmy jedynie próbki - odparł Pitt. - To był naukowy program eksperymentalny.

- Możliwe, ale musiałbyś przekonać o tym resztę świata. Zwłaszcza biedne kraje natychmiast by podniosły wrzawę na forum ONZ, że nie dopuszcza się ich do tej podwodnej bonanzy.

Dirk przystanął ze wzrokiem utkwionym w wielkim, odkrytym samochodzie.

- Chciałbym mieć taki w swojej kolekcji.

- To cadillac?

- Tak, cadillac V-szesnaście phaeton - wyjaśnił Pitt. - Jego cena na aukcjach dochodzi do miliona dolarów.

Giordino pokiwał głową.

- Tak jak wszystkich modeli tamtego Duesenberga.

Pitt odwrócił się i spojrzał badawczo na Franka.

- Ile samochodów z głowicami udało się odnaleźć?

- Tylko sześć. Na razie nie ma żadnych wiadomości od Stacy i Weatherhilla, którzy prowadzą poszukiwania na Wybrzeżu Zachodnim.

- Japończycy musieli rozmieścić w naszym kraju cały arsenał bomb. Jordan będzie

potrzebował armii ludzi, żeby wszystkie zlokalizować.

- Nie narzekamy na brak ludzi, chodzi o to, żeby sprawę załatwić po cichu, zanim Japońcy coś zwąchają. Kiedy tylko nabiorą podejrzeń, że ten chytry plan jest zagrożony, mogą w panice zdetonować którąś głowicę, nawet ręcznie.

- Najlepiej, żeby zespołowi Hondy udało się namierzyć centralę i zdobyć plan rozmieszczenia ładunków - rzekł cicho Giordino.

- Pracują nad tym - oznajmił Mancuso stanowczym tonem.

Pitt schylił się i przyjrzał z bliska znaczkowi firmowemu zwieńczającemu szczyt chłodnicy auta marki Pierce-Arrow, który przedstawiał koguta wykonanego z krystalicznie przejrzystego tworzywa.

- A my w tym czasie mamy siedzieć spokojnie i zatykać palcami uszy?

- Czujesz się wyłączony ze sprawy? Przecież w ciągu czterech godzin zrobiłeś więcej niż którykolwiek z zespołów przez dwie doby. Znajdą nas, kiedy będziemy potrzebni.

- Nie lubię bezczynnie czekać na rozwój wydarzeń.

Giordino przeniósł wzrok z samochodów na przechodzącą dziewczynę w obcisłej skórzanej minispódnicy, po czym rzekł szybko:

- Kto wie, co może się wydarzyć w bezpośredniej konfrontacji?

Czterech Japończyków w ciemnych garniturach, z aktówkami, wyraźnie odróżniało się od reszty jaskrawo odzianych właścicieli aut oraz widzów. Wszyscy uważnie przyglądali się pojazdom i zapisywali coś w notesach, jak gdyby reprezentowali jakieś tokijskie konsorcjum kolekcjonerów starych samochodów.

Stanowili jednak doborową kompanię. Ludzie zwracali na nich uwagę i uśmiechem kwitowali tradycyjne stroje, nie domyślając się nawet, że mają przed sobą oddział znakomicie wyszkolonych agentów do zadań specjalnych, którzy noszą w aktówkach istny arsenał śmiertelności broni i granatów gazowych.

Grupa Japończyków nie przyjechała tu bowiem, żeby podziwiać stare samochody - ich zadaniem było uprowadzenie Loren Smith.

Kręcili się po całym placu startowym, zwracając uwagę na rozmieszczenie wyjść i uzbrojonych strażników. Dowódca grupy - mężczyzna o ciemnej, błyszczącej w promieniach słońca twarzy - dostrzegł wóz Pitta zaparkowany mniej więcej pośrodku szeregu samochodów i stwierdził, że niemożliwością byłoby wyprowadzić stamtąd Loren bez wzbudzania niczyich podejrzeń.

Rozkazał swoim trzem ludziom wracać do wydłużonej limuzyny zaparkowanej przy torze, sam zaś spacerował dalej, nie spuszczając Loren z oka. Od czasu do czasu mierzył też

spojrzeniem Pitta, Giordina i Mancusa, wypatrując jakiejś wypukłości pod ubraniem, mogącej świadczyć o posiadaniu pistoletu przez któregoś z nich. Nie zauważył jednak niczego podejrzanego i uznał, że nie są oni uzbrojeni.

Cierpliwie spacerował po polu, czekając na odpowiednią chwilę.

Porządkowy zawiadomił Pitta, że może już podjechać stutzem do linii startowej. Dirk poprosił przyjaciół o zajęcie miejsc w aucie, wyjechał z szeregu i poprowadził wóz po trawie, między rzędami oczekujących rajdowców, wreszcie wjechał na asfaltowy tor i zatrzymał się przed bramą znaczącą początek jednomilowej pętli.

Giordino podniósł maskę i po raz ostatni dokonał oględzin silnika. Mancuso zaglądał mu przez ramię. Loren ucałowała Dirka na szczęście, zeszła na pobocze i usiadła na murku.

Wkrótce obok stutza zatrzymał się hispano-suiza. Kierowca wysiadł i zaczął sprawdzać mocowania maski, kiedy Pitt podszedł do niego i wyciągając rękę rzekł:

- Będziemy się ścigali ze sobą. Nazywam się Dirk Pitt.

Mocno zbudowany mężczyzna o szpakowatych włosach, siwej brodzie i niebieskozielonych oczach uściśnął mu dłoń.

- Clive Cussler.

Pitt uniósł brwi ze zdumienia.

- Czy my się znamy?

- Możliwe - odparł Cussler z uśmiechem. - Pańskie nazwisko jest mi znajome, ale nie rozpoznaję twarzy.

- Chyba spotkaliśmy się na jakimś przyjęciu albo w klubie automobilowym.

- Niewykluczone.

- Powodzenia. - Dirk uniósł dłoń.

Cussler skłonił się wytwornie.

- Nawzajem.

Pitt wsunął się z powrotem za kierownicę, szybkim spojrzeniem ogarnął tablicę przyrządów, po czym skupił się na osobie startera, który bez pośpiechu rozwijał zieloną chorągiewkę. Nie zauważył, że poboczem toru, wzdłuż niskiego kamiennego murku, podjechał wielki biały lincoln i zatrzymał się na wprost siedzącej kobiety. Nie zwrócił też uwagi, że z limuzyny wysiadł jakiś mężczyzna i coś powiedział do Loren.

Giordino wpatrywał się w silnik auta. Tylko Mancuso, który stał o kilka kroków dalej, spostrzegł, że Loren skinęła głową mężczyźnie o wyglądzie Japończyka i wsiadła do samochodu.

Po chwili Al opuścił maskę i zawołał przez przednią szybę:

- Nie zauważyłem żadnych wycieków wody ani oleju. Nie żyłuj go. Wiem, że wszystko sprawdzaliśmy, ale ten silnik ma ponad sześćdziesiąt lat, a części do niego nie kupisz w pierwszym lepszym sklepie.

- Będę uważał, żeby trzymać obroty poniżej czerwonej kreski - obiecał Pitt. Dopiero teraz zwrócił uwagę na nieobecność swojej towarzyszki.

- A gdzie Loren?

Mancuso nachylił się do okna i rzekł wskazując białego lincolna:

- Jakiś japoński biznesmen z tej landary chciał z nią porozmawiać. To pewnie ktoś z kliki finansowej.

- Niepodobna, żeby Loren opuściła wyścig.

- Będę na nią uważał - rzekł Mancuso.

Giordino wsunął rękę i uściśnął ramię Pitta.

- Nie zapomnij zmieniać biegów.

Obaj z Frankiem odsunęli się na pobocze, kiedy starter zajął pozycję między dwoma samochodami i uniósł zieloną chorągiewkę nad głową.

Pitt wdusił pedał gazu, aż strzałka obrotomierza pokazała 1000 obrotów na sekundę. Bezbłędnie wyczuł odpowiedni moment i zwolnił sprzęgło dokładnie w tej samej chwili, kiedy chorągiewka startera powędrowała w dół. Turkusowy stutz skoczył do przodu, już na starcie zyskując kilka metrów przewagi nad czerwonym hispano-suizą.

Ośmiocylindrowy silnik stutza ze sprzężonym górnym wałkiem rozrządu miał po cztery zawory na każdy cylinder, co przy pięciolitrowej pojemności dawało mu moc zbliżoną do sześciocylindrowego silnika hispano-suizy o pojemności ośmiu litrów. Ale pod względem wagi masywny miejski wóz ustępował lekkiemu kabrioletowi o jakieś 200 kilogramów.

Obaj kierowcy pozdejmowali obejmy na rurach wydechowych, dzięki czemu spaliny prosto z komory zbiorczej wypadały z rykiem w powietrze, nie docierając do tłumika. W efekcie huk starych maszyn nabierających szybkości ogłuszył zebranych wzdłuż toru podnieconych widzów, którzy brawami i okrzykami próbowali nakłonić te monstualne cudeńka dawnej techniki do szybszej jazdy.

Pitt wciąż prowadził, kiedy w chmurze spalin i ryku silników wchodzili w pierwszy zakręt. Zmieniał biegi na tyle płynnie, na ile pozwalały mu wysłużone mechanizmy - zębatka pierwszego biegu wyła jak oszalały kocur. Na prostej drodze oba auta mogły rozwinąć szybkość nawet 160 kilometrów na godzinę, ale żadne z nich nie miało takiego przyspieszenia, żeby wgnieść kierowcę w fotel.

Po włączeniu najwyższego biegu w czteroprzekładniowej skrzyni Warnera Pitt skupił

się na wskazaniach obrotomierza. Przy wejściu na przeciwległą prostą stutza rozpedził się do 100 kilometrów na godzinę, ale hispano-suiza trzymał się tuż za nim, nadrobił bowiem stratę na zakręcie.

Wkrótce czerwony kabriolet zaczął zrównywać się ze stutzem. Cussler się nie poddawał, wyciskał z wielkiej francuskiej maszyny, ile tylko mógł; nerwowy terkot zaworów prawie zagłuszał ryk spalin wylatujących spod silnika. Znaczek zrywającego się do lotu bociana, umieszczony na szczycie chłodnicy, znalazł się na wysokości klamki tylnych drzwi stutza.

Ale Pitt nie mógł już nic na to poradzić. Trzymał z całych sił kierownicę i wciskał pedał gazu do podłogi, trzymając wóz pośrodku asfaltowego pasa. Wskazówka obrotomierza drgała zaledwie o milimetr poniżej czerwonej kreski. Dirk nie miał odwagi zwiększyć obrotów powyżej granicy bezpieczeństwa, przynajmniej nie na tym odcinku. Powolutku hispano-suiza zrównał się z jego samochodem.

Przez kilka sekund pędzili koło w koło, wreszcie większe obroty francuskiego silnika dały o sobie znać i hispano-suiza stopniowo wysunął się do przodu. Najpierw Pitta ogłuszył przypominający ryk wulkanu odgłos pracy ośmiolitrowego silnika, następnie dostrzegł czerwone iskiereki tylnych świateł, które zakołysały się na boki, gdy rywal nacisnął na hamulec. Cussler nie miał jednak zamiaru zwalniać, tylko przesunął się na pozycję po wewnętrznej stronie toru.

Przed wejściem w ostatni zakręt Dirk schował się za wielkim czerwonym kabrioletem i jechał tuż za nim na odcinku kilkuset metrów, w końcu wypadł na zewnętrzną i zaczął przyspieszać. Przy wyjściu na prostą wdusił pedał gazu do oporu i wykorzystał nieco większą moc stutza do tego, by zająć miejsce po wewnętrznej.

Atak w odpowiedniej chwili się powiodł i Pitt zdołał wytrzymać kontratak szarżującego hispano-suizy na tyle, że zdobiący maskę stutza posążek bogini słońca minął linię mety pół metra przed statuetką bociana.

Ta mistrzowska zagrywka i wspaniały finisz podnieciły tłumy widzów. Dirk odchylił głowę do tyłu, zaśmiał się w głos i pomachał ręką. Zgodnie ze zwyczajem powinien wykonać rundę honorową, ale na asfalt wybiegli Giordino oraz Mancuso i zaczęli machać rękoma, żeby się zatrzymał. Pitt skręcił na pobocze i przyhamował.

Gestykujący energicznie Mancuso pokazywał białego lincolna, który nabierając szybkości zmierzał w stronę wyjazdu z terenu wyścigów.

- Limuzyna! - wrzasnął w biegu.

Giordino wskoczył na wysunięty błotnik jadącego jeszcze stutza.

- Myślę, że ci Japończycy z limuzyny ją porwali! - wypalił jednym tchem.

Frank biegł obok nich, z trudem łapiąc oddech.

- Odjechali, zanim zdążyłem się połapać, że zabierają ją ze sobą.

- Masz broń? - zapytał Pitt.

- Automatycznego colta dwudziestkępiątkę w kaburze na łydce.

- Wskakuj! - rozkazał Dirk i zwrócił się do Ala: - Poszukaj strażnika z krótkofalówką i zawiadom policję. Frank i ja pojedziemy za nimi.

Giordino tylko skinął głową, zeskoczył i pobiegł w kierunku strażnika spacerującego wzdłuż ogrodzenia toru. Pitt natomiast skręcił i pojechał w stronę bramy, prowadzącej między szpalerami widzów na olbrzymi parking.

Świetnie zdawał sobie sprawę, że stutz nie ma szans w konfrontacji z potężną, nowiutką limuzyną, wierzył jednak niezłomnie, że da się pokonać nawet te przeszkody, które z pozoru wydają się nie do pokonania.

Usadowił się więc w fotelu, chwycił mocno kierownicę w dłonie i z zaciśniętymi zębami ruszył w pościg.

Szybko wy dostał się z terenu wyścigów. Porządkowy, który stał przy bramie, dostrzegł rozpędzony samochód i kazał widzom usunąć się z drogi. Stutz wjechał na parking z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, o dwadzieścia sekund za białym lincolnem.

Pognali wąskim przejazdem między szeregami aut. Dirk wdusił klakson pośrodku kierownicy i prowadził jedną ręką. Na szczęście niewiele osób kręciło się po placu, większość stała tłumnie przy ogrodzeniu toru wyścigowego. Ale teraz, kiedy z dwóch chromowanych trąbek popłynął w powietrze ryk klaksonu, niemal wszystkie głowy obróciły się w stronę mknącego przez parking turkusowego stutza.

Pitt prowadził jak szalony. Szansę dogonienia limuzyny i uratowania Loren były znikome, ale desperacja pchała go do działania. Nie wierzył, że sześćdziesięcioletni eksponat potrafi dogonić nowoczesną limuzynę z ośmiocylindrowym widlastym silnikiem o prawie dwukrotnie większej mocy, lecz zdawał sobie też sprawę, że owo porwanie nie miało charakteru kryminalnego, i bał się, że porywacze chcą po prostu zabić Loren.

Zakręcił energicznie kierownicą, kiedy dotarli do wyjazdu z parkingu. Z piskiem opon wypadli na szosę, a tyłem stutza trochę zarzuciło na boki. Lincolna mieli teraz prosto przed sobą.

- Mają sporą przewagę - rzekł posępnym głosem Mancuso.

- Zmniejszymy ją - mruknął rozgoryczony Pitt. Machnął kierownicą to w jedną, to w drugą stronę, wymijając ciężarówkę skręcającą z bocznej drogi. - Dopóki widzą, że ich ścigamy, będą się bali przekroczyć granicę dozwolonej szybkości z obawy przed lotnym patrolem. Nam zostaje tylko siedzieć im na ogonie do czasu, aż policja wkroczy do akcji.

Teoria Pitta okazała się słuszna, ryczący stutz zaczął z wolna doganiać limuzynę. Mancuso ruchem głowy wskazał za przednią szybę.

- Skręcają na piątą międzystanową biegnącą wzdłuż James River.

Dirk był wściekły, prowadził jednak pewnie, a stutz sprawował się znakomicie na równej drodze z łagodnymi zakrętami. Kochał ten wóz - jego złożoną maszynę, wspaniałą opływową sylwetkę i bajeczny wprost silnik.

Wyciskał z niego, ile tylko mógł; prowadził jak demon. Kiedy czuł, że stutz daje już z siebie wszystko, przemawiał do niego, prosił i błagał o rozwinięcie jeszcze odrobinę większej szybkości, nie bacząc na zdumione spojrzenia Franka.

I zdawało się, że samochód reagował.

Mancuso stwierdził, że to niewiarygodne, ale Pitt jak gdyby dodawał pojazdowi



własnych sił i jeszcze przyspieszał. Zerknął na licznik, który pokazywał 158 kilometrów na godzinę. Dynamiczny stary wóz chyba nigdy od zejścia z taśmy produkcyjnej nie rozwinął jeszcze takiej szybkości. Frank trzymał się kurczowo klamki drzwi, a Dirk skręcał to w lewo, to w prawo, wyprzedzając inne samochody; zostawiał je w tyle po kilka naraz. Mancuso nie mógł się nadziwić, że do tej pory jeszcze nie wylądowali na poboczu.

Poprzez ryk silnika złowił jakiś inny odgłos, a że siedział w odkrytej części auta, obok kierowcy, zadarł głowę i popatrzył w niebo.

- Nad nami helikopter - oznajmił.
- Policja?
- Nie ma żadnych oznakowań, wygląda na prywatny.
- Szkoda, że nie mamy krótkofalówki.

Od limuzyny dzieliło ich zaledwie dwieście metrów, kiedy tamci musieli zauważyć goniącego ich stutza, lincoln uwożący Loren zaczął bowiem szybko nabierać prędkości i oddalać się od nich.

Jakby na przekór wszystkiemu zajęchała im drogę masywna półciężarówka dodge, z dwiema żelaznymi sztabami osłaniającymi tylną szybę kabiny - widocznie jakiś prostaczek zauważył szarżujący antyczny samochód i postanowił pobawić się z nim trochę i nie dać się wyprzedzić.

Za każdym razem, kiedy Pitt przekraczał linię przerywaną, chcąc wyprzedzić dodge'a, tamten kierowca - mężczyzna ze skołtunioną szopą przetłuszczonych włosów - uśmiechał się szeroko, ukazując liczne braki uzębienia, po czym skręcał w bok, zajeżdżając stutzowi drogę.

Mancuso wyciągnął z kabury na nodze mały rewolwer automatyczny.

- Zaraz rozpieprzę szybę temu pajacowi.
- Poczekaj, daj mi szansę go rozbujać - rzekł Pitt.

"Rozbujanie" to stary trik kierowców wyścigowych. Dirk wychylał się to z jednej, to z drugiej strony dodge'a, przyspieszał nieco i zaraz chował się z powrotem za półciężarówkę. Markował tylko, że szuka drogi wyprzedzania, kontrolując sytuację.

Zarośnięty kierowca dodge' a rzucał samochodem w lewo i w prawo, zagradzając stutzowi drogę. Musiał jednak rozglądać się uważnie na boki, nie wiedząc, z której strony zabytkowe auto przypości kolejny atak.

W końcu popełnił ów błąd, na który liczył Pitt.

Stracił panowanie na zakręcie i koła z jednej strony zjechały na zwirowane pobocze. Kolejnym jego błędem było szarpnięcie kierownicą. Dodge wpadł w poślizg, zakołysał się w lewo i w prawo, po czym zsunął z drogi, przekoziółkował i wylądował na dachu ze złamaną

ramą wzmocnienia w kępie młodych drzewek i krzewów.

Kierowca wyszedł z kraksy cało, chociaż gdyby nie wyrzuciło go z szoferki podczas koziołkowania i nie cisnęło w wielką kałużę błota, pęknięta rama, która zmiażdżyła kabinę, z pewnością by go zabiła na miejscu.

- Sprytna sztuczka - rzekł Mancuso, spoglądając do tyłu.

Pitt uśmiechnął się krzywo.

- To się nazywa metodyczne ogłupianie.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, kiedy po minięciu kolejnej furgonetki ujrzał wóz z wielką naczepą stojący na wewnętrznym łuku zakrętu.

Przewożone beczki zerwały mocowania, trzy z nich leżały na drodze, jedna zaś pękła, bo na asfalcie ciemniała wielka tłusta plama jakiejś cieczy. Rozpędzona biała limuzyna ledwie zdołała wyminąć ciężarówkę, wpadła jednak w poślizg i wykonała dwa pełne obroty, aż wreszcie kierowcy udało się odzyskać panowanie nad lincolnem i pojechał dalej.

Pitt wcisnął hamulec; stutza obróciło bokiem i zaczął sunąć z zablokowanymi kołami, aż z opon poszedł dym. Mancuso osłonił twarz rękami, był bowiem przekonany, że wpadną na stojącą ciężarówkę.

Dirk uwiesił się na kierownicy, próbując wyprowadzić auto z poślizgu; wreszcie mu się to udało, a za nimi pozostały kilkusetmetrowej długości ciemne smugi na asfalcie. W tej samej chwili wjechali w tłustą kałużę. Pitt szybko zdjął nogę z hamulca i prawie puścił kierownicę, pozwalając, by stutza siłą rozpędu minął zdradliwą plamę oleju. Wpadli na pobocze, wjechali na trawę i dopiero teraz, gdy opony nieco się oczyściły, Dirk skierował wóz z powrotem na szosę.

Już tylko parę sekund jazdy dzieliło ich od lincolna.

Mancuso zdumiony popatrzył na kierowcę, gdyż ten wcale nie przyspieszał, jak gdyby zrezygnował z pościgu.

- Co z helikopterem? - zapytał spokojnie Pitt.

Frank zadarł głowę.

- Wciąż leci nad nami, trochę na prawo od szosy.

- Coś mi mówi, że to obstawa tamtych w limuzynie.

- Chyba masz rację. Śmigłowiec bez żadnych oznakowań jest podejrzany - odparł Mancuso.

- Jeśli są uzbrojeni, możemy się znaleźć w nie lada kłopotcie.

Frank skinął głową.

- To prawda. Z moją pukawką nie stanowimy żadnego zagrożenia dla strzelca

wyborowego, który ma automat i zaatakuje nas z powietrza.

- Mogli jednak już dawno wychylić się z okna i podziurawić nam chłodnicę.

- A jeśli mowa o chłodnicy... - mruknął Mancuso, wskazując maskę stutza.

Przegrzanie starego silnika dawało o sobie znać. Spod nakrętki wlewu, zwieńczonej posążkiem bogini słońca, z sykiem wydobywała się para, a z bocznych otworów maski pryskał olej. Gdy zaś przed następnym zakrętem Pitt wcisnął hamulec, efekt był taki, jakby postawił żagiel, hamując przy silnym wietrze. Rozgrzane cięgła nie dociskały szczęk i jedynym skutkiem wduszenia pedału okazało się zapalenie tylnych świateł hamowania.

Dirk miał przed oczyma obraz związanej i zakneblowanej Loren, która musiała leżeć na pluszowym siedzeniu limuzyny. Niczym podmuchy lodowatego wiatru na zmianę odczuwał strach i wściekłość.

Porywacze mogli już ją uśmiercić - odegnał od siebie tę przerażającą myśl, pocieszając się faktem, że bandyci zapewne nie zechcą tracić tak cennego zakładnika. Poprzysiągł sobie w duchu, że jeśli cokolwiek się stanie Loren, sprawcy zapłacą za to życiem.

Prowadził jak nawiedzony, myśląc tylko o tym, by ocalić Loren. Odwoływał się do swego bezprzykładnego uporu i nie spuszczał oka z uciekającego lincolna.

- Mamy ich - oznajmił Mancuso.

- Bawią się z nami w kotka i myszkę - odparł Pitt, spoglądając na przestrzeń dzielącą stutza od tylnego zderzaka limuzyny, która stopniała do pięćdziesięciu metrów. - Mają dość rezerwy mocy, żeby zostawić nas bezradnych w chmurze spalin.

- A może coś im szwankuje w silniku?

- Nie wierzę. Tamten kierowca to profesjonalista, utrzymuje wciąż tę samą odległość między nami od czasu, gdy minęliśmy plamę ropy.

Promienie słoneczne kładły się ukośnymi smugami między koronami drzew okalających szosę. Mancuso zerknął na zegarek.

- Gdzie, do cholery, jest policja stanowa?

- Ugania się po całej okolicy. Giordino nie wiedział przecież, w jakim kierunku pojechaliśmy.

- Niedługo już damy radę jechać za nimi.

- Al powinien nas w końcu odnaleźć - rzekł Pitt, który niezłomnie wierzył w intuicję starego przyjaciela.

Mancuso raz jeszcze popatrzył w górę, gdyż wydawało mu się, że terkot przybrał na sile. Wstał szybko, uklęknął na siedzeniu i zaczął spoglądać do tyłu ponad drzewami. Pomachał ręką.

- Co się dzieje? - zapytał Dirk, usiłując zwolnić trochę na ostrym zakręcie, za którym droga prowadziła przez most łączący brzegi wąskiego strumienia, ale pedał hamulca stuknął o podłogę bez rezultatu.

- Mam wrażenie, że nadciąga kawaleria! - wykrzyknął podniecony Frank.

- Drugi helikopter - rzekł Pitt, rozpoznając hałas wirnika. - Dostrzegasz oznakowanie?

Oba samochody wypadły spomiędzy drzew na otwarty teren. Drugi helikopter pochylił się w bok, biorąc zakręt, i Mancuso odczytał napis widniejący na osłonie kabiny pod wirującymi płatami.

- Wydział Szeryfa Okręgu Henrico! - wrzasnął, próbując przekrzyczeć coraz głośniejszy terkot śmigłowca.

Po chwili rozpoznał też Ala Giordina, który machał im ręką z otwartych drzwi maszyny. Mały Włoch w samą porę przybywał z odsieczą, gdyż stutz dobywał z siebie już resztek energii. Pilot tajemniczego helikoptera towarzyszącego limuzynie także dostrzegł nadciągające posiłki, gdyż błyskawicznie dodał gazu, zanurkował i z pełną szybkością odleciał na północny wschód. Śmigłowiec zaraz zniknął za rzędem drzew rosnących wzdłuż pola pożółkłej kukurydzy.

Lincoln zaczął stopniowo zjeżdżać na pobocze. Pitt i Mancuso patrzyli z przerażeniem, jak wielka biała limuzyna przeskakuje płytki rów z wodą i wpada na pole, jak gdyby kierowca chciał uciekać w tym samym kierunku co helikopter.

Dirk szybko rozejrzał się na boki i niemal odruchowo skręcił, ruszając śladem lincolna. Frank z otwartymi ustami patrzył na zostawione po zbiorach na polu, uschnięte i poczerniałe badyle, które zaczęły łomotać o przednią szybę; odruchowo skulił się na siedzeniu i osłonił głowę rękami.

Stutz pędził po śladach limuzyny, kołysząc się jak pijany na swych wiekowych resorach. Otoczyła ich tak gęsta chmura kurzu, że ledwie można było dostrzec przód maski, Pitt jednak ani na chwilę nie zdjął nogi z gazu.

Przejechali przez dziurę w ogrodzeniu z drutu kolczastego, którego urwany koniec drasnął Franka w bok głowy, i niespodziewanie wypadli na łąkę tuż za limuzyną. Ta pędziła z niewiarygodną wprost szybkością prosto na betonową ścianę silosu.

- O Boże - szepnął Mancuso.

Pomimo szoku wywołanego świadomością nieuchronnej katastrofy, której w żaden sposób nie mógł zapobiec, Dirk zachował tyle rozsądku, by szarpnąć kierownicą i skierować stutza w prawo. Załedwie o kilka centymetrów minęli tylny zderzak lincolna, a zaraz potem betonowy narożnik silosu.

Nie widzieli zderzenia, usłyszeli tylko huk, zgrzyt rozdieranego metalu i brzęk tłuczonego szkła. Znad krawędzi silosu uniosła się wielka chmura kurzu, która powoli osiadła na zgruchotanej limuzynie.

Pitt wyskoczył ze stutza, zanim jeszcze samochód zdążył się zatrzymać, i popędził w stronę miejsca zderzenia. Kiedy wybiegł zza silosu i ujrzał skłębione szczątki lincolna, ogarnęły go strach i przerażenie. Nie wierzył, aby ktokolwiek wyszedł z życiem z tej masakry. Silnik został wgnieciony do środka kabiny i zatrzymał się na przednim siedzeniu, a kierownica wystawała przez dziurę w dachu. Dirk nie dostrzegł nigdzie zwłok kierowcy i uznał, że impet musiał go cisnąć do części pasażerskiej limuzyny.

Ta była zgnieciona w harmonijkę: dach wypiętrzył się niczym poszarpany szczyt górski, a wtłoczone do środka drzwi zakleszczyły się do tego stopnia, że można je było jedynie odciąć przemysłową piłą do metalu. Kilkoma kopniakami Pitt usunął resztki potraskanej szyby w drzwiach i wetknął głowę do wnętrza.

W środku nie było nikogo.

Oszołomiony Dirk obszedł auto wolnym krokiem, wypatrując jakichkolwiek śladów ludzi, ale nie dostrzegł ani kropli krwi, ani skrawka materiału. Przyjrzał się bliżej zgruchotanej desce rozdzielczej i po chwili odkrył przyczynę. Oderwał wiszącą jeszcze na kilku przewodach metalową skrzynkę i aż poczerwieniał ze złości.

Kiedy helikopter wylądował i Giordino podbiegł do wraka, Pitt wciąż stał bez ruchu. W tej samej chwili zjawił się Mancuso, który przyciskał do ucha zakrwawioną chusteczkę.

- Co z Loren? - zapytał Al z zaszepionym wyrazem twarzy.

Dirk jedynie pokręcił głową i wyciągnął w kierunku Giordina trzymaną w dłoni część.

- Wywiedli nas w pole. Ten samochód to makieta sterowana przez robota, który odbierał rozkazy z helikoptera.

Mancuso obrzucił zdumionym spojrzeniem szczątki limuzyny.

- Przecież widziałem, jak wsiadała... - mruknął z niedowierzaniem.

- Ja też - dodał Giordino.

- Do innego samochodu - odparł cicho Pitt.

- Nawet na chwilę nie spuściliśmy go z oka.

- A jednak. Zastanówcie się dobrze. Lincoln ruszył dwadzieścia sekund przede mną i wjechał na parking zastawiony autami. Właśnie wtedy musieli się przesiąść.

Frank opuścił rękę, odsłaniając krwawą szramę tuż nad uchem.

- Zgadza się. Kiedy wyjechaliśmy na szosę, przez cały czas mieliśmy ten samochód przed sobą...

Urwał nagle i jeszcze raz popatrzył na zniszczoną limuzynę. Przez kilka chwil żaden z nich ani się nie poruszył, ani nie odezwał nawet słowem.

- Straciliśmy ślad - mruknął w końcu poblady Giordino. - Na miłość boską, dopuściliśmy do tego, by ją porwali.

Pitt spoglądał na samochód niewidzącym wzrokiem, z wściekłości i rozpaczony to zaciskając, to znów rozwierając swe olbrzymie dłonie.

- Znajdziemy Loren - oznajmił głosem tak twardym i lodowatym, jak kamień, spod śniegów Antarktydy. - I każemy słono zapłacić tym, którzy ją uprowadzili.

**CZEŚĆ III**  
**WYSPA AJIMA**

12 października 1993

Bielefeld, Niemcy

### 31

Porywisty wiatr z północy sprawiał, że rano tego jesiennego dnia wstał chłodny i rześki. August Clausen wyszedł przed obijany półbalami dom i spojrzał nad polami na ciemną ścianę Lasu Teutoburskiego, za którą znajdowało się Bielefeld, jedno z większych miast Północnej Nadrenii i Westfalii. Jego grunty leżały w dolinie i ciągnęły się aż do krętego strumienia, który ostatnio spiętrzył. Zapiął grubą wełnianą kurtkę, wziął kilka głębszych oddechów, po czym ruszył ścieżką do stodoły.

Clausen był mocno zbudowanym, ogorzałym mężczyzną i choć skończył siedemdziesiąt cztery lata, potrafił ciężko harować od świtu do nocy. Gospodarstwo, na którym pracował razem z żoną, należało do jego rodziny od pięciu pokoleń. Wychowali dwie córki, ale te po wyjściu za mąż zamieszkały w Bielefeld, nie chcąc pracować na roli. Clausenowie zostali więc sami i tylko w czasie żniw wynajmowali ludzi do pomocy.

Gospodarz otworzył wrota stodoły i wdrapał się do kabiny potężnego traktora. Stary silnik diesla zaskoczył już przy pierwszej próbie. Clausen wrzucił pierwszy bieg, przejechał przez podwórze i skręcił w gruntową drogę, zmierzając na pola, które nawoził i przygotowywał do wiosennych zasiewów.

Tego dnia postanowił zająć się wyrównywaniem zagłębienia, jakie powstało w południowo-zachodnim rogu pola, na którym hodował sałatę. Miał przed sobą nudne zajęcie, ale trzeba się było tym zająć przed nadejściem pierwszych mrozów. Poprzedniego wieczoru zamocował do traktora szufłę spychacza, chciał bowiem nawieźć do zagłębienia ziemi z szerokiej muldy, jaka powstała przy ruinach betonowego bunkra z czasów wojny.

Część gruntów Clausena leżała bowiem na obszarze byłego lotniska polowego eskadry myśliwców Luftwaffe. August miał za sobą służbę w brygadzie pancерnej, którą trzecia armia Pattona przegnała przez Francję i połowę Niemiec, a kiedy po wojnie wrócił do domu, zastał swe pola dosłownie usiane popalonymi i pogruchotanymi szczątkami samolotów i samochodów. Pozbierał te części, które dały się jeszcze wykorzystać, a resztę sprzedał na złom.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni prawie nie padało i na suchej drodze można było rozwinąć dość dużą prędkość. Na rosnących wzdłuż niej topolach i brzozech prawie wszystkie liście były już żółte, z rzadka tylko przebijały plamki żywej zieleni. Clausen skręcił w stronę wjazdu na pole i zatrzymał traktor przed zagłębieniem. Zeskoczył z kabiny i z bliska przyjrzał się niecce. Ze zdumieniem stwierdził, że zapadlisko jest szersze i głębsze niż dnia



poprzedniego. Zaczął się zastanawiać, czy osiadanie gruntu nie jest wynikiem jakichś przesięków, będących efektem usypania tamy na strumieniu, chociaż ziemia w środku niecki wydawała się zupełnie sucha.

Z powrotem wdrapał się do kabiny, podjechał do przyzmy ziemi obok ruin bunkra, gęsto porośniętych chwastami i dzikim winem, po czym opuścił szufłę. Nagarnął pełną łyżkę, cofnął traktor i zatrzymał go z przednimi kołami na samej krawędzi zagłębienia. Podniósł jeszcze trochę szufłę, chcąc wysypać ziemię bliżej środka zapadliska, kiedy nagle grunt zaczął się osuwać pod traktorem; przednie koła wprost zapadały się w ziemię.

Clausen z rozdziawionymi ustami patrzył, jak pośrodku niecki otwiera się jama. a ciągnik powoli zsuwa się w jej kierunku. Wpadał razem z maszyną w mroczną czeluść, niezdolny do najmniejszego ruchu. Tylko instynktownie wbił z całej siły stopy w podłogę i kurczowo zacisnął palce na kierownicy. Traktor runął z wysokości dobrych dwunastu metrów i z głośnym pluskiem wylądował w jakimś podziemnym strumieniu. Zwały opadającej ziemi wzbijały fontanny wody, lecz po chwili wszystko przesłoniła olbrzymia chmura kurzu. Huk powrócił echem odbitym od dalekich ścian pieczary. Ciągnik pogrążał się coraz bardziej w grząskim podłożu, aż w końcu znieruchomiał, kiedy poziom wody sięgał górnych krawędzi olbrzymich tylnych kół.

Impet upadku pozbawił Clausena oddechu, a straszliwy ból, który przeszył mu plecy, mógł oznaczać poważniejszy uraz kręgosłupa. Uderzył mocno piersią o kierownicę, a trzask, jaki temu towarzyszył, wskazywał na co najmniej dwa złamane żebra. Serce mu łomotało, z trudem łapał powietrze, próbował jednak opanować wstrząs. Był tak oszołomiony, że ledwie zdawał sobie sprawę, iż woda sięga mu do piersi.

Podziękował w duchu za to, że traktor opadł na koła. Gdyby się przewrócił czy wylądował na dachu, Clausen albo by zginął na miejscu, albo utonął nie mogąc się wydostać z kabiny. Siedział przez jakiś czas, próbując zrozumieć, co mu się przydarzyło. Spojrzał najpierw na widoczny nad głową skrawek błękitnego nieba, oceniając swe położenie. Wreszcie popatrzył dookoła, usiłując przebić wzrokiem półmrok, w którym snuły się pasma kurzu.

Traktor stał w jeziorku na dnie czegoś, co przypominało wapienną grootę. Jeden jej koniec ginał pod wodą, ale z drugiej grunt się podnosił, przechodząc w podłoże gigantycznej pieczary. Nie było co prawda ani stalaktytów, ani stalagmitów czy innych tworów naturalnych. Zarówno w tej mniejszej grocie, jak i w drugiej, znacznie przestronniejszej komorze, stosunkowo równe sklepienie znajdowało się na wysokości sześciu metrów i nosiło ślady pracy urządzeń drążących owe tunele.

Walcząc z bólem, wysunął się zza kierownicy i na poły poszedł, na poły popłynął w stronę widocznego dna komory. Pełznął na czworakach, ślizgając się na pokrytym grząskim mułem podłożu, aż wreszcie stanął na suchym gruncie. Z trudem przekręcił się i usiadł na ziemi, po czym spojrzał ku otwierającej się przed nim, tonącej w półmroku komorze.

Była wypełniona samolotami. Całe dziesiątki maszyn stały w równiutkich szeregach, jakby w oczekiwaniu widmowych pilotów. Clausen bez trudu rozpoznał pierwsze turboodrzutowe myśliwce Luftwaffe, messerschmitty 262, zwane "Schwalbes". Przypominały upiory, pomalowane w ochronne, szarozielone barwy, i mimo że musiały tu stać niemal pięćdziesiąt lat, z wyglądu znajdowały się w bardzo dobrym stanie. Tylko nieliczne ślady korozji na aluminiowych kadłubach i pozbawione powietrza koła świadczyły, od jak dawna samoloty przebywają w tym podziemnym hangarze, który musiał zostać ewakuowany, zamknięty i zamaskowany przed wkroczeniem sił alianckich.

Zapomniawszy o obrażeniach, Clausen ruszył wzdłuż szeregu myśliwców, aż dotarł do kwater pilotów i pomieszczeń obsługi technicznej. Kiedy jego wzrok oswoił się z ciemnością, uderzył go panujący tu niezwykle ład i porządek, nie dostrzegł żadnego śladu panicznej ucieczki. Ujrzał w wyobraźni pilotów i mechaników podczas ostatniej odprawy na płycie lotniska. Sądził zapewne, że niedługo wrócą do ukrytych samolotów.

Ogarnęła go nagle euforia, kiedy pojął, że całe to znalezisko z czasów wojny znajduje się na jego gruntach, czy raczej pod nimi, w związku z czym należy do niego, a muzea bądź kolekcjonerzy powinni płacić za jeden samolot po milionie marek.

Po jakimś czasie wrócił na brzeg podziemnego jeziora. Zatopiony traktor wyglądał żałośnie, nad powierzchnię wody wystawały jedynie kierownica i górne krawędzie tylnych kół. Raz jeszcze popatrzył na widoczny przez wyrwę skrawek nieba. Nie było żadnych szans, żeby się tam wdrapać - otwór znajdował się za wysoko, a ściany były zbyt strome.

Nie przejął się tym jednak. Był pewny, że żona zaniepokoi się w końcu, a gdy odnajdzie wyrwę, wezwie sąsiadów, on zaś może spokojnie czekać na pomoc tutaj, w swym nowo odkrytym podziemnym skarbcu.

Musiał się tu gdzieś znajdować generator prądu. Postanowił go poszukać, mając nadzieję, że zdoła uruchomić maszynę i oświetlić wnętrze bunkra światłem elektrycznym. Spojrzał na zegarek: miał jeszcze co najmniej cztery godziny do chwili, kiedy żona powinna się zaniepokoić jego długą nieobecnością.

Zawahał się jeszcze i w zamyśleniu popatrzył na odległy koniec bunkra zalanego wodą. Przyszło mu na myśl, że ciemności po drugiej stronie jeziora mogą skrywać przejście do następnej komory.

- Jeśli ludzie poznają prawdę o tym, co się wyrabia za ich plecami, wyjdą na ulice Waszyngtonu - rzekł Sandecker, spoglądając na krajobraz Wirginii przesuwany się za pancerną szybą okna autobusu, który z zewnątrz przypominał zwykły pojazd linii międzymiastowej, w istocie zaś był wojskowym ruchomym centrum dowodzenia.

- Już jesteśmy zaangażowani w tę nie wypowiedzianą wojnę, o której nie wie nikt oprócz nas - mruknął wicedyrektor MZB, Donald Kern.

- Ma pan rację, nazywając to wojną - wtrącił Pitt, spoglądając na trzymaną w rękę szklankę z wodą sodową. - Aż nie chce mi się wierzyć, że tamci mieli śmiałość uprowadzić Loren i senatora Diaza tego samego dnia.

Kern wzruszył ramionami.

- Senator wyszedł ze swego domku myśliwskiego o szóstej, wypłynął na ryby na środek jeziora nie większego od sadzawki i zniknął.

- Skąd wiadomo, że nie utonął wskutek jakiegoś wypadku lub nie popełnił samobójstwa?

- Nie znaleziono ciała.

- Zdążyliście od rana przeszukać całe jezioro? - spytał z niedowierzaniem Dirk.

- Nikt się w to nie bawił. Skierowaliśmy nad jezioro satelitę najnowszej generacji. Zdjęcia nie wykazały obecności ciała ani na powierzchni, ani pod wodą.

- Dysponujecie taką techniką, żeby z kosmosu zobaczyć tak mały obiekt, jak ciało ludzkie na dnie jeziora?

- Proszę zapomnieć o tym, co pan usłyszał - odparł Kern z krzywym uśmiechem. - Uwiercie mi na słowo, że druga grupa fachowców z Japonii zdołała uprowadzić Diaza z jego motorówki, w biały dzień i niemal na oczach pięciu innych wędkarzy, którzy przysięgają, że niczego nie spostrzegli.

Pitt spojrział na Kerna.

- Za to Loren uprowadzono na oczach świadków.

- Oczywiście, Al i Frank dość szybko pojęli, co się dzieje. Ale widzowie wzdłuż toru byli pochłonięci wyścigami. Gdyby ktokolwiek zerknął w kierunku Loren, zauważyłby tylko kobietę, która z własnej woli wsiada do samochodu.

- Jedynie fakt, że się domyśliliście prawdy i ruszyliście w pogoń, pokrzyżował plany porwaczom - wtrącił Sandecker. - Dlatego mamy prawo przypuszczać, że senator Diaz także został przez nich uprowadzony.

- Ten, kto to wymyślił, ma głowę na karku - oświadczył Kern. - Ta akcja była zbyt

sprytna jak na Bractwo Krwawego Słońca.

- Mówi pan o tej organizacji terrorystycznej? - zapytał Dirk. - Oni mieli z tym coś wspólnego?

- Ktoś chciał, żebyśmy tak myśleli. FBI odebrało telefon, rozmówca podał się za członka tej organizacji i przyznał się do uprowadzenia. Ale to tylko zasłona dymna, z daleka widać, że sprawa jest szyta grubymi nićmi.

- A co z tym helikopterem, z którego sterowano limuzyną? Odnaleźliście go?

- Doleciał do Hampton Roads, a potem wzbił się w górę i runął do wody. Oddział ratownictwa marynarki przystępuje do wydobycia maszyny.

- Mogę się założyć o butelkę szkockiej, że nie znajdą żadnych zwłok.

Kern spojrzał na Pitta z ukosa.

- I miałby pan duże szansę na wygraną.

- Nie znaleźliście śladów samochodu, którym odjechali?

Kern pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Musieli trzymać go w ukryciu, a później zapewne porzucili po przeniesieniu pani Smith do innego pojazdu.

- Kto prowadzi poszukiwania?

- FBI. Ich najlepsi agenci właśnie grupują się w zespoły dochodzeniowe i zbierają wszelkie możliwe informacje.

- Sądzi pan, że te porwania mają coś wspólnego z naszym poszukiwaniem samochodów z bombami? - zapytał Giordino, którego Sandecker z Kernem zabrali wraz z Pittem i Mancusem kilka kilometrów od miejsca wypadku.

- Niewykluczone, że zwąchali już, iż zajęliśmy się tą sprawą. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że chcieli opóźnić prace specjalnej komisji senackiej, usuwając głównych polityków, którzy zamierzali wprowadzić ograniczenia japońskich inwestycji w Stanach.

Sandecker obciął koniec jednego ze swych drogich cygar i przypalił je.

- Prezydent znajduje się teraz w bardzo trudnej sytuacji. Dopóki istnieje szansa, że Smith i Diaz jeszcze żyją, wiadomość o ich porwaniu musi zostać ściśle tajemnicą. Bóg jeden wie, jakie piekło by się rozpętało, gdyby dowiedział się o tym Senat i opinia publiczna.

- Krótko mówiąc, jesteśmy w przysłowiowej ślepej uliczce - rzekł posępnym tonem Kern.

- Jeśli nie dokonało tego Bractwo Krwawego Słońca, to kto? - zapytał Giordino, także przypalając cygaro, zapewne wykradzione w Waszyngtonie z zapasów admirała.

- Tylko rząd japoński ma odpowiednie środki do przeprowadzenia tak wymyślnej operacji porwania - stwierdził Pitt.

- O ile zdążyliśmy się przekonać, premier Junshiro i jego gabinet nie mają z tym nic wspólnego - odparł Kern. - Prawdopodobnie nie wiedzą, co się wyrabia za ich plecami, a nie jest to czymś niezwykłym wśród japońskich polityków. Według naszej oceny zawiązała się tajna organizacja bogatych ultranacjonalistycznych przemysłowców i przywódców świata przestępczego, która wzięła sobie za cel ochronę japońskiego imperium ekonomicznego, a zarazem własnych interesów. Pierwsze informacje przekazane przez zespół Hondy, a także inne źródła wywiadowcze, wskazują na niezwykle wpływowego łajdaka o nazwisku Hideki Suma. Showalter ma nawet pewność, że za tym cyrkiem z bombami w samochodach stoi właśnie Suma.

- To naprawdę ponura postać - dodał Sandecker. - Przebiegły i stanowczy, znakomity organizator. Ciągnie za sznurki japońskiej polityki już od trzydziestu lat.

- A jego ojciec ciągnął je przez poprzednie trzydzieści lat - rzekł Kern, po czym zwrócił się do Mancusa. - Frank jest ekspertem w sprawach tej rodziny, przygotowywał komplet akt na temat jej działalności.

Mancuso siedział w wielkim obrotowym krześle i popijał ciemne piwo, gdyż nie znalazł niczego mocniejszego w autobusowym barku centrali dowodzenia Krajowej Agencji Wywiadowczej. Na dźwięk swego imienia podniósł głowę.

- Suma? Chodzi o ojca czy o syna? O którym chcielibyście się czegoś dowiedzieć?

- Może przedstawię pokrótce całą ich historię - poprosił Kern.

Frank upił jeszcze nieco piwa i zapatrzył się w sufit, jak gdyby zbierał myśli. Po chwili zaczął mówić takim tonem, jakby recytował wykutą na pamięć lekcję z literatury angielskiej.

- Podczas japońskich podbojów w okresie drugiej wojny światowej ich armia zagarnęła nieprzebrane bogactwa z budowli sakralnych, banków, siedzib różnych firm oraz skarbców obalonych rządów. Wąski strumyk, płynący początkowo z Mandżurii oraz Korei, zmienił się w wielką rzekę, gdy kolejno Chiny, państwa Azji Południowo-Wschodniej, Malaje, Singapur, Holenderskie Indie Wschodnie oraz Filipiny padały pod ciosami imperium wschodzącego słońca. Dokładna wartość zrabowanego złota, kamieni szlachetnych i drogocennych wyrobów nie jest znana, lecz ocenia się ją na dwieście miliardów, powtarzam, miliardów dolarów według cen bieżących.

Sandecker pokręcił głową.

- Niewiarygodne.

- Szacuje się, że samych wyrobów ze złota było ponad siedem tysięcy ton.

- I to wszystko wywożono do Japonii? - zapytał Giordino.

- Do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Później marynarka amerykańska, a zwłaszcza łodzie podwodne, przecięły drogę statkom japońskim. Według zachowanych dokumentów ponad połowa tego łupu znalazła się na Filipinach, gdzie miano dokonać inwentaryzacji przed wysłaniem skarbów do Tokio. Tuż przed końcem wojny ukryto łup w różnych miejscach na wyspach, w kręgach fachowców jest on znany jako "złoto Yamashity".

- A co to ma wspólnego z Sumą? - zapytał Pitt.

- Właśnie do tego zmierzam. Organizacje z japońskiego świata przestępczego błyskawicznie ruszyły śladem armii okupacyjnej i na własny rachunek zaczęły rabować depozyty bankowe, skarby podbijanych narodów oraz dobra obywateli, wszystko w imię cesarza. W pewnym momencie dwóch mniej znaczących kryminalistów organizacji zwanej Czarne Niebo, która dominowała w japońskim podziemiu od początków wieku, założyły własną grupę pod nazwą Złote Smoki. Jednym z nich był Korori Yoshishu, drugim zaś Koda Suma.

- Koda to ojciec Hidekiego Sumy? - zapytał Sandecker.

Mancuso przytaknął skinieniem głowy.

- Yoshishu jest synem stolarza z pewnej świątyni w Kioto. Kiedy miał dziesięć lat, ojciec wypędził go z domu. Potem znalazł się w Czarnym Niebie i szybko awansował. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym, kiedy miał osiemnaście lat, jego szefowie polecieli mu wstąpić do armii cesarskiej i podczas inwazji na Mandzurię był już w stopniu kapitana. Zorganizował wówczas wielką operację przerzutu heroiny, która przyniosła mafii do spółki z dowództwem armii milionowe dochody.

- Chwileczkę - przerwał mu Giordino. - Czy to znaczy, że armia japońska była zaangażowana w handel narkotykami?

- Owszem, takiej organizacji mógłby pozazdrościć nawet kartel z Kolumbii - odparł Mancuso. - Pod dyktando japońskich przywódców mafijnych wojsko handlowało opium i heroiną, zmuszało miejscową ludność do składania okupów, organizowało domy gry i kontrolowało przepływ towarów na czarnym rynku.

Autobus zatrzymał się pod czerwonym światłem na skrzyżowaniu i Pitt ujrzał tuż przed sobą twarz kierowcy ciężarówki, który na próżno starał się coś dojrzeć przez zaciemnione szyby autobusu. Dirk przez cały czas wyglądał przez okno, lecz jego uwadze nie umknęło ani jedno słowo Franka.

- Koda Suma, rówieśnik Yoshishu, był najstarszym synem szeregowca z cesarskiej marynarki wojennej. Ojciec zmusił go do wstąpienia do armii, on jednak zdezerterował i

wkrótce został zwerbowany przez naganiaczy Czarnego Nieba. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Yoshishu błyskawicznie awansował, szefowie gangu doprowadzili do wymazania z akt Sumy wpisu o dezercji i ponownie umieścili go w marynarce, tym razem jako oficera. Dzięki poparciu i łapówkom również szybko doszedł do stopnia kapitana. W krótkim czasie obaj wysłannicy tej samej mafii zaczęli pracować razem, Yoshishu organizował dostawy heroiny, natomiast Suma zajmował się rozmieszczaniem kontrabandy na cesarskich okrętach wojennych.

- Czyli siatka złodziei okradających innych rabusiów - stwierdził w zamyśleniu Giordino.

- Nigdy się nie dowiemy, na jaką skalę prowadzona była ta akcja.

- Czyżby jeszcze większą od tego plądrowania, jakiego dokonali hitlerowcy w Europie?

- zapytał Pitt, otwierając następną butelkę wody sodowej.

- Znacznie większą - odparł z uśmiechem Mancuso. - Japończyków już wtedy interesowała głównie strona ekonomiczna: złoto, kamienie szlachetne, twarda waluta; hitlerowcy zaś koncentrowali się na dziełach sztuki i przedmiotach o dużej wartości artystycznej. - Spowaźniał nagle. - Wraz z posuwaniem się armii okupacyjnej przez Chiny oraz Indochiny Yoshishu i Suma urosli do rangi arcykryminalistów. Podobnie jak bohaterowie powieści Hellera *Paragraf 22* dokonywali bardzo korzystnych transakcji z wrogami. Sprzedawali luksusowe towary, broń i amunicję armii Czang Kaj-szeka, nawiązali nawet dość bliskie kontakty z generalissimusem, co setnie im się opłaciło później, kiedy komuniści zajęli Chiny, a rząd z Pekinu musiał uciekać na Formozę, przemianowaną na Tajwan. Zajmowali się kupnem i sprzedażą, rabowaniem i przemytem; szantażowali i mordowali na niespotykaną wręcz skalę, wyduszając ostatni grosz z podbitych krajów. Nie trzeba chyba dodawać, że Suma i Yoshishu odliczali sobie sporą część cesarskich łupów, które inwentaryzowali i przemycali do kraju.

Pitt wstał z fotela i przeciągnął się, zawadzając głową o sufit autobusu.

- Ile ze zrabowanych skarbów dotarło do Japonii?

- Tylko niewielki procent trafił do cesarskiego skarbcza. Drobniejsze i łatwiejsze do transportu przedmioty, drogie kamienie i wyroby z platyny Suma i Yoshishu przemycili do Tokio na pokładzie łodzi podwodnej i ukryli gdzieś na prowincji. Przeważająca część ozdób jubilerskich została na wyspie Luzon. Ukryto je gdzieś w setkach kilometrów podziemnych korytarzy, do których drażenia Japończycy wykorzystywali jeńców wojennych, później zaś tych, co nie umarli z wycieńczenia, rozstrzelali, aby po wojnie nikt nie zdradził miejsca ukrycia skarbów. Dokopaliśmy się do jednego z tuneli na wyspie Corregidor. Były tam

szczałki trzystu zasypanych żywcem więźniów.

- Dlaczego ta sprawa nigdy nie przedostała się do opinii publicznej? - zapytał Dirk.

Mancuso wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Dopiero czterdzieści lat po wojnie odważono się w kilku książkach napomknąć o barbarzyństwie okupantów. Ale wtedy marsz śmierci przez Bataan czy całe armie żołnierzy amerykańskich, brytyjskich i filipińskich, którzy zginęli w obozach jenieckich, były już tylko mglistymi wspomnieniami.

- Hitlerowców nadal się ściga za zbrodnie ludobójstwa - mruknął Pitt - podczas gdy Japończykom nawet nie zarzucono okrucieństwa wobec jeńców.

Giordino wyglądał na przygnębionego.

- Czy Japończycy odzyskali po wojnie owe skarby?

- Część wydobyły japońskie firmy budowlane, które rzekomo pomagając Filipinom w odbudowie zniszczeń wojennych, uczestniczyły w wielu przedsięwzięciach, zwykle tam, gdzie pod ziemią spoczywały łupy. Część odnalazł Ferdynand Marcos, który potajemnie wywiózł z kraju kilkaset ton wyrobów ze złota i sprzedał je na giełdach, lokując pieniądze na własnym koncie. Sporo też musieli wykopać Yoshishu i Suma, którzy wkroczyli na scenę dwadzieścia lat po wojnie. Szacuje się jednak, że jakieś siedemdziesiąt procent skarbu jest nadal ukryte na wyspie i być może nigdy nie zostanie odnalezione.

Pitt spojrział na Franka ze zdziwieniem.

- Co się działo z Yoshishu i Sumą po zakończeniu wojny?

- Nie byli głupcami. Już w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku musieli z liści herbacianych wyróżyć sobie klęskę Japonii i zaczęli układać plany przetrwania końca w iście wielkim stylu. Żaden nie miał ochoty zginąć podczas inwazji wojsk MacArthura na Luzon ani też popełnić rytualnego samobójstwa, żeby uniknąć niewoli. Suma dowodził wówczas łodzią podwodną. Uszczknęli więc spory kęs cesarskiego łupu i popłynęli do Valparaiso w Chile, gdzie mieszkali w zbytku i luksusie przez pięć lat. Kiedy armia MacArthura zaangażowała się w wojnę koreańską, nasi wspaniali rabusie wrócili do ojczyzny i zostali znakomitymi organizatorami. Suma okazał się geniuszem intrygi politycznej i ekonomicznej, natomiast Yoshishu skupił się na konsolidacji świata przestępczego i wychowywaniu nowego pokolenia azjatyckich awanturników. Już po dziesięciu latach obaj stali się najbardziej wpływowymi osobistościami na Dalekim Wschodzie.

- To faktycznie para niezłych gołąbeczków - mruknął z przekąsem Giordino.

- Koda Suma zmarł na raka w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim i podobnie jak najwięksi gangsterzy w Chicago w okresie prohibicji, jego syn, Hideki, oraz



Yoshishu podzielili się różnymi obszarami aktywności potężnej organizacji. Yoshishu zachował nadzór nad działalnością przestępczą, Hideki zaś stworzył potęgę ekonomiczną, wykorzystując wielkie wpływy w rządzie i kręgach przemysłowych Japonii. Stary jastrząb wycofał się już z czynnego życia, chociaż wciąż trzyma rękę na pulsie, służy radą obecnym przywódcom Żółtych Smoków i od czasu do czasu współdziała z Sumą.

- Zgodnie z doniesieniami zespołu Hondy - wtrącił Kern - Suma i Yoshishu znów połączyli swe siły przy budowie fabryki głowic i realizacji projektu Kaiten.

- A cóż to znowu za projekt Kaiten? - spytał Pitt.

- Kryptonim operacji rozmieszczania bomb w samochodach, który w dosłownym tłumaczeniu znaczy "zmiana pogody", ale dla Japończyków może mieć szersze znaczenie: nadejście nowego dnia czy nawet zmianę biegu wydarzeń.

- Lecz oficjalnie Japonia nie podjęła produkcji broni jądrowej - powiedział Dirk. - Wierzyć mi się nie chce, że Suma i Yoshishu mogli zbudować fabrykę broni atomowej bez wsparcia rządu i pomocy ekspertów.

- Japonią nie rządzą politycy, lecz kryjące się w ich cieniu różne osobistości. Budowa przez Japonię ciekłometalicznego reaktora przyspieszającego nie była żadną tajemnicą, mało osób jednak wiedziało, że reaktor ten jest nie tylko źródłem energii, lecz dostarcza również plutonu i przetwarza jądra litu na tryt, czyli produkuje główne składniki bomby termojądrowej. Moim zdaniem premier Junshiro uległ tłumionym pragnieniom zdobycia arsenału jądrowego, choć może uczynił to niechętnie z uwagi na protesty opinii publicznej. Z pewnością jednak nic nie wie o projekcie Kaiten.

- To jasne, że ich rząd działa na innych zasadach niż nasz - rzekł Sandecker.

- Czy zespół Hondy zlokalizował fabrykę głowic? - zapytał Pitt.

- Ograniczyli obszar poszukiwań do sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych wokół podziemnego miasta Edo.

- I nadal nie mogą jej znaleźć?

- Jim Hanamura przypuszcza, że z najniższych poziomów miasta odchodzi tunel, który wiedzie do fabryki. To znakomite maskowanie, nie potrzebują żadnych budowli naziemnych ani dróg dojazdowych. W Edo mieszkają i pracują tysiące ludzi, niezbędne są ciągle dostawy towarów i trzeba wywozić śmieci. W ten sposób łatwo jest potajemnie transportować w jedną i drugą stronę części do produkcji bomb.

- Czy znaleźli ośrodek sterowania głowicami? - spytał Giordino.

- Centralę Smoka?

- Tak ją nazwali?

- Oni wszystkiemu nadają poetyckie nazwy - odrzekł z uśmiechem Kern. - Nie mamy nic pewnego. Hanamura w ostatnim raporcie wspominał, że pochwycił jakiś ślad, który może mieć coś wspólnego z obrazem.

- Faktycznie, to cholernie cenna informacja - syknął Al.

Otworzyły się drzwi niewielkiego przedziału łączności w tyle autobusu i radiooperator wręczył Kernowi trzy kartki papieru.

Ten przebiegł je wzrokiem, a jego twarz stopniowo tężała. Kiedy wreszcie doszedł do końca trzeciej strony, walnął pięścią w oparcie krzesła i jęknął:

- O mój Boże!

Sandecker pochylił się ku niemu.

- Co się stało?

- To raport Mela Pennera z Palau. Marvin Showalter został porwany w drodze do ambasady. Para amerykańskich turystów złożyła doniesienie, że widzieli dwóch Japończyków wskakujących do wozu Showaltera, kiedy ten zatrzymał się przed blokującą mu przejazd ciężarówką, kilkaset metrów od ambasady. To małżeństwo zdecydowało się donieść o wypadku pracownikom ambasady, gdyż zauważyli amerykańskie numery rejestracyjne samochodu oraz zdumienie i przerażenie na twarzy kierowcy. Nie widzieli nic więcej, bo przy krawężniku zatrzymał się autobus turystyczny, a wóz Showaltera szybko zniknął pośród innych pojazdów.

- Co dalej?

- Jim Hanamura przekazał kolejną wiadomość Pennerowi. Potwierdza, że zlokalizował fabrykę głowic na poziomie trzystu pięćdziesięciu metrów pod ziemią, cztery kilometry na północ od Edo City. Jest ona połączona z podziemnym miastem tunelem kolejki elektrycznej, którą można także dojechać do arsenału, pomieszczeń kontroli produkcji oraz jaskiń, gdzie składuje się odpady radioaktywne.

- To wszystko? - zapytał pośpiesznie Sandecker.

- Hanamura twierdzi też, że trafił na ślad, który może go zaprowadzić do Centrali Smoka. To wszystko.

- I ani słowa od Roya Ority? - zapytał Dirk.

- Tylko lakoniczna wzmianka.

- On również zniknął?

- Penner nic nie pisze na ten temat. Twierdzi, że Orita poprosił o dodatkowy czas na zebranie informacji.

- Rzekłbym, że przewaga gości nad gospodarzami w tym meczu wzrosła do trzech do

jednego - zauważył filozoficznie Pitt. - Uprawdzili dwójkę naszych parlamentarzystów, podcięli skrzydła zespołom Hondy i Cadillaka, a w końcu, co jest moim zdaniem najgorsze, dowiedzieli się, kim jesteśmy i czego szukamy.

- Owszem, Suma w tej rozgrywce ma wszystkie atuty - przyznał Kern. - Muszę natychmiast poinformować pana Jordana, by dał znać prezydentowi.

Pitt odchylił się na oparcie siedzenia i obrzucił Kerna badawczym wzrokiem.

- Po co?

- Nie rozumiem.

- Nie widzę jeszcze powodów do paniki.

- Powinniśmy ostrzec prezydenta. Teraz już nie tylko grozi nam szantaż nuklearny, możemy się też spodziewać żądań politycznego okupu za Diaza i Smith. Suma w każdej chwili może wyłożyć karty.

- Nie zrobi tego, w każdym razie nie teraz.

- Skąd pan wie? - zapytał z naciskiem Kern.

- Coś go powstrzymuje. Porozmieszczał w naszym kraju dziesiątki bomb, a przecież wystarczyłby jeden samochód jeżdzący po ulicach Manhattanu czy Los Angeles, żeby śmiertelnie przerazić Biały Dom i całe społeczeństwo. Można by rzec, że ma w garści cały rząd. I co robi? Bawi się w porywacza. Przepraszam, ale w takim razie coś musi być nie w porządku. Suma nie jest jeszcze gotów do zadania ciosu i gra na zwłokę.

- Sadzę, że Dirk ma rację - wtrącił Mancuso. - Możliwe, że agenci Sumy rozmieścili samochody z bombami we właściwych miejscach, ale nie są one jeszcze sprzężone z centrum sterującym.

- To by się zgadzało - rzekł Sandecker. - Wygląda na to, że mamy jeszcze czas utworzyć nowy zespół, który odnajdzie centralę i rozbroi system.

- W tej chwili wszystko zależy od Hanamury - odpowiedział z wahaniem Kern. - Trzeba mieć nadzieję, że zdoła zlokalizować Centralę Smoka. Ale musimy się też liczyć z bardzo realną możliwością, że albo już nie żyje, albo został pojmany przez agentów ochrony Sumy.

Zapadła cisza. Za oknami autobusu przesuwiał się krajobraz Wirginii. Liście drzew połyskiwały złotawo w promieniach jesiennego słońca. Nieliczni spacerowicze nie zwracali większej uwagi na krążący po uliczkach autobus, a gdyby nawet ktoś odczytał umieszczony nad przednią szybą napis, zapewne by pomyślał, że to grupa wczasowiczów zwiedzających miejsca walk z czasów wojny domowej.

Wreszcie Sandecker odważył się powiedzieć na głos to, co zaprzętało umysły wszystkich pasażerów:

- Gdybyśmy tylko wiedzieli, co naprowadziło Jima Hanamurę na trop centrali.

W tym samym czasie, po drugiej stronie globu, Jim Hanamura gotów byłby oddać swoją nową corvette, na dokładkę z kosztowną wieżą stereofoniczną stojącą w kawalerskim mieszkaniu w Redondo Beach, za możliwość zamienienia się miejscami z którymkolwiek z mężczyzn jeżdżących autobusem po Wirginii.

Leżał w rowie pełnym błota i gnijących liści, a zimny nocny deszcz nie zostawił na nim suchej nitki. Policja i umundurowane służby bezpieczeństwa, które na niego polowały, otoczyły teren i przystąpiły do poszukiwań dziesięć minut temu, on jednak nadal leżał w błocie, próbując zebrać siły i obmyślić jakiś plan działania. Walcząc z bólem, przekręcił się na bok i wyjrzał na drogę. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha, z wyjątkiem mężczyzny, który w garażu przy niewielkim domku zaglądał pod maskę furgonu dostawczego.

Jim osunął się z powrotem do rowu i stracił przytomność - już po raz trzeci od czasu, kiedy został postrzelony w trakcie ucieczki z Edo City. Kiedy wrócił do siebie, nie miał pojęcia, ile czasu leżał bez czucia. Uniósł do oczu prawą dłoń, ale zegarek nie działał, rozbity podczas kraksy samochodowej. Stwierdził jednak, że nie mogło upłynąć wiele czasu, gdyż kierowca furgonetki wciąż jeszcze dłuwał w jej silniku.

Trzy pociski z automatycznych karabinków obstawy trafiły go w ramię oraz lewą rękę. Padł ofiarą jednego z tych nieprzewidzianych wypadków, które spotykają nawet najbardziej doświadczonych agentów.

Plan Jima był precyzyjny i ścisły. Posłużył się wykradzioną przepustką inżyniera budownictwa, człowieka o nazwisku Jiro Miyaza, który był z wyglądu dość podobny do niego.

Wejście na teren Edo City i przeniknięcie na poziom biur projektowych poszło jak z płatka. Żaden ze strażników nie widział niczego podejrzanego w fakcie, że jeden z inżynierów wraca po godzinach i ma zamiar pracować aż do północy. Zatrudnieni tu Japończycy często siedzieli do późna i mało kto przestrzegał ośmiogodzinnego dnia pracy.

Strażnicy nie byli zresztą zbyt drobiazgowi, choć z pewnością podziemnego kompleksu pilnowano lepiej niż budynków Pentagonu. Kłaniali mu się za każdym razem, kiedy wsuwał do szczeliny elektronicznego czytnika swoją przepustkę, a gdy rozlegał się dźwięk brzęczyka i nad kamerą wideo rozbłyskiwało zielone światelko, ręką dawali mu znać, że może iść dalej. Przy tak wielu osobach wchodzących i wychodzących z miasta, żaden z nich nie zwrócił uwagi, że Hanamura posługuje się kodem identyfikacyjnym człowieka, który zaledwie kilka minut wcześniej wyszedł do domu.

Jim w ciągu półtorej godziny przeszukał trzy gabinety, zanim trafił na pierwszy ślad. W bocznej szufladzie biurka naczelnego inżyniera znalazł kartonową tubę ze schematami tajnej

części miasta, które zapewne miały być zniszczone. Mógł tylko odczuwać wdzięczność dla kierownika, który zapomniał wrzucić je do maszyny do cięcia dokumentów. Pospieszenie wykonał kopie schematów, oryginały schował z powrotem do szuflady, a odbitki kserograficzne wsunął do koperty, którą następnie przykleił sobie plastrem na łydce.

Przechodząc w drodze powrotnej przez kolejne kontrole sądził, że nic mu już nie grozi. Dotarł do atrium, gdzie musiał czekać w kolejce do windy wywożącej pracowników do tunelu, który prowadził na parking - tam zostawił swego terenowego murmoto z napędem na cztery koła. Do kabiny weszło razem z nim jakieś dwadzieścia osób, ale Hanamura miał to nieszczęście, że znalazł się w pierwszym rzędzie naprzeciwko drzwi. Kiedy zaś te rozsunęły się na poziomie mieszkalnym, stała się najgorsza z możliwych rzeczy.

Jim stanął oko w oko z Jiro Miyazą, a właśnie z jego przepustki korzystał.

Inżynier wsiadł do windy z żoną i dwójką dzieci - także jechał na parking, wybierając się widocznie na popołudniową przejażdżkę i nieuchronnie jego wzrok spoczął na tabliczce identyfikacyjnej przypiętej do kieszeni na piersi Hanamury.

Miyaza przez chwilę gapił się na nią wybałuszonymi oczyma, wreszcie uniósł głowę i spojrzał na Hanamurę.

- Dlaczego pan nosi mój identyfikator? - zapytał szybko.

- Jestem z ochrony wewnętrznej - odparł Jim stanowczym tonem, który miał świadczyć o jego autorytecie. - W sekrecie kontrolujemy zabezpieczenia i sprawdzamy, czy strażnicy wyłowią kogoś z nas. Tak się zdarzyło, że mnie przypadła pańska przepustka oraz identyfikator.

- Mój brat jest zastępcą dowódcy służb ochrony, nie wspominał mi ani słowem o takiej kontroli.

- Utrzymujemy to w tajemnicy - odparł Jim, wpatrując się z napięciem w Miyazę, który hardo spoglądał mu prosto w oczy.

Gdy winda się zatrzymała, próbował przejść obok inżyniera, lecz tamten chwycił go za rękę.

- Chwileczkę! Sprawdźmy to!

Hanamura wymierzył mu błyskawiczny cios, trafił kantem dłoni w pierś Japończyka, miażdżąc mu mostek. Miyaza rozwarł usta i osunął się na kolana. Jim odepchnął go i spokojnie ruszył w stronę swego auta, stojącego przodem w kierunku wyjazdu. Szybko otworzył drzwi, których nie zamykał na klucz, wsunął się za kierownicę i uruchomił zapłon. Sześciocylindrowy silnik murmoto zaskoczył za drugim razem. Hanamura wrzucił pierwszy bieg i wyjechał ze stanowiska, skręcając w stronę rampy wiodącej ku wyjazdowi, który

znajdował się o jeden poziom wyżej.

Pewnie by mu się udało, gdyby żona Miyazy nie narobiła krzyku i nie wskazała go nadbiegającemu strażnikowi. Ten zadał jej jakieś pytanie i choć niewiele zrozumiał z historycznego mamrotania kobiety, zachował na tyle zimnej krwi, że zawiadomił przez krótkofalówkę strażników przy głównej bramie wyjazdowej.

Ułamek sekundy spóźnienia wystarczył, by wszystko sprzysięgło się przeciw Jimowi. Z budki przy bramie wyszedł strażnik i uniósł rękę, chcąc go zatrzymać. Dwóch jego kolegów już czekało z karabinami uniesionymi do strzału po drugiej stronie tunelu wyjazdowego. Wąską drogę przegradzała ciężka stalowa barierka.

Hanamura ogarnął to wszystko jednym szybkim spojrzeniem. Nie wierzył, że uda mu się oszukać zaalarmowanych strażników. Osunął się na siedzeniu najniżej, jak mógł, zaparł mocno nogami o podłogę i wcisnął do oporu pedał gazu. Uderzył w barierkę częściowo podniesionym zderzakiem samochodu, a częściowo przednią maską, wgniatając reflektory w głąb błotników i łamiąc wzmocnioną ramę obudowy chłodnicy.

Impet uderzenia był nawet słabszy, niż przypuszczał. Rozległ się zgrzyt metalu i brzęk tłuczonego szkła, autem szarpnęło, lecz barierka szybko wyłamała mocowania w betonowych słupkach i spadła na asfalt. Okna samochodu rozprysły się deszczem srebrzystych iskier, kiedy strażnicy otworzyli ogień. Dopiero teraz dopomogła mu odrobina szczęścia - ci mierzyli bowiem wysoko, w kabinę, zamiast w silnik, zbiornik paliwa lub w koła.

Terkot broni automatycznej szybko ustał, gdy murmoto wypadł z tunelu, przecinając drogę sznurowi pojazdów, które zmierzały w kierunku bramy wjazdowej do podziemnego miasta. Hanamura zerkał to przed siebie, to we wsteczne lusterko, próbując jak najszybciej zniknąć między innymi samochodami. Nie wątpił ani przez chwilę, że ochroniarze Sumy natychmiast zawiadomią policję i zorganizują blokadę szosy. Włączył napęd na cztery koła, skręcił na chodnik i pojechał gruntową drogą rozmytą przez niedawną ulewę. Dopiero gdy znalazł się w głębi lasu, dziesięć kilometrów od szosy, zwrócił uwagę na palący ból w ramieniu i zimny strumyk krwi ściekającej mu po lewym boku. Zatrzymał się pod osłoną rozłożystej sosny i zaczął oglądać swe rany.

Dostał trzema pociskami. Jeden przeszedł przez biceps, drugi przez kość obojczyka, a trzeci rozorał mu skórę na ramieniu. Żadna z ran nie była zbyt groźna, ale nie opatrzone w porę mogły spowodować poważne następstwa. Hanamurę najbardziej zmartwił duży upływ krwi, już bowiem zaczynał odczuwać lekki zawrót głowy. Podarł koszulę na strzępy i zrobił sobie prowizoryczne opatrunki, żeby przynajmniej zahamować krwawienie.

Ból i wstrząs stopniowo ustąpiły miejsca ośpieniu, które niczym mgła zasnęło jego

myśli. Od ambasady leżącej w centrum Tokio dzieliło go sto sześćdziesiąt kilometrów. Nie miał szans przebyć zapchanych ulic, nie wzbudzając podejrzeń policji widokiem posiekanego kulami samochodu, o ile przedtem zdołałby przedrzeć się przez blokady, które służby bezpieczeństwa Sumy bez wątplenia zorganizowały na głównych drogach dojazdowych do stolicy. Nie pozostało mu nic innego, jak szukać schronienia w motelu MZB, chociaż Asakusa leżała na północno-wschodnich krańcach Tokio, Edo City natomiast na południu.

Popatrzył przez resztki przedniej szyby na deszczowe niebo. Niski pułap chmur uniemożliwiał poszukiwania z powietrza, co było mu na rękę. Hanamura postanowił w końcu pojechać dalej zdemolowanym murmoto, korzystając z bocznych dróg, a w pobliżu metropolii porzucić auto i ukraść inny samochód.

Prowadził w deszczu, szukając objazdów pól ryżowych i przebywając w bród wezbrane strumienie; kierował się bez przerwy w stronę świateł miasta, których łuna była dobrze widoczna pod niską pokrywą chmur. Im bardziej zbliżał się do Tokio, tym gęściej zaludnione były tereny, aż w końcu otwarte przestrzenie skończyły się definitywnie, a polne drogi ustąpiły miejsca autostradom i trasom szybkiego ruchu.

Murmoto zaczął odmawiać posłuszeństwa, z pękniętej chłodnicy z sykiem wydobywały się białe kłęby pary. Zerknął na tablicę: wskazówka miernika poziomu benzyny też stała prawie na czerwonej kresce. Nadeszła pora znaleźć sobie inny samochód.

Niemal w tej samej chwili Hanamura osłabł z powodu utraty krwi i bez czucia padł na kierownicę.

Wóz terenowy zjechał z drogi, odbił się od kilku zaparkowanych pojazdów i wreszcie stanął, wjechawszy do jakiegoś domu po rozbiciu cienkiej, drewnianej ściany. Wstrząs przywrócił Jimowi świadomość i szybko rozejrzał się po niewielkim podwórzu, na którym poczynił spustoszenia. Na szczęście mieszkańców nie było w domu, nie przebił się też do żadnego z umeblowanych pokoi.

Jeden reflektor działał jeszcze, a strumień światła padał na furtkę w ogrodzeniu. Hanamura dowlókł się do niej i zdążył wyjść na ścieżkę biegnącą na tyłach domostw, kiedy za nim rozbrzmiały pierwsze krzyki ludzi. Po dziesięciu minutach dotarł do parku, ale był już strasznie wyczerpany i padł w jakimś zagłębieniu pełnym błota.

Leżał, wsłuchując się w coraz bliższe wycie syren. Kiedy odzyskał trochę siły, pokuśtykał w stronę podmiejskich zabudowań, ale szybko musiał się ukryć na widok pojazdu służb specjalnych, z którego szperaczem oświetlano gąszcz parku i płoty gospodarstw. Wtedy po raz drugi stracił przytomność.

Kiedy obudziły go chłód i deszcz, uprzytomnił sobie, że jest za słaby na to, aby ukraść



samochód i dalej uciekać. Powoli, ciągnąc za sobą nogi i zaciskając zęby z wracającego nieznośnymi falami bólu, przeszedł przez drogę i zbliżył się do mężczyzny, który grzebał pod maską furgonetki.

- Czy może mi pan pomóc? - zapytał urywanym głosem.

Tamten odwrócił się i popatrzył zdziwiony na brudnego, ledwo stojącego na nogach człowieka.

- Pan jest ranny i silnie krwawi - powiedział.

- Miałem wypadek między tamtymi domami i potrzebuję pomocy.

Japończyk objął Hanamurę ramieniem w pasie.

- Zaprowadzę pana do domu, moja żona opatrzy panu ramię, a ja zadzwonię po karetkę.

Hanamura odepchnął go.

- To niepotrzebne, nic mi nie jest.

- Ależ pan musi natychmiast jechać do szpitala. W takim razie zawiozę pana.

- Nie, proszę... - jęknął Hanamura. - Byłbym jednak wdzięczny, gdyby mógł pan za mnie dostarczyć tę przesyłkę do ambasady amerykańskiej. To bardzo pilne. Jestem kurierem i wracałem z Edo City, kiedy samochód odmówił posłuszeństwa i zjechał z drogi.

Kierowca furgonetki wyraźnie się wahał, ale Jim napisał kilka słów na odwrocie koperty i wręczył ją nieznanemu.

- Chce pan, żebym to zawiózł do ambasady amerykańskiej, zamiast zabrać pana do szpitala?

- Tak, ja muszę wrócić na miejsce wypadku. Policja wezwie karetkę.

Tamten miał taką minę, jakby to wszystko nie miało dla niego sensu, zgodził się jednak bez dalszej dyskusji.

- O kogo mam pytać w ambasadzie?

- O pana Showaltera. - Hanamura sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i wyciągnął w stronę Japończyka gruby plik jenów. - To na pokrycie wszelkich wydatków. Wie pan, dokąd jechać?

Kierowca wyraźnie się rozpromienił na widok niespodziewanych pieniędzy.

- Tak, ambasada znajduje się niedaleko przecięcia autostrad trzeciej i czwartej.

- Kiedy będzie pan mógł wyruszyć?

- Właśnie skończyłem naprawiać rozdzielacz, mogę wyjechać za kilka minut.

- Świetnie. - Hanamura skłonił się nisko. - Bardzo panu dziękuję. Proszę powiedzieć panu Showalterowi, żeby z mojego polecenia wypłacono panu drugie tyle po dostarczeniu

koperty.

Jim odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem, znikając za zasłoną deszczu w mroku nocy.

Mógłby pojechać z kierowcą furgonetki do ambasady, ale bał się ryzykować, że straci przytomność czy nawet umrze. Przerażony Japończyk zapewne pojechałby do szpitala albo zawiadomił policjanta, a drogocenne szkice zostałyby skonfiskowane i z pewnością zwrócone Sumie. Wolał zaufać swojemu szczęściu i poczuciu honoru tamtego mężczyzny, odwracając zarazem uwagę ścigających w inną stronę.

Hanamura, którego na nogach trzymała jedynie siła woli, zdołał przejść może z kilometr, kiedy z ciemności parku wyłonił się wojskowy łaźnik, wykręcił na ulicy i ruszył za nim. Jim nie miał już sił, by rzucić się do biegu. Skoczył za jakiś samochód, opadł na kolana i zaczął grzebać po kieszeniach w poszukiwaniu kapsułki z cyjankiem. Znalazł ją wreszcie, lecz w tej samej chwili zielony pojazd z czerwonymi migaczami zahamował tuż za nim, a snopy świateł rzuciły cień klęczącego Hanamury na odległą o kilka metrów ścianę jakiegoś sklepu.

Ktoś wysiadł z auta i podszedł do niego. O dziwo, mężczyzna miał na sobie skórzaną kurtkę o kroju krótkiego kimona i trzymał w dłoni samurajski miecz, kataną, której ostrze zabłysło w światłach reflektorów. Obszedł powoli Jima, by ten mógł wyraźnie dostrzec jego twarz, pochylił się i rzekł spokojnym tonem:

- Proszę, proszę! Toż to wielki znawca sztuki, Ashikaga Enshu. Z ledwością pana poznałem bez tej peruki oraz sztucznej brody.

Hanamura uniósł głowę i popatrzył w wykrzywioną jadowitym uśmiechem twarz Moro Kamatoriego.

- Proszę, proszę - mruknął, przedrzeźniając go. - Czyż to nie salowy wielkiego Hidekiego Sumy?

- Jak to: salowy?

- Nie rozumiesz? Fagas, liżydupek, chłoptaş do sprząwania gówna.

Kamatori zacisnął zęby, a na jego twarzy odmalowała się wściekłość.

- Co znalazłeś w Edo? - zapytał.

Hanamura jednak nie odpowiedział, oddychał szybko, wydymając pobielale wargi. Nagle wyjął kapsułkę z trucizną, wsunął ją do ust i rozgryzł. Gorzki płyn rozlał mu się po języku. W ciągu trzydziestu sekund jego serce powinno przestać pracować.

- Żegnaj kutasie - mruknął.

Tamten nie tracił czasu. Uniósł miecz i trzymając go oburącz, zamachnął się szerokim łukiem, wkładając w ten jeden cios wszystkie siły. W oczach Jima pojawił się błysk

niedowierzania, który szybko przesłoniła mgła agonii.

Kamatori przyjął z wielką satysfakcją fakt, że jego miecz wygrał wyścig z trucizną, odcinając głowę Hanamury tak równiutko, jakby spadło na nią ostrze gilotyny.

Jaskrawobrazowe auta murmoto stały ciasnym szeregiem przed pochylnią wiodącą do olbrzymiego, przypominającego jaskinię wnętrza naczepy transportowej. George Furukawa z wdzięcznością przyjął informację, że te cztery samochody to już ostatni ładunek. W kopercie z dokumentami, którą jak zawsze znalazł pod siedzeniem swojego wozu, znajdowała się krótka notatka informująca, że jego udział w projekcie dobiegł końca.

Ale otrzymał też dodatkowe polecenie, by osobiście sprawdzić, czy w autach nie ma żadnych radionadajników. Nie dołączono bliższych wyjaśnień, doszedł jednak do wniosku, że Hideki Suma nabrał podejrzeń, iż poprzedni transport był przez kogoś śledzony, a na myśl o tym, że mogli to być agenci federalni, Furukawę obleciał strach. Obszedł pośpiesznie każdy z samochodów, spoglądając na cyfrowy odczyt urządzenia elektronicznego do wykrywania nawet najsłabszych sygnałów radiowych.

W sportowych sedanach, pomalowanych na odpychający, brunatny kolor, nie znalazł jednak żadnych pluskiew. Zadowolony dał znak ręką kierowcy i jego pomocnikowi. Tamci bez słowa skłonili się nisko i zaczęli wprowadzać pojazdy na skrzynię ciężarówki.

Furukawa odwrócił się i poszedł do swojego samochodu. Był szczęśliwy, że uwolnił się od tego uciążliwego obowiązku, który jego zdaniem nie licował z pozycją wicedyrektora laboratoriów Samuela J. Vincenta. Miał zamiar zainwestować okrągłą sumkę, którą Suma przelał na jego konto, w akcje pewnej japońskiej spółki, otwierającej właśnie swe biura w Kalifornii.

Podjechał do bramy, wręczył oficerowi kopie dokumentów odprawy celnej, po czym skierował swojego sportowego murmoto ku wyjazdowi na zapchaną szosę prowadzącą do miasta. Nie obejrzał się nawet, tym razem nie interesowało go już, dokąd zostaną przewiezione tajemnicze samochody.

Stacy dopięła suwak sztormiaka pod samą szyję, układając kołnierz. Boczne drzwi helikoptera zostały wyjęte i chłodne powietrze znad oceanu z wyciem wdzierało się do kabiny, spychając jej na twarz pasma długich blond włosów, które próbowała zebrać wąską skórzaną opaską. Podniosła z kolan kamerę wideo i ustawiła odpowiednie parametry. Wreszcie wykręciła się w fotelu, na ile pozwalały jej pasy bezpieczeństwa, dostroiła teleobiektyw i nacelowała go na tył sportowego murmoto opuszczającego teren portu.

- Złapałaś numer rejestracyjny? - zapytał jasnowłosy pilot, który z wprawą utrzymywał helikopter w poziomie.

- Tak, zrobiłam piękne ujęcie. Dziękuję.

- Mogę zejść trochę niżej, jeśli sobie życzysz.

- Nie, trzymaj się tej wysokości - mruknęła Stacy do mikrofonu, nie odrywając oka od wizjera kamery. Po chwili wyłączyła ją i położyła z powrotem na kolanach. - Musieli zwietrzyć, że zaczęliśmy się nimi interesować, w przeciwnym razie nie zadawaliby sobie trudu, żeby sprawdzać, czy w samochodach nie ma urządzeń nadawczych.

- Całe szczęście, Weatherhill w tym momencie nie próbował się z nami połączyć.

Za każdym razem, kiedy Stacy zerknęła na Billa McCurry'ego, przenikał ją dreszcz. Bill miał na sobie tylko cienkie szorty, bawełniany podkoszulek z reklamą meksykańskiego piwa oraz sandały na bosych stopach. Kiedy poznali się tego ranka, Stacy oceniła, że chyba stoi przed nią ratownik, a nie jeden z najlepszych pracowników Krajowej Agencji Bezpieczeństwa.

McCurry - mężczyzna o długich, pobielających od słońca włosach, ciemnej skórze, spalonej przez południowokalifornijskie upały, i błękitnych oczach, które za przyciemnionymi szklami okularów w czerwonej plastikowej oprawce wydawały się większe niż w rzeczywistości - tylko część swej uwagi poświęcał sprawie tajemniczych samochodów, myślami błądził bowiem wokół meczu koszykówki, który obiecał przyjaciółom rozegrać po południu na plaży w Marina del Rey.

- Ciężarówka skręca w szosę dojazdową do portu - oznajmiła Stacy. - Trzymaj się poza zasięgiem wzroku kierowcy, spróbujemy złapać sygnał namiarowy Timothy'ego.

- Powinniśmy byli się lepiej zabezpieczyć - rzekł McCurry z powagą w głosie. - Nie ma nikogo, kto by ich śledził na drodze, nie przygotowaliśmy też drugiego helikoptera na wypadek, gdyby przytrafiły nam się chociażby kłopoty z silnikiem. Możemy stracić ślad i narazić Weatherhilla na niebezpieczeństwo.

Stacy pokręciła głową.

- Timothy wie, o co toczy się gra, a ty nie. Uwierz mi na słowo, że nie możemy ryzykować, korzystając z obserwatorów w samochodach czy helikopterach. Tamci w ciężarówce zostali ostrzeżeni i z pewnością będą wypatrywać kogoś takiego jak my.

W słuchawkach rozległ się nagle głos Weatherhilla, mówiącego z wyraźnym teksańskim akcentem.

- Zespół Buicka, jesteście tam?

- Słyszemy cię, Tim - odparł McCurry.

- Mogę bezpiecznie nadawać?

- Tamci szukali urządzeń radionadawczych - wtrąciła Stacy - ale teraz możesz mówić.

- Macie kontakt wizualny?

- Od czasu do czasu, trzymamy się bowiem kilka kilometrów w tyle, żeby nie dostrzegł nas kierowca ciężarówki.

- Zrozumiałem.

- Nie zapomnij nadawać przez szyfrator zmiennoczęstotliwościowy.

- Tak jest, mamusiu - mruknął jowialnie Weatherhill. - Zatem wyłażę z tego rozpalonego pudła i przystępuję do działania.

- Będę w kontakcie.

- Jasne. Myśleliście, że chcę dać nogę?

Weatherhill wypchnął płyty maskujące zwykłą osłonę tylnego siedzenia samochodu, podkulił nogi i przeturlał się do wnętrza bagażnika trzeciego z kolei murmoto stojącego w naczepie ciężarówki. Otworzył od środka zamek, odchylił klapę, wygramolił się na zewnątrz i zaczął rozprostowywać zastępe kolana.

Celnicy pomogli mu się ukryć w samochodzie, lecz Timothy spędził w niewygodnej pozycji niemal cztery godziny, czekając na przybycie Furukawy i ciężarówki do przewozu aut. Słońce bijące w dach samochodu i brak wentylacji - jako że obawiali się zostawić choćby na milimetr uchylone okno, które mogłoby wzbudzić podejrzenia Japończyków - w krótkim czasie sprawiły, że był mokry od potu. Nigdy też nie przypuszczał, że można aż tak bardzo mieć dosyć zapachu fabrycznie nowego auta.

We wnętrzu naczepy panował mrok. Timothy sięgnął do saszetki przy pasku wielofunkcyjnego kombinezonu, wyjął latarkę i omiół jej promieniem auta unieruchomione na czas transportu. Dwa z nich stały na skrzyni, dwa zaś na górnej rampie.

Jechali po gładkiej autostradzie i ciężarówką prawie wcale nie trzęsło, z tego też powodu Weatherhill postanowił w pierwszym rzędzie zająć się samochodami stojącymi wyżej. Wdrapał się na górę i po cichu otworzył maskę murmoto stojącego najbliżej kabiny kierowcy. Wyjął z kieszeni przenośny miernik promieniowania i zaczął nim wodzić dokoła sprężarki klimatyzatora, uważnie patrząc na odczyty.

Po chwili zapisał parę liczb na wierzchu dłoni. Przygotował kilka narzędzi, które ułożył na błotniku auta, i sięgnął po krótkofalówkę.

- Halo, zespół Buicka?

- Słuchamy - odparła Stacy.

- Zaczynam dokładne badania.

- Tylko się nie poślizgnij i nie rozwal sobie głowy.

- Nie ma obaw.

- Czekamy na wiadomości.

W ciągu piętnastu minut Weatherhill odłączył sprężarkę i dokładnie obejrzał bombę. Był nieco rozczarowany, gdyż spodziewał się ujrzeć trochę lepiej skonstruowane cacko.

Głowicę zaprojektowano bardzo sprytnie, Timothy sądził jednak, że samodzielnie mógłby zbudować znacznie groźniejszą i silniejszą bombę tej wielkości.

Zamarł w bezruchu, kiedy usłyszał syk sprężonego powietrza i poczuł, że ciężarówka zwalnia. Ale okazało się, że tylko skręcali na inną autostradę, zaraz bowiem znów zaczęli nabierać szybkości.

Timothy szybko zamontował sprężarkę z powrotem i połączył się ze Stacy.

- Słyszycie mnie? - zapytał szeptem.

- Tak, słyszymy - odparła Stacy.

- Gdzie jesteście?

- Mijacie West Covina, kierując się na wschód, w stronę San Bernardino.

- Opróżniłem kasę i mogę się już wynosić z banku. Na którym przystanku mógłbym wysiąść z tego autobusu?

- Chwileczkę, zaraz sprawdzę w notatkach. - Stacy zamilkła na chwilę, wreszcie rzekła:

- Jest posterunek kontroli przewozów przed mostem na rzece Indio, będziecie musieli się tam zatrzymać. Każdy kierowca ma obowiązek oddać dokumenty przewozowe do sprawdzenia. Gdyby z jakiegoś powodu wcześniej skręcił, skontaktujemy się z szeryfem i polecimy mu zatrzymać ciężarówkę. Jeśli nic się nie wydarzy, dojedziecie do posterunku kontrolnego za jakieś czterdzieści pięć do pięćdziesięciu minut.

- Zatem do zobaczenia - odparł Weatherhill.

- Przyjemnej podróży.

Jak większość tajnych agentów, Weatherhill podczas wykonywania krytycznej części operacji odczuwał wpływ podwyższonego poziomu adrenaliny, ale teraz, kiedy najtrudniejsze było już za nim, szybko się rozluźnił i zaczęła mu doskwierać beczynność. Pozostało mu jedynie precyzyjnie przeczesać się przez otwór wywietrznika na dach ciężarówki i zeskoczyć tak, aby kierowca nie dostrzegł go we wstecznym lusterku.

Otworzył skrytkę w tablicy samochodu i wyjął torbę, w której znajdowała się gwarancja oraz instrukcja obsługi murmoto. Włączył lampkę na suficie i zaczął bezmyślnie przerzucać kartki instrukcji. Chociaż był specjalistą od fizyki jądrowej, zawsze pasjonował się elektroniką. Odnalazł rozdział poświęcony układom elektrycznym auta i rozłożył schemat instalacji, chcąc przyjrzeć się niektórym rozwiązaniom technicznym.

Ale zamiast schematu układów elektrycznych jego oczom ukazała się mapa z zaznaczoną trasą i strategicznym miejscem zostawienia samochodu przed detonacją.

Nagle cały zwariowany plan Sumy, w którego istnienie Timothy nie mógł do końca uwierzyć, stał się dla niego czymś realnym. Bomby ukryte w samochodach nie były tylko

czynnikiem ekonomicznego szantażu, mającego na celu ochronę japońskich interesów gospodarczych. Strach i zagrożenie nabrały realnego wymiaru.

Zamierzano naprawdę wykorzystać te głowice.



Raymond Jordan co najmniej od dziesięciu lat nigdzie się nie włąmywał - nie musiał tego robić od czasu, kiedy przestał być agentem terenowym. Z tym większą niecierpliwością chciał się przekonać, czy nie zapomniał dawnych umiejętności.

Podłączył przewody kieszonkowego komputerka do obwodów systemu alarmowego w hangarze Pitta, uruchomił specjalny program, który odczytał kod wejściowy, a następnie, po naciśnięciu jednego klawisza, przesłał go z powrotem do urządzenia. System alarmowy rozpoznał właściwą sekwencję, co zasygnalizowało zapalenie się zielonej diody. Jordan z nonszalancją wdusił przycisk wyłączenia alarmu, pchnął drzwi i bezszelestnie wkradł się do wnętrza hangaru.

Dostrzegł Pitta w odległym końcu pomieszczenia, przy otwartej masce turkusowego stutza, klęczącego na betonie tyłem do wejścia. Tamten zdawał się całkowicie pochłonięty naprawą reflektora.

Jordan przemknął w cień i obrzucił spojrzeniem całą kolekcję aut, nie mogąc się nadziwić jej wielkości. Słyszał o niej od Sandeckera, ale nie sądził, że prezentuje się ona aż tak okazale. Poszedł na palcach wzdłuż stojących rzędem samochodów, zawrócił na końcu hangaru i zbliżył się do Pitta od strony części mieszkalnej, która mieściła się na antresoli. Chciał sprawdzić reakcję Dirka na widok intruza, który niespodziewanie pojawia się tuż obok niego.

Zatrzymał się nie dalej jak trzy metry od Pitta, obrzucając spojrzeniem to samochód, to znów pochylonego człowieka. Stutz był wyraźnie podrapany i kwalifikował się do malowania. Na przedniej szybie widniało gwiazdziste pęknięcie, a lewy reflektor zwisał na przewodach.

Pitt był ubrany jak zwykle, miał na sobie sztruksy i obcisły sweter. Ciemne, starannie przyczesane włosy opadały mu na kark falami, a ciężkie czarne brwi, ocieniające szmaragdowe oczy, nadawały mu wygląd człowieka nieugiętego, a poza tym nie pozwalały ocenić, w którą stronę Dirk w tej chwili patrzy. Był zajęty mocowaniem nowej soczewki reflektora w chromowanej obudowie.

Jordan chciał już uczynić następny krok, kiedy Pitt odezwał się niespodziewanie:

- Dobry wieczór, panie Jordan. Cieszę się, że mnie pan odwiedził.

Raymond zamarł w bezruchu, ale Pitt pracował dalej, nawet na chwilę nie unosząc głowy, jak kierowca autobusu, który przyjmuje tylko odliczoną sumę za bilet.

- Powinienem był zapukać.

- Po co? I tak wiedziałem, że pan nadchodzi.

- Ma pan szósty zmysł czy też może oczy z tyłu głowy? - zapytał Jordan, zbliżając się powoli do Pitta.

Tamten w końcu uniósł głowę i uśmiechnął się szeroko. Pokazał trzymaną w dłoni obudowę reflektora, w której lustrzanej powierzchni odbijała się wyraźnie sylwetka gościa.

- Obserwowałem pana przez całą drogę wzdłuż hangaru. Wszedł pan jak najlepszy fachowiec, ale przypuszczałem, że wyłączenie alarmu zajmie panu najwyżej dwadzieścia sekund.

- Pewnie wlażłem w pole widzenia jakiejś kamery, a to znaczy, że się starzeję.

- Właśnie. Mam detektor podczerwieni na słupie telefonicznym po drugiej stronie drogi, który podnosi dyskretnie alarm, jeśli ktoś wejdzie w jego pole widzenia. Większość gości dostrzega tylko kamerę umieszczoną nad drzwiami wejściowymi.

- Ma pan fantastyczną kolekcję - rzekł Jordan. - Od jak dawna zbiera pan stare samochody?

- Zacząłem jakieś dwadzieścia lat temu od kasztanowego coupe forda z czterdziestego siódmego, które stoi tam w rogu. Potem weszło mi to w krew. Część samochodów wydobyłem z dna podczas realizacji różnych projektów NUMA, inne kupiłem od właścicieli lub na aukcjach. Takie antyki to całkiem niezła lokata kapitału, a dostarcza o wiele więcej atrakcji niż zbieranie obrazów. - Pitt dokręcił opaskę przytrzymującą szkło reflektora i podniósł się z podłogi. - Czy mogę zaproponować panu coś do picia?

- Szklanka mleka dobrze by mi zrobiła na mój znerwicowany żołądek.

- Zatem zapraszam na górę. - Dirk wskazał kręte schody prowadzące na antresolę. - Czuję się zaszczycony, że odwiedził mnie sam szef, zamiast wysyłać swojego pierwszego zastępcę.

Jordan zatrzymał się na pierwszym stopniu schodów, zerknął na Dirka i rzekł:

- Sądziłem, że powinienem sam panu to zakomunikować. Deputowana do Kongresu Smith i senator Diaz zostali wywiezieni z kraju.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Pitt uniósł głowę i popatrzył mu prosto w oczy, a na jego twarzy malowała się ulga.

- Loren nic się nie stało. - Zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.

- Nie mamy kontaktu z tymi pomyłonymi terrorystami - odrzekł Jordan. - Ale zbyt sprytnie zorganizowali to uprowadzenie, by zabić czy choćby zranić któregoś z zakładników. Wszystko wskazuje na to, że i ona, i Diaz traktowani są z pełnym szacunkiem.

- Jak udało im się przebić przez pierścień obławy?

- Służby wywiadowcze doniosły, że Smith i Diaz zostali przeniesieni do prywatnego

samolotu należącego do amerykańskiej korporacji Sumy i wystartowali z lotniska w Newport News, w Wirginii. W tym czasie obserwowaliśmy już pasażerów wszystkich samolotów, czy to rozkładowych, czy też czarterowych, w promieniu tysiąca kilometrów. A kiedy trafiliśmy na ślad prywatnej maszyny Sumy, zaczęliśmy ją obserwować przez satelitę. Polecieli nad Morzem Beringa w kierunku Japonii.

- Było za późno, żeby myśliwce wojskowe zmusiły ich do lądowania?

- O wiele za późno. Poza tym otoczyła ich eskorta szturmowców FSX z Japońskich Sił Obrony Powietrznej. Nawiasem mówiąc, te myśliwce są wspólnym dziełem Mitsubishi i naszego General Dynamics.

- I co dalej?

Jordan odwrócił głowę i zapatrzył się w dal ponad błyszczącymi karoseriami aut.

- Straciliśmy ślad - odparł cicho.

- Jak tylko wylądowali?

- Tak, w tokijskim porcie międzynarodowym. Chyba nie muszę wdawać się w szczegóły, dlaczego nikt ich nie śledził i nie pojechał za nimi, bowiem z powodów znanych jedynie pewnym idiotom z Departamentu Stanu nie mamy w Japonii żadnego agenta, który mógłby się zająć tą sprawą. To wszystko, co wiemy.

- Podobno mamy najlepszą sieć agencji wywiadowczych na świecie, a dowiedzieliście się tylko tyle - mruknął ociężałe Pitt. Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i napełnił szklanekę mlekiem, po czym wręczył ją Jordanowi. - A co z tymi specjalnymi zespołami działającymi na terenie Japonii? Gdzie byli pańscy ludzie, kiedy lądował ten samolot?

- Po tym, jak zamordowano Marviną Showaltera oraz Jima Hanamurę...

- Obaj nie żyją? - zdziwił się Pitt.

- Policja tokijska znalazła w przydrożnym rowie ciało Hanamury z obciętą głową. Głowę Showaltera odkryto zaledwie kilka godzin temu nabitą na jeden z prętów ogrodzenia naszej ambasady. W dodatku wszystko wskazuje na to, że Roy Orita był japońską "podkładką" i szpiegował nas od samego początku. Bóg jeden wie, ile raportów zdążył przekazać Sumie. Możliwe, że nigdy nie zdołamy się pozbierać po tym przecieku.

Wściekłość Pitta zaczęła powoli przygasać, kiedy w głosie Jordana odczytał smutek i rozgoryczenie.

- Przepraszam, Ray. Nie miałem pojęcia, że sprawy wyglądają aż tak źle.

- Nigdy dotąd nie kierowałem żadnym MZB, który już na początku zostałby tak zdziśiatkowany.

- Co was naprowadziło na podejrzenia względem Ority?

- Kilka faktów. Showalter był zbyt sprytny na to, by dać się w ten sposób schwytać. Musiał go zdradzić ktoś zaufany, kto dobrze znał jego rozkład dnia. Poza tym Jim Hanamura zawsze się źle wyrażał na temat Ority, choć nie miał żadnych dowodów. Jakby na potwierdzenie naszych podejrzeń Orita dosłownie zapadł się pod ziemię, nie składał raportów Melowi Pennerowi od chwili zniknięcia Showaltera. Według Kerna schronił się pod skrzydła Sumy w Edo City.

- I nie ma niczego w aktach?

- Jest Amerykaninem trzeciego pokolenia. Jego ojciec został odznaczony Srebrną Gwiazdą w kampanii włoskiej. Nie mam pojęcia, jakiej przynęty użył Suma, żeby go zwerbować.

- A kto dokonał egzekucji Hanamury i Showaltera?

- Jeszcze nie wiemy. Wszystko wskazuje na rytualne zabójstwo. Policyjny patolog orzekł, że głowy zostały odcięte mieczem samurajskim. Główny wykonawca wyroków Sumy znany jest z tego, że lubuje się w starożytnych narzędziach śmierci, ale nie możemy mu nic udowodnić.

Pitt z wolna opadł na krzesło.

- Cholera, wszystko na marne.

- Jim Hanamura nie zginął na próżno - rzekł z naciskiem Jordan. - To on przekazał nam jedyny ślad wiodący do centrum kontrolnego.

Dirk spojrzał na niego z nadzieją.

- Znacie jego lokalizację?

- Jeszcze nie świętujemy odkrycia, ale jesteśmy o krok bliżej.

- Jakie informacje przekazał Hanamura?

- Jim zakradł się do gabinetu kierownika biura projektowego i znalazł coś, co wygląda na wstępny szkic budowy elektronicznego centrum sterowania, które powinno być tym, czego szukamy. Z notatek można sądzić, że jest to komora podziemna połączona tunelem z miastem.

- I nie ma żadnych wskazówek, gdzie ono się znajduje?

- Wiadomość, jaką Jim skreślił na odwrocie koperty, którą do ambasady dostarczył kierowca furgonetki, jest zbyt enigmatyczna, aby wyciągać konkretne wnioski.

- Jaka to wiadomość?

- Napisał: "Zwróćcie uwagę na wyspę Ajima".

Pitt wzruszył ramionami.

- W czym więc problem?

- Nie ma wyspy o nazwie Ajima - odparł szybko Jordan. Uniósł szklankę i popatrzył na nią pod światło. - To mleko odciągane.

- Dla ciebie z pewnością lepsze niż pełnotłuste.

- Ale smakuje jak woda - mruknął, spoglądając na ustawione za szybą trofea. Większość z nich stanowiły nagrody samochodowych konkursów elegancji, kilka pucharów Dirk zdobył w meczach piłkarskich w szkole średniej oraz wojskowej akademii lotniczej, a dwa w turniejach szermierczych. - Fechtujesz?

- Owszem. Może nie mam szans na udział w olimpiadzie, ale wciąż trenuję, gdy mam trochę czasu.

- Szpada, floret czy szabla?

- Szabla.

- To byś mnie posiekał na kawałki, bo ja wolę floret.

- Preferujesz zręczność.

- Szkoda, że nie możemy się zmierzyć.

- Chyba że pójdziemy na kompromis i wybierzemy szpady.

Jordan uśmiechnął się krzywo.

- Nadal miałbyś przewagę, gdyż i szpadą i floretem zadaje się pchnięcia czubkiem ostrza, a przy szabli punktowane są cięcia klingą.

- Hanamura musiał jednak mieć wyraźne wskazówki, skoro zasugerował, że centrum znajduje się na wyspie Ajima - rzekł Pitt, wracając do meritum sprawy.

- Był znawcą dzieł sztuki. Całą operację rozmieszczenia mikrofonów podsłuchowych w gabinecie Sumy oparto na jego znajomości dawnego malarstwa Japonii. Wiedzieliśmy, że Suma kolekcjonuje obrazy, zwłaszcza pejzaże pewnego szesnastowiecznego artysty, który wykonał cykl widoków skalistych wysepek otaczających Honsiu. Właśnie jeden z takich pejzaży sfabrykowaliśmy, a Hanamura, udając handlarza dziełami sztuki, sprzedał go Sumie. Jedynym obrazem, jakiego Suma nie posiada w swej kolekcji, jest pejzaż wyspy Ajima. To jedyne trop, o którym mi wiadomo.

- W takim razie Ajima musi istnieć.

- Również jestem o tym przekonany, ale nie możemy połączyć tej nazwy z jakakolwiek znaną wyspą. Sprawdzaliśmy na wszystkich istniejących starych mapach. Nasuwa się wniosek, że tę nazwę wymyślił sam malarz, Masaki Shimzu, i jako taka została umieszczona w katalogach jego obrazów.

- Czy założony przez Hanamurę podsłuch przyniósł jakieś rezultaty?

- Zarejestrowaliśmy bardzo ciekawą rozmowę, w której uczestniczyli Suma, jego

rzeźnik Kamatori, stary Korori Yoshishu oraz pewien wysoko postawiony krętacz o nazwisku Ichiro Tsuboi.

- Finansowy geniusz, szef Kanoya Securities. Słyszałem o nim.

- Owszem, ten sam, którego na kilka dni przed porwaniem Loren Smith i senator Diaz ostro atakowali w trakcie przesłuchania przed specjalną komisją senacką.

- I on także jest związany z Sumą?

- Silniej niż struny w banjo - odparł Jordan. - Dzięki mikrofonom Jima dowiedzieliśmy się, że to właśnie Tsuboi zbierał za plecami japońskich polityków i przywódców partyjnych fundusze na budowę fabryki głowic jądrowych. Podczas tej rozmowy padła także po raz pierwszy nazwa projektu Kaiten.

Pitt nalał do filiżanki zimnej kawy, stojącej od śniadania, i wstawił ją do kuchenki mikrofalowej. Spoglądał przez szybę na obracającą się wolno filiżankę, a jego przymrużone oczy świadczyły, że jest całkowicie pochłonięty własnymi myślami.

- Wiem, o czym myślisz - Jordan przerwał milczenie - ale nie mam tylu ludzi, żeby za jednym zamachem uratować Diaza oraz Smith i przerwać realizację projektu Kaiten.

- Nie potrafię uwierzyć, że prezydent odwrócił się plecami do swoich ludzi.

- Nie odważyłby się wystąpić publicznie i zagrozić wojną w odwecie za to uprowadzenie, kiedy znajduje się w tak niekorzystnej sytuacji. Przede wszystkim musimy zniszczyć projekt Kaiten. Dopiero kiedy się z tym uporamy, prezydent da nam swoje błogosławieństwo i pozwoli użyć wszelkich sił i środków do uwolnienia zakładników.

- Zatem wracamy do tajemniczej wyspy Ajima - mruknął Pitt gardłowym głosem. - Twierdzisz, że to jedyny obraz cyklu, którego Suma nie posiada w swej kolekcji?

- Tak. Z relacji Hanamury wynika, że Japończyk wiele by dał, żeby go zdobyć.

- Czy macie jakieś wskazówki, gdzie ten obraz może się znajdować?

- Po raz ostatni był widziany w ambasadzie japońskiej w Berlinie tuż przed kapitulacją Niemiec. W archiwach służb specjalnych znaleźliśmy informację, że w ostatnich dniach wojny, przed wkroczeniem armii radzieckiej, obraz został dołączony do transportu dzieł sztuki zrabowanych we Włoszech i wywieziony pociągiem w kierunku północno-zachodnim. Później wszelki ślad po nim zaginął.

- Nie było nawet plotek o jego odnalezieniu?

- Żadnych.

- I nie mamy najmniejszych wskazówek co do położenia tej wyspy czy chociażby jej wyglądu?

- Nie.

- To niedobrze - mruknął Pitt. - Trzeba znaleźć obraz, porównać ukształtowanie linii brzegowej utrwalonej przez artystę ze stanem faktycznym i wtedy będziemy znali lokalizację ukrytej centrali Hidekiego Sumy. Tak przynajmniej postępowaliby bohaterowie tanich kryminałów.

Jordan spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- Tak się składa, że to jedyny trop, jakim dysponujemy.

- A wasze samoloty szpiegowskie i satelity? - zapytał nie przekonany Dirk.  
- Powinniście bez trudu odnaleźć tego typu instalację.

- Cztery główne wyspy japońskie: Honsiu, Kiusiu, Hokkaido i Sikoku, są otoczone prawie tysiącem małych wysepek. Jak można "bez trudu" odnaleźć tę jedną właściwą?

- Najpierw trzeba wybrać takie, które mogą być połączone tunelem z którąś z czterech głównych wysp.

- Daj nam trochę czasu - odparł poirytowany Jordan. - Wykluczyliśmy już te wszystkie, które leżą dalej niż dziesięć kilometrów od lądu, i skupiliśmy się na pozostałych. Po pierwsze, nie ma na ich powierzchni żadnych podejrzanych budowli i brak wzmożonego ruchu. Nic w tym dziwnego, jeśli założymy, że główny kompleks znajduje się głęboko pod ziemią. Po drugie zaś, niemal każda z tych małych wysepek jest zbudowana ze skał wulkanicznych, których kamery naszych satelitów szpiegowskich nie mogą przeniknąć. Czy udzieliłem odpowiedzi na twoje pytanie?

Pitt nie dawał za wygraną.

- Nikt nie potrafi wydrążyć tunelu, nie usuwając piasku i kamieni.

- Widocznie Japończycy potrafią. Dokładne analizy zdjęć satelitarnych nie naprowadziły nas na żadną budowę tunelu podmorskiego czy chociaż szosę, która by do niego prowadziła.

Dirk wzruszył ramionami i uniósł rękę, jakby chciał pomachać białą flagą.

- Wracamy więc do obrazu, który zniknął w mrokach dziejów.

Jordan pochylił się nagle do przodu i spojrział twardo na Pitta.

- Właśnie tu możesz się nam przysłużyć.

Dirk nie w pełni zrozumiał, co tamten ma na myśli.

- Chcacie mnie wysłać do Japonii, żebym nurkował wokół tych wysepek?

- Pudło - odparł Jordan, uśmiechając się w ten dobroduszny sposób, którego Pitt nie cierpiał. - Chcemy cię wysłać do Niemiec, żebyś nurkował w zatopionym bunkrze Luftwaffe.

- Po prostu zanurkowali i zniknęli.

Pitt przyklęknął na jedno kolano i popatrzył nad zatopionym traktorem w głąb mrocznej pieczary. W uszach mu dzwoniło od ryku odrzutowca, zdołał się zdrzemnąć tylko dwie godziny podczas lotu z Waszyngtonu. Żałował, że nie ma okazji wyspać się porządnie i zjeść obfitego śniadania w którymś z tutejszych hotelików.

- Linki bezpieczeństwa zostały ucięte - dodał młody oficer dowodzący grupą niemieckich płetwonurków, pokazując mu koniec nylonowej linki, który wyglądał jak chłaśnięty brzytwą. - Nie mamy pojęcia, co tam się stało.

- Przewody łączności też zostały przecięte? - zapytał Dirk i upił nieco kawy. Wziął w palce drobny kamyk, wrzucił go do wyrwy i obserwował koła rozchodzące się na powierzchni jeziora.

- Sznur telefoniczny, który zapewniał łączność z prowadzącym płetwonurkiem, także został ucięty - odparł wysoki, muskularny Niemiec, bardzo płynnie, z ledwo zauważalnym obcym akcentem mówiący po angielsku. - Zaraz po zejściu pod wodę, dwuosobowy zespół zameldował o odkryciu zalanego tunelu wiodącego na zachód. Przepłynęli dystans dziewięćdziesięciu metrów i zgłosili, że są w niewielkiej komorze zamkniętej stalowymi wrotami. W kilka minut później urwała się łączność. Wysłałem ich śladem drugi zespół, lecz ten również zniknął.

Pitt uniósł głowę i popatrzył na siedzących półkolem płetwonurków z marynarki niemieckiej. Na ich twarzach malował się smutek po stracie kolegów. Składane stoliki i krzeselka rozmieszczono pod namiotem ustawionym przez oddział policyjnego ratownictwa wodnego. Trzej cywile, których Dirk zakwalifikował jako rządowych oficjeli, półgłosem przesłuchiwali marynarzy.

- Kiedy zanurkował ostatni człowiek? - zapytał.

- Cztery godziny przed pańskim przylotem - odparł młody oficer, który przedstawił się jako porucznik Helmut Reinhardt. - Musiałem siłą powstrzymać innych, którzy chcieli spieszyć na ratunek. Nie chciałem ryzykować życia kolejnych ludzi, póki nie dowiemy się, co tam jest. - Ruchem głowy wskazał grupkę płetwonurków z policji, ubranych w jaskrawopomarańczowe skafandry.

- Ci idioci z policji myślą, że są nieśmiertelni. Chcą na własną rękę wysłać pod wodę swój zespół.

- Niektórzy mają skłonności samobójcze - zawyrokował Giordino i ziewnął szeroko. - Ja bym tam nie wlaź, chyba że na pokładzie atomowej łodzi podwodnej. Nie dla grzecznego



synka pani Giordino takie ryzykanckie wyprawy. Mam zamiar skonać we własnym łóżku, otoczony przez kilka piękności z Dalekiego Wschodu.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi - wtrącił Pitt. - Trzeba go raczej umieścić w jakimś ciemnym miejscu, bo ma halucynacje.

- Rozumiem - mruknął śmiertelnie poważny Reinhardt.

Wreszcie Pitt dźwignął się na nogi i skinął ręką na Franka Mancusa.

- Wpadli w pułapkę - oznajmił krótko.

Tamten przytaknął głową.

- Też tak sądzę. Wejścia do tuneli, w których ukryto skarby na Filipinach, zostały zaminowane, ale w taki sposób, by wywołać eksplozję tylko pod naciskiem ciężkiego sprzętu. Japończycy planowali wrócić tam i odzyskać łupy, natomiast hitlerowcy widocznie tak pozakładali pułapki, aby nie tylko zniszczyć poszukiwaczy, ale i na wieki pogrzebać skarby.

- Ale to, co uwięziło moich ludzi - wtrącił z naciskiem Reinhardt, jak gdyby bał się jeszcze użyć słowa: zabiło - to na pewno nie bomby.

Jeden z cywilnych oficjeli wyszedł spod namiotu i zbliżył się do Pitta.

- Kim pan jest i kogo pan reprezentuje? - zapytał po niemiecku.

Dirk spojrzał na Reinhardta, który szybko przetłumaczył pytanie, po czym znów popatrzył na tamtego.

- Proszę mu powiedzieć, że nas trzech przyleciało na specjalne zaproszenie.

- Jesteście Amerykanami? - warknął nieznajomy łamaną angielszczyzną, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. - Kto wam pozwolił wejść na ten teren?

- Co to za palant? - zapytał Giordino, robiąc niewinną minę.

Reinhardt z trudem opanował ironiczny uśmiezek.

- To Herr Gert Halder z Ministerstwa Kultury i Sztuki, wydział zabytków. Pan pozwoli, Herr Dirk Pitt i jego koledzy z amerykańskiej Krajowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, którzy przylecieli tu na specjalne zaproszenie Gabinetu Kanclerza.

Halder wyglądał jak zamroczony po ciosie w żołądek. Szybko się jednak pozbierał i wyprężył, choć co najmniej pół głowy brakowało mu do granicy wzrostu średniego, po czym zapytał tonem nie znoszącym najmniejszego sprzeciwu:

- W jakim celu?

- W tym samym, w jakim i pan tu przyjechał - odparł Pitt, przyglądając się swoim paznokciom. - O ile wierzyć dokumentom z przesłuchań wysokich oficerów hitlerowskich, które znajdują się zarówno w waszym archiwum w Berlinie, jak i w naszej Bibliotece Kongresowej, to w podziemnych tunelach pod któryś z lotnisk polowych ukryto

osiemnaście tysięcy dzieł sztuki. Mamy prawo przypuszczać, że chodzi właśnie o to lotnisko, a do podziemnego magazynu wiedzie tunel znajdujący się pod wodą.

Halder zaczął z wolna pojmować, że nie ma podstaw wrzeszczeć na tego wysokiego stanowczego mężczyznę, ubranego w luźny, błękitnozielony skafander typu Viking.

- Mam nadzieję, że wiecie, iż każdy odnaleziony obiekt jest własnością Republiki Federalnej Niemiec i dopiero później można występować o jego zwrot pierwotnym właścicielom.

- W pełni jesteśmy tego świadomi - odrzekł Pitt. - Nas interesuje tylko jeden konkretny obraz.

- Który?

- Przepraszam, ale nie mogę tego ujawnić

Halder postanowił wyłożyć karty na stół.

- Będę jednak nalegał, żeby grupa pływaczy policyjnych jako pierwsza zeszła pod wodę.

- Nie mamy nic przeciwko temu. - Giordino skłonił się lekko i wskazał wielką dziurę w ziemi. - Może któryś z pańskich ludzi będzie miał szczęście i wróci na powierzchnię, żeby powiedzieć nam, co pożera ludzi w głębi tej cholernej jamy.

- Straciłem czterech swoich marynarzy - wtrącił Reinhardt. - Prawdopodobnie nie żyją. Nie może pan wysłać następnych na pewną śmierć.

- To są doświadczeni nurkowie - odparł Halder.

- Podobnie jak moi ludzie, którzy są najlepszymi nurkami w całej marynarce i uczestniczyli już w wielu policyjnych akcjach ratowniczych.

- Czy mogę zaproponować pewien kompromis? - rzekł Pitt.

Halder skinął głową.

- Słucham.

- Zbierzemy siedmioosobową ekipę. Nas trzech, ponieważ ten oto Frank Mancuso jest inżynierem górnictwa i specjalistą od szybów podziemnych, natomiast Al i ja mamy doświadczenie w zakresie ratownictwa podwodnego. Poza tym dwóch marynarzy porucznika Reinhardta, którzy mają wprawę w rozbijaniu i demontowaniu ładunków wybuchowych, oraz dwóch pańskich policjantów, którzy będą tworzyli zabezpieczenie medyczne.

Halder przez chwilę zaglądał Pittowi w oczy, ale dostrzegłszy w nich jedynie stanowczość, uznał tę propozycję za rzeczową i logiczną. Uśmiechnął się niepewnie.

- Kto pójdzie pierwszy?

- Ja - odparł Dirk bez wahania.

To jedno słowo wyjątkowo długo odbijało się echem we wnętrzu zatopionego bunkra. Napięcie opadło nagle, kiedy Halder wyciągnął rękę.

- W porządku. - Uścisnął dłoń Pitta, po czym natychmiast wypiął pierś, jakby obawiał się utracić choć cząstkę swego autorytetu. - Ale pana obarczę odpowiedzialnością, Herr Pitt, jeśli wybuch jakiejś bomby zniszczy dzieła sztuki.

Dirk uśmiechnął się od ucha do ucha.

- W takim wypadku, Herr Halder, dostanie pan moją głowę, całkiem dosłownie.

Pitt ustawił godzinę na kieszonkowym mikrokomputerze sprzężonym z aparatem tlenowym, sprawdził ponownie regulator dopływu powietrza oraz kompensator siły wyporu i chyba po raz piętnasty od chwili zejścia po drabinie z pola Clausena zapatrzył się na złowieszczą, czarną tafłę jeziora.

- Podeszwy ci się palą - mruknął Giordino, regulując długość rzemyków podtrzymujących butle.

Dirk pominął milczeniem tę uwagę i tylko w zamyśleniu potarł policzek.

- Jak myślisz, co nas tam czeka? - zapytał Mancuso.

- Sądzę, że znam połowę odpowiedzi - rzekł Pitt - ale nie mam pojęcia, co tak równiutko przecina linki i kable.

- Sprawdź mikrofon - przypomniał mu Frank.

Dirk założył maskę na twarz i powiedział:

- Miała babuleńka kozła rogatego...

Urządzenie tłumilo nieco głos, ale słowa były w pełni zrozumiałe.

- Najwyższa pora ruszać, wodzu nieustraszony - mruknął Giordino.

Pitt skinął na Reinhardta, któremu towarzyszył jeden z marynarzy.

- Gotowi jesteście, panowie? Proszę zachowywać odległość dwóch metrów między sobą. Widoczność sięga czterech metrów, nie powinno więc być kłopotów z zachowaniem szyku. Będziemy się porozumiewali z wami poprzez urządzenia akustyczne.

Reinhardt uniesioną ręką dał znać, że zrozumiał, i odwrócił się do stojących za nim pletwonurków z policji, tłumacząc polecenia na niemiecki. Wreszcie zasalutował Dirkowi.

- Jesteśmy gotowi.

Nie chcąc dłużej opóźniać akcji, Pitt rozłożył szeroko ręce, wskazując wyciągniętymi kciukami do góry.

- Ja płynę środkiem, Frank dwa metry za mną, po lewej, a ty, Al, po prawej. Zwracajcie uwagę na każde urządzenie, które może wystawać ze ściany.

Włączył latarkę, szarpnął węzeł linki bezpieczeństwa, sprawdzając, czy trzyma mocno,

wreszcie ułożył się płasko na wodzie i popłynął. Przez chwilę utrzymywał się na powierzchni, lecz wkrótce zanurkował głową w dół. Z zewnątrz pozostał widoczny tylko strumień światła jego lampki.

Woda była zimna. Dirk zerknął na ekranik komputera, który wskazywał temperaturę 14 stopni Celsjusza. Betonowe ściany tunelu pokrywał zielonkawy nalot i cienka warstwa mułu. Pitt zwracał baczną uwagę, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów i nie zahaczyć płetwą o podłoże, gdyż zmacona woda przesłoniłaby widoczność ludziom płynącym z tyłu.

Ogarnęła go radość, czuł się bowiem we własnym żywiole. Skierował światło latarki w górę i popatrzył na sklepienie bunkra, które stopniowo opadało i ginęło pod wodą, a komora przechodziła w dość wąski tunel. Im głębiej się zanurzał, tym woda była bardziej mętna, cząsteczki osadów dostrzegalne tuż przed maską ograniczały widoczność do trzech metrów. Zatrzymał się i polecił reszcie ekipy zmniejszyć nieco dystans. Ruszył dalej, starając się utrzymywać jednakową odległość od podłoża, które jeszcze przez jakiś czas wyraźnie opadało. W końcu spowity w ciemności tunel zaczął prowadzić w poziomie.

Po przebyciu dalszych dwudziestu metrów Pitt znów się zatrzymał, obrócił do pozycji pionowej i spojrzął za siebie. Al i Frank wyglądali jak dwa mroczne cienie sunące w ślad za mętnym blaskiem lamp, obaj jednak ściśle utrzymywali wyznaczone pozycje. Dirk popatrzył na ekran komputerka. Odczyt ciśnienia wskazywał, że znajdują się na głębokości zaledwie sześciu metrów.

Po pewnym czasie tunel zwęził się jeszcze bardziej i zaczął podnosić ku górze. Pitt płynął bardzo ostrożnie, próbując wzrokiem przebić mrok. Powoli uniósł lewą rękę nad głowę i poczuł, że dłoń wyszła z wody. Obrócił się na plecy i skierował strumień światła w strop, lecz kilka centymetrów przed maską ujrzał lekko falującą powierzchnię, która rozrzucała odbłaski niczym dygocząca kropla rtęci.

Z zimnej wody, w wypełnionej zatęchłym wilgotnym powietrzem komorze, niczym jakiś stwór z oceanicznych głębin wynurzyła się głowa osłonięta gumowym kapturem skafandra i maską z doprowadzeniem tlenu, oświetlona widmowym blaskiem podwodnej latarki. Dirk machnął kilka razy płetwami, powoli dźwignął się w górę i stanął na wychodzących z wody betonowych schodkach.

Jego najgorsze przeczucia się nie sprawdziły, przynajmniej jeszcze nie w tej komorze; nie zobaczył żadnych ciał płetwonurków z niemieckiej marynarki wojennej. Dostrzegł jednak miejsce, gdzie ludzie czyścili płetwy z mułu na betonowej posadzce, ale był to jedyny ślad niedawnej ich obecności.

Przyjrzał się uważnie ścianom komory, ale nie zauważył niczego, co mogłoby zagrażać

ich życiu. W przeciwległym końcu sali promień latarki wyłowił ciężkie, zardzewiałe żelazne drzwi. Człapiąc płetwami wszedł na szczyt schodów, stanął przed pancernymi wrotami i delikatnie naparł na nie ramieniem. Bezgłośnie, z niewiarygodną lekkością drzwi uchyliły się na zawiasach, jak gdyby nasmarowano je nie dalej niż w ubiegłym tygodniu. Otwierały się do wewnątrz, a gdy tylko Dirk cofnął rękę, sprężyny błyskawicznie domknęły je z powrotem.

- Hej, hej! I co my tu mamy? - Głos Mancusa był słyszalny, ale brzmiał tak, jak gdyby Frank mówił do mikrofonu przez ustnik maski tlenowej.

- Proszę zgadnąć, co znajduje się za drzwiami numer jeden, a wygra pan roczny zapas stalowych wiórków do szorowania parkietów - odrzekł Giordino, którego nigdy nie opuszczało przewrotne poczucie humoru.

Pitt uklęknął, podwijając końce płetw, i ponownie uchylił drzwi o kilka centymetrów. Przez chwilę przyglądał się szczelinie, wreszcie wskazał dolną krawędź pokrytej rdzą blachy.

- Już wiemy, co przecięło linki i kable.

Al pokiwał głową.

- Ludzie weszli do środka, a mechanizm sprężynowy zamknął drzwi, których ostra krawędź szoruje po betonie, przecinając kable.

Mancuso spojrzał na Dirka.

- Mówiłeś przedtem, że znasz drugą część odpowiedzi.

- Właśnie - dodał Giordino. - To jeszcze nie wyjaśnia, co spowodowało śmierć najlepszych płetwonurków z niemieckiej marynarki.

- Gaz - odpowiedział szybko Pitt. - Trujący gaz, którego dopływ otwiera mechanizm zamykający drzwi.

- To brzmi sensownie - przyznał Mancuso.

Dirk skierował strumień światła na lustro wody i dostrzegł bańki powietrza poprzedzające wynurzenie się Reinhardta i jego kolegi.

- Frank, zostań tu i nie pozwól nikomu tam wejść. Al i ja pójdziemy sami. Bez względu na wszystko musisz dopilnować, aby każdy oddychał tylko tlenem z butli. Pod żadnym pozorem nie wolno zdejmować masek.

Mancuso uniósł wyciągniętą dłoń i odwrócił się szybko, żeby ostrzec ludzi wychodzących z wody.

Giordino oparł się o ścianę, podkurczył nogę i zdjął płetwę.

- Nie ma sensu, żebyśmy człapali jak kaczki.

Pitt także zdjął płetwy. Zaszurał podeszwą gumowego buta o betonową posadzkę, żeby sprawdzić przyczepność, ale ten się ślizgał - wystarczyło drobne zachwianie równowagi i

człowiek mógł się przewrócić.

Skontrolował także ciśnienie w butlach, którego odczyt miał na ekranie komputera. Powietrza wystarczyło jeszcze na godzinę oddychania pod normalnym ciśnieniem atmosferycznym. Po wyjściu z zimnej wody temperatura otoczenia także umożliwiała swobodne przebywanie w skafandrze.

- Patrz pod nogi - przestrzegł Ala.

Popchnął drzwi i wszedł do środka takim krokiem, jakby wybierał się na spacer. Otoczyło go suche powietrze, wskaźnik wilgotności spadł nagle do zera. Stał i omiół światłem lampki betonową posadzkę, wypatrując jakichś zapadek czy naciągniętych drutów, które mogłyby detonować ładunki wybuchowe lub otwierać zawory butli z gazem trującym. Dostrzegł wreszcie dwa skręcone kawałki szarego szpagatu, ledwo widoczne w półmroku tuż u jego stóp.

Jeden koniec sznureczka prowadził do butli z napisem: FOSGEN. Dzięki Bogu, pomyślał Pitt, wzdychając z ulgą. Przypomniawszy sobie, że fosgen działa toksycznie przez układ oddechowy. W czasie drugiej wojny światowej Niemcy stosowali również gaz paralizujący, ale widocznie zapomnieli o nim czy też z jakichś powodów nie zastosowali go tutaj. Pitt i Giordino, a także stojący za nimi ludzie, mogli więc mówić o szczęściu, gdyż gaz paralizujący działał przez skórę, a oni mieli gołe ręce i odkryte twarze wokół masek tlenowych.

- Miałaś rację z tym gazem - odezwał się Giordino.

- Niestety, za późno, żeby pomóc tym biednym marynarzom.

Znaleźli jeszcze cztery dalsze pułapki gazowe, przy czym dwie butle były otwarte. Śmiercionośny fosgen dokonał swego dzieła. Trupy płetwonurków spoczywały w nienaturalnych pozycjach w promieniu zaledwie kilku metrów. Wszyscy mieli zdjęte maski tlenowe, nikt nie spodziewał się tutaj gazu, dopóki nie było już za późno. Pitt nie zadał sobie nawet trudu sprawdzania pulsu, sine twarze i wybałuszone szkliste oczy świadczyły wyraźnie, że żaden z mężczyzn nie żyje.

Skierował strumień światła w głąb sali i zamarł w bezruchu.

Stał niemal twarzą w twarz z kobietą, która kokietyjnie pochylała głowę. Na pięknej twarzy o nieco wystających kościach policzkowych i gładkiej różowej skórze widniał delikatny uśmiech.

Nie była sama. Tuż za nią stało kilka innych posągów, a wszystkie kierowały spojrzenia martwych oczu na Pitta. Wszystkie były też nagie i zakrywały się warkoczami, które niejednokrotnie sięgały im aż do kolan.

- Oto umarłem i znalazłem się w niebie amazonek - mruknął Giordino pełnym podziwu

głosem.

- Nie podniecaj się, to tylko malowane rzeźby.

- I tak mam ochotę się do nich przytulić.

Dirk obszedł łukiem grupę naturalnej wielkości posągów i uniósł latarkę nad głowę. Ujrzał całe morze pozłaczanych ram obrazów. Jak daleko sięgał promień lampki, a zapewne także dużo dalej, ciągnęły się wzdłuż ścian regały zastawione po sufit niewiarygodną liczbą płócien, posążków, drogocennych przedmiotów liturgicznych, arrasów, starych książek, zabytkowych mebli i skarbów archeologicznych, starannie porozmieszczanych w otwartych pakach i skrzyniach.

- Sądzę - mruknął Dirk do mikrofonu w swojej masce - że właśnie udało nam się uszczęśliwić bardzo wielu ludzi.

Niemcy uwinęli się błyskawicznie. Ściągnęli oddział dezaktywacji skażeń chemicznych, który za pomocą węża zaczął wypompowywać trujące powietrze z podziemnego skarbcza, neutralizując fosgen w pojemnikach ciężarówce stojącej przy zapadlisku. Jednocześnie Reinhardt i jego ludzie rozbroili gazowe pułapki, po czym przekazali chemikom butle z gazem. Dopiero wtedy wyniesiono ciała martwych płetwonurków i umieszczono je w ambulansach.

Nie minęły cztery godziny od rozpoczęcia akcji, kiedy spuszczone pod ziemię aluminiowe rury i gigantyczne pompy samobieżne zaczęły przerzucać wodę z podziemnego jeziorka do pobliskiego strumienia. Zarazem oddział inżynierski zaczął odkopywać pierwotną pochylnię transportową, prowadzącą do głównej komory skarbcza, zasypaną po jego zamknięciu pod koniec wojny.

Mancuso niecierpliwie chodził po betonowej podłodze bunkra, co kilka minut spoglądając na tablicę kontrolną aparatu mierzącego poziom skażenia powietrza fosgenem. Następnie wracał nad brzeg jeziorka, szacując obniżający się szybko poziom wody. Wydeptywał ścieżkę, krążąc tam i z powrotem, i nie mógł doczekać się chwili, kiedy bezpiecznie zdoła wejść do komory wypełnionej zrabowanymi przez hitlerowców skarbami.

Giordino natomiast ułożył się do snu. W pomieszczeniach mechaników dawnej Luftwaffe znalazł jakiś stary koc, owinał się nim szczelnie i zasnął.

Pitt, po złożeniu szczegółowego raportu Reinhardtowi i Halderowi, z przyjemnością przyjął zaproszenie na domowy obiad, przygotowany przez Frau Clausen, i zniknął w ciepłym wnętrzu domostwa. Później zaś zszedł ponownie do bunkra, żeby obejrzeć stare samoloty. Krążył dokoła wybranego messerschmitta 262, podziwiając smukłą, cygaropodobną sylwetkę kadłuba, trójkątny stabilizator pionowy oraz niezgrabne silniki turboodrzutowe, podwieszane pod skrzydłami o ostrych jak brzytwa krawędziach. Jedyne oznaczenia były czarne krzyże na białym tle, widniejące na skrzydłach i kadłubie, swastyka na ogonie oraz wielka cyfra 9, wymalowana przed kabiną pilota.

Ów pierwszy turboodrzutowy myśliwiec świata został wyprodukowany za późno, żeby ocalić Niemcy, choć i tak poczynił ogromne spustoszenia w brytyjskich i amerykańskich siłach powietrznych w ostatnich miesiącach wojny.

- Ta maszyna lata, jakby niesiona na skrzydłach aniołów.

Pitt odwrócił się na dźwięk głosu Gerta Haldera, który stanął tuż za nim. Błękitne oczy Niemca z podziwem spoglądały na kabinę messerschmitta.

- Wygląda pan dość młodo, chyba nie miał pan okazji nimi latać.



Halder pokręcił głową.

- Nie, zacytowałem wypowiedź jednego z asów naszego lotnictwa z czasów wojny, Adolfa Gallanda.

- Zdaje się, że niewiele trzeba, by uczynić je zdatnymi do latania.

Halder powędrował spojrzeniem wzdłuż szeregu samolotów, stojących w nienaturalnej ciszy olbrzymiego bunkra.

- Wątpię, aby rząd przeznaczył jakieś fundusze na tego typu renowacje. Będę miał szczęście, jeśli uda mi się uratować pięć lub sześć dla naszych największych muzeów.

- A pozostałe?

- Zostaną sprzedane na aukcjach innym placówkom muzealnym oraz prywatnym kolekcjonerom z całego świata.

- Szkoda, że nie stać mnie na taki wydatek - powiedział Pitt z żalem w głosie.

Halder spojrzał na niego uważnie. Zniknęła gdzieś cała urzędnicza arogancja, za to na jego wargach pojawił się tajemniczy uśmieszek.

- Ile samolotów pan naliczył?

Dirk cofnął się o krok i szybko policzył stojące rzędem maszyny.

- Dokładnie czterdzieści.

- Błąd, jest ich trzydzieści dziewięć.

Pitt policzył po raz drugi i znowu wyszło mu czterdzieści.

- Przykro mi, ale...

Halder uciszył go ruchem ręki.

- A gdyby tak jeden zniknął zaraz po odkopaniu rampy transportowej i został wywieziony za granicę, nim zdążę dokonać oficjalnej inwentaryzacji?...

Nie musiał już mówić nic więcej, Pitt zrozumiał go, chociaż nie mógł uwierzyć własnym uszom. Me-262, zachowany w niemal idealnym stanie, był wart ponad milion dolarów.

- Kiedy ma pan zamiar rozpocząć inwentaryzację? - zapytał swobodnym tonem.

- Najpierw musimy skatalogować zrabowane dzieła sztuki.

- Ależ to zajmie wiele tygodni...

- Może nawet miesiący.

- Dlaczego? - Pitt obrócił się w stronę Haldera.

- Powiedzmy, jako dług wdzięczności. Byłem niegrzeczny wobec pana. Ponadto czuję się w obowiązku wynagrodzić pańską odwagę i zdecydowanie, które otworzyły nam drogę do skarbcza, ocaliły życie co najmniej pięciu ludzi, a także powstrzymały mnie przed zrobieniem z

siebie ostatniego idioty, co zapewne doprowadziłoby do mojej dymisji.

- I dlatego zgadza się pan odwrócić głowę, kiedy będę wykradał jeden z samolotów?

- Jest ich tyle, że nikt nie zauważy straty.

- Będę niezmiernie wdzięczny - odparł szczerze Pitt.

Halder zmierzył go wzrokiem.

- Kiedy pracował pan w tunelu, poprosiłem przyjaciela z naszych służb wywiadowczych, żeby dokopał się do pańskich akt. Stąd wiem, że messerschmitt dwieście sześćdziesiąt dwa będzie świetnym prezentem do pańskiej kolekcji, tym bardziej że stanie obok trójsilnikowego forda.

- Pański przyjaciel bardzo sumiennie wypełnił tę prośbę.

- Myślę też, że jako entuzjasta starych urządzeń mechanicznych zadba pan o niego właściwie.

- Postaram się przywrócić mu pierwotną świetność - obiecał Dirk.

Halder zapalił papierosa, oparł się ramieniem o zwisający pod skrzydłem silnik i wydmuchnął kłęb niebieskawego dymu.

- Proponuję, żeby już się pan rozejrzył za ciężarówką z odpowiednią naczepą. Jeszcze dziś wieczorem wjazd do bunkra zostanie poszerzony do tego stopnia, że będzie można wyciągnąć samolot na powierzchnię. Nie wątpię też, że porucznik Reinhardt i jego ludzie chętnie pomogą panu przy załadunku najnowszej zdobyczy.

Zanim oszołomiony Pitt zdołał wykrztusić choć jedno słowo, Halder odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę wyjścia.

Minęło jeszcze osiem godzin, zanim potężne pompy osuszyły tunel, a powietrze zostało na tyle oczyszczone, by można było bezpiecznie wejść do skarbcza wojennych łupów. Halder wziął megafon, wdrapał się na krzesło i zaczął instruować armię ekspertów sztuki, historyków i wciąż przybywających oficjeli oraz polityków, którzy mieli zejść pod ziemię. Na stratowanym polu Clausena wciąż rósł tłum dziennikarzy i reporterów telewizyjnych, którzy również domagali się wstępu do bunkra, ale Halder skontaktował się ze swymi przełożonymi i zabronił wejścia jakimkolwiek przedstawicielom mediów przed rozdaniem oficjalnych przepustek.

Skarbiec miał ponad pięćset metrów długości i był zastawiony skrzyniami i pakami na wysokość czterech metrów. Pomimo zalania tunelu wejściowego wodą szczelnie dopasowane żelazne drzwi oraz solidne betonowe ściany sprawiły, że wilgoć nie dostała się do środka i nawet najdelikatniejsze przedmioty zachowały się w znakomitym stanie.

Niemcy natychmiast zaczęli organizować polowe laboratoria: fotograficzne,

konserwatorskie, badawcze oraz dokumentacyjne. Po udzieleniu instruktażu Halder przeniósł się pod ziemię, gdzie naprędce, z elementów prefabrykowanych, zorganizowano mu biuro, w pełni umeblowane, wyposażone w telefony i telefaks. Pittowi szumiało w głowie od tego rozgardiaszu. Chodził osuszonym już korytarzem u boku Mancusa i nie mógł się nadziwić, jak wiele zrobiono w niespełna dwadzieścia cztery godziny.

- Gdzie jest Giordino? - zapytał Frank.

- Poszedł wynająć ciężarówkę.

Mancuso uniósł wysoko brwi i popatrzył na niego z ukosa.

- Nie masz chyba zamiaru nawiać stąd z ciężarówką pełną skarbów? Jeśli tak, to wyłącz mnie z tego interesu. Szkopy cię przymkną, zanim zdążysz wyjechać poza teren gospodarstwa.

- Nie zrobią tego, gdy ma się wysoko postawionych przyjaciół - odparł Dirk z uśmiechem.

- Nie chcę w ogóle o tym słyszeć. Jeśli knujesz coś paskudnego, to zrób to po moim wyjeździe.

Minęli wejście do magazynu i wkroczyli do biura Haldera, znajdującego się z boku korytarza. Ten rozmawiał po niemiecku przez jeden z czterech telefonów, lecz powitał ich uniesioną ręką i wskazał składane krzeselka. Zaledwie zdążyli usiąść, kiedy odłożył słuchawkę.

- W pełni doceniam fakt, że Gabinet Kanclerza pozwolił wam tu działać na własną rękę, lecz zanim rozpoczniecie przeszukiwanie skrzyń, chciałbym się dowiedzieć, co was interesuje.

- Szukamy dzieł sztuki wywiezionych z japońskiej ambasady w Berlinie - odparł Pitt.

- Myślicie, że one tu są?

- Nie było czasu, żeby przewieźć je do Japonii - wyjaśnił Mancuso. - Rosjanie okrążali już miasto. Ambasador opieczętował budynek i ledwie zdołał uciec ze swym personelem do Szwajcarii. Według starych dokumentów wszystkie cenniejsze przedmioty z ambasady zostały oddane hitlerowcom na przechowanie, a ci ukryli je pod płytą polowego lotniska.

- Sądzicie zatem, że mogą znajdować się w tym bunkrze?

- Tak uważamy.

- Czy mogę zapytać, z jakich powodów rząd amerykański jest tak bardzo zainteresowany starą sztuką japońską?

- Przykro mi - odparł szczerze Pitt - ale nie wolno nam udzielić takiej informacji. Mogę jedynie zapewnić, że nasze poszukiwania nie przysporzą najmniejszych kłopotów rządowi niemieckiemu.

- Bardziej martwią mnie Japończycy, którzy z pewnością będą domagali się zwrotu swojej własności.

- My nie chcemy niczego stąd zabierać - wtrącił Mancuso. - Mamy zamiar jedynie wykonać kilka fotografii.

- W porządku, panowie. - Halder westchnął ciężko i spojrział na Dirka. - Ufam panu, Herr Pitt. Nasza umowa stoi. Proszę działać tak, jak pan uważa, a ja zapewniam, że będę patrzył w drugą stronę.

Po wyjściu z biura Mancuso szepnął:

- O czym on mówił? Co to za umowa?

- Chodzi o werbunek.

- Werbunek?

Pitt skinął głową.

- Namówił mnie, żebym wstąpił do Luftwaffe.

Znaleźli skrzynie z przedmiotami z japońskiej ambasady nie dalej niż piętnaście metrów za wielkimi posągami, zrabowanymi z jakiegoś muzeum w Europie. Niemcy zdążyli już zainstalować szereg lamp zasilanych z polowego generatora, które oświetlały wydające ciągnąć się w nieskończoność regały ze skarbami.

Bez trudu odnaleźli właściwe paki - były na nich wymalowane japońskie hieroglify, a poza tym wyglądały o wiele lepiej od byle jak, naprędce skleconych z desek skrzyń z łupami hitlerowców.

- Zacznijmy od tej - rzekł Mancuso, wskazując wydłużony pojemnik. - Wielkość jest odpowiednia.

- Uczyłeś się trochę japońskiego. Co tu jest napisane?

- "Pojemnik numer cztery" - przetłumaczył Frank. - "Własność jego cesarskiej mości, imperatora Japonii".

- To wszystko wyjaśnia.

Pitt za pomocą młotka i łomu ostrożnie odbił pokrywę. Wewnątrz znajdował się niewielki, lekko pomarszczony obraz przedstawiający kilka ptaków krążących wokół szczytu górskiego.

- Ani śladu wyspy - mruknął, wzruszywszy ramionami.

Otworzył dwa następne pojemniki, ale ukryte w nich obrazy wyglądały na znacznie późniejsze od szesnastowiecznego malarstwa Masakiego Shimzu. Większość niniejszych skrzynek wypełniono starannie owiniętymi przedmiotami z porcelany. W końcu została tylko jedna większa paka, stojąca na samym dnie regału, która mogła pomieścić obraz.

Mancuso był już wyraźnie zniecierpliwiony, na czole perliły mu się krople potu i nerwowo zagryzał ustnik fajki.

- To musi być w tamtej skrzyni - mruknął. - W przeciwnym, razie zmarnowaliśmy mnóstwo czasu.

Pitt bez słowa przystąpił do pracy. Skrzynia sprawiała wrażenie mocniej zbitej gwoździami. Wreszcie uchylił nieco pokrywę i zajrzał do środka.

- Widzę wodę, a to by wskazywało na morski pejzaż. Lepiej, jest też wyspa.

- Dzięki Bogu. Wyciągnij to, człowieku. Przyjrzymy się dokładnie.

- Chwileczkę.

W ramce obrazu brakowało górnej listwy, Dirk sięgnął więc w głąb, chwycił za dolną część i z mozolem wysunął pejzaż ze skrzyni. Ujął pewniej i podniósł wysoko, by lepiej go było widać w słabym świetle.

Mancuso pośpiesznie wyciągnął z kieszeni niewielki katalog i zaczął przerzucać kolorowe reprodukcje, porównując je z obrazem.

- Nie jestem fachowcem, ale to wygląda na pejzaż Shimzu.

Pitt odwrócił malowidło i spojrzał na tylną stronę płótna.

- Tam jest coś napisane. Dasz radę odczytać?

Mancuso przykucnął.

- "Wyspa Ajima. Masaki Shimzu" - odczytał z triumfem w głosie. - Znaleźliśmy. Oto wyspa, na której mieści się centrum dowodzenia Sumy. Teraz trzeba tylko porównać zarys linii brzegowej ze zdjęciami satelitarnymi.

Pitt odruchowo obrzucił spojrzeniem liczący sobie czterysta pięćdziesiąt lat pejzaż, na którym Shimzu uwiecznił wyspę zwaną Ajima. W niczym nie przypominała ona rajy dla turystów. Nagie wulkaniczne skały wznosiły się stromo nad spienionymi falami, nie było nawet śladu plaży, a i roślinności jak na lekarstwo - bezludna, zapomniana, posepna wyspa. Przypominała naturalną fortecę, znakomitą kryjówkę dla kogoś takiego jak Suma. Nie dało się tam potajemnie wylądować, ani z powietrza, ani z morza, bez wzbudzania podejrzeń.

- Przeniknięcie do wnętrza tej skały - rzekł w zamyśleniu - wygląda wręcz na niemożliwe. Ktokolwiek będzie próbował opanować wyspę, narazi się na pewną śmierć.

Wyraz triumfalnego podniecenia błyskawicznie zniknął z twarzy Mancusa.

- Nie mów tak - mruknął. - Nawet nie myśl w ten sposób.

Pitt spojrzał tamtemu w oczy.

- Dlaczego? Odnalezienie wejścia to nie nasz problem.

- Mylisz się. - Frank otarł rękawem pot ściekający mu po czole. - Teraz, kiedy zespoły

Cadillaka i Hondy zostały zdziesiątkowane, Jordan nie ma innego wyjścia, jak wysłać mnie, ciebie i Giordina. Nie pomyślałeś o tym?

Dopiero teraz dotarło do Pitta, że Frank ma rację. Jordan trzymał ich trzech w rezerwie, mając na myśli potajemne zniszczenie centrali detonacyjnej Sumy.

Prezydent przebiegał wzrokiem leżące przed nim dokumenty, a na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania. Wreszcie podniósł głowę.

- Więc oni naprawdę mają zamiar odpalić głowice? To nie jest tylko blef?

Jordan w skupieniu skinął głową.

- To nie jest blef.

- Wprost nie do pomyślenia.

Ray nie odpowiedział, pozwolił prezydentowi zagłębić się we własnych myślach. Spoglądał na tego z pozoru wcale się nie starzejącego człowieka, który wyglądał dokładnie tak samo, jak tego dnia, kiedy jako świeżo upieczonemu senatorowi z Montany przedstawiono mu Jordana. Zachował szczupłą sylwetkę, błękitne oczy wciąż rzucały żywe błyski, tak samo wyczuwało się jego przyjazną, opiekuńczą naturę. Władza nie uderzyła mu do głowy, zachowywał się skromnie i utrzymywał zażyłe stosunki z wieloma pracownikami Białego Domu, wyjątkowo tylko zdarzało mu się zapomnieć o czyichś urodzinach.

- Na miłość boską, przecież nasza flota nie otoczyła jeszcze ich wysp szczelnym pierścieniem.

- Przeraziło ich to, że znaleźli się w centrum uwagi całego świata - powiedział Donald Kern. - Teraz, kiedy w Chinach i Rosji buduje się demokrację, kraje bloku wschodniego odzyskały niezależność, w Afryce Południowej trwają przygotowania do wolnych wyborów, a cały Środkowy Wschód gotuje się we własnym sosie, opinia światowa kieruje się w stronę Japonii, która odskoczyła zbyt szybko i zbyt daleko. - Pokiwał głową. - Są bardzo agresywni w kwestiach gospodarki, nie nauczyli się jeszcze za grosz subtelności. Im więcej rynków zdobywają, tym bardziej zadzierają nosa.

- Trudno ich jednak odsądzać od czci i wiary za to, że chcą widzieć światową ekonomię taką, jaka im najbardziej odpowiada - wtrącił Jordan. - W interesach posługują się zupełnie inną etyką niż my. Nie widzą nic złego w wykorzystywaniu wszelkich sposobności rynkowych i żerowaniu na czyjejś słabości, bez względu na realia. W myśl tej filozofii największym przestępstwem jest występowanie przeciwko ich nieustannemu rozwojowi. Mówiąc szczerze, postępowaliśmy tak samo w handlu zagranicznym zaraz po drugiej wojnie światowej.

- Trudno się z tym nie zgodzić - przyznał prezydent. - Nieliczni spośród amerykańskich biznesmenów mają zadatki na świętych.

- Nasz Kongres i kraje europejskiego Wspólnego Rynku stworzyły jednolity front przeciwko Japończykom. Gdyby uchwalono embargo i nacjonalizację japońskich korporacji, Tokio może byłoby skłonne do negocjowania, lecz Suma i jego poplecznicy są gotowi wziąć

srogi odwet.

- Ale żeby grozić użyciem broni jądrowej i zniszczeniem...

- Grają na zwłokę - wyjaśnił Jordan. - Ów szantaż całego świata jest tylko częścią znacznie szerszego planu. Japończycy żyją w strasliwym ścisku, sto dwadzieścia pięć milionów ludzi zamieszkuje obszar Kalifornii, z czego większość górzystych terenów nie nadaje się do życia. Bez wątpienia długofalowym celem jest wysłanie milionów najlepszych specjalistów do innych krajów i utworzenie czegoś w rodzaju kolonii, które byłyby silnie związane z Japonią i całkowicie od niej uzależnione. Interesuje ich Brazylia, a także Stany Zjednoczone, wzięwszy pod uwagę narastającą falę emigrantów osiedlających się na Hawajach i w Kalifornii. Japończyków dręczy obsesja przetrwania za wszelką cenę, a w przeciwieństwie do nas snują plany na dziesiątki lat naprzód. Poprzez handel światowy stworzyli gigantyczną, globalną wspólnotę ekonomiczną, dla której najwyższą wartością są tradycje i kultura Japonii. Sami nawet nie dostrzegają, że Suma dąży do zajęcia w tej wspólnocie stanowiska dyrektora naczelnego.

Prezydent ponownie spojrzął na otwartą teczkę z dokumentami.

- I ma zamiar bronić tego przestępczego imperium przez rozmieszczanie głowic nuklearnych w strategicznych centrach innych krajów.

- Trudno jednak obwiniać za to ich rząd czy zwykłych obywateli - zawyrokował Jordan.

- Jestem całkowicie przekonany, że premier Junshiro został wprowadzony w błąd i wykiwany przez Hidekiego Sumę i popierający go kartel przemysłowców, finansistów oraz przywódców podziemia gospodarczego, który w tajemnicy zbudował fabrykę głowic jądrowych i opracował projekt Kaiten.

Prezydent rozłożył ręce.

- Może zatem powinienem zorganizować spotkanie z Junshiro i zapoznać go z odkryciami naszego wywiadu?

Jordan pokręcił głową.

- Nie radziłbym tego robić, przynajmniej nie teraz. Najpierw musimy spróbować na własną rękę ukreślić łeb projektowi Kaiten.

- Podczas naszej ostatniej narady nie umiał pan jeszcze podać lokalizacji centrum dowodzenia.

- Nowe informacje bardzo zawęziły rejon poszukiwań.

Prezydent spojrzął na Jordana z podziwem. Dobrze znał szefa wywiadu i doceniał jego oddanie. Świadczyła o nim wieloletnia służba, którą Jordan rozpoczął zaraz po studiach, nie mając jeszcze zielonego pojęcia o specyfice pracy wywiadowczej. Prezydent dostrzegał też



cenę, jaką ten człowiek płacił za nieustanny stres, choćby tę niewiarygodną ilość tabletek maaloxxu, które Jordan chrupał tak jak inni popcorn.

- Czy wiecie już, gdzie mają zostać rozmieszczone samochody przed detonacją?

- Tak, panie prezydencie - odparł Kern. - Jeden z naszych zespołów podczas śledzenia kolejnego transportu aut zdobył mapę. Trzeba przyznać, że specjaliści Sumy obmyślili iście diaboliczny i niezwykle dla nas groźny plan.

- Domyślam się, że zamierzają rozlokować je w najgęściej zaludnionych obszarach, by spowodować jak największe straty wśród ludności cywilnej.

- Wprost przeciwnie, panie prezydencie. Chcą je umieścić w tak wybranych strategicznie miejscach, by zabić jak najmniej ludzi.

- Nie rozumiem.

- Samochody mają zostać rozlokowane w dość słabo zaludnionych rejonach Stanów Zjednoczonych i innych krajów wysoko uprzemysłowionych, ale w taki sposób, by zsynchronizowana eksplozja wszystkich głowic wytworzyła niezwykle silny impuls elektromagnetyczny, który na kształt parasola powędruje w kosmos, a jego efektem będzie reakcja łańcuchowa przepalania obwodów w całym systemie łączności satelitarnej.

- Wszystko przestanie istnieć, radio, telewizja, łącza telefoniczne - uzupełnił Jordan. - Wszelkie ośrodki władzy, od okręgowych po centralne, dowództwa wojskowe, wydziały policji, straż pożarna i służba zdrowia, a może nawet cały transport: to wszystko stanie z powodu braku jakichkolwiek środków łączności.

- Jakby cały świat pozbawiono mowy - mruknął prezydent. - To wprost niewyobrażalne.

- To jeszcze nie wszystko - rzekł posępnie Kern. - Będzie znacznie gorzej. Chyba wie pan, panie prezydencie, co się stanie z dyskietką komputerową lub kasetą magnetofonową, jeśli zbliży się ją do magnesu.

- Zapis ulegnie skasowaniu.

Kern pokiwał głową.

- Impuls elektromagnetyczny po eksplozji jądrowej spowoduje taki sam efekt. W promieniu setek kilometrów wokół każdego miejsca wybuchu pamięci wszystkich komputerów ulegną wymazaniu. Krzemowe układy scalone i tranzystory, które stanowią rdzeń kręgowy naszego skomputeryzowanego świata, są całkowicie bezbronne wobec takiego impulsu wędrującego wzdłuż wszystkich łączy elektrycznych i linii telefonicznych, jak również przez powietrze. Przeniesie go każdy przedmiot wykonany z metalu, od rur wodociągowych i szyn kolei po kuchenki mikrofalowe i pręty zbrojenia wszystkich budynków.

Prezydent spoglądał na Kerna rozszerzającymi się ze zdumienia oczyma.

- A to oznacza całkowity chaos.

- Tak, panie prezydencie. Nastąpi katastrofalny, wręcz nie dający się przewidzieć upadek wszelkich struktur państwowych. Znikną wszystkie zapisy komputerowe w bankach, towarzystwach ubezpieczeniowych, wielkich korporacjach i drobnych przedsiębiorstwach. Tę listę można ciągnąć bez końca. A dotyczy to również danych naukowych i technicznych.

- Ulegnie skasowaniu każda dyskietka i każda taśma?

- W każdym domu i biurze - odparł Jordan.

Kern wpatrywał się z napięciem w prezydenta, jakby chciał w ten sposób zaakcentować powagę sytuacji.

- Przestaną działać wszystkie systemy komputerowe pracujące na bazie zapisów w pamięci. Dotyczy to układów zapłonu i dozowania paliwa montowanych w najnowszych samochodach, urządzeń kontrolujących pracę silników diesla w lokomotywach i wszystkich urządzeniach pokładowych w samolotach. Będzie to groźne zwłaszcza dla samolotów, z których większość może runąć na ziemię, zanim ludzie zdążą włączyć ręczne sterowanie.

- Jest jeszcze cała gama urządzeń gospodarstwa domowego - wtrącił Jordan - które także odmówią posłuszeństwa, jak na przykład kuchenki mikrofalowe, magnetowidy czy systemy alarmowe. Tak bardzo przywykliśmy do układów mikroelektronicznych, że nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak łatwo je zniszczyć.

Prezydent sięgnął po długopis i zaczął nim nerwowo stukać w biurko. Jego zasepiona mina świadczyła o tym, w jak wielkiej znalazł się rozterce.

- Nie mogę dopuścić, aby coś takiego spadło na Amerykę u progu nowego stulecia - oznajmił spokojnie. - Muszę zastanowić się poważnie nad przeciwdziałaniem, nawet nuklearnym, jeśli zajdzie taka potrzeba, które zniszczy ich arsenał bomb atomowych i centrum sterowania.

- Muszę wyrazić swój sprzeciw, panie prezydencie - rzekł Jordan spiętym głosem. - Uderzenie nuklearne można traktować wyłącznie jako ostateczność.

- Co więc radzisz, Ray?

- Ośrodek sterowania Sumy zostanie połączony z siecią bomb dopiero za tydzień. Opracowujemy plan przeniknięcia do podziemnej budowli i zniszczenia go od wewnątrz. Gdybyśmy zdołali tego dokonać, pan by nie musiał wysłuchiwać oskarżeń napływających z całego świata, który postrzegalby uderzenie jądrowe jako atak na bezbronne państwo.

Prezydent milczał przez chwilę, pogrążony we własnych myślach, wreszcie rzekł cicho:

- Masz rację, musiałbym udzielać wyjaśnień, w które i tak by nikt nie uwierzył.

- Czas działa na naszą korzyść, dopóki o całej sprawie wie tylko nas trzech oraz zespół MZB.

- Gdyby Rosjanie się dowiedzieli, że w ich kraju rozlokowano dziesiątki bomb atomowych - wtrącił Kern - natychmiast zorganizowaliby wielką inwazję na Japonię.

- Czego przecież nie chcemy - odparł prezydent.

- Nie chcą też Bogu ducha winni Japończycy, którzy nic nie wiedzą o szalonym planie Sumy - dodał Jordan.

Prezydent podniósł się z fotela.

- Daję wam cztery dni, panowie. Dziewięćdziesiąt sześć godzin.

Jordan i Kern spojrzeli na siebie z niewyraźnymi uśmiechami.

Plan ataku na Sumę został opracowany już dużo wcześniej i teraz, po wyjściu z Gabinetu Ovalnego, wystarczyło jedynie wydać polecenie przez telefon.

Niewielkie lotnisko rządowe w Woodmoor, w Marylandzie, o czwartej nad ranem sprawiało wrażenie wyludnionego. Wzdłuż wąskiego asfaltowego pasa startowego nie świeciła się ani jedna lampa i pilot podchodzący nocą do lądowania musiał kierować się wyłącznie blaskiem latarni przy drogach dojazdowych, widocznych z powietrza jako niebieskawy trójkąt u południowego krańca pasa.

Nocną ciszę rozdarł nagle ryk silników odrzutowca, pracujących z pełnym ciągiem wstecznym. Rozbłysły reflektory samolotu i pilot tak skorygował lot maszyny, by strumienie światła padły na środek czarnego pasa lądowania. Transportowiec marki Gulfstream, z wielkim napisem na kadłubie CIRCLEARTH AIRLINES, miękko osiadł na ziemi i zatrzymał się na wprost zaparkowanego dżipa typu Grand Wagoneer.

Nie minęły nawet trzy minuty od chwili otwarcia drzwi, przez które wyszli dwaj mężczyźni z walizkami, kiedy samolot ruszył ponownie, zawrócił na końcu pasa i szybko wystartował. Zaledwie ryk odrzutowca przycichł w oddali, admirał Sandecker serdecznie uściskał ręce Pitta i Giordina.

- Gratuluję tak pomyślnego zakończenia akcji - rzekł.

- Jeszcze nie znamy jej zakończenia - odparł Pitt. - Czy linia brzegowa Ajimy z pejzażu dała się dopasować do jakiegokolwiek istniejącej wyspy?

- Spisaliście się na piątkę - oznajmił Sandecker. - Doszliśmy już, że wyspę Ajima przemianowano od nazwiska pewnego rybaka, którego w osiemnastym wieku morze wyrzuciło na skały. Od tamtej pory na wszystkich mapach figuruje jako Soseki, ale podobnie jak w wypadku wielu mniej znaczących nazw geograficznych, wśród ludności miejscowej zachowała się dawna nazwa Ajima.

- Gdzie ona leży? - zapytał Giordino.

- Około sześćdziesięciu kilometrów od lądu, na wschód od Edo City.

Na twarzy Pitta odmalowała się nagle troska.

- Czy są jakieś wieści o Loren?

Sandecker pokręcił głową.

- Wiemy tylko, że ona i Diaz żyją i że są przetrzymywani w jakimś ukrytym miejscu.

- Tylko tyle? - spytał poirytowany Dirk. - Nie podjęto żadnego śledztwa, żadnych kroków, żeby ich uwolnić?

- Dopóki nie wyeliminujemy zagrożenia związanego z bombami w samochodach, prezydent ma związane ręce.

- Do łóżka - mruknął Giordino, błyskawicznie sprowadzając Pitta na ziemię. -

Zaprowadźcie mnie do łóżka.

Dirk ruchem głowy wskazał Włocha.

- Zabierz go. Oczy mu się same zamknęły, kiedy tylko wystartowaliśmy z Niemiec.

- Szybko przylecieliście. Jak minęła podróż?

- Przespaliśmy ją. Na naszą prośbę pilot poleciał na wschód i ja zdążyłem nieco wypocząć.

- Frank Mancuso został w odkrytym skarbcu? - zapytał admirał.

Pitt skinął głową.

- Tuż przed odlotem dostał wiadomość Od Kerna, że ma osobiście odtransportować przedmioty z japońskiej ambasady do Tokio.

- To tylko zasłona dymna dla Niemców - Sandecker uśmiechnął się. - Zostaną złożone w magazynie w San Francisco, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, prezydent przekaze je Japończykom w geście dobrej woli. - Wskazał ręką otwarte drzwi dżipa. - Wsiadajcie. Jeśli twierdzisz, że jesteś wypoczęty, to pozwolę ci prowadzić.

- Wielkie dzięki - mruknął Pitt.

Wstawili walizki do bagażnika i Dirk wsunął się za kierownicę. Sandecker usiadł obok niego, a Giordino zajął miejsce z tyłu. Pitt wrzucił bieg, skręcił na wąską drogę i pojechał w kierunku bramy wjazdowej ukrytej w rozległej kępie drzew. Wartownik wyszedł z budki, lecz tylko przelotnie obrzucił spojrzeniem wnętrze auta, zasalutował Sandeckerowi i podniósł barierkę. Pojechali równiutką, biegnącą przez pola szosą.

Trzy kilometry dalej Dirk skręcił na autostradę prowadzącą do Waszyngtonu, którego światła widać było na horyzoncie. O tej porze panował znikomy ruch, toteż Pitt rozpędził dżipa do szybkości 110 kilometrów na godzinę, ustawił blokadę gazu i usadowił się wygodnie na siedzeniu.

Przez kilka minut jechali w ciszy. Sandecker wbijał nieruchome spojrzenie w przednią szybę. Dirk nie musiał nawet wysilać wyobraźni, by stwierdzić, że admirał ma zapewne bardzo ważny powód, skoro wygrzebał się z ciepłego łóżka na ich powitanie. Siedział wyraźnie spięty, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, nie sięgając nawet po swoje ulubione grube cygara hawańskie. Jego oczy przypominały dwa kryształki lodu. Od razu było widać, że boryka się z jakimś problemem.

Pitt zdecydował się więc ułatwić mu zadanie.

- Dokąd mamy się teraz udać? - zapytał.

- Słucham? - mruknął admirał, wyrwany z zamyślenia.

- Pytałem, jakież to kolejne chwalebne zadanie nas czeka. Miałem nadzieję, że będzie

to miły, tygodniowy urlop.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- Raczej nie, ale ty i tak musisz mi powiedzieć, prawda?

Sandecker ziewnął szeroko, jakby chciał zyskać na czasie.

- Cóż, obawiam się, że obaj musicie się pośpieszyć, żeby zdążyć na następny samolot.

- Dokąd?

- Na Pacyfik.

- A dokładniej, w jaki rejon Pacyfiku?

- Palau. Wasz zespół, a raczej to, co z niego zostało, ma się zgłosić w Punkcie Gromadzenia i Przetwarzania Informacji po nowe instrukcje Kierownictwa Operacji Terenowych.

- Po rozszyfrowaniu biurokratycznego żargonu wychodzi na to, że mamy się spotkać z Melem Pennerem.

Sandecker uśmiechnął się i wyraźnie rozpromienił.

- Masz niezwykle dar nazywania rzeczy po imieniu.

Pitt jednak zachował powagę, bał się bowiem, że admirał za chwilę wyleje mu kubek zimnej wody na głowę.

- Kiedy?

- Dokładnie za godzinę i pięćdziesiąt minut. Polecicie samolotem rejsowym z lotniska Dullesa.

- Szkoda zatem, że nie wylądowaliśmy tam bezpośrednio - odparł kwaśno.

-Zaoszczędziłbyś sobie kłopotu.

- To względy bezpieczeństwa. Kern zdecydował, że powinniście dojechać na lotnisko samochodem, wykupić bilety i wsiąść do samolotu z całą rzeszą turystów odlatujących na morza południowe.

- Powinniśmy się też przebrać.

- Kern wysłał swoich ludzi, żeby spakowali wam czyste ubrania do walizek. Nie musicie się niczym martwić.

- Pomyślał o wszystkim. Zapamiętam, żeby po powrocie zmienić mój system alarmowy...

Pitt zamilkł i popatrzył we wsteczne lusterko, w którym odbijały się światła dwóch samochodów: tych samych, jakie pojawiły się za nimi tuż po wjeździe na autostradę. Przez kilka ostatnich kilometrów tamte wozy utrzymywały tę samą odległość za nimi. Dirk wyłączył blokadę gazu i nieco przyspieszył: światła zostały trochę w tyle, lecz zaraz nadrobiły dystans.

- Coś się stało? - zapytał Sandecker.

- Mamy towarzystwo.

Giordino odwrócił się i popatrzył przez szerokie tylne okno.

- O rety. To konwój aż trzech furgonetek.

Pitt w zamyśleniu patrzył w lusterko, a na jego wargach błąkał się dziwny uśmieszek.

- Ktoś zdecydował się na krok ostateczny, wysłano cały pluton egzekucyjny.

Admirał szybko chwycił słuchawkę telefonu i wybrał numer centrali MZB.

- Mówi admirał Sandecker! - rzekł szybko, zapominając o wszelkich kryptonimach. - Jesteśmy na autostradzie w pobliżu Momingside, jedziemy na południe. Śledzą nas...

- Raczej ścigają - wtrącił Pitt. - Zbliżają się szybko.

Niespodziewanie seria z broni maszynowej uderzyła w tył dżipa, a pociski przeleciały im tuż nad głowami.

- Poprawka - mruknął z niezwykłym spokojem Giordino. - Już nie ścigają, lecz atakują.

Sandecker osunął się na podłogę i zaczął szybko przekazywać przez telefon aktualną pozycję oraz polecenia. Pitt wcisnął pedał gazu do oporu. Potężny, sześciolitrowy, ośmiocylindrowy silnik szarpnął dżipa do przodu, pędzili już z szybkością 150 kilometrów na godzinę.

- Ścigany agent służby bezpieczeństwa wzywa na pomoc wszystkie patrole drogowe! - rzucił Sandecker do słuchawki.

- Powiedz im, żeby się pospieszyli - rzucił Pitt, miotając wielkim autem to w lewo, to w prawo przez trzy pasma autostrady, by utrudnić napastnikom celowanie.

- To nie fair - stwierdził rozżalony Giordino, po czym padł na podłogę między siedzeniami, gdy kolejna seria rozbiła w mak tylną szybę i wywaliła połowę przedniej. - Oni mają automaty, a my nie.

- Sądzę, że możemy zniwelować tę przewagę - rzekł Dirk, rozglądając się szybko na boki.

- Jak?

- Zjeżdżając z tej cholernej autostrady, gdzie stanowimy idealny cel, i wykorzystując jakąś wąską, krętą drogę prowadzącą w kierunku miasta.

- Przed nami zjazd na Phelps Point - oznajmił Sandecker, zerkając nad deską rozdzielczą.

Pitt spojrział szybko w lusterko. Widział już wyraźnie trzy zbliżające się karetki pogotowia, na których w tejże chwili rozbłysły niebieskie i czerwone migacze. Nie włączono jednak syren, za to kierowcy rozstawili wozy w tyralierę, zajmując wszystkie trzy pasma

ruchu, co pozwalało na zwiększenie siły ognia.

Dirk widział już nawet ludzi w czarnych kombinezonach, którzy wychylali się przez boczne okna, celując z pistoletów maszynowych. Ten zamach został zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach w każdej furgonetce siedziało czterech strzelców, co dawało w sumie dwunastu ludzi, zapewne uzbrojonych po zęby, przeciwko trzem mężczyznom, którzy jako broń mogli co najwyżej wykorzystać noże myśliwskie.

Pitt błyskawicznie ocenił w myślach szansę powodzenia swojego planu. Od wiaduktu, z którego odchodził zjazd na Phelps Point, dzieliło ich jeszcze dwieście metrów, lecz nie mieli już czasu. W każdej chwili pociski z automatów mogły ich dosłownie zmieść z szosy. Nie dotykając hamulca, żeby nie zaalarmować prześladowców czerwonymi światłami z tyłu, szarpnął kierownicą w prawo. Dżip przeskoczył dwa zewnętrzne pasy i pomknął w stronę pobocza.

Zdążył w ostatniej chwili, gdyż równocześnie za nimi bluznął ogień z kilkunastu luf naraz. Olbrzymi wóz zjechał z nasypu, zanurkował w płytkim rowie wypełnionym wodą, wyskoczył w powietrze po jego drugiej stronie i wreszcie z piskiem opon wykręcił na starą szosę biegnącą wzdłuż autostrady.

Zdumieni napastnicy hamowali pośpiesznie, nie spodziewając się takiego obrotu sprawy. Wreszcie zaczęli zjeżdżać z nasypu jego śladem, podejmując pościg, ale Dirk zyskał około dziesięciu sekund przewagi.

Po raz drugi w ciągu kilku dni prowadził tak, jakby uczestniczył w samochodowym rajdzie o Grand Prix. Miał jednak znacznie utrudnione warunki w porównaniu z zawodowcami, którzy noszą kaski z wizjerami osłaniającymi oczy od wiatru. Zimne powietrze, jakie z impetem wdzierało się przez resztki przedniej szyby, zmuszało go do odwracania głowy i zerkania spod przymrużonych powiek.

Skęcili w długą aleję ocienioną starymi dębami, prowadzącą w kierunku dzielnicy mieszkalnej. Kiedy wpadli między zabudowania, Dirk skręcił ostro w lewo, przejechał jeden kwartał, znów skręcił w lewo, a na następnym skrzyżowaniu w prawo. Ludzie prowadzący karetki znali się jednak na rzeczy. Rozpierzchli się, próbując to tu, to tam przeciąć mu drogę, ale on za każdym razem zdołał im umknąć, choćby zaledwie o ułamek sekundy.

Pośród domostw zabójcy schowali broń i cierpliwie czekali na zamknięcie sieci obławy, przecinając mu coraz to inne drogi ucieczki. Kiedy w pewnym momencie Pittowi udało się skręcić w uliczkę, zanim napastnicy wyjechali z następnej, wyłączył światła i pomknął dalej w mrok. Ale już przy następnym skrzyżowaniu światło latarni zdradziło jego pozycję. Próbował stosować wszystkie znane mu triki, nadrabiając to tu kilka metrów, to znów gdzie indziej parę



sekund, ale nie mógł całkowicie wyprowadzić prześladowców w pole.

Zawrócił w końcu i pojechał główną ulicą osiedla. Minęli stację benzynową, kino, jakieś pawilony handlowe.

- Szukajcie sklepu metalowego! - wrzasnął, usiłując przekrzywić wizję opon na zakręcie.

- Czego? - spytał zdumiony Sandecker.

- Sklepu z częściami metalowymi. Powinien gdzieś tu być, bliżej centrum osiedla.

- Salon gospodarstwa domowego Oscara Browna! - krzyknął Giordino. - Widziałem tablicę reklamową zaraz po tym, jak zjechaliśmy z autostrady.

- Bez względu na to, co ci chodzi po głowie - oznajmił spokojnie admirał - zrób to jak najszybciej. Zapaliło się właśnie czerwone światelko rezerwy paliwa.

Pitt zerknął na wskaźnik, którego igła pokazywała, że bak jest prawie pusty.

- Musieli nam przestrzelić zbiornik.

- Salon Oscara Browna, tam, po prawej stronie alei - rzekł Giordino, wskazując przez wybitą przednią szybę.

- Masz latarkę? - zapytał Pitt Sandeckera.

- Powinna być w schowku.

- Wyjmij ją.

Dirk po raz ostatni spojrzął w lusterko, pierwsza furgonetka wyjeżdżała właśnie zza rogu, dwie przecznice za nimi. Szerokim łukiem zjechał dziupem na lewą stronę, po czym nagle szarpnął kierownicą w prawo.

Admirał zamarł z przerażenia.

- Rany boskie! - jęknął Giordino.

Dziup wpadł w poślizg, przez pewien czas sunął bokiem po jezdni, wreszcie podskoczył na krawężniku, przeleciał przez chodnik i staranował wielką szybę salonu gospodarstwa domowego. Roztrzaskał barierkę przy wyjściu, aż elektroniczne kasy poleciały na boki, i wpadł na stos narzędzi ogrodniczych, rozsypując łopaty i grabie niczym konstrukcję z zapalek. Łukiem wykręcił wzdłuż przejścia, przewracając wielki regał, z którego posypały się plomby, nity, śruby i gwoździe, jak gdyby wystrzelone z działa załadowanego kartaczem.

Giordino i Sandecker pomyśleli, że Pitt zwariował, gdyż nie zatrzymywał dziupa. Wciąż naciskał pedał gazu, lawirując między regałami, jakby szukał czegoś konkretnego, zostawiając za sobą pas zniszczeń. Trzask łamanych barierek i rozwalanych półek zagłuszyło jednak wycie syreny alarmowej.

Wreszcie Dirk skręcił w stronę kolejnego stoiska i zatrzymał się, rozwalając całą ladę, a

strumień z jednego reflektora auta oświetlił dwadzieścia lub trzydzieści pistoletów, które wyleciały ze strzaskanej gabloty, oraz wiszącą na ścianie tablicę z szeregami karabinów i dubeltówek.

- Ty przebiegły łobuzie! - syknął z podziwem Sandecker.

-Zbierajcie według gustu! - wrzasnął Pitt, przekrzykując zawrodozenie systemu alarmowego, gdy kopniakiem otworzył drzwi dżipa.

Admirałowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wskoczył z samochodu i podbiegł do szafki z amunicją, trzymając pod pachą latarkę.

- Czym mogę wam służyć, panowie?! - krzyknął przez ramię.

Pitt chwycił dwa automatyczne kolty typu Combat Commander, jeden wykładany niebieską masą plastyczną, a drugi z metalową rękojeścią, i szybko załadował magazynki.

- Dla mnie kaliber jedenaście i cztery dziesiąte milimetra, do automatu! Sandecker pośpiesznie rozejrzał się po szafce, znalazł odpowiednie naboje i podał Pittowi dwa pudełka.

- Ho, ho! Srebrne winczestery! - Odwrócił się do Giordina. - A dla ciebie, Al?

- Myśliwskie dwunastki z dwuzerowym śrutem - rzucił Giordino, który ściągnął z tablicy trzy dubeltówki marki Remington-1100.

- Chwileczkę. - Sandecker odwrócił się i po chwili wręczył Alowi kilka pudełek naboii. - Jest tylko magnum ze śrutem czwórka, chyba nie znajdę nic lepszego.

Pochylił się szybko i pobiegł w kierunku stoiska z farbami.

- Pospiesz się i zgaś latarkę - rzucił za nim Pitt, rozbijając kolbą pistoletu działający jeszcze reflektor dżipa.

Trzy karetki zatrzymały się w pewnej odległości od sklepu, poza zasięgiem wzroku znajdujących się w środku mężczyzn. Szybko wysypała się z nich gromada zabójców ubranych w czarne kombinezony typu ninja. Nie pobiegli jednak w stronę salonu, lecz zgromadzili się na chodniku.

Ich plan, który zakładał roztrzaskanie w drzazgi uciekającego samochodu, wziął w łeb z chwilą, kiedy Pitt nieoczekiwanie zjechał z autostrady i skrył się między domami Phelps Point. Musieli teraz opracować nową taktykę, spokojnie oceniając sytuację.

Ale przeświadczenie o własnej sile zaćmiło im zdrowy rozsądek. Fakt, że żaden z trzech mężczyzn nie odpowiedział ogniem z pędzącego dżipa, utwierdził ich w przekonaniu, że ofiary nie były uzbrojone. Poza tym żądza krwi sprawiała, że chcieli jak najszybciej wtargnąć do sklepu i dokończyć dzieła.

Przywódca grupy zachował tyle rozsądku, aby gestem powstrzymać swoich ludzi. Podbiegł do bramy w budynku naprzeciwko zdemolowanego sklepu i próbował wzrokiem przebić zalegające tam ciemności. Świeciła tu tylko jedna latarnia, a w dodatku widok przesłaniał wielki przewrócony regał. Dżip zniknął w mrocznej czeluści salonu, skąd nie dobiegały też żadne hałasy, jeśli nie liczyć wycia syreny alarmowej.

Dokładniejszą analizę sytuacji uniemożliwiły mu światła, które zaczęły się zapalać w mieszkaniach sąsiednich kamienic. Nie mógł dopuścić do tego, by zgromadził się tutaj tłum gapiów. Obawiał się także, że gdzieś w pobliżu centrum osiedla znajduje się biuro szeryfa i stróże prawa mogą wtargnąć na scenę już za kilka minut.

W końcu dopuścił do siebie myśl, która okazała się fatalnym błędem, założył bowiem, że mężczyźni w dżipie są ciężko ranni i ogarnięci panicznym strachem. Nie zadał sobie więc trudu wyznaczyć kogoś do obstawienia tylnego wyjścia z pawilonu.

Dał swym ludziom trzy minuty na odnalezienie dżipa, wykonanie zadania i powrót do furgonetek. Sądził, że zabójstwo jest już tylko formalnością. Krótką serią rozbił latarnię, pograżając ulicę w ciemnościach i uniemożliwiając postronnym obserwatorom dostrzeżenie morderców. Przytknął gwizdek do ust i dał umówiony sygnał do przygotowania się i sprawdzenia pięćdziesięciojednostrzałowych pistoletów maszynowych typu Sawa, kalibru 5.56 milimetra. Gwizdnął następnie trzy razy i przebiegł przez ulicę.

Ludzie pomknęli bezszelestnie niczym jadowite węże wodne, mokasyny, zamieszkujące bagniska Georgii; wbiegali dwójkami przez rozbitą witrynę i znikali w mroku. Pierwsza szóstka zajęła stanowiska przy wejściu, wodząc na wszystkie strony lufami automatów i próbując coś dostrzec w ciemnościach.

Niespodziewanie wtoczył się między nich piętnastolitrowy balon rozpuszczalnika z zapaloną szmatą zamiast korka, który pękł z hukiem, zalewając wejście strugą pomarańczowych i błękitnych płomieni. Jak na komendę Pitt i Giordino otworzyli ogień, natomiast Sandecker zaczął szykować kolejną bombę zapalającą.

Dirk strzelał z obu koltów naraz, nie celując zanadto. Postawił jednak taką zasłonę ognia zaporowego, że powalił trzech napastników stojących z prawej strony wejścia, zanim zdążyli się w czymkolwiek połapać. Jeden z nich zdołał jeszcze wypuścić serię z automatu, która trafiła piramidę puszek z farbami. Wielobarwne strumyki pociekły na stertę narzędzi rozsypanych na podłodze.

Strzał z dubeltówki Ala wyrzucił z powrotem na ulicę pierwszego bandytę od lewej. Giordino, który pozostałych dwóch dostrzegał tylko jako niewyraźne cienie, wystrzelił resztę naboju na oslep, ale gdy odstawił opróżnionego remingtona, nie było już żadnych cieni. Podniósł następną fuzję i strzelał w kierunku wejścia, dopóki iglica nie stuknęła głucho w pustej komorze.

W tym czasie Pitt zmienił magazynki i próbował dojrzeć cokolwiek przez ścianę płomieni i dymu, która ogarnęła całą frontową część pawilonu. Zabójcy w czarnych kombinezonach typu ninja zniknęli, kryjąc się, czy to za podmurówką, czy też za wysokim

krawężnikiem. Nie uciekli jednak, czaili się w ciemnościach, tak samo groźni jak przedtem. Dirk zdawał sobie sprawę, że ich oszołomienie szybko zmieni się we wściekłość.

Prawdopodobnie chcieli się przegrupować i ponowić atak, tym razem znacznie ostrożniejszy. Ale mogli już coś widzieć - wewnątrz sklepu było jasno oświetlone przez płomienie, które pożerały ludy i półki bliżej wyjścia. W ciągu zaledwie kilku minut z całego pawilonu i kryjących się w nim mężczyzn mogła zostać tylko kupa popiołu.

- Admirale! - zawołał Dirk.

- Tu jestem - odparł Sandecker - w stoisku z farbami.

- Nasza wizyta trwa już zbyt długo. Czy mógłby pan poszukać tylnego wyjścia, gdy ja i Al będziemy strzegli bram fortu?

- Już się robi.

- Nic ci nie jest, przyjacielu?

Giordino machnął remingtonem.

- Nie zauważyłem u siebie żadnych nowych dziur.

- Pora się stąd wynosić, może jeszcze zdążymy na samolot.

- Jasne.

Pitt po raz ostatni popatrzył na ciała zabitych napastników. Podszedł do najbliższego i ściągnął mu z głowy kaptur skafandra. W blasku płomieni dostrzegł wyraźnie azjatyckie rysy tamtego. Poczul, jak wzbiera w nim wściekłość, a wszystkimi myślami zawładnęło nazwisko Hidekiego Sumy. Dirk nigdy go nie widział, nie miał pojęcia, jak on wygląda, ale świadomość, że Suma zatrudnia najgorsze szumowiny, wyzbyła go wszelkiego żalu po śmierci tego najemnika. Utwierdzał się w przekonaniu, że człowiek odpowiedzialny za tyle istnień ludzkich i tak wiele zniszczeń również musi zginąć.

- Tędy, przez magazyn! - zawołał Sandecker. - Są tu drzwi prowadzące na rampę wyładunkową.

Pitt chwycił Ala za ramię i pociągnął go do tyłu.

- Zmykaj, będę cię osłaniał.

Giordino złapał ostatniego remingtona i pochylony ruszył między regałami. Dirk odwrócił się i znów zaczął strzelać, naciskając spusty obu coltów z taką szybkością, że pociski wypadały jak z karabinu maszynowego. Po chwili opróżnił magazynki. Szybko zdecydował się zatrzymać pistolety i zapłacić za nie kiedy indziej. Wetknął je za pasek i pobiegł w stronę drzwi.

Był już o krok od nich, kiedy przywódca bandytów, który po stracie sześciu ludzi wolał nie ryzykować, wrzucił dwa ręczne granaty do ogarniętego pożogą sklepu i posłał ich śladem

serię z automatu. Kule przeleciały obok Pitta.

Granaty eksplodowały, ostatecznie niszcząc to, co jeszcze zostało z Salonu Gospodarstwa Domowego Oscara Browna. Potężna fala uderzeniowa, której towarzyszył wielki snop iskier, zerwała dach pawilonu i zadzwoniła wszystkimi szybami w Phelps Point, zanim wreszcie przycichła na okolicznych polach. W miejscu wybuchu pozostał olbrzymi wrzący kocioł, ograniczony resztkami czterech ścian budynku.

Dirk, ciśnięty impetem eksplozji prosto w otwarte drzwi, przeleciał przez rampę i wylądował na plecach na asfaltowym placu, próbując złapać oddech. Leżał bez ruchu, dysząc spazmatycznie, kiedy Giordino i Sandecker chwycili go pod ramiona, postawili na nogi i pomogli chwiejnym krokiem przejść przez tylne podwórze sąsiedniego budynku w zacisze estrady koncertowej stojącej na skwerze po drugiej stronie ulicy.

Wycie alarmu umilkło, kiedy ogień strawił przewody elektryczne, z oddali dobiegały jednak odgłosy syren wozów strażackich i policyjnych, śpieszących na miejsce wybuchu.

Trzech zmęczonych, poobijanych mężczyzn leżało na ziemi, w zbawczym cieniu zbitej z desek estrady, dziękując Bogu, że udało im się wyjść z tego z życiem. Giordino, który lubił mieć ostatnie słowo, uniósł się na łokciach, zapatrzył w płomienie buchające w lekko pojaśniałe niebo i rzekł:

- Kto by pomyślał, że to wszystko z naszego powodu.

W sobotni wieczór ulice Las Vegas były zatłoczone pojazdami, a w ich lśniących karoseriach odbijały się światła błyskających neonów. Wiekowe hotele przy bulwarze Las Vegas, podobnie jak podstarzałe damulki, rozkwitające po zmroku, przybrane kosztowną biżuterią, skrywały swe obskurne wnętrza i rażąco prymitywną architekturę za elektryczną zorzą polarną mrugających świateł, które kusily do wysupłania z kieszeni ostatniego grosza.

Wraz z upływem lat wyszukany styl zaczął się zatracać. Wnętrza kasyn, olśniewające niegdyś swym splendorem i dekoracjami przypominającymi luksusowy burdel, stały się wszystkim tak obojętne, jak krupierzy przy stołach do ruletki. Nawet goście nocnych lokali - kobiety i mężczyźni, którzy kiedyś zjawiali się tu ubrani jak na przyjęcie w najlepszym towarzystwie - teraz przychodzili w szortach, bawełnianych podkoszulkach i poliestrowych obcisłych garniturach.

Stacy odchyliła głowę na oparcie siedzenia kabrioleta marki Avanti i zapatrzyła się na wielkie markizy, ocieniające wejścia do hoteli. Wiatr nadciągający z pustyni rozrzucał jej długie jasne włosy, a w błyszczących oczach odbijały się migające światła neonów. Marzyła o tym, żeby się odprężyć i zmieszać z tłumem turystów, ale odgrywając z Weatherhillem rolę bogatych nowożeńców spędzających tu miesiąc miodowy, mieli ważne zadanie do wykonania.

- Ile pieniędzy możemy przegrać? - zapytała.

- Dwa tysiące dolarów wyciągniętych z kieszeni podatników - odparł Timothy, manewrując samochodem na zapchanej ulicy.

Stacy zachichotała.

- Z taką sumą mogę spędzić przy maszynach nawet kilka godzin.

- Kobieta przy jednoręki bandycie - mruknął. - To ma chyba jakiś związek z ciągnięciem za drążek.

- A jak w takim razie wytłumaczysz fascynację mężczyzną grą w kości?

Stacy pomyślała, jak by jej na to odpowiedział Pitt - zapewne ironicznie, demonstrując męski szowinizm. Ale Weatherhill się nie odezwał, dowcip nie był jego mocną stroną. Przez całą drogę z Los Angeles przez pustynię zanudził ją na śmierć nie kończącymi się rozważaniami na temat możliwości lotów w kosmos raketami z napędem atomowym.

Po tym, jak Timothy wymknął się niepostrzeżenie z ciężarówki przewożącej samochody z bombami, Jordan rozkazał im wracać do Los Angeles. Agenci wywiadu, którzy przejęli śledzenie transportu, doprowadzili go aż do Las Vegas i hotelu "Pacific Paradise", skąd ciężarówka wyjechała pusta, natomiast auta zostawiono w prywatnej strefie podziemnego parkingu hotelowego.

Jordan i Kern wymyślili wówczas, żeby Stacy z Weatherhillem wykradli jedną fałszywą sprężarkę od klimatyzatora, co było zbyt ryzykowne w trakcie przewożenia aut. Chcieli bowiem poznać dokładne wymiary i kształty urządzenia, by móc skonstruować makietę głowicy.

- To tamten hotel - rzekł Timothy, ruchem głowy wskazując wielką neonową tablicę, przedstawiającą palmy oraz migającego delfina, który co chwila wyskakiwał z wody. Olbrzymia markiza nad wejściem reklamowała największe widowisko wodne na świecie, a napis na dachu głównego budynku, ułożony z gigantycznych różowych, niebieskich i zielonych liter, obwieszczał światu nazwę tego obszernego kompleksu: "Pacific Paradise".

Betonowy gmach z okrągłymi jak na statku otworami okien był pomalowany na jasnoniebiesko. Stacy stwierdziła w duchu, że architektka tej koszarnej budowli powinno się tłuc po łbie jego przykładnicą.

Weatherhill skręcił w alejkę dojazdową i pojechał wzdłuż monstrualnego basenu kąpielowego - z licznymi zjeżdżalniami i wodospadami, otoczonego gąszczem tropikalnej roślinności - który ciągnął się wokół całego hotelu i parkingu.

Stacy popatrzyła w górę, na ogrom gmaszyska.

- Czy zostało jeszcze coś, co nie jest własnością Hidekiego Sumy?

- "Pacific Paradise" jest tylko jednym z dziesięciu podobnych hoteli na całym świecie, w którego zyskach Suma ma swoje udziały.

- Ciekawa jestem, jak by zareagowała stanowa komisja do spraw gier hazardowych, gdyby się wydało, że w podziemiach kasyna ukryto cztery bomby atomowe.

- Pewnie by to zlekceważyli - odparł Weatherhill. - Chyba żeby ich płatnicy maczali w tym palce.

- Jak to maczali palce?

- Kombinowali na boku.

Zatrzymał kabriolet przed głównym wejściem i skinął na portiera, który szybko zaczął wyjmować walizki z bagażnika. Przekazał kluczyki młodzieńcowi opiekującemu się parkingiem i ruszył w kierunku recepcji.

Rozpromieniona Stacy uśmiechała się czarująco, odgrywając rolę świeżo upieczonej męczatki, choć z trudem przypominała sobie swój prawdziwy miesiąc miodowy.

Kiedy tylko wjechali na górę, Weatherhill zapłacił portierowi, zamknął drzwi, po czym otworzył walizkę i zaczął rozkładać na łóżku plany hotelu.

- Ukryli samochody w obszernej piwnicy, na trzecim poziomie.

Stacy spoglądała to na schemat rozmieszczenia podziemnych pomieszczeń, to na



raport grupy wywiadowczej.

- "Podwójnie zbrojony beton ze stalowymi szynami nośnymi" - odczytała na głos. - Żelazne wrota od podłogi do sufitu, system alarmowy z kamerami wideo i trzech strażników z dobermanami". Nie dostaniemy się tam normalną drogą. Można by odłączyć system alarmowy, ale trzech ludzi z psami to trochę za wiele, jak na nas dwoje.

Timothy postukał palcem w drugi arkusz.

- Przejdziemy szybami wentylacyjnymi.

- Nasze szczęście, że jest tam wentylacja.

- Bez tego projekt nie zostałby zatwierdzony. Wentylacja w podziemiach ma zapobiegać rozprężaniu i kurczeniu się betonu, co mogłoby doprowadzić do pęknięcia fundamentów.

- Gdzie jest wejście do szybów?

- Na dachu.

- To chyba trochę za wysoko.

- Możemy wejść z pomieszczeń gospodarczych na drugim poziomie piwnicy, obok garażu.

- Chcesz, żebym ja tam weszła?

Weatherhill pokręcił głową.

- Jesteś mniejsza, ale głowice nuklearne to moja działka. Pomożesz mi tylko przy linach.

Stacy sprawdziła rozmiary szybu wentylacyjnego.

- Będzie ci dość trudno się precyzyjnie przemieszczać. Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię.

Wyszli z pokoju ubrani w białe stroje tenisowe, ostentacyjnie niosąc rakiety i torby sportowe, by nikt nie miał wątpliwości, że zmierzają na kort. Zaczekali na zupełnie pustą windę i zjechali na drugi poziom piwnic, gdzie Weatherhill w niecałe pięć sekund uporał się z zamkiem w drzwiach pomieszczeń gospodarskich.

W wąskim korytarzu było pełno pary, a pod grubymi rurami cyfrowe urządzenia kontrolne wskazywały temperaturę i wilgotność. W stojących szeregach szafkach piętrzyły się stosy ścierek, szczotek i linek do oddzielania miejsc w garażu.

Stacy pospiesznie zaczęła wypakowywać różnorodny sprzęt z torby, Timothy zaś przebrał się w nylonowy jednoczęściowy kombinezon. Założył na biodra uprząż do prac wysokościowych i zapiął pas z narzędziami.

Stacy zajęła się składaniem pistoletu pneumatycznego o grubej rurze zamiast lufy, zwanego potocznie "grochomiotem". Na końcu załadowała go "jeżem" - czymś podobnym do

włóczni z bloczkiem na końcu, otoczonym masą kulistych ciężarków przypominających małe łożyska kulkowe. Następnie rozłożyła trzy zwoje linki nylonowej i przywiązała jej końce do jeża oraz grochomiotu.

Weatherhill po raz ostatni sprawdził na planie przebieg szybów wentylacyjnych. Szeroka rura, prowadząca pionowo aż na dach, łączyła się z mniejszymi przewodami, biegnącymi w poziomie między posadzkami i sklepieniami kolejnych pięter parkingu. Szyb, który wiódł do piwnicy, gdzie ukryto auta z bombami, ciągnął się pod ich stopami, nad sufitem dolnego poziomu podziemi.

Sięgnął po przenośną baterijną piłę do metalu i zaczął wycinać duży otwór w cienkim arkuszu blachy, zakrywającym pół ściany. Po trzech minutach odstawił wyciętą klapę, włączył kieszonkową latarkę i zajrzał do wnętrza szybu.

- Mniej więcej metr pod nami odchodzi rura prowadząca do piwnicy - rzekł.
- Jak daleko będziesz musiał się nią przecisnąć?
- Zgodnie z planami jakieś dziesięć metrów.
- Dasz radę obrócić się w tym miejscu, gdzie łączą się szyby?
- Chyba tak, jeśli będę to robił na bezdechu - odparł, uśmiechając się krzywo.
- Sprawdź krótkofalówkę - poleciła Stacy, przykładając do ucha mieszczące się w dłoni

urządzenie.

Timothy odwrócił się i szepnął do mikrofonu radia na przegubie dłoni:

- Próba mikrofonu. Czy mnie słyszysz?
- Czysto i wyraźnie. A ty mnie?
- Bardzo dobrze.

Stacy uściskała go, wychyliła się przez dziurę w ścianie i nacisnęła spust grochomiotu. Jeż poleciał w ciemność, a ciężarki nadające ładunkowi moment obrotowy pociągnęły go w odchodzący pod kątem prostym szyb. Przez kilka sekund słychać było jego dudnienie, kiedy przesuwiał się pod podłogą, ciągnąc za sobą trzy linki, aż wreszcie stuknął głośno o kratkę zasłaniającą wejście do piwnicy. Stacy nacisnęła drugi spust - z jeża wystrzeliły grube, przegubowe rozpory i zaklinowały go w wąskim szybie.

- Mam nadzieję, że ostatnio ćwiczyłaś trochę mięśnie w sali gimnastycznej - mruknął Weatherhill, mocując linki w karabińczykach swoich szelek - bo czeka cię teraz niezły sprawdzian.

Stacy z uśmiechem wskazała bloczek przytwierdzony do jednej z rur wodociągowych, przez który linki były już przeciągnięte.

- Liczy się nie tylko siła - odrzekła.

Timothy umocował na przedramieniu latarkę, po czym schylił się i wyciągnął ze swojej torby przygotowaną naprędcę makietę sprężarki klimatyzatora. Wykonał ją własnoręcznie, nie chcąc, by po wyjęciu bomby z samochodu zostało puste miejsce.

- Teraz mogę już ruszać.

Ostrożnie zanurkował przez otwór głową w dół, trzymając przed sobą replikę sprężarki, Stacy zaś przytrzymała naprężoną linę. W głównym szybie wentylacyjnym było sporo miejsca, kiedy jednak wcisnął się w wąską rurę poziomą, musiał pełznąć niczym wąż. Obrócił się na plecy, gdyż w ten sposób łatwiej mu było prześlizgiwać się ciasnym szybem.

- W porządku, Stacy, ciągnij linę - rzekł do mikrofonu.

- Ciasno tam?

- Ledwie mogę oddychać.

Stacy włożyła grube rękawice i zaczęła ciągnąć jedną z linek, która przechodziła przez bloczek jeża i była przymocowana do uprząży Weatherhilla. Przeciągała go w ten sposób wąskim przewodem wentylacyjnym.

Niezbyt mógł jej pomóc, starając się jedynie oddychać jak najpłycej. Zaczął się obficie pocić w elastycznym kombinezonie. Nie było tu wentylatora, który by wymuszał obieg powietrza, i przez szyb wychodzący na dach hotelu wpadał do środka parny zaduch upalnego dnia.

Ale Stacy także nie było łatwo. Biegające przez pomieszczenie rury z ciepłą wodą oraz parą sprawiały, że czuła się jak w tureckiej łaźni.

- Już widzę jeża i kratkę wentylacyjną - oznajmił Timothy po ośmiu minutach.

Po przebyciu dalszych pięciu metrów znalazł się u celu. Zgodnie z planami w piwnicy nie było żadnych kamer, Weatherhill jednak uważnie przyjrzał się tonącemu w ciemnościach pomieszczeniu. Wyciągnął z kieszeni przenośny czujnik, wykrywający obecność promieni laserowych oraz podczerwonych, ale i on nie wykazał obecności jakichkolwiek zabezpieczeń.

Timothy uśmiechnął się do siebie. Skomplikowany system alarmowy strzegł jedynie wejścia do piwnicy - powtórzono ten sam błąd, który zdarzał się w wielu innych chronionych obiektach.

Szybko odkręcił śruby, przywiązał cienką żyłkę do kratki i ostrożnie spuścił ją na podłogę. Przesunął dźwignię, która zwalniała przegubowe rozpory jeża, i także spuścił go na podłogę piwnicy, a za nim makietę sprężarki. Wysunął się powoli z otworu, zanurkował głową w dół i przetoczył po betonowym podłożu.

- Jestem w środku - zameldował przez radio.

- Odebrałam.

Omiótł promieniem latarki wewnątrz piwnicy. Samochody, które stały jakby przyczajone w dusznym mroku podziemia, sprawiały w dwójnasób groźne wrażenie, wręcz trudno było sobie wyobrazić, że w tej ponurej klitce czai się tak straszliwa broń.

Weatherhill wstał i odpiął linki od szelek. Obszedł stojące najbliżej auto, zdjął przywiązany do łydki niewielki zestaw narzędzi i rozłożył go na masce. Makiety sprężarki postawił na podłodze. Nie zaglądając nawet do wnętrza wozu, uchylił drzwi, wsunął rękę i otworzył maskę.

Przez chwilę mierzył wzrokiem prawdziwą bombę, której zapalnik podłączony był do radiodbiornika. Nie różniła się niczym od tej, jaką widział poprzednio: groźba przypadkowego uruchomienia detonatora była znikoma. Zatrudnieni przez Sumę inżynierowie tak skonstruowali głowicę, że mogła ona wytrzymać nawet wstrząsy auta pędzącego ze sporą szybkością po wyboistej drodze. Timothy wołał jednak nie ryzykować, tym bardziej że nadal nie było wiadomo, co spowodowało eksplozję na pokładzie "Niebiańskiej Gwiazdy".

Odegnał od siebie złe myśli i zaczął zdejmować węże ciśnieniowe z fałszywej sprężarki. Już przedtem przekonał się, że połączenia elektryczne z nagrzewnicą, która faktycznie miała służyć jako antena, są dziecinnie proste do demontażu. Zresztą cały układ elektroniczny był mniej więcej taki, jakby to on sam go zaprojektował. Ostrożnie ściągał zaciskowe końcówki przewodów i podłączał jeden po drugim do swojej makiety, żeby nie pomylić ich kolejności. Wreszcie mógł spokojnie zacząć odkręcać śruby mocujące sprężarkę.

- Bez przeszkód wyjąłem bombę - zameldował. - Dokonam teraz podmiany.

Sześć minut zajęło mu przytwierdzenie makiety na miejscu.

- Wychodzę.

- Jestem gotowa, żeby cię wyciągnąć - odparła Stacy.

Weatherhill podszedł z powrotem do wylotu szybu wentylacyjnego i zaczął mocować linki do szelek, kiedy jego uwagę przykuło coś, co w ciemnościach wcześniej przeoczył.

Coś dziwnego tkwiło na przednim siedzeniu auta.

Ponownie oświetlił całe pomieszczenie i dostrzegł teraz, że w każdym z czterech samochodów za kierownicą znajduje się jakiś dziwny mechanizm. W piwnicy panował chłód, lecz jego oblał nagle zimny pot, który spływał strumyczkami pod nylonowym kombinezonem. Ściskając w palcach latarkę, otarł czoło rękawem i powolutku przykucnął, aż jego twarz znalazła się na wysokości okna od strony kierowcy.

Ów automat, zainstalowany na siedzeniu za kierownicą, trudno było nazwać mechanicznym człowiekiem. Sterczące wysięgniki nie przypominały nawet klasycznego

robota, choć tak należało zaklasyfikować to urządzenie. Głowę, osadzoną na metalowym korpusie nafaszerowanym elektroniką, stanowił prawdopodobnie rodzaj skomputeryzowanego systemu optycznego. Stalowe ramiona zaopatrzone były w trzy paluchy, zaciśnięte na kierownicy, i podobnie jak dolne wysięgniki odchodziły od korpusu w tych miejscach, gdzie u człowieka ręce i nogi, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo.

Weatherhill przez kilka minut obserwował mechanicznego kierowcę, utrwalając jego kształty w pamięci.

- Zgłoś się, proszę. - Stacy nawiązała łączność, zaniepokojona opóźniającym się powrotem.

- Odkryłem coś interesującego - odparł. - Nowe wyposażenie.

- Lepiej wynoś się stamtąd.

Timothy z radością pospieszył w stronę szybu. Roboty, które czekały w pełnym złowieszczej ciszy mroku na sygnał radiowy nakazujący im doprowadzić samochody pułapki pod wybrane cele, jawiły mu się w wyobraźni jako ludzkie szkielety. Przypiął linki do uprząży i położył się na zimnym betonie podłogi, unosząc nogi wysoko w górę i opierając je o ścianę.

- Ciągnij.

Stacy zaparła się stopami o rurę wodociągową i zaczęła ciągnąć linę, która zwisała z bloczka. Na drugim jej końcu Weatherhill z wolna podjechał ku górze i wsunął nogi w otwór, przybierając tę samą pozycję co poprzednio: na plecach. Tym razem jednak trzymał w wyprostowanych rękach i ciągnął za sobą sprężarkę zawierającą prawdziwą bombę.

Kiedy cały znalazł się wewnątrz szybu, rzekł do mikrofonu:

- Zaczekaj chwilę. Muszę wciągnąć z powrotem jeża i kratkę wentylacyjną. Nie możemy zostawiać pamiątek po naszej wizycie.

Z wielkim trudem, starając się nie poruszyć leżącej przed nim bomby, zdołał wciągnąć jeża i ponownie zaklinować go między ściankami szybu. Następnie przyciągnął kratkę i szybko dokręcił śruby. Dopiero teraz, niemal obolały z wysiłku, mógł się rozluźnić i dać wyciągnąć z rury. Sunął w jej wnętrzu, gapiąc się bezmyślnie na trzymaną głowicę, a jego los zależał już tylko od Stacy.

- Widzę twoje stopy - odezwała się w końcu dziewczyna. Ledwie mogła już poruszać rękoma, a serce waliło jej jak młotem.

Kiedy wyłonił się do połowy z poziomego szybu, zaczął jej pomagać, wypychając się do końca i podciągając w górę. W głównym przewodzie było na tyle dużo miejsca, że uniósł bombę na wyciągniętej ręce, Stacy zaś wychyliła się, przejęła ją od niego i złożyła bezpiecznie na podłodze pomieszczenia gospodarczego. Pospiesznie owinęła cylinder grubym ręcznikiem,

włożyła go do torby sportowej i dopiero wtedy pomogła Weatherhillowi wydostać się do końca z szybu wentylacyjnego.

Ten błyskawicznie odpiął liny i zrzucił szelki. Stacy kolejnym przyciskiem na kolbie grochomiotu złożyła rozpory jeża, wyciągnęła go z rury, owinęła linkami i wrzuciła do torby. Zanim Timothy zdążył się przebrać z powrotem w strój do tenisa, umieściła na miejscu wycięty krąg blachy i przykleiła go bezbarwną taśmą samoprzylepną.

- Nie było żadnych kłopotów? - zapytał Weatherhill.

Stacy pokręciła głową.

- Parę osób przechodziło na parking, ale tu nie zaglądał nikt z obsługi hotelowej. - Zamyśliła się i po chwili wskazała torbę, w której spoczywała sprężarka. - Aż mi się wierzyć nie chce, że mamy tu bombę atomową.

- Wystarczająco silną, żeby zmienić w parę cały ten hotel.

- A ty miałeś jakieś kłopoty?

- Nie, ale odkryłem, że nasz drogi Suma zastosował kolejny chwyt - odparł, wpychając do drugiej torby kombinezon i parcianą uprząż. - W samochodach zainstalowano mechanicznych kierowców. Nie będą już potrzebni ludzie, żeby doprowadzić auta pod wybrane cele.

- To bydlak. - Napięcie i zmęczenie Stacy stopniowo przeradzało się we wściekłość.

- Nie będzie musiał przekonywać ludzi, zмагаć się z wahaniem tych, którzy mają odpalić głowice. Nie będzie też kogo przesłuchać, gdyby policja zatrzymała któryś z samochodów.

- Suma nie odgrywałby takiej roli, jaką odgrywa, gdyby był głupcem. Wykorzystanie robotów do brudnych zadań jest bardzo sprytnym rozwiązaniem. Japończycy przodują w światowej robotyce, a dokładna penetracja Edo City z pewnością by wykazała, że właśnie tam najcieńsze mózgi opracowują nowe urządzenia.

W oczach Stacy pojawił się nagle błysk zrozumienia.

- A jeśli centrala sterowania - szepnęła złowieszczo - jest także obsadzona i strzeżona przez roboty?

Weatherhill energicznie zasunął zamek błyskawiczny torby.

- To już zmartwienie Jordana. Sądzę jednak, że trzeba się liczyć z tym, iż nie zdołamy przeniknąć do centrali.

- W takim razie nie będziemy mogli powstrzymać Sumy przed ostatecznym połączeniem systemu i uzbrojeniem bomb.

- To też jest niewykluczone - mruknął Timothy posepnie. - Nasz najlepszy sprzęt nie może się równać z jego automatami.

Toshie, odziana w krótką, luźną tunikę, zebraną w talii szerokim pasem *obi*, dyskretnie pochyliła głowę i wyciągnęła przed siebie olbrzymi miękki ręcznik. Wychodzący z zaparowanej łaźni Suma owinął się nim jak togą i usiadł na niskim taborecie. Dziewczyna przyklękała i zaczęła masować mu stopy.

Toshie była córką biednego rybaka, czwartą z ośmiorga dzieci, chudą i kościstą, której chłopcy nawet nie zauważali, dopóki jej rysy się nie wygładziły, a ciało nie zaczęło nabierać pięknych, proporcjonalnych kształtów. Piersi urosły jej znacznie wydatniejsze niż u większości japońskich dziewcząt, natomiast twarz z nieco wystającymi kośćmi policzkowymi i dużymi ciemnymi oczyma nabrała wiele uroku.

Suma zwrócił na nią uwagę pewnego dnia, kiedy przechadzając się o zachodzie dostrzegł dziewczynę stojącą między palami falochronu i wybierającą sieci. Ozłocona promieniami zachodzącego słońca, w powiewnej szacie, którą bryzgi fal uczyniły całkiem przezroczystą, pozwalając dostrzec piękną sylwetkę, wydała mu się wręcz jakąś boginią.

Był zauroczony, ale nie odezwał się do niej ani słowem. Wypytał ludzi o jej nazwisko i zanim jeszcze pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, dobił targu z rybakiem i kupił Toshie za sumę, która uczyniła z nędzarza najbogatszego człowieka na wyspie i właściciela nowoczesnego kutra, wyposażonego we wszystkie możliwe elektroniczne urządzenia nawigacyjne.

W pierwszej chwili dziewczyna była wstrząśnięta i na wiadomość, że ma opuścić dom rodzinny, zareagowała histerią. Dość szybko jednak bogactwo i wpływy Sumy zrobiły na niej wrażenie i stała się bezgranicznie mu oddana. Na swój sposób polubiła służalczą rolę sekretarki i nałożnicy. On zaś wynajął dla niej najlepszych nauczycieli, którzy przekazali jej bogatą wiedzę z zakresu rachunkowości i zarządzania, nauczyli kilku języków obcych, wytwornych manier oraz wysublimowanych technik sztuki miłosnej.

Dobrze wiedziała, że nigdy nie zostanie jego żoną; w życiu Sumy było wiele innych kobiet, a on nie potrafił związać się na stałe tylko z jedną. Był jednak dla niej bardzo miły, a Toshie zdawała sobie też sprawę, że gdy nadejdzie czas ustąpienia na zawsze miejsca komuś innemu, może liczyć również na jego hojność.

Obok, przy niskim czarno lakierowanym stoliku, siedział także Kamatori w długim żółtym *yukata*, ozdobionym granatowymi wizerunkami ptaków, a naprzeciwko niego Roy Orita sączył z wolna herbatę. Obaj mężczyźni czekali w pełnym respektu milczeniu, aż Suma pierwszy zabierze głos.

Ten jednak przez kilka minut nie zwracał na nich uwagi, delektując się rozkosznym

mrowieniem w stopach, które masowała mu Toshie. Kamatori wyraźnie unikał ostrych spojrzeń Sumy, wbijając oczy w stół. Zawiódł już po raz drugi w tym tygodniu i czuł się po prostu upokorzony.

- A więc twoja grupa idiotów nie wykonała zadania - odezwał się w końcu Suma.

- To był wypadek - odparł Kamatori, bez przerwy wpatrując się w blat stołu.

- Wypadek! - parsknął Suma. - Słowo "katastrofa" byłoby znacznie bliższe prawdy.

- Pitt, admirał Sandecker i ten trzeci, o nazwisku Giordino, mieli wiele szczęścia.

- Nie ma mowy o żadnym szczęściu. Po prostu twoi zabójcy nie docenili nadzwyczajnej dążności wszystkich Amerykanów do utrzymania się przy życiu.

- Można przewidzieć zachowanie profesjonalistów - rzekł Kamatori pełnym skruchy głosem - lecz cywile nie stosują się do żadnych reguł.

Suma skinieniem dłoni kazał Toshie skończyć masaż.

- Ilu straciłeś ludzi?

- Siedmiu, w tym także dowódcę grupy.

- Ufam, że nikogo nie schwytano.

- Ciała uprzątnięto i reszta grupy wycofała się przed przybyciem policji. Nie został żaden ślad.

- Raymond Jordan i tak się domyśli, kto zorganizował zamach - wtrącił Roy Orita.

- To już nie ma znaczenia. - Kamatori zerknął na niego z pogardą. - Ani on, ani jego wspaniały zespół MZB nie przedstawia dla nas żadnego zagrożenia. Ich agenci działający w Japonii zostali unieszkodliwieni.

Suma zrezygnował z herbaty, wziął jednak z rąk Toshie małą czarękę z sake.

- Jordan może być znowu groźny, jeśli jego ludziom uda się odkryć lokalizację naszego centrum dowodzenia.

- Jordan i Kern zdawali się zapędzeni w kozi róg, kiedy kontaktowałem się z nimi po raz ostatni dwadzieścia cztery godziny temu - powiedział stanowczo Orita. - Do tej pory nie wiedzą o centrali.

- Starają się na razie wyśledzić wszystkie samochody z bombami - rzekł Suma. - To pewna wiadomość.

Kamatori obojętnie wzruszył ramionami.

- Jordan usiłuje schwytać odbicie w okopconym zwierciadle. Samochody są dobrze ukryte i strzeżone, jeszcze godzinę temu - odebrałem wiadomość, że nie znaleźli żadnego z nich. Jeśli nawet uda im się wykryć i rozbroić kilka bomb, to i tak będzie to za późno i za mało. Już teraz możemy utworzyć elektromagnetyczny płaszcz okrywający pół globu.



- Czy są jakieś informacje o działaniach KGB lub innych europejskich agencji wywiadowczych? - zapytał Suma.

- O niczym nie wiemy - odpowiedział Orita. - Z nie znanych nam powodów Jordan trzyma sprawę w tajemnicy.

Kamatori upił trochę herbaty i spojrzął znad krawędzi filiżanki na Sumę.

- Pokonałeś ich, Hideki. Zespół robotów montażowych kończy już składanie elektronicznego systemu sterowania. Niedługo będziesz mógł dyktować swoje warunki wszystkim dekadentkim kulturom Zachodu.

W twarzy Sumy, na której malował się złowieszczy wyraz pewności siebie, nie drgnął ani jeden mięsień. Jak większość ludzi oślepionych blaskiem pieniędzy był trawiony straszliwą, wyniszczającą chorobą: wszechmocnym pragnieniem zdobycia władzy absolutnej.

- Sądzę, że nadeszła pora - rzekł tonem znamionującym sadystyczną przyjemność - zacząć ujawniać przed naszymi gośćmi cel ich pobytu.

- Czy wolno mi coś zasugerować? - wtrącił Orita, skłaniając lekko głowę.

Suma przytaknął w milczeniu.

- Na *gaijinach* największe wrażenie robi odpowiedni status i władza. O ich podejściu do życia najlepiej świadczy szacunek, jakim otaczają znanych artystów i sławnych bogaczy. Pan jest najznakomitszym ekspertem finansowym na świecie. Proszę pozwolić, by ta członkini Kongresu i senator musieli gubić się w domysłach oraz podejrzaniach i zaczęli uważać pana za człowieka powściągliwego i nieodgadnionego. Proszę wysłać swoich współpracowników, którzy będą im przedstawiać zaledwie okruchy informacji, przygotowując ich tym samym na spotkanie z osobą wielce szanowaną, cieszącą się ogromnym autorytetem.

Suma postanowił skorzystać z rady Ority. Co prawda ten sposób postępowania wydał mu się dziecinadą, lecz mile łechtał jego próżność i był poza tym praktyczny.

- Moro - rzekł, spoglądając na Kamatoriego - tobie zostawiam wprowadzenie naszych gości w sprawę.

Loren czuła się tak bardzo zagubiona, jak nigdy dotąd. Zaraz po wciągnięciu do auta na torze wyścigowym wstrzyknięto jej środek usypiający i w pełni odzyskała świadomość nie dalej niż dwie godziny temu.

Kiedy wreszcie pozbyła się narkotycznej mgły zaćmiewającej myśli, dokładnie obejrzała pięknie wykończoną sypialnię i przylegającą łazienkę z wpuszczoną w podłogę marmurową wanną i bidetem. Wystrój pokoju, wyposażonego w delikatne bambusowe meble i ozdobionego tropikalnymi roślinami w donicach, przypominał jej styl z wysp południowego

Pacyfiku. Podłogę wyłożono cienko polakierowanymi klepkami cedrowymi, a na ścianach wisiały maty splecione z liści palmowych.

Przypomniała sobie pewną letnią rezydencję na Tahiti, gdzie kiedyś spędzała wakacje. Nie pasowały tylko dwa szczegóły: sypialnia pozbawiona była okien, a drzwi nie miały od środka klamki.

Zajrzała do szafy stojącej pod ścianą, gdzie na wieszakach wisiało kilka jedwabnych kimon. Przymierzyła jedno z nich i odkryła z zaskoczeniem, że prawie idealnie na nią pasuje. Wysunęła następnie dolną szufladę, w której znalazła damską bieliznę, również jej rozmiaru. Sandały, stojące na podłodze pod szafą, także zostały świetnie dobrane.

Stwierdziła w duchu, że w niczym nie przypomina to więzienia. Porywacze widocznie nie mieli zamiaru ani jej torturować, ani zabijać. Zepchnęła więc na dno świadomości pytanie o powód, dla którego została uprowadzona, i chcąc jak najlepiej wykorzystać niedogodną sytuację, naląła sobie do wanny gorącej wody z dużą ilością piany. Po kąpeli wytarła się, wysuszyła i ułożyła włosy, korzystając ze spinek, które obok szeregu drogich kosmetyków znalazła na półeczce w łazience.

Zdażyła narzucić na siebie białe kimono w wielkie róże, kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi i po chwili do sypialni wszedł Kamatori.

Przez moment stał w milczeniu z rękoma złożonymi w szerokich rękawach *yukaty*, mierząc ją łakomym spojrzeniem. Powoli omiótł Loren wzrokiem, od bosych stóp poprzez piersi, aż wreszcie popatrzył jej w twarz.

Kobieta zakryła się szczelnie połami kimona, zawiązała je paskiem i odwróciła się do gościa plecami.

- Czy mężczyźni w Japonii zawsze wchodzą do kobiecej sypialni bez zaproszenia?

- Proszę przyjąć moje najszczerze przeprosiny - odparł z wyraźną ironią. - Nie miałem zamiaru okazywać braku szacunku odświeżonej parlamentarzystce amerykańskiej.

- Czego chcesz?

- Przysłała mnie pan Hideki Suma, bym sprawdził, czy niczego pani nie brakuje. Nazywam się Moro Kamatori, jestem osobistym strażnikiem i zaufanym przyjacielem pana Sumy.

- Domyślam się, że to on kazał mnie uprowadzić - powiedziała stanowczym tonem.

- Mogę pani obiecać, że te niewygody są tylko przejściowe.

- Z jakich powodów chcecie mnie trzymać jako zakładniczkę? Co spodziewacie się zyskać, poza nienawiścią i chęcią zemsty ze strony rządu amerykańskiego?

- Pan Suma oczekuje pani pomocy w przekazaniu pewnej informacji waszemu

prezydentowi i członkom Kongresu.

- Więc proszę powiedzieć panu Sumie, że może sobie wetknąć zaostrzony kij w odbytnicę i sam przekazać tę wiadomość.

Kamatori pomyślał, że ta bezczelność jest spowodowana zdenerwowaniem. Był jednak zadowolony z tej reakcji, postanowił jednym ruchem przełamać pierwszą linię obrony Loren.

- Czyż nie jest zadziwiające, że dokładnie w ten sam sposób, tylko nieco dosadniejszymi słowami, odpowiedział mi senator Diaz?

- Mike Diaz? - W murach bastionu Loren pojawiła się wyraźna rysa. - Jego również porwaliście?

- Owszem, przywieziono was tu razem.

- Tu, to znaczy dokąd?

- Do pewnego wyspiarskiego uzdrowiska u brzegów Japonii.

- Suma jest szalony.

- Wątpię - odparł spokojnie Kamatori. - To bardzo mądry i przewidujący człowiek, który już za kilka dni ogłosi swoje warunki, jakich będą musiały przestrzegać wszystkie państwa zachodnie.

Na twarzy Loren pojawił się rumieniec złości.

- On jest znacznie większym szaleńcem, niż do tej pory myślałam.

- Nie sądzę. Jeszcze nikt na świecie nie zgromadził tak wielkich bogactw, a do tego nie dochodzi się poprzez szaleństwo. Wkrótce będzie pani zmuszona uwierzyć, że potrafi on przejąć całkowitą kontrolę nad gospodarką amerykańską i decyzjami waszego rządu. - Kamatori zamilkł i przeniósł wzrok trochę niżej, gdzie cienki materiał kimona opinał się na pełnych piersiach Loren. - W świetle nadchodzących zmian radziłbym pani dobrze się zastanowić nad tym, czy nie przejść na naszą stronę.

Loren nie chciała wierzyć własnym uszom, słysząc tę bzdurną propozycję.

- Jeśli senatorowi Diazowi lub mnie stanie się jakaś krzywda, ty i Suma zapłacicie za to. Prezydent i Kongres nie będą z założonymi rękoma przyglądać się temu, jak uprowadzacie zakładników.

- Muzułmańscy terroryści porywają amerykańskich zakładników już od lat i nic na to nie możecie poradzić - rzekł Kamatori, uśmiechając się drwiąco. - Wasz prezydent został powiadomiony o wszystkim już w godzinę po waszym uprowadzeniu, wie także, kto się za tym kryje. A jednak, może mi pani wierzyć, rozkazał nie podejmować żadnych akcji i utrzymać całą sprawę w tajemnicy przed dziennikarzami. Nikt nie wie o tym, że zostaliście przewiezieni do Japonii, ani wasi współpracownicy, ani krewni czy przyjaciele.

- Kłamiesz. Moi przyjaciele nie będą milczeć.

- Czy ma pani na myśli Dirka Pitta i Alfreda Giordina?

Loren miała chaos w głowie, czuła się kompletnie wytrącona z równowagi.

- Znacie ich?

- Owszem. Próbowali wtykać nos w nie swoje sprawy i przydarzył im się drobny wypadek.

- Ucierpieli? - zapytała odruchowo.

- Jeszcze nie wiem, ale z pewnością można powiedzieć, że nie wyszli z niego bez szwanku.

Wargi zaczęły jej drżeć, gorączkowo starała się zebrać myśli.

- Dlaczego porwaliście akurat mnie i senatora Diaza?

- Bo pani i senator jesteście pionkami w pewnej strategicznej rozgrywce o znaczeniu gospodarczym - odrzekł Kamatori. - Zostanie więc pani zwolniona dopiero wtedy, kiedy pan Suma na to pozwoli. Nie należy też liczyć na jakąś akcję waszych służb specjalnych, gdyż nawet wywiad nie ma pojęcia, gdzie jesteście przetrzymywani. A gdyby nawet się tego dowiedzieli, to i cała armia nie zdoła pokonać naszych zabezpieczeń. W każdym razie pani i senator powinniście zostać zwolnieni i odesłani samolotem do Waszyngtonu pojutrze.

Zdumienie malujące się w rozszerzonych oczach Loren było właśnie tym, czego spodziewał się Kamatori. Wysunął dłonie z szerokich rękawów *yukaty*, błyskawicznie ściągnął jej kimono do pasa i z całej siły przycisnął obie ręce Loren do boków, po czym uśmiechnął się sadystycznie.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pani krótki pobyt tutaj był przyjemny. Mógłbym nawet udzielić pani kilku lekcji na temat sposobów, które są mile widziane przez każdego mężczyznę zdobywającego kobietę.

Odwrócił się niespodziewanie i dwukrotnie zastukał pięścią w drzwi.

Niewidoczny strażnik otworzył je i Kamatori wyszedł, zostawiając w umyśle Loren same wątpliwości dotyczące tego, co jeszcze czeka ją przed uwolnieniem.

- Oto i ona - powiedział Mel Penner, ruchem prestidigitatora zdejmując pokrowiec ze stołu i odsłaniając trójwymiarowy, gipsowy model wyspy, otoczonej błękitnym morzem i usianej plastikowymi drzewkami oraz domami. - Wyspa Soseki, zwana w przeszłości Ajima.

- Wspaniała robota - pochwaliła Stacy. - Wygląda bardzo realistycznie.

- Od dawna moim hobby jest budowa makiet kolejki elektrycznej - oświadczył z dumą dyrektor do spraw operacji terenowych - a zwłaszcza pasjonują mnie dioramy.

Weatherhill pochylił się nad stołem, patrząc na urwiste skały wynurzające się z fal, które wyglądały jak prawdziwe.

- Jakiego rozmiaru?

- Czternaście kilometrów długości, pięć szerokości w najszerszym miejscu. Bardzo przypomina San Miguel, jedną z grupy Channel Islands u wybrzeży Kalifornii.

Penner wyciągnął z kieszeni olbrzymią niebieską chustkę i otarł pot spływający mu po czole. Klimatyzator utrzymywał dość umiarkowaną temperaturę we wnętrzu niewielkiego budyneczku, a w zasadzie chaty stojącej na piaszczystej plaży wyspy Koror w archipelagu Palau, nie mógł jednak obniżyć wilgotności powietrza sięgającej 98 procent.

Stacy, ubrana w luźne szorty i stanik od kostiumu, obesza powoli stół, oglądając model wykonany z pietyzmem przez Pennera. Orientalne mosty spinające brzegi skalnych urwisk oraz sosny o poskręcanych pniach nadawały mu tajemniczy charakter.

- To musi być... - zawahała się, poszukując w myślach odpowiedniego określenia - niebiańska wyspa.

- No proszę, co to znaczy dać właściwe rzeczy słowo - mruknął Pitt, do szklanki pełnej plasterków cytryny i kostek lodu nalewając tequili, której butelkę przywiózł z Waszyngtonu. Miał na sobie kąpielówki i bawełnianą bluzę z emblematem NUMA. Drugie, mocno opalone nogi w skórzanych sandałach trzymał na ustawionym przed sobą drugim krześle. - Może dotyczy to uroczego ogrodu na zewnątrz, ale w środku czai się prawdziwy potwór.

- Myślisz, że arsenał nuklearny Sumy i centrala sterowania znajdują się gdzieś we wnętrzu tej wyspy? - zapytał Frank Mancuso, ostatni z pięcioosobowego zespołu, jaki zebrał się w Centrum Gromadzenia Danych na południowym Pacyfiku.

Penner skinął głową.

- Jesteśmy tego pewni.

Stacy delikatnie musnęła palcami niemal pionowe zbocza skalne modelu, które wylaniały się z morza.

- Nawet nie ma gdzie przybić statkiem. Musieli wszystkie elementy konstrukcyjne

transportować drogą lotniczą.

- Jak to możliwe, że zdołali tam zbudować wielki ośrodek i nie wykryły tego nasze satelity szpiegowskie? - zdziwił się na głos Weatherhill.

Z wyrazem dumy na twarzy Penner uniósł fragment makiety, część morza oddzielającą wyspę od krawędzi gipsowej konstrukcji, i wskazał biegnącą przez tworzywo cienką rurkę.

- Tunel - wyjaśnił. - Inżynierowie Sumy skonstruowali tunel, który prowadzi od najgłębiej położonych poziomów Edo City, dziesięć kilometrów do wybrzeża i dalej pięćdziesiąt kilometrów pod dnem morskim, aż do wyspy Soseki.

- Jeden zero dla Sumy - rzekł Pitt. - Nasze zdjęcia satelitarne nie wykazały żadnej nadzwyczajnej działalności, gdyż kruszywo wydobywane z drążonego tunelu wywożono razem z tym, jakie usuwano w trakcie budowy podziemnego miasta.

- Idealne rozwiązanie - przyznał Giordino. Zsunął się na brzeg krzesła i wbijał wzrok w precyzyjny model wyspy. Był nagi do pasa, ubrany tylko w dżinsy z obciętymi nogawkami.

- To najdłuższy tunel na świecie - powiedział Penner - dłuższy nawet od słynnego podmorskiego tunelu kolejowego, jaki łączy japońskie wyspy Honsiu i Hokkaido.

Weatherhill pokręcił głową z podziwu.

- Niewiarygodne przedsięwzięcie. Szkoda, że cały ten wysiłek nie został podjęty w bardziej pokojowych celach.

- Jeśli kopali tylko z jednej strony, musiało im to zająć co najmniej siedem lat - dodał zaszokowany Mancuso, który jako inżynier górnictwa najlepiej wiedział, z jakimi trudnościami musieli się borykać budowniczowie tak gigantycznego tunelu.

Ale Penner w odpowiedzi pokręcił głową.

- Pracowali na cztery zmiany, wykorzystując nowoczesny sprzęt, i uwinęli się w cztery lata.

- Tym bardziej wydaje się nieprawdopodobne, że zdołali utrzymać to w ścisłej tajemnicy - odparła Stacy, która od chwili odsłonięcia makiety nie spuszczała z niej wzroku.

Penner uniósł część gipsowej wyspy, odsłaniając labirynt miniaturowych pomieszczeń i korytarzy, odchodzących jak szprychy w kole od wielkiej centralnej komory.

- Oto wnętrze tej monstrialnej budowli. Niewykluczone, że skala się trochę nie zgadza, ale robiłem, co mogłem, mając do dyspozycji jedynie wstępne szkice konstrukcyjne, których kopie dostarczył Jim Hanamura.

- I tak stworzył pan niezwykle dzieło - rzekła Stacy, będąca pod wielkim wrażeniem makiety. - Szczegóły nie mają już takiego znaczenia.

- Wielu rzeczy musieliśmy się domyślać, ale Kern zapędził do pracy dużą grupę

rysowników, którzy postarali się jak najlepiej przybliżyć nam autentyczne rozmiary tej konstrukcji. - Położył na stole przed zgromadzonymi w chacie członkami zespołu MZB cały stos szkiców i rysunków. - Oto plany tej części Edo City, gdzie znajduje się wejście do tunelu, oraz przekroje centrum dowodzenia, tak jak widzą je specjaliści Kerna.

Wszyscy sięgnęli po rysunki i zaczęli przyglądać się budowli, w której czaiło się największe zagrożenie dla świata od czasów nieudanej inwazji na Kubę. Zapadło milczenie, każdy starał się utrwalić w pamięci rozkład oraz długość korytarzy, które prowadziły do poszczególnych sal o opisanym na planach przeznaczeniu.

- Centrala musi się znajdować dobre trzysta metrów pod powierzchnią - odezwał się w końcu Mancuso.

- Na wyspie nie ma ani lotniska, ani portu - mruknęła zamyślona Stacy. - Można się tam dostać jedynie helikopterem albo przejść tunelem z Edo City.

Pitt dopił resztę tequili.

- Nie dostaniemy się tam z morza, chyba że zbierzemy grupę wytrawnych alpinistów. A i ci zapewne zostaliby wystrzelani przez ochroniarzy Sumy jak mrówki wspinające się po białej ścianie.

- Co to za budynki na wyspie? - zapytał Weatherhill.

- Luksusowy kurort dla najbliższych współpracowników Sumy. Organizowane są tam konferencje, a także potajemne spotkania z politykami, urzędnikami państwowymi oraz przywódcami świata przestępczego.

- Shimzu przedstawił na obrazie nagą skałę pozbawioną wszelkiej roślinności - rzekł Pitt. - Skąd zatem wzięły się te drzewa?

- Zasadzili je ludzie Sumy dwadzieścia lat temu - wyjaśnił Penner.

Mancuso w zamyśleniu potarł palcami nos.

- Musi być chyba jakaś winda z ośrodka wypoczynkowego do centrali.

Penner pokręcił głową.

- Nie ma jej na planach, a trudno przeprowadzać penetrację całego terenu, jeśli nie wiemy nic o istnieniu takiego szybu.

- Tej wielkości podziemne komory wymagają doprowadzania powietrza z zewnątrz.

- Nasz zespół fachowców twierdzi, że część budowli kompleksu wypoczynkowego stanowi jedynie osłonę szybów wentylacyjnych i Wlotów powietrza.

- Moglibyśmy spróbować dostać się tamtędy - rzekł Weatherhill z uśmiechem. - Mam już w tym pewną wprawę.

- Brak nam wystarczających danych. - Penner wzruszył ramionami. - Nie można

wykluczyć, że powietrze pompuje się aż z Edo City i system wentylacyjny jest wspólny.

Pitt spojrział na Pennera.

- Czy istnieje szansa, że Loren i Diaz są przetrzymywani w tym ośrodku na wyspie?

Penner zmarszczył brwi.

- Szanse istnieją, ale nie wiemy nic pewnego. Wydaje się jednak, że taki zamknięty i strzeżony, luksusowy ośrodek na samotnej wysepce stanowi wprost idealne miejsce do przetrzymywania zakładników.

- Właśnie - wtrąciła Stacy. - Po co w ogóle brali zakładników? Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości ani od Loren Smith, ani od senatora Diaza.

- Nikt nie przedstawił też swoich żądań - odparł Penner - co zmusza prezydenta do bezczynnego czekania na dalszy rozwój wydarzeń. Dopóki nie mamy wystarczających danych wywiadowczych, na których podstawie można by opracować jakiś plan działania, nie zostanie podjęta żadna akcja.

Giordino popatrzył na niego w zamyśleniu.

- Musi być jakiś plan interwencji, wy przecież macie plany na każdą sytuację.

- Owszem - odparł Penner z lekkim ociąganiem. - Don Kern opracował dość skomplikowany, lecz realny plan przeniknięcia do centrali i zniszczenia elektronicznych systemów sterowania.

- A czy braliście pod uwagę ich siły obronne? - zapytał Dirk. - Suma nie wkładałby tyle wysiłku i forsy w stworzenie tego ósmego cudu współczesnego świata, gdyby nie zabezpieczył go na wszelkie możliwe sposoby.

- Trudno cokolwiek powiedzieć na pewno. - Penner zapatrzył się na makietę wyspy. - Nie mamy pojęcia, jakimi systemami zabezpieczeń i urządzeniami wojskowymi dysponuje Suma, ale musimy zakładać, że zainstalował tam najlepsze czujniki, jakie tylko można kupić za pieniądze. Prawdopodobnie wyrafinowany sprzęt radarowy strzeże całej wyspy i przylegającego morza, sonary penetrują część podwodną, promienie laserowe i detektory podczerwieni pilnują brzegów wyspy, bronionych zapewne przez całą armię uzbrojonych robotów.

- Nie zapominajmy też o zamaskowanych wyrzutniach pocisków do zwalczania celów nawodnych i powietrznych - dodał Pitt.

- Twardy orzech do zgryzienia - mruknął Weatherhill.

Giordino popatrzył na Pennera i uśmiechnął się krzywo.

- Wygląda na to, że jedynym sposobem przedostania się na wyspę jest wysłanie co najmniej pięciu kompanii doborowych jednostek sił specjalnych, po wcześniejszym ostrzale



ciężkiej artylerii i falowych bombardowaniach, które mogłyby nieco osłabić linie obronne.

- Albo też - dodał Pitt - zrzuć jedną wielką bombę atomową.

Penner skwitował to uśmiechem.

- Ponieważ żadna z tych propozycji nie odpowiada naszym celom, będziemy musieli wziąć pod rozwagę całkiem inne sposoby.

- Pozwolę sobie zgadywać - zauważył kwaśno Mancuso. Wskazał Stacy, Weatherhilla oraz siebie i rzekł: - Wyślecie nas troje, żebyśmy przeszli tunelem.

- Udacie się tam całą piątką - odparł cicho Penner - ale nie wszyscy pójdziecie tunelem. Stacy aż jęknęła ze zdumienia.

- Frank, Timothy i ja mamy doświadczenie w takich akcjach. Dirk i Al są specjalistami od działań pod wodą. Nie są odpowiednio wyszkoleni i nie mają wprawy w tego typu operacjach. Naprawdę chcesz ich tam wysłać?

- Tak, mam taki zamiar - odrzekł stanowczo Penner. - Wcale nie są takimi amatorami, jak ich przedstawiałaś.

- Czy mamy włożyć czarne stroje ninja i przemykać tunelem jak nietoperze? - zagadnął z wyraźną drwiną Pitt.

- Skądże znowu. Ty i Al zostaniecie zrzućeni na wyspę i podejmiecie działania dywersyjne, pozostali zaś wejdą od strony Edo City.

- Tylko nie na spadochronach - jęknął Giordino. - Boże, jak ja nie znoszę skakać ze spadochronem.

- Aha - mruknął w zamyśleniu Dirk. - Słynny duet Pitt i Giordino wykona niepowtarzalny numer, wdzierając się do prywatnej fortecy Hidekiego Sumy przy dźwięku trąb, biciu dzwonów i terkocie werbli, po czym obaj jako zdemaskowani szpiegowie zostaną straceni sposobem samurajskim. To miło z twojej strony, Penner, że masz o nas aż tak dobre mniemanie.

- To prawda, że istnieje ryzyko, ale nie wysyłałbym was na pewną śmierć - odparł tamten.

Giordino popatrzył na Pitta.

- Czy nie masz wrażenia, że ktoś chce nas zwyczajnie wykorzystać?

- A nie pasuje ci bardziej słowo: wykiwać?

Dirk wiedział jednak dobrze, że dyrektor do spraw operacji terenowych nie podejmuje działań na własną rękę, a cały ten plan, który wyszedł prawdopodobnie od Kerna, musiał zyskać aprobatę Jordana i błogosławieństwo samego prezydenta. Obrócił głowę w kierunku Stacy, na twarzy której malowała się niema prośba.

- A gdy znajdziemy się już na wyspie, to co dalej? - zapytał.

- Postaracie się ściągnąć na siebie uwagę ochroniarzy Sumy, uciekając przed nimi tak długo, jak tylko się da; do czasu, aż będziemy mogli wysłać grupę wsparcia, która zabierze stamtąd cały zespół.

- Przy tych cudówkach techniki nie wytrzymamy nawet dziesięciu minut.

- Nikt nie oczekuje od was cudów.

- A więc? - dopytywał się Pitt.

- Co więc?

- My wykonamy desant i zaczniemy się bawić w chowanego z robotami Sumy, a ta trójka fachowców prześliznie się sześćdziesięciokilometrowym tunelem. - Dirk starał się za wszelką cenę nie okazać wzbierającej irytacji, sceptycyzmu czy desperacji. - Na tym polega wasz plan? Nic więcej?

- Tak - mruknął Penner, unikając ostrego spojrzenia Pitta.

- Twoi przyjaciele z Waszyngtonu musieli chyba wylosować ten przeświatny okaz ludzkiej inwencji na jakiejś odpustowej loterii fantowej.

W głębi ducha Dirk podjął już jednak decyzję; wziąłby udział w tej akcji nawet wówczas, gdyby szansę odnalezienia na wyspie przetrzymywanej siłą Loren były bliskie zera.

- Dlaczego by nie przeciąć po prostu linii zasilania, która musi łączyć wyspę z lądem? - zapytał Giordino.

- Ponieważ centrala jest całkowicie samowystarczalna, ma własne zasilanie z generatora prądu.

Dirk spojrzał na Giordina.

- I co ty na to, wielki Alu?

- Czy w tym ośrodku są gejsze?

- Jeśli wierzyć pogłoskom, Suma zatrudnia tylko najpiękniejsze kobiety - odparł Penner z niewyraźnym uśmiechem.

- Jak mamy tam dolecieć, żeby nie zestrzelili nas przy pierwszym zbliżeniu do wyspy? - zapytał Dirk.

Penner tym razem uśmiechnął się szeroko, jakby miał za chwilę wyjąć piątego asa z rękawa.

- Akurat ta część planu, według wszelkich prognoz, ma największe szansę pełnego powodzenia.

- To już lepiej - stwierdził Pitt, nadal mierząc go lodowatym spojrzeniem zielonych oczu - bo inaczej ktoś mógłby na tym nieźle ucierpieć.

Pitt i Giordino dość szybko się przekonali, że - zgodnie z obietnicą Pennera - zestrzelenie nad wyspą było mało prawdopodobne. Superlekkie motoszybowce, którymi mieli wystartować z lądowiska na pokładzie "Ralph R. Bennetta", radiolokacyjnego okrętu wczesnego ostrzegania, przypominały kieszonkowe bombowce typu Stealth. Specjalna ciemnoszara farba pokrycia i dziwaczne występy, podobne do uszu królika Rogersa, czyniły je niewidocznymi dla fal radarowych. Siedziały niczym dwa maleńkie, kosmiczne żuki w cieniu gigantycznego prostopadłościanu radarowej anteny o układzie fazowanym. Konstrukcja o wysokości sześciu pięter, złożona z osiemnastu tysięcy elementów anteny, zbierała olbrzymią liczbę szczegółowych danych o wszystkich sowieckich próbach raketowych. "Ralph R. Bennett" na osobisty rozkaz prezydenta został ściągnięty ze swego posterunku na wysokości Kamczatki i miał nie tylko służyć jako pas startowy dla motoszybowców, ale także kontrolować wszelką aktywność w sąsiedztwie wyspy Soseki.

Kapitan Raymond Simpson, mężczyzna trzydziestoparoletni, o spalonych słońcem blond włosach, stał na pokładzie obok pracowników NUMA i spoglądał surowym wzrokiem na swoich marynarzy, krzątających się wokół dwóch maszyn. Trwało jeszcze tankowanie paliwa i ostatnie sprawdzanie przyrządów.

- Sądzi pan, że poradzimy sobie bez lotu próbnego? - zapytał Dirk.

- Dla doświadczonych pilotów, takich jak wy, to kaszka z mlekiem - odparł swobodnym tonem Simpson. - Kiedy tylko spróbujecie, jak się tym lata, leżąc na brzuchu, od razu nabierzecie ochoty, żeby zabrać sobie jedną z tych zabawek do domu na prywatny użytek.

Pitt nigdy przedtem nie widział podobnych superlekkich maszyn, ujrzał je dopiero godzinę temu, kiedy wraz z Giordinem wylądowali turbośmigłowcem typu Osprey na pokładzie okrętu. I oto, zaledwie po czterdziestominutowym wykładzie prowadzenia motoszybowców, mieli wzbić się w powietrze, pokonać stukilometrową trasę nad otwartym morzem i wylądować bezpiecznie na skalistym gruncie wyspy Soseki.

- Od jak dawna macie na wyposażeniu te ptaszki? - zapytał Giordino.

- Te Ibisy X-Dwadzieścia - wyjaśnił Simpson - dopiero co zeszyły z deski kreślarskiej.

- O Jezu! - jęknął AL - Zatem są to nadal maszyny eksperymentalne?

- Mniej więcej, nie przeszły jeszcze wszystkich testów. Przepraszam, że nie mogę dać panom niczego pewniejszego, ale wasi zwierzchnicy z Waszyngtonu musieli działać w strasznym pośpiechu, skoro kazali nam przepłynąć pół świata i dostarczyć motoszybowce na miejsce w ciągu osiemnastu godzin.

- Mam jednak nadzieję, że tym da się latać - mruknął zamyślony Pitt.

-Z całą pewnością, sam wylatałem na nich dziesięć godzin. To wspaniałe maszyny, opracowane specjalnie do jednoosobowych lotów zwiadowczych. Są napędzane silnikami turbinowymi najnowszej generacji, osiągają szybkość do trzystu kilometrów na godzinę i mają zasięg stu dwudziestu kilometrów. Ibisy zalicza się do najlepszych motoszybowców na świecie.

-Ma pan zadatki na świetnego dealera po zwolnieniu ze służby w marynarce - stwierdził oschle Giordino.

- Nie sądzę, bym miał na to ochotę - odparł Simpson, nie wyczuwając dowcipu.

Na pokład wyszedł dowódca okrętu radiolokacyjnego, komandor Wendell Harper, ściskając w dłoni fotografię dużego formatu. Wysoki i barczysty, z wystającym brzuchem, poruszał się na szeroko rozstawionych nogach i wyglądał jak zwycięzca wielkiego wyścigu kuców na równinach Kansas.

- Nasz oficer meteorologii utrzymuje, że przez cały czas będziecie mieli wiatr z tyłu o szybkości czterech węzłów - oznajmił uprzejmie. - Nie powinno zatem być problemów z paliwem.

Pitt skinął głową.

- Mam nadzieję, że na podstawie zdjęcia satelitarne udało się znaleźć jakieś dogodne lądowisko.

Harper rozpostarł na ścianie nadbudówki powiększoną komputerowo fotografię satelitarną.

- Co prawda nie jest to lotnisko O'Hare w Chicago, ale macie płaski, porośnięty trawą teren o wymiarach dwadzieścia na sześćdziesiąt metrów.

- Aż nadto, żeby swobodnie wylądować pod wiatr - wtrącił optymistycznie Simpson.

Pitt i Giordino podeszli bliżej, wpatrując się w niezwykle szczegółowe zdjęcie. Jego środkowa część przedstawiała wypielegnowany ogród z rozległym prostokątnym trawnikiem, otwartym od wschodu i otoczonym z pozostałych trzech stron gęstwiną drzew i krzewów, a także budowlami o dachach w kształcie pagody. Tarasy, które wychodziły na typowo orientálną sadzawkę, połączone były bogato zdobionymi krużgankami.

Jak dwaj skazańcy, którzy mają wybrać, czy wolą zawisnąć na szubienicy, czy stanąć przed plutonem egzekucyjnym, Dirk i Al popatrzyli na siebie i obaj uśmiechnęli się krzywo.

- Mamy się ukryć i czekać na ekipę ratowniczą? - jęknął Giordino łamiącym się głosem.  
- Dlaczego wciąż mam wrażenie, że w mojej urnie wyborczej są same fałszywe karty do głosowania?

- Tak jak przypuszczałem: mamy podejść pod główną bramę z całą orkiestrą dętą -

przyznał Pitt.

- Coś nie w porządku? - zapytał niewinnie Harper.

- Ma pan przed sobą ofiary nachalnego domokrażcy - odparł Dirk. - Ktoś w Waszyngtonie dowiedział się, że jesteśmy bardzo łatwowierni.

Komandor zrobił zdziwioną minę.

- Chcecie się wycofać?

- Nie. - Pitt westchnął ciężko. - Zrobimy to, czy za centa, czy za dolara.

- Nie chcę was poganiać, ale za godzinę będzie zachód słońca, a powinniście dotrzeć na miejsce jeszcze za dnia.

W tej samej chwili dowódca grupy technicznej podszedł do Simpsona i zameldował, że oba motoszybowce są sprawne i gotowe do lotu.

Pitt obrzucił spojrzeniem maleńkie, kruche maszyny. Nazwanie ich motoszybowcami zakrawało na przesadę. Gdyby nie ciąg silnika turbinowego, zapewne pospadałyby do morza jak kamienie. W przeciwieństwie do długich, mocnych skrzydeł innych superlekkich szybowców zwanych kaczkami, wewnątrz których znajdowała się płatanina cięgieł i przewodów, ibisy miały skrzydła krótkie i kanciaste, w dodatku ze spoiną w połowie długości. Poza tym brakowało im charakterystycznych dla kaczek krótkich przednich płatów, zapobiegających przeciążeniom i stabilizujących lot w poziomie. Przypomniawszy sobie jednak przysłowiowego trzmiela, który z pozoru nie powinien w ogóle wzbić się w powietrze, a przecież latał nawet lepiej niż wiele innych owadów wyposażonych przez matkę naturę w aerodynamiczne kształty.

Po zakończeniu kontroli maszyn oddział techniczny ustawił się w szeregu na skraju lądowiska. Pitt odniósł wrażenie, że marynarze spoglądają na nich tak samo, jak widzowie na torze wyścigów samochodowych stęsknieni za jakąś kraksą.

- Może uda nam się wylądować w porze roznoszenia koktajli - mruknął, wciągając hełm na głowę.

Giordino ziewnął z niewzruszonym spokojem.

- Jeśli wylądujesz pierwszy, zamów dla mnie czystą wódkę z martini.

Do zdumionego Harpera dotarło wreszcie, że ta niezwykła nonszalancja jest po prostu objawem skrajnego zdenerwowania obu mężczyzn.

- Powodzenia - rzekł, ściskając im mocno dłonie. - Będziemy śledzić wasz lot. I nie zapomnijcie po wylądowaniu nadać umówionego sygnału, musimy bezzwłocznie zawiadomić Waszyngton o pomyślnym zakończeniu lotu.

Pitt uśmiechnął się krzywo.

- O ile tylko będziemy mogli to zrobić.

- W to nie wątpię - rzekł Simpson, jakby chciał tym sposobem poręczyć za swoich ludzi. - Nie zapomnicie też chyba o włączeniu urządzeń autodestrukcyjnych. Nie możemy robić Japończykom prezentów z naszych superlekkich maszyn.

- Do widzenia. Dziękujemy panu i pańskim ludziom, że tak się o nas zatroszczyliście.

Giordino położył dłoń na ramieniu Pitta i zawadiacko puścił do niego oko. Obaj odwrócili się i szybko ruszyli w stronę maszyn.

Dirk położył się obok swojego motoszybowca, wsunął pod spód, przecisnął przez wąskie wycięcie w płóciennym poszyciu i ułożył się na brzuchu, zajmując wygodną pozycję na pianolitowej macie. Jego głowa i ramiona znalazły się niewiele wyżej od kolan, łokcie zaś wisiały zaledwie centymetr nad płótnem okrywającym brzuch maszyny. Docisnął uprząż i zapiał pasy, które krzyżowały mu się na piersi oraz pośladkach. Wsunął nogę w uchwyt stabilizatora pionowego, gdzie znajdował się pedał hamulca, po czym zacisnął jedną dłoń na drążku sterowniczym, natomiast drugą na dźwigienkach przepustnic silnika.

Pomachał przez małe okienko marynarzom, którzy zbliżyli się, by odczepić mocowania. Nacisnął starter. Silniczek turbinowy, nie większy od dziesięciolitrowej baryłki piwa, zaczął nabierać obrotów z szumem, który następnie przeszedł w niezbyt przyjemny dla ucha pisk. Dirk popatrzył na Giordina, dostrzegając za szybą jedynie parę brązowych oczu. Pokazał wyprostowany kciuk, a uśmiechnięty szeroko przyjaciel odpowiedział tym samym gestem.

Po raz ostatni omiół spojrzeniem wskazania przyrządów, upewniając się, że wszystko jest tak jak w instrukcji, którą miał czas zaledwie przekartkować. Zerknął też na banderę łopoczącą na rufie pod wpływem niezbyt silnego wiatru z prawej burty.

“Bennett” w niczym nie przypominał lotniskowca, pokład na śródkręciu zajmowała gigantyczna bryła radaru oraz nadbudówki, toteż komandor Harper rozkazał ustawić okręt ukosem do wiatru.

Pitt z całej siły naciskał pedał hamulca i przesuwał powoli dźwigienki przepustnic, a ibis zaczynał z wolna dygotać, chcąc skoczyć do przodu. Krawędź lądowiska znajdowała się niebezpiecznie blisko. Szybowiec mógł się wzbić w powietrze już przy szybkości czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę. Połączona szybkość wiatru i okrętu dawała mu dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, lecz mimo to trzeba było jeszcze rozpędzić ibisa do dwudziestu kilometrów na godzinę, zanim będzie można poderwać jego koła w powietrze.

Nie zwlekając, Dirk dał znak marynarzom, żeby odczepili mocowania. Przesunął dźwigienki do pozycji “pełna moc” i poczuł silne dygotanie motoszybowca, zarówno pod

wpływem ciągu turbiny, jak i od uderzeń wiatru. Wbił spojrzenie w krawędź lądowiska, puścił hamulce i maszyna skoczyła do przodu. Przejechał zaledwie dziesięć metrów i delikatnie pociągnął drążek sterowniczy. Szybowiec uniósł nos i Pitt ujrzał przez szybę chmury. Trzy metry przed końcem pokładu poderwał ibisa w powietrze i znalazł się nad falującym morzem.

Wyrównał lot na wysokości czterdziestu metrów, pochylił maszynę na skrzydło i obserwował, jak Giordino startuje z okrętu. Zatoczył pełne koło nad "Ralphem R. Bennettem", pomachał skrzydłami zgromadzonej na pokładzie załodze i obrał kurs na zachód, w kierunku wyspy Soseki. Pod nim promienie zachodzącego słońca odbijały się złotymi iskrami w grzbietach fal niespokojnego Pacyfiku.

Zmniejszył ciąg silnika do normalnych obrotów w locie poziomym. Żałował, że nie może wykorzystać mocy szybowca, nabrać wysokości i spróbować kilku akrobacji. Wolał nie ryzykować. Każdy gwałtowny manewr mógł zostać wykryty przez radary Japończyków, a w spokojnym poziomym locie na niewielkim pułapie był dla nich niewidoczny.

Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, co ich czeka po wylądowaniu. Nie widział zbyt wielkich szans ucieczki przed uzbrojonymi strażnikami. Nieźle to wymyślili - posępnie stwierdził w duchu - spaść jak bomba na podwórko Sumy i zaalarmować oddziały bezpieczeństwa, otwierając w ten sposób drogę innym.

Radiolokatory "Bennetta" natychmiast wyłapały fale radarowe systemów alarmowych Sumy, ale komandor Harper rozkazał ich nie zagłuszać. Pozwolił, by tamci namierzili pozycję okrętu, mając nadzieję, że samotna jednostka amerykańska, odpływająca spokojnie na wschód, jak gdyby wykonując rutynowy patrol, nie wzbudzi specjalnych podejrzeń dowództwa obrony wyspy.

Pitt skupił się na przyrządach, zerkając na igłę kompasu. Obliczył szybko, że przy obecnej prędkości powinien znaleźć się nad wyspą za trzydzieści pięć minut. Zdawał sobie jednak sprawę, że wystarczy drobne odchylenie kursu na północ lub południe, by w ogóle nie dostrzegł tego skalistego skrawka lądu.

Prowadzenie ibisa faktycznie było proste, chociaż ograniczenie jego wagi nie pozwoliło na zainstalowanie komputera pokładowego i autopilota. Dirk raz za razem sprawdzał prędkość, a także kierunek i szybkość wiatru, spoglądał na kompas i powtarzał obliczenia, aby wykluczyć jakąkolwiek możliwość pomyłki.

Perspektywa runięcia o zmierzchu w zimne wody oceanu, po wyczerpaniu się paliwa, nie była znaną kusząca.

Smutno pokiwał głową, zauważywszy puste miejsce po radiostacji. Z pewnością wyjęto ją na rozkaz Jordana, żeby ani jego, ani Giordina nie kusilo nawiązać łączność, zdradzając w

ten sposób swoją obecność w powietrzu.

Po upływie dwudziestu siedmiu minut nad horyzontem został jedynie niewielki skrawek tarczy słonecznej. Pitt z uwagą wpatrywał się przez szybę.

Wreszcie ją dostrzegł - otoczoną czerwoną aureolą plamkę na horyzoncie, która wręcz niezauważalnie rozrosła się w wyspę o skalistych brzegach, spadających pionowo w spienione fale.

Odwrócił głowę i wyjrzał przez boczne okienko: Giordino leciał tuż za nim, w odległości dziesięciu metrów po prawej stronie. Dirk pomachał skrzydłami i wskazał przed siebie. Al zbliżył się nieco, by mogli się lepiej widzieć, a następnie pokiwał głową w odpowiedzi i też wskazał dłonią leżącą przed nimi wyspę.

Pitt po raz ostatni sprawdził wskazania przyrządów i zaczął obniżać lot, kierując nos maszyny nadlatującej z ciemnego nieba na wschodzie ku centralnej części wyspy. Nie mógł sobie pozwolić na zatoczenie choćby jednego koła w celu zbadania przyszłego lądowiska, musiał osiąść miękko na ziemi już przy pierwszej próbie. Ich sprzymierzeńcem było zaskoczenie, musieli wykorzystać tę jedyną okazję posadzenia ibisów na trawniku rezydencji, zanim zostaną odpalone pociski typu ziemia-powietrze.

Widział już dokładnie orientalne dachy zabudowań oraz otwarty, obrzeżony drzewami teren pośrodku wypielęgowanego ogrodu. Dostrzegł też lądowisko dla helikopterów, którego nie było na modelu Pennera, postanowił jednak traktować je jako zapasowe miejsce lądowania, gdyż było stosunkowo niewielkie, otoczone gęstwiną drzew.

Skręcił odrobinę w lewo i zaraz wyrównał, zaczął powoli zmniejszać ciąg silnika. Ciemna plama morza umykała do tyłu, niedostępne urwiska rosły w oczach, wypełniając stopniowo cały widok. Pitt delikatnie ściągnął do siebie drążek. Nagle, jakby coś z dołu wyskoczyło w jego stronę, fale oceanu zniknęły z pola widzenia, a koła motoszybowca znalazły się zaledwie kilka metrów nad czarnymi skałami wulkanicznymi.

Nie oglądając się nawet na boki, przycisnął lekko pedał prawego statecznika, kompensując wpływ bocznego wiatru. Przemknął nad kępą krzewów, muskając kołami końce suchych badyli. Do końca przymknął dopływ paliwa i odgłos pracy turbiny stał się prawie niesłyszalny. Pociągnął do siebie drążek, maszyna zanurkowała i koła z lekkim stukotem zetknęły się z ziemią, nie dalej niż pięć metrów od kwiatowej rabaty.

Pitt wyłączył zapłon i wcisnął pedał hamulca, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Nie czuł siły, która by go wciskała w pasy, motoszybowiec nie zwalniał. Trawa musiała być mokra i koła ślizgały się po niej jak po oleju rozlanym na pasie startowym.

Opanował instynktowną chęć uruchomienia turbiny i poderwania maszyny z



powrotem w powietrze, tym bardziej że jego głowa znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od poszycia nosa szybowca. Wystarczyło niezbyt silne uderzenie o drzewo czy kamienną ścianę... Dostrzegł przed sobą kępę krzaków o usychających, złotożółtych i czerwonych liściach.

Pochylił głowę i zaparł się mocno o ramę motoszybowca.

Z szybkością około trzydziestu kilometrów na godzinę maszyna wbiła się w gęszcz krzaków. Oba skrzydła zostały oderwane, kadłub zaś przeorał wąski pas gruntu i wylądował w sadzawce, w której pływały olbrzymie karpie.

Przez kilka sekund panowała martwa cisza, którą zaraz rozdarł suchy trzask: ibis Ala przedarł się przez tę samą kępę krzaków, lecz zatrzymał nieco dalej, obok szczątków maszyny Pitta, niszcząc uprzednio wysypany żwirem klomb, na którym z kolorowych kamyków ułożony był jakiś artystyczny deseń.

Dirk błyskawicznie odpiął pasy, ale nie mógł wyswobodzić stóp, a miał bardzo ograniczone możliwości ruchu. Pianolitowe łoże pływało w wodzie i aby nie utonąć, musiał unieść głowę, chcąc zaczerpnąć powietrza. Miał przed sobą spore stadko białych, czarnych i złotych karpie - otwierały szeroko pyszczki, jakby gapiąc się okrągłymi ze zdumienia oczami na intruza, który wtargnął na ich prywatny teren.

Giordino błyskawicznie wydostał się ze swej maszyny, która zdecydowanie mniej ucierpiała w zetknięciu z ziemią. Szybko wskoczył do stawu i zaczął brodzić w mule, niczym oszalały hipopotam rozgarniając lilie wodne. Jednym ruchem rozerwał wystrzępione płótno poszycia i bez trudu, jakby to były zapalki, odgiął zniekształcone wsporniki kadłuba, między którymi ugrzęzły stopy Pitta. Odpiął pasy mocujące, wyciągnął Dirka z pogruhotanego motoszybowca i pohołował go w stronę brzegu.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

- Stłukłem sobie tylko goleń i zwichnąłem kciuk - odparł Pitt. - Dzięki za pomoc.

- Przyślę ci rachunek - mruknął Al, spoglądając z niesmakiem na swe uwalane mułem buty.

Dirk ściągnął hełm i cisnął go do stawu, płosząc karpia, który szybko skrył się pośród lilii, po czym wskazał oba motoszybowce.

- Zaraz przyjdą po nas - rzekł. - Lepiej nadaj sygnał i włącz urządzenie autodestrukcji.

Giordino podbiegł do swej maszyny, żeby wysłać krótki impuls radiowy potwierdzający ich lądowanie na wyspie oraz uruchomić detonator zegarowy połączony z niewielką kostką plastiku. Pitt wolno podniósł się na nogi i omiótł uważnym spojrzeniem ogród.

W zasięgu wzroku nie było nikogo, armia uzbrojonych strażników i robotów nie zdążyła się jeszcze zmaterializować. Na krzągankach i w oknach budynków nie dostrzegł żywego ducha. Nie mógł wprost uwierzyć, że nikt nie zwrócił uwagi na piskliwe odgłosy pracy silników turbinowych i hałas motoszybowców przedzierających się przez krzaki, zwłaszcza że klasyczne japońskie zabudowania musiały mieć cienkie ściany. Ktoś powinien tu przebywać na stałe, choćby ogrodnicy, ponieważ cały teren świadczył o tym, że pieczołowicie troszczą się o jego wygląd.

Al podbiegł do niego.

- Mamy niecałe dwie minuty na znalezienie jakiejś kryjówki, zanim wylecą w powietrze - oznajmił szybko.

- Wynośmy się stąd - rzucił Pitt, ruszając biegiem w stronę lasu otaczającego ogród.

Musiał się jednak zatrzymać w pół kroku, gdy zagrział dziwny, elektroniczny głos:

- Zostańcie na miejscu!

Obaj zareagowali równocześnie, dając nura za osłonę gęstych krzewów i drzew. Przygięci do ziemi zaczęli przeskakiwać od jednego pnia do drugiego, próbując jak najszybciej oddalić się od tajemniczego prześladowcy. Pokonali jednak zaledwie pięćdziesiąt metrów, kiedy drogę przegrodził im wysoki parkan, którego szczytem biegły przewody pod napięciem rozciągnięte na izolatorach.

- To chyba najkrótsza ucieczka w historii - mruknął posepnie Pitt. W tej samej chwili eksplodował ładunek w pierwszym ibisie, a po pięciu sekundach w drugim. Dirk nie mógł tego dostrzec, ale oczyma wyobraźni ujrzał wylatujące w powietrze olbrzymie karpie.

Zawrócili szybko, lecz mimo wcześniejszego ostrzeżenia nie byli przygotowani na spotkanie z trzema mechanicznymi strażnikami, jacy wynurzyli się z krzaków i otoczyli ich półkolem, odcinając jedyną drogę ucieczki. Trzy roboty w niczym nie przypominały człekopodobnych stworów, jakie można zobaczyć na filmach. Poruszały się na podwoziach z gumowymi gąsienicami i nie miały w sobie nic ludzkiego, może z wyjątkiem zdolności mowy.

Samobieżne automaty wyposażone były w wiele różnego typu wysięgników, kamery, czujniki podczerwieni, głośniki i układy komputerowe, a także automatyczne karabinki, wycelowane teraz w Dirka i Ala.

- Proszę się nie ruszać, bo zostaniecie zastrzeleni.

- Przynajmniej jasno stawiają sprawę, no nie? - mruknął z niedowierzaniem Giordino.

Pitt przyglądał się robotowi stojącemu pośrodku, który miał zamontowaną wieloelementową antenę i był prawdopodobnie zdalnie sterowany.

- Nasz program pozwala rozróżnić jeden z kilku języków i dobrać właściwe słowa -

oznajmił niespodziewanie wyraźnie środkowy robot. - Nie możecie uciec. Karabiny są naprowadzane ciepłotą waszych ciał.

Zapadła pełna napięcia cisza; Pitt i Giordino popatrzyli na siebie wzrokiem ludzi, którzy wykonali powierzone im zadanie i nie mają nic więcej do roboty. Powoli, nadzwyczaj ostrożnie, obaj unieśli ręce nad głowy; lufy wycelowanych w nich karabinków nie przesunęły się nawet o milimetr.

- Zmuszony jestem uwierzyć, że drogę ucieczki naprawdę odcięli nam mechaniczni strażnicy - powiedział cicho Pitt.

- Przynajmniej nie żują tytoniu - mruknął Giordino.

Byli w potrzasku, uwięzieni między dwunastoma lufami karabinków a ogrodzeniem pod napięciem. Pozostawało im jedynie żywić nadzieję, że technicy sterujący robotami zdają sobie sprawę, iż on i Giordino nie przedstawiają już żadnego zagrożenia.

- Czy wypada poprosić ich, żeby zaprowadzili nas do swoich mocodawców? - zapytał Al lodowatym tonem przez zaciśnięte zęby.

- Nie robiłbym tego na twoim miejscu - odparł spokojnie Dirk. - Mogliby zacząć strzelać tylko z tego powodu, że użyliśmy niewłaściwych słów.

Nikt nie zwracał zbytniej uwagi na Stacy, Mancusa i Weatherhilla, którzy pewnym krokiem przemierzali korytarze podziemnego miasta Edo City. Jordan przysłał im do Tokio hollywoodzkiego charakteryzatora, a ten wykonał znakomitą robotę, zmieniając im kształt oczu oraz brwi, które znacznie przyciemnił, a także uczernił im włosy i ułożył fryzury. Płynnie mówiący po japońsku Mancuso, ubrany w elegancki garnitur, z powodzeniem udawał japońskiego urzędnika i traktował z wyższością Stacy oraz Weatherhilla, ubranych w żółte kombinezony inżynierskiej służby kontrolnej Sumy.

Korzystając z dostarczonych przez Hanamurę danych o procedurach bezpieczeństwa oraz z przepustek i haseł, które zdobył pewien agent brytyjskiego wywiadu, ściśle współpracujący z Jordanem, udało im się bez przeszkód przejść wszystkie kontrole i wreszcie dotarli do wlotu tunelu. Tu zaczynała się najtrudniejsza część operacji. Nietrudno było oszukać żywych strażników czy złamać szyfry elektronicznych zamków, ale według zapewnień Pennera tutaj czekała ich najcięższa próba.

Pierwszą przeszkodą okazał się robot sensoryczny, na którego trafili po wejściu do pustego, jasno oświetlonego pomieszczenia. Nie było tu żadnych mebli, a gołe ściany błyszcząły bielą. Zdawało się, że poza drzwiami, przez które weszli, nie było stąd innego wyjścia.

- Proszę przedstawić cel wizyty - zagadnął robot mechanicznym głosem po japońsku.

Mancuso zawahał się na chwilę. Był przygotowany na spotkanie z automatami strażniczymi, nie spodziewał się jednak, że stanie oko w oko z samobieżnym pojemnikiem na śmieci, który zacznie mu wydawać rozkazy.

- Jedziemy do sekcji łączności światłowodowej w celu sprawdzenia działania urządzeń - odparł starając się, by w jego głosie nie było czuć zdumienia i lęku przed tą sztuczną inteligencją.

- Proszę podać kod rozkazu i hasło.

- Rozkaz awaryjny czterdzieści sześć R na dokonanie kontroli i przetestowanie układów łączności - powiedział, a następnie wyciągnął przed siebie obie dłonie, zetknął je delikatnie końcami palców i po cichu trzykrotnie powtórzył słowo *sha*.

Mancuso mógł jedynie mieć nadzieję, że ów Brytyjczyk przekazał im właściwe hasła i wprowadził odpowiednie dane personalne do centralnego komputera.

- Proszę kolejno przyłożyć prawe dłonie do ekranu czujnika - polecił robot.

Wszyscy po kolei przykładali dłonie do niewielkiego, migoczącego na niebiesko ekraniku we wnęce beczkowatego korpusu automatu. Robot nie odzywał się przez jakiś czas,

porównując ich linie papilarne, rysy twarzy i wymiary postaci z danymi zawartymi w pamięci komputera. Niesamowite - stwierdził w duchu Weatherhill, który nigdy przedtem nie zetknął się z metodą porównywania przez komputer obrazu z kamery z danymi wpisanymi w pamięci, bez specjalnego przetwarzania informacji.

Stali spokojnie i w skupieniu, ponieważ uprzedzono ich, że robot wartowniczy jest w stanie wychwycić najlżejsze oznaki zdenerwowania. Wbijali spojrzenia w automat, lękając się, by jakikolwiek ruch gałek ocznych nie wzbudził podejrzeń automatu. Weatherhill zdobył się nawet na udawane ziewnięcie w trakcie sprawdzania przez komputer ich tożsamości.

- Potwierdzenie zgody na wejście - wychrypiął w końcu robot. Jednocześnie cała przeciwległa ściana pokoiku odchyliła się na bok. - Możecie przejść. Jeśli wasz pobyt ma potrwać dłużej niż dwanaście godzin, proszę zawiadomić o tym szóstą jednostkę ochrony.

Brytyjski agent spisał się na medal: najważniejsza przeszkoda została pokonana. Minęli drzwi i krótkim, wyłożonym chodnikiem korytarzem doszli do głównego tunelu. Kiedy weszli na platformę, rozległ się brzęczyk i zabłysły na zmianę białe i czerwone światła. Z olbrzymiej windy transportowej wytoczyła się automatyczna drezyna, wyposażona jakimiś elementami konstrukcyjnymi, i pojechała torami w głąb tunelu, który według oceny Mancusa miał cztery metry średnicy.

Przez dobre trzy minuty panowała kompletna cisza, wreszcie przy brzegu platformy zatrzymał się aluminiowy wagonik z przezroczystą szklaną kopułą. Mógł pomieścić dziesięć osób i poruszał się po jednym tylko torze. Wewnątrz nie było nikogo, nie dostrzegli też żadnego pulpitu sterowniczego. Drzwi pojazdu otworzyły się z cichym sykiem i cała trójka weszła do środka.

- Magpod - szepnął Weatherhill.

- Co takiego? - zapytała Stacy.

- Pociąg na poduszce magnetycznej. Unosi się nad szyną dzięki oddziaływaniu przeciwnych pól magnetycznych. Potężne magnesy stałe zamontowane są w podwoziu wagonu, a utrzymują go nad torem i napędzają zmienne siły elektromagnesów znajdujących się w szynie. Dlatego czasem nazywany jest pociągiem poduszkowym.

- Japońcy skonstruowali najbardziej wydajną kolej magnetyczną na świecie - wtrącił Mancuso. - Udało im się zastosować w elektromagnesach specjalnie chłodzone nadprzewodniki, dzięki czemu te wagoniki unoszą się kilka centymetrów nad szyną i mogą się poruszać z szybkością samolotu.

Drzwi zamknęły się za nimi, ale przez chwilę jeszcze skomputeryzowany układ sterowania czekał na wolną drogę. Wreszcie nad torem zabłysło zielone światło i wagonik

bezcisnie zaczął nabierać szybkości. Wkrótce rozmieszczone na sklepieniu tunelu lampy sodowe zlały się im przed oczami w jedną żółtawą smugę.

- Z jaką prędkością jedziemy? - zapytała Stacy.

- Domyślałem się, że w przybliżeniu trzysta dwadzieścia kilometrów na godzinę - odparł Weatherhill.

Mancuso pokiwał głową.

- Przy tej szybkości będziemy na miejscu za pięć minut.

Odnieśli wrażenie, że wagonik nie zdążył jeszcze rozwinąć pełnej szybkości, kiedy już zaczął powoli hamować, aż wreszcie zatrzymał się niemal tak łagodnie, jak szybkie windy w drapaczu chmur. Wyszli na bliźniaczą platformę. Wagonik odjechał powoli, zawrócił na znajdującej się nieopodal pętli i nabierając szybkości pomknął z powrotem w stronę Edo City.

- Koniec trasy - oznajmił cicho Mancuso.

Odwrócił się i ruszył ku wyjściu z platformy. Weszli przez otwarte drzwi i po przebyciu trzydziestu metrów tak samo wyłożonym chodnikiem korytarzem dotarli do windy.

Weszli do środka i Weatherhill ruchem głowy wskazał tablicę z przyciskami, na których widniały cyfry arabskie.

- W górę czy na dół?

- Ile jest pięter i na którym poziomie obecnie się znajdujemy? - zapytała Stacy.

- Dwanaście, a jesteśmy na drugim.

- Na planach Hanamury były jedynie cztery poziomy - rzekł Mancuso.

- Musiały to być wstępne szkice, które później zmieniono.

Stacy wpatrywała się uważnie w podświetloną tablicę z przyciskami.

- I jak mamy znaleźć tę centralną komorę, z której promieniście odchodzą korytarze?

- Nie alarmując komputerowego systemu ochrony - odparł Weatherhill. - Musimy zmienić nasz pierwotny plan i odszukać generator zasilający.

- O ile zdołamy do niego dotrzeć, nie wzbudzając niczyich podejrzeń - dodał Mancuso.

- Nie mamy innego wyjścia. Wyśledzenie, skąd wychodzą wszystkie przewody elektryczne, zajmie nam zdecydowanie mniej czasu niż próba przedarcia się do centrum dowodzenia.

- Dwanaście poziomów różnych pomieszczeń i korytarzy! - jęknęła Stacy. - Możemy się błąkać po tym labiryncie godzinami.

- Dotarliśmy aż tu i naprawdę nie mamy innego wyjścia - rzekł Mancuso, spoglądając na zegarek. - Jeśli Pitt i Giordino zdołali bezpiecznie wylądować na wyspie, skupiając na

sobie uwagę sił ochrony, powinniśmy mieć dość czasu na podłożenie ładunków i przedostanie się tunelem do Edo City.

Weatherhill popatrzył najpierw na Stacy, potem na Franka, a wreszcie na przyciski w kabinie windy. Doskonale rozumiał, co tamci czują: olbrzymie napięcie nerwowe i niepokój, które pchały ich do natychmiastowego działania. Pokonawszy tak wiele przeszkód, musieli teraz podjąć decyzję, od której wszystko zależało. Błyskawicznie wcisnął guzik oznaczony cyfrą 6.

- Możemy w ciemno zacząć od środkowego poziomu - oznajmił spokojnie.

Mancuso uniósł i ścisnął pod pachą aktówkę, w której znajdowały się ukryte dwa pistolety maszynowe. Wszyscy troje zamarli w bezruchu, nie wiedząc, co ich czeka. Po kilku sekundach usłyszeli dźwięk gongu, zapaliła się lampka pod cyfrą 6 i drzwi windy rozsunęły się po cichu.

Na palcach wyszli na zewnątrz, ale po przejściu dwóch kroków Mancuso stanął jak wryty, a Stacy i Weatherhill omal nie wpadli na niego. Cała trójka wybałuszyła oczy niczym wiejskie prostaczki, które ni stąd, ni zowąd wylądowały na Marsie.

We wnętrzu gigantycznej, kopulaste sklepionej komory trwała wytężona praca istnej armii wykwalifikowanych robotników, tyle że nie padały żadne polecenia, nie słychać było ani okrzyków, ani prowadzonych półgłosem rozmów. Ta gromada specjalistów, techników oraz inżynierów, którzy siedzieli wielkim półkolem przy terminalach komputerowych oraz różnorodnych pulpitych, to były roboty - najrozmaitszych typów, wielkości i kształtów.

Udało im się trafić w dziesiątkę. Wiedziony jakimś instynktem Weatherhill wybrał akurat ten poziom, gdzie znajdował się wielki elektroniczny mózg centrali zawiadującej arsenałem nuklearnym Sumy. Nie było tu ani jednego człowieka, wszystkie prace wykonywały automaty - wyspecjalizowane produkty najnowszych technologii, zdolne działać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez przerw na kawę czy obiad, bez zwolnień lekarskich. Sytuacja nie do pomyślenia dla amerykańskich związków zawodowych.

Roboty poruszały się na kołach lub na gąsienicach, niektóre miały nawet po siedem wysięgników, sterczących na boki niczym ramiona ośmiornicy, jeszcze inne przypominały nowoczesne urządzenia wielofunkcyjne, jakie można spotkać w gabinetach dentystycznych. Żaden jednak nie miał nóg i w niczym nie przypominał ani słynnego C3PO z *Wojen gwiazdnych*, ani też Robby'ego z *Zakazanej planety*. Każdy wykonywał swój indywidualny program, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie lub na obecność ludzi.

- Czy nie macie wrażenia, że jesteśmy pośród nich przedstawicielami wymierającego gatunku? - zapytała szeptem Stacy.

- Fatalnie - mruknął Mancuso. - Lepiej wracajmy do windy.

Weatherhill pokręcił głową.

- Nic podobnego. Jesteśmy właśnie w centrali, którą mamy zniszczyć. Te automaty nawet nie zdają sobie sprawy z naszej obecności, ich programy nie obejmują kontaktów z ludźmi, a nie ma tu ani jednego robota straży. Widocznie Pitt i Giordino utorowali nam drogę, skupiając na sobie uwagę sił bezpieczeństwa. Uważam, że powinniśmy wysłać całe to mrowisko na księżyc.

- Winda odjechała - oznajmiła Stacy, wciskając klawisz przywołania. - Za minutę nie będziemy mieli dokąd uciekać.

Mancuso postanowił nie tracić czasu na dalsze dyskusje. Postawił aktówkę na podłodze i zaczął odrywać kolejne ładunki plastiku typu C-8, które miał przymocowane taśmą samoprzylepną do łydek. Pozostali także sięgnęli pod kombinezony po ładunki wybuchowe.

- Stacy, sekcja komputerowa. Tim, system detonacyjny głowic atomowych. Ja zajmę się centralą łączności.

Nie zdążyli jednak przejść nawet pięciu kroków, kiedy na miejscu osadził ich dudniący głos, który odbił się echem od betonowych ścian podziemnej komory.

- Ani kroku dalej! Nie ruszać się, bo zginiecie! - Beznamiętny, złowieszczy głos posługiwał się znakomitą angielszczyzną, z ledwie zauważalnym japońskim akcentem.

Zaskoczenie było kompletne, ale Mancuso podjął jeszcze próbę blefowania, chcąc zyskać czas na przygotowanie pistoletów maszynowych ukrytych w aktówce.

- Jesteśmy inżynierami łączności, mamy dokonać kontroli działania urządzeń. Chcecie jeszcze raz sprawdzić nasze przepustki i usłyszeć hasło?

- Nie ma tu wstępu nikt z personelu, technicy nie są nam potrzebni, gdyż zastąpiły je w pełni zautomatyzowane pojazdy, które wykonują swoje programy bez nadzoru ludzi - odparł dobiegający nie wiadomo skąd głos.

- Nie wiedzieliśmy o tej zmianie. Otrzymaliśmy instrukcje, by dokonać przeglądu światłowodowej sieci łączności - powiedział Mancuso, wodząc palcami po spodniej części aktówki, gdzie znajdowało się wmontowane w zawias urządzenie do otwierania tej części walizki, w której znajdowała się broń.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi windy i do centrali sterującej wkroczył Roy Orita. Przystanął na chwilę, spoglądając z wyraźnym podziwem na swych niedawnych kolegów z zespołu MZB.

- Zbędna brawura - rzekł w końcu, uśmiechając się triumfalnie. - Przegraliście. Cała wasza tajna operacja mająca doprowadzić do zniszczenia projektu Kaiten wzięła w łeb,



całkowicie i nieodwracalnie. A wy zostaniecie ukarani śmiercią.

Jordan i Sandecker zostali zaproszeni przez prezydenta na śniadanie do ośrodka rządowego w Camp David. Siedzieli przy stole w niewielkim domku naprzeciwko kominka, w którym płonęły kłody hikory. Dla Jordana i admirała w pokoju było zdecydowanie za gorąco, ale prezydent lubił taką temperaturę, w dodatku miał na sobie sweter z grubej irlandzkiej wełny. Popijał kawę z południowych stanów, zaprawioną cykorią.

Specjalny doradca prezydenta, Dale Nichols, wyszedł z kuchni ze szklanką mleka.

- Don Kern czeka na zewnątrz - oznajmił Jordanowi.

- Prawdopodobnie z najświeższymi wiadomościami z wyspy Soseki - rzekł tamten.

Prezydent skinął na Nicholasa.

- Na Boga, wpuść go natychmiast! - A po chwili dodał: - Przygotuj mu filiżankę kawy i zobacz, czy mamy jeszcze coś do jedzenia.

Ale Kern nie chciał jeść, wziął jedynie kawę i zajął miejsce na stojącej opodal sofie. Prezydent spojrzał na niego wyczekująco, Jordan natomiast w milczeniu patrzył w ogień.

- Weszli - powiedział Kern.

- Weszli - powtórzył jak echo prezydent. - Wszyscy?

Kern skinął głową.

- Cała trójka.

- Mieli jakieś kłopoty? - zapytał Jordan.

- Nie wiemy. Zanim w tajemniczy sposób zerwała się łączność z naszym brytyjskim przyjacielem, zdołał tylko przekazać, że bezpiecznie dotarli do tunelu.

Prezydent wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Jordana.

- Gratuluję, Ray.

- Za wcześnie, panie prezydencie. Czeka ich jeszcze wiele przeszkód, a poza tym przeniknięcie do Centrali Smoka to dopiero pierwsza część planu.

- A co z moimi ludźmi? - wtrącił pośpiesznie Sandecker.

- Przekazali sygnał, że bezpiecznie wylądowali na wyspie - odrzekł Kern. - Nic nie wskazuje na to, by któryś został ranny czy zabity przez strażników Sumy.

- Zatem co dalej? - spytał prezydent.

- Po rozmieszczeniu ładunków wybuchowych i zniszczeniu Centrali Smoka nasi agenci mają podjąć próbę uwolnienia członkini Kongresu Loren Smith i senatora Diaza. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zyskamy dość czasu, by dobrać się do Hidekiego Sumy i wysłać oddziały wojskowe, które dopełnią aktu zniszczenia.

Prezydent zamyślił się na chwilę.

- Czy to możliwe, by dwóch mężczyzn i jedna kobieta wykonali cały ten plan w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin?

Jordan uśmiechnął się lekko.

- Proszę mi zaufać, panie prezydencie. Ci ludzie potrafią przenikać przez ściany.

- A Pitt i Giordino? - Sandecker zwrócił się do Kerna.

- Kiedy tylko otrzymamy sygnał, że nasza trójka jest gotowa, z pokładu łodzi podwodnej wyruszy specjalny oddział Delta Jeden, który zabierze ich z wyspy. Pitt i Giordino powinni zostać ewakuowani razem z innymi.

- Mam wrażenie, że zbyt wiele rzeczy już teraz przyjmujecie za pewnik - powiedział admirał.

Kern uśmiechnął się rozbrajająco.

- Dokładnie analizowaliśmy i zgrywaliśmy wszystkie planowane etapy operacji. Fachowcy ocenili jej szansę powodzenia na dziewięćdziesiąt sześć przecinek siedem procent.

Sandecker obrzucił Kerna zabójczym spojrzeniem.

- Szkoda, że nie osiągnęliśmy współczynnika dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięć procent.

Wszyscy spojrzeli na niego pytająco, a Kern odezwał się niepewnym tonem:

- Nie rozumiem pana, admirale.

- Nie doceniliście umiejętności Pitta i Giordina - odparł Sandecker stanowczo. - Już nie po raz pierwszy będą zmuszeni wyciągać z tarapatów beztroskich agentów wywiadu.

Kern uniósł wysoko brwi ze zdumienia, po czym spojrział na Jordana, jakby szukał pomocy, lecz nieoczekiwanie głos zabrał prezydent.

- Sądzę, że admirał Sandecker ma na myśli kilka wypadków, kiedy pan Pitt pomagał ratować skórę wysokim urzędnikom, a zwłaszcza jeden, który dotyczy mnie osobiście. - Prezydent zawiesił na chwilę głos. - Jak panowie wiedzą, to właśnie Pitt uratował życie mnie i Loren Smith cztery lata temu, na wodach zatoki.

- Tak, pamiętam - rzekł Jordan, odwracając głowę od tańczących płomieni. - Wykorzystał do tego stary parowiec kursujący po Missisipi.

Kern, który poczuł, że jego reputacja najlepszego planisty w krajowych służbach wywiadowczych została wystawiona na próbę, rzekł szybko:

- Proszę mi zaufać, panie prezydencie. Ucieczka i ewakuacja naszych ludzi odbędzie się zgodnie z planem, bez pomocy NUMA. Wzięliśmy pod uwagę wszelkie możliwe okoliczności i jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Nic nam nie przeszkodzi wydostać stamtąd naszych ludzi, chyba jakaś nie dająca się przewidzieć interwencja sił nadprzyrodzonych.

Ale to nie siły nadprzyrodzone nie pozwoliły Mancusowi, Weatherhillowi oraz Stacy zrealizować precyzyjnego planu Kerna. Nie zabrakło im też ani umiejętności, ani doświadczenia. Potrafiliby otworzyć chyba każdy sejf bankowy na świecie - co też przychodziło im czasami robić - uciec z najlepiej strzeżonego więzienia albo przeniknąć do kwatery głównej KGB w Moskwie czy też prywatnej rezydencji Fidela Castro na Kubie. Nie było takiego zamka ani systemu alarmowego, z którym nie potrafiliby się rozprawić najwyżej w dziesięć minut. Być może niespodziewany atak rozwścieczonych psów sprawiłby im nieco kłopotu, znali jednak wiele różnych sposobów na uśmiercenie groźnych zwierząt lub zmuszenie ich do uległości.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że wśród znanych im sztuczek nie było sposobu ucieczki z celi pozbawionej okien, której drzwi można było otworzyć tylko z zewnątrz, po uprzednim ustawieniu we właściwej pozycji przesuwanych ścian oraz sufitu wykonanych z nierdzewnej stali. Nie dysponując żadną bronią, nie znali też metod pokonania robotów wartowniczych, które nie mogły odczuwać bólu, a sterowane komputerem reagowały znacznie szybciej od ludzi.

Suma i Kamatori uznali ich za szczególnie groźnych, toteż więźniów rozmieszczono w oddzielnych celach, wyposażonych jedynie w japońskie maty trzcinowe i umieszczone w sufitach głośniki. Za toaletę służył niewielki otwór w podłodze. W pozbawionych światła pomieszczeniach ludzie zmuszeni byli przebywać w całkowitej ciemności i wyzbyci jakichkolwiek doznań musieli koncentrować się nawet na iluzorycznych i nierealnych sposobach ucieczki.

Po jakimś czasie doszli nieuchronnie do wniosku, że nie mają żadnych szans, ze zdumieniem stwierdzili upokorzeni, że ich wręcz nadludzkie umiejętności nie zdadzą się tu na nic, że znaleźli się w beznadziejnym położeniu.

Roy Orita, któremu pokazano taśmy wideo z ujęcia Pitta i Giordina, zidentyfikował ich bez trudu i natychmiast doniósł o swym odkryciu Kamatoriemu.

- Jesteś pewien?

- Tak, nie mam najmniejszych wątpliwości. W Waszyngtonie siedziałem przy stole naprzeciwko nich. Wasze służby wywiadowcze potwierdzą to po sprawdzeniu ich danych personalnych.

- Po co tu przylecieli? Przecież nie są agentami wywiadu.

- Prawdopodobnie mieli odwrócić naszą uwagę i stanowić zasłonę dla grupy, której celem było zniszczenie centrali sterowania.

Kamatori wręcz nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, że oto spadł mu z nieba i wylądował na jego podwórku człowiek, którego miał wcześniej zabić.

Odesłał Oritę i zagłębił się w rozmyślaniach. Postanowił zabawić się z Pittem w kotka i myszkę, wypróbować swe umiejętności na człowieku, którego niezwykła odwaga i pomysłowość czyniły wyjątkowym przeciwnikiem.

Wielokrotnie podejmował osobiście walkę z ludźmi stojącymi na drodze poczynaniom Sumy. I nigdy jeszcze nie przegrał.

Dirka i Ala przez całą dobę pilnował niewielki oddział robotów wartowniczych. Giordino zdołał nawet nawiązać bliższą znajomość z jednym z tych automatów, które ich osaczyły. Nazwał go McGoon.

- Nie nazywam się McGoon - odpowiedział tamten nienaganną angielszczyzną. - Moje imię brzmi Murasaki, to znaczy purpurowy.

- Purpurowy? - parsknął Al. - Przecież jesteś pomalowany na żółto. McGoon brzmi znacznie lepiej.

- Kiedy mnie uruchomiono, zostałem poświęcony przez kapłana shinto, przyjąłem ofiarną strawę, przybrano mnie girlandami kwiatów i nadano imię Murasaki. Nie jestem zdalnie sterowany. Mam własną inteligencję, mogę podejmować decyzje i nadzorować niektóre operacje.

- Zatem jesteś niezależnym agentem - odparł Giordino, wstrząśnięty faktem, że prowadzi normalną rozmowę z mechanicznym tworem.

- Niecałkowicie. Oczywiście istnieją pewne ograniczenia moich sztucznych układów myślowych.

Al odwrócił się w stronę Pitta.

- Czy on mnie robi w konia?

- Nie mam pojęcia. - Dirk wzruszył ramionami. - Zapytaj go, co by zrobił, gdybyśmy zaczęli uciekać?

- Zawiadomiłbym operatora w centrali bezpieczeństwa i zacząłbym strzelać zgodnie z moim programem - odpowiedział robot.

- Dobrze strzelasz? - zapytał Pitt, którego także zaintrygowała ta rozmowa z elektronicznym mózgiem.

- Mój program nie pozwala chybić celu.

- Teraz wiemy przynajmniej, na czym stoimy - stwierdził krótko Al.

- Nie możecie uciec z wyspy, a tu nie ma się gdzie ukryć. Co najwyżej utoniecie, pożrą was rekiny albo zostaną wam ścięte głowy. Wszelkie próby ucieczki byłyby bezsensowne.

- Czuję się, jakbym czytał rady doktora Spocka.

Na zewnątrz rozległo się pukanie, klasyczne japońskie drzwi *fusuma*, wyklejane papierem, odsunęły się na bok i w wejściu stanął kwaśno skrzywiony mężczyzna. Przez chwilę spoglądał w milczeniu to na Ala stojącego obok robota, to na Pitta, który spoczywał rozparty wygodnie na potrójnej warstwie mat tatami.

- Nazywam się Moro Kamatori, jestem głównym doradcą pana Hidekiego Sumy.

- Al Giordino - przedstawił się mocno zbudowany Włoch, który ruszył w jego stronę, wyciągając przyjacielsko dłoń i uśmiechając się szeroko, niczym sprzedawca używanych samochodów. - Mój przyjaciel zajmujący pozycję horyzontalną to Dirk Pitt. Proszę nam wybaczyć, że wpadliśmy tu bez zaproszenia, ale...

- Wystarczająco dobrze wiemy, kim jesteście i po co wylądowaliście na wyspie Soseki - przerwał mu Kamatori. - Możecie sobie darować wszelkie wykręty, próby usprawiedliwiania, że pomyliliście drogę, i przekonywanie o swej niewinności. Z żalem muszę zawiadomić, że wasza misja odciążenia naszej uwagi spełza na niczym. Troje agentów zostało ujętych zaraz po wejściu do tunelu w Edo City.

Zapadła martwa cisza. Al obrzucił Kamatoriego ponurym spojrzeniem, po czym odwrócił głowę w kierunku Pitta, z którego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Szkoda że nie macie tu nic do czytania - rzekł znudzonym tonem - chociażby przewodnika po okolicznych restauracjach.

Kamatori posłał Pittowi wyraźnie wrogie spojrzenie. Milczał prawie przez minutę, wreszcie ruszył przed siebie i stanął tuż nad Dirkiem.

- Czy lubi pan polować na ludzi, panie Pitt? - zapytał sucho.

- Niezbyt, zwłaszcza wtedy, gdy ofiara nie może odpowiadać strzałem na strzał.

- Brzydzi się pan widokiem krwi i trupów?

- Czy nie jest to charakterystyczne dla normalnych ludzi?

- Więc może wolałby pan odgrywać rolę ściganego?

- Zna pan Amerykanów - odparł Pitt spokojnie. - Przejawiamy litość dla upośledzonych.

Kamatori obrzucił go morderczym spojrzeniem. W końcu wzruszył ramionami.

- Pan Suma uczynił wam ten zaszczyt i zaprasza was na obiad. O siódmej zostaniecie doprowadzeni pod eskortą do jadalni. Kimona znajdziecie w szafie, proszę się odpowiednio ubrać.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Giordino powiódł za nim pełnym zdumienia wzrokiem.

- Co to za brednie z tym polowaniem na ludzi?

Pitt leżał z zamkniętymi oczami, jakby miał zamiar uciąć sobie drzemkę.

- Przypuszczam, że chciałby zapolować na nas jak na zające i pościnać nam głowy.

Jadalnia przypominała salę tronową, w jakiej na niektórych dworach Europy urządza się jeszcze ceremonie koronacyjne i wielkie uroczystości. Była gigantyczna, żebrowany belkami sufit wznosił się na wysokości jakichś dwunastu metrów. Podłogą okrywał bambusowy dywan przetykany czerwonym jedwabiem, a ściany obite były różaną boazerią na wysoki połysk.

W równych odstępach wisiały na nich wyjątkowo harmonizujące ze sobą autentyczne dzieła japońskiego malarstwa. Salę oświetlały wyłącznie świece umieszczone w papierowych lampionach.

Loren nigdy przedtem nie widziała czegoś równie zachwycającego. Stała jak wmurowana, nie mogąc nasycić oczu pięknem tego pomieszczenia. Mike Diaz wyszedł z za jej pleców i także stanął, pełen podziwu dla zgromadzonych tu dzieł sztuki.

Jedyne, co nie pasowało do całego otoczenia, co na pierwszy rzut oka nie nosiło cech kultury japońskiej, to stojący pośrodku sali długi związający się zakosami ceramiczny stół, prawdopodobnie wypalony w całości w jakimś ogromnym piecu. Wykonane z identycznego materiału krzeselka tak były rozmieszczone wzdłuż krzywizn blatu, że zasiadający tu goście nie musieli się stykać łokciami, ale zwróceni do siebie naprzemiennie twarzą lub plecami mieli sporo miejsca.

Na ich powitanie wyszła Toshie, ubrana w tradycyjne kimono z błękitnego jedwabiu. Skłoniła się uprzejmie i powiedziała:

- Pan Suma prosi o wybaczenie mu spóźnienia, wkrótce dołączy do państwa. Czy mogę na czas oczekiwania zaproponować drinka?

- Bardzo dobrze mówi pani po angielsku - pochwaliła ją Loren.

- Znam także francuski, hiszpański, niemiecki i rosyjski - odparła Toshie ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby zmieszana faktem, że musi się chwalić swoją wiedzą.

Loren włożyła jedno z kimon, które znalazła w szafie w swoim strzeżonym apartamencie. Znakomicie układało się na jej wysokiej i szczupłej sylwetce, a wiśniowy jedwab świetnie pasował do złocistego odcienia zanikającej opalenizny. Uśmiechnęła się promiennie do Japonki i rzekła:

- Podziwiam panią, ja ledwie potrafię zamówić danie we francuskiej restauracji.

- Będziemy wreszcie mieli okazję stanąć oko w oko z tym azjatyckim potworem - mruknął Diaz, który nie był w nastroju do prowadzenia towarzyskich rozmów i nie miał

zamiaru kryć swego oburzenia. Zapewne pragnąc je uzewnętrznić, nie przyjął żadnego z proponowanych strojów japońskich i miał na sobie ten sam wygnieciony dres, w którym go uprowadzono. - Może dowiemy się także, cóż to za szalony plan doprowadził do naszego porwania.

- Czy umie pani przygotować koktajl "Dziewczęcy rumieniec"? - zapytała Loren.

- Owszem. Dżin, curacao, grenadyna i sok cytrynowy. A dla pana, senatorze? - zwróciła się do Diaza.

- Nic - burknął. - Chcę zachować jasność myśli.

Loren zwróciła uwagę, że stół przygotowano dla sześciu osób.

- Kto będzie nam towarzyszył oprócz pana Sumy?

- Jego doradca, pan Kamatori, oraz dwaj Amerykanie.

- Z pewnością także zakładnicy - mruknął Diaz.

Toshie nie odpowiedziała. Stała za lakierowanym hebanowym barem, wykładanym złocistymi kafelkami, i zaczęła szykować koktajl dla Loren.

Diaz podszedł do ściany i zapatrzył się na malowany tuszem obraz, przedstawiający z lotu ptaka widok niewielkiej wioski - stłoczone domki i ludzi zajętych swymi codziennymi sprawami.

- Ciekawe, ile takie malowidło może być warte?

- Sześć milionów jankeskich dolarów - odpowiedział mu po angielsku jakiś szczekliwy japoński głos, a akcent zdradzał wyraźnie, że mężczyznę uczył języka rodowity Anglik.

Loren i Diaz odwrócili się jak na komendę. Przed nimi stał Hideki Suma, po którym nie widać było nawet cienia zdenerwowania. Rozpoznali go bez trudu na podstawie setek fotografii pojawiających się w prasie.

Japończyk w towarzystwie Kamatoriego wszedł powoli w głąb gigantycznej sali. Przez pewien czas spoglądał dobrodusznie na swoich gości, wreszcie uśmiechnął się nieznacznie.

- To "Legenda o księciu Genji", namalowana przez Toyamę w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym. Ma pan znakomity gust, senatorze Diaz. Skierował pan swą uwagę na najdroższy obraz w tej sali.

Z uwagi na budzącą lęk reputację Sumy Loren spodziewała się ujrzeć jakiegoś giganta, a nie człowieka dość znacznie od niej niższego. Tamten zbliżył się, skłonił uprzejmie i uściśnął im ręce.

- Hideki Suma. - Dłoń miał dość miękką, ale uścisk mocny. - Domyślam się, że znacie już mojego głównego doradcę, Moro Kamatoriego.

- Naszego strażnika więziennego - dodał zjadliwie Diaz.

- To odpychające indywiduum - odparła Loren.

- Za to niezwykle użyteczne - stwierdził Suma z ironicznym uśmiechem. Odwrócił się w stronę Kamatoriego. - Zdaje się, że brakuje jeszcze dwóch gości.

Nie skończył jeszcze mówić, kiedy jego uwagę przykuł jakiś ruch za plecami. Zerknął przez ramię i ujrzał u wejścia do jadalni Pitta oraz Giordina popędzanych przez dwa roboty wartownicze. Obaj wciąż mieli na sobie lotnicze kombinezony, ale przyozdobili je prowizorycznymi krawatami, sporządzonymi z pociętego paska od kimona.

- Odznaczają się wyraźnym brakiem szacunku dla ciebie - warknął Kamatori. Zrobił krok w ich stronę, ale Suma powstrzymał go ruchem dłoni.

- Dirk! - wykrzyknęła Loren. - Al!

Podbiegła i rzuciła się Pittowi w ramiona, zasypując go pocałunkami.

- Na Boga, widok żadnej innej osoby nie sprawiłby mi takiej radości. - Pochyliła się i cmoknęła także Giordina. - Skąd przybywacie? Jak się tu dostaliście?

- Przylecieliśmy z pokładu okrętu wojennego - odparł szczerze Pitt, głaszcząc ją po włosach niczym ojciec, który niespodziewanie odzyskał uprowadzoną córkę. - Dowiedzieliśmy się, że jest tu czterogwiazdkowy kurort i postanowiliśmy wpaść na partyjkę golfa albo tenisa.

Al wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy to prawda, że tutejsze instruktorki aerobiku są zbudowane jak boginie?

- Wariaci - mruknęła uradowana Loren.

- Panie Pitt, panie Giordino - odezwał się Suma - jestem zachwycony, że mogę osobiście poznać ludzi, których podmorskie wyczyny stały się już legendą.

- Wątpię, czy można nas zaliczyć do tych postaci, o których piszą w bajkach - odrzekł spokojnie Pitt.

- Nazywam się Hideki Suma. Witam panów na wyspie Soseki.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem wzruszony naszym spotkaniem, panie Suma. Trudno nie darzyć podziwem pańskiej przedsiębiorczości, ale metody działania stawiają pana gdzieś między Al Caponem a Freddie'm z Elm Street.

Japończyk, który nie przywykł do wysłuchiwania obelg pod swoim adresem, stanął zmieszany i obrzucił Dirka podejrzliwym spojrzeniem.

- Ładnie tu u was - zauważył Giordino, mierząc wzrokiem Toshie, która wyszła zza baru.

Ściskając dłoń Pitta, Diaz uśmiechnął się po raz pierwszy tego popołudnia.

- Moje samopoczucie znacznie się poprawiło na pana widok.

- Senatorze Diaz - rzekł Dirk, odwzajemniając uścisk dłoni. - Miło mi pana znów



zobaczyć.

- Wolalbym ujrzeć pana na czele doborowego oddziału Delta.

- Trzyma się ich w rezerwie, w oczekiwaniu na finał.

Suma pominął milczeniem tę uwagę. Zasiadł na bambusowym krzeselku i zapytał:

- Czego się napijecie, panowie?

- Poproszę tequilę z martini - powiedział Dirk.

- Tequila z wytrawnym wermutem - powtórzyła Toshie. - Z plasterkiem cytryny czy pomarańczy?

- Z cytryną proszę.

- A dla pana, panie Giordino?

- Poproszę "Szczekającego psa", jeśli wie pani, jak go przyrządzić.

- Równe porcje dżinu, wytrawnego oraz słodkiego wermutu i kilka kropel nalewki na piołunie - wyrecytowała Toshie.

- Bystra dziewczyna - orzekła Loren. - Włada kilkoma językami.

- A w dodatku umie przyrządzać "Szczekającego psa" - mruknął Giordino, powłóczył spojrzeniem odpowiadając na prowokacyjny uśmiech Toshie.

- Do cholery! Rzygać mi się chce na te uprzejmości! - wybuchnął niespodziewanie Diaz.

- Wszyscy zachowujecie się tak, jakby zaproszono nas na cocktail party w gronie przyjaciół. - Zawiesił głos, po czym zwrócił się do Sumy: - Nie mam pojęcia, w jakim celu bezwstydnie porwał pan członków Kongresu i trzyma ich jako zakładników. A tego właśnie przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć.

- Proszę usiąść i się rozluźnić, senatorze - powiedział tamten łagodnym, lecz lodowato zimnym głosem. - Jest pan człowiekiem w gorącej wodzie kąpanym i sądzi pan niesłusznie, że wszystko, co powinno być zrobione, musi zostać zrobione natychmiast, w jednej chwili. Istnieje pewien rytm życia, którego wy, ludzie Zachodu, nie chcecie nawet znać. Dlatego właśnie górujemy nad wami kulturowo.

- Jesteście niczym innym, jak wyspiarskim narodem o skłonnościach narcystycznych, który uważa się za coś lepszego od innych - wycedził Diaz. - A pan, Suma, jest najbardziej jaskrawym tego przykładem.

Dirk pomyślał, że tamten zachowuje się jak typowy Azjata - nie okazał po sobie złości czy niechęci, przyjmował wszystko z obojętną miną. Patrzył na Diaza takim wzrokiem, jakby miał przed sobą zuchwałego szczeniaka.

Natomiast stojący z tyłu Kamatori bezwiednie zaciskał pięści i skrzywiony, spod przymrużonych powiek mierzył spojrzeniem Amerykanów, jakby nienawidził ich najbardziej

spośród wszystkich ludzi. Z zaciśniętymi wargami sprawiał wrażenie rozdrażnionego szakala, który szykuje się do skoku.

Pitt już wcześniej zaliczył go do grona niebezpiecznych morderców. Podszedł swobodnym krokiem do baru, wziął przygotowaną dla siebie szklankę i wsunął się między Kamatoriego a senatora, z wyraźnym lekceważeniem spoglądając na Japończyka. Odniosło to zamierzony skutek, tamten przeniósł miotający błyskawice wzrok z Diaza na Pitta i zmierzył go uważnym spojrzeniem.

Toshie, jak gdyby specjalnie zaplanowawszy ten moment, złożyła dłonie między kolanami, szeleszcząc jedwabnym kimonem skłoniła się nisko i oznajmiła, że obiad jest gotowy.

- Możemy kontynuować tę dyskusję po obiedzie - rzekł Suma, kordialnym gestem zapraszając wszystkich do zajęcia miejsc przy stole.

Pitt i Kamatori usiedli jako ostatni. Jeszcze przez chwilę mierzyli się kłującymi spojrzeniami, niczym bokserzy na ringu piorunujący się nawzajem wzrokiem podczas udzielania im przez sędziego ostatnich pouczeń. Kamatori zaczerwienił się lekko, co nadało mu jeszcze bardziej złowieszczy wygląd. Dirk zaś dolewał oliwy do ognia, uśmiechając się tajemniczo.

Obaj wiedzieli dobrze, że już wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę na śmierć i życie.

Obiad zaczął się od jakiejś historycznej formy spektaklu kulinarnego. Mężczyzna, którego Suma zapowiedział jako mistrza shikibocho, wszedł do sali na kolanach, popychając mały stolik na kółkach. Leżała na nim ryba, w której Pitt szybko rozpoznał bonita. Człowiek miał na sobie kostium z wzorzystego jedwabiu oraz wysoką spiczastą czapkę; zademonstrował zebrany stalowe pałeczki oraz długi nóż kuchenny z drewnianą rączką.

Poruszając rękoma z niewiarygodną szybkością, oszczędnymi cięciami poćwiartował rybę, na zakończenie skłonił się i wyszedł.

- Czy to był szef kuchni? - zapytała Loren.

Suma pokręcił głową.

- Nie, to tylko mistrz ceremonii porcjowania ryby. Ten kucharz, który specjalizuje się w przyrządzaniu owoców morza, oczyści teraz rybę i zostanie ona podana jako przystawka.

- Czy to znaczy, że zatrudnia pan niejednego szefa kuchni?

- Mam trzech. Jeden, jak już wspomniałem, jest ekspertem w przygotowaniu ryb, drugi to mistrz przyrządzania mięs i warzyw, trzeci zaś poświęcił swój talent wyłącznie zupom.

Jeszcze przed rybą podano im gorącą słoną herbatę i słodkie ciasteczka. Przy każdym ze stołowników postawiono miseczki *oshibori* z gorącą wodą do płukania rąk. Wróciła też ryba, starannie poukładana z poszczególnych kawałków; surowa, serwowana tak jak saskimi.

Suma z wyraźną radością patrzył, jak Giordino i Diaz walczą z pałeczkami. Ku swemu zdumieniu zauważył jednak, że Pitt oraz Loren posługują się nimi z taką wprawą, jakby korzystali z pałeczek od dzieciństwa.

Porcje zostały błyskawicznie rozdzielone przez roboty o długich ramionach, które szybciej a zarazem bezgłośnie porozstawiały je przed gośćmi. Nie spadła przy tym nawet odrobina jedzenia, ani razu nie zadźwięczał żaden z talerzy stawianych na ceramicznym blacie stołu. Mechaniczne głosy rozlegały się tylko wtedy, kiedy padało pytanie, czy można zmienić nakrycia.

- Wygląda na to, że ma pan obsesję na punkcie zautomatyzowanej służby - Dirk zwrócił się do Sumy.

- Owszem, jesteśmy dumni z tego, że stworzyliśmy całe imperium robotyki. Moje zakłady w Nagoi to największa fabryka robotów na świecie, z całkowicie zautomatyzowanej linii produkcyjnej schodzi rocznie dwadzieścia tysięcy różnorodnych urządzeń.

- Armia produkująca armię.

- Nieświadomie trafił pan w dziesiątkę, panie Pitt. - W głosie Sumy dał się słyszeć zapal. - Zaczęliśmy tworzyć całkowicie nowe, składające się z robotów siły zbrojne Japonii.

Moi programiści oraz inżynierowie projektują już całkowicie zautomatyzowane okręty wojenne, na których nie będzie ani jednego człowieka, samoloty pilotowane przez roboty, a także zdalnie sterowane czołgi i całe armie, złożone z setek tysięcy maszyn bojowych, silnie uzbrojonych, zdolnych do poruszania się z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i zaopatrzonych w czujniki dalekiego zasięgu, dzięki którym będą mogły odbierać impulsy z odległości pięćdziesięciu metrów. Można je będzie łatwo naprawić, a niezwykle możliwości detektorów uczynią z nich wręcz nieśmiertelnych żołnierzy. Za dziesięć lat nie oprze się nam żadne supermocarstwo. W przeciwieństwie do waszych generałów i admirałów z Pentagonu, którzy będą wysyłać do boju mężczyzn i kobiety, skazując ich na wykrwawienie się i śmierć, my będziemy mogli toczyć bitwy na wielką skalę, nie narażając ani jednego żywego człowieka.

W całkowitej ciszy minęła dobra minuta, zanim do Amerykanów dotarło pełne znaczenie ujawnionych przez Sumę rewelacji. Owa wizja była tak niezwykła, tak porażająca, że wszyscy po prostu nie byli w stanie zaakceptować faktu, iż armie robotów już wkrótce mogą stać się faktem dokonanym.

Tylko Giordino przyjął obojętnie tę niesamowitą perspektywę wojny cyborgów.

- Przydzielona nam automatyczna przyzwoitka utrzymuje, że została wyświęcona - rzekł, grzebiąc pałeczką w surowej rybie.

- Nasza religia, shintoizm, towarzyszy nam na każdym kroku - odparł Suma. - Wierzymy, że przedmioty nieożywione, podobnie jak żywe stworzenia, mają swoje dusze, czego wy z Zachodu nie możecie pojąć. Do naszych sprzętów, czy to urządzeń przemysłowych, czy samurajskich mieczy, odnosimy się jak do ludzi. A mamy nawet takie maszyny, które uczą robotników zachowywać się jak maszyny.

Pitt pokręcił głową.

- Działacie na własną szkodę, odbierając ludziom pracę.

- To staroświecki sposób myślenia, panie Pitt - rzekł Suma, stukając pałeczką o blat stołu. - W Japonii ludzie i maszyny bardzo ściśle ze sobą współpracują. Na początku przyszłego wieku będziemy dysponowali milionem robotów wykonujących pracę za dziesięć milionów ludzi.

- A co się stanie z tymi dziesięcioma milionami robotników, których wyrzucicie na bruk?

- Wyeksportujemy ich za granicę, tak jak eksportujemy różne towary. W przybranej ojczyźnie staną się uczciwymi, przestrzegającymi prawa obywatelami, nadal jednak związanymi uczuciowo i ekonomicznie z Japonią.

- Coś w rodzaju ogólnoświatowej wspólnoty - rzekł Pitt. - Widziałem już efekty jej

działania. Japoński bank w San Diego został zaprojektowany przez japońskich architektów, a zbudowali go Japończycy zatrudnieni przez japońskich przedsiębiorców, którzy ściągnęli japoński sprzęt i japońskie materiały budowlane, dostarczone na japońskich statkach. Całkowicie wyeliminowano tamtejszych wykonawców i dostawców.

Suma lekceważąco wzruszył ramionami.

- Podbój ekonomiczny nie podlega żadnym prawom. Nasze zasady etyczne i moralne wywodzą się z całkowicie odmiennej kultury niż wasza. W Japonii honor i dyscyplina wiążą się nierozdzielnie z lojalnością, z bezgranicznym poświęceniem cesarzowi, rodzinie oraz pracodawcy. U nas nie wpaja się nikomu wierności zasadom demokracji czy miłosiernej hojności. W naszym kraju nie znamy takich rzeczy, jak prace społeczne, dobroczynne zbiórki pieniędzy dla głodujących mieszkańców Afryki czy organizacje charytatywne niosące pomoc dzieciom z państw Trzeciego Świata. Skupiamy wysiłki na trosce o nasze własne dobro.

- Zawiesił głos, a po chwili skinął dłonią na roboty, które szybko zaczęły wwozić do jadalni tace. - A oto i następne danie.

Talerze z resztkami bonita zastąpiły drewniane tacki, na których znajdowały się nie luskane orzechy *ginkgo* nabite na igły sosnowe oraz piramidki pozbawionych skorupki ślimaków. Podano także zupełną kwiatową: klarowny rosół, z pływającą w każdym talerzu orchideą.

Loren spróbowała i zmrużyła oczy.

- Smakuje równie wspaniale, jak wygląda - oznajmiła.

Suma skinął głową.

- Japońska sztuka kulinarna ma na celu dogodzenie nie tylko podniebieniu, ale także i oczom.

- Więc mamy tu przykład perfekcji zarówno wizualnej, jak i smakowej - wtrącił Dirk.

- Czy jest pan smakoszem, panie Pitt?

- Owszem, wykwintne potrawy sprawiają mi przyjemność.

- A czy lubi pan różnorodne smaki?

- Jeśli chodzi panu o to, czy nie boję się próbować najbardziej niezwykłych dań, mogę odpowiedzieć twierdząco.

- Świetnie. - Suma klasnął w dłonie. - Będzie pan miał okazję zakosztować czegoś ekscytującego i nadzwyczaj harmonijnego.

Loren sądziła, że obiad powoli zmierza ku końcowi, ale był to zaledwie początek. Nie kończącym się strumieniem podawano naprawdę wyjątkowe dania o artystycznie dobranych składnikach. Figi w sosie sezamowym; ryż z bazylią; jeszcze inna zupa z żółtek jaj;

artystycznie krojony węgorz z rzodkiewką i grzybami, doprawiony ikłą jeżowca; kilka rodzajów ryb, między innymi turbot, lutjanus i szczupak; mątwy gotowane w liściach roślin wodnych; korzenie lotosu duszone z małżami, ogórkiem i cukinią. Trzecią zupę zaserwowano z duszonymi jarzynami i ryżem z ziarnem sezamowym. Na deser podano kilka gatunków słodkich owoców, natomiast zakończyła tę ucztę nieodzowna filiżanka herbaty.

- Czyżby to miał być ostatni posiłek skazańców? - spytał zachrypniętym głosem Diaz.

- Skądże znowu, senatorze - odparł Suma łagodnym tonem. - Pan i pani Smith zostaniecie odwiezieni do Waszyngtonu moim prywatnym odrzutowcem najdalej za dwadzieścia cztery godziny.

- A czemu nie teraz?

- Najpierw muszę was zapoznać z moim planem. Jutro osobiście oprowadzę państwa po Centrali Smoka i zademonstruję najnowsze źródło naszej japońskiej potęgi.

- Centrala Smoka? - zapytał zdumiony Diaz. - A cóż to takiego?

- Nie słyszał pan, senatorze, że nasz gospodarz porozmieszczał niemal na całym świecie samochody z głowicami jądrowymi? - wtrącił prowokacyjnie Pitt.

- Samochody z głowicami jądrowymi? - powtórzył oszołomiony Diaz.

- Obecny tu pan Suma postanowił rozprawić się z wielkimi tego świata i zagrozić wszystkim naraz. Kiedy tylko owa reklamowana Centrala Smoka zostanie ukończona, będzie mógł za naciśnięciem guzika zdetonować bombę atomową w dowolnym miejscu na świecie, wszędzie tam, gdzie jego roboty postawią samochód z ukrytą głowicą nuklearną.

Loren patrzyła na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

- Czy to prawda? Japonia skrycie zgromadziła arsenał jądrowy?

Dirk ruchem głowy wskazał Sumę.

- Dlaczego nie zapytasz jego?

Japończyk zmierzył Pitta takim spojrzeniem, jakim mangusta spogląda na kobrę.

- Jest pan bardzo przebiegłym człowiekiem, panie Pitt. Doniesiono mi, że to właśnie pan podpowiedział Jordanowi i jego specjalistom z wywiadu, w jaki sposób przemycamy głowice bojowe do waszego kraju.

- Muszę przyznać, że zamontowanie ładunku w obudowie sprężarki klimatyzatora samochodowego było genialnym posunięciem z pańskiej strony. Udałoby się panu po cichu zakończyć tę operację, gdyby nie przypadkowa eksplozja na pokładzie statku przewożącego samochody.

Loren zmarszczyła brwi i zapytała:

- Co pan chce tym sposobem osiągnąć?

- Nie chodzi mi o żadne wyższe, wzniosłe cele - odparł Suma. - Mówiąc waszym językiem, zawsze byliśmy traktowani jak piąte koło u wozu. Wszelkie światowe uprzedzenia do Japończyków wywodzą się z kultury Zachodu, od białych. Przez trzysta lat spoglądaliście na nas z góry, jak na dziwaczny naród Orientu. Najwyższy czas zająć dominującą pozycję, która nam się należy!

Loren z wściekłości aż poczerwieniała na twarzy.

- Chcecie zatem doprowadzić do wojny i zgładzić miliony ludzi wyłącznie w imię urażonej dumy i godności? Niczego was nie nauczyła lekcja śmierci i zniszczenia, jaką dostaliście w latach czterdziestych?

- Nasi politycy zdecydowali się przystąpić do wojny dopiero wtedy, gdy kraje zachodnie skazały nas na śmierć, bojkotując Japonię i nakładając embargo handlowe. Wszystko, co straciliśmy podczas tamtej lekcji śmierci i zniszczenia, dawno już nadrobiliśmy, budując potęgę gospodarczą. Obecnie znowu zaczyna nam zagrażać międzynarodowy ostracyzm i wrogość całego świata, jaką odpowiada się na nasze wysiłki i poświęcenie dla rozwoju handlu oraz przemysłu. A ponieważ nasza prężna gospodarka jest uzależniona od dostaw ropy naftowej i surowców, nie możemy dopuścić do tego, by warunki dyktowali nam waszyngtońscy politycy, partykularne interesy Europy czy też konflikty religijne na Bliskim Wschodzie. Za pomocą projektu Kaiten zdołamy ocalić i siebie, i nasze ciężko wywalczone zdobycze ekonomiczne.

- Projekt Kaiten? - powtórzył Diaz, który po raz pierwszy zetknął się z tą nazwą.

- To jego podły plan szantażowania całego świata - wyjaśnił zgryźliwie Pitt.

- Igra pan z ogniem - zwróciła się Loren do Sumy. - Przeciwno wam sprzymierzą się Stany Zjednoczone, Rosja i cała Europa.

- I szybko się wycofają, kiedy tylko policzą, ile ich to będzie kosztowało - odparł spokojnie Japończyk. - Poprzestaną na buńczucznych deklaracjach, że problem da się załatwić metodami dyplomatycznymi.

- Nawet za grosz nie dba pan o Japonię! - warknął niespodziewanie Diaz. - Wasz rząd byłby przerażony, gdyby się dowiedział o tej potworności, jaką pan zgotował. Myśli pan tylko o sobie, o pomnożeniu swoich dóbr. Jest pan maniakiem pragnącym władzy absolutnej.

- Ma pan rację, senatorze - odparł cicho Suma. - W pańskich oczach muszę wyglądać na maniaka stęsknionego za władzą. Nie będę się spierał z tą opinią. Ale jak wszyscy maniacy w historii, którzy pragnęli jedynie ochronić niezależność swojej ojczyzny, nie zawaham się wykorzystać swojej władzy do podbicia całego świata, o ile tylko zdołam ocalić naszą kulturę przed zgnilizną Zachodu.

- A cóż takiego niezdrowego widzi pan w kulturze zachodniej? - zapytał Diaz.

W oczach Sumy pojawił się wyraz wielkiej pewności siebie.

- Niech pan popatrzy na swój kraj, senatorze. Stany Zjednoczone to ojczyzna narkomanów, gangsterów, mafii, gwałcicieli i morderców, bezdomnych i analfabetów. W waszych miastach panoszy się rasizm, będący wynikiem pomieszania różnych kultur. Czeka was to samo, co spotkało starożytnych Greków, Rzymian czy też imperium brytyjskie. Powoli zmieniacie się w kloakę zgnilizny, a ten proces jest nieodwracalny.

- Więc sądzi pan, że Ameryka dąży ku zgubie i jest skończona jako super-mocarstwo? - zapytała Loren znudzonym głosem.

- W Japonii nie znajdzie pani nawet śladu takiego zepsucia.

- Boże, ale z pana hipokryta! - wykrzyknął Pitt ze śmiechem, na co wszystkie głowy obróciły się w jego stronę. - Wasza malownicza, niewielka społeczność jest przesiąknięta korupcją po najwyższe kręgi władz państwowych. Doniesienia o kolejnych skandalach są na porządku dziennym w prasie i telewizji. Organizacje przestępcze są tak silne, że dyktują posunięcia rządu. Połowa waszych polityków i urzędników państwowych otwarcie bierze łapówki za dostęp do takich czy innych przywilejów. Wyłącznie dla zysku sprzedawaliście najnowsze technologie wojskowe krajom bloku komunistycznego. Koszty utrzymania są znacznie wyższe od dochodów większości ludzi, którzy muszą płacić dwukrotnie więcej od Amerykanów za towary produkowane nie gdzie indziej, tylko w Japonii. Wykradacie wszelkie nowinki techniczne, jakie wpadną wam w ręce. Macie opryszków, którzy regularnie zrywają konferencje na wyższym szczeblu i żądają okupu. Zarzuca pan nam rasizm, podczas gdy najlepiej sprzedawane u was książki głoszą antysemityzm, na wystawach większych sklepów stoją tylko czarne manekiny, a w każdym kiosku można kupić gazety wychwalające poddaństwo kobiet. I pan ma czelność, mówiąc o tym śmietniku, spokojnie wmawiać nam wyższość waszej kultury?

- Amen, przyjacielu - wtrącił Diaz, unosząc w toaście filiżankę herbaty. - Amen.

- Dirk ma stuprocentową rację - dodała Loren. - Nasze społeczeństwo nie jest idealne, ludzie są, jacy są, ale generalnie warunki życia u nas są lepsze niż u was.

Na twarzy Sumy, która przypominała satynową maskę ze skrzącymi się jak topazy oczami, widać było coraz silniejszą wściekłość. Siedział z zaciśniętymi zębami, a kiedy wreszcie się odezwał, zabrzmiało to jak trzask bicia.

- Pięćdziesiąt lat temu byliśmy narodem przegranym, doszczętnie upokorzonym przez Stany Zjednoczone. Ale teraz to my jesteśmy zwycięzcami, a wy przegraliście. Nadszedł kres zatruwania Japonii przez Amerykę i Europę. Udowodnimy wyższość naszej kultury, w



dwudziesty pierwszy wiek wkroczyliśmy jako naród dominujący na świecie.

- Zupełnie jakbym słuchała tych samych możnowładców, którzy przepowiadali naszą rychłą klęskę po ataku na Pearl Harbour - wtrąciła szybko Loren. - Stany Zjednoczone o wiele łagodniej potraktowały Japonię, niż my byśmy zostali potraktowani w wypadku waszego zwycięstwa. Armie japońskie dokonywałyby w Ameryce takich samych gwałtów, grabieży i rozbojów jak w Chinach.

- Poza tym musicie jeszcze brać pod uwagę Europę - przestrzegł Diaz. - Narzucone przez nich warunki handlu z Japonią nie są nawet w połowie tak tolerancyjne i protekcyjnistyczne jak nasze, a powstający nowy europejski Wspólny Rynek jeszcze bardziej ograniczy wasze wpływy gospodarcze. Bez względu na zagrożenie nuklearne z waszej strony, z pewnością zamkną swe granice dla towarów japońskich.

- Jeśli już mowa o przyszłości, wystarczy nam zużyć kilka miliardów z rezerw finansowych na stopniowe wykupywanie ich przedsiębiorstw i stworzenie niezniszczalnej bazy ekonomicznej. Wcale nie jest to niewykonalne. Weźcie pod uwagę, że dwanaście największych banków na świecie to banki japońskie, a ich zasoby sięgają siedemdziesięciu pięciu procent wszystkich rezerw finansowych świata. To oznacza po prostu, iż zarządzamy całym rynkiem wielkich inwestycji.

- Ale nie możecie w nieskończoność robić zakładników z całego świata - powiedział Dirk. - Zarówno politycy, jak i zwykli mieszkańcy Japonii, zbuntują się przeciwko wam, kiedy tylko pojmą, że wszystkie rakiety są wycelowane w wyspy japońskie, a nie w Stany Zjednoczone czy w Rosję. A możliwość zmasowanego ataku nuklearnego stanie się bardzo realna, gdy następna z głowic rozmieszczonych w samochodach przypadkowo eksploduje.

Suma pokręcił głową.

- Nasze elektroniczne systemy antyrakietowe są o wiele lepsze niż wasze czy rosyjskie. Poza tym nie nastąpi żadna eksplozja, dopóki osobiście nie wprowadzę do komputera specjalnego kodu.

- Przecież pan nie może wywołać prawdziwej wojny atomowej! - jęknęła Loren.

Suma zaśmiał się krótko.

- Nie planujemy niczego aż tak głupiego i wyrachowanego, jak przywódcy z Białego Domu lub Kremla. Zapomina pani, że my, w Japonii, aż za dobrze wiemy, co to znaczy horror uderzenia atomowego. Nie, projekt Kaiten jest zdecydowanie bardziej wyrafinowany technicznie od tysięcy rakiet wycelowanych w miasta oraz bazy wojskowe. Nasze bomby mają zostać rozmieszczone na specjalnie wybranych, słabo zaludnionych terenach, by efektem ich odpalenia było przede wszystkim pole elektromagnetyczne, zdolne całkowicie zniszczyć

gospodarkę światową, a liczba ofiar śmiertelnych i straty materialne jak najmniejsze.

- Pan naprawdę ma zamiar to uczynić? - zapytał Pitt, wpatrując się w twarz Sumy. - Tak, pan naprawdę chce zdetonować te głowice.

- Czemu nie, jeśli zmuszą mnie do tego okoliczności... Nie lękam się też natychmiastowego przeciwuderzenia, gdyż pole elektromagnetyczne zniszczy wszystkie systemy łączności i sterowania rakietami, tak amerykańskie, jak krajów NATO czy sowieckie. - Obaj Japończycy mierzyli Dirka lodowatymi spojrzeniami tyranów. - Jednakże pan, panie Pitt, nie będzie miał już okazji się przekonać, czy dojdzie do tego, czy też nie.

Przez twarz Loren przeniknął skurcz przerażenia.

- Czy to znaczy, że Dirk i Al nie zostaną odesłani wraz ze mną i senatorem Diazem do Waszyngtonu?

Suma westchnął przeciągle i wolno pokręcił głową.

- Nie... Już uczyniłem z nich prezent dla mego dobrego przyjaciela, Moro Kamatoriego.

- Nie rozumiem.

- Moro jest wytrawnym łowcą, a jego pasję stanowi polowanie na ludzi. Pani przyjaciele, a także troje agentów wywiadu, których schwytano podczas próby zniszczenia naszej centrali, otrzymają szansę wydostania się z wyspy, o ile w ciągu dwudziestu czterech godzin zdołają ująć pościgowi Moro.

Kamatori spojrzał na Dirka spod przymrużonych powiek.

- Pan Pitt będzie miał zaszczyt jako pierwszy uczestniczyć w tej próbie.

Dirk odwrócił głowę w kierunku Giordina, na jego wargach zaigrał ledwie dostrzegalny uśmiezek.

- A nie mówiłem?

- Uciekać... - mruknął Giordino, chodząc niespokojnie po niewielkim pokoju pod czujnym okiem McGoona. - Ale dokąd? Najlepszy pływak na świecie nie pokona sześćdziesięciokilometrowego dystansu w lodowatej wodzie, walcząc z bocznym prądem o szybkości pięciu węzłów. A nawet gdyby mu się to udało, zbiry Kamatoriego dopadną go w kilka chwil po wyjściu na ląd.

- Co zatem mamy robić? - zapytał Dirk, który wyciskał pompki na podłodze.

- Nie dać się zabić jak najdłużej. Bo czy mamy inne wyjście?

- Umrzeć, jak przystało na dzielnego wojownika.

Al zmarszczył brwi i podejrzliwie spojrzał na przyjaciela.

- No pewnie: dumnie wypiąć pierś, nie zgodzić się na zawiązanie oczu i spokojnie palić papierosa, kiedy Kamatori będzie unosił miecz.

- A po co zwalczyć z tym, co nieuniknione?

- Od kiedy to poddajesz się już przy pierwszej sposobności? - mruknął Giordino, który zaczynał podejrzewać, że Dirk po prostu stracił rozum.

- Możemy próbować ukrywać się gdzieś na wyspie, jak długo tylko się da, ale i tak nic nam z tego nie przyjdzie. Podejrzewam, że Kamatori wykorzysta czujniki robotów wartowniczych do odnalezienia naszej kryjówki.

- A co ze Stacy? Nie możesz stanąć z boku i pozwolić, żeby ten ponury bydlak i ją zamordował.

Pitt podniósł się z podłogi.

- Nie mam żadnej broni, czego oczekujesz? Nic nie zdołałam gołymi rękami przeciwko cyborgom i wprawnemu zabójcy z mieczem.

- Oczekuję, że zachowasz się jak mężczyzna, tak jak w wielu innych trudnych sytuacjach, z których udawało nam się wyjść.

Dirk obmacał swoją prawą nogę, pokuśtykał w stronę McGoona i stanął plecami do robota.

- Łatwo ci mówić, przyjacielu, jesteś w dobrej formie. A ja stłukłem kolano podczas lądowania w tej sadzawce i ledwie mogę chodzić. Nie mam żadnych szans w walce z Kamatorim.

Giordino dostrzegł krzywy uśmieszek Pitta i nagle zrozumiał jego postępowanie. Poczul się jak ostami głupiec. Zdał sobie sprawę, że są śledzeni nie tylko za pomocą czujników McGoona, ale z pewnością także mikrofonów i kamer wideo ukrytych gdzieś w pokoju. Pojął szybko, że Dirk po prostu odgrywa przedstawienie.

- Kamatori jest szlachetnym samurajem i nie będzie ścigał nie w pełni sprawnego człowieka. Jeśli naprawdę ma w sobie żyłkę sportowca, powinien dać ci pewne fory.

Pitt pokręcił głową.

- Wolalbym raczej jakiś środek przeciwbólowy.

- McGoon - Al zwrócił się do robota - czy na wyspie jest lekarz?

- Takich danych nie ma w mojej pamięci.

- Więc połącz się ze swym nadzorcą i sprawdź to.

- Proszę zaczekać.

Robot zamarł w bezruchu, nawiązując łączność z dyspozytornią, ale trwało to zaledwie chwilę.

- Jest tylko personel pomocniczy w gabinecie na czwartym poziomie. Czy pan Pitt wymaga opieki lekarskiej?

- Tak - odparł Dirk. - Chcę dostać zastrzyk przeciwbólowy i bandaż elastyczny, jeśli mam dostarczyć panu Kamatoriemu odpowiednich wrażeń podczas polowania.

- Jeszcze kilka godzin temu wcale pan nie utykał - stwierdził McGoon.

- Bo nie czułem bólu - skłamał Pitt. - Ale teraz boli mnie coraz bardziej i sztywnieje mi kolano, ledwie mogę chodzić.

Zrobił kilka niepewnych kroków i skrzywił się tak, jakby dogorywał na łożu boleści.

Murasaki, alias McGoon, okazał się bardzo sumiennym automatem: szczegółowo zrelacjonował obserwowany przez siebie dramatyczny występ Pitta jakiemuś szefowi nadzoru siedzącemu gdzieś w Centrali Smoka i otrzymał pozwolenie odprowadzenia kulejącego więźnia do gabinetu lekarskiego. W pokoju zjawił się drugi robot mający pilnować Giordina, który natychmiast ochrzcił go imieniem McGurk.

Odgrywając swoją rolę tak, jakby chciał zdobyć nominację do Oscara, Pitt pokuśtykał przez ogród, aż w końcu McGoon wprowadził go do budynku, w którym znajdowała się winda.

Wcisnął metalowym paluchem guzik i zaczęli zjeżdżać na dół. Winda poruszała się bardzo cicho, nie była jednak całkiem bezgłówna, jak ta w budynku Federalnej Kwatery Głównej.

Szkoda że szefostwo MZB nie zaplanowało wejścia agentów wywiadu do podziemnego centrum z ośrodka na wyspie - pomyślał Dirk w czasie jazdy. Prawdopodobnie próba przedostania się z powierzchni miała większe szanse powodzenia.

Po chwili drzwi windy się rozsunęły i McGoon wyprowadził go na jasno oświetlony korytarz.

- Czwarte drzwi po lewej, proszę wejść śmiało.

Pomalowane na biało drzwi z trudem dałoby się wyróżnić na jednolitej ścianie korytarza, gdyby - jak na gabinet lekarski przystało - nie były oznaczone czerwonym krzyżem. Zamiast klamki widniał przycisk w futrynie, Dirk nacisnął go i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Wszedł do środka. Zza biurka spojrzała na niego ładna młoda dziewczyna o brązowych oczach, ubrana w strój pielęgniarki, i przemówiła szybko po japońsku.

Dirk wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale znam tylko angielski.

Dziewczyna bez słowa wstała z za biurka, przeszła przez salkę, w której stało sześć pustych łóżek i zniknęła w następnym pomieszczeniu. Po kilku sekundach wyszedł stamtąd młody, uśmiechnięty przyjacielsko Japończyk w dżinsach i golfie; na ramiona miał narzucony biały fartuch, a na szyi nosił stetoskop. Pielęgniarka wybiegła tuż za nim.

- Pan Pitt? Pan Dirk Pitt? - zagadnął z kalifornijskim akcentem.

- Zgadza się.

- Powiadomiono mnie o pańskiej wizycie. Nazywam się Josh Nogami. To dla mnie prawdziwy zaszczyt. Uważnie śledzę pańskie wyczyny od czasu podniesienia "Titanica". Szczerze mówiąc, pod pańskim wpływem sam zacząłem nurkować.

- Bardzo mi przyjemnie - odparł nieśmiało Dirk. - Sądząc po pańskim akcencie, nie pochodzi pan stąd.

- Urodziłem się i wychowałem w San Francisco, w cieniu wielkiego mostu. A pan skąd pochodzi?

- Dorastałem w Newport Beach, w Kalifornii.

- Naprawdę? Odbywałem praktykę w szpitalu imienia Świętego Piotra w Santa Ana i przy każdej okazji jeździłem na plażę w Newport.

- I na co panu przyszło?

- Podobnie jak panu, panie Pitt.

- Czy Suma złożył panu ofertę, której nie mógł pan odrzucić?

Uśmiech tamtego przybladł.

- Szczerze podziwiam osiągnięcia pana Sumy. Dołączyłem do jego zespołu cztery lata temu, nikt mnie nie przekupywał.

- I wierzy pan w to, co on robi?

- Na sto procent.

- Proszę mi wybaczyć, ale jest pan chyba źle poinformowany.

- Nie jestem źle poinformowany, panie Pitt. Jestem Japończykiem i wierzę w naszą

wyższość intelektualną oraz w przewagę naszej kultury nad tym zlepkim społecznym, którym jest Ameryka.

Dirk nie miał ochoty na kolejną dyskusję filozoficzną o wyższości takiego a nie innego stylu życia. Wskazał na swoje kolano.

- Musiałem je stłuc, a chciałbym, żeby jutro było w miarę sprawne. Czy może pan uśmierzyć ból, abym mógł się swobodnie poruszać?

- Proszę podwinąć nogawkę.

Pitt usiadł, podciągnął nogawkę, a gdy lekarz zaczął mu obmacywać kolano, syknął głośno i skrzywił się z udawanego bólu.

- Nie wygląda na potłuczone, nie zwichnął pan również torebki stawowej.

- Ale boli jak diabli. Nie mogę zginać nogi.

- Potłukł się pan podczas nieudanego lądowania w ogrodzie pana Sumy?

- Widzę, że plotki szybko się tu rozchodzą.

- Roboty opanowały tajniki poczty pantoflowej, z której mogliby być dumni więźniowie San Quentin. Kiedy tylko usłyszałem o pańskim przylocie, pobiegłem na górę, żeby obejrzyć szczątki motoszybowca. Pan Suma nie był uszczęśliwiony, że wskutek waszego lądowania zginęły karpie warte czterysta tysięcy jenów.

- Zatem wie pan również, że jutro mam się stać pierwszą ofiarą planowanej masakry.

Uśmiech zniknął z twarzy Nogamiego, a jego spojrzenie stało się twarde.

- Chcę, by pan wiedział, że choć ściśle wykonuję polecenia pana Sumy, nie popieram tych morderczych polowań pana Kamatoriego.

- Więc może ma pan jakąś radę dla straceńca?

Tamten zatoczył ręką półkole.

- W tych ścianach jest więcej oczu i uszu niż na widowni teatralnej. Gdybym zechciał panu jakoś pomóc, musiałbym stanąć obok pana na polowaniu. Nic z tego, panie Pitt. Żałuję, że znalazł się pan w takiej sytuacji, ale nie może pan za to winić nikogo oprócz siebie.

- Ale zobaczy pan, czy można coś zrobić z moim kolaniem?

- Jako lekarz postaram się złagodzić panu ból. Poza tym otrzymałem rozkaz pana Kamatoriego, by jak najlepiej przygotować pana do jutrzejszego polowania.

Lekarz dał Pittowi zastrzyk jakiegoś środka, którego nazwy nie dało się powtórzyć, i owinął mu kolano bandażem elastycznym. Na koniec wręczył małą fiolkę pigułek.

- Proszę brać po dwie tabletki co cztery godziny. Tylko niech pan nie przedawkuje, bo oszołomiony stanie się pan łatwym łupem dla Kamatoriego.

Dirk śledził uważnym spojrzeniem pielęgniarkę, która dwa razy chodziła do

sąsiedniego pomieszczenia, najpierw po bandaż, później po tabletki.

- Czy sprawiłbym dużo kłopotu, gdybym zajął któreś z tych łóżek i odpoczął przez jakiś czas? Te japońskie maty do spania nie nadają się dla moich kości.

- Ja nie widzę żadnych przeszkód, zawiadomię tylko robota wartowniczego, że zatrzymam pana przez godzinę na obserwacji. Nogami spojrzał na niego z ukosa. - Ale niech pan wybije sobie z głowy ucieczkę. Nie ma tu żadnych okien ani drugich drzwi, będzie pan miał na karku setkę robotów, nim zdąży pan zrobić choćby dwa kroki w stronę windy.

- Proszę się nie martwić - rzekł Pitt, uśmiechając się po przyjacielsku. - Naprawdę mam zamiar jedynie zebrać siły przed jutrzejszą zabawą.

Japończyk skinął głową.

- Proszę zająć pierwsze łóżko, ma najbardziej miękki materac. Sam z niego korzystam, bo także nie umiem się pozbyć pewnych przyzwyczajęń. Również nie znoszę tych cholernych mat *tatami*.

- Czy jest tutaj toaleta?

- Z tamtego pokoju na lewo.

Pitt uściskał dłoń lekarza.

- Bardzo dziękuję, doktorze Nogami. Szkoda, że patrzymy na te same rzeczy z różnych punktów widzenia.

Kiedy Japończyk wrócił do swego gabinetu, a pielęgniarka usiadła z powrotem za biurkiem, plecami do niego, Pitt podreptał do łazienki, ale nie wszedł do środka, tylko stuknął drzwiami, żeby niezwykła cisza nie wzbudziła niczyich podejrzeń. Dziewczyna przy biurku wypełniała jakieś formularze i nie odwróciła się nawet, żeby popatrzeć, co on robi.

Zaczął przeglądać pospiesznie szafki i szuflady w pokoiku, aż znalazł pudełko z plastikowymi torebkami, z których wychodziła cienka rurka zakończona grubą igłą numer 18. Napis na torebce głosił: "CPDA-1, pojemnik z roztworem antykoagulacyjnym na próbkę krwi do analizy". Wyjął jedną z pudełka i wsunął ją ostrożnie do kieszeni, żeby nawet nie chlupnął zawarty w niej płyn.

W rogu pokoju stał przenośny aparat rentgenowski. Dirk przyglądał mu się przez chwilę i nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. Podważył paznokciem i oderwał plastikową tabliczkę informacyjną, a następnie, używając jej jako śrubokręta, odkręcił tylną pokrywę obudowy. Błyskawicznie odłączył jeden z dwóch sześciowoltowych suchych akumulatorów, wyjął go i wsunął do drugiej kieszeni. Następnie pozrywał kilka grubych wiązek przewodów i owinał się nimi w pasie.

W końcu wsunął się cicho do łazienki, skorzystał z toalety i spuścił wodę. Kiedy wrócił i

położył się na łóżku, pielęgniarka nawet nie uniosła głowy. Nogami był całkowicie pochłonięty rozmową przez telefon.

Dirk zapatrzył się w sufit, próbując zebrać myśli. Zapewne Jordan i Kern nie nazwaliby tego, co wymyślił, planem, który zatrząsie ziemią, ale on widział w tym swą jedyną szansę, a nie miał zamiaru poddać się bez walki.



Moro Kamatori nie tylko wyglądał na ucieleśnienie zła: on nim był w rzeczywistości. Jego czarne, świdrujące oczka wbijały się w każdego niczym groty zatrutych strzał, a gdy rozchyłał zaciśnięte zwykle wargi w uśmiechu, co miało miejsce wyjątkowo rzadko, ukazywał światu tyle złota, co w niejednym sklepie jubilerskim.

Nawet o tak wczesnej porze - o piątej nad ranem, kiedy było jeszcze ciemno - na jego twarzy widniał złowieszczy, arogancki grymas. Japończyk miał na sobie *hakama*, krótkie i szerokie spodnie, przypominające rozciętą spódniczkę, *kataginu*, wzorowany na modzie z okresu Edo myśliwski serdak bez rękawów z grubego brokatu, oraz sandały na bosych stopach.

Stojący naprzeciwko niego Pitt wyglądał tak, jakby wyskoczył ze śmietnika. Ubrany był w bawełniany podkoszulek i szorty wycięte ze spodni kombinezonu lotniczego. Na nogach miał tylko białe skarpety frotte.

Zbudzono go i zaprowadzono do prywatnego apartamentu Kamatoriego. Stał teraz, dygocząc z zimna, i rozglądał się po ścianach zawieszonych muzealnymi okazami broni, pochodzącej z różnych epok i z całego świata. Pośrodku pokoju, niczym oczekujący w szyku żołnierze, stały różne zbroje, zarówno europejskie, jak i japońskie. Ale na widok trofeów rozmieszczonych na ścianie, w równych odstępach między setkami mieczy, włóczni, łuków oraz pistoletów, żołądek podjechał mu do gardła.

Naliczył trzydzieści wypchanych ludzkich głów, ofiar Kamatoriego, które wpatrywały się w przestrzeń szklistymi, nieruchomymi oczyma. Większość z nich miała rysy azjatyckie, ale cztery należały do białej rasy. Przeszył go dreszcz, kiedy w jednej z głów rozpoznał twarz Jima Hanamury.

- Proszę wejść dalej, panie Pitt, i poczęstować się filiżanką kawy - rzekł Kamatori, wskazując mu poduszkę po drugiej stronie niskiego stolika. - Możemy jeszcze porozmawiać przez kilka minut, zanim...

- Gdzie są pozostali? - przerwał mu Dirk.

Japończyk spojrzał na niego ostro.

- Siedzą w sąsiednim pokoju, gdzie będą mogli na ekranie monitora oglądać przebieg polowania.

- Jak widzowie przed telewizorem, oczekujący kiepskiego horroru w kinie nocnym?

- Może ten, kto będzie ostatni, nauczy się czegoś na błędach poprzedników.

- Albo wszyscy zamkną oczy i nikt nie będzie chciał oglądać tego marnego widowiska.

Kamatori nie drgnął nawet, a kąciki zaciśniętych warg nie wygięły się w najlżejszym

uśmiechu.

- To nie jest eksperyment, metoda została już wielokrotnie wypróbowana. Ofiary muszą oglądać przebieg polowania, przywiązane do krzeseł, a jeśli zajdzie taka potrzeba, przyklei się im powieki. Wszyscy zobaczą ze szczegółami pańskie ścięcie.

- Ufam, że odeśle pan moje szczątki do ojczyzny - mruknął Pitt, znacząco spoglądając na wypchane głowy na ścianie. Próbował omijać je wzrokiem, skupiając się na artystycznych okazach białej broni.

- Znakomicie potrafi pan udawać odważnego - rzekł Kamatori. - To jedynie potwierdza pańską reputację.

- Kto będzie następny?

Rzeźnik wzruszył ramionami.

- Pański przyjaciel Giordino. A może ta agentka? Tak, ona będzie najlepsza. Jej śmierć doprowadzi pozostałych do furii, przez co staną się trudniejszymi ofiarami.

Dirk odwrócił się w jego stronę.

- A jeśli ktoś z nas zdoła panu umknąć?

- Wyspa nie jest duża. Do tej pory nikomu się nie udało wytrzymać nawet ośmiu godzin.

- Nie mamy wstępu do budowli?

- Nie. - Na ustach Kamatoriego pojawił się złowieszczy uśmiezek. - To nie jest dziecinna zabawa w chowanego, tu nikt nie wygra i nikt nie przegra. Mogę tylko obiecać, że pańska śmierć będzie szybka i bezbolesna.

Pitt popatrzył na samuraja z ukosa.

- To nie jest zabawa? A ja myślałem, że mam się wcielić w Sangera Rainsforda, pan natomiast w generała Zaroffa.

Kamatori zamrugał kilkakrotnie.

- Te imiona nie sami znane.

- Nie czytał pan *Najbardziej niebezpiecznej zabawy* Richarda Connella? To znana powieść, której bohater dla sportu tropi swoich przyjaciół.

- Nie zaśmiecam sobie umysłu czytaniem zachodniej literatury.

- Miło mi to słyszeć - odparł Pitt, stwierdzając w duchu, że jego szansę przebycia odrobinę wzrosły.

Japończyk wskazał mu drzwi.

- Nadeszła już pora.

Dirk nie ruszył się jednak z miejsca.

- Nie wyjaśnił pan jeszcze zasad tej zabawy.

- Bo nie ma żadnych zasad, panie Pitt. Szczodrze damę panu godzinę na ucieczkę. Po upływie tego czasu wyruszę uzbrojony jedynie w ten miecz, broń moich przodków, której używamy już od siedmiu pokoleń, nurzając ją we krwi wielu naszych wrogów.

- Pańscy przodkowie byliby zapewne dumni z takiego potomka, który plami honor samurajów, ścinając bezbronnych ludzi.

Kamatori zdawał sobie sprawę, że Pitt chce go sprowokować. Za wszelką cenę bronił się przed okazaniem swej wściekłości Amerykaninowi, po którym nie było widać nawet cienia strachu.

- Tam są drzwi - warknął. - Za godzinę rozpoczynam pogoń.

Pitt porzucił maskę całkowitej obojętności w chwili, kiedy minął bramę w ogrodzeniu pod prądem. Ruszył biegiem wzdłuż linii drzew otaczających ośrodek i wkrótce znalazł się wśród mrocznych, urwistych skał, niemal kipiąc wściekłością. Przemienił się w maszynę, kalkulując na chłodno, obserwując otoczenie nadzwyczaj wyostrzonymi zmysłami i gnaną przed siebie tylko jedną myślą.

Musiał się uratować, żeby ocalić pozostałych.

Dość szybko pojął, jak roztropna była rezygnacja z ciężkich butów, które nosił od chwili startu z pokładu "Ralph R. Bennetta". Na szczęście wulkaniczne skały pokrywała kilkucentymetrowa warstwa zerodowanej, ubogiej gleby.

Biegł stale w jednym kierunku, a wściekłość i strach jedynie dodawały mu sił. Jego plan był niezwykle prosty, wręcz śmiesznie prosty, a mimo to szansę zmylenia Kamatoriego oceniał jako niewiele większe od zera. Był jednak pewien, że żadna z wcześniejszych ofiar nie próbowała podobnego wybiegu. Zaskoczenie powinno mu pomóc. Jego poprzednicy zapewne usiłowali przede wszystkim znaleźć się jak najdalej od ośrodka i poszukać jakiejś kryjówki, w której mogliby przeczekać polowanie. Co prawda desperacja rodzi pomysłowość, ale nikt przed nim nie zdołał ująć z życiem. Pitt miał szczerzy zamiar nadać tej zabawie nieco odmienny charakter, a jego plan był na tyle szalony, że mógł się powieść.

Miał jeszcze jedną przewagę nad poprzednimi ofiarami. Dzięki Pennerowi, który zrobił szczegółowy model wyspy, Dirk dość dobrze znał okolicę. Odtwarzał teraz w pamięci dane dotyczące odległości i różnic poziomów. Mając precyzyjnie określony cel, nie zmierzał w kierunku najwyższego wzniesienia na wyspie.

Przerażeni ludzie często uciekają do góry: na najwyższe piętra budynków, na czubki drzew czy też na górujące nad okolicą skaliste granie. I w każdym wypadku zapędzają się w ślepią uliczkę, odcinając sobie możliwość dalszej ucieczki.

Pitt skręcił w bok, kierując się ku wschodniemu wybrzeżu; kluczył nieco, aby ślady sugerowały, że porusza się niepewnie i nie wie, dokąd uciekać. Kilka razy zatoczył duże koło, chcąc zmylić swego prześladowcę, sprawiając wrażenie, że zgubił drogę. W skalnym labiryncie tej istic księżycowej okolicy, przy panujących wciąż ciemnościach, nietrudno było zabłądzić, ale gwiazdy ledwie zaczynały przygasać i wciąż dało się jeszcze odszukać Gwiazdę Polarną. Dirk przystanął na kilka minut, żeby zaczerpnąć oddechu i zebrać siły.

Uznał, że Kamatori, który chodził w sandałach, nie zdołałby sam wytropić ofiary w ciągu ośmiu godzin. Nawet człowiek nie mający wprawy w wędrówce po lasach przy odrobinie szczęścia mógłby się tu ukrywać choćby i przez dwa dni, chociażby ścigany przez psy... Chyba że jego śladem ruszał ktoś wspomagany dziesiątkami elektronicznych czujników. Pitt nie miał żadnych wątpliwości, że w pościg za nim ruszą roboty z takimi właśnie detektorami. Pobiegł dalej, nie czuł jeszcze zmęczenia, choć przenikał go chłód.

Po godzinie znalazł się na krawędzi skał opadających stromo do morza. Karłowate drzewka i gęste krzaki ciągnęły się aż do palisady oznaczającej brzeg wyspy. Zwolnił kroku i zaczął wypatrywać większej zatoczki między leżącymi blisko dwadzieścia metrów w dole skałami, które omywały spienione fale. Wyszedł w końcu na niewielką polankę między czarnymi głazami. Na samej krawędzi urwiska pochylała się tu niewielka sosna, której część korzeni, odsłonięta erozją, wystawała na powierzchnię.

Dirk rozejrzał się uważnie po całej polance, wypatrując ukrytych kamer bądź czujników ciepłoty ciała ludzkiego, ale niczego nie dostrzegł.

Prawie pewien, że nikt go nie obserwuje, wypróbował wytrzymałość drzewa pod swoim ciężarem. Sosna zadygotała i pochyliła się o kilka centymetrów ku morskiej otchłani. Pitt skalkulował pośpiesznie, że gdyby szybko wdrapał się aż na czubek, wątłe korzenie nie wytrzymałyby dodatkowego ciężaru i człowiek razem z drzewem runąłby do morza.

Wychylił się i zmierzył wzrokiem ciemne, skłębione wody, podobnie jak czynią to wyczynowi skoczkowie, którzy rzucają się do morza ze skalistego klifu pod Acapulco. Oceniał, że między podwodnymi skałami morze ma głębokość około trzech metrów, wzrastającą do czterech pod grzbietem fali. Nikt przy zdrowych zmysłach nie rozpatrywałby w ogóle takiej myśli, jaka przyszła Dirkowi do głowy, kiedy oglądał z góry uderzające o głazy grzywacze oraz dość wyraźny w tym miejscu prąd. Bez względu na rodzaj odzieży, żaden pływak nie miał szans wytrzymać w lodowatej wodzie nawet dwudziestu minut, zakładając oczywiście, że przeżyje skok z tej wysokości.

Pitt usiadł na brzegu skały, wyciągnął spod paska szortów plastikową torebkę na krew i położył ją na ziemi u swych stóp. Wyprostował lewe ramię i zaczął rytmicznie zaciskać pięść,

dopóki palcami prawej dłoni nie wyczuł żyły w zgięciu ręki. Koncentrował się przez chwilę, rysując w wyobraźni przebieg żyły, wreszcie obnażył igłę, połączoną plastikowym wężykiem z torebką, i wbił ją sobie pod skórę.

Nie trafił za pierwszym razem, dopiero przy trzeciej próbie zdołał wkluć się w żyłę. Przez chwilę siedział spokojnie, obserwując, jak jego krew wypełnia plastikowy woreczek.

Z oddali dobiegło stłumione szczekanie psa. Dopiero teraz dotarło do niego to, co powinno być oczywiste od początku. Aż nie mógł uwierzyć, że mimo wszystko przecenił Kamatoriego. Do tej pory nie brał pod uwagę, nie spodziewał się, że tamten wyśle jego tropem żywego psa. W ciemno przyjął założenie, że prześladowca wykorzysta elektroniczne czujniki robota. Oczyma wyobraźni ujrzał szeroki uśmiech pojawiający się na twarzy samurajskiego kata na widok ofiary walczącej z groźnym psem. Zachował jednak spokój, czekał, aż jego krew wypełni pojemnik, i wsłuchiwał się w coraz bliższe ujadanie. Zwierzę trzymało się jego tropu i musiało być już jakieś dwieście metrów od polanki. Gdy według skali w torebce uzbierało się 450 mililitrów krwi, Dirk wyszarpnął igłę z ręki. Pospiesznie ukrył pojemnik w szczelinie między skałami i przykrył to miejsce garścią igliwia.

Większość ludzi umykających przed Kamatorim, ogarnięta paniką i przerażeniem, musiała po prostu uciekać przed gończym psem, aż w końcu padała z wyczerpania. Tylko co odważniejsi stawiali mu czoło i próbowali walczyć ze zwierzęciem jakąś prowizoryczną bronią, zapewne grubym kijem. Wciąż nie zdając sobie sprawy z tego, co go czeka, Pitt postanowił zgromadzić lepszy arsenał. Znalazł dość długi, gruby i mocny konar, ale podniósł też dwa ciężkie odłamy skalne. Chcąc zwiększyć swoje szanse, ułożył te skarby na szczycie wielkiego głazu i wdrapał się na górę.

Ledwie zdążył oderwać nogi od ziemi, kiedy między drzewami mignęła sylwetka psa i po chwili zwierzę wypadło na polankę.

Pitt zagapił się na nie rozszerzonymi ze zdumienia oczyma, gdyż nie był to zwyczajny pies. Przypominał najbardziej koszmarną karykaturę robota, jaką Dirk kiedykolwiek widział.

Zatrudnieni przez Sumę konstruktorzy z laboratorium robotyki przeszli samych siebie. Sterczący w górę ogon zwierzęcia stanowił antenę. Na krótkich odnóżach obracały się koła ze szprychami, których końce zagięte były pod kątem prostym, umożliwiając automatowi poruszanie się po nierównym gruncie. Korpus psa nafaszerowany był elektroniką, sterowaną ultradźwiękowymi czujnikami przeszkód terenowych. Prawdopodobnie był to najlepszy robot pościgowy, potrafiący wyczuć ciepłość człowieka, jego zapach i wilgoć potu, a także zdolny do osaczenia ofiary, gdyż poruszał się z szybkością dobermana.

Jedynym elementem upodabniającym robota do żywego psa, jeśli pominąć

karykaturalną sylwetkę i odtwarzane z taśmy głośne ujadanie, były ostre kły w rozwartej paszczy, które jak w pile łańcuchowej przesuwają się po obwodzie szczęki. Pitt wyciągnął przed siebie konar i wetknął go w paszczę potwora, lecz wielka siła wyrwała mu go z rąk, a dokoła cyborga posypały się wióry.

Ciekawe, jakim cudem po ofiarach Kamatoriego, które musiały zetknąć się z tym monstrum, zostawały tak dobrze zachowane głowy, że można było nimi przyozdobić ściany - pomyślał. Zauważył jednak, że cybernetyczny pies nie próbuje go nawet dosięgnąć. Wdrapał się na półeczkę u podnóża skały, na której siedział Dirk, i czekał tam spokojnie, rejestrując miniaturową kamerą wszystkie ruchy człowieka. Pitt domyślił się, że zadaniem cyborga było jedynie wytropienie i osaczenie ofiary, na której Kamatori miał dokonać rytualnego mord.

Uniósł jeden z kamieni i cisnął nim w psa, ale ten błyskawicznie odjechał w prawo i pocisk odbił się od skały, o kilka centymetrów mijając łeb robota.

Dirk sięgnął po drugi kamień - ostatni swój pocisk - i zamachnął się energicznie, ale nie wypuścił go z palców. Obserwował uważnie, jak pies znowu gwałtownie odjeżdża w prawo. Niczym wytrawny bombardier uwzględnił poprawkę i z całej siły cisnął kamieniem. Jego ocena okazała się słuszna. Automat, któremu widocznie zaprogramowano wykonywanie uników tylko w jedną stronę, ponownie uskoczył w prawo - prosto pod nadlatujący kamień.

W całkowitej ciszy, bez iskier czy dymu, a tym bardziej bez psiego wycia, robot jakby przysiadł na swych krótkich łapach, ale się nie przewrócił. Jego elektroniczny system sterujący został zmiażdżony. Pittowi zrobiło się nawet trochę żal, kiedy cyborg ujechał jeszcze kawałek, niczym zdalnie sterowana zabawka z wyczerpanymi bateriami. Zsunął się z głazu i kopnął psa w brzuch, a ten przewrócił się na bok. Dirk upewnił się jeszcze, że obiektyw kamery jest stłuczony, po czym wyciągnął spod igliwia torebkę z krwią.

Żył głęboką nadzieję, że ta ilość spuszczonej krwi nie osłabi go zanadto. Do realizacji swego planu musiał bowiem zebrać wszystkie siły.

Kamatori z niedowierzaniem popatrzył na ekran miniaturowego naręcznego odbiornika, który zgasł niespodziewanie. Ostatnie dane, jakie przesłał mu komputerowy system tropiący, mówiły o tym, że Pitt znajduje się około stu siedemdziesięciu pięciu metrów w kierunku południowo-wschodnim, w sąsiedztwie palisady wzmacniającej skalisty brzeg wyspy. W głowie mu się nie mieściło, że tamten dał się tak łatwo osaczyć już na początku polowania. Szedł pospiesznie w wyznaczonym kierunku, zastanawiając się nad przyczynami usterki robota. Ale im bardziej zbliżał się do przypuszczalnego miejsca spotkania, tym silniej odczuwał niepokój, że jego automat tropiący mógł zostać zniszczony.

Podczas poprzednich polowań nie zdarzyło się nic podobnego. Żadna z ofiar nie

zdołała podejść na tyle blisko robota, aby w jakikolwiek sposób go uszkodzić. Kamatori pomyślał, że jeśli Pittowi udało się to, czego nie dokonali inni, to należy zachować najdalej posuniętą ostrożność. Zwolnił kroku, nie miał się zresztą po co śpieszyć. Dysponował wystarczająco dużą rezerwą czasu.

Przez dwadzieścia minut skradał się ścieżką w stronę niewielkiej polanki na samym skraju urwiska. Już z pewnej odległości zauważył przez krzewy zarys nieruchomej sylwetki psa, a kiedy dostrzegł, że robot leży na boku, zaczął podejrzewać najgorsze.

Klucząc między drzewami, okrążył półkolem otwartą przestrzeń między grupką skał. Ostrożnie skradał się w kierunku nieruchomego cyborga. W końcu dobył miecz, zacisnął obie dłonie na rękojeści i uniósł broń nad głową.

Kamatori miał wprawę w sztuce *kiai*, dzięki której potrafił wzbudzić w sobie dziką furję, jaka pomagała mu zaskoczyć przeciwnika. Nabrał głęboko w płuca powietrza, wydał z siebie złowieszczy okrzyk bojowy i wypadł na polankę, mając nadzieję, że przerażona ofiara nie stawi mu żadnego oporu. Ale między skałami nie było Pitta.

Niewielka przestrzeń wyglądała jak miejsce masakry, wszystko było zalane krwią - i robot, i głazy. Wyraźny krwawy trop prowadził w stronę urwistego klifu. Kamatori przyjrzał mu się uważnie: głęboko odcisnięte ślady stóp Pitta świadczyły o jego chaotycznym miotaniu się w kółko, nigdzie jednak nie wychodziły z polanki. Zerknął za krawędź urwiska i dojrzał unoszące się na wodzie drzewo, ciskane przez fale o przybrzeżne skały. W końcu przeniósł wzrok na wielką wyrwę w ziemi, z której sterczały pourywane korzenie sosny.

Jeszcze przez kilka minut uważnie rozglądał się po polanie - obejrzał zmiażdżony konar i ciężki kamień leżący obok zniszczonego robota. Zastanowiło go, że pies nie był zaprogramowany do walki, miał tylko wytropić i odnaleźć człowieka. Wytłumaczył sobie jednak, że broniący się zaciekle Pitt zdołał jakimś sposobem uszkodzić komputer sterujący, przez co zmienił tropiącego robota w straszliwego zabójcę.

Cyborg musiał się rzucić na człowieka i ciężko go pokaleczyć, a przerażony Pitt, nie mając dokąd uciekać, zapewne usiłował się schronić w koronie rosnącego na skraju przepaści drzewa. Korzenie nie wytrzymały jednak zwiększonego ciężaru i człowiek runął wraz z sosną do morza. W dole nigdzie nie było widać ciała, ale żaden człowiek nie przeżyłby takiego upadku. Trupa musiały porwać fale bądź też rozprawiły się z nim rekiny, zwabione zapachem krwi.

Japończyka ogarnął istny szal. Uniósł mechanicznego psa i cisnął go do morza. Mimo wszystko Pitt zwyciężył, jego głowa nie zawiśnie na ścianie między innymi podobnymi trofeami. Samurajski rzeźnik odczuwał palący wstyd, gdyż nikt dotąd nie uniknął jego miecza.

Postanowił odbić sobie stratę na pozostałych zakładnikach. Zdecydował, że następną ofiarą będzie Stacy. Ucieszył się niezmiernie, kiedy ujrzał w wyobraźni przerażenie, jakie odmaluje się na twarzach Giordina, Weatherhilla i Mancusa, którzy będą zmuszeni oglądać w naturalnych kolorach, jak on rozprawia się z tą kobietą.

Uniósł błyszczącą klingę do oczu, chcąc przedłużyć tę chwilę euforii, kiedy niespodziewanie odbiły się w niej promienie wschodzącego słońca. Kamatori podniósł miecz nad głową, zatoczył nim koło i szybkim płynnym ruchem wsunął broń do pochwy.

Wciąż jeszcze pełen wściekłości i rozczarowania po stracie ofiary, którą miał zamiar własnoręcznie zabić, ruszył z powrotem w stronę ośrodka. Próbował się skupić na czekającym go kolejnym polowaniu.



Prezydent stał na trawiastych polach Klubu Kongresowego, zajęty popołudniową partią golfa.

- Czy jesteś tego pewien? Nie może być mowy o pomyłce?

Jordan skinął głową. Z siedzenia wózka elektrycznego spoglądał na prezydenta mierzącego wzrokiem odległość do czternastego dołka.

- Potwierdza to fakt, że nasz zespół milczy, a już cztery godziny temu miał nawiązać łączność.

Pomocnik, siedzący w drugim wózku obok agenta służb ochrony, podał prezydentowi specjalnie dobrany kij numer pięć.

- Czy to możliwe, że zostali zabici?

- Otrzymaliśmy jedynie wiadomość od brytyjskiego agenta działającego w Centrali Smoka, że zostali schwytani zaraz po wejściu do tunelu wiodącego pod dnem morza do centrum sterowania.

- Coś poszło nie tak?

- Nie wzięliśmy pod uwagę, że Suma dysponuje całą armią robotów wartowniczych. Cięcia budżetowe nie pozwoliły wcześniej na założenie siatki wywiadowczej w Japonii i nie wiedzieliśmy, jak dalece są zaawansowani w konstruowaniu robotów. Technologia, pozwalająca wyposażyć automaty w inteligencję prawie równą ludzkiej, zmysł wzroku oraz niezwykle szybki refleks, jest dla nas zaskoczeniem.

Prezydent pochylił się nad piłką, wziął zamach i posłał ją na sam skraj pola. Uniósł głowę i popatrzył na Jordana, jakby w ogóle nie mógł sobie wyobrazić robotów w roli służby bezpieczeństwa.

- Mówisz o robotach, które potrafią chodzić i gadać?

- Tak, panie prezydencie. Te automaty mogą się poruszać bardzo szybko i są uzbrojone po zęby.

- Twierdziłeś przecież, że twoi ludzie potrafią przenikać przez ściany.

- Nie ma nikogo lepszego w tym fachu. Ale do tej pory nie zetknęliśmy się jeszcze z tak niezawodnym systemem bezpieczeństwa, jaki stworzył Suma, wykorzystując elektronikę. Nasi ludzie mieli przeciwko sobie inteligencję komputerową, której nie zdołali przechytrzyć. Obawiam się, że nie dokonałby tego nikt na świecie.

Prezydent wsunął się za kierownicę wózka i wcisnął pedał gazu.

- Czy są jakieś szanse, że grupa ratunkowa ocali twoich agentów?

Jordan zawahał się i przez chwilę jechali w milczeniu.

- Wątpię. Wszystko wskazuje na to, że Suma chce ich uśmiercić. Prezydentowi zrobiło się nagle żal Jordana, dla którego utrata prawie całego zespołu MZB musiała być bardzo gorzką pigułką do przełknięcia. Jeszcze żadna akcja krajowych służb wywiadu nie zakończyła się aż takim fiaskiem.

- Czeka nas niezłe piekło, kiedy Jim Sandecker dowie się, że Pitt i Giordino mają umrzeć.

- Nie śpieszę się z przekazaniem mu tej wiadomości.

- Zatem nie zostaje nam nic innego, jak zatopić tę przeklętą wyspę z Centralą Smoka.

- Obaj zdajemy sobie sprawę, panie prezydencie, że takie działania, nawet jeśli ich celem będzie zapobiec globalnej katastrofie atomowej, spowodują to, że cały naród i światowa opinia publiczna zwałą panu na głowę kilka ton kamieni.

- W takim razie wyślijmy szybko nasze oddziały Delta.

- Oddziały Delta już czekają przygotowane w bazie lotniczej Andersena na wyspie Guam. Ale doradzam jeszcze zaczekać. Może naszym agentom uda się jednak wypełnić tę misję.

- Jak, skoro nie mają żadnej możliwości ucieczki?

- Są to nasi najlepsi ludzie, panie prezydencie. Nie chce mi się wierzyć, byśmy mogli spisać ich już na straty.

Prezydent zatrzymał wózek przed piłką, która spoczywała zaledwie kilka centymetrów od granicy porośniętego trawą pola. Pomocnik podał mu tym razem kij numer dziewięć, ale prezydent popatrzył na niego i pokręcił głową.

- Wolę ją jeszcze raz uderzyć, zamiast popchnąć. Daj mi twardszy kij.

Po dwóch lekkich uderzeniach piłka wpadła do dołka.

- Ja nie mam cierpliwości do golfa - rzekł Jordan, kiedy prezydent z powrotem zajął miejsce w wózku. - Ciągłe odnoszę wrażenie, że nawet w czasie wolnym powinienem się zająć znacznie ważniejszymi sprawami.

- Nikt nie może zasuwać bez przerwy, nie mając czasu na podładowanie akumulatorów - mruknął prezydent, kierując się w stronę kolejnego dołka. Popatrzył uważnie na Jordana. - Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Ray?

- Następných ośmiu godzin, panie prezydencie, zanim wyda pan rozkaz natarcia oddziałom Delta.

- Naprawdę wierzysz, że twoi ludzie zdołają jeszcze cokolwiek zdziałać?

- Wierzę, że powinniśmy dać im taką szansę. - Jordan zawiesił na chwilę głos. - Poza tym musimy brać pod rozwagę dwie inne możliwości.

- Jakie?

- Po pierwsze: roboty Sumy mogą zdziesiątkować nasze siły specjalne, zanim komukolwiek uda się choćby zbliżyć do centrali dowodzenia.

Prezydent uśmiechnął się krzywo.

- Możliwe, że robot pokona nawet najlepszego zabójcę, ale nie wierzę, aby wytrzymał pod zmasowanym ogniem.

- Zgadzam się, lecz robot może nacierać nawet wtedy, gdy zostanie bez ręki. Nie grozi mu wykrwawienie się na śmierć.

- A co to za druga możliwość?

- Nie zdołaliśmy dotąd ustalić miejsca przetrzymywania Loren Smith oraz senatora Diaza. Podejrzewamy, że znajdują się oni właśnie w ośrodku Sumy na wyspie Soseki.

- Zdumiewasz mnie, Ray. Brogan z CIA utrzymuje, że Smith i Diaz są przetrzymywani w Edo City. Widziano ich tam pod strażą, w apartamentach gościnnych Sumy. - Przez jakiś czas jechali w milczeniu. - Świetnie zdajesz sobie sprawę, że nie mogę ci dać jeszcze ośmiu godzin czasu. Jeśli twoi agenci nie zakończą operacji i nie dadzą znaku życia w ciągu czterech godzin, wydam rozkaz wysłania oddziałów Delta.

- Wyspa Sumy jest naszpikowana wyrzutniami rakiet. Każda łódź podwodna, która zbliży się na dwadzieścia kilometrów do brzegu w celu wysadzenia desantu, i każdy samolot, jaki pojawi się na niebie ze spadochroniarzami na pokładzie, zostaną natychmiast zaatakowane. Zakładając nawet, że komandosi zdołają jakoś wylądować na Soseki, zostaną wycięci do nogi, nim zdążą wejść do podziemnego kompleksu.

Prezydent nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w kępę drzew, przez których korony przeświecało zachodzące słońce.

- Jeśli twoim agentom nie udało się nic zdziałać - rzekł w końcu cicho - będę musiał zaryzykować moją karierę i rozkazać podjęcie ataku nuklearnego. Nie widzę żadnej innej możliwości powstrzymania projektu Kaiten, zanim Suma zdąży dopiąć wszystko na ostatni guzik.

W podziemiach budynku C Krajowej Agencji Bezpieczeństwa w Fort Meade kierownik Wydziału Interpretacji Danych Naukowych i Technicznych, Clyde Ingram, siedział w głębokim fotelu przed wielkim ekranem telewizyjnym. Spoglądał na niewiarygodnie szczegółowy obraz, przekazywany z najnowszego satelity szpiegowskiego.

Pyramider, wystrzelony potajemnie podczas jednej z misji wahadłowców, miał znacznie większe możliwości od swego poprzednika, Sky Kinga. Nie tylko dostarczał szczegółowych zdjęć obszarów lądowych i morskich, ale dzięki specjalnym trójsystemowym

obiektywom mógł także fotografować dno oceaniczne oraz instalacje podziemne.

Wystarczyło nacisnąć jeden z klawiszy na pulpicie, by skierować kamery satelity na dowolnie wybrany obiekt i uzyskać niezwykle precyzyjne fotografie, ukazujące szczegóły, czy to gazety leżącej na ławce w parku, czy rozmieszczenia korytarzy w podziemnej bazie wyrzutni raketowej, a nawet dowiedzieć się, co je na obiad załoga łodzi podwodnej, dryfującej pod górą lodową.

Tego popołudnia analizował zdjęcia przedstawiające okolicę wyspy Soseki. Po sporządzeniu mapy rozmieszczenia wyrzutni raketowych w lasach otaczających ośrodek wypoczynkowy Sumy, Ingram zajął się poszukiwaniem podmorskich czujników, które pozwoliłyby siłom bezpieczeństwa japońskiego potentata namierzyć łódź podwodną zbliżającą się w celu wysadzenia desantu.

Mniej więcej po godzinie jego wzrok natrafił na dziwny obiekt spoczywający na dnie morza, na głębokości trzystu dwudziestu metrów, trzydzieści sześć kilometrów na północny wschód od wyspy. Zaprogramował komputer na powiększenie wybranego obszaru dna morskiego i sygnały radiowe skierowały obiektywy satelity na ten obiekt.

Po jego sfotografowaniu Pyramider przesłał zakodowany obraz do stacji umieszczonej na jednej z wysp Pacyfiku. Stamtąd dane powędrowały do komputera w Fort Meade, który na ich podstawie wyświetlił powiększone zdjęcie na ekranie monitora.

Ingram wstał z fotela, poprawił okulary i podszedł bliżej. Po chwili wrócił na swoje miejsce i wcisnął jeden z klawiszy aparatu telefonicznego, który łączył go z wicedyrektorem do spraw operacyjnych. Ten znajdował się akurat w swoim samochodzie i tkwił w gigantycznym korku na jednej z arterii Waszyngtonu.

- Meeker - rzucił ze złością do mikrofonu aparatu komórkowego.

- Mówi Ingram, szefie.

- Nie zmęczyło cię jeszcze wyszukiwanie po nocach najskrytszych tajemnic tego świata? Czemu nie pójdziesz wreszcie do domu i nie zaciągniesz żony do łóżka?

- Przyznaję, że seks jest czymś wspaniałym, ale ja stawiam oglądanie tych niewiarygodnych zdjęć tuż za nim.

Curtis Meeker westchnął z ulgą, kiedy auta przed nim ruszyły i udało mu się przejechać na zielonym świetle ostatnie już skrzyżowanie przed skrętem w uliczkę, przy której mieszkał.

- Znalazłeś coś ciekawego? - zapytał.

- Samolot na dnie morza w pobliżu wyspy Soseki.

- Co to za samolot?

- Wygląda na B-Dwadzieścia Dziewięć z czasów drugiej wojny światowej. Jest dość zniszczony, choć jak na pięćdziesiąt lat spoczywania w morskiej wodzie prezentuje się znakomicie.

- Masz jakieś szczegóły?

- Oznaczenia literowe i cyfrowe na kadłubie oraz stateczniku są dobrze widoczne. Dostrzegam nawet dziwny symbol wymalowany na dziobie, tuż pod kabiną pilota.

- Opisz go.

- Obraz nie jest dość wyraźny, ale proszę wziąć pod uwagę, że dociera do nas przez prawie czterystumetrową warstwę wody. Jestem jednak pewien, że ów symbol przedstawia diabła trzymającego w łapie widły.

- Nie ma żadnych napisów?

- Niewyraźne - odparł Ingram. - Dolne słowo jest zakryte warstwą mułu. - Urwał i polecił komputerowi dać maksymalne powiększenie. - Nad symbolem widnieje natomiast słowo "Demony".

- Niezbyt mi to pasuje do dwudziestej armii powietrznej z czasów wojny - odparł Meeker.

- Sądzi pan, że to może mieć jakieś znaczenie?

Dyrektor sam do siebie pokręcił głową, kierując wóz w alejkę dojazdową.

- To pewnie jeden z bombowców, który zboczył z kursu i rozbił się, podobnie jak "Lady Be Good" pośrodku Sahary. Ale na wszelki wypadek sprawdź jego numery, byśmy mogli przynajmniej zawiadomić żyjące rodziny członków załogi.

Ingram odłożył słuchawkę i zapatrzył się w widniejący na ekranie pogruchotany samolot, który spoczywał na dnie oceanu. Zaczął się zastanawiać, skąd on mógł się wziąć w tamtym rejonie.

Więźniom nie trzeba było przyklejać powiek. Stacy, Mancuso i Weatherhill ze zgrozą i fascynacją oglądali przebieg polowania, dopóki obraz nie zniknął po zniszczeniu przez Pitta psiego robota. Kiedy zaś Kamatori uruchomił drugą kamerą i na ekranie pojawiła się zbryzgana krwią polanka w pokoju zapanował nastrój przygnębienia.

Cała czwórka siedziała przykuta łańcuchami do metalowych krzesełek, ustawionych półkolistie przed wielkim ekranem telewizyjnym, wmontowanym w ścianę. Strzegły ich dwa roboty, które Giordino ochrzcił McGoon i McGurk, celujące z tym w głowy więźniów z najnowszych japońskich pistoletów maszynowych.

Niespodziewane fiasko operacji oraz beznadziejność położenia, w jakim się znaleźli, przygnębiały ich silniej niż wizja nieuchronnej śmierci. Próbowali pośpiesznie obmyślić jakikolwiek sposób wyjścia z opresji, ale nie przychodziło im do głowy nic sensownego. Nie mogli się uwolnić od myśli o zagładzie.

Stacy odwróciła głowę, chcąc się przekonać, jakie wrażenie zrobiła na Giordinie przerażająca wieść o stracie przyjaciela. Ale Włoch siedział ze zmarszczonym czołem, pogrążony w zadumie, nie przejawiając ani smutku, ani wściekłości. Wyglądał na całkowicie spokojnego, błędził wzrokiem po ekranie, jakby zmuszono go do oglądania serialu przygodowego w sobotni wieczór.

Po pewnym czasie do pokoju wszedł Kamatori, usiadł po turecku na macie i nalał sobie czarnek sake.

- Chyba widzieliście wynik polowania - rzekł siorbiąc trunek. - Pan Pitt złamał wszelkie zasady. Zaatakował robota, uszkodził jego komputer i zginął przez własną głupotę.

- I tak miał zginąć z twojej ręki! - warknął Mancuso. - Przynajmniej pozbawił cię tej wymyślnej maszynerii.

Japończyk spojrział na niego z zaciśniętymi wargami, które po chwili wygięły się w złowieszczy uśmiechu.

- Zapewniam pana, że coś takiego już się nigdy nie powtórzy. Program drugiego robota jest obecnie dokładnie sprawdzany, aby jakakolwiek usterka komputera nie doprowadziła do ataku na człowieka.

- To wyraźny przełom - mruknął Giordino.

- Ty bydlaku! - syknął poczerwieńiały Mancuso, szamocząc się w więzach. - Widziałem, co tacy sadyści jak ty wyczyniali z jeńcami w obozach podczas wojny. Torturowanie innych sprawia ci radość, ale nie zniesiesz myśli o własnych cierpieniach.

Kamatori spoglądał na Franka z równie obojętną miną, jakby patrzył na szczura

siedzącego w głębokim kanale i szczerzącego kły.

- Pan będzie moją ostatnią ofiarą, panie Mancuso. Skażę pana na oglądanie śmierci wszystkich pozostałych, zanim wreszcie nadejdzie pańska kolej.

- Zgłaszam się na ochotnika jako następny - rzekł spokojnie Weatherhill, który obmyślił dosyć desperacki plan. Postanowił mianowicie nie ruszać się z miejsca i zabić Kamatoriego, choćby miał przyplącić to własnym życiem.

Ale Japończyk wolno pokręcił głową.

- Ten zaszczyt przypadnie w udziale panie Stacy Fox. Doświadczona agentka powinna dostarczyć wielu wrażeń. Mam nadzieję, że o wiele więcej niż Dirk Pitt, który mnie bardzo rozczarował.

Dopiero teraz Weatherhill poczuł dziwny skurcz żołądka. Nie bał się śmierci, pół życia spędził balansując na wąskiej granicy między życiem a śmiercią. Ale świadomość, że będzie musiał tu siedzieć i patrzeć, jak brutalnie morduje się kobietę, którą znał i podziwiał, napawała go obrzydzeniem.

Stacy zbladła nagle, gdy Kamatori wstał i rozkazał robotom zdjąć jej łańcuchy, spoglądała jednak na niego z wyraźną pogardą. Impuls elektroniczny otworzył kłódki i dziewczyna, uwolniona z więzów, mogła się wreszcie podnieść z krzesła.

Kamatori wskazał jej drzwi prowadzące na dziedziniec.

- Ruszaj - nakazał chrapliwym głosem. - Za godzinę rozpocznę pościg.

Stacy zerknęła na przyjaciół sądząc, że widzi ich po raz ostatni. Mancuso wyglądał na przerażonego, ale Weatherhill odpowiedział jej pełnym smutku spojrzeniem. Giordino natomiast zdumiał ją bezgranicznie. Skinął jej głową, uśmiechnął się i puścił do niej oko.

- Tracisz czas - oznajmił lodowatym tonem Kamatori.

- Chyba nie ma powodów do pośpiechu - odezwał się jakiś głos zza pleców dwóch robotów wartowniczych.

Stacy odwróciła się i stwierdziła w duchu, że cierpi na halucynacje.

W wejściu, oparty niedbale ramieniem o futrynę, stał Dirk Pitt, mierząc wzrokiem Kamatoriego. Dłonie opierał na rękojeści długiej szabli, której czubek wbijał się w lakierowaną podłogę. Na jego nie ogolonej twarzy widniał delikatny uśmiezek, lecz zielonkawe oczy z napięciem wpatrywały się w Japończyka.

- Przepraszam za spóźnienie, ale musiałem zaprowadzić psa na lekcję tresury.

Nikt się nie poruszył, panowała niezmacona cisza. Roboty, w których programie nie uwzględniono nagłego pojawienia się Pitta, także stały bez ruchu, czekając na rozkaz Kamatoriego. Ale samuraj nie mógł się otrząsnąć z szoku, jakim był dla niego widok niedoszłej ofiary, nie noszącej nawet śladu zadrapania. Wybałuszył oczy, rozdziawił usta i dopiero po dłuższej chwili złowieszczy grymas na jego twarzy zmienił się w wymuszony uśmiech.

- Nie zginąłeś... - mruknął, próbując wyrwać się z osłupienia. Spowaźniał nagle. - Tylko zamarkowałeś swoją śmierć... Ale ta krew...

- Pożyczyłem sobie parę rzeczy z waszego szpitala - wyjaśnił Pitt - a potem upuściłem nieco własnej krwi.

- Przecież nie miałeś się gdzie ukryć, musiałeś runąć z urwiska. A jeśli nawet przeżyłeś upadek i wpadłeś do morza, silny prąd powinien cię unieść daleko od wyspy. To niemożliwe...

- Drzewo, które widziałeś unoszące się na falach, osłabiło impet upadku. Później popłynąłem z prądem kilkaset metrów wzdłuż brzegu, wykorzystując falę przyływu, aż znalazłem cichą zatoczkę i wspiąłem się z powrotem do palisady poniżej ośrodka.

Zdumienie w oczach Kamatoriego przemieniło się w chorobliwą ciekawość.

- A strażę przybrzeżną? Jak zdołałeś się przedrzeć przez linię robotów?

- Mówiąc obrazowo, zaaplikowałem im krótkie spięcie.

- Bzdura! - Japończyk pokręcił głową. - Systemy detektorów są niezawodne, roboty nie mogły przepuścić nikogo obcego.

- Założymy się?

Dirk uniósł przed sobą szablę i rozwarł palce, a szabla wbiła się czubkiem w drewnianą podłogę i zakołysała. Wyciągnął spod pachy zawiniątko, którym okazał się jakiś przedmiot zapakowany w skarpetkę, i szybko podszedł od tyłu do jednego z robotów. Przytknął ów przedmiot do plastikowej osłony, za którą znajdował się komputer sterujący robotem, i automat zamarł niczym uszkodzona zabawka.

Kamatori, który zbyt późno pojął, co Pitt zamierza uczynić, wrzasnął nagle:

- Zabić go!

Ale Dirk zanurkował pod lufą karabinka drugiego robota i tak samo przytknął dziwny przedmiot do jego osłony. Automat natychmiast znieruchomiał.

- Jak to zrobiłeś? - zapytała Stacy.

Pitt odwinął skarpetkę, ukazując wszystkim sześciowoltowy akumulator, wyciągnięty z aparatu rentgenowskiego, oraz gruby żelazny pręt, owinięty kilkoma metrami izolowanego



przewodu.

- Elektromagnes. Kasuje programy zapisane na dyskietkach i zakłóca działanie cyfrowych układów scalonych.

- To tylko chwilowe odroczenie wyroku, nic więcej - orzekł Kamatori. - Nie doceniłem pańskiej pomysłowości, panie Pitt, ale osiągnął pan tylko tyle, że przedłużył o kilka minut swe życie.

- Przynajmniej mamy teraz broń - odezwał się Weatherhill, wskazując ruchem głowy karabinki tkwiące w uchwytach robotów.

Mimo niekorzystnego położenia, w jakim się znalazł, Kamatori nie mógł powstrzymać uśmiechu triumfu. Odzyskał panowanie nad sobą i powtarzał w duchu, że nawet graniczące z cudem zmartwychwstanie Pitta nie uratuje więźniów.

- Karabinki są zamontowane na wysięgnikach robotów. Musielibyście mieć piłę do metalu, żeby je zdobyć. Jesteście tak samo bezbronni jak przedtem.

- Ale teraz, kiedy automaty wartownicze zostały unieruchomione, jedziemy im tym samym wozie - rzekł Dirk, przekazując elektromagnes Stacy.

- Ja mam miecz. - Kamatori podniósł rękę i musnął palcami wystającą mu nad ramieniem rękojeść *katany*, tradycyjnego japońskiego miecza, tkwiącego w pochwie na plecach. Sześćdziesięciocentymetrowej długości klinga wykonana była z miękkiego magnetycznie żelaza, miała jednak ostrze z twardej stali. - Noszę również *wakizashi*. - Japończyk wysunął z pochwy u pasa sztylet o dwudziestocentymetrowym ostrzu i zaraz schował go z powrotem.

Pitt cofnął się ku drzwiom prowadzącym do zabytkowego arsenału Kamatoriego i wyciągnął szablę z podłogi.

- Może to nie jest Exkalibur, ale poduszki rozcina jak brzytwa.

Broń, którą Dirk wybrał dla siebie z kolekcji wiszącej na ścianach pokoju Kamatoriego, była dziewiętnastowieczną włoską szablą o dziewięćdziesięciocentymetrowej klindze. Znacznie cięższa od współczesnych szabli sportowych, jakich używał na sali fechtunku w Akademii Lotniczej, była też mniej poręczna, ale w ręku doświadczonego szermierza mogła stanowić niezwykle skuteczny oręż.

Pitt nie miał żadnych złudzeń co do tego, w co się pakuje. Nie wątpił ani przez chwilę, że przeciwnik czynnie uprawia japoński sport szermierczy *kenjutsu*, podczas gdy on nie fechtował od ponad dwóch lat. Uznał jednak, że być może uda mu się stawić czoło Kamatoriemu do czasu, aż Stacy jakimś sposobem oswobodzi Mancusa i Weatherhilla i ściągnie na siebie część uwagi Japończyka. Jeśli uda mu się zdobyć przewagę, zyskają

minimalną szansę ucieczki z wyspy.

- Ośmielasz się stawać przede mną z tą bronią? - warknął Kamatori.

- Czemu nie? - Dirk wzruszył ramionami. - Mówiąc szczerze, zawsze uważałem samurajów za nadęte ropuchy i mam wrażenie, że ty wywodzisz się z tego samego bajora.

Japończyk przełknął tę zniewagę.

- Uważasz pewnie, że ty nosisz aureolę i jak sir Galahad chcesz pokonać czarnego księcia.

- Bardziej przypomina mi to walkę Errola Flynna z Basilem Rathbone'em.

Kamatori niespodziewanie zamknął oczy, opadł na kolana i pogrążył się w transie medytacji. Zagłębiał się w sztuce *kiai*, wyzwalającej siłę duchową, uważaną w kręgach samurajskich za źródło cudownej mocy. Człowiek, mający dużą praktykę w zespalaniu ducha z umysłem i wynoszeniu ich niemal na boski poziom, prawdopodobnie uaktywnia pewne obszary podświadomości, co pozwalaniu uzyskać wręcz nadludzką zwinność w walce. Fizycznie taka koncentracja pozwala uregulować oddech, a szermierz z płucami pełnymi powietrza ma w czasie pojedynku znaczną przewagę nad przeciwnikiem, który zostaje zaskoczony podczas wydechu.

Pitt wyczuł bliski moment ataku, ugiął lekko nogi i przyjął pozycję obronną.

Minęły jednak prawie dwie minuty, zanim Kamatori z niewiarygodną szybkością skoczył nagle na nogi i jednym płynnym ruchem oburącz wyszarpnął kataną z pochwy. Nie tracił jednak czasu na uniesienie miecza ponad głowę i zadanie cięcia, wykorzystując impet broni zrobił wypad, jakby chciał rozciąć swego przeciwnika od pachwiny po ramię.

Ale Pitt w porę uskoczył, szybkim ruchem sparował cios i sam zrobił szybki wypad, trafiając czubkiem szabli w udo Kamatoriego, zanim tamten zdążył się cofnąć i przygotować kontratak.

Taktyka *kenjitsu* całkowicie różni się od olimpijskiego stylu walki na szable. Sytuacja przypominała pojedynek obrońcy piłki nożnej z napastnikiem koszykówki. W szermierce klasycznej dominuje atak po linii i proste cięcia, natomiast *kenjitsu* nie uznaje żadnych ograniczeń, a człowiek walczący *kataną* koncentruje się na zadaniu jednego decydującego cięcia. Ale w obu stylach walki zasadnicze znaczenie ma technika, szybkość i element zaskoczenia.

Kamatori poruszał się z kocią zwinnością, wiedząc doskonale, że jedno nie sparowane przez Pitta cięcie zakończy walkę. Uskakiwał błyskawicznie na boki, a przy każdym natarciu wydawał głośny okrzyk, który miał zdeprymować przeciwnika. Jego ruchy były niezwykle szybkie, a trzymanym oburącz mieczem bez trudu parował ataki Dirka. Drobna rana na udzie

chyba w najmniejszym stopniu nie przeszkadzała mu w walce.

Wyprowadzane siłą obu ramion cięcia katany były zdecydowanie szybsze i mocniejsze od tych, które Pitt zadawał trzymaną w jednym ręku szablą. Jego wprawa dawała jednak o sobie znać w błyskawicznym parowaniu ciosów. Poza tym stara szabla była o blisko trzydzieści centymetrów dłuższa od japońskiego miecza, co dawało Dirkowi pewną przewagę i pozwalało skutecznie bronić się przed atakami Kamatoriego. W dodatku ostry szpic pozwalał na stosowanie pchnięć, podczas gdy katana nadawała się wyłącznie do cięcia.

Japończyk górował też doświadczeniem i stałą praktyką szermierza.

Pitt wyszedł nieco z wprawy, ale był z kolei o dziesięć lat młodszy i znajdował się w wysmienitej kondycji fizycznej, jeśli nie liczyć niewielkiej utraty krwi.

Stacy i pozostali dwaj więźniowie patrzyli jak zauroczeni na ten niezwykły spektakl uskoków, wypadów i zasłon, na błyskawiczne ruchy stali, połyskującej niczym migające światła i brzęczącej przy każdym uderzeniu. Od czasu do czasu Kamatori przerywał atak i cofał się, zważając pilnie, by zagradzać Stacy drogę do pozostałych więźniów.

Bał się, że agentka może podjąć próbę ich uwolnienia czy też nawet zaatakować go od tyłu. Zaraz jednak na nowo wydawał gardłowy okrzyk i rzucał się na znienawidzonego Amerykanina.

Pitt dotrzymywał mu pola, korzystał z każdej sposobności do ataku, parował wściekle ciosy Japończyka i uskakiwał przed nim. Starał się odciągnąć go, by zrobić Stacy przejście, ale przeciwnik był na to za sprytny i co jakiś czas się cofał. Co prawda dziewczyna była świetnym zdudoką, ale Kamatori nie pozwoliłby jej się zbliżyć do siebie nawet na dwa metry.

Dirk toczył trudną walkę w milczeniu, natomiast Kamatori atakował z niezwykłą zaciętością, wrzeszczał przy każdym ciosie i stopniowo spychał Pitta w róg pokoju. Kiedy w pewnej chwili udało mu się ominąć zasłonę i drasnąć przedramię przeciwnika, na jego wargach pojawił się szeroki uśmiech.

Niezwykła siła, z jaką Kamatori przypuszczał ataki, zmuszała Pitta do ciągłej defensywy. Japończyk zaś uskakiwał na boki, próbując go zaskoczyć to z jednej, to z drugiej strony.

Pitt rozgryzł tę taktykę i w porę robił właściwy unik, po czym natychmiast wyprowadzał kontratak, sprytnie wykorzystując możliwość zadawania pchnięć. Panował jednak nad sobą, chciał bowiem jak najdłużej zachować przy życiu coraz bardziej rozwścieczonego przeciwnika.

Jemu także udało się ciąć Kamatoriego w przedramię, ale mistrz *kenjitsu* jakby w ogóle nie zauważył rany. Całkowicie zagłębił się w *kiai*: wyprowadzał cięcie wtedy, kiedy Dirk

robił wydech, poza tym jakby nie odczuwał bólu, wręcz nie zwracał uwagi na to, czy ostrze szabli go dosięgło. Cofał się i zaraz na nowo podejmował atak, zmuszając z kolei Pitta do wycofania się. Ostrze katany ze świstem przecinało powietrze, a gwałtowne cięcia klingą były tak szybkie, że prawie niezauważalne.

Dirk powoli zaczynał odczuwać zmęczenie, ramię ciążyło mu coraz bardziej, czuł się jak finalista turnieju mający za sobą czternaście zaciętych pojedynków. Oddychał szybciej, puls miał wyraźnie przyspieszony.

Wiekowa szabla także przejawiała oznaki zmęczenia, jej ostrze nadkruszało się w zderzeniach z twardą stalą katany. Po pewnym czasie widniało już na nim co najmniej pięćdziesiąt szczerb, a Pitt zdał sobie sprawę, że jedno mocniejsze uderzenie płazem może po prostu złamać klingę.

Za to Kamatori nie zdradzał śladu zmęczenia. Jego oczy błyszczały żądzą krwi, a siła ciosów nie była mniejsza niż na początku pojedynku. W każdej chwili mógł przełamać zasłonę Dirka i jednym cięciem dumnego oręża Japonii pozbawić go życia.

Kiedy Kamatori cofnął się po raz kolejny, kątem oka obserwując poczynania Stacy, Pitt także zrobił krok do tyłu, żeby złapać drugi oddech i zebrać resztkę sił. Stacy stała bez ruchu, trzymając ręce za plecami. Japończyk, jakby coś przeczuwając, skoczył w jej stronę, ale Dirk w tej samej chwili natarł. Zrobił daleki wypad tuż przy ziemi, silnie pchnięta szabla zsunęła się po klindze katany, a jej czubek rozciął knykcie zaciśniętej na rękojeści dłoni Kamatoriego.

Pitt błyskawicznie zmienił taktykę i ruszył za ciosem, dostrzegłszy okazję do powtórzenia ataku. W przeciwieństwie do krótkiego uchwytu szabli, która jednak miała kosz osłaniający dłoń szermierza, dłuższą rękojeść katany od kling oddzielała jedynie mała kulista garda. Dirk począł zataczać szablą kółka, mierząc prosto w pierś przeciwnika, by po chwili zamarkować proste pchnięcie i gwałtownym odchyleniem broni w lewo ponownie ciąć dłoń Kamatoriego, raniąc mu palce aż do kości.

Ku jego zdumieniu Japończyk tylko zaklął głośno i ruszył do natarcia, przy każdym zamachu bryzgając krwią z rozciętej ręki. Jeśli nawet w głębi ducha przeczuwał swą porażkę, nie okazywał tego. Nieczuły na ból i rany, zagłębiany w *kiai*, nacierał jak oszalały.

Nagle głowa odskoczyła mu w bok: został trafiony czymś ciężkim w prawą skroń. To Stacy z całej siły cisnęła kłódką, która spinała jej łańcuchy. Pitt wykorzystał ten moment, skoczył do przodu i zagłębił ostrze szabli między żebra przeciwnika, przebijając mu płuco.

Kamatori szybko odzyskał równowagę i ze zdwojoną siłą rzucił się do walki. Niczym szalenciec runął na Pitta, wrzeszcząc przy każdym uderzeniu, lecz wkrótce zaczęła mu się sączyć krew z ust. Siła i szybkość ciosów wyraźnie osłabły i Pitt nie miał większych kłopotów z

ich parowaniem.

Kolejny atak zakończył się głębokim rozcięciem prawego bicepsu Japończyka. Dopiero wtedy Kamatori zachwiał się, opuszczając klingę katany ku ziemi.

Pitt szybko zamachnął się z całej siły, uderzył w miecz i wytrącił go z rąk tamtego. Oręż brzęknął o podłogę, a Stacy błyskawicznie go pochwyciła.

Dirk stanął z szablą wymierzoną w pierś Kamatoriego i rzekł z wyszukaną kurtuazją:

- Przegrałeś.

Ale samurajski duch nie pozwalał Japończykowi przyznać się do porażki, dopóki mógł jeszcze ustać na nogach. Wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie, zniknął grymas nienawiści i zaciekłości, ustępując miejsca dziwnemu skupieniu.

- Honor samuraja nie pozwala przegrać. Możesz wybić smokowi zęby, a jemu odrośnie tysięcy nowych.

Niespodziewanie wyciągnął zza pasa sztylet i rzucił się na Dirka.

Mocno już zmęczony i ciężko dyszący Pitt z łatwością jednak wykonał unik i sparował cios. Po raz ostatni zamachnął się szablą i odciął Kamatoriemu dłoń w nadgarstku.

Na twarzy Japończyka odmalowało się zrazu niedowierzanie, a potem cierpienie; pojawił się dopiero teraz, że po raz pierwszy w życiu został przez kogoś pokonany i musi umrzeć. Stał na chwiejnych nogach i mierzył Pitta wzrokiem pełnym niepohamowanej wściekłości. Z kikuta ręki krew lała się na podłogę.

- Zhańbiłem moich przodków. Proszę pozwolić, bym zachował twarz i umarł przez *seppuku*.

Pitt zmrużył oczy i spojrzał na Mancusa.

- *Seppuku*?

- Ten tradycyjny japoński termin oznacza to samo, co powszechnie nazywamy harakiri, które należy tłumaczyć jako rozplatanie brzucha. On chce, żebyś pozwolił mu na "szczęśliwe odejście".

- Rozumiem - mruknął zmęczonym głosem Dirk. - Nie znaczy to jednak, że na to pozwolę. Nie umrzesz w ten sposób, nie zginiesz z własnej ręki. Zbyt wiele osób zamordowałeś z zimną krwią.

- Moja hańba porażki z cudzoziemcem musi zostać zmyta przez poświęcenie życia - syknął przez zaciśnięte zęby Kamatori, szybko uwalniając się od mesmerycznego wpływu *kiai*.

- Chce pocieszyć w ten sposób przyjaciół i rodzinę - wyjaśnił Mancuso. - Dla niego honor jest wszystkim, a śmierć z własnej ręki czymś pięknym i stosownym.

- Na Boga, rzygać mi się chce - mruknęła Stacy, spoglądając na leżącą na podłodze

dłoń Japończyka. - Zwiążcie go i zakneblujcie, a my dokończymy nasze zadanie i wszyscy się stąd wyniesiemy.

- Owszem, umrzesz, ale nie w taki sposób, o jakim myślisz - oznajmił Pitt, patrząc na twarz Kamatoriego wykrzywioną grymasem nienawiści.

Lekko rozchylone wargi przypominały psa szczerzącego kły, ale w jego oczach Dirk dostrzegł cień strachu. Nie był to jednak lęk przed śmiercią, ale strach przed tym, że nie połączy się ze swoimi przodkami w taki sposób, jak nakazuje uświęcona tradycja.

Zanim ktokolwiek zdążył się choćby odezwać, Pitt chwycił Kamatoriego za zdrową rękę i zaciągnął go do sąsiedniego pokoju, gdzie mieściła się kolekcja zabytkowej broni oraz spreparowanych głów ludzkich. Omiótł spojrzeniem ścianę, jakby szukał miejsca na zawieszenie obrazu, po czym ustawił Japończyka, wziął zamach i wbił mu szablę w podbrzusze, przyszpilając zabójcę do ściany.

W oczach Kamatoriego pojawiło się niedowierzanie oraz lęk przed haniebną, żalosną śmiercią, a także cień bólu.

Zdając sobie sprawę, że chwile Japończyka są policzone, Pitt odstepił na krok i rzekł:

- Nie ma łaski boskiej dla mordercy bezbronnych. Dołącz do swoich ofiar i bądź przeklęty na wieki.

Pitt zdjął ze ściany wielki topór bojowy wikingów i wrócił z nim do pomieszczenia z ekranem telewizyjnym w ścianie. Stacy zdążyła tymczasem uwolnić Giordina oraz Mancusa i zdejmowała właśnie łańcuchy krępujące Weatherhilla.

- Co zrobiłeś z Kamatorim? - zapytał Al, zaglądając ciekawie ponad ramieniem Dirka do sąsiedniego pokoju.

- Umieściłem go pośród jego kolekcji - odparł Pitt, wręczając mu topór. - Rozwał oba roboty tak, żeby nie dało się ich szybko naprawić.

- Mam rozwalić McGoona?

- I McGurka.

Giordino skrzywił się, wziął jednak topór i roztrzaskał korpus McGoona.

- Czuję się jak Dorotka z krainy Oz, która musi rozciąć blaszanego drwala.

Mancuso serdecznie uścisnął dłoń Pitta.

- Uratowałeś nas. Dziękuję ci.

- Wspaniały pokaz szermierki - dodał Weatherhill. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Przyjdzie czas na wyjaśnienia - odparł zniecierpliwiony Dirk. - Jakież to cudowny plan wymyślił Penner, żeby nas stąd wyciągnąć?

- Nie wiesz?

- Widocznie uważał nas za niegodnych dopuszczenia do tajemnicy.

Mancuso spojrział na niego i pokręcił głową.

- Nie ma żadnego planu ucieczki - odparł z wyraźnym zakłopotaniem. - Pierwotnie planowano zabrać nas z wyspy łodzią podwodną, ale po zapoznaniu się ze zdjęciami satelitarnymi, na których zaznaczono elementy systemu obronnego Sumy, Penner ocenił, że jest to zbyt ryzykowne. Stacy, Tim i ja mieliśmy próbować przedostać się z powrotem tunelem do Edo City, a potem schronić się w naszej ambasadzie w Tokio.

Pitt ruchem głowy wskazał Giordina.

- A my dwaj?

- Departament Stanu miał negocjować z Sumą i rządem Japonii na temat waszego uwolnienia.

- Departament Stanu? - warknął Giordino, biorąc kolejny zamach toporem. - To już bym wolał, żeby w moim imieniu występował Latający Cyrk Monty'ego Pytona.

- Widocznie Jordan i Kern nie brali pod uwagę paskudnych charakterów Sumy i Kamatoriego - wtrącił ironicznie Mancuso.

Pitt zagryzł wargi.

- To wy jesteście fachowcami. Co teraz robimy?

- Zgodnie z planem kończymy robotę i wiejemy tunelem - odparł Weatherhill, który wreszcie mógł wstać, gdy Stacy uwolniła go z łańcuchów.

- Wciąż macie zamiar zniszczyć Centralę Smoka?

- Może nie całkiem zniszczyć, ale poważnie ją uszkodzić.

- W jaki sposób? - zapytał Giordino. - Prowizorycznym elektromagnesem i tym toporem?

- Nic podobnego - odrzekł Weatherhill, rozcierając sobie nadgarstki. - To fakt, że strażnicy Sumy nas schwytali, zrewidowali i zabrali ładunki wybuchowe, ale zostało nam jeszcze dość, żeby zrobić małe bum. - Usiadł z powrotem, ściągnął buty, oderwał zelówki i nieoczekiwanie zgniótł je w sporą kulę. - Plastik typu C-Ossem - wyjaśnił z dumą. - Najnowszy produkt specjalistów od materiałów wybuchowych.

- A detonatory masz pewnie w obcasach - mruknął Giordino.

- Skąd wiesz?

- Dedukcja.

- Ruszajmy - powiedział Mancuso. - Automaty strażnicze i kumple Kamatoriego mogą się bliżej zainteresować powodami nagłej przerwy w polowaniu i zacząć tu węszyć.

Stacy podeszła do drzwi wychodzących na dziedziniec, uchyliła je i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

- Przede wszystkim musimy znaleźć budynek, w którym znajduje się winda łącząca ośrodek z podziemną centralą. Wyprowadzono nas z celi z zawiązanymi oczyma i nie wiemy dokładnie, którądy tu przyszliśmy.

- Pokażę wam drogę - rzekł Pitt.

- Wiesz, gdzie jest winda?

- Owszem, zjeżdżałem do gabinetu lekarskiego.

- Nawet twój elektromagnes na niewiele się zda, jeśli trafimy na gromadę robotów - stwierdził Mancuso ponurym tonem.

- Więc będziemy musieli zastosować jakieś inne chwytły - odparł Dirk. Stanął obok Stacy i zerknął przez uchylone drzwi. - Tam, pod tymi krzakami po lewej, leży wąż ogrodniczy. Widzisz?

Stacy skinęła głową.

- Widzę, pod tarasem.

Pitt wskazał kataną, którą dziewczyna wciąż trzymała w dłoni.

- Prześliznij się i odetnij kilkumetrowy kawałek.



Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Czy mogę zapytać po co?

- Jeśli wytniesz z węża odcinek wielkości pałki i potrzasz go o jedwab, zgromadzisz na powierzchni ładunki ujemne. Po dotknięciu czymś takim układów scalonych robota spowodujesz przeskok iskry, która zniszczy czułe elementy komputera.

- Wyładowanie elektrostatyczne - mruknął w zamyśleniu Weatherhill. - Czy o to chodzi?

Pitt skinął głową.

- Tak samo można się naelektryzować, głaszcząc kota albo przesuwając stopą po puszystym dywanie.

- Byłbyś znakomitym nauczycielem fizyki w szkole podstawowej.

- A skąd weźmiesz jedwab? - zapytał Giordino.

- Z kimona Kamatoriego - rzucił Weatherhill przez ramię, ruszając w kierunku sąsiedniego pokoju.

- Gdzie chcecie rozmieścić te ładunki, by spowodowały jak najwięcej szkód? - Pitt zwrócił się do Mancusa.

- Nie mamy tyle plastiku, żeby dokonać wystarczająco dużo zniszczeń, ale gdyby udało się podłożyć go pod generatorem zasilającym, pewnie zdołalibyśmy opóźnić ich działania o kilka dni, może nawet tygodni.

Stacy wróciła z trzymetrowym kawałkiem węża.

- Jak mam go pociąć?

- Podziel na cztery części, po jednej dla każdego z was. Ja zostanę przy swoim elektromagnesie.

Wrócił też Weatherhill, niosąc zakrwawioną nieco połę jedwabnego kimona. Zaczął ją rozcinać na kawałki i uśmiechnął się do Pitta.

- Znalazłeś znakomite miejsce dla naszego samurajskiego przyjaciela pośród jego kolekcji na ścianie.

- Uznałem, że oryginał będzie znacznie lepszy od gipsowego popiersia - odparł Dirk głosem wyroczeni.

- Chciałbym się znaleźć co najmniej tysiąc kilometrów stąd, kiedy Hideki Suma odkryje, jak potraktowałeś jego najlepszego przyjaciela. - Giordino zaśmiał się, spychając szczątki dwóch wartowniczych robotów na stos w rogu pokoju.

- To prawda - mruknął spokojnie Pitt - ale kiedy próbuje się sikać przez dziurę w płocie, zawsze można coś stracić.

Loren, którą wraz z Diazem Suma oprowadzał po olbrzymim podziemnym kompleksie - znacznie większym niż mogła sobie wcześniej wyobrazić - z rosnącym przerażeniem myślała o tym, jak gigantyczna potęga, finansowa i techniczna, musiała się kryć za imperium Japończyka. We wnętrzu wyspy znajdowała się nie tylko centrala dyspozycyjna, której zadaniem było wysyłanie sygnałów radiowych kierujących rozmieszczaniem, uzbrajaniem i detonacją rozsianych po całym świecie głowic nuklearnych. W ciągnącym się kilometrami labiryncie podziemnych korytarzy mieściły się także niezliczone laboratoria, ogromne warsztaty mechaniczne i elektroniczne, ośrodek badań jądrowych, jak również reaktor atomowy o takiej konstrukcji, jakie w uprzemysłowionych krajach zachodnich nie zeszły jeszcze z desek projektantów.

-Większość mojego personelu inżynierskiego, administracyjnego oraz naukowego uważa, że najważniejsze instalacje znajdują się gdzieś w Edo City - wyjaśnił Suma z dumą w głosie. - Ale to właśnie tu, rozlokowane bezpiecznie we wnętrzu wyspy Soseki, mieści się moje centrum badawcze i naukowe.

Wprowadził ich do sali, pośrodku której znajdował się wielki zbiornik wypełniony ropą naftową.

- Nie można tego zobaczyć, ale w tym zbiorniku hodowane są genetycznie zmutowane mikroby nowej generacji, które mnożą się błyskawicznie, pożerając cząsteczki ropy naftowej i rozkładając je, a produkty przemiany są rozpuszczalne w wodzie.

- W ten sposób można by likwidować na morzu plamy rozlanej ropy - powiedział Diaz.

- To jedno zastosowanie. Innym może być zniszczenie strategicznych zapasów ropy wrogiego kraju.

Loren spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Czemu miałyby służyć wprowadzanie chaosu? Co można w ten sposób zyskać?

- Już niedługo Japonia stanie się całkowicie niezależna od dostaw ropy naftowej. Nasze akumulatory nowej generacji, zasilane z ogniw słonecznych, będą stosowane do produkcji samochodów i całkowicie wyprą silniki spalinowe. Jeśli wówczas zniszczymy wszystkie światowe zapasy ropy naftowej, wykorzystując te mikroby, cały transport międzynarodowy, zarówno drogowy, jak i lotniczy, zostanie sparaliżowany.

- Dopóki wszyscy nie zaczną stosować japońskich produktów - dodał lodowatym tonem Diaz.

Loren spojrzała na niego sceptycznie.

- Nie starczy naszego życia, żeby zużyć całą rezerwę USA, to znaczy pięć milionów ton ropy, składowanej w starych wyrobiskach soli.

Suma uśmiechnął się wyrozumiale.

- Bakterie zdolają rozprawić się z tą rezerwą w ciągu dziewięciu miesięcy.

Loren pokręciła głową, nie mogąc nawet ogarnąć straszliwych konsekwencji zastosowania tego wszystkiego, co oglądała przez ostatnich kilka godzin. Nie dopuszczała do siebie myśli, że jeden tylko człowiek zamierza doprowadzić do tak potwornego chaosu na świecie. Z drugiej strony nie dawała jej spokoju myśl, że być może Pitt już nie żyje.

- Po co pan nam to pokazuje? - zapytała szeptem. - Dlaczego chce pan ujawnić swoje tajemnice?

- Żebyście mogli przekazać waszemu prezydentowi i wszystkim członkom Kongresu, że Stany Zjednoczone i Japonia nie są już równoprawnymi partnerami. Zyskaliśmy ogromną przewagę i wasz rząd musi się z tym pogodzić. - Przerwał i popatrzył na nią uważnie. - A co się tyczy ujawniania moich tajemnic, to ani pani, ani senator Diaz nie jesteście naukowcami. Możecie innym jedynie opisać to, co tu widzieliście. Nie udostępniłem wam żadnych danych technicznych, a tylko ogólny zarys moich przedsięwzięć. Nie zabierzecie ze sobą niczego, co pomogłoby wam skopiować nasze rozwiązania techniczne.

- Kiedy chce pan nas odesłać do Waszyngtonu? - zapytał Diaz.

Suma spojrzał na zegarek.

- Już niedługo. Najdalej za godzinę zostaniecie przewiezieni na lotnisko w Edo City, a stamtąd mój prywatny odrzutowiec zabierze was do kraju.

- Kiedy tylko prezydent dowie się o pańskich szalonych planach - warknął Diaz - rozkaże znieść tę wyspę z powierzchni ziemi.

Suma westchnął ciężko i uśmiechnął się szeroko.

- Już za późno. Moi technicy, wspomagani przez roboty, wyprzedzili harmonogram prac. Zapewne nie wiecie o tym, bo i skąd moglibyście wiedzieć, że projekt Kaiten został zakończony kilka minut po rozpoczęciu naszego obchodu.

- Wszystko już działa? - zapytała Loren przerażonym szeptem.

Suma przytaknął ruchem głowy.

- Jeśli wasz prezydent będzie na tyle głupi, że rozkaże zaatakować Centralę Smoka, mój system alarmowy ostrzeże mnie w porę, a roboty zdetonują głowice jądrowe. - Zrobił krótką pauzę i uśmiechnął się złowieszczo. - Buson, japoński poeta, napisał przed laty. "Kiedy wiatr zwieje mu kapelusz, nieugięty strach na wróble będzie pokonany". Wasz prezydent jest takim strachem na wróble, który poniesie porażkę, gdyż nadeszła już na niego pora.

Pitt ruszył w stronę budynku mieszczącego windę dość szybkim krokiem, ale bez pośpiechu. Szedł śmiało przez ogród, lecz reszta grupy przekradała się chyłkiem między drzewami. Po drodze nie spotkał nikogo, za to przed wejściem zatrzymał go robot wartowniczy.

Odezwał się do niego po japońsku, lecz Dirk wiedział aż za dobrze, co znaczy ten głos i karabin wymierzony w jego czoło. Wyciągnął przed siebie obie, uniesione w górę, otwarte dłonie i zrobił jeszcze krok do przodu, przesłaniając w ten sposób pole widzenia kamery oraz detektorów automatu.

Weatherhill i Mancuso błyskawicznie zbliżyli się z obu stron i przytknęli naelektryzowane węże do plastikowej osłony z tyłu robota. Mechaniczny strażnik zamarł jak na zatrzymanym kadrze kreskówki.

- Świetna broń - rzekł Weatherhill i zaczął ponownie ładować gumową pałkę, pocierając ją energicznie kawałkiem jedwabiu.

- Myślicie, że zdążył zaalarmować dyspozytornię ochrony? - zapytała Stacy.

- Chyba nie - odparł Pitt. - Mam wrażenie, że program sterujący nie mógł mnie zaklasyfikować. Robot nie wiedział, czy jestem groźnym intruzem, czy tylko nie uprawnionym członkiem personelu.

Kiedy weszli do pustego budynku mieszczącego windę, Weatherhill zaproponował, żeby pojechać na czwarty poziom.

- Na szóstym wychodzi się prosto do centrum dowodzenia - przypomniał. - Lepiej chyba zaryzykować i wyjść na niższym poziomie.

- Na czwartym mieści się szpital i pomieszczenia obsługi - rzekł Pitt.

- A jakie tam są zabezpieczenia?

- Nie widziałem ani strażników, ani kamer.

- Suma dysponuje tak silnymi strażami na zewnątrz ośrodka, że nie musi już ściśle pilnować podziemi - zauważyła Stacy.

Weatherhill skinął głową.

- Na pewno nie grozi mu bunt robotów.

Uskoczyli na boki, kiedy podjechała winda, ale wewnątrz nie było nikogo. Weszli do środka, a Pitt stanął przy drzwiach i wychylony przez jakiś czas nasłuchiwał odgłosów z ogrodu. Wreszcie nacisnął guzik czwartego poziomu. Po kilku sekundach wyszli na opustoszały korytarz.

Szybko, po cichu, ruszyli śladem Pitta, który wkrótce zatrzymał się przed wejściem do

gabinetu lekarskiego.

- Po co chcesz tu wejść? - zapytał szeptem Weatherhill.

- Zabłądzimy w tym labiryncie, jeśli nie zdobędziemy jakiegoś planu lub przewodnika - mruknął Dirk. - Chodźcie za mną.

Wcisnął guzik w futrynie i kopniakiem otworzył rozsuwające się z wolna drzwi.

Pielęgniarka uniosła głowę znad biurka i ze zdumieniem popatrzyła na wbiegającego do pokoju intruza. Nie była to ta sama dziewczyna, która pomagała doktorowi podczas wizyty Dirka - miała brzydką, kwadratową twarz i figurę walca drogowego. Szybko się otrząsnęła i sięgnęła do przycisku alarmowego na pulpicie interkomu, ale nie zdążyła go wcisnąć. Pitt uderzył ją kantem dłoni w grdykę, pielęgniarka przewróciła się z krzesłem do tyłu i legła nieprzytomna na podłodze.

Słyszając dziwne hałasy, doktor Nogami wybiegł ze swego gabinetu, lecz stanął w pół kroku, zdumiony widokiem Pitta i pozostałych członków zespołu MZB. O dziwo, na jego twarzy malowało się nie zdumienie, lecz dziwne rozbawienie.

- Przepraszam, że przeszkadzamy panu, doktorze - odezwał się Dirk - ale potrzebujemy pomocy.

Japończyk zerknął na pielęgniarkę leżącą na podłodze.

- Widzę, że umie się pan obchodzić z kobietami.

- Chciała uruchomić alarm.

- Na szczęście działał pan przez zaskoczenie. Pani Oba zna karate lepiej niż ja medycynę. - Przez pewien czas mierzył uważnym spojrzeniem całą grupę stojącą pośrodku pokoju. Jakby ze smutkiem pokręcił głową. - A więc tak wyglądają najlepsi agenci amerykańscy działający w MZB. Przedstawicie dość żałosny widok. Skąd, do diabła, Ray Jordan was wytrzasnął?

Giordino był chyba jedynym, który nie zamarł z otwartymi ustami. Zerknął na Dirka i zapytał:

- Czyżbyś nie powiedział nam wszystkiego?

- Pozwólcie, że przedstawię doktora Josha Nogamiego, agenta wywiadu brytyjskiego, któremu zawdzięczamy lwią część informacji o projekcie Sumy.

- Skąd pan to wie? - zapytał Japończyk.

Pitt rozłożył ręce.

- Pańskie wskazówki były jasne. W Santa Ana, w Kalifornii, nie ma szpitala imienia Świętego Pawła, ale jest katedra świętego Pawła w Londynie.

- Nie mówi pan jak Anglik - wtrąciła Stacy.

- Mój ojciec był urzędnikiem brytyjskim, ale matka pochodziła z San Francisco. Kończyłem medycynę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Dlatego nie mam większych kłopotów z amerykańskim akcentem. - Spowaźniał nagle i spojrzał na Pitta. - Mam nadzieję, iż rozumiecie, że składając mi wizytę, jednocześnie mnie zdemaskowaliście.

- Nie chciałem sprawiać panu kłopotów - odrzekł Pitt - ale mamy pewien niecierpiący zwłoki problem. - Obejrzał się na pozostałych. - Niewykluczone, że już za dziesięć czy piętnaście minut ktoś odnajdzie Kamatoriego i jego roboty wartownicze... wyłączone z gry. Mamy diabelnie mało czasu na to, żeby podłożyć ładunki wybuchowe i wynieść się stąd.

- Chwileczkę. - Doktor powstrzymał go ruchem dłoni. - Chce mi pan powiedzieć, że zabiliście Kamatoriego i unieszkodliwiliście jego roboty?

- Dokumentnie - odparł wesoło Giordino.

Mancuso stał jak na rozżarzonych węglach.

- Czy mógłby pan sporządzić dla nas schematyczny plan tych podziemi? Chcemy jak najszybciej wykonać zadanie i zniknąć stąd.

- Mam na mikrofilmie sfotografowane szczegółowe plany całego obiektu, ale nie zdążyłem go już przekazać, straciłem kontakt z łącznikiem.

- Był nim Jim Hanamura?

- Tak. Nie żyje? - Nogami zapytał odruchowo, chociaż domyślał się odpowiedzi.

Pitt kiwnął głową.

- Ściął go Kamatori.

- Jim był wspaniałym człowiekiem. Mam nadzieję, że Kamatori umierał powoli.

- Na pewno nie podobała mu się droga w zaświaty.

- Czy może pan nam pomóc? - zapytał z naciskiem Mancuso. - Naprawdę mamy niewiele czasu.

Ale Nogami zdawał się nie zwracać na niego uwagi.

- Przypuszczam, że planujecie przedostać się z powrotem tunelem do Edo City.

- Mamy nadzieję, że uda nam się złapać pociąg - odparł Weatherhill, wyglądając przez uchylone drzwi na korytarz.

- Nikłe szanse. - Japończyk wzruszył ramionami. - Kiedy udało się wam przeniknąć do podziemnego kompleksu, Suma rozkazał zabezpieczyć wejście do tunelu robotami wartowniczymi z tej strony i specjalnym oddziałem służb ochrony w Edo City. Nawet mysz się nie prześliznie.

Stacy spojrzała mu w oczy.

- Co pan proponuje?

- Uciekać na morze. Jeśli dopisze wam szczęście, zabierze was jakiś przepływający statek.

- Odpada. - Stacy pokręciła głową. - Każdy statek, który by się zbliżył na pięć kilometrów do wyspy, zostałby storpedowany.

- Nie wszystko naraz - stwierdził Dirk, wbijając wzrok w ścianę tak intensywnie, jakby chciał ujrzeć, co znajduje się po drugiej stronie. - Wy zajmijcie się podłożeniem ładunków wybuchowych, natomiast ja i Al obmyślimy jakiś sposób wydostania się z wyspy.

Stacy, Weatherhill i Mancuso popatrzyli po sobie i Tim skinął potakująco głową.

- Dobra. Ocaliłeś nam życie i doprowadziłeś aż tutaj, nie widzę powodów, dla których mielibyśmy ci nie ufać.

Pitt odwrócił się w stronę Japończyka.

- A co z panem, doktorze? Zabiera się pan z nami?

Lekarz wzruszył ramionami i uśmiechnął się drwiąco.

- Czemu nie? Dzięki wam nie mam tu już czego szukać. Nie będę przecież czekał, aż Suma skróci mnie o głowę.

- Gdzie pan proponuje podłożyć materiały wybuchowe? - zapytał Weatherhill.

- Pokażę wam kanał, którym bieżą kable elektryczne i światłowody głównej linii łączności. Jeśli uda się wam je zniszczyć, wyłączycie cały ten kompleks co najmniej na miesiąc.

- Na którym to poziomie?

Doktor ruchem głowy wskazał sufit.

- Piętro wyżej, na piątym.

- Czy możemy już iść? - Weatherhill zwrócił się do Pitta.

- Ruszamy.

Dirk wysliznęła się na korytarz i przekradł z powrotem do windy. Pozostali pobiegli za nim, wskoczyli do kabiny i w milczeniu stanęli w kącie, domyślając się, że na piątym poziomie po otwarciu drzwi mogą mieć jakieś kłopoty. Ale winda nieoczekiwanie ruszyła w dół, a nie w górę: widocznie ktoś ją przywołał z dolnego piętra.

- Cholera! - syknął Mancuso. - Tylko tego nam było trzeba.

- Razem! - nakazał Pitt. - Napierajmy wszyscy na drzwi, żeby się nie rozsunęły, a ty, Al, wciśnij guzik zamykania wejścia.

Kiedy winda się zatrzymała, wszyscy naparli dłońmi na drzwi. Te rozsunęły się odrobinę i zadygotały spazmatycznie.

- Al! - szepnął Dirk. - Wciśnij piątkę!

Giordino, który z całej siły przyciskał guzik zamykania drzwi, aż krew odpłynęła mu z kciuka, puścił go i błyskawicznie wcisnął drugi, oznaczony cyfrą 5.

Winda jeszcze przez chwilę stała w miejscu, jakby targana sprzecznymi rozkazami, lecz po chwili drzwi się zasunęły i kabina ruszyła w górę.

- Niewiele brakowało - szepnęła Stacy.

- Nic takiego - powiedział Giordino. - Widziałem przez szparę wózek z garami, talerzami, sztuczkami i... - Urwał nagle. - To jeszcze nie koniec zabawy. Ktoś inny też chce jechać na górę, właśnie zaczęła mrugać lampka piątego poziomu.

Wszyscy jak na komendę popatrzyli na tablicę przycisków, na której rzeczywiście migiała lampka, po czym, jakby tknięci jedną myślą, zajęli miejsca po bokach, gotowi do działania.

Kiedy drzwi się rozsunęły, z korytarza wszedł jakiś pracownik w białym fartuchu i kasku na głowie, pochłonięty lekturą zapisków w notatniku. Nie podnosząc głowy wszedł do windy. Dopiero po chwili, kiedy zorientował się, że kabina wciąż stoi na tym samym poziomie, podniósł wzrok i popatrzył na otaczające go, obce, skupione twarze.

Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale Pitt błyskawicznie zakrył mu je dłonią, przyciskając palcami drugiej ręki arterie na szyi. Jeszcze zanim Japończykowi oczy zaszyły mgłą i bezwładne ciało spoczęło na podłodze kabiny, Nogami poprowadził troje agentów w głąb korytarza.

Weatherhill, który wychodził jako ostami, przystanął i obejrzał się na Pitta.

- Kiedy i gdzie mamy się spotkać? - zapytał.

- Na powierzchni za dwanaście minut. Złapiemy dla was taksówkę.

- Powodzenia - mruknął Mancuso, zachodząc w głowę, co też Dirk mógł mieć na myśli.

Giordino popatrzył na leżącego bez czucia Japończyka.

- Co z nim zrobimy?

Pitt wskazał klapę awaryjną w suficie.

- Potnij jego fartuch na pasy, zwiąż go i zaknebluj. Umieścimy go na dachu kabiny.

Al szybko ściągnął z mężczyzny fartuch i zaczął go drzeć na pasy. W pewnym momencie uśmiechnął się szeroko do Pitta.

- Ja też słyszałem ten odgłos.

Dirk odpowiedział mu uśmiechem.

- Słodki dźwięk wolności.

- O ile zdołamy go złapać.

- Trochę optymizmu - mruknął Pitt, naciskając pierwszy przycisk od góry. - Musimy



się tylko odrobinę pośpieszyć, skoro jesteśmy umówieni za dwanaście minut

Agenci wywiadu, którzy przekradali się korytarzami Centrali Smoka, byli nie mniej zdenerwowani, niż dwaj mężczyźni odliczający minuty w sali łączności Federalnej Kwatery Głównej. Raymond Jordan i Donald Kern wpatrywali się w wielką tarczę zegara i niecierpliwie czekali na sygnał, który zespół MZB miał przesłać za pośrednictwem satelity specjalnie w tym celu krążącego nad Japonią. Stojący na stoliku między nimi telefon nagle zabrzęczał. Obaj, jakby wyrwani z odrętwienia, spojrzeli na siebie z zaszepionymi minami. Jordan podniósł słuchawkę tak ostrożnie, jakby trzymał w ręku bombę.

- Słucham, panie prezydencie - odezwał się szybko.

- Macie jakąś wiadomość?

- Nie, panie prezydencie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Czterdzieści pięć minut, Ray - oznajmił smutnym głosem prezydent.

- Rozumiem, za czterdzieści pięć minut wyda pan rozkaz ataku.

- Ogłosiłem już alarm dla oddziałów Delta. Po dyskusji z doradcami od spraw bezpieczeństwa i szefostwem sztabu podjąłem decyzję, że nie mamy czasu na wyrafinowane operacje militarne. Musimy zniszczyć Centralę Smoka, zanim będzie gotowa do działania.

Jordan poczuł się tak, jakby usunął mu się grunt spod nóg. Postanowił jeszcze raz zagrać tą samą kartą.

- Jestem przekonany, że senator Diaz i członkini Kongresu Smith znajdują się na wyspie.

- Nawet jeśli to prawda, perspektywa ich śmierci nie nakłoni mnie do zmiany decyzji.

- A może da pan moim ludziom jeszcze godzinę?

- Z całego serca chciałbym dać ci tyle czasu, ile tylko potrzeba, ale kładziemy na szali bezpieczeństwo naszego kraju. Nie możemy dopuścić do tego, aby Suma zdobył możliwość szantażowania całej społeczności międzynarodowej.

- Oczywiście, ma pan rację.

- W każdym razie nie działamy już sami. Sekretarz stanu Oates zapoznał z sytuacją przywódców państw NATO oraz prezydenta Rosji Antenowa. Wszyscy się zgodzili, że w naszym wspólnym interesie leży jak najszybsze podjęcie akcji.

- Wobec tego musimy spisać nasz zespół na straty - rzekł Jordan pełnym rezygnacji tonem - a zapewne także Diaza i Smith.

- Bardzo żałuję, że muszę narazić dwoje znakomitych amerykańskich polityków, a także moich dobrych przyjaciół. Przykro mi, Ray. Mogę tylko zacytować starą prawdę, że

czasem trzeba poświęcić jednostki dla dobra ogółu.

Jordan bez słowa odłożył słuchawkę na widelki i oklapnął, jakby uszło z niego powietrze.

- To był prezydent - oznajmił cicho.

- Nic nie wskórałeś? - zapytał posepnie Kern.

Jordan pokręcił głową.

- Podejmuje akcję i chce wysłać rakiety z głowicami jądrowymi.

Kern zbladł jak ściana.

- A więc to koniec.

Raymond smętnie pokiwał głową i spojrział na zegar, według którego zostały im jeszcze czterdzieści trzy minuty.

- Co ich tam zatrzymuje, na miłość boską? Co z tym brytyjskim agentem? Dlaczego nie mamy żadnych wiadomości?

Jordan i Kern, mimo wielu obaw, nie mieli pojęcia, co się naprawdę w tej chwili dzieje na wyspie.

Nogami powiódł zespół MZB wąskimi bocznymi korytarzami, w których magazynowano zapasowe urządzenia wentylacyjne i klimatyzacyjne, omijając zapelnione ludźmi pracownie i warsztaty. Kiedy na drodze stawał im robot straży, Japończyk wdawał się z nim w rozmowę, Amerykanie zaś podkradali się z boku i za pomocą ładunków elektrostatycznych unieruchamiali automat.

Dotarli wreszcie do oddzielonego przeszkloną ścianą obszernego pomieszczenia, gdzie grube pęki kabli elektrycznych i linii światłowodów znikają w wielkim utworze w skale prowadzącym do Centrali Smoka. Tu także natknęli się na robota stojącego przed szeroką konsolą pełną przycisków i wyświetlaczy cyfrowych.

- To robot inspekcyjny - wyjaśnił szeptem doktor. - Bez przerwy kontroluje cały system łączności i powiadamia zwierzchników o jakichkolwiek usterkach czy zwarcjach.

- Jeśli go wyłączymy, ile będziemy mieli czasu, zanim dyspozytornia przyśle tu na kontrolę innego robota? - zapytał Mancuso.

- Jakieś pięć lub sześć minut.

- To wystarczy, żeby podłożyć bombę i uciec - wtrącił Weatherhill.

- Na ile chcesz nastawić detonator zegarowy? - zapytała Stacy.

- Dwadzieścia minut. Powinniśmy w tym czasie bezpiecznie dostać się na powierzchnię i zwać z wyspy, o ile Pitt i Giordino wymyślą jakiś sposób.

Nogami otworzył drzwi pomieszczenia i odsunął się na bok, Mancuso z Weatherhillem

weszli szybko do środka i zaczęli z obu stron zachodzić robota. Stacy została w przejściu wyglądając na korytarz. Kolejny automat znieruchomiał na swoim stanowisku, niczym zmieniony w metalowy posąg, kiedy tylko naelektryzowane odcinki gumowego węża dotknęły osłony w jego korpusie.

Weatherhill ostrożnie, z wprawą, ukrył zapalnik w bryłce plastiku i nastawił elektroniczny detonator.

- Gdzie go umieścić? Chyba w tym tunelu, między kablami i światłowodami.

- A może lepiej zniszczyć tę konsolę? - podsunął doktor.

- Pewnie mają w magazynie zapasową - odparł Mancuso.

Weatherhill pokiwał głową, podszedł do ściany, wepchnął ładunek w głąb tunelu i przykleił go do pęku okrytych warstwą izolacji grubych kabli i włókien szklanych.

- Mogą wymienić konsolę i podłączyć ją na nowo w ciągu jednego dnia - powiedział. - Gdy zaś rozerwiemy na długości metra całą tę linię, składającą się z tysięcy przewodów, będą musieli zakładać nową sieć i dokonywać połączeń po obu stronach tunelu, a to potrwa z pięć razy dłużej.

- Brzmi sensownie - przyznał Nogami.

- Nie byłbym taki pewien - mruknął Mancuso.

Weatherhill spojrzał na niego z ukosa.

- Nie będą przecież szukali czegoś, o czym nie wiedzą.

Podłączył detonator, cmoknął go i wepchnął w głąb tunelu.

- Droga wolna - oznajmiła Stacy od strony drzwi.

Pojedynczo wybiegli na korytarz i pospieszyli z powrotem do windy. Przebyli jakieś dwieście metrów, kiedy Nogami zatrzymał się nagle i uniósł rękę. Z bocznego korytarza dobiegał stłumiony gwar ludzkich głosów, którym towarzyszył cichy szum silnika elektrycznego. Doktor energicznymi ruchami rąk dał znak do wycofania się; pobiegli z powrotem i ledwie zdążyli zanurkować we wlot innego tunelu, kiedy w głównym korytarzu pojawili się ludzie.

- Nie doceniłem ich - szepnął Japończyk przez ramię. - Pospieszyci się.

- Strażnicy? - zapytała Stacy.

- Nie - odparł szybko - brygada nadzoru łączności, której zadaniem jest pewnie wymiana unieruchomionego przez was robota.

- Myśli pan, że wiedzą o naszej obecności?

- Gdyby tak było, słyszelibyśmy dzwonki alarmowe, a w podziemiach by się zaroilo od robotów i strażników, którzy w pierwszej kolejności zablokowaliby główne przejścia.

- Na szczęście chyba nikt się jeszcze nie połapał w przyczynach awarii tych robotów, które załatwiliśmy - mruknął Mancuso, podążając korytarzem tuż za Japończykiem.

- Nie zostały żadne ślady napaści, więc ci z nadzoru pomyśla, że to zwykła usterka w obwodach elektronicznych.

Dotarli w końcu do windy, ale musieli czekać jeszcze pełne dwie minuty, zanim kabina podjechała wreszcie z dolnych pięter. W napięciu oczekiwali na otwarcie się drzwi, lecz w środku nie było nikogo.

Weatherhill pierwszy wpadł do windy i wcisnął odpowiedni przycisk.

Trzem mężczyznom i kobiecie, stojącym w milczeniu, wydawało się, że winda sunie wyjątkowo powoli. Tylko Nogami miał na ręku zegarek, pozostałym odebrano je zaraz po schwytaniu. Japończyk zerknął teraz na niego.

- Mamy jeszcze pół minuty rezerwy - oznajmił.

- Przeszliśmy przez ogień - mruknął Mancuso. - Zostaje nam tylko nadzieja, że nie wleziemy prosto na patelnię.

Nie mieli pojęcia, w jaki sposób Pitt wyobrażał sobie ich ucieczkę.

Czy miał w ogóle jakikolwiek plan? Czy jemu i Giordinowi nic się nie stało? Nie można było wykluczyć, że obaj już nie żyją. W takim wypadku nie mieliby żadnej nadziei na ratunek, na odzyskanie wolności.

Cała trójka nie umiałaby nawet powiedzieć, ile to razy szykowali się na najgorsze. Teraz, kiedy drzwi windy zaczęły się z wolna rozsuwać, także byli przygotowani stawić czoło nieznanemu.

Ale przy wyjściu powitał ich uśmiechnięty od ucha do ucha Giordino.

- Prosimy o przygotowanie biletów do kontroli - rzekł tonem stewardessy, zbierającej pasażerów przed drzwiami poczekalni dworca lotniczego.

Dwaj inżynierowie, Ubunai Okuma i Daisetz Kano, należeli do personelu sprawującego kontrolę nad zastępem robotów obsługujących łącza wizyjne sieci komputerowej, a w zakres ich obowiązków wchodziły także wszelkie naprawy układów detektorowych tych maszyn. Pełnili właśnie służbę w dyspozytorni łączności, kiedy nadszedł sygnał, że przestał funkcjonować inspektor sieci elektrycznej, Taiho, którego imię znaczyło tyle co "wielka armata". Wyruszyli więc natychmiast, by go naprawić.

Podobne awarie były na porządku dziennym. Robotyka znajdowała się jeszcze w powijakach i tego typu usterki zdarzały się bardzo często. Sterowane procesorami automaty odmawiały posłuszeństwa zwykle bez wyraźnej przyczyny i dopiero po ich rozebraniu i wykonaniu różnorodnych pomiarów znajdowano defekt.

Kano okrążył robota inspekcyjnego Taiho, przyglądając mu się uważnie, ale nie spostrzegł niczego podejrzanego.

- Pewnie awaria w układzie sterującym.

Okuma zerknął w dziennik napraw.

- Z tym egzemplarzem było już sporo problemów, pięciokrotnie wymieniano mu układy wizyjne.

- Dziwne, że to już czwarty automat, który się zepsuł w ciągu ostatniej godziny.

- Kłopoty zawsze nadciągają falami - stwierdził Okuma.

- Trzeba go poddać szczegółowej kontroli - powiedział Kano. - Na nic się tu zdadzą prowizoryczne naprawy. Skieruję go do generalnego remontu. - Odwrócił się w stronę bliźniaczego automatu. - Czy jesteś gotów przejąć obowiązki inspektora, Otokodate?

Na przedniej obudowie korpusu robota zamigotał szereg lampek i Otokodate, który odziedziczył imię po japońskim odpowiedniku Robin Hooda, przemówił powoli:

- Jestem gotów przejąć kontrolę nad całą siecią.

- Więc ruszaj do pracy.

Zapasowy robot zajął miejsce przed konsolą, natomiast Okuma i Kano uruchomili podręczny dźwig i wciągnęli zepsuty automat na wózek elektryczny. Jeden z nich zaprogramował pojazd, który ruszył sam w kierunku warsztatów remontowych. Ludzie nie musieli eskortować uszkodzonego robota, postanowili więc pójść do stołówki i zrobić sobie przerwę na filiżankę herbaty.

Otokodate skierował obiektyw kamery na pulpit kontrolny i zaczął porównywać wskazania mierników oraz układ świecących lampek z danymi zawartymi w swej pamięci. W pewnej chwili jego detektory, o wiele czulsze od receptorów człowieka, wykryły minimalne odchylenie od normy.

Częstotliwość impulsów laserowych w dwóch nitkach światłowodu różniła się od standardowej wielkości 44,7 milionów błysków na sekundę i wynosiła 44,68 milionów. Robot zaprogramował wyświetlenie na ekranie komputera profilu zmian współczynnika refrakcji i stwierdził, że właśnie w tych dwóch nitkach spośród tysięcy włókien umieszczonych w grubej gumowej osłonie bieg promieni świetlnych jest na pewnym odcinku zakłócony obecnością jakiegoś pola.

Przekazał do dyspozytorni, że oddala się od konsoli w celu skontrolowania linii światłowodu, i ruszył w stronę tunelu w skalnej ścianie.

W miarę upływu czasu Hideki Suma niecierpliwił się coraz bardziej i ogarniała go złość. Diaz i Smith bez przerwy spierali się z nim, z wyraźną wrogością podważali jego osiągnięcia i traktowali go na równi z pierwszym lepszym ulicznym złodziejaszkiem. Cieszył się na myśl o chwili, kiedy pozbędzie się uciążliwych gości.

Nabrał przekonania, że uprowadzenie senatora Diaza było błędem. Zgodził się na to wyłącznie pod wpływem Ichiro Tsuboiego, według którego Diaz cieszył się wielkim uznaniem członków Senatu oraz samego prezydenta. Ale w jego mniemaniu Amerykanin był ograniczonym tępakiem. Po zwolnieniu ze służby wojskowej ukończył prawo na Uniwersytecie Nowego Meksyku i jak większość polityków rozpoczął błyskotliwą karierę adwokacką, a po tym, jak jego nazwisko kilkakrotnie ukazało się w czołówkach gazet, zyskał przychylną najważniejszych ugrupowań swego stanu. Suma widział w nim typowego karierowicza, który wypłynął na oklepanym haśle opodatkowania bogaczy na cele poprawy opieki społecznej i pomocy dla bezrobotnej biedoty. A współczucie i dobroczynność należały do tych wartości, których Suma w ogóle nie akceptował.

Z drugiej strony członkini Kongresu Smith sprawiała wrażenie bardzo przebiegłej. Japończyka dręczyło przecucie, że ta kobieta potrafi czytać w jego myślach i dlatego jest zdolna przeciwstawić się każdemu twierdzeniu. Miała głowę nabitą faktami i danymi liczbowymi, które cytowała przy każdej okazji. Loren pochodziła z zamożnej ziemiańskiej rodziny, która pracowała na tym samym ranchu w zachodnim Kolorado od 1870 roku. Po ukończeniu Uniwersytetu Colorado wystartowała w stanowych wyborach, w których nieoczekiwanie pokonała sprawującego ten urząd od trzydziestu lat polityka. Potrafiła twardo stawić czoło mężczyznom i według oceny Japończyka jej jedynym słabym punktem był Dirk Pitt, chociaż on sam nawet nie wiedział, do jakiego stopnia jest to prawdą.

Popatrzył na swoich gości przez szerokość stołu, sącząc powoli sake i szykując się do kolejnej wymiany zdań. Miał już zagaić rozmowę, kiedy do sali weszła Toshie i szepnęła mu parę słów do ucha. Suma odstawił czarkę i podniósł się z miejsca.

- Nadeszła pora odjazdu.

Loren wstała z krzesła i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie ruszę się stąd, dopóki nie będę miała pewności, że Al i Dirk żyją i są traktowani po ludzku.

Suma uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Potajemnie zjawili się w obcym kraju, na moim terenie, i jako agenci wywiadu innego państwa...

- Japońskie prawo w niczym nie różni się od naszego w sprawach o szpiegostwo - przerwała mu. - Podejrzani mają prawo do uczciwego procesu.

Japończyk spoglądał na nią z nie skrywaną satysfakcją.

- Nie widzę sensu w przedłużaniu tej rozmowy. Mam nadzieję, że panowie Pitt i Giordino, podobnie jak pozostali członkowie szpiegowskiej grupy, zostali już ścięci przez mojego przyjaciela Moro Kamatoriego. Proszę interpretować to tak, jak się pani żywnie podoba.

Loren poczuła lodowate ukłucie w sercu, miała wrażenie, że złowieszczą cisza, jaka zapanowała w sali, tylko potwierdza straszliwą prawdę. Zbladła wyraźnie i zachwiała się nieco, w głowie miała całkowitą pustkę.

Toshie ujęła ją pod ramię i poprowadziła w kierunku drzwi.

- Proszę ze mną. Polecicie państwo samolotem do Edo City, gdzie czeka już prywatny odrzutowiec pana Sumy.

- Nie pokaże nam pan tego niezwykłego tunelu pod dnem oceanu? - zapytał rozczarowany Diaz.

- Są tam pewne rzeczy, które wolałbym zachować w tajemnicy - odparł pośpiesznie Suma.

Loren, głęboko przeżywająca ten koszmar, bezwiednie dała się poprowadzić Toshie przez obszerny hol do wyjścia, od którego wyłożona kamieniami ścieżka wiodła ku malowniczej sadzawce. Japończyk skłonił się i gestem nakazał senatorowi pójść za kobietami.

Diaz wzruszył ramionami, lecz podreptał wolno, wspierając się na lasce. Suma ruszył za nim, pochód zamykały dwa roboty wartownicze.

Kiedy doszli nad staw, dostrzegli zgrabny samolocik turbinowy pionowego startu, stojący pośrodku trawnika obrzeżonego starannie wypielegnowanym żywopłotem. Silniki z cichym świstem pracowały na wolnych obrotach. Po obu stronach schodków prowadzących do kabiny pasażerskiej stali dwaj mężczyźni w czerwonych nylonowych skafandrach i czapczkach z dużymi daszkami. Obaj byli dość niscy, jeden szczupły, drugi natomiast zdawał się rozsadzać od środka elastyczny strój. Obaj z daleka skłonili nisko głowy.

Diaz zatrzymał się nagle.

- Po powrocie do Waszyngtonu natychmiast zwołam konferencję prasową, na której rozgłoszę wiadomości o pańskim przerażającym projekcie. Będę z panem walczył wszelkimi dostępnymi środkami, poruszę obie izby Kongresu, dopóki najmniejsza pana własność w Stanach Zjednoczonych nie zostanie skonfiskowana i znacjonalizowana. Nie spocznę, dopóki nie odpowie pan za popełnione zbrodnie.



Suma uśmiechnął się lekceważąco.

- Nasi zwolennicy w Waszyngtonie są na tyle wpływowi, że bez trudu zniweczą pańskie patetyczne wysiłki. Kupiliśmy zbyt wielu waszych polityków, by zdołał pan wszystkich przeciągnąć na swoją stronę. To będzie wołanie na puszczy, senatorze Diaz. Wasz rząd, czy się to panu podoba, czy nie, skorumpowany, zajmujący się iluzorycznymi planami, a nie nowoczesną technologią i nauką, już dawno stał się całkowicie uzależniony od japońskich subsydiów.

Loren pochyliła się ku niemu i zmrużyła oczy.

- Pięćdziesiąt lat temu również nie doceniliście ducha Amerykanów. Macie znowu śmiałość budzić śpiącego olbrzyma, który zastosuje najstraszliwsze z możliwych rozwiązań?

- Słowa admirała Yamamoto, wypowiedziane po siódmym grudnia, nie mają tu nic do rzeczy - rzekł z naciskiem Suma. - Bezpowrotnie utraciliście zdolność poświęcania się dla dobra ojczyzny. Proszę spojrzeć prawdzie w oczy, pani Smith. Potęga Ameryki należy do przeszłości. Nie mam nic więcej do powiedzenia, chciałbym tylko przypomnieć, byście ostrzegli waszego prezydenta o zamiarach Japonii.

- Chciał pan powiedzieć: o pańskich zamiarach - powiedziała stanowczo Loren, która stopniowo odzyskiwała kolory. - Nie reprezentuje pan Japonii.

- Życzę bezpiecznej podróży do domu, pani Smith. Wasza wizyta dobiegła końca.

Suma odwrócił się i ruszył z powrotem ścieżką, ale zdążył zrobić zaledwie jeden krok, kiedy obaj mężczyźni z załogi chwycili go za ręce, unieśli w górę i wepchnęli przez drzwi do wnętrza samolotu, gdzie zniknął bez śladu. Wszystko stało się tak szybko, że Loren i Diaz zamarli w osłupieniu. Tylko Toshie zareagowała i uniosła nogę, żeby kopnąć mocniej zbudowanego mężczyznę.

- To dość niezwykły sposób zawierania bliższej znajomości - rzekł ze śmiechem Giordino. Złapał jej nogę, przyciągnął dziewczynę do siebie, uniosł ją w powietrze, jakby nic nie ważyła, i wepchnął do samolotu, prosto w ręce Weatherhilla i Mancusa.

Loren wciągnęła głęboko powietrze i wyjąkała coś niezrozumiałego, ale Stacy popchnęła ją w kierunku schodków.

- Szkoda czasu, pani Smith. Proszę wsiadać. - Drugą ręką chwyciła pod ramię Diaza. - Niechże się pan ruszy, senatorze. To już koniec uroczystości powitalnej.

- Skąd... skąd się tu wzięliście? - wyjąkał do Mancusa i Weatherhilla, którzy pomagali mu wsiąść do samolotu.

- Jak już złapaliśmy okazję, postanowiliśmy zabrać także sąsiadów - odparł z uśmiechem Timothy. - Mówiąc poważnie, Pitt i Giordino zaskoczyli załogę, związali ludzi i

wcisnęli ich do przedziału bagażowego.

Giordino pomógł wsiąść Stacy i wciągnął schodki. Zasalutował energicznie dwóm automatom wartowniczym, dosłownie osłupiałym, stojącym bez ruchu z wycelowaną bronią.

- Sayonara, robociki!

Zamknął drzwi samolotu i dokręcił uszczelnienie, po czym odwrócił się i krzyknął w stronę kabiny:

- Ruszaj!

Cichy świst silników turbinowych zmienił się stopniowo w ogłuszające wycie, strumienie odrzutowe uderzyły w trawę pod krótkimi skrzydłami maszyny. Koła oderwały się od wilgotnego gruntu i samolot wzleciał pionowo w powietrze, zawisł na chwilę i powoli nabierając szybkości w miarę obracania się silników do pozycji poziomej, pomknął szerokim łukiem na wschód.

Loren rzuciła się Giordinowi na szyję.

- Dzięki Bogu nic ci się nie stało. Czy Pitt też tu jest?

- A jak pani sądzi, kto kieruje tym autobusem? - Al uśmiechnął się szeroko, ruchem głowy wskazującabinę pilota.

Loren błyskawicznie podbiegła i otworzyła drzwi kabiny. Dirk siedział w fotelu i skupiony pilotował całkowicie nie znaną mu maszynę. Nie odwrócił głowy, nie mrugnął nawet, kiedy Loren objęła go za szyję i zaczęła zasypywać pocałunkami.

- Żyjesz - szepnęła z radością. - A Suma mówił nam, że zostałeś zabity.

- Prawdę mówiąc, nie był to dla mnie dzień pełen rozrywek - odparł Pitt między kolejnymi pocałunkami. - Czy mam przez to rozumieć, że cieszysz się z naszego spotkania?

Delikatnie przeciągnęła mu paznokciami po policzku.

- Czy ty kiedykolwiek spoważniejesz?

- Szanowna pani, w chwili obecnej staram się zachować maksimum powagi. Życie ośmiu osób zależy tylko ode mnie, a ja prowadzę samolot, którego przedtem nawet nie widziałem. W dodatku musimy jak najszybciej oddalić się od wyspy, bo grozi nam kąpiel w lodowatej wodzie.

- Wiem, że tego dokonasz - odrzekła pewnym głosem. - Dirk Pitt potrafi wszystko.

- Nie mów nigdy w ten sposób - syknął Pitt. Ruchem głowy wskazał jej fotel drugiego pilota. - Lepiej siadaj tam i zajmij się radiem. Musimy wezwać naszą kawalerię, zanim samuraje zdążą wysłać swoje myśliwce. Nie zdołalibyśmy uciec przed nimi.

- Suma nie ma władzy nad lotnictwem wojskowym.

- Udowodnił już, że ma władzę prawie nad wszystkim w Japonii, wolę więc nie

ryzykować. Włącz radio, podam ci częstotliwość.

- Dokąd lecimy?

- Na "Ralph R. Bennetta".

- To statek?

- Okręt - poprawił ją Dirk. - Radiolokacyjny okręt wczesnego ostrzegania Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Jeśli dolecimy do niego, zanim przechwycą nas Japończycy, będziemy wolni.

- Nie odważą się strzelać do nas, gdy mamy na pokładzie Sumę.

Pitt uniósł na chwilę wzrok znad instrumentów i zerknął w dół, na morze.

- Bardzo bym chciał, żebyś miała rację.

W przedziale pasażerskim Giordino próbował poskromić Toshie, która parskając i miotała się niczym wściekły kot. Kiedy w końcu splunęła mu w twarz, trafiając w ucho, rozzłoszczony Al chwycił ją za ręce i unieruchomił je na plecach dziewczyny w żelaznym uścisku.

- Dobrze wiem, że na pierwszy rzut oka nie jestem dobrą partią - mruknął wesoło - ale gdy tylko poznasz mnie bliżej, z pewnością pokochasz.

- Ty jankeska świni! - wrzasnęła Toshie.

- Pomyłka! Moi włoscy przodkowie nie przyznawali się do znajomości z Jankesami.

Stacy, nie zwracając uwagi na szamotaninę Ala z Japonką, solidnie przywiązała Sumę do jednego z głębokich, miękkich foteli, jakie znajdowały się w przedziale pasażerskim. Na jego twarzy wciąż malowało się bezgraniczne zdumienie.

- Proszę, proszę! - rzekł rozradowany Mancuso. - Kogo tu mamy? Sam najważniejszy zgodził się towarzyszyć nam w podróży!

- Przecież... wy nie żyjecie... mieliście wszyscy zginąć - szepnął z niedowierzaniem Suma.

- Jedyny, który nie żyje, to twój koleś Kamatori - poinformował go z wyraźną satysfakcją Mancuso.

- Jak?...

- Pitt rozpiął go na ścianie.

Nazwisko Dirka podziało jak katalizator. Suma opadł na oparcie fotela i powiedział:

- Popelniliście tragiczny błąd. Biorąc mnie na zakładnika doprowadzicie do uwolnienia straszliwej mocy.

- Wet za wet. Teraz nasza kolej pokazania zębów.

- Jesteście za głupi na to, żeby zrozumieć - syknął Japończyk w sposób dziwnie

przypominający syczenie żmii. - Moi ludzie, kiedy tylko dowiedzą się prawdy, natychmiast wprowadzą w życie projekt Kaiten.

- Niech spróbują - wtrącił Weatherhill. - Mniej więcej za trzy minuty wasza Centrala Smoka stanie się niezdolna do działania.

Inspektor sieci elektrycznej, robot Otokodate, szybko znalazł bryłkę materiału wybuchowego, przyklejoną taśmą do pęku kabli. Odczepił ją i wrócił do swojej konsoli. Umieścił ładunek przed obiektywem kamery i szybko rozpoznał zegar z wyświetlaczem cyfrowym, ale nic więcej, gdyż dane w jego pamięci nie pozwalały mu zidentyfikować wybuchowego plastiku. Z tego też powodu nie znał przeznaczenia owego przedmiotu. Przesłał sygnał wezwania do dyspozytorni.

- Zgłasza się Otokodate z piątej sekcji rozrządu mocy.

- O co chodzi? - zapytał robot łączności.

- Muszę się porozumieć z moim nadzorcą, panem Okumą.

- Nie wrócił jeszcze z przerwy na herbatę. Czy coś się stało?

- Znalazłem dziwny obiekt przymocowany do kabla światłowodów.

- Jaki to obiekt?

- Miękka substancja i cyfrowy zegar elektroniczny.

- Czy może to być przyrząd pomiarowy zostawiony przez ekipę instalacyjną?

- Brak odpowiednich danych w mojej pamięci. Czy mam go przynieść do dyspozytorni w celu identyfikacji?

- Nie, zostań na stanowisku. Przyślę do ciebie posłańca.

- Przyjąłem.

W kilka minut później do pokoju kontroli sieci elektrycznej wjechał robot kurierski o imieniu Nakajima, który znał wszystkie korytarze i pomieszczenia podziemnego labiryntu i miał prawo wstępu do wszystkich pracowni i warsztatów. Zgodnie z rozkazem Otokodate przekazał bombę Nakajimie.

Posłaniec był prostym automatem szóstej generacji, mogącym przyjmować wydawane głosem polecenia, ale sam pozbawiony był zdolności mowy. W całkowitej ciszy ujął przedmiot mechanicznymi palcami, włożył go do zasobnika i odjechał, kierując się w stronę dyspozytorni.

Pięćdziesiąt metrów od drzwi pokoju kontrolnego, w miejscu, gdzie nie było ani ludzi, ani żadnych urządzeń, plastik typu C-8 detonował z głośnym hukiem, którego echo jeszcze przez jakiś czas przewalało się betonowymi ścianami korytarzy piątego poziomu.

Centrala Smoka została tak zaprojektowana, by wytrzymać nawet silne trzęsienie ziemi

i nie utracić swej funkcjonalności. Projekt Kaiten nie został unieszkodliwiony, w każdej chwili mógł być wcielony w życie. Jedynym efektem wybuchu bomby Weatherhilla było doszczętne zniszczenie automatu kurierskiego o imieniu Nakajima.

Roboty wartownicze powiadomiły centralę bezpieczeństwa o dziwnych wydarzeniach, jakie miały miejsce w ogrodzie, jeszcze zanim Pitt zdążył poderwać samolot w powietrze. W pierwszej chwili ich meldunek został przyjęty jako wynik awarii układów optycznych, lecz gdy zarządzone natychmiast poszukiwania Sumy nie przyniosły rezultatu, w dowództwie służb bezpieczeństwa zapanował chaos.

Z powodu przekonania o własnej nieomyślności oraz hołdowania najściślejszej tajemnicy Hideki Suma nie zostawił swojemu personelowi żadnej instrukcji działania na wypadek jego nieobecności. Przeważeni kierownicy działów próbowali się skontaktować z Kamatorim, ale i jego nie można było nigdzie znaleźć, a dwa jego roboty strażnicze zostały wyłączone z sieci.

Ku prywatnym apartamentom wysłano specjalny oddział, wspomagany przez cztery silnie uzbrojone roboty. Dowódca zapukał do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, rozkazał jednemu z robotów je wyważyć. Gruba, pancerna szyba natychmiast ustąpiła pod uderzeniem stalowej pięści.

Oficer przeszedł przez pusty pokój, w którym znajdował się wielki ekran wideo, ostrożnie wkroczył do przyległego pomieszczenia z trofeami myśliwskimi i zmarł w osłupieniu. Moro Kamatori, z rękoma w uchwytach po broni, zwiślał rozkrzyżowany na ścianie. Oczy miał szeroko otwarte, a z kącika ust ściekała strużka krwi. Twarz wykrzywiał mu grymas bólu i wściekłości. Oficer z niedowierzaniem popatrzył na szablę, której ostrze przebijało podbrzusze Kamatoriego i tkwiło w ścianie.

Nie mogąc uwierzyć, że zwierzchnik nie żyje, oficer delikatnie potrząsnął tamtego za ramię i przemówił do niego. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że ów należący jakby do innej epoki samuraj nie powie już nigdy ani słowa. W tej samej chwili pojął także, iż więźniowie jakimś sposobem zniszczyli roboty wartownicze i uciekli.

Wiść o śmierci Kamatoriego, która zbiegła się z wybuchem na piątym poziomie, tylko powiększyła zamieszanie. Uruchomiono rozmieszczone na wyspie wyrzutnie rakiet typu ziemia-powietrze, zaprogramowano ich cel, ale nie został wydany rozkaz odpalenia, ponieważ nikt nie miał pewności, czy Suma nie znajduje się na pokładzie samolotu.

Dość szybko jednak przywrócony został porządek, a odtworzone zapisy wizyjne dwóch robotów wartowniczych wykazały jasno, że Suma został porwany samolotem turbinowym.

Wiekowy przywódca Żółtych Smoków, Korori Yoshishu, przebywał wraz ze swym doradcą finansowym, Ichiro Tsuboim, w jego gabinecie, w Tokio, kiedy szef służb bezpieczeństwa przekazał im smutne wieści. Obaj natychmiast zdecydowali, że przejmują

kontrolę nad działalnością Centrali Smoka.

Tsuboi wykorzystał swe ogromne wpływy w kręgach dowódców armii japońskiej i już w osiem minut po eksplozji w pościg za umykającym samolotem ruszyły myśliwce. Piloci dostali rozkaz przechwycenia maszyny i zmuszenia jej do powrotu na wyspę Soseki, a gdyby to się nie powiodło, mieli zestrzelić ją do morza. Tsubo i Yoshishu uradzili wspólnie, że mimo wieloletniej przyjaźni z Hidekim Sumą, lepiej będzie poświęcić go dla dobra projektu Kaiten i odziedziczonego niespodziewanie imperium, niż dopuścić, by stał się obiektem przetargów lub - co gorsza - jako kryminalista stanął przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. Poza tym obaj mieli przerażającą świadomość, że Suma mógłby zostać zmuszony przez ekspertów amerykańskich służb wywiadowczych do ujawnienia szczegółów tajnych zdobyczy technicznych oraz planów ekonomicznej i militarnej supremacji Japonii.

Pitt wprowadził maszynę na kurs, którym powinni dolecieć nad pozycję zajmowaną przez okręt wojenny w chwili startu obu motoszybowców. Wyciskał z silników, ile tylko się dało, podczas gdy Loren próbowała bezskutecznie nawiązać łączność z "Bennettem".

- Nic z tego, nie zgłaszają się - mruknęła wreszcie zniechęcona.

- Ustawiłaś odpowiednią częstotliwość?

- Tak, kanał szesnasty VHF.

- Nie to pasmo. Przełącz na kanał szesnasty UHF i użyj mojego nazwiska jako hasła wywoławczego.

Loren przełączyła radiostację, ponownie ustawiła częstotliwość i przemówiła do mikrofonu:

- Pitt wzywa USS "Bennetta". Pitt wzywa USS "Bennetta". Czy mnie słyszycie? Odbiór.

- Tu "Bennett" - rozległ się niespodziewanie w słuchawkach tak wyraźny głos, że Loren aż skrzywiła się z bólu w uszach. - Czy to naprawdę pan, Pitt? Odnoszę wrażenie, jakby od naszego ostatniego spotkania zmienił pan płęć.

Samolot był obserwowany na ekranach superczułych radarów okrętu już od chwili startu z wyspy. Kiedy tylko stwierdzono, że obiera kurs na wschód, skierowano w jego stronę wszystkie anteny taktycznych namierników elektronicznych oraz urządzeń nadzoru powietrznego. Komandor Harper zjawiał się w centrum dowodzenia już po minucie od chwili ogłoszenia alarmu. Chodził niespokojnie, zatrzymując się co kilka sekund i zerkając przez ramię operatorów na ekrany radarów oraz monitory komputerowe, które na podstawie odbieranych sygnałów dokonywały klasyfikacji obiektu.

- Czy możecie rozróżnić?...

- Albo mały turbośmigłowiec, albo turbinowa maszyna nowej generacji - odpowiedział

pośpiesznie technik. - Wystartował pionowo, jak helikopter, ale teraz leci za szybko jak na śmigłowiec.

- Jakim kursem?

- Jeden-dwa-zero. Wygląda na to, że zmierza na pozycję, na której wypuściliśmy dwa ibisy.

Harper sięgnął po słuchawkę telefonu wewnętrznego.

- Łączność.

- Dział łączności, panie kapitanie - odpowiedział niemal natychmiast operator.

- Przechwyciliście jakieś komunikaty?

- Nie, panie komandorze. W eterze panuje cisza.

- Zawiadomcie mnie natychmiast, gdy tylko coś złapiecie. Harper odłożył słuchawkę. -

Zmiany kursu?

- Cel wciąż na kursie jeden-dwa-zero, z lekkim odchyleniem na południe, kapitanie.

Harper pomyślał, że to powinien być Pitt, chociaż zdawało się to niemożliwe. Któż inny mógłby jednak lecieć w tamtym kierunku? Czyżby to zbieg okoliczności? Poleciał szybko pierwszemu oficerowi, który nie odstępował go na krok, by wyznaczył nowy kurs okrętu.

- Ruszamy całą naprzód w stronę tej pozycji, z jakiej wystartowały oba ibisy. Czekać na dalsze rozkazy.

Wiedząc dobrze, że Harper o wiele bardziej ceni efektywne działanie od wymogów regulaminowych, oficer bez słowa wybiegł z sali, aby przekazać rozkazy na mostek.

- Łączność, kapitanie - poinformował jeden z marynarzy.

Harper sięgnął po słuchawkę.

- Tu kapitan.

- Odebrałem komunikat od kobiety, która utrzymuje, że jest deputowaną do Kongresu Loren Smith. Według niej pan Pitt siedzi za sterami samolotu porwanego z wyspy Soseki, na którego pokładzie znajduje się osiem osób, w tym senator Michael Diaz oraz pan Hideki Suma.

Harper nic nie wiedział o porwaniu dwojga amerykańskich parlamentarzystów, toteż uniósł wysoko brwi ze zdumienia i zapytał:

- Udało im się wykraść samolot i w dodatku uprowadzić Sumę? A skąd, do cholery, Pitt miałby wytrzasnąć tę parę polityków na wyspie Soseki? - Przerwał, pokręcił głową z niedowierzaniem, po czym rzekł: - Przekażcie tej kobiecie, że potrzebujemy zdecydowanie bardziej konkretnych danych do identyfikacji.

Operator z kabiny łączności odezwał się już po upływie pół minuty.



- Kobieta przysięga, że jest Loren Smith, reprezentantką Kolorado, i twierdzi, że jeśli nie udzielimy im wsparcia i nie zapewnimy ochrony w wypadku, gdyby ich ścigano, to przekona Roya Monroe, aby przeniósł pana na stanowisko dowódcy holownika w Arktyce. O ile wolno mi coś doradzać, kapitanie, to myślę, że jeśli ona zna osobiście dowódcę Marynarki Wojennej, to musi być tym, za kogo się podaje.

- Dobra, kupię tę jej bajeczkę - przyznał z ociąganiem Harper. - Przekaż im, żeby skreślił o dwadzieścia stopni na południe i lecieli nowym kursem na pozycję...

- Mam echo dwóch samolotów, które wystartowały z bazy lotniczej Senzu! - wykrzyknął technik siedzący przed ekranem radaru. - Ich szyk oraz prędkość wskazują, że są to myśliwce przechwytyjące mitsubishi raven z Sił Obrony Powietrznej Japonii. Lecą kursem zbieżnym z maszyną turbinową i śledzą ją radarem.

- Cholera! - warknął Harper. - Teraz mamy jeszcze na głowie lotnictwo japońskie. - Ponownie odwrócił się do pierwszego oficera. - Przekaż meldunek o naszej sytuacji do Dowództwa Sił Pacyfiku. Zaznacz, że ogłaszam alarm bojowy i będę strzelał do Japońców, jeśli tylko wykażą wrogie zamiary wobec uciekinierów. Biorę na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo ludzi uciekających samolotem turbinowym, w przekonaniu, że są to obywatele amerykańscy.

Pierwszy oficer zawahał się na moment.

- Nie sądzi pan, że sytuacja jest zbyt delikatna?

- Nie. - Harper uśmiechnął się krzywo. - Nie myślisz chyba, że postawią mnie przed sądem wojennym za zestrzelenie wrogiego myśliwca, skoro działałem w obronie życia dwóch członków parlamentu?

Tamten pojął niepodważalną logikę tego argumentu i odpowiedział uśmiechem.

- Nie, panie kapitanie. Na pewno nie postawią.

Pitt wznosił samolot na pułap czterech tysięcy metrów i wyrównał lot - wyszli już z obszaru, w którym byli w zasięgu rakiet przeciwlotniczych i nie musieli się trzymać blisko powierzchni oceanu, mieli przed sobą prosty przelot do miejsca spotkania z "Ralphem R. Bennettem". Rozsiadł się wygodniej i sięgnął po hełmofon wiszący do tej pory na poręczy fotela.

- Jeszcze osiemdziesiąt kilometrów - powiedział cicho. - Wtedy powinniśmy zobaczyć okręt.

Giordino zastąpił Loren na miejscu drugiego pilota i wprawnym okiem spoglądał na wskazania przyrządów pokładowych.

- Widzę, że personel Sumy drastycznie oszczędza paliwo. Za jakieś dziesięć minut

zostaniemy z pustymi zbiornikami.

- Na krótkie przeloty z wyspy Soseki do Edo City nie musieli tankować do pełna. Leciałem pełną mocą i zużyłem za dużo benzyny.

- Więc teraz lepiej trochę zwolnij.

W słuchawkach rozległ się metaliczny brzęk.

- Mówi komandor Harper.

- Cieszę się, że mogę znów pana słyszeć, komandorze. Tu Dirk Pitt. O co chodzi?

- Przykro mi, ale mam złe wiadomości. Dwa japońskie moskity posuwają się waszym tropem.

- Co takiego? - mruknął zdumiony Pitt. - Ile mamy czasu do nawiązania z nimi kontaktu?

- Według naszego komputera będziecie ich mieć na ogonie dwanaście do piętnastu kilometrów przed wyznaczoną pozycją naszego spotkania.

- Jeśli zaatakują, zrobią z nas befsztyki - wtrącił Giordino, stukając palcem we wskaźniki poziomu paliwa.

- Nie jest chyba tak źle, jak myślicie - rzekł powoli Harper. - Nasze nadajniki już zakłócają ich radarowe systemy naprowadzania pocisków. Będą zmuszeni sięgnąć wam na ogonie, aby ręcznie pokierować raketami.

- Nie macie nic, czym można by ich powstrzymać?

- Nasze jedyne uzbrojenie to trzydziestomilimetrowe działka typu Sea Vulcan.

- Równie skuteczne, jak mała śrutówka na grubego zwierza - mruknął Giordino.

- Szkoda, że nie widział pan tej śrutówki, jak ją pan nazwał, w akcji. Vulcan potrafi wystrzelić cztery tysiące dwieście pocisków na minutę, na odległość ośmiu kilometrów - odparł szybko Harper.

- To i tak o dobre pięć kilometrów za krótki dystans - rzekł Pitt. - Ma pan jakiś pomysł?

- Zaczekajcie.

Minęły pełne dwie minuty, zanim odezwał się ponownie.

- Może spróbujecie przejść w lot nurkowy i pod osłoną ognia z naszych działek usiądziecie na pokładzie. Dodatkowa szybkość, jaką byście zyskali w locie nurkowym, dałaby wam dalsze cztery minuty przewagi.

- Nie zdobędziemy ani sekundy przewagi, bo tamci także przejdą w lot nurkowy - powiedział Giordino.

- Odpada - wtrącił Pitt. - Lecąc tuż nad wodą, wystawimy się im na odstrzał jak kaczka. Wolę zostać na tym pułapie, gdzie mam dużo większe możliwości manewru.

- Sprytnie chłopaczki, uprzedzili nasz plan - powiedział Harper. - Zeszli na pułap tysiãca dwustu metrów i sã teraz dwa tysiãce osiemset metrów pod wami. Wyglãda na to, że chcã wam odciãć drogã ucieczki.

- I co dalej?

- Jeœli zastosujecie taktykã opracowanã przez nasz komputer, zyskacie choœby tã przewagã, że bẽdziecie lecieli pod parasolem naszego ognia, a my bẽdziemy mieli czyste pole ostrzału, kiedy tylko myœliwce znajdã siã w zasiãgu vulcana.

- Przekonał mnie pan - odrzekł Pitt. - Za czterdzieœci sekund zaczynam schodzenie.

Odwrócił siã do Loren, która siedziała w pierwszym fotelu za otwartymi drzwiami kabiny.

- Upewnij siã, czy wszyscy sã dobrze przypięci. Niedługo bẽdziemy zmuszeni zatañczyć rock and rolla.

Loren pospiesznie obeszła przedział pasażerski, przekazujãc wiadomoœć. Sprawdziła te¿ wiãzy Sumy oraz Toshie. Radoœć, jaka panowała wœród członków zespołu MZB, przysła nagle i we wñetru samolotu zapanowało pospępne milczenie. Tylko japoñski przemyslowiec siedział wyraźnie uszczęœliwiony, a uœmiech na jego twarzy przypominał karykaturalne wygiãcie ust posãzka Buddy.

Pitt przez chwilã oddychał gęboko, chcãc rozluźniã napiãte miãœnie, po czym dociãgnãł pasy. Na koniec zaczął gimnastykowaã dłonie i palce niczym pianista majãcy wykonaã Drugã Rapsodiã Węgierskã Liszta.

- Osiemnaœcie kilometrów, zbliżajã siã szybko - oznajmił w słuœawkach głos Harpera.

Dirk zacisnãł dłonie na uchwytych drãzka sterowniczego i zerknãł na Giordina.

- Al, odczytuj na głos szybkoœć i wysokoœć.

- Służę uprzejmie - odparł tamten z caãkowitym spokojem.

Bezgranicznie wierzył w umiejãtnoœci Pitta.

Ten wcisnãł klawisz nadawania.

- Rozpoczynam nurkowanie - obwieœcił tonem patologa przystãpujãcego do sekcji zwłok.

Łagodnie popchnãł drãzek od siebie, zastanawiajãc siã w duchu, co ma powiedzieã, kiedy wreszcie spotka siã z samym diabłem. Samolot pochylił siã, wycie silników przybrało jeszcze na sile. Pole widzenia wypeœniło im bezkresne morze, majãce odcieñ gębokiego błãkitu.

Tsuboi opuścił słuchawkę i popatrzył zza biurka na Kororiego Yoshishu.

- Piloci myśliwców przekazali wiadomość, że samolot Hidekiego zaczyna kluczyć. Są w pobliżu amerykańskiego okrętu wojennego i nie mają już czasu, żeby zmusić maszynę do powrotu na wyspę Soseki. Dowódca eskadry prosi o potwierdzenie rozkazu zestrzelenia samolotu.

Yoshishu zamyślił się na chwilę, choć w głębi ducha pogodził się już ze śmiercią Sumy. Zaciągnął się głęboko dymem z papierosa i skinął głową.

- Jeśli nie ma innego wyjścia, Hideki musi umrzeć dla dobra tego wszystkiego, co stworzyliśmy przez tyle lat.

Tsuboi popatrzył w oczy starego Smoka, ale dostrzegł w nich jedynie determinację. Z powrotem przyłożył słuchawkę do ucha.

- Potwierdzam rozkaz zestrzelenia - rzekł szybko i odłożył słuchawkę na widełki.

Yoshishu wzruszył ramionami.

- Hideki jest tylko jednym z wielu, którzy poświęcili życie dla budowy nowego imperium.

- To prawda, lecz rząd w Waszyngtonie nie będzie szczęśliwy, że w tej samej katastrofie zginęło dwoje parlamentarzystów amerykańskich.

- Nasi poplecznicy i przyjaciele zmuszą ich prezydenta, żeby zachował milczenie i nie podejmował żadnych działań w tej sprawie - rzekł Yoshishu z wielką pewnością siebie. - Całą winą obarczy się Hidekiego, a my pozostaniemy w cieniu, z dala od tej burzy.

- I po cichu przejmujemy kontrolę nad korporacjami Sumy.

Yoshishu wolno skinął głową.

- Takie jest prawo naszego bractwa.

Tsuboi popatrzył na starca z wyraźnym szacunkiem, rozumiał już bowiem, dlaczego tamtemu udało się przetrwać, gdy tak wielu innych przywódców Żółtych Smoków musiało ustąpić mu pola. Yoshishu okazywał się mistrzem w kierowaniu ludźmi i bez względu na to, kto stawał mu na drodze i jak potężni byli jego wrogowie, zawsze wygrywał. Tsuboi stwierdził w duchu, że był on chyba najbardziej wpływowym człowiekiem świata, działającym w cieniu wielkiej polityki.

- Dziennikarze przypominają żarłocznego smoka, który łakomie rzuca się na każdy skandal - mówił starzec. - Ale zaraz się nudzą i zaczynają szukać nowego łupu. Amerykanie szybko zapomną o śmierci dwojga mniej znaczących parlamentarzystów.

- Hideki był głupcem! - oznajmił z naciskiem Tsuboi. - Sądził, że jest bogiem, i jak

większość ludzi, którzy mają zbyt wiele władzy i zanadto wierzą w siebie, zaczął popełniać niewybaczalne błędy. Porwanie członków amerykańskiego Kongresu było idiotyzmem.

Yoshishu zrazu nie odpowiedział, tylko popatrzył uważnie na siedzącego za biurkiem Tsuboiego i po chwili rzekł szybko:

- Traktuję cię jak wnuka, Ichiro, a Hideki zastępował mi syna, którego nie miałem. Wstyd mi za niego. Gdybym go lepiej wychował, nigdy by nie doszło do tej tragedii.

- Nic się nie zmieniło. - Tsuboi wzruszył ramionami. - Próba zniszczenia projektu Kaiten przez agentów amerykańskiego wywiadu nie powiodła się. Nadal władamy tą potęgą.

- Jednakże bardzo mi będzie brakować Hidekiego. Wiele mu zawdzięczamy.

- Będąc na jego miejscu, oczekiwałbym właśnie takiej wdzięczności.

- I jestem pewien, że nie zawahałbyś się wbić miecz w swoje ciało, gdyby zaszła taka konieczność - rzekł Yoshishu, uśmiechając się coraz szerzej.

Tsuboi był jednak do tego stopnia przekonany o swej nieomyślności, że w ogóle nie dopuszczał myśli o czymś podobnym. Należał do innego pokolenia i nie widział siebie w roli kogoś, kto usuwa się z drogi, wbijając sobie nóż w brzuch.

- Nasze finansowe i przemysłowe imperium będzie się dalej rozwijało bez Hidekiego - oznajmił pewnie. - Musimy być nieugięci i posuwać się naprzód.

Yoshishu znał ambicję Tsuboiego: młody geniusz finansowy palił się do przejęcia interesów Sumy.

- Zostawiam w twoich rękach, Ichiro, zorganizowanie odpowiedniej ceremonii dla uczczenia w Yasukuni pamięci o naszym przyjacielu - rzekł takim tonem, jakby Suma nie żył już od dłuższego czasu.

Tsuboi lekceważąco machnął ręką. Wstał z fotela i pochylił się nad biurkiem.

- Mając w rękach klucz do projektu Kaiten, Korori, musimy przede wszystkim ustalić termin zadania ciosu europejskiej i amerykańskiej niezależności ekonomicznej.

Starzec skinął głową, a rzadkie siwe włosy rozsypały mu się na skroniach.

- Zgadzam się, nie możemy dopuścić, żeby śmierć Hidekiego spowodowała jakiegokolwiek opóźnienia. Musisz natychmiast wrócić do Waszyngtonu i przedstawić prezydentowi nasze żądania w sprawie rozszerzenia inwestycji w Ameryce.

- A jeśli on nie zgodzi się na te żądania?

- Obserwuję go od lat, to realista. Z pewnością zrozumie, że chcemy tylko ratować jego upadający kraj. Wie o projekcie Kaiten i rozumie sytuację. Nie ma obaw, prezydent Stanów Zjednoczonych przyjmie nasze warunki, podobnie jak cały Kongres. Bo czyż mają jakiegokolwiek wybór?

- Dwa dwieście - rzekł Giordino, który odczytywał na głos pułap w metrach oraz szybkość w węzłach. - Prędkość: pięćset dwadzieścia.

Ocean zbliżał się szybko, spienione grzbiety fal rosły w oczach. Samolot przedarł się przez rzadkie chmury. O jego szybkości świadczyło jedynie ogłuszające wycie silników, które wciąż pracowały pełną mocą. Pitt nie mógł właściwie ocenić wysokości nad powierzchnią morza, musiał polegać na odczytach przyjaciela, który według wskazań przyrządów miał określić, kiedy należy wyjść z lotu nurkowego.

- Gdzie oni są? - rzucił do mikrofonu.

- Dirk, tu Ray Simpson - rozległ się w słuchawkach głos kapitana, który udzielał im instrukcji latania ibisami. - Ja was poprowadzę.

- Gdzie oni są? - powtórzył Pitt.

- Zostali trzydzieści kilometrów w tyle, lecz szybko nadrabiają dystans.

- Nie dziwi mnie to - mruknął Dirk. - Mogą rozwinąć szybkość o dobre tysiąc węzłów większą od tego autobusu.

- Tysiąc pięćset - odczytywał Giordino. - Prędkość: pięćset dziewięćdziesiąt.

- Szkoda, że nie przeczytałem wcześniej instrukcji obsługi - mruknął Pitt pod nosem.

- Tysiąc dwieście. Prędkość: sześćset pięćdziesiąt. Nie jest źle.

- Skąd wiesz?

- Tak mi przyszło do głowy. - Al wzruszył ramionami.

W tej samej chwili w kabinie rozległ się brzęczyk alarmu oznaczający, że przekroczyli granice bezpieczeństwa wyznaczone dla tego samolotu.

- Tysiąc metrów. Prędkość: siedemset czterdzieści. Ptaszku, tylko nas teraz nie zawieź.

Pilot pierwszego z japońskich myśliwców, który wszedł w kontakt wzrokowy z nurkującym samolotem turbinowym, naprowadził czerwone nitki systemu komputerowego sterowania na cel i wcisnął spust. Rakieta pomknęła w stronę uciekinierów.

- Pierwszy pocisk w drodze - oznajmił posepnym głosem Simpson.

- Daj mi znać, kiedy zbliży się do nas na kilometr - rzekł szybko Pitt.

- Sześćset metrów - powiedział ostrzegawczo Giordino. Prędkość: osiemset. Chyba pora wyrównać.

Dirk bez słowa pociągnął do siebie drążek i samolot zareagował błyskawicznie, niczym szybowiec kierowany przez wprawnego pilota. Wyrównał po łagodnym łuku i przeszedł do lotu poziomego niecałe siedemset metrów nad powierzchnią morza.

- Rakieta się zbliża, trzy kilometry. - Głos Simpsona w słuchawkach zabrzmiał dziwnie

głucho.

- Al, przygotuj się do błyskawicznej zmiany ustawienia silników - polecił Pitt.

Niemal w tej samej chwili Simpson zawołał:

- Kilometr!

- Już!

Giordino popchnął dźwignię, przestawiając silniki w położenie pionowe.

Samolot niemal pod kątem prostym wystrzelił do góry. Silniki turbinowe, pracujące nadal pełną mocą, zadygotały od przeciążeń; nagła zmiana kierunku ruchu wypchnęła ludzi z foteli.

Rakieta przeleciała pod brzuchem maszyny, minąwszy cel o niespełna dwa metry, zostawiła za sobą cienką smugę dymu i pomknęła dalej, by ostatecznie spaść do morza.

- Dobra robota - pochwalił Simpson. - Niedługo wejdziecie w zasięg vulcana. Trzymajcie się jak najniżej, żebyśmy mieli wolne pole ostrzału.

- Trochę to potrwa, zanim znów nabiorę szybkości poziomej - powiedział do mikrofonu Pitt, który siedział z nachmurzoną twarzą. - Wytraciliśmy ją prawie do zera.

Giordino znowu zmienił położenie silników, a Dirk pochylił nos maszyny ku falom. Tym razem wyrównali lot zaledwie dwadzieścia metrów nad powierzchnią oceanu, kierując się ku widocznemu na horyzoncie okrętowi. Zza okna kabiny Pitt miał wrażenie, że spogląda na papierowy stateczek ustawiony na plastikowej makiecie morza.

- Myśliwiec zbliża się do was, ale na razie nie odpala drugiej rakiety - oznajmił podniecony Simpson. - Chce zapewne atakować z bliska, by uprzedzić twój manewr. Lepiej zmiataj stamtąd jak najszybciej.

- Już ślizgam się brzuchem po falach - odparł Pitt.

- Oni również. Drugi zajął pozycję nieco wyżej, żebyś znów nie zdołał ich wykiwać.

- Jakby czytali w naszych myślach - mruknął lodowatym tonem Giordino.

- Uważajcie, nie macie deszyfratora i nie możecie przechwycić ich meldunków, ale oni zapewne nas słuchają - przestrzegł Simpson.

- Mimo to czekamy na wiadomość od pana.

Pitt spoglądał przez szybę na "Ralph R. Bennetta". Zdawało mu się, że starczy wyciągnąć rękę, by dotknąć gigantycznej konstrukcji głównej anteny radarowej.

- Teraz na was kolej, "Bennett". My wyczerpaliśmy już zapas niespodzianek.

- Bramy fortu otwarte - włączył się niespodziewanie głos Harpera. - Proszę skrócić pięć stopni na prawo i koniecznie pochylić nisko głowy.

- Rakieta odpalona! - krzyknął Simpson.

- Rozumiem, ale nie mam już dokąd uciekać - jęknął Pitt.

Obaj skulili się instynktownie, oczekując uderzenia i eksplozji. Byli tak bezbronni, jak zmęczony gołąb wystawiony na atak jastrzębia. Ale niespodziewany ratunek przyniósł im strumień pocisków przelatujących łukiem nad samolotem. Rozpętało się istne piekło.

Trzydziestomilimetrowe działko na okręcie wkroczyło do akcji. Siedem sprzężonych luf zmodyfikowanej głowicy obrotowej wypluwało 4200 pocisków na minutę tak precyzyjnym strumieniem, że można było gołym okiem dostrzec ich lot. Zapora ogniowa przegrodziła drogę nadlatującej rakiecie i ta eksplodowała wielkim kłębem płomieni, dwieście metrów za ogonem umykającego samolotu turbinowego.

Strumień pocisków spadł następnie na pierwszy z myśliwców, dopadł go i odciął jedno ze skrzydeł z taką łatwością, jakby to była frytka ziemniaczana. Mitsubishi raven wpadł w nie kontrolowany korkociąg i runął do morza, wzbijając wielką fontannę wody. Drugi samolot wykonał ostry zwrot przez skrzydło, uciekając przed zbliżającą się rzeką pocisków, które pomknęły śladem jego gazów wydechowych. Zawrócił i wziął kurs powrotny na Japonię. Dopiero wówczas działko umilkło, a ostatnie pociski wpadły do morza, rozcinając białe grzywy fal.

- Teraz zapraszamy, panie Pitt - odezwał się Harper, a w jego głosie czuć było wyraźną ulgę. - Mamy wiatr z prawej burty, o szybkości ośmiu węzłów.

- Dziękuję, komandorze - powiedział Pitt. - I proszę podziękować załodze; to był piękny pokaz artyleryjski.

- Wszystko zależy od tego, jaki ma się stosunek do współczesnej elektroniki.

- Podchodzę do lądowania.

- Szkoda, że nie mamy tu orkiestry dętej i odpowiedniego komitetu powitalnego.

- Wystarczy nam widok gwiazdzonego sztandaru łopoczącego na wietrze.

W cztery minuty później Pitt posadził samolot turbinowy na lądowisku dla helikopterów na pokładzie "Bennetta". Dopiero wtedy odetchnął głęboko, odchylił się na oparcie fotela i patrzył spokojnie, jak Giordino wyłącza silniki.

Po raz pierwszy od kilku tygodni poczuł się bezpieczny. Nie musiał już ryzykować życia i nadstawiać karku, jego udział w operacji MZB dobiegł końca. Marzył jedynie o powrocie do domu i o urlopie połączonym z nurkowaniem w jakichś ciepłych, tropikalnych wodach, na Puerto Rico lub Tahiti, najlepiej z Loren u swego boku.

Z pewnością wybuchnąłby głośnym śmiechem, gdyby teraz ktoś wszedł do kabiny i powiedział mu, że już za kilka tygodni admirał Sandecker będzie szykował mowę pożegnalną na jego pogrzeb.



**CZEŚĆ IV**  
**„ODDECH MATKI”**

20 października 1993

Waszyngton, USA

59

- Wydostali się! - wykrzyknął Jordan w sali odpraw Krajowej Rady Bezpieczeństwa w Białym Domu, odkładając słuchawkę na widelki. - Odebrałem właśnie wiadomość, że nasz zespół MZB uciekł z wyspy Soseki.

Dale Nichols popatrzył na niego podejrzliwie.

- Czy to pewna informacja?

Jordan energicznie pokiwał głową.

- Absolutnie pewna. Zaatakowały ich myśliwce japońskich Sił Obrony Powietrznej, ale zdołali im umknąć i bezpiecznie wylądować.

Prezydent pochylił się na krześle.

- Gdzie się teraz znajdują?

- Wylądowali na pokładzie "Ralph R. Bennetta", okrętu radiolokacyjnego, krążącego w promieniu stu kilometrów od wyspy.

- Ponieśli jakieś straty?

- Żadnych.

- Dzięki Bogu.

- Ale na tym nie koniec - powiedział Jordan, poruszając się z ożywieniem. - Na pokładzie znajdowali się ponadto Loren Smith, senator Diaz oraz Hideki Suma.

Wszyscy obecni w sali popatrzyli na niego z wyraźnym niedowierzaniem.

- Jak to możliwe? - mruknął w końcu Nichols.

- Nie znam szczegółów, ale komandor Harper, dowódca "Bennetta", przekazał, że Dirk Pitt i Al Giordino zdołali opanować samolot, którym miano przewieźć Smith i Diaza do Edo City. Jakimś sposobem udało im się też porwać Hidekiego Sumę i jego sekretarkę, a następnie bezpiecznie wystartować.

- Suma - rzekł w zamyśleniu dyrektor CIA Martin Brogan. - Toż to dla nas istny dar niebios.

Pierwsza euforia szybko minęła i prezydent pograżył się w myślach.

- To diametralnie zmienia całą sytuację - rzekł cicho.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, panie prezydencie - odezwał się sekretarz obrony Jesse Simmons - doradzałbym odwołać uderzenie atomowe na Centralę Smoka.

Prezydent spojrział na wielką tarczę minutnika wiszącego na ścianie sali odpraw. Do ataku pozostało dziewięć minut.

- Wielkie nieba! Oczywiście, natychmiast odwołać atak!

Simmons tylko skinął głową w stronę generała Clayтона Metcalfa, przewodniczącego Zjednoczonego Sztabu Wojsk, który szybko sięgnął po słuchawkę i zaczął wydawać rozkazy. Po chwili odpowiedział takim samym skinieniem głowy.

- Oddziały pozostają w gotowości bojowej.

- Wspaniale się składa, panie prezydencie - oznajmił triumfalnie sekretarz stanu Douglas Oates. - Od początku byłem przeciwny użyciu broni atomowej.

- Centrum Smoka i projekt Kaiten nadal stanowią zagrożenie - przypomniał mu prezydent. - Możemy jedynie uznać, że kryzys został chwilowo zażegnany.

- To prawda - przyznał Oates - ale mając w rękach Sumę, niejako trzymamy za łeb tego węża.

- Ciekaw jestem, co zespół śledczych zdoła z niego wyciągnąć - mruknął uszczęśliwiony Brogan.

Oates skrzywił się i pokręcił głową.

- Suma nie jest zwyczajną płótką, którą można swobodnie maglować. To jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi świata. Nie możemy potraktować go bezwzględnie, nie licząc się z konsekwencjami.

- Dlaczego nie? - wtrącił Jordan, w którego głosie brzmiała olbrzymia satysfakcja. - Nie widzę powodów, by obchodzić się łagodnie z człowiekiem, który porwał dwoje naszych parlamentarzystów i planował zdetonować na terenie Stanów ileś głowic jądrowych.

- Zgadzam się z tobą, Ray - rzekł Brogan, spoglądając z ukosa na Oatesa. - Ten facet jest piekielnie niebezpieczny. Stawiam dobry obiad wszystkim obecnym w tej sali, jeśli rząd japoński odważy się zaprotestować w jego sprawie.

- Akty barbarzyństwa nie leżą w interesie naszego kraju - odparł nieugięty Oates.

- Ale dobrocią niewiele się zdziało - wtrącił Jesse Simmons. - Gdybyśmy zawsze reagowali ostro, tak jak Rosjanie, nasi ludzie nie byliby przetrzymywani w Bejrucie jako zakładnicy.

- Jesse ma rację - dodał Nichols. - Głupotą byłoby pozwolić mu wrócić do Japonii i kontynuować prywatną wojnę przeciwko nam.

- Ani premier Junshiro, ani nikt z jego gabinetu nie odważy się pisnąć słówka, w przeciwnym razie sprawa wyszłaby na jaw i cała opinia światowa zwałiłaby im na głowy tonę gruzu - powiedział Brogan. - Mylisz się, Doug. Następnym krokiem w kierunku całkowitego zlikwidowania tej groźby jest wymuszenie na Sumie zeznań o rozmieszczeniu wszystkich aut z ukrytymi głowicami.

Prezydent cierpliwie spoglądał w twarze dyskutujących przy stole mężczyzn.

- Pan Suma jest wrogiem naszego kraju i jako taki podlega tobie, Martin. Wyciśnij z niego, ile tylko się da. Musimy jak najszybciej odnaleźć i unieszkodliwić te bomby.

- Kiedy można będzie zabrać Sumę z pokładu "Bennetta"? - zapytał Brogan Simmonsa.

- Nie mamy w tamtym rejonie żadnego lotniskowca - odparł sekretarz obrony - musimy poczekać, aż okręt na tyle zbliży się do wyspy Wake, najbliższej bazy, by można zabrać Japończyka śmigłowcem.

- Im szybciej będziemy mieli Sumę w Waszyngtonie, tym prędzej będzie można wydusić z niego zeznania - powiedział Brogan.

Prezydent przytaknął ruchem głowy.

- Chciałbym też usłyszeć, co widzieli na wyspie Loren Smith oraz senator Diaz.

Do sali wszedł Don Kern i półgłosem przekazał Jordanowi jakąś wiadomość. Ten słuchał, energicznie kiwając głową, wreszcie spojrzał na prezydenta.

- Okazuje się, że nasi przyjaciele z NUMA pokonali kolejną przeszkodę. Komandor Harper przekazał w depeszy, że mały samolot turbinowy, który Pitt i Giordino porwali na wyspie, został zatankowany na pokładzie "Bennetta" i znajduje się już w powietrzu, lecąc do bazy na wyspie Wake.

Prezydent obrócił się w stronę Metcalfa.

- Zostawiam w pańskich rękach, generale, sprawę jak najszybszego przewiezienia Sumy i naszych parlamentarzystów do stolicy.

- Skontaktuję się z generałem Dukiem Mackayem, dowódcą bazy lotniczej Andersen na wyspie Guam, by wysłał na Wake pasażerski odrzutowiec. Powinien czekać już na lotnisku, zanim Pitt doleci na wyspę.

- W jakim stanie znajduje się Centrala Smoka? - prezydent zwrócił się ponownie do Jordana.

- Przykro mi, panie prezydencie, ale depesza komandora Harpera była bardzo lakoniczna i nie zawierała ani słowa o tym, czy operacja naszego zespołu MZB zakończyła się powodzeniem.

- Nie będziemy więc mieli pewności, dopóki tamci nie wylądują na wyspie Wake.

- Tak, panie prezydencie.

Oates spojrzał z ukosa na Jordana.

- Jeśli twoim agentom nie udało się uszkodzić instalacji w Centrali Smoka, nadal może nam zagrazać olbrzymie niebezpieczeństwo.

- Sądzę, że jeśli udało im się bezpiecznie wydostać z podziemi, to wykonali swoje

zadanie.

- Ale nie mamy żadnej pewności.

- Mimo wszystko uważam, że zyskaliśmy pewną przewagę, skoro wpadł nam w ręce główny inicjator projektu Kaiten - rzekł Simmons. - Jego współpracownicy znaleźli się w trudnej sytuacji i chyba nie będą mieli odwagi podejmować jakichś drastycznych działań bez aprobaty swego przywódcy.

- Obawiam się, że twoja teoria może się mijać z prawdą - odparł powoli Jordan. - Nie zwróciliśmy uwagi na pewien szczegół w depeszy z pokładu "Bennetta".

- Jaki szczegół? - zapytał prezydent.

- Chodzi o atak japońskich myśliwców na samolot uciekinierów - podsunął Brogan.

Jordan przytaknął ruchem głowy.

- Wiedzieli dobrze, że Suma znajduje się na pokładzie, a mimo to próbowali zestrzelić maszynę.

Simmons zabębnił palcami o blat stołu.

- To znaczy, że tamci... bez względu na to, kim są...

- Na pewno stary przywódca japońskiego świata przestępczego, Koron Yoshishu, i jego pupilek, finansista Ichiro Tsuboi - przerwał mu Jordan. - Byli partnerami Sumy przy budowie tego kryminalnego imperium.

- Musimy zatem przyjąć - podjął Simmons - że Hideki Suma nie jest dla nich niezastąpiony.

- Na to wychodzi - przyznał Kern.

- Czyli że Yoshishu i Tsuboi mogą przejąć kontrolę i w każdej chwili odpalić ładunki - dodał prezydent.

Optymizm malujący się na twarzy Brogana zaczął szybko znikać.

- Trudno przewidzieć, jak zareagują, jeśli zatrzymamy Sumę.

- Może powinienem jednak rozkazać wykonanie ataku nuklearnego - rzekł ciężko prezydent.

Jordan pokręcił głową.

- Jeszcze nie teraz, panie prezydencie. Możemy w inny sposób zyskać na czasie.

- Masz jakiś pomysł, Ray?

- Pozwólmy, żeby Japończycy przechwycili nadaną otwartym tekstem depeszę Harpera o tym, że samolot z Sumą, Smith i Diazem na pokładzie runął do morza i wszyscy zginęli.

Brogan skrzywił się z powątpiewaniem.

- Naprawdę myślisz, że Yoshishu i Tsuboi złapią się na tę przynętę?

- Może i nie - odparł Jordan z chytrym uśmieszkiem - ale założę się, że w ten sposób zyskamy czas, aby na dobre rozprawić się z projektem Kaiten.

Zgodnie z zapowiedzią, kiedy Pitt zatrzymywał samolot turbinowy przed niewielkim budynkiem terminalu, na końcu pasa startowego przecinającego całą wyspę Wake czekał już służbowy odrzutowiec pasażerski typu C-20, będący w dyspozycji przewodniczącego Zjednoczonego Sztabu Wojsk.

Mel Penner, który na ich powitanie przyleciał z Palau, stał przed wejściem, osłaniając uszy od głośnego wycia turbin lądującej maszyny. Teren lotniska został obstawiony dwudziestoma uzbrojonymi żandarmami. Penner podbiegł do samolotu i z niecierpliwością stał przy drzwiach, zanim się w końcu otworzyły i jako pierwszy wysiadł Weatherhill.

Penner podszedł do niego i uściskał mu dłoń.

- Cieszę się, że mogę cię nadal widzieć wśród żywych.

- Pozwól, że odwzajemnię się tym samym - rzekł Timothy z uśmiechem, po czym spojrzał na kordon obstawy. - Nie spodziewaliśmy się takiego komitetu powitalnego.

- Jesteście teraz przedmiotem wszystkich dyskusji w Białym Domu. Czy to prawda, że porwaliście Sumę?

Weatherhill skinął głową.

- Są z nami także Smith i Diaz.

- Niebywałe.

W wyjściu pojawiła się Stacy, którą także zdumiał widok Pennera i żandarmów.

- Mam dziwne przeczucie, że nie będzie ponownego tankowania i nie polecimy dalej, na Hawaje - rzekła witając się z Melem.

- Przykro mi. Odrzutowiec wojskowy ma zabrać Sumę i naszych parlamentarzystów do Waszyngtonu, to na nich czeka ta obstawa oraz specjalna grupa agentów wywiadu. Wy macie zostać tutaj, na Wake, i czekać na przylot jakichś ważniaków, oddelegowanych przez Jordana i prezydenta.

- Przepraszamy, że do tej pory przekazywaliśmy tylko skąpe meldunki - powiedział Weatherhill. - Sądziliśmy jednak, że lepiej nie gadać przez radio i osobiście przedstawić ci raport.

- Słusznie, Jordan pochwali was za to.

Timothy wręczył Pennerowi foliową teczkę z zadrukowanymi kartkami.

- Proszę, oto raport.

Tamten wybałuszył oczy ze zdziwienia.

- Jak to zrobiliście?

Weatherhill wskazał na samolot.

- Suma odpowiednio go wyposażył, zdążyliśmy napisać sprawozdanie na komputerze i wydrukować je w czasie lotu.

Przez drzwi maszyny wytknął głowę Mancuso.

- Cześć, Mel! Czy przygotowałeś kwiaty i szampana?

- Cieszę się, że cię widzę, Frank. Kiedy mogę ujrzeć waszych pasażerów?

- Zaraz będziesz ich miał, musisz tylko poczekać, aż dostaną rozpakowani i wylądowani.

- Trzymaliście ich pod strażą?

- Chwilami sprawiali nam trochę kłopotów.

Wyszli Loren i Diaz, mrużąc oczy od jaskrawego słońca. Penner przedstawił się im i nakreślił plan dalszej podróży. Wreszcie Mancuso wyprowadził Sumę i Toshie, mocno trzymając oboje pod rękę.

Penner skłonił się uprzejmie.

- Witamy na terytorium Stanów Zjednoczonych, panie Suma. Żałuję, że chyba nie spodoba się panu pobyt w naszym kraju.

Suma obrzucił go pogardliwym spojrzeniem, zarezerwowanym dla służby, i odwrócił wzrok, jakby agent wywiadu stał się dla niego niewidzialny. Natomiast Toshie patrzyła na Pennera z wyraźną nienawiścią.

- Musicie traktować pana Sumę z odpowiednim respektem. Domagamy się natychmiastowego uwolnienia i przewiezienia z powrotem do Japonii.

- Ależ oczywiście - odparł ironicznie Mel. - Lecz najpierw zrobimy wam prezent i za pieniądze amerykańskich podatników urządzimy ciekawe wakacje w naszej stolicy.

- To jest naruszenie praw międzynarodowych - powiedział z naciskiem Suma. - Jeśli nas nie uwolnicie, drogo was to będzie kosztowało i zginie wielu waszych obywateli.

Penner odwrócił się do Weatherhilla.

- Czy ta groźba jest nadal realna?

Tim spojrzał z ukosa na Sumę.

- Przykro mi, ale pan zapomina, że Centrala Smoka stała się niezdatna do użytku.

- Udało się wam? - zapytał Penner. - Ray Jordan i Don Kern chyba ogryzają tynk ze ścian, tak bardzo chcą poznać prawdę.

- Niewiele mogliśmy zrobić, podłożyliśmy jedynie mały ładunek w kanale głównej linii łączności światłowodowej. To jednak powinno ich opóźnić o parę dni.

Z samolotu wysiadł doktor Josh Nogami, którego Penner powitał serdecznie.

- To naprawdę wielka przyjemność spotkać się z panem, doktorze. Jesteśmy bardzo



wdzięczni za wszelkie przekazane informacje. Pańska pomoc była nieoceniona.

Japończyk wzruszył ramionami.

- Przykro mi, że nie mogłem nic zrobić dla Jima Hanamury.

- Gdyby się pan ujawnił, zapewne i pana by zamordowali.

- Pan Pitt zrobił wszystko, żeby temu zapobiec. - Nogami rozejrzał się wkoło, ale nie dostrzegł znajomych osób. - Wygląda na to, że jestem teraz agentem bez przydziału.

- Kiedy nasz wicedyrektor do spraw operacyjnych, Don Kern, dowiedział się, że pan również jest na pokładzie, zwrócił się z prośbą o czasowe oddelegowanie pana do tej operacji. Pańscy przełożeni wyrazili zgodę. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, żeby przez jakiś czas popracować z agentami byłej kolonii, pańska wiedza na temat Centrali Smoka byłaby dla nas wielce pomocna.

Tamten skinął głową.

- Tutejszy klimat zdecydowanie bardziej mi odpowiada od londyńskiej mżawki. Z wyjścia samolotu wyskoczył Giordino i pobiegł za oddziałem żandarmów eskortujących Sumę i Toshie do odrzutowca. Odciągnął na bok dowódcę i poprosił o zatrzymanie się na chwilę.

Al był zaledwie o centymetr wyższy od Toshie, toteż bez trudu zajrzał dziewczynie prosto w oczy.

- Zaczekaj, najdroższa.

Zaskoczona Japonka obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- O co panu chodzi?

- O zaloty, gruchanie, pieszczoty, czułości, oświadczyzny... Jak tylko będę mógł cię porwać, postaram się uczynić cię najszcześniejszą kobietą na świecie.

- Pan zwariował!

- To tylko jedna z moich wielu zalet - odparł czule Giordino. - W niedalekiej przyszłości odkryjesz ich znacznie więcej.

O dziwo, Toshie się zawahała: z niezrozumiałych dla siebie powodów nie potrafiła zaoponować, dostrzegła w Giordinie przystojnego mężczyznę, który mógłby się spodobać każdej Japonce. Siłą woli zdusiła narastające w głębi duszy uczucie sympatii do nieznanego. Al wyczuł jej wahanie. Swą wielką dłonią ujął ją delikatnie pod ramię, pocałował dziewczynę w usta i uśmiechnął się szeroko.

- Porwę cię, jak tylko będę mógł.

Toshie patrzyła jeszcze za nim rozszerzonymi oczyma, kiedy Penner chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę oczekującego samolotu.

Pitt odprowadził Loren do odrzutowca, kiedy Suma, Toshie i Diaz siedzieli już w

fotelach. Szli w milczeniu przez zalaną słońcem płytę lotniska.

Loren przystanąła kilka metrów przed wejściem do samolotu i spojrzała Dirkowi w oczy.

- Mam wrażenie, jakby ciągle któreś z nas odchodziło i wracało.

Pitt pokiwał głową.

- Jesteśmy oboje pochłonięci pracą, rzadko znajdujemy czas dla siebie.

- Może kiedyś... - zająknęła się.

- Może.

- Nie wracasz z nami? - zapytała po chwili.

Wzruszył ramionami.

- Chciałbym, lecz Al i ja dostaliśmy rozkaz, żeby tu poczekać.

- Nie mogą was wysłać z powrotem na tę cholerną wyspę.

- Nie zapominaj, że jestem specjalistą od inżynierii podwodnej. Nie sądzisz chyba, że dam się namówić do udziału w napadzie na Centralę Smoka z sześciostrzałowym koltem w garści.

- Porozmawiam z prezydentem i poproszę, żeby odesłano ciebie i Ala do domu.

- Nie przejmuj się tym - rzekł swobodnym tonem. - Prawdopodobnie zostaniemy odesłani następnym samolotem.

Loren wspięła się na palce i pocałowała go serdecznie.

- Dzięki za wszystko.

- Czego się nie robi dla pięknej kobiety - odpowiedział Pitt z uśmiechem.

W oczach Loren pojawiły się łzy, coś ją ścisnęło w dołku. Przeczuciwała, że nie doczeka się jego powrotu następnym samolotem. Odwróciła się na pięcie i szybko wbiegła po schodkach do odrzutowca.

Pitt jeszcze przez chwilę patrzył za nią, a gdy dojrzał ją w jednym z okien, pomachał ręką. Lecz kiedy Loren spojrzała ponownie, gdy samolot zaczął kołować, na pasie startowym nie było już nikogo.

Tsuboi nie mógł w to uwierzyć. Rozstał się z Yoshishu i przyjechał z Tokio do Edo City, by osobiście przejąć dowodzenie Centralą Smoka, lecz ta nieoczekiwana wiadomość niemal doprowadziła go do furii.

- Co to znaczy, że nie możecie zdetonować ani jednej bomby?! - wrzasnął.

Takeda Kurojima, dyrektor centrali, był przerażony. Rozejrzał się wkoło, szukając jakiegoś wsparcia wśród kierowniczego personelu technicznego i naukowego, ale wszyscy wbili wzrok w podłogę, jakby chcieli się zapaść pod ziemię.

- Tylko pan Suma zna hasło - odparł rozkładając bezradnie ręce. - Osobiście zaprogramował dostęp do komputera sterującego sygnałami radiowymi.

- Ile czasu potrzebujecie, żeby zmienić to hasło?

Kurojima ponownie spojrzął na grupę współpracowników, którzy nagle zaczęli dyskutować półgłosem. Doszli w końcu do porozumienia, jeden z nich wystąpił i bąknął coś tak cicho, że Tsuboi nie dosłyszał.

- Co? Co on powiedział?

- Trzy dni. - Kurojima odważył się wreszcie spojrzeć w oczy Tsuboiego. - Potrzebujemy co najmniej trzech dni, żeby włamać się do programu pana Sumy i zmienić kody sterujące.

- Aż tyle?

- To nie jest takie proste.

- Czy dotyczy to również sterowania robotami, które mają prowadzić samochody?

- Nie, można je uruchomić w dowolnej chwili. Pan Suma nie uważał za konieczne zabezpieczyć program zarządzający sterowaniem robotów i rozmieszczaniem aut.

- Daję wam dwa dni, czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie projekt Kaiten musi być gotów do działania.

Tsuboi zacisnął mocno wargi i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Przeklinał w duchu tego starego lisa, który ich wszystkich przechytrzył, który nie ufał nikomu, nawet swemu najbliższemu przyjacielowi, Yoshishu.

Zadzwoił telefon. Jeden z techników podniósł słuchawkę, słuchał przez chwilę, po czym wyciągnął ją w stronę Tsuboiego.

- Pan Yoshishu z Tokio do pana.

- Słucham, Korori. Mówi Ichiro.

- Nasze służby wywiadowcze przechwyciły meldunek nadany z pokładu amerykańskiego okrętu. Zgodnie z jego treścią samolot Hidekiego został zestrzelony. Czy któryś z naszych pilotów widział, jak wpada do morza?

- Wrócił tylko jeden. Poinformowano mnie, że pilot ocalałego myśliwca uciekał spod tak silnego ostrzału, że nie miał sposobności zauważyć, czyjego rakietą trafiła w cel.

- To może być błąd ze strony Amerykanów.

- Możemy się dowiedzieć prawdy, jeśli wykonamy zdjęcia okrętu z naszego satelity obserwacyjnego.

- A jeśli okaże się, że samolot stoi na pokładzie? - Yoshishu zawiesił na chwilę głos. - To będziemy mieli przynajmniej pewność, że jest za późno i Suma wpadł im w łapy.

- Na pewno by go trzymali pod ścisłą strażą agentów wywiadu - dodał Tsuboi.

- Stajemy wobec nieprzyjemnej sytuacji. W rękach wywiadu amerykańskiego Hideki stanie się bardzo niewygodny dla Japonii.

- Pod wpływem środków farmakologicznych może zdradzić rozmieszczenie wszystkich samochodów z bombami.

- To znaczy, że musimy działać szybko, jeśli chcemy uratować projekt Kaiten.

- Jest pewien szkopuł - rzekł Tsuboi posępnym tonem. - Tylko Hideki znał hasło otwierające dostęp do komputera sterującego detonacją.

W słuchawce przez jakiś czas panowała cisza, wreszcie Yoshishu rzekł powoli:

- Zawsze uważałem go za szczwanego lisa.

- Okazał się aż nadto przebiegły.

- Zostawiam w twoich rękach uporanie się z tym problemem.

- Nie zawiodę twego zaufania.

Tsuboi odłożył słuchawkę i popatrzył za okno. W sali panowała cisza, wszyscy czekali na jego rozkazy. Przecież musi istnieć jakiś inny sposób poniżenia i zmuszenia do uległości Stanów Zjednoczonych oraz pozostałych państw zachodnich, myślał Japończyk. A ponieważ on także był bardzo sprytny, już po kilku sekundach w jego głowie zrodził się plan zastępczy.

- Czy bardzo trudno jest zdetonować nasze bomby ręcznie? - zapytał, odwracając się ku zgromadzonym w sali pracownikom.

Kurojima w zdumieniu uniósł wysoko brwi.

- To znaczy spowodować wybuch innym sposobem niż za pomocą sygnałów radiowych?

- Tak, właśnie.

Dyrektor, który od samego początku uczestniczył w pracach nad projektem Kaiten, skłonił się i odpowiedział:

- Są dwie metody, którymi można uzyskać masę podkrytyczną substancji rozszczepialnej i spowodować eksplozję. Trzeba albo obłóżyc głowicę silnym materiałem

wybuchowym, którego detonacja spowoduje połączenie obu połówek ładunku, albo też zestrzelić je razem za pomocą urządzenia działającego na zasadzie armaty.

-Więc jak można doprowadzić do eksplozji naszej bomby? - powtórzył zniecierpliwiony Tsuboi.

-Trzeba wykorzystać pęd - wyjaśnił szybko Kurojima. - Mógłby tego dokonać duży pocisk, który by z dużą szybkością przebił osłonę sprężarki i zestrzelił ładunki.

Tsuboi patrzył na niego podejrzliwie.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że można doprowadzić do eksplozji zwyczajnie strzelając z karabinu do sprężarki?

- Owszem, z bliskiej odległości. - Kurojima skłonił się ponownie.

Tamten wybałuszył oczy, jakby nie mieściło mu się to w głowie.

-Więc czemu by nie zaprogramować robotów, żeby po prostu wypaliły z karabinu w osłonę sprężarki?

- To w niczym nie przyspieszy sprawy - odparł Kurojima. - Roboty, których celem jest doprowadzenie aut na miejsce eksplozji, nie są odpowiednio wyposażone i zaprogramowane do takiego zadania.

- A czy nie można zmodyfikować jednego z robotów wartowniczych?

- To odwrotny problem. Roboty strażnicze są przystosowane do użycia broni, ale poruszają się na podwoziach i nie mogą prowadzić samochodów.

- Ile czasu by wam zajęło skonstruowanie robota odpowiedniego do tej pracy?

- Wiele tygodni, co najmniej miesiąc. Proszę zrozumieć, że musielibyśmy od początku zaprojektować bardzo skomplikowaną maszynę. Pośród już wyprodukowanych nie ma żadnego automatu, który mógłby prowadzić samochód, poruszać się na dwóch nogach, otworzyć maskę auta i wystrzelić z karabinu. Takiego robota musielibyśmy skonstruować od podstaw, a to wymaga czasu.

Tsuboi popatrzył na niego uważnie.

-Trzeba zdetonować jedną bombę w ciągu najbliższych pięciu godzin, żeby dać Amerykanom do zrozumienia, że system jest gotów do działania.

Kurojima odzyskiwał pewność siebie, coraz lepiej panował nad nerwami i już tak bardzo nie bał się Tsuboiego. Przez chwilę patrzył tamtemu prosto w oczy.

- W takim razie musi pan znaleźć jakiegoś człowieka, który wykona to zadanie.

Dochodziła piąta po południu i niebo na wschodzie zaczynało ciemnieć. Odrzutowiec C-20, który dwie godziny wcześniej, po uzupełnieniu paliwa, wystartował z lotniska Hickam Field na Hawajach, zmierzał nad Pacyfikiem w stronę Kalifornii. Loren wyglądała przez okno,

wypatrując drobnej plamki jakiegoś statku ciągnącego za sobą ogon spienionej wody, ale morze pod nimi było puste i tylko gdzieś tam pojawiały się białe grzywy fal.

Odwróciła fotel od okna i znalazła się twarzą w twarz z Sumą. Japończyk siedział z kwaśną miną, sącząc wodę sodową. Zaskoczenie wywołane porwaniem oraz świadomością, że Yoshishu wydał na niego wyrok śmierci, minęło jakiś czas temu. Siedział teraz rozluźniony, dogłębnie przekonany, że zaraz po dotarciu do Waszyngtonu znów będzie mógł ująć sprawy w swoje ręce. Spojrzał na Loren i uśmiechnął się lekko.

- Nadal chce pani wprowadzić ustawę zamykającą wasz rynek dla wszystkich towarów japońskich?

- Czy dziwi to pana, w świetle tego, co widziałam i czego doświadczyłam w ciągu kilku ostatnich dni?

- My, w Japonii, robimy dalekosiężne plany i przewidzieliśmy taką możliwość. Nasza gospodarka nie ucierpi na tym, gdyż dokonaliśmy wielu inwestycji w Europie i Azji. Już wkrótce będziemy mogli całkowicie zrezygnować z handlu ze Stanami Zjednoczonymi. Zamknięcie amerykańskiego rynku to jeszcze jeden element waszej nieuczciwej polityki.

Loren zaśmiała się cicho.

- A co pan może wiedzieć o zasadach uczciwej polityki gospodarczej? - Spoważniała szybko. - Żaden zagraniczny wytwórca nie może sprzedawać w Japonii swoich produktów, gdyż wasze bariery celne doprowadzą go do ruiny, wasz kuriozalny system dystrybucji towarów spowoduje olbrzymie straty, a miejscowi konkurenci zniszczą go nieuczciwymi metodami. A wszystko podobno tylko dlatego, że obcokrajowcy nie rozumieją waszej kultury.

- Pani zachowanie, pani Smith, nosi głębokie znamiona antyjapońskiego rasizmu. Bo cóż w tym złego, że staramy się zdobyć jak najwięcej rynków na całym świecie? Po wojnie nie mieliśmy nic. Wszystko, co sami zdobyliśmy, wy chcecie nam teraz odebrać.

- Co chcemy wam odebrać? Ogłoszone samowolnie prawo rządzenia gospodarką światową? - Loren dostrzegła w oczach Sumy cień narastającej złości. - Zamiast pomagać wam odbudowywać kraj ze zniszczeń i tworzyć niezwykle wydajny system gospodarczy, powinniśmy byli potraktować was tak samo jak wy Mandzurię, Koreę i Chiny podczas okupacji tych ziem.

- Wiele powojennych sukcesów gospodarczych kraje te zawdzięczają właśnie pomocy Japonii.

Loren bezsilnie pokręciła głową, nie przypuszczała, że Suma może po prostu negować oczywiste fakty historyczne.

- Niemcy przynajmniej okazali skruchę za zbrodnie hitlerowców, a wy zachowujecie się

tak, jak gdyby to ktoś inny wymordował miliony ludzi w Azji i na wyspach Pacyfiku.

- Uwolniliśmy się od wspomnień z tamtych lat - odparł Suma. - Miało miejsce wiele nieszczęść, ale przecież toczyła się wojna.

- Owszem, ale to wy roznieciliście tę wojnę. Nikt przecież nie zaatakował Japonii.

- To martwa przeszłość, wolimy myśleć o przyszłości. Czas pokaże, która kultura jest dominująca - powiedział z naciskiem. - Tak jak wszystkie cywilizacje zachodnie, poczynając od starożytnej Grecji, upadnie wskutek rozkładu od środka.

- Może i tak - odparła Loren z uśmiechem. - Sądzę jednak, że i was to kiedyś czeka.

Penner podniósł się z krzesła, odwrócił i stanął twarzą do członków zespołu MZB, zgromadzonych w jednym z biur w hangarze lotniska. Wystukał popiół z fajki do stojącego przy biurku wiadra z piaskiem i ruchem głowy wskazał dwóch mężczyzn, z których jeden stał, a drugi siedział w przeciwległym końcu pomieszczenia.

- Po tym wstępie zabierze głos Clyde Ingram, ów dżentelmen w długiej hawajskiej koszuli. Clyde jest kierownikiem Działu Interpretacji Danych Naukowych i Technicznych i opowie wam o swoim odkryciu. Następnie Curtis Meeker, mój stary przyjaciel z czasów pracy w Służbach Specjalnych, obecnie wicedyrektor do spraw operacji technicznych, przedstawi swój niezwykle plan.

Ingram podszedł do tablicy na sztalugach, zakrytej kawałkiem płótna. Zza eleganckich okularów, spiętych łańcuszkiem przerzuconym przez szyję, powiódł po zgromadzonych spojrzeniem niebieskich oczu. Miał starannie przystrzyżone ciemne włosy, był średniego wzrostu i w czarnej, luźnej koszuli typu aloha przypominał Toma Sellecka grającego główną rolę w serialu o Thomasie Magnum, którego głównym zajęciem było jeżdżenie ferrari wokół Honolulu.

Ściągnął zasłonę z tablicy i kciukiem wskazał rozpięte na niej powiększone zdjęcie jakiegoś starego, zniszczonego samolotu.

- To, co widzicie, to superforteca B-Dwadzieścia Dziewięć z czasów drugiej wojny światowej. Spoczywa ona na dnie morza trzydzieści sześć kilometrów od wyspy Soseki, na głębokości trzystu dwudziestu metrów, czyli około tysiąca stóp pod powierzchnią oceanu.

- Zdjęcie jest niezwykle wyraźne - wtrąciła Stacy. - Czy zrobiono je z łodzi podwodnej?

- Nie, samolot został odkryty na podstawie zdjęć z naszego satelity rekonesansowego typu Pyramider Jedenaście podczas penetracji okolic wyspy Soseki.

- Potraficie zrobić tak wyraźne zdjęcie dna morskiego ze znajdującego się na orbicie satelity? - zapytała dziewczyna z niedowierzaniem.

- Potrafimy.

Giordino, który siedział na samym końcu, z nogami opartymi na stojącym przed nim krześle, zapytał:

- W jaki sposób?

- Nie będę się wdawał w szczegóły, bo zajęłoby to zbyt wiele czasu. Powiedzmy, że do badania kształtu dna morskiego i znajdujących się na nim obiektów wykorzystujemy zmienne fale akustyczne w połączeniu z sygnałami radarowymi o bardzo niskiej częstotliwości.

Pitt rozsiadł się wygodniej.



- Jak później interpretujecie ten obraz?

- Pyramider przekazuje go drogą radiową, za pośrednictwem zwykłego satelity telekomunikacyjnego, do ośrodka w White Sands, w Nowym Meksyku, gdzie następuje pierwotna obróbka komputerowa. Zakodowane zdjęcie jest następnie przesyłane do Krajowej Agencji Wywiadowczej, a tu ponownie obrabia się je komputerowo. W tym szczególnym wypadku skorzystaliśmy także z fotografii wykonanych przez samolot rozpoznawczy typu Casper SR-Dziewięćdziesiąt, dzięki którym uzyskaliśmy tak szczegółową fotografię.

Stacy podniosła rękę.

- Czy Casper robi zdjęcia tą samą metodą co Pyramider?

Ingram rozłożył bezradnie ręce.

- Przykro mi, ale nie naruszając największych tajemnic wojskowych mogę powiedzieć tylko tyle, że Casper rejestruje faktyczny obraz, który można utrwalić na zwykłej analogowej taśmie wideo. Porównując systemy Pyramidera i Caspera można by rzec, że różnią się one tak, jak światło reflektora różni się od laserowego. Pierwszy z nich fotografuje duże obszary, podczas gdy drugi zaledwie drobne wycinki dna.

Mancuso wyciągnął szyję i z wyraźnym zainteresowaniem spoglądał na powiększone zdjęcie.

- Jakie znaczenie ma ten stary zatopiony bombowiec? Czy istnieje jakiś związek między nim a projektem Kaiten?

Ingram zerknął na Franka i postukał długopisem w fotografię.

- Ten samolot, a ściślej mówiąc jego szczątki pomogą nam zniszczyć wyspę Soseki i Centralę Smoka.

W pierwszej chwili nikt nie mógł uwierzyć w jego słowa. Wszyscy gapili się na Ingrama, jakby mieli przed sobą oszusta, usiłującego na wiejskim targu sprzedać wieśniakom cudowny eliksir na wszelkie dolegliwości.

- Bagatelka - odezwał się w końcu Giordino. - Trzeba tylko wydobyć go z dna, poskładać do kupy i można planować nalot bombowy.

Nogami uśmiechnął się krzywo.

- Domyślam się, że chodzi o użycie ponad pięćdziesięcioletnich bomb z jego arsenału do wybicia dziury w skale.

Ingram odpowiedział mu uśmiechem.

- Może mi pan wierzyć, że da się to zrobić przy użyciu bomby, jaka znajduje się na pokładzie B-Dwadzieścia Dziewięć.

- Oho, zaczyna mi coś śmierdzieć. - Pitt lekko pokiwał głową. - Chyba przyjdzie nam

realizować następny cudowny pomysł chłopców w białych rękawiczkach.

Ingram przesunął się nieco w bok.

- Konkretny plan przedstawi mój kolega, Curtis Meeker.

Dirk z ironicznym uśmiechem spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Czy wy, chłopcy, musicie grać w tej samej orkiestrze, co Ray Jordan i Don Kern?

- Owszem, zdarza nam się nawet grać tę samą melodię - odparł śmiertelnie poważny Meeker.

Ingram odwrócił się z powrotem do tablicy, odpiął fotografię i rzucił ją na krzesło, odsłaniając na drugim zdjęciu diabełka namalowanego na boku kadłuba.

- "Demony Denningsa" - oznajmił, wskazując długopisem ledwie widoczny napis biegnący dokoła znaczka. - Dowódcą samolotu był major Charles Dennings. Proszę zwrócić uwagę, że ten diabełek stoi na sztabce złota z oznaczeniem: dwadzieścia cztery karaty. Po tym, jak w trakcie szkolenia w Kalifornii załoga zdemolowała dużą piwiarnię i została surowo ukarana, do ludzi przyłgnęło określenie "złotoniosek", gdyż przysporzyli armii wielkich wydatków. Zresztą szczycili się tym mianem.

- Swojskie chłopaki, w moim typie - mruknął Giordino.

- Wszystkie akta zostały zagrzebane głęboko w archiwach w Langley, dopiero kilka dni temu zdołaliśmy z Curtisem do nich dotrzeć. Zgodnie z zapiskami ta dzielna, odważna załoga została wytypowana do zrzucenia na Japonię bomby atomowej...

- Co takiego?! - wykrzyknął zdumiony Weatherhill, a reszta grupy była nie mniej oszołomiona.

Lecz Ingram pomiął milczeniem to pytanie.

- Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pułkownik Tibbets startował swoim "Enola Gay" z wyspy Tinian na Pacyfiku, mając na pokładzie bombę znaną pod nazwą "Mały Chłopiec" major Dennings startował daleko na północy, z wyspy Shemya w archipelagu Aleutów, z drugą bombą, nazwaną "Oddech Matki". Zachował się tylko bardzo ogólnikowy raport z tej akcji, domyślamy się jednak, że Dennings miał wykonać przelot w jedną stronę, zrzucić bombę, prawdopodobnie na Osakę lub Kioto, uzupełnić paliwo na Okinawie i wylądować na Tinian. Chyba wszyscy pamiętamy z podręczników historii, że Tibbetsowi udało się zrzucić bombę na Hiroszimę. O Denningsie wszelki śluch zaginął, a jego ostatni lot z rozkazu prezydenta został na zawsze okryty tajemnicą.

- Chwileczkę - przerwał mu Mancuso. - Czy chce pan nam powiedzieć, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku zbudowaliśmy więcej niż trzy bomby atomowe?

Stacy odchrząknęła.

- Poza pierwszą bombą, “Trójką”, zdetonowaną na próbę w Los Alamos, oraz “Małym Chłopcem” i “Grubasem”, którego później zrzucono na Nagasaki, o innych nic nie wiadomo.

- Nie wiemy dokładnie, ile bomb wyprodukowano, ale było ich co najmniej sześć. Większość z nich miała w przybliżeniu tę samą siłę rażenia co “Grubas”.

- Bomba Denningsa jest czwarta - wtrącił Pitt - zatem wciąż brakuje nam dwóch.

- Kolejna, o nazwie “Macica Perłowa”, została załadowana na wyspie Guam na pokład superfortecy “Mała Lii” zaraz po wyzwoleniu wyspy spod okupacji japońskiej. “Mała Lii” była już w drodze do Japonii, gdy major Charles Sweeney pilotujący “Auto Boćka” zrzucił “Grubasa” na Nagasaki. Kiedy tylko nadszedł meldunek, że akcja zakończyła się zgodnie z planem, “Małą Lii” zawrócono na Guam, a rozbrojoną bombę przetransportowano z powrotem do Los Alamos.

- Brakuje jeszcze jednej.

- “Matka Oceanu” znajdowała się na wyspie Midway, ale nigdy nie została nawet załadowana do samolotu.

- Kto powymyślał te kretyńskie nazwy? - mruknęła Stacy.

Ingram wzruszył ramionami.

- Nie mamy pojęcia.

- Czy Dennings oraz pozostałe załogi na Guam i Midway także pochodziły z Pięćset Dziewiątej Eskadry Bombowej pułkownika Tibbetsa? - zapytał Dirk.

- Tego też nie wiemy. Osiemdziesiąt procent akt uległo zniszczeniu. Możemy się tylko domyślać, że generał Groves, odpowiedzialny za realizację projektu bombowego “Manhattan”, dysponował wielotorowym planem działania, gdyż detonatory tych bomb były bardzo zawodne. Istniała też możliwość, choć mało prawdopodobna, że “Enola Gay” lub “Auto Boćka” rozbiją się podczas startu, a eksplozja zmiecie całą Pięćset Dziewiątą Eskadrę i nie zostanie żadna przeszkolona załoga, która by mogła zrzucić pozostałe bomby. W dodatku trzeba się było liczyć z wieloma innymi czynnikami: możliwością japońskiego ataku bombowego na Tinian, awarią samolotu, która by zmusiła załogę do zrzucenia bomby do morza, czy wreszcie zestrzeleniem maszyny przez myśliwce lub artylerię przeciwlotniczą. Generał Groves dopiero w ostatniej chwili polecił przygotować rezerwowe załogi. Major Dennings i jego “Demony”, a także załogi z Guam i Midway, przeszły pospieszne jednomiesięczne szkolenie przed przystąpieniem do akcji.

- Dlaczego po zakończeniu wojny te wszystkie fakty trzymane były w tajemnicy przed opinią publiczną? - zapytał Pitt. - Czy po pięćdziesięciu latach ujawnienie losów “Demonów Denningsa” mogło przynieść jakąkolwiek szkodę?

- Cóż mogę powiedzieć? - Ingram bezradnie rozłożył ręce. - Po trzydziestu latach, kiedy ogłoszono ustawę o swobodnym dostępie do informacji, kilku sprytnych polityków doszło do wniosku, że przeciętny Amerykanin, który zresztą łoży na ich pensje, jest zbyt naiwny, aby powierzyć mu taką wstrząsającą informację. Akta zaklasyfikowano jako ściśle tajne i upchnięto w podziemnym archiwum CIA w Langley.

- Tibbets zebrał śmietankę, a Denningsowi pozostał smród - mruknął nastrojony filozoficznie Weatherhill.

- A więc cóż "Demony Denningsa" mają wspólnego z nami? - zapytał Dirk.

- O tym opowie już Curtis. - Ingram ruchem głowy wskazał Meekera i usiadł na krześle.

Tamten podszedł do szkolnej tablicy wiszącej z boku na ścianie i wziął do ręki kawałek kredy. Narysował schematycznie wrak B-Dwadzieścia Dziewięć i nierówną linię, mającą przedstawiać przekrój dna morskiego, aż do prawie pionowego wzniesienia odpowiadającego skałom wyspy Soseki. Dorysował jeszcze kilka szczegółów budowy geologicznej dna i odwrócił się z szerokim uśmiechem na ustach.

- Clyde przedstawił pokrótce, co wykryły kamery i systemy detekcyjne satelity - zaczął - ale dysponujemy też innymi urządzeniami, zdolnymi ujawnić wewnętrzną strukturę powierzchniowych warstw ziemi poprzez pomiar bardzo szerokiego spektrum promieniowania. Nie będę się wdawał w szczegóły, zresztą nie przybyliśmy tu z Clyde'em po to, by robić wykłady. Powiem tylko, że ładunek wybuchowy, który podłożyliście w Centrali Smoka, nie spełnił swego zadania.

- Podkładane przeze mnie bomby zawsze wybuchają - mruknął zdeprymowany Weatherhill.

- Owszem, plastik eksplodował - wyjaśnił Meeker - ale nie w tym miejscu, gdzie go umieściliście. Gdyby doktor Nogami nadal znajdował się na terenie podziemnego kompleksu, z pewnością przekazałby informację, że wybuch miał miejsce dobre pięćdziesiąt metrów od pomieszczenia rozrządu mocy.

- Niemożliwe - wtrąciła Stacy. - Sama widziałam, jak Timothy podłożył ładunek w kanale i przykleił go do grubego pęku kabli.

- Został przeniesiony - powiedział w zamyśleniu Japończyk. - Jakim sposobem?

- Widocznie robot inspekcyjny zauważył drobną zmianę w przebiegu impulsów, zaczął kontrolę i znalazł plastik. Potem odkleił ładunek i zawiadomił dyspozytornię. Zegar musiał spowodować detonację wtedy, gdy bombę przewożono korytarzem do warsztatów w celu jej zbadania.

- Zatem Centrala Smoka w dalszym ciągu jest zdolna do działania - podsumował

grobowym głosem Mancuso.

- A projekt Kaiten może być wprowadzony w życie poprzez detonację głowic - dodała Stacy.

Meeker skinął głową.

- Właśnie tego się obawiamy.

- To znaczy, że cała nasza operacja zakończyła się klapą - mruknął zde gustowany Weatherhill.

- Niezupełnie - wyjaśnił cierpliwie Meeker. - Porwaliście Sumę, a bez niego nie można zdetonować bomb.

Stacy zrobiła zdziwioną minę.

- A co powstrzymuje jego kumpli przed odpaleniem głowic?

Pitt zerknął z ukosa na Nogamiego.

- Czyżby nasz niezastąpiony doktor znał odpowiedź?

- To fakt, że zdołałem wyciągnąć od zaprzyjaźnionego programisty pewną drobną informację - rzekł Japończyk z szerokim uśmiechem. - Mogłem się swobodnie poruszać po całym kompleksie i pewnego razu zerknąłem przez ramię jednemu z techników, który kodował główny program sterujący projektem Kaiten. Zapamiętałem kody wejściowe i przy pierwszej sposobności włamałem się do programu. Stąd znałem lokalizację aut z głowicami, którą wam przekazałem. Kiedy jednak chciałem wprowadzić wirusa komputerowego do tego programu, odkryłem, że dostęp do niego ma jedynie Suma.

- A zatem nikt oprócz Hidekiego Sumy nie może wcielić w życie projektu Kaiten - stwierdziła Stacy z wyraźną ulgą w głosie.

- Zapewne teraz programiści dwoją się i troją, by zmienić tę sytuację - rzekł Meeker i rozejrzał się po wszystkich zgromadzonych członkach zespołu MZB. - I tak należą się wam serdeczne gratulacje, gdyż wasze działania mimo wszystko zablokowały Centralę Smoka, zmuszając Japończyków do pospiesznej zmiany programu sterującego, a zarazem dając nam czas na realizację planu, który raz na zawsze zlikwiduje tę groźbę.

- O ile nadażani za biegiem waszych myśli - rzekł cicho Pitt - ów plan prowadzi nas z powrotem do "Demonów Denningsa".

- Zgadza się - przyznał Meeker. Przysiadł na krawędzi stolika i zaczął przedstawiać schemat operacji: - Prezydent był gotów poświęcić swą karierę polityczną i wydać rozkaz nuklearnego uderzenia na Centralę Smoka, ale gdy się dowiedzieliśmy o waszej ucieczce, namówiliśmy go do rezygnacji z ataku. Swoimi działaniami daliście nam trochę czasu, niewiele, ale wystarczająco, żeby dopracować szczegóły planu, który zrodził się w ciągu

ostatnich godzin.

- Zmierza pan do tego, żeby zdetonować bombę znajdującą się wewnątrz wraka B-Dwadzieścia Dziewięć - rzekł Pitt, w skupieniu mrużąc oczy.

- Owszem. - Meeker westchnął głośno. - Ale najpierw trzeba ją wyciągnąć i przetransportować nieco bliżej.

- Do cholery! I tak nie rozumiem, jaką szkodę może wyrządzić wulkanicznej wyspie bomba atomowa, która eksploduje w odległości czterdziestu kilometrów - mruknął Giordino.

- Grupa najlepszych oceanografów i geofizyków uważa jednak, że wybuch jądrowy na dnie oceanu może całkowicie zniszczyć Centralę Smoka.

- Ciekawe jak - wtrąciła Stacy, wierząc się niczym komar, który znalazł kawałek odkrytej skóry.

Meeker podszedł do tablicy.

- Major Dennings, oczywiście nieświadomie, wpadł do morza w miejscu wręcz wymarzone dla nas, jeśli zamierzamy zlikwidować największe od czterdziestu ośmiu lat zagrożenie dla naszego kraju. - Narysował drugą falistą linię biegnącą pod dnem oceanu, od wraka samolotu prawie do wybrzeży wyspy. - Oto jedno z największych pęknięć skorupy ziemskiej odpowiedzialnych za aktywność sejsmiczną w całym rejonie. Biegnie prawie dokładnie pod Centralą Smoka.

Nogami z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Kompleks podziemny został tak zaprojektowany, aby wytrzymał nawet silne trzęsienie ziemi czy uderzenie jądrowe. Detonacja starej bomby atomowej, przy założeniu, że da się ją jeszcze zdetonować po pięćdziesięciu latach leżenia w słonej wodzie, z zamiarem pobudzenia wstrząsów, wydaje mi się stratą czasu.

- Doktor Nogami przedstawił rzeczowy argument - dodał Pitt. - Wyspę tworzy lita skała, której nie zniszczy nawet silna fala uderzeniowa.

Meeker przez chwilę milczał, uśmiechając się krzywo.

- Oczywiście, wytrzyma uderzenie fali - powtórzył z ironicznym uśmieszkiem. - Ale znajdzie się pod wodą.

Około pięćdziesiąt kilometrów na pomocny wschód od Sheridan w stanie Wyoming, w pobliżu granicy z Montaną, Dan Keegan jechał na wierzchowcu okrytym kozłą skórą i wypatrywał śladów kłusowników. Przygotowując się do kolacji, usłyszał z oddali strzały dwóch strzelb i natychmiast poprosił żonę, by włożyła z powrotem jego porcję kurczaka do piekarnika, po czym załadował swojego starego mauzera i dosiadł ulubionego konia.

Kłusownicy, którzy nie zwracali uwagi na porozstawiane przez niego tablice zabraniające polowania i przełazili przez ogrodzenia, nieustannie doprowadzali go do szału. Nie dalej jak dwa miesiące wcześniej poranili mu najładniejsze cielę - jakiś amator mierzył do sześciopunktowego kozła, ale drasnął go ledwie, natomiast kula trafiła pasącego się dwa kilometry dalej cielaka. Od tamtej pory Keegan zawzięcie ścigał kłusowników, nie chcąc ich więcej widzieć na swoich gruntach.

Posuwał się ich śladem wzdłuż Hanging Woman Greek, czyli Strumienia Powieszanej Kobiety. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta nazwa. O ile sobie przypominał, jedyną kobietą powieszoną w Wyoming była Ella Watson, znana jako "Kasia Koniokrad". W roku 1889 wpływowi farmerzy samowolnie powołali straż obywatelską, schwytali kobietę i powiesili ją, ale miało to miejsce nad rzeką Sweetwater, trzysta kilometrów na południowy zachód.

W rześkim powietrzu promienie zachodzącego słońca kłuły w oczy, zalewając okoliczne wzgórza żółtopomarańczową poświatą. Dan wyjechał na równinę i zaczął wypatrywać śladów. Odnalazł je szybko i wkrótce dotarł do miejsca, gdzie na ziemi leżały łuski, a nieco dalej piasek był przesiąknięty posoką. Kłusownicy zniknęli ze swoim łupem.

Fakt, że się spóźnił, rozzłościł go jeszcze bardziej. Żeby wjechać samochodem na jego teren, tamci musieli albo rozwalić ogrodzenie, albo odstrzelić kłódkę przy bramie, która przegradzała polną drogę odchodzącą od szosy. Teraz było już za późno, postanowił więc z samego rana wysłać któregoś z pomocników, żeby sprawdził ogrodzenie i bramę. Dosiadł z powrotem konia i zawrócił w stronę domu.

Ujechał zaledwie kilkaset metrów i gwałtownie ściągnął wodze.

Wiatr przyniósł stłumiony odgłos pracy silnika samochodu. Dan przesłonił dłonią ucho i zaczął nasłuchiwać. Warkot stopniowo się przybliżał, ktoś jechał w tę stronę. Keegan skierował konia ku szczytowi wzniesienia i popatrzył na ciągnącą się w dole równinę. Samochód gnał polną drogą w wielkiej chmurze pyłu.

Dan spodziewał się, że zza krzaków porastających zakręt wypadnie typowa półciężarówka albo terenowy dżip z napędem na cztery koła, toteż zdumiał go widok zwyczajnego brązowego sedana, prawdopodobnie japońskiej produkcji.

Kierowca wkrótce zatrzymał wóz na otwartej przestrzeni i siedział przez jakiś czas, czekając, aż opadnie chmura kurzu. Wreszcie wysiadł, otworzył maskę i przez kilka chwil przyglądał się silnikowi. Następnie obszedł samochód, otworzył bagażnik i wyciągnął teodolit. Keegan patrzył z coraz większym zdumieniem, jak tamten ustawia przyrząd na trójnogu, kieruje wizjer na wybrane charakterystyczne punkty krajobrazu, odczytuje odległości i porównuje je z zapiskami w notatniku oraz z wielką mapą geologiczną rozłożoną na ziemi.

Keegan miał pewne doświadczenie w pomiarach teodolitem i nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś przeprowadzał je w taki sposób. Wyglądało na to, że nieznanemu zależy jedynie na dokładnym określeniu miejsca, w którym się znajduje. Tamten w końcu cisnął notatnik na ziemię, ponownie obszedł wóz i zapatrzył się na silnik jak zahipnotyzowany. Po kilku sekundach otrząsnął się, otworzył tylne drzwi samochodu i wyciągnął karabin.

Keegan zbyt wiele miał do czynienia z kłusownikami, by nie zorientować się szybko, że dziwny przybysz nie jest zwykłym geodetą, który postanowił przy okazji ustrzelić jakąś zwierzynę - tym bardziej że miał na sobie elegancki garnitur i krawat. Popędził konia i niepostrzeżenie zbliżył się do nieznanego, który nieudolnie próbował załadować karabin, jakby nigdy przedtem nie miał do czynienia z bronią. Nie słyszał nadjeżdżającego Keegana: pylisty grunt i wysoka trawa tłumiły stukot końskich kopyt. Dan ściągnął wodze, kiedy znalazł się nie dalej niż osiem metrów od nieznanego i ze skórzanego olstra przy siodle wyciągnął swego mauzera.

- Kto panu pozwolił tu wjechać? - zapytał, opierając broń w zgięciu ręki.

Tamten aż podskoczył, odwrócił się szybko, zawadzając kolbą karabinu o drzwi auta; nabój wypadł mu z dłoni. Dopiero teraz Keegan rozpoznał jego azjatyckie rysy.

- O co panu chodzi? - bąknął niezajomy.

- Jest pan na moim terenie. Jak się pan tu dostał?

- Brama była otwarta.

Potwierdzało to jego przypuszczenia, że kłusownicy musieli wyłamać kłódkę.

- Co pan tu robi z teodolitem? Dla kogo pan pracuje? Dla jakiejś agencji rządowej?

- Nie... Jestem mierniczym ze spółki telefonicznej Miyata - odparł z silnym akcentem japońskim. - Wyznaczamy miejsce pod budowę stacji przekaźnikowej.

- A czy ma pan pozwolenie wkroczenia na teren prywatny? Skąd możecie wiedzieć, do cholery, że pozwolę wam tu cokolwiek zbudować?

- Moi zwierzchnicy powinni się byli z panem skontaktować.

- To oczywiste - mruknął Keegan. Miał ochotę jak najszybciej wracać do domu na kolację. - Proszę stąd odjechać. Następnym razem, zanim wjedzie pan na moje tereny, trzeba



zapytać o pozwolenie.

- Bardzo przepraszam, jeżeli w czymś panu przeszkodziłem.

Dan znał się na ludziach i czuł w głosie tamtego, że nie jest mu ani trochę przykro. Japończyk nerwowo zerkał na jego mauzera.

- Miał pan zamiar urządzić polowanie? - Keegan ruchem głowy wskazał karabin dużego kalibru, który tamten niezdarnie ścisnął w dłoni.

- Chciałem postrzelać do celu.

- Nie mogę na to pozwolić, wypasam w tej okolicy duże stado bydła. Wolałbym, żeby pan spakował manatki i wrócił tą samą drogą, którą pan tu przyjechał.

Nieznajomy bez słowa skinął głową. Rzucił karabin na tylne siedzenie, szybko zdjął teodolit, złożył trójnóg i schował je do bagażnika. W końcu obszedł samochód i stanął przed otwartą maską.

- Silnik mi trochę nawala.

- Da się uruchomić?

- Chyba tak. - Japończyk wsunął rękę przez okno i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zapalił bez problemów.

- Pojadę - oznajmił przybysz.

Keegan nie zwrócił uwagi, że tamten opuścił maskę, ale jej nie zatrzasnął.

- Proszę zrobić mi przysługę i zamknąć za sobą bramę.

- Oczywiście.

Dan uniósł na pożegnanie rękę, schował mauzera, zawrócił konia i pojechał w stronę domu, od którego dzieliły go jakieś cztery kilometry.

Suburo Miwa z trudem wykręcił na wąskiej drodze i pojechał ku szosie. Nie spodziewał się, że kogokolwiek spotka na tym odludziu, ale musiał wypełnić swoją misję. Kiedy tylko oddalił się na dwieście metrów od jadącego powoli farmera, zahamował ostro, wyskoczył zza kierownicy, sięgnął po karabin i podniósł maskę.

Keegan usłyszał, że wóz się zatrzymał, i spojrzał przez ramię.

Miwa zacisnął kolbę karabinu w spoconych dłoniach, wsunął lufę pod maskę i niemal przytknął ją do obudowy sprężarki klimatyzatora. Zgodził się na ochotnika wykonać tę samobójczą akcję, uważał bowiem za wielki zaszczyt poświęcić życie rodzącemu się imperium. Winien był dozgonną wierność Złotym Smokom, a Koron Yoshishu obiecał mu ponadto, że jego żona zostanie zabezpieczona finansowo do końca życia, a trzech synowie będą mogli ukończyć studia na dowolnie wybranym uniwersytecie. Teraz przypomniał sobie po raz ostatni pełne otuchy słowa, którymi Yoshishu pożegnał go na lotnisku, przed jego odlotem do

Stanów Zjednoczonych: “Poświęca się pan dla przyszłości, dla setek milionów swoich rodaków. Wiele pokoleń pańskiej rodziny będzie z dumą wspominało ten akt odwagi, bo pański sukces będzie oznaczał ich sukces”.

Bez wahania nacisnął spust.

W jednej chwili Miwa, samochód, Keegan i jego koń wyparowali. Zapłonęła niesamowicie jasna żółta kula, która stopniowo bieląca, pochłaniając coraz to większy obszar. Fala uderzeniowa pomknęła niczym monstrualny przypyływ, podczas gdy rozrastająca się ognista kula poczęła się wznosić, jak słońce wstające zza horyzontu.

Sunąc w stronę nieba, najpierw poczerwieniała, płonąc łuną radiacyjną, wreszcie zaczęła się stapiać z chmurami. Ciągnęła za sobą wielki ogon radioaktywnego pyłu, który wkrótce przybrał kształt gigantycznego grzyba o wysokości trzynastu kilometrów. Wiatr miał dość szybko rozwiać tę chmurę idealnie rozdrobnionej ziemi.

Keegan i Miwa byli jedynymi ofiarami eksplozji. Na miejscu padło wiele zajęcy, świstaków, węży, a także dwadzieścia krów Keegana, lecz główną przyczyną ich śmierci była fala uderzeniowa. W oddalonych o cztery kilometry zabudowaniach pani Keegan i trzech parobków odnieśli jedynie drobne rany, spowodowane przez odłamki rozbitych szyb. Okoliczne wzgórza osłoniły farmę przed tragicznymi skutkami wybuchu i z wyjątkiem powybijanych okien nie odnotowano innych strat materialnych.

W miejscu eksplozji powstał krater o stumetrowej średnicy i głębokości trzydziestu metrów. Wyschnięte krzewy i trawę ogarnął pożar, a gęsty czarny dym przemieszał się z szarą chmurą radioaktywnego pyłu.

Stopniowo zanikająca fala uderzeniowa pomknęła wąskimi dolinami i kanionami, wstrząsnęła wszystkimi drzewami i zabudowaniami, zarówno rozrzuconych z rzadka gospodarstw, jak i małych miasteczek, aż rozlała się na wielkiej równinie sto dwanaście kilometrów na północ, miejscu słynnej bitwy pod Little Bighorn.

Na parkingu nieopodal Sheridan pewien mężczyzna o azjatyckich rysach stał obok wynajętego samochodu i nie zwracając uwagi na ludzi, którzy dyskutowali zawzięcie, wskazując palcami unoszącą się w oddali niezwykłą chmurę, obserwował przez lornetkę grzyb kondensacyjny, oświetlony jasno przez promienie stojącego tuż nad horyzontem słońca.

W końcu opuścił lornetkę i podszedł do pobliskiej budki telefonicznej. Wrzucił monetę, nakręcił numer, po chwili oczekiwania powiedział kilka słów po japońsku i szybko odwiesił słuchawkę. Nie oglądając się więcej na kłęb żaru, sięgający już górnych warstw atmosfery, wsiadł do samochodu i odjechał.

Wstrząs został zarejestrowany przez wszystkie stacje sejsmograficzne na świecie. W położonym najbliżej epicentrum Krajowym Ośrodku Badań Sejsmicznych przy Wyższej Szkole Górniczej w Golden, w Kolorado, skaczące w górę i w dół pisaki sejsmografu przyciągnęły uwagę Clayтона Morse'a, który miał już zamknąć pracownię i wracać do domu.

Zmarszczył brwi i włączył komputer. Zaprogramował wstępne obliczenia i nie spuszczać oczu z ekranu, połączył się z dyrektorem ośrodka, Rogerem Stevensonem, który był chory i tego dnia nie przyszedł do pracy.

- Słucham.

- To ty, Roger?

- Tak, o co chodzi?

- Ale masz chrypę. Nie poznałem cię po głosie.

- Przeziębienie dosłownie zważyło mnie z nóg.

- Wybacz, że ci przeszkadzam, ale właśnie odnotowałem wstrząs.

- W Kalifornii?

- Nie, epicentrum znajdowało się w pobliżu granicy Wyoming z Montaną.

Na chwilę w słuchawce zapadła cisza.

- Niemożliwe, ten obszar jest zupełnie nieaktywny sejsmicznie.

- To nie było trzęsienie ziemi.

- Wybuch?

- Bardzo silny. Sądząc na podstawie intensywności chyba nuklearny.

- Na Boga - mruknął Stevenson. - Jesteś tego pewien?

- A czy w ogóle można być pewnym czegoś takiego? - rzekł Morse.

- Pentagon nigdy nie przeprowadzał próbnych eksplozji na tych terenach.

- Z pewnością by nas powiadomili, gdyby planowali jakiś próbny wybuch podziemny.

- Masz rację, to zupełnie do nich niepodobne.

- Co o tym sądzisz? Uważasz, że powinniśmy zawiadomić Komisję Energii Atomowej?

Stevenson, któremu katar nie przeszkadzał logicznie myśleć, zastanawiał się przez chwilę.

- Uruchom całą aparaturę i wykonaj szczegółowe pomiary. Potem zadzwoń do Hanka Sauera, naszego starego znajomego z Krajowej Agencji Wywiadowczej, i spróbuj się od niego dowiedzieć, co to było.

- A jeśli on mi nic nie powie? - zapytał Morse.

- To już nie nasza sprawa. Najważniejsze, żeby przekazać komplet danych komu trzeba. Potem będziemy znów mogli spokojnie zająć się pomiarami tego, co zagraża Kalifornii.

Sauer niczego nie wyjaśnił, gdyż sam o niczym nie wiedział, ale natychmiast docenił powagę sytuacji. Poprosił Morse'a o dodatkowe dane i natychmiast przekazał wiadomość dyrektorowi CIA.

Prezydent znajdował się właśnie na pokładzie odrzutowca "Air Force One" i leciał do San Francisco na wielki bankiet dobroczynny, kiedy zadzwonił Jordan.

- Czy coś się stało?

- Otrzymaliśmy meldunek o eksplozji jądrowej w Wyoming.

- Cholera! - zaklął pod nosem prezydent. - To nasza robota czy ich?

- Na pewno nie nasza, raczej jeden z samochodów z głowicami.

- Jakie straty?

- Znikome. Wybuch miał miejsce w słabo zaludnionym obszarze, są tam głównie pastwiska.

Prezydent zawahał się przed sformułowaniem kolejnego pytania.

- Czy masz jakieś informacje o kolejnych wybuchach?

- Nie, panie prezydencie. Na razie wiadomo tylko o eksplozji w Wyoming.

- Byłem przekonany, że projekt Kaiten został unieruchomiony na czterdzieści osiem godzin.

- To prawda - rzekł z naciskiem Jordan. - Nie mieli wystarczająco dużo czasu na zmianę kodów sterujących.

- Co o tym sądzisz, Ray?

- Rozmawiałem z Percym Nashem. Według niego bombę zdetonowano ręcznie, strzelając do głowicy z broni dużego kalibru.

- Dokonał tego robot?

- Nie, człowiek.

- Myślałem, że kamikadze należą już do przeszłości.

- Wygląda na to, że nie.

- W jakim celu obrano tę samobójczą taktykę?

- Prawdopodobnie jako ostrzeżenie. Japończycy chyba wiedzą, że Suma nie zginął i próbują nas wywieść w pole. Zdetonowali ku przestrodze jedną głowicę, a sami gorączkowo pracują nad zmianą kodów sterujących systemu komputerowego.

- Jak do tej pory zręcznie łącają wszystkie dziury.

- Ale to my wciąż jesteśmy górą, panie prezydencie. W tej chwili możemy liczyć na zrozumienie opinii światowej, gdybyśmy się zdecydowali na atak jądrowy.

- Może i tak, ale czy mamy jakieś dowody na to, że projekt Kaiten nie jest gotów do działania? A jeśli Japońcy jakimś cudem zdołali błyskawicznie zmienić hasła w komputerze? Może to nie jest błąd?

- Nie mamy żadnych dowodów - przyznał Jordan.

- Gdybyśmy w takiej sytuacji wystrzelili rakiety na wyspę Soseki, a technicy z Centrali Smoka by je namierzyli, w popłochu mogliby nawet zdetonować głowice, zanim roboty rozmieściłyby samochody w wyznaczonych, słabo zaludnionych rejonach.

- To byłoby straszne, panie prezydencie, zwłaszcza biorąc pod uwagę obecne miejsce postoju tych aut. Większość z nich znajduje się w dużych miastach.

- Trzeba jak najszybciej i w całkowitej tajemnicy odnaleźć i rozbroić wszystkie samochody. Nie możemy pozwolić, by opinia publiczna dowiedziała się o tym koszmarnym zagrożeniu.

- Cała armia agentów FBI poszukuje tych aut.

- Czy oni wiedzą, jak rozbrajać głowice?

- W każdym zespole jest jeden fizyk jądrowy przeszkolony do tego celu.

Jordan nie mógł widzieć głębokich zmarszczek, jakie pojawiły się na twarzy prezydenta.

- To nasza ostatnia szansa, Ray. Twój nowy plan musi się powieść.

- Jestem całkowicie tego świadom, panie prezydencie. Jutro rano będziemy już wiedzieli, czy nadal żyjemy w wolnym kraju.

Niemal dokładnie o tej samej porze specjalny agent FBI, Bill Frick, wraz z całą grupą wkraczał do jednego z pomieszczeń parkingu w podziemiach hotelu "Pacific Paradise" w Las Vegas, gdzie ukrywano samochody z głowicami jądrowymi.

Przed otwartymi drzwiami w stalowej przegrodzie nie było żadnych strażników. Zły znak, pomyślał Frick. Jego obawy potwierdził wyłączony system alarmowy, o czym zameldował mu jeden z agentów.

Ostrożnie wkroczył do pomieszczenia będącego zapewne dodatkowym magazynem. Olbrzymie stalowe wrota na kółkach, które zajmowały całą przeciwległą ścianę, były otwarte na całą szerokość, mogła tamtędy przejechać nawet największa ciężarówka.

Cała grupa weszła do pustej sali; nie było tu niczego, nawet jednego śmiecia. Piwnicę dokładnie oczyszczono.

- Może to nie ta sala? - zapytał z nadzieją w głosie jeden z agentów.

Frick rozejrzał się po gołych betonowych ścianach i zwrócił uwagę na kratkę wentylacyjną, przez którą wcześniej dostał się tu Weatherhill. W końcu popatrzył na ślady opon, ledwie widoczne na pokrywającej posadzkę wykładzinie.

- Jesteśmy we właściwym pomieszczeniu, wszystko się zgadza z opisem CIA.

Niski fizyk ze skołtunioną brodą przepchnął się do przodu i stanął obok Fricka.

- No i jak mam rozbroić te bomby, skoro ich tu nie ma? - zapytał ze złością, jak gdyby

Frick ponosił jakąś odpowiedzialność za zniknięcie aut.

Ten nie odpowiedział. Szybkim krokiem wrócił na sąsiedni parking i wsiadł do samochodu. Najpierw nalał sobie kawy do kubka, a następnie włączył krótkofalówkę.

- Czarny Koń, tu Czerwony Koń, odbiór - rzekł ociężale.

- Słucham cię, Czerwony Koniu - odezwał się dyrektor operacji terenowych FBI.

- Wykiwali nas, byli tu przed nami.

- Nic nowego, Czerwony Koniu. Większość zespołów wraca z niczym. Tylko Błękitny Koń z New Jersey i Szary Koń z Minnesoty zastali jeszcze bydło w zagrodzie.

- Czy mamy kontynuować operację?

- Oczywiście. Macie dwanaście godzin, powtarzam: dwanaście godzin na to, żeby znaleźć nowe miejsce postojowe waszego stada. Dodatkowe informacje prześlemy faksem. Powiadomiliśmy wszystkie jednostki policji, urzędy szeryfów oraz patroli drogowe, żeby zatrzymywać każdą furgonetkę i ciężarówkę, które odpowiadają opisom dostarczonym przez CIA.

- Będzie nam potrzebny helikopter.

- Możesz otrzymać do dyspozycji nawet całą eskadrę, jeśli zajdzie taka konieczność.

Frick wyłączył krótkofalówkę i zapatrzył się na kubek z kawą.

- Dlaczego nie prześlą jeszcze faksem instrukcji, w jaki sposób mam odnaleźć igłę na obszarze miliona kilometrów kwadratowych w ciągu dwunastu godzin - mruknął do siebie.

Kiedy Yoshishu wysiadł z wagonika kolejki magnetycznej, na platformie powitał go Tsuboi.

- Dziękuję ci za przybycie, stary przyjacielu.

- Chcę być tu, u twego boku, gdy będziemy gotowi do rozegrania tej partii - rzekł starzec, poruszając się tak sprężystym krokiem, jakiego Tsuboi nie widział u niego już od miesięcy.

- Zgodnie z planem dokonaliśmy eksplozji w jednym ze stanów Środkowego Zachodu.

- Znakomicie, to powinno czegoś nauczyć amerykańskich polityków. Czy Biały Dom zareagował w jakiś sposób?

- Nie - odparł Tsuboi z poważną miną. - Wygląda na to, że nadal próbują ukrywać prawdę.

W oczach Yoshishu pojawił się nagle dziwny błysk.

- Jeśli ich prezydent nie rozkazał wystrzelić na nas rakiet, to znaczy, że jednak się nas obawia.

- Możemy zatem uważać, że wygraliśmy pierwszą partię.

- Chyba tak, chociaż nie powinniśmy się jeszcze zanadto cieszyć, bo projekt Kaiten wciąż nie jest gotowy.

- Takeda Kurojima obiecał mi, że jutro po południu będziemy mieli dostęp do programu.

Yoshishu położył dłoń na ramieniu Tsuboiego.

- Sądzę, że nadeszła pora skontaktować się bezpośrednio z prezydentem i przekazać mu żądania nowego imperium Japonii.

- Obejmującego też nową Amerykę - dodał pompatycznie Tsuboi.

- Tak, masz rację. - Yoshishu z dumą popatrzył na człowieka, któremu zdołał wpoić najlepsze wzorce zdyscyplinowania. - Nową, japońską Amerykę.



Lockheed C-5 Galaxy, największy samolot transportowy świata, osiadł ze swą zdumiewającą gracją ciężarnego albatrosa na krótkim pasie lotniska na wyspie Wake, wyhamował i stanął. Podjechał do niego samochód i zatrzymał się w cieniu gigantycznego skrzydła. Pitt i Giordino, którzy z niego wysiedli, wdrapali się po składanej drabince do niewielkiego luku, umieszczonego tuż za osią olbrzymiego koła maszyny.

Wewnątrz czekał na nich admirał Sandecker. Serdecznie uścisnął im dłonie i poprowadził ich do przepastnej ładowni, w której oprócz sześciu przegubowych autobusów na składanych krzeselkach mogła się jeszcze zmieścić setka ludzi. Podeszli do drugiego Pojazdu Eksploracyjnego Głębin Oceanicznych NUMA, przymocowanego do dwóch grubych szyn stalowych, biegnących przez całą długość transportowca. Pitt stanął obok maszyny, położył dłoń na masywnych gąsienicach i zapatrzył się na kabinę, przypominając sobie ucieczkę "Wielkim Johnem". Ten PEGO był ulepszonym modelem i nosił nazwę "Wielki Ben".

Dwa potężne ramiona zakończone chwytakiem i łyżką koparki, jakie zwykle instalowano w tego typu pojazdach, zostały usunięte, a na ich miejscu znajdowały się wielofunkcyjne głowice z licznymi końcówkami do cięcia i wypalania blach.

Dirk zwrócił uwagę, że następnym usprawnieniem był olbrzymi nylonowy worek umieszczony na dachu nadbudówki, tuż nad kabiną, połączony grubymi linami z klamrami w różnych częściach pojazdu.

Giordino ze smutkiem pokręcił głową.

- Znowu mam przecucie, że ktoś chce nas wykorzystać.

- I tym razem nawet nie dają nam możliwości wyboru - mruknął Pitt, który zachodził w głowę, jak samolot mógł wystartować z tak olbrzymim ciężarem w ładowni.

- Ruszajmy w dalszą drogę - rzekł Sandecker. - Nie ma na co czekać.

Pitt i Giordino poszli za admirałem do niewielkiego przedziału, w którym znajdował się stół i krzeselka przymocowane do podłogi.

Nie zdążyli jeszcze dobrze zapiąć pasów, kiedy pilot zaczął kołować na początek ścieżki startowej. Olbrzymi C-5 Galaxy, pretensjonalnie nazwany "Miłym Gigantem", wzbil się w niebo tropików i nabierając powoli wysokości zakręcił szerokim łukiem na północ.

Giordino spojrzał na zegarek.

- Trzy minuty. To był bardzo krótki postój.

- Nie mamy czasu na towarzyskie pogawędki - odparł poważnym tonem Sandecker.

Pitt usadowił się wygodniej i wyciągnął przed siebie nogi.

- Przypuszczam, że ma pan gotowy plan.

- Tym razem opracowali go najlepsi fachowcy z tej branży.

- Ciekawe tylko, jakim sposobem "Wielki Ben" znalazł się na miejscu w ciągu niecałej doby.

- Ile wam powiedzieli Ingram i Meeker? - zapytał admirał.

- Przedstawili tajemniczą historię bombowca leżącego na dnie oceanu - odparł Pitt - i wyjaśnili pokrótce budowę geologiczną najbliższego otoczenia wyspy Soseki. Meeker twierdzi stanowczo, że fala uderzeniowa po eksplozji bomby atomowej, nawet we wnętrzu wraka, spowoduje pograżenie wyspy w falach oceanu.

Giordino wyciągnął cygaro, które zdążył już wycyganić od admirała, i zaczął je przypalać.

- To najbardziej poroniony pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszałem.

Pitt przytaknął ruchem głowy.

- A później Mel Penner rozkazał mnie i Giordinowi odpocząć na piaszczystych plażach wyspy Wake, sam natomiast z resztą zespołu odleciał spokojnie do Stanów. Kiedy zaś domagałem się wyjaśnień, stwierdził krótko, że pan jest już w drodze i wszystkiego dowiemy się od pana.

- Penner nie mógł zapoznać was ze szczegółami, ponieważ ich nie znał - odparł Sandecker. - Ingram i Meeker także znali plan "Arizona" jedynie w zarysach.

- Arizona? - zapytał zdumiony Pitt.

- To kryptonim naszej operacji.

- Naszej operacji? - wtrącił Giordino.

- Zapewne - wtrącił ironicznie Pitt - nie ma to nic wspólnego z obecnością na pokładzie "Wielkiego Bena" ani z tym, że Arizona to nie tylko nazwa stanu, ale także kryptonim bitwy o Pearl Harbour.

- To równie dobra nazwa, jak każda inna. Kryptonimy zwykle niewiele mają wspólnego z celem operacji.

Sandecker popatrzył uważnie na obu przyjaciół. Całodzienny odpoczynek przyniósł pewien skutek, lecz i tak obaj wyglądali na wykończonych. Poczul się winny, miał wrażenie, że to przez niego tyle musieli przejść. Z drugiej jednak strony wiedział dobrze, że gotowi są wykonać każdy rozkaz prezydenta i Jordana i że nie ma innych tak doświadczonych specjalistów z zakresu inżynierii podmorskiej. Niestety się złożyło, że zaledwie po krótkim odpoczynku musieli znowu nadstawić karku, ale nikt oprócz nich nie mógł wykonać tego zadania. Admirał toczył walkę z wyrzutami sumienia, które nasilała jeszcze świadomość, że zarówno Pitt, jak i Giordino z pewnością nie odmówiliby jego prośbie.

- Dobra, nie mam zamiaru mydlić wam oczu pięknymi słówkami ani śpiewać peanów, jaka piękna jest nasza ojczyzna. Powiem prosto z mostu. - Przerwał na chwilę i rozpostarł na stole mapę geologiczną, przedstawiającą ukształtowanie dna morskiego w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od wyspy Soseki. - Jesteście jedynymi fachowcami zdolnymi do przeprowadzenia tej akcji i zniszczenia raz na zawsze Centrali Smoka. Nikt inny nie ma doświadczenia w kierowaniu PEGO.

- Miło słyszeć, że jesteśmy niezastąpieni - mruknął znużonym głosem Giordino.

- Co powiedziałaś?

- Al się po prostu zastanawia, co mamy właściwie zrobić. - Pitt pochylił się na stołem i popatrzył na mapę, na której krzyżykiem zaznaczona była pozycja "Demonów Denningsa". - Domyślam się, że mamy wykorzystać PEGO do zdetonowania bomby.

- Właśnie tak - odparł Sandecker. - Kiedy dolecimy na miejsce, wy dwaj w kabinie "Wielkiego Bena" zostaniecie zrzućeni do morza na spadochronie.

- Jak ja nienawidzę tego słowa - rzekł Giordino, chwytając się za głowę. - Na samą myśl o skakaniu chce mi się rzygać.

Sandecker spojrział na niego z ukosa i mówił dalej:

- W wodzie spadochron dodatkowo zmniejszy szybkość opadania. Kiedy już osiadziecie na dnie, będziecie musieli podjechać do wraka bombowca, wydobyć z niego bombę, przetransportować na odpowiednie miejsce i zdetonować.

Giordino zeszywniał, jakby nagle ujrzął ducha.

- O Boże! To zapowiada się jeszcze gorzej, niż myślałem.

Pitt obrzucił Sandeckera lodowatym spojrzeniem.

- Nie sądzisz, że tym razem wymaga się od nas trochę za wiele?

- W opracowaniu planu "Arizona" uczestniczyło ponad pięćdziesięciu naukowców i inżynierów z różnych uczelni, agencji rządowych i ośrodków badawczych. Daję wam słowo, że ta akcja musi się zakończyć pełnym sukcesem.

- Skąd ta pewność? - zapytał Giordino. - Do tej pory nikt jeszcze nie zrzucił z samolotu wprost do oceanu pojazdu ważącego trzydzieści pięć ton.

- Wykonano dokładne obliczenia i wzięto pod uwagę wszelkie czynniki, które mogłyby doprowadzić do fiaska operacji - odparł admirał, łypiąc chytrze okiem na swoje drogie cygaro w ustach Giordina. - Powinniście zanurzyć się w fale tak łagodnie, jak spadający liść, który nawet nie obudzi śpiącego kota.

- Czułbym się znacznie lepiej, gdyby pozwolono nam zanurkować z pokładu łodzi - jęknął Al.

Sandecker uśmiechnął się wyrozumiale.

- Jestem świadom wszelkich niebezpieczeństw i podzielam twoje obawy, ale możesz nam oszczędzić swoich kasandrycznych wyroczni.

Giordino uniósł brwi i spojrzał pytająco na Pitta.

- Niby czego?

- Nieustannego przepowiadania niepowodzeń - wyjaśnił Dirk.

Al wzruszył ramionami.

- Wyraziłem tylko na głos to, co czuję.

- Niestety, nie możemy sprowadzić "Wielkiego Bena" z pochylni statku i powoli opuścić na dno, wykorzystując zbiorniki balastowe, tak jak postąpiliśmy z "Wielkim Johnem" na Morskim Poletku. Nie możemy poświęcić dwóch tygodni, a właśnie tyle by trwało dostarczenie PEGO na miejsce drogą morską.

- Czy mogę zapytać, kto, do cholery, ma nam udzielić wyczerpujących instrukcji, w jaki sposób wyciągnąć bombę atomową z wraka, a następnie ją zdetonować? - zapytał ostro Pitt.

Admirał wręczył każdemu z nich teczkę, zawierającą czterdzieści kartek: różnych fotografii, schematów oraz instrukcji.

- Macie tu wszystko, a z pewnością wystarczy wam czasu, żeby dokładnie się z tym zapoznać.

- Bomba znajduje się w wodzie morskiej, wewnątrz pogiętego kadłuba, już od pięćdziesięciu lat. Czy można mieć pewność, że wciąż nadaje się do użytku?

- Szczegółowe fotografie z Pyramidera wykazują, że kadłub bombowca jest prawie nie naruszony, co pozwala wnioskować, że bombie nic się nie stało, a jest ona tak skonstruowana, żeby wytrzymać przebywanie w wodzie. Zbrojona obudowa balistyczna była obrabiana i dopasowywana maszynowo, a precyzja wykonania zapewnia całkowitą szczelność. Żyją jeszcze ludzie, którzy ją projektowali. Ci przysięgają, że bomba mogłaby zostać zdetonowana nawet po pięciuset latach spoczywania na dnie oceanu.

Giordino wbił wzrok w powierzchnię stołu.

- Mam nadzieję, że jest jakiś detonator zegarowy.

- Będziecie mieli godzinę czasu - odparł admirał. - "Wielki Ben" może rozwinąć znacznie większą prędkość od "Wielkiego Johna", a więc powinniście wyjechać daleko poza obszar niebezpiecznych skutków eksplozji.

- Jak daleko? - zapytał Dirk.

- Dwanaście kilometrów.

- I co mamy przez to osiągnąć?

- Według planu eksplozja ma wywołać trzęsienie ziemi z efektem podobnym do tego, który zniszczył Morskie Poletko.

- Ależ tu mamy zupełnie inną sytuację! Wybuch na powierzchni oceanu wywołał wstrząsy dna, ale nasze kopuły zostały zniszczone przez kamienną lawinę, do której dołożyło się straszliwe ciśnienie wody. Trudno oczekiwać, że podobne siły wystąpią na lądzie.

- Nie chodzi o ciśnienie wody, lecz liczymy na lawinę. - Sandecker postukał palcem w mapę. - Wyspa Soseki powstała przed milionami lat wskutek długotrwałej działalności wulkanu położonego na wybrzeżu Japonii, z którego wydobywały się olbrzymie ilości lawy. Kiedyś połączona była z główną wyspą długim jeżorem zastygłej magmy, wznoszącym się na dwieście metrów ponad powierzchnię oceanu. Ale trzon wyspy spoczywa na miękkiej warstwie osadów dennych. Siła grawitacji powodowała stopniowe osiadanie całego grzbietu wulkanicznego, aż w końcu na powierzchni został tylko jego najwyższy fragment.

- Wyspa Soseki?

- Właśnie.

Pitt spojrział na mapę i rzekł powoli:

- O ile dobrze pojmuję, eksplozja bomby i następujące po niej podmorskie wstrząsy powinny na tyle osłabić warstwę zbitych osadów dennych, że wyspa pograży się w oceanie.

- To efekt podobny do tego, kiedy stoisz w płytkiej wodzie, a fale powodują stopniowe zapadanie się stóp w piasku.

- Wygląda mi to aż nazbyt prosto.

Sandecker pokręcił głową.

- To dopiero początek. Sama fala uderzeniowa nie byłaby wystarczająco silna, dlatego bombę trzeba przenieść na odległość dziesięciu kilometrów od wyspy i dopiero tam zdetonować.

- To znaczy gdzie?

- Na zboczu głębokiego rowu, który biegnie równolegle do grzbietu wulkanicznego. Oprócz pobudzenia wstrząsów, impet eksplozji powinien w dodatku skruszyć ścianę rowu. Niesamowita siła, z jaką runie w głąb rowu lawina milionów ton osadów dennych, w połączeniu z falą uderzeniową eksplozji wyzwoli jeden z najsilniejszych żywiołów destrukcyjnych na Ziemi.

- Tsunami - odpowiedział Pitt. - Gigantyczna fala sejsmiczna.

- Kiedy wyspa zacznie się pograżać na skutek trzęsienia ziemi - kontynuował Sandecker - olbrzymia fala o wysokości dziesięciu metrów, pędząca z szybkością od trzystu do czterystu kilometrów na godzinę, zmiecie absolutnie wszystko z powierzchni wyspy. Jeżeli

cokolwiek zostanie z Soseki, to jedynie naga skała. Na pewno uwolnimy się od Centrali Smoka.

- I to my mamy uwolnić tego potwora? - zapytał podejrzliwie Giordino. - Tylko my dwaj?

- Przy pomocy "Wielkiego Bena". Rozumiecie chyba, że w największym pośpiechu wyposażono pojazd we wszystko, co będzie wam potrzebne.

- A co z głównymi wyspami Japonii? - zapytał Dirk. - Silne trzęsienie ziemi, połączone z tsunami, które przewali się przez całe wybrzeże, może spowodować tysiące ofiar.

Sandecker pokręcił głową.

- Nic podobnego. Osady denne w znacznym stopniu wytłumią falę uderzeniową, w pobliskich portach i przybrzeżnych miastach będzie odczuwalny jedynie łagodny wstrząs, a w porównaniu z innymi tsunami ta fala sejsmiczna nie osiągnie zbyt wielkich rozmiarów.

- Skąd macie pewność, że będzie to dziesięciometrowa fala? Obserwowano tsunami, które dorównywały wysokością dwunastopiętrowym budynkom.

- Według obliczeń komputerowych wyspę zaleje fala licząca niecałe dziesięć metrów wysokości, a ponieważ Soseki znajdzie się niemal w epicentrum, grzbiet wulkaniczny w znacznym stopniu osłabi tsunami i zanim dotrze ono do wybrzeża Japonii, fala sejsmiczna zmaleje do około półtora metra, a taka, jak sami wiecie, nie wyrządzi wielkich szkód.

Pitt pośpiesznie obliczył z mapy odległość między wrakiem bombowca a zaznaczonym miejscem eksplozji na zboczu rowu oceanicznego. Ocenił, że przewiezienie niepewnej, liczącej czterdzieści osiem lat bomby atomowej na odległość dwudziestu ośmiu kilometrów po nieznanym terenie jest samo w sobie niezwykle trudnym zadaniem.

- A co się stanie z nami po zakończeniu tej zabawy? - zapytał.

- Pojedziecie "Wielkim Benem" do najbliższego wybrzeża, gdzie będzie na was czekał oddział sił specjalnych.

Pitt westchnął ciężko.

- Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości odnośnie tego planu? - zapytał Sandecker.

Dirk popatrzył na niego tak, jakby miał same wątpliwości.

- To najbardziej zwariowany plan, o jakim w życiu słyszałem. A nawet więcej, nazwałbym tę operację samobójczą.

Galaxy leciał z maksymalną prędkością 460 węzłów pośród ciemności zapadających nad pomocnym Pacyfikiem. Giordino siedział w przedziale transportowym i dokonywał ostatniego przeglądu układów elektronicznych i napędowych "Wielkiego Bena". Sandecker przez radio odpowiadał na pytania prezydenta i członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego, którzy śledzili przebieg operacji z centrali dowodzenia w Białym Domu. Admirał odbierał także komunikaty zespołu geofizyków, dostarczających szczegółowych danych na temat dna morskiego, oraz wyjaśnienia Percy'ego Utrapienia, którego Pitt zasypywał pytaniami dotyczącymi sposobów wydobycia bomby z wraka samolotu i jej zdetonowania.

Każdy, kto by obserwował Dirka w ciągu tych ostatnich godzin lotu, dostrzegłby w jego zachowaniu coś niezwykłego. Zamiast jak zawsze wbijać sobie do głowy tysiące szczegółów na temat czekającego ich zadania czy też pomóc Alowi dokończyć przeglądu PEGO, gromadził wszystkie plastikowe pudełka z kanapkami, jakie mógł wyblagać bądź odkupić od członków załogi, i zbierał każdą kroplę wody pitnej, choć załadował już do "Wielkiego Bena" trzydzieści litrów, które mieściły się w zbiorniku transportowca, oraz cztery litry, jakie zdołał wysączyć z ekspresu do kawy.

Nawiązał też bliższą znajomość z mechanikiem pokładowym, który znał wszystkie zakamarki samolotu, i ten zgodził się przygotować linkę służącą do mocowania towarów w ładowni oraz dużą dźwignię od kołowrotu używanego podczas opróżniania zbiornika toalety.

Uszczęśliwiony z tych zdobyczy, które zostały złożone przy wejściu do ubikacji, Dirk wdrapał się do PEGO, usiadł w fotelu operatora i zadumał się nad różnymi aspektami czekającego ich zadania.

Wyciągnięcie bomby z wraka B-Dwadzieścia Dziewięć i zdetonowanie jej uważał za skrajnie ryzykowne, ale przejechanie dwunastu kilometrów po nieznanym terenie w ucieczce przed skutkami eksplozji nie dawało mu spokoju.

W niespełną minutę po wylądowaniu odrzutowca na lotnisku w Langley, uzbrojona eskorta odprowadziła Loren i Mike'a Diaza do limuzyny, która miała ich zawieźć do Białego Domu. Natomiast Sumę i Toshie zabrano szarym sedanem do nieznanego miejsca, gdzieś w Marylandzie.

Zaraz po dotarciu na miejsce dwoje parlamentarzystów wprowadzono do centrali dowodzenia. Zza stołu podniósł się prezydent i wyszedł im naprzeciw.

- Nawet nie wiecie państwo, jak bardzo cieszę się z tego spotkania - powiedział, kłaniając się. - Objął Loren i cmoknął ją w policzek, a potem wziął w objęcia Diaza, jakby byli ze sobą spokrewnieni.

Napięta atmosfera nieco zelżała, wszyscy obecni gratulowali zakładnikom uwolnienia. Wreszcie Jordan poprosił ich o przejście do sąsiedniego pokoju. Prezydent wszedł za nimi i zamknął drzwi.

- Proszę wybaczyć nam ten pośpiech - rzekł. - Zdaję sobie sprawę, że chcielibyście wypocząć, ale Ray Jordan musi z wami porozmawiać dopóki nie zaczęła się operacja mająca na celu zniszczenie Centrali Smoka.

- Rozumiemy to - odparł Diaz, który z radością witał powrót w największy zgiełk życia politycznego. - Jestem pewien, że również w imieniu pani Smith mogę obiecać, iż z przyjemnością będziemy służyć wszelką pomocą.

Prezydent kurtuazyjnie zwrócił się do Loren:

- Czy zgadza się pani?

Loren marzyła jedynie o gorącej kąpieli. Była nie umalowana, włosy miała w nieładzie, a w dodatku uwierały ją o numer za małe pantofle, które pożyczyła od żony jednego z techników lotniska na wyspie Wake. Ale mimo zmęczenia wciąż wyglądała pięknie.

- Słuchamy, panie prezydencie. Czego chcieli się panowie dowiedzieć?

- Jeśli można, pomińmy na razie szczegóły waszego uprowadzenia, traktowania przez Hidekiego Sumę i nieprawdopodobnych okoliczności późniejszej ucieczki - powiedział Jordan, uśmiechając się lekko. - Przede wszystkim, co możecie nam państwo powiedzieć o planach Sumy i o Centrali Smoka?

Loren i Diaz wymienili szybkie spojrzenia, które znacznie wymowniej od słów świadczyły o przerażających działaniach, do jakich przygotowywano się w Edo City i podziemnym kompleksie wyspy Soseki. Po chwili Loren skinęła głową i Diaz odezwał się pierwszy.

- Obawiam się, że na podstawie tego, co widzieliśmy i co nam opowiedziano, zagrożenie związane z głowicami jądrowymi w samochodach jest zaledwie czubkiem góry lodowej.

Z głośników rozmieszczonych w ładowni rozległa się zapowiedź pilota:

- Piętnaście minut do celu, panowie.

- Pora się szykować - rzekł Sandecker z poważną miną.

Pitt położył dłoń na ramieniu Giordina.

- Proponuję skorzystać jeszcze z ubikacji.

Al spojrzał na niego.

- Teraz? Przecież w "Wielkim Benie" też jest toaleta.

- Na wszelki wypadek. Nie wiemy przecież, z jakim impetem hukniemy o lustro wody.



Kierowcy formuły pierwszej i rajdowcy z wielkiej pięćsetki w Indianapolis zawsze opróżniają pęcherz przed startem, żeby w wypadku jakichś obrażeń uniknąć zapalenia otrzewnej.

Giordino wzruszył ramionami.

- Jeśli nalegasz.

Podszedł do niewielkiego pomieszczenia, znajdującego się tuż za kabiną pilotów, i otworzył drzwi.

Nie zdążył ich jeszcze zamknąć za sobą, kiedy Pitt dał ręką znać mechanikowi pokładowemu, a ten odpowiedział mu skinieniem głowy i szybko przywiązał linką gałkę drzwi toalety, po czym zablokował je dźwignią kołowrotu.

Giordino natychmiast się połapał o co chodzi.

- Nie, Dirk! Na Boga. nie rób tego!

Sandecker także zrozumiał, do czego Pitt zmierza.

- Sam nie wykonasz zadania - rzekł, chwytając go za rękę. - Zgodnie z instrukcją muszą być dwie osoby.

- Poradzę sobie z "Wielkim Benem", a nie ma sensu narażać życia dwóch ludzi. - Pitt puścił oko do admirała, zwracając uwagę, że łomotanie Giordina powoli słabnie. Pomimo silnego związania drzwi stalową linką Al mógł bez trudu jednym kopnięciem rozwalić cienką aluminiową blachę. - Powiedz mu, że jest mi przykro i że któregoś dnia mu to wynagrodzę.

- Mogę rozkazać załodze, żeby go wypuściła.

Pitt uśmiechnął się szeroko.

- Możesz, ale musielibyście mnie przedtem związać.

- Czy nie rozumiesz, że narażasz całą operację? A jeśli coś ci się stanie przy uderzeniu o fale? Bez Ala będziesz zdany tylko na siebie.

Przez dłuższą chwilę Dirk patrzył admirałowi prosto w oczy.

- Nie chcę się bać bez przerwy, że mogę jeszcze stracić najlepszego przyjaciela - rzekł w końcu.

Sandecker wiedział, że w żaden sposób nie przekona swojego dyrektora działu projektów specjalnych. Powoli ujął rękę Pitta w obie dłonie.

- Co mam przygotować na twój powrót?

Dirk uśmiechnął się tajemniczo.

- Najlepszą sałatkę z krabów i czystą tequilę z lodem.

Odwrócił się, wskoczył na pancerz PEGO i zniknął we włazie.

Samolot został specjalnie przystosowany do zrzutów z powietrza. Kiedy drugi pilot popchnął czerwoną dźwignię z boku tablicy przyrządów, w tylnej części przedziału

towarowego otworzyły się olbrzymie wrota.

Sandecker i dwaj technicy obsługi, przymocowani linkami bezpieczeństwa do uchwytów w ścianach, stanęli przed pojazdem. Musieli pochylić się do przodu, walcząc z wiatrem wpadającym przez otwarte wrota. Wszyscy wpatrywali się w Pitta widocznego za przezroczystą kopułą kabiny "Wielkiego Bena".

W słuchawkach hełmofonów rozległ się głos pilota:

- Sześćdziesiąt sekund do celu. Wiatr przy powierzchni ma prędkość pięciu węzłów. Niebo bezchmurne, księżyc w trzeciej kwadrze. Na ekranie radaru nie widać żadnego statku. Musicie jednocześnie zwolnić wszystkie zaczepy, żeby pojazd nie koziółkował w powietrzu.

- Zrozumiałem - odezwał się Sandecker.

Stojąc przed pojazdem, admirał mógł dostrzec jedynie mroczną czeluść za otwartymi wrotami towarowymi. Ale tysiąc metrów w dole blask księżyca posrebrzał lekko sfalowaną powierzchnię oceanu. Sandecker pomyślał, że lepiej by było zrzucić PEGO w ciągu dnia, przy bezwietrznej pogodzie, lecz zaraz stwierdził, że na szczęście nie szaleje tajfun.

- Dwadzieścia sekund, zaczynam odliczanie.

Pitt pomachał energicznie ręką zza szyby olbrzymiego wehikułu. Na jego twarzy trudno było odczytać choćby ślad niepokoju. Giordino ponownie z wściekłością zaczął łomotać w drzwi toalety, ale teraz jego wrzaski tłumilo wycie wiatru wpadającego przez otwarte wrota towarowe.

- Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, już!

Pompy hydrauliczne uniosły jeden koniec stalowej płyty i uwolniony z zaczepów "Wielki Ben" płynnym ruchem zsunął się w ciemność. Wszystko trwało zaledwie trzy sekundy. Sandecker i technicy patrzyli z podziwem, jak trzydziestotonowy potwór znika im z oczu. Ostrożnie podeszli do krawędzi luku i wyjrzeni w ziejącą pod nimi czeluść.

Wielki PEGO, oświetlony blaskiem księżyca, spadał ku powierzchni oceanu niczym meteoryt z przestrzeni kosmicznej.

Olbrzymi spadochron desantowy otworzył się automatycznie i na nocnym niebie wykwitły trzy wielkie czasze. Błyskawicznie wypełniły się powietrzem, zatrzymując ekspresowe tempo spadania masywnego wehikułu, który znacznie wolniej zaczął opuszczać się w kierunku powierzchni morza.

Pitt obserwował uważnie ten niezwykły spektakl i odetchnął z ulgą. Pierwsza przeszkoda pokonana, pomyślał. Teraz PEGO powinien łagodnie się zanurzyć i bez większych kłopotów opaść na dno trzystudwudziestometrowej głębiny - tak jak trzeba, podwoziem do dołu. Ulżyło mu tym bardziej, że na tę część operacji nie miał żadnego wpływu, mógł jedynie siedzieć w fotelu i obserwować opadanie, próbując zapanować nad nerwowym drżeniem mięśni.

Ponownie spojrzął w górę i bez trudu dostrzegł oświetlony blaskiem księżycyca transportowiec, który powoli zataczał koła nad opadającym pojazdem. Ciekawe, czy Sandecker wypuścił już Giordina z toalety, przemknęło mu przez myśl. Wyobrażał sobie posiniałą z wściekłości twarz przyjaciela, ciskającego na lewo i prawo przekleństwa.

Na Boga, ileż to czasu minęło od chwili, kiedy razem z całym zespołem NUMA przystępowali do budowy Morskiego Poletka? - zapytał sam siebie. Trzy miesiące? Cztery? Zdawało mu się, że minęła wieczność, chociaż katastrofę, która zniszczyła podziemne konstrukcje, pamiętał tak dobrze, jakby to było wczoraj.

Jeszcze raz popatrzył na czasze spadochronów, zastanawiając się, czy w takim samym stopniu wyhamują opadanie "Wielkiego Bena" w wodzie, jak w powietrzu.

Widocznie specjaliści, którzy zaplanowali tę operację, byli tego pewni. Ale oni siedzieli teraz tysiące kilometrów stąd, a on mógł jedynie wierzyć, że zastosowano odpowiednie wzory na obliczenie szybkości opadania i dokładnie sprawdzono rezultaty. Wiedział, że dotychczas nikt nie przeprowadzał podobnych eksperymentów. Postawiono na jedną kartę, która mogła albo wygrać, albo przegrać a stawką było jego życie.

Ocena wysokości nad powierzchnią morza jest bardzo trudna za dnia, a w ciągu nocy wręcz niemożliwa, ale Pitt z uwagą wpatrywał się w smugę księżycowego blasku, który tańczył na grzbietach fal pchanych lekką bryzą. Oceniał, że do momentu zderzenia pozostało piętnaście sekund. Opuścił nieco oparcie fotela i ułożył się na dodatkowej poduszce, o której pamiętała jakaś litościwa dusza. Po raz ostatni rzucił okiem na krążący samolot. To głupie, pomyślał - z takiej wysokości na pewno nie mogli go dostrzec pośród mroku, a pilot musiał zachować odpowiedni dystans, by turbulencja powietrza nie oddziaływała na czasze spadochronu.

Impet uderzenia wgniółł go w fotel.

Rozległ się ogłuszający plusk, kiedy PEGO wpadł między dwa grzbiety fal. Wehikuł utworzył spore zagłębienie w tafli morza i otoczyły go ściany wyrzuconej w górę, fosforyzującej w blasku księżyca wody. Błyskawicznie się zanurzył, a toń oceanu zamknęła się nad "Wielkim Benem", jak gdyby zablizniając nieznaczącą ranę.

Uderzenie nie było tak silne, jak Dirk przypuszczał. Zarówno on, jak i PEGO przeżyli skok ze spadochronem bez żadnych obrażeń i uszkodzeń. Z powrotem ustawił oparcie fotela w pozycji pionowej i zaczął szybko sprawdzać działanie wszystkich przyrządów. Z wyraźną ulgą witał zapalające się kolejno na pulpicie zielone lampki, wreszcie odczytał z ekranu komputera, że pojazd jest w pełni sprawny. Włączył zewnętrzne reflektory i skierował je w górę. Dwie czasze były normalnie rozpostarte, ale trzecia ciągnęła się na linach jak podarta szmata.

Pitt błyskawicznie zaprogramował komputer na stałe wyświetlanie parametrów opadania i zapatrzył się w ekran. Cyfry na odczycie głębokości zanurzenia zmieniały się niepokojąco szybko, PEGO opadał z prędkością sześćdziesięciu jeden metrów na minutę, podczas gdy maksymalną bezpieczną prędkość wyznaczono na czterdzieści dwa metry.

- Jesteś zbyt zajęty, żeby rozmawiać? - rozbrzmiewał w słuchawkach hełmofonu głos Sandeckera.

- Mam niewielki problem - odparł Pitt.

- Spadochron? - zapytał szybko admirał z lękiem w głosie.

- Zerwała się jedna czasza.

- Z jaką prędkością opadasz?

- Sześćdziesiąt jeden.

- Niedobrze.

- Jak bardzo?

- Liczyliśmy się z taką możliwością. Miejsce wodowania zostało tak wybrane, byś miał płaskie dno wysłane dość luźnymi osadami. Pomimo zwiększonej prędkości opadania impet upadku będzie zdecydowanie mniejszy niż przy zderzeniu z powierzchnią wody.

- Nie martwię się o impet zderzenia - powiedział Pitt, nie spuszczać oka z monitora przekazującego obraz ze skierowanej w dół kamery. - Niepokoję się tym, że trzydziestotonowy kolos może się wbić w dno, a nie mając szufli koparki, nie wygrzebię się sam spod dziesięciometrowej warstwy osadów, jak to uczyniłem w "Wielkim Johnie".

- Wyciągniemy cię stamtąd - obiecał Sandecker.

- A co z dalszą częścią operacji?

- Zamkniemy teatrzyk... - mruknął admirał tak cicho, że Pitt ledwie mógł go usłyszeć.

- Zaczekaj! - krzyknął. - Widzę na ekranie dno!

Brązowa płaszczyzna jak gdyby wyskoczyła z ciemności i pomknęła wprost na kamerę. Dirk patrzył z rosnącym przerażeniem, jak PEGO zderza się z nią i pogrąża w mule, niczym pięść boksera miażdżąca ciastko z kremem. Mroczną toń wypełniła chmura zmaczonego osadu, który całkowicie przesłonił mu widoczność.

Na pokładzie samolotu, pochyleni nad radiostacją Giordino i Sandecker podnieśli głowy i spojrzeli na siebie, jak gdyby dotknięci równocześnie ukłuciem strachu. W napięciu oczekiwali, aż z głośnika znów popłynie głos Pitta.

Wściekłość Ala po uwolnieniu z chwilowego aresztu w klozecie dość szybko minęła i teraz w najwyższym skupieniu czekał wieści o losach przyjaciela, który znajdował się na dnie morza.

Pitt nie umiał powiedzieć, jak głęboko PEGO wbija się w muł. Czuł jedynie przeciążenie wciskające go w głąb fotela. Wokół panowały ciemności, kamery i światła reflektorów nie mogły się przebić przez zasłonę brązowego osadu. Nie wiedział, czy przezroczystą kopułę pokrywa tylko cienka, czy może pięciometrowa warstwa przelewającego się, podobnego do ruchomych piasków mułu.

Na szczęście delikatny prąd morski uniósł czasze, które nie opadły na kopułę kabiny. Dirk pociągnął dźwignię zwalniającą uchwyty grubych lin spadochronu.

Uruchomił silnik o napędzie jądrowym i włączył pierwszy bieg. Poczul wibrację, kiedy olbrzymie koła napędowe pokonały opór mułu i zaczęły się obracać, ale przez dobrą minutę nic więcej się nie działo. Gąsienice przesuwaly się, nie znajdując żadnego punktu podparcia i pojazd stał w miejscu.

Niespodziewanie "Wielkim Benem" szarpnęło w prawo. Pitt przesunął drążki, dając większe obroty na prawe koła. Poczul, że gąsienice stopniowo chwytają twardszy grunt. Kilkakrotnie powtórzył zmiany napędu to na jedną, to na drugą stronę, ruszając jednocześnie raz do przodu, raz do tyłu. Czując w końcu, że PEGO centymetr po centymetrze zaczyna jechać przed siebie, Dirk wybrał odpowiedni moment i zwiększył obroty.

Wehikuł nagle wyrwał się z objęć mułu i skoczył do przodu, lecz dopiero po przejechaniu pięćdziesięciu metrów wynurzył się z chmury osadów.

Jeszcze przez kilka sekund Pitt nie mógł uwierzyć, że udało mu się wydostać z pułapki. Rozsiadł się wygodniej i odetchnął głęboko, pozwalając "Wielkiemu Benowi" jechać prosto przed siebie. W końcu włączył autopilota, wprowadzając do komputera nawigacyjnego parametry kursu na zachód. Jeszcze przez jakiś czas obserwował tablicę, chcąc zyskać

pewność, że PEGO działa bez zarzutu. Na szczęście "Wielki Ben" szybko osiągnął maksymalną prędkość i toczył się po płaskim dnie oceanu tak gładko, jak kombajn do zbioru kukurydzy na niezmiernych polach stanu Iowa.

Dopiero wtedy Dirk nawiązał łączność z Sandeckerem i Giordinem, po czym przekazał im, że znajduje się w drodze do wraku "Demonów Denningsa".

## 68

W Waszyngtonie było już późne przedpołudnie, kiedy Jordan odebrał wiadomość od Sandeckera. Prezydent wrócił do swojej sypialni na piętrze Białego Domu, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Wiązał właśnie krawat przed lustrem, gdy zadzwonił telefon.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panie prezydencie - rzekł Jordan - ale chciałem pana jak najszybciej powiadomić, że zrzut zakończył się powodzeniem. Pitt w Pojeździe Eksploracyjnym Głębin Oceanicznych znajduje się już w drodze.

- Jakże miło dla odmiany zacząć dzień od pomyślnych wiadomości. Kiedy dotrą do wraku bombowca?

- Mniej więcej za godzinę, może nawet wcześniej, jeśli będą jechać po płaskim i nie natrąfią na jakieś niespodziewane przeszkody.

- A kiedy można spodziewać się eksplozji?

- Jakies dwie godziny zajmie wydobycie bomby i trzy godziny dojazd na wyznaczone miejsce, dołączenie zapalnika oraz ucieczka PEGO w bezpieczny rejon.

- Były jakieś kłopoty? - zapytał prezydent.

- Admirał Sandecker stwierdził, że w trakcie opadania wehikułu przeżyli chwile grozy, ale sam pojazd nie ucierpiał podczas zderzenia z dnem. Jedyny problem, o ile można to zaliczyć do kłopotów, polega na tym, że Pittowi udało się jakimś sposobem wyeliminować Giordina i sam przeprowadza tę operację.

Prezydent odczuł dziwną satysfakcję.

- Można się było tego spodziewać. Tacy jak on wolą poświęcić własne życie, niż narażać przyjaciół. Czy są jakieś nowe wiadomości o samochodach z bombami?

- Akcja na szeroką skalę doprowadziła do tego, że znaleźliśmy już dwadzieścia siedem.

- Yoshishu i Tsuboi chyba wiedzą, że ich przewaga topnieje. Gdyby mieli klucz do zdetonowania wszystkich głowic, zapewne daliby nam o tym znać.

- Już wkrótce się dowiemy, czy wygraliśmy ten wyścig, czy też nie - odparł posepnym głosem Jordan.

Specjalny doradca, Dale Nichols, podbiegł do niego przy wyjściu z windy. Prezydent odgadł po jego minie, że stało się coś niezwykłego.

- Wyglądasz, jakbyś stał na bosaka pośrodku mrowiska. Co się stało, Dale?

- Niech pan pójdzie do sekcji łączności, panie prezydencie. Ichiro Tsuboi jakimś sposobem przełamał nasze zabezpieczenia i nawiązał bezpośrednią łączność holograficzną.

- Jest wciąż na linii?

- Nie. Powiedział, że zaczeka. Chce rozmawiać tylko z panem.

- Zawiadam centrum dowodzenia, żeby włączyło się na ten sam kanał łączności.

Prezydent wszedł do pomieszczenia usytuowanego naprzeciwko Gabinetu Owального i usiadł w obciążonym skórą fotelu, na który skierowane były kamery i mikrofony; miał przed sobą duży, przejrzysty sześcian ekranu holograficznego. Wcisnął na pulpicie klawisz wywołania i czekał. Wreszcie, jak gdyby cudownym sposobem przeniesiona przez pół świata, w drugim końcu pokoju zmaterializowała się naturalnych rozmiarów trójwymiarowa postać Ichiro Tsuboiego.

Dzięki zaawansowanym technikom optycznym - światłowodowej łączności wideofonicznej i komputerowej projekcji obrazów holograficznych - dwaj mężczyźni mogli ze sobą rozmawiać tak, jakby znajdowali się w tym samym pomieszczeniu. Postać Japończyka była nadszpodziewanie wyraźna i szczegółowa, nie odznaczała się tą, tak charakterystyczną dla niedoskonałych projekcji holograficznych, nieco szokującą półprzejrzystością.

Tsuboi klęczał na bambusowej macie, przysiadłszy na piętach; splecione dłonie trzymał na udach. Ubrany był w elegancki garnitur, ale na nogach nie miał butów. Ukłonił się lekko, kiedy przed nim pojawiła się projekcja sylwetki prezydenta.

- Czyżby zdecydował się pan przystąpić do rozmów, panie Tsuboi?

- Zgadza się - odparł tamten, świadomie pomijając wszelkie formy grzecznościowe.

Prezydent pomyślał, że powinien od razu przystąpić do ataku.

- Muszę przyznać, że istotnie zwrócił pan na siebie moją uwagę poprzez tę eksplozję w Wyoming. Czy miała ona być dla nas jakimś ostrzeżeniem?

Prezydent wypowiedział te słowa z całkowicie obojętną miną. Jako doświadczony polityk potrafił właściwie oceniać ludzi. Teraz także dostrzegł niezwykle napięcie Tsuboiego i domyślił się, że Japończyk wcale nie stoi na pozycji siły.

Geniusz międzynarodowej finansjery i spadkobierca przestępczego i przemysłowego imperium Sumy starał się sprawiać wrażenie spokojnego i zrównoważonego, ale uczyniona na wstępie uwaga o eksplozji głowicy wyraźnie odniosła pożądany skutek. Widocznie ani on, ani Yoshishu, nie mogli zrozumieć, dlaczego przywódca wrogiego obozu całkowicie zignorował ostrzeżenie.

- Zaoszczędźmy sobie niepotrzebnych słów, panie prezydencie - odezwał się Tsuboi. -

Dobrze pan wie, jaką mamy przewagę techniczną i jakim systemem obrony dysponujemy. Myślę, że senator Diaz, deputowana do Kongresu Smith oraz agenci z waszego zespołu dostarczyli wyczerpujących informacji na temat naszych urządzeń na wyspie Soseki.

- Owszem, wystarczająco wiele wiem o Centrali Smoka i projekcie Kaiten - przyznał prezydent, zwróciwszy uwagę, że Tsuboi nawet słowem nie wspomniał o Hidekim Sumie. - Muszę podkreślić, że jeśli ufacie, iż nie wydam rozkazu zmasowanego ataku, obawiając się dalszych eksplozji przemycanych w samochodach głowic, to jesteście w wielkim błędzie.

- Nie mamy zamiaru spowodować śmierci milionów waszych obywateli.

- Dobrze znam wasze intencje, panie Tsuboi. Uruchomienie tego systemu spowoduje istny Armageddon.

- Jeśli chce pan przejść do historii jako największy od czasów Hitlera, działający absolutnie irracjonalnie potwór, to chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Domyślam się jednak, że skoro nawiązał pan bezpośrednią łączność, to chciał pan coś przekazać.

Tsuboi milczał przez chwilę.

- Owszem, mam pewne propozycje.

- Jestem gotów ich wysłuchać.

- Proszę odwołać poszukiwania uzbrojonych samochodów. Jeśli rozbroicie choćby jeszcze jeden, wyślemy sygnał detonacji pozostałych. A ponieważ wy nie zawahaliście się kiedyś użyć podobnej broni wobec Japonii, zapewniam pana, że i ja się nie zawaham przed zdetonowaniem pozostałych głowic w dużych miastach.

Prezydent ogromnym wysiłkiem woli zdusił w sobie narastającą złość.

- Zatem ta gra zostanie nie rozstrzygnięta. Wy zabijecie miliony naszych obywateli, a my zdziesiątkujemy wasz naród.

- Nie robi pan tego. Obywatele wielkiej, białej, chrześcijańskiej Ameryki nie dopuszczą do takiej rzezi.

- Nie wszyscy jesteśmy biali i nie wszyscy jesteśmy chrześcijanami.

- Fakt istnienia mniejszości w niczym nie zmienia sytuacji.

- Ale to także są Amerykanie.

- Tak czy owak, moi rodacy są gotowi umrzeć dla dobra nowego imperium japońskiego.

- To wierutna bzdura - odrzekł szybko prezydent. - Do tej pory zarówno Suma, jak i pan oraz reszta tej gangsterskiej hołoty działaliście w ścisłej tajemnicy. Obywatele Japonii nie mają pojęcia, że gotowi jesteście poświęcić ich życie dla zdobycia dominacji gospodarczej na



świecie. Nikt się nie zgodzi ryzykować wyniszczenia kraju dla zaspokojenia chciwości kilku kryminalistów. Nie może pan przemawiać ani w imieniu narodu, ani w imieniu waszego rządu.

Przez twarz Tsuboiego przemknął ironiczny uśmiezek i prezydent zrozumiał szybko, że niepotrzebnie dał się wciągnąć w tę dyskusję.

- Można jednak uniknąć straszliwych zniszczeń w obu krajach, zgadzając się na nasze propozycje.

- Chciał pan powiedzieć: żądania.

- Jak pan sobie życzy.

- A więc słucham. - Prezydenta powoli ogarniała złość także z tego powodu, że stopniowo tracił panowanie nad sobą i w jego głosie można było wyczuć pewne napięcie.

- Nie będzie żadnej nacjonalizacji ani przejmowania japońskich przedsiębiorstw w Stanach, czy też jakichkolwiek prób ustawowego ograniczania działalności naszych inwestorów i przemysłowców.

- Tego nie musicie się obawiać. Nigdy nie braliśmy pod uwagę nacjonalizacji przemysłu w Stanach Zjednoczonych. W ciągu naszej dwuchsetletniej historii nie rozpatrywano ani jednego projektu dotyczącego podobnych pozakonstytucyjnych działań. O ile mi wiadomo, nie podjęto również żadnych działań prawnych skierowanych przeciwko obecności japońskich inwestorów na rynku amerykańskim.

- Od obywateli Japonii nie będzie się wymagało konieczności posiadania wiz przy wjeździe na terytorium USA.

- W tej sprawie będziecie musieli stoczyć batalię w Kongresie.

- Nie zostaną wprowadzone żadne ograniczenia importowe ani podwyższone taryfy celne na towary japońskie - kontynuował spokojnie Tsuboi.

- A co z waszymi ograniczeniami i cłami?

- Te nie podlegają dyskusji - odparł szybko Japończyk, widocznie przygotowany na podobne pytanie. - Istnieją ważne powody, dla których wiele waszych wyrobów nie może być sprowadzanych do naszego kraju.

- Słucham dalej.

- Hawaje staną się integralną częścią Japonii.

Prezydent został wcześniej uprzedzony, że może paść takie niezwykle żądanie.

- Mieszkańcy wysp już teraz są bardzo rozżaleni na masowe wykupywanie przez was ich majątku. Wątpię, czy będą chcieli zamienić gwiazdzisty sztandar na wizerunek wschodzącego słońca.

- To samo dotyczy Kalifornii.

- Proszę wybaczyć, że nie powiem głośno tego, co mi przychodzi na myśl - rzekł ironicznie prezydent. - Czemu jednak mielibyśmy na tym poprzestać? Jakie są dalsze żądania?

- Nasze fundusze w znacznym stopniu zasilają wasz budżet, dlatego też oczekujemy odpowiedniej reprezentacji we władzach, a ściślej mówiąc chcemy dostać do dyspozycji wysokie stanowiska w sekretariatach stanu, skarbu oraz handlu.

- Kto miałby wybierać kandydatów na te stanowiska, pan i Yoshishu, czy przedstawiciele waszego rządu?

- Pan Yoshishu i ja.

Prezydent był wstrząśnięty, czuł się tak, jakby pertraktował z przestępcami na temat obsadzenia przez nich stanowisk na najwyższym szczeblu władz państwowych.

- To, czego się pan domaga, panie Tsuboi, jest absolutnie nie do pomyślenia. Amerykanie nigdy nie dopuszczą do gospodarczego uzależnienia się od innych państw.

- Będą musieli zapłacić wysoką cenę, jeśli nie przyjmą tych warunków. Z drugiej strony, kiedy zyskamy znaczący wpływ na decyzje rządu i kręgów przemysłowych, cała wasza gospodarka ulegnie diametralnej zmianie, co zapewni obywatelom znacznie wyższy standard życia.

Prezydent zazgrzytał zębami.

- Przy wprowadzeniu japońskich monopolii i gwałtownym wzroście cen.

- Za to znacznie obniży się bezrobocie oraz deficyt budżetowy - stwierdził Tsuboi.

- Nie w mojej mocy jest czynienie jakichkolwiek obietnic, których nie zatwierdzi Kongres - odparł prezydent; jego wściekłość sięgała zenitu. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś sposobu wybrnięcia z tej sytuacji. Spuścił wzrok w udawanej konsternacji. - Dobrze pan wie, panie Tsuboi, jak się mają sprawy w Waszyngtonie, zna pan zasady funkcjonowania naszych władz.

- Świetnie wiem, że ma pan bardzo ograniczone możliwości, ale zdaję sobie też sprawę, jak wiele może pan uczynić, nie czekając na aprobatę Kongresu.

- Proszę mi dać chwilę czasu na przetrwanie tych niezwykłych żądań. - Prezydent zamilkł, chcąc zebrać myśli. Nie mógł po prostu skłamać i udawać, że godzi się przyjąć śmieszne wprost warunki Japończyka. Zdradziłby w ten sposób, że blefuje i chce jedynie zyskać na czasie. Powinien nadal zachowywać się szorstko i okazać pewne poruszenie. Podniósł głowę i spojrzał tamtemu w oczy. - Pod żadnym pozorem nie mogę przyjąć tych bezwarunkowych żądań, których akceptacja równałaby się utracie niezależności.

- Są to i tak znacznie lepsze warunki od tych, które wy zaproponowaliście nam w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku.

- Pomimo okupacji traktowaliśmy was znacznie łagodniej, niż moglibyście się spodziewać - odpowiedział prezydent, wbijając paznokcie w poręczę fotela.

- Nie spotkaliśmy się po to, żeby dyskutować o historii - oświadczył butnie Tsuboi. - Poznał pan nasze żądania i jest świadom konsekwencji. Niezdecydowanie z waszej strony i gra na zwłokę nie ocalał was przed tragedią.

W hardym spojrzeniu Japończyka nie było nawet śladu konsternacji. Prezydent pojął w lot, że największym zagrożeniem są auta pozostające jeszcze w ukryciu w dużych miastach, nie miał bowiem wątpliwości, że zgromadzono już całą armię maniakałnych samobójców, którzy tylko czekają na sygnał.

- Wasze żądania nie zostawiają wiele miejsca na jakiegokolwiek negocjacje.

- W rzeczy samej: żadnego - odparł Tsuboi tonem jednoznacznie wykluczającym wszelkie dyskusje.

- I sądzi pan, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmuszę do uległości całą naszą opozycję polityczną? - zapytał coraz bardziej rozjątrzony prezydent. - Dobrze pan wie, że nie mam prawa niczego dyktować Kongresowi. Senator Diaz i członkini Kongresu Smith, którzy już wcześniej domagali się podjęcia działań prawnych przeciwko japońskiej dominacji, mają olbrzymie poparcie w obu izbach.

Tsuboi wzruszył ramionami.

- Zdaję sobie sprawę, że kółka zębate waszej maszyny rządowej coraz bardziej grzęzną w błocie emocji, panie prezydencie. Ale parlamentarzyści będą głosować zgodnie z polityką partii, którą reprezentują, nie bacząc na dobro kraju.

Większość z nich z pewnością zgodzi się przyjąć te warunki, jeśli tylko powie im pan, że w trakcie naszej rozmowy dwa samochody zostały ustawione w wybranych punktach Waszyngtonu.

To koniec, pomyślał prezydent. Piłka znów wylądowała po tej stromej siatki.

- Potrzebuję trochę czasu - rzekł, starając się ze wszystkich sił nie okazać rozdrażnienia.

- Do trzeciej po południu waszego czasu musi pan zorganizować przed kamerami telewizji wystąpienie, wraz z gronem doradców i przywódców Kongresu, w którym obwieści pan zasady nowego porozumienia o współpracy między Japonią i Stanami Zjednoczonymi.

- Prosi pan o zbyt wiele.

- Nie ma innego sposobu - odparł Tsuboi. - I jeszcze jedno, panie prezydencie. Przy

pierwszej próbie ataku na wyspę Soseki zostaną zdetonowane głowice jądrowe w samochodach. Czy wyrażam się jasno?

- Jak najbardziej.

- Zatem do zobaczenia. Będę z uwagą śledził pańskie wystąpienie telewizyjne dziś po południu.

Postać Japończyka rozplynęła się nagle w powietrzu.

Prezydent spojrział na zegar wiszący na ścianie. Była dziewiąta, zostało mu zaledwie sześć godzin. Według meldunku Jordana tyle samo czasu potrzebował Pitt na zdetonowanie starej bomby atomowej, co miało wywołać trzęsienie ziemi oraz tsunami.

- O Boże... - szepnął w pustym pokoju. - A jeśli ta operacja się nie powiedzie?

“Wielki Ben” przemierzał bezkresną podmorską równinę z szybkością piętnastu kilometrów na godzinę, co i tak było olbrzymim osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że masywny wehikuł mełł gąsienicami grubą warstwę osadów dennych. Ciągnął za sobą wielką chmurę wyrzuconego z dna mułu, która szybko znikwała w ciemnościach głębin, by po jakimś czasie osiąść z powrotem.

Pitt spoglądał to na widok za oknem, to znów na ekran komputera, na którym widniała trójwymiarowa projekcja kształtu dna, rysowana na podstawie namiarów laserowych i sonicznych. Podmorska równina jak dotychczas oszczędziła mu przykrych niespodzianek, tylko raz musiał szukać objazdu wąskiej, lecz głębokiej szczeliny.

Dokładnie czterdzieści siedem minut po odczepieniu spadochronów i wyruszeniu w drogę dostrzegł na radarze “Wielkiego Bena” zarys bombowca, który po jakimś czasie wypełnił cały ekran. Współrzędne z namiarów satelitarnych, które wprowadził do komputera nawigacyjnego, nakierowały go prosto na cel.

Znalazł się wreszcie na tyle blisko, że mógł dojrzeć wrak przez szybę, w mglistym blasku zewnętrznych reflektorów. Przyhamował i objechał dokoła pogruchotany bombowiec, który wyglądał jak zniszczona zabawka, porzucona w sadzawce na podwórku. Obserwował go z tym nieodmiennym dreszczem emocji, jakiego doświadczają wszyscy nurkowie w pobliżu spoczywającego na dnie morskim wytworu rąk ludzkich - dziwną mieszaninę lęku i podniecenia, którą odczuwa się, dotykając zatopionego samochodu, samolotu czy też szczątków jakiegoś statku, można porównać jedynie z doznaniem ludzi spacerujących o pomocy po zamku nawiedzonym przez duchy.

“Demony Denningsa” leżały zakopane w głębokiej na metr warstwie mułu. Brakowało jednego silnika, a naderwane prawe skrzydło było odgięte do tyłu i w górę, niczym ręka groteskowo wyciągnięta ku powierzchni. Płaty trzech pozostałych śmigieł, silnie powyginane do tyłu od zderzenia z falami, przypominały zwiędłe płatki kwiatów.

Wysoki na trzy piętra statecznik pionowy, posiekany kulami, odłamał się podczas zderzenia i leżał nieco z boku, w pewnej odległości za kadłubem. Z wieżyczki tylnego strzelca sterczały jedynie ostre odłamki szkła, a rdzewiejące lufy sprzężonych działek kalibru 20 milimetrów tkwiły wbite w muł.

Aluminiową powierzchnię trzydziestometrowego cylindrycznego kadłuba pokrywała warstwa mułu i osadów, ale szyby okien na dziobie były wciąż przezroczyste. Tak samo nadal czytelny był wykonany pod oknem od strony pierwszego pilota rysunek małego diabełka. Pitt miał wrażenie, że śledzą go złośliwe oczka, a grube wargi wydymają się w szatańskim

uśmiechu.

Wyobraźnia podsunęła mu widok szkieletów nadal spoczywających w fotelach załogi i z opadłą szczęką wpatrujących się w dal pustymi oczodołami. Pitt spędził jednak mnóstwo czasu pod wodą, wielokrotnie wpływał do zatopionych wraków i dobrze wiedział, czego może się spodziewać w środku. Tkanki ludzkie zniknęły pierwsze, pożerane przez różne organizmy morskie, ale w lodowatej słonej wodzie z czasem rozpuszczały się także kości. O dziwo, najdłużej wytrzymały wszelkie tkaniny, a tym bardziej skórzane kurtki lotnicze oraz buty. Ale i te w końcu miały zniknąć, podobnie jak i reszta samolotu.

-Widzę cel - zakomunikował przez radio Sandeckerowi, który znajdował się w krążącym nadal transportowcu.

-W jakim stanie? - odpowiedział szybko admirał, w którego głosie wyczuwało się napięcie.

-Jedno skrzydło odłamane, a oderwany ogon leży nieco z tyłu, lecz kadłub jest nie naruszony.

- Bomba znajduje się w pierwszym przedziale bombowym. Musisz zacząć ciąć wzdłuż linii łączącej miejsca spojenia czołowych krawędzi skrzydeł z kadłubem, a potem odchylić całą górną część poszycia.

- Chyba dopisało nam szczęście - odparł Dirk. - Zacznę od strony oderwanego skrzydła, gdzie mam łatwy dostęp do kadłuba i mogę zrobić proste nacięcie wzdłuż nitów mocujących poszycie do grodzi.

Podjechał PEGO do wraka na tyle blisko, by przegubowe ramię sięgało do kadłuba. Wsunął rękę w gumowy rękaw serwomechanizmu, którego czujniki sterowały ruchami automatycznego wysięgnika, i obrócił trzyczęściową głowicę lewego ramienia, by móc wykorzystać piłę tarczową. Ustawienie głowicy było tak proste, jakby miał do czynienia z przedłużeniem ręki. Korzystając następnie z trójwymiarowych projekcji obiektu, zmierzył wszystkie parametry planowanego nacięcia. Na ekranie komputera mógł nie tylko obserwować ogólny zarys obiektu, ale także wyświetlać pod różnymi kątami powiększone fragmenty wraka. Przyniósł tarczę piły do aluminiowego poszycia samolotu, po czym wprowadził do komputera dane dotyczące głębokości i długości nacięcia. Wreszcie uruchomił piłę i obserwował, jak z precyzją chirurgicznego skalpela wgryza się w kadłub "Demonów Denningsa".

Stalowa tarcza rozcinała nadgryzione korozją aluminiowe blachy z taką łatwością, jak ostry nóż modelarski formujący detale z lekkiej balsy. Nie sypały się iskry, metalowe części nie nagrzewały się nawet specjalnie - blacha okazała się bardzo miękka, a otaczała ją

lodowata woda. Niemal równie łatwo przecięte zostały elementy szkieletu i grube zwoje kabli elektrycznych. Po pięćdziesięciu minutach, kiedy wszystkie nacięcia były już gotowe, Pitt uruchomił drugi manipulator, zakończony wielkim chwytakiem z dwoma stalowymi paluchami.

Jeden z nich z łatwością przebił się przez blachę, a gdy aluminium zostało zakleszczone w uchwycie, Dirk powoli uniósł mechaniczne ramię i odciągnął do tyłu, wrywając wielki kawał poszycia bombowca. Ostrożnie przesunął ramię w bok i powoli opuścił wycięty kawał blachy na dno, żeby nie zmącić osadów.

Prostokątny otwór w kadłubie, który mierzył trzy na cztery metry, odsłonił wielką bombę podobną do "Grubasa" a nazwaną "Oddechem Matki" - była zawieszona w specjalnym uchwycie zaopatrzonym w klamry zapobiegające zbyt silnym wychyłom na boki.

Pitt stwierdził, że musi jeszcze wyciąć fragment wąskiego tunelu biegnącego ponad przedziałem bombowym, łączącego kabinę pilotów z pomieszczeniami w ogonie. Razem z poszyciem odciął już część stalowej kładki ciągnącej się przez całą długość przedziału, ale chcąc bez przeszkód wydobyć bombę z kadłuba, musiał też rozmontować prowadnice, które miały zapobiec zaklinowaniu się bomby w luku bombowym przy jej zrzucaniu.

Czynności te również wykonał bez większych kłopotów i po pewnym czasie na leżącym z boku fragmencie poszycia piętrzył się stos różnych kawałków żelaznych szyn. W końcu można było przystąpić do wyciągania bomby.

"Oddech Matki" zdawał się emanować tchnieniem śmierci i zniszczenia - miał trzy metry długości, niespełna dwa metry średnicy i przypominał gigantyczne, pokryte rdzą ptasie jajo z dosztukowanymi na końcu statecznikami i szwem pośrodku, który z daleka wyglądał jak zamek błyskawiczny.

- W porządku, przystępuję do wydobycia bomby - zakomunikował Pitt przez radio.

- Będziesz musiał wykorzystać oba manipulatory do jej podwieszenia i przewozu - odpowiedział Sandecker. - Według starych raportów ona waży blisko pięć ton.

- Muszę użyć jednego ramienia do odcięcia łańcucha zawieszenia i klamer zabezpieczających.

- Jedno ramię nie wytrzyma takiego ciężaru, puści przegub wysięgnika.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale dopiero po przecięciu łańcucha będę mógł obrócić głowicę manipulatora i zmienić piłę tarczową na chwytak. Przedtem nie będę miał na czym podwiesić bomby.

- Zaczekaj - powiedział Sandecker. - Sprawdzę coś i zaraz wracam.

Pitt nie czekał bezczynnie. Zaciśnął paluchy chwytaka na półkolistej klamrze w

obudowie bomby i przytknął tarczę piły górnego ogniwa łańcucha.

- Dirk?

- Słucham, admirale.

- Pozwól jej opaść.

- Powtórz to.

- Przetnij spokojnie łańcuch i pozwól jej opaść. "Oddech Matki" jest bombą typu implozyjnego i może wytrzymać nawet silny wstrząs.

Wpatrując się w jajowatego kolosa, wiszącego zaledwie kilka metrów przed jego oczami, Pitt ujrzał w wyobraźni ognistą kulę eksplozji jądrowej, którą wielokrotnie widział na filmach dokumentalnych.

- Jesteś tam? - zapytał nerwowo Sandecker.

- Mówisz to na podstawie faktów czy tylko czyjejś opinii? - zapytał Dirk.

- Na podstawie faktów historycznych.

- Jak usłyszysz wielki huk pod wodą, to będziesz wiedział, że zepsułeś mi nastrój.

Pitt zaczerpnął głęboko powietrza, odetchnął i odruchowo zamknął oczy, uruchamiając piłę. Żelazny łańcuch, na wpół przerdzewiały wskutek pięćdziesięcioletniego przebywania w słonej wodzie, dość szybko ustąpił w zetknięciu ze stalowymi zębami piły tarczowej i wielka bomba opadła na zamknięte klapy luku. Jedyne, co przypominało eksplozję, to niewielka chmura poderwanego w górę mułu, który przez lata nagromadził się wewnątrz kadłuba.

Jeszcze przez dłuższy czas Pitt siedział zeszywniały, jakby zahipnotyzowany. Wsłuchiwał się w martwą ciszę czekając, aż osad opadnie i znów ukaże się masywne cielsko bomby.

- Jakoś nie słyszałem tego huku - oznajmił Sandecker denerwująco spokojnym tonem.

- Jeszcze go usłyszysz - odparł Dirk, stopniowo odzyskując zdolność trzeźwego myślenia. - Jeszcze usłyszysz.



W serca ludzi ponownie wstąpiła nadzieja. Nie minęły jeszcze dwie godziny od rozpoczęcia operacji, kiedy “Wielki Ben”, z “Oddechem Matki” podwieszonym na wysięgnikach pojazdu, ruszył w drogę po dnie oceanu. W miarę wkraczania akcji w kluczową fazę - podobnie jak w ostatnich minutach meczu, kiedy nikt jeszcze nie jest pewien wyniku - wszystkich, zarówno w krążącym samolocie, jak i w Białym Domu, ogarniało coraz większe podniecenie.

- Nieźle - mruknął Giordino - o osiemnaście minut wyprzedza harmonogram.

- “Jak samotny wędrowiec, co w strachu kroczy drogą pośród pustkowi” - stwierdził w zamyśleniu Sandecker.

Giordino uniósł brwi w zdumieniu.

- Skąd pan to wziął, admirale?

- Ze Starożytnego marynarza Coleridge’a - odparł Sandecker, uśmiechając się pobłaźliwie. - Myślałem o Dirku, który wędruje samotnie w głębinach, dźwigając odpowiedzialność za miliony istnień ludzkich, które znalazły się o krok od unicestwienia...

- Powinienem być tam razem z nim - wtrącił ostro Giordino.

- Wiemy wszyscy, że tak samo zamknąłbyś go w toalecie, gdybyś to ty wpadł pierwszy na ten pomysł.

- To prawda. - Al wzruszył ramionami. - Lecz nie zrobiłem tego i teraz on nadstawia karku, a ja siedzę tu jak manekin na wystawie.

Admirał spojrział na mapę, na której czerwoną linią zaznaczono trasę PEGO od wraka bombowca do miejsca eksplozji.

- On to zrobi i ujdzie z życiem - mruknął. - Dirk nie należy do tych ludzi, którzy łatwo daliby się zabić.

Yoshishu, Tsuboi oraz Takeda Kurojima przysunęli się bliżej, a Masuji Koyama, kierownik działu detekcji służb obrony, stanął za technikiem obsługującym radar i wskazał im na ekranie cel.

- To bardzo duży amerykański transportowiec wojskowy - rzekł. - Dane komputerowe wskazują, że jest to C-Pięć Galaxy, używany do przewożenia na duże odległości bardzo ciężkich ładunków.

- Mówisz, że zachowuje się dziwnie? - zapytał Yoshishu.

Koyama skinął głową.

- Nadleciał z południowego wschodu, prawdopodobnie z amerykańskiej bazy lotniczej na Shimodate, korzystając z używanego zwykle przez ich lotnictwo wojskowe pasa

powietrznego, który przebiega od siedemdziesięciu do stu kilometrów od naszej wyspy. Na ekranach wyróżniliśmy drugie echo jakiegoś obiektu, który oderwał się od samolotu i spadł do morza.

- Zrzucili coś z samolotu?

- Tak.

- Czy można to zidentyfikować? - wtrącił Tsuboi.

Koyama pokręcił głową.

- Mogę tylko powiedzieć, że ten obiekt spadał powoli, jak gdyby na spadochronie.

- Może to podwodne urządzenie namiarowe? - podsunął Kurojima, naczelny dyrektor Centrali Smoka.

- Niewykłuczone, choć ten obiekt był za duży jak na takie urządzenie.

- Bardzo dziwne - mruknął Yoshishu.

- Od tamtej pory - mówił dalej Koyama - samolot zatacza koła nad miejscem zrzutu.

Tsuboi spojrział na niego.

- Od jak dawna?

- Prawie od czterech godzin.

- Czy przechwyciliście jakieś meldunki radiowe?

- Owszem, kilkakrotnie złapaliśmy krótkie sygnały, ale były zakodowane elektronicznie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Samolot obserwacyjny! - szepnął wreszcie Koyama tajemniczo.

- Co? - zapytał Yoshishu. - Jaki znów samolot obserwacyjny?

- Wyposażony w specjalne urządzenia detekcyjne i najwyższej klasy aparaturę łączności - wyjaśnił Koyama. - Takie samoloty są używane jako ruchome centrum dowodzenia, skąd można naprowadzać pociski na cel.

- A więc prezydent jest zwykłym kłamcą! - syknął Tsuboi. - Próbował mydlić mi oczy tylko po to, żeby zyskać na czasie. Teraz już wiemy, że Amerykanie zamierzają przeprowadzić zmasowany atak na wyspę.

- Dlaczego zatem się nie kryją? - zapytał cicho Yoshishu. - Wywiad amerykański wie doskonale, że mamy odpowiednie urządzenia, by wykryć i śledzić cele poruszające się w tej odległości od wyspy.

Koyama zapatrzył się na widoczne na ekranie radaru echo kołującego samolotu.

- A może oni chcą tylko wypróbować nasze elektroniczne systemy obrony?

- Znów nawiążę bezpośrednią łączność z prezydentem - rzekł Tsuboi z twarzą

wykrzywioną wściekłością - i zażądam natychmiastowego wycofania tego samolotu.

- Nie, mam lepszy plan. - Na wargach Yoshishu pojawił się drwiący, chytry uśmieszek.

- Wyślemy taką wiadomość, którą prezydent na pewno zrozumie.

- Jaką wiadomość, Korori? - zapytał z szacunkiem Tsuboi.

- Całkiem oczywistą - odparł starzec. - Zniszczymy samolot.

W sześć minut później dwie sterowane podczerwienią rakiety przeciwlotnicze typu Toshiba pomknęły w stronę nie spodziewającego się ataku transportowca. Całkowicie bezbronny wobec nich samolot nie był nawet wyposażony w radarowy system ostrzegania - pilot spokojnie krążył nad oceanem, śledząc trasę "Wielkiego Bena", i nie przypuszczał, że zbliżają się śmiertelne pociski.

Sandecker poszedł właśnie do kabiny łączności, żeby przesłać kolejny meldunek do Białego Domu, natomiast Giordino został przy stole i wpatrywał się w geologiczną mapę dna morskiego, wypatrując najłatwiejszej drogi, którą Pitt mógłby dotrzeć do wybrzeży Japonii. Chyba już po raz piąty mierzył odległość, kiedy pierwsza rakietka trafiła w samolot i eksplodowała. Impet zderzenia oraz fala uderzeniowa cisnęły ogłuszonego Ala na stół. Zaledwie jednak zdołał się unieść na łokciach, kiedy drugi pocisk trafił w przedział towarowy i wyrwał ogromną dziurę w dolnej części poszycia samolotu.

Koniec byłby szybki i niespodziewany, lecz pierwszy pocisk nie eksplodował przy bezpośrednim zderzeniu. Przeszedł przez pierwszą warstwę blach, przeleciał między ożebrowaniem, wybił dziurę w przeciwległej ścianie, a cały impet wybuchu, który mógłby rozerwać transportowca na części, poszedł w powietrze. Podnosząc się na nogi, Giordino gorączkowo usiłował zebrać myśli. Był pewny, że samolot nie utrzyma się w powietrzu i zacznie spadać. Mylił się jednak. Olbrzymi Galaxy nie miał zamiaru się poddać - szczęśliwym trafem nie stanął w płomieniach i miał poważnie uszkodzony tylko jeden z newralgicznych układów. Pomimo ziejących w kadłubie dziur, dość pewnie trzymał się w powietrzu.

Pilot natychmiast wprowadził maszynę w lot nurkowy i wyrównał dopiero trzydzieści metrów nad falami, po czym wziął kurs na południe, oddalając się od wyspy Soseki. Silniki pracowały normalnie i jeśli nie liczyć silnych wibracji, które wstrząsały samolotem, jedynym zmartwieniem pilota była utrata cennego paliwa.

Sandecker podniósł się z podłogi i razem z mechanikiem pokładowym pobiegł do przedziału towarowego, żeby ocenić straty. Natknęli się na Giordina pełznącego na czworakach w stronę wybawczej grodzi. Trzymając się kurczowo ramy kadłuba, admirał obrzucił uważnym spojrzeniem wielkie dziury ziejące w blachach poszycia, za którymi przemykało rozświetlone srebrzystą poświatą morze.

- Za nic w świecie nie skoczę! - wrzasnął Giordino, przekrzykując wycie wiatru wpadającego do przedziału towarowego.

- A myślisz, że ja to lubię? - odkrzyknął Sandecker.

Mechanik pokładowy rozszerzonymi ze zdumienia oczyma gapił się na podziurawiony kadłub.

- Co się stało, do cholery?

- Dostaliśmy dwoma raketami typu ziemia-powietrze - odkrzyknął Giordino.

Machnął ręką na Sandeckera i wskazał drzwi, za którymi mogli się schronić przed wichurą. Wrócili do kabiny pilotów, podczas gdy mechanik wyruszył na szczegółową inspekcję uszkodzeń tylnej części samolotu. Obaj piloci w skupieniu tkwili za sterami i porozumiewali się półgłosem, jak gdyby pomagali sobie wzajemnie zdać egzamin na symulatorze lotu.

Giordino opadł ciężko na podłogę, dziękując Bogu, że jeszcze żyje.

- Nie chce mi się wierzyć, że ten kolos może jeszcze latać - mruknął z podziwem. - Proszę mi przypomnieć, bym uściskał jego konstruktorów.

Sandecker stanął między fotelami pilotów, pochylił się nad pulpitem i obrzucił wzrokiem wskazania przyrządów.

- Jakie szanse? - zapytał.

- Kable elektryczne i przewody hydrauliczne są całe, mamy wystarczającą możliwość manewrowania - odparł dowódca transportowca, major Marcus Turner, potężnie zbudowany i ogorzały Teksasczyk, zwykle tryskający humorem, lecz teraz poważny i skupiony. - Wybuch musiał jednak uszkodzić doprowadzenie benzyny z głównych zbiorników, bo w ciągu zaledwie dwóch minut strzałki paliwomierzy poleciały w dół.

- Czy możemy zostać w pobliżu, poza zasięgiem rakiet?

- Wykluczone.

- A jeśli zechcę, żeby pan to traktował jako rozkaz dowodzącego operacją? - zapytał ostro Sandecker.

Turner spojrział na niego z ukosa.

- Bez obrazy, admirale, ale ten samolot w każdej chwili może się rozlecieć w szwach. Jeśli ma pan ochotę zginąć, to pańska sprawa, ale ja muszę mieć na względzie dobro załogi i maszyny. Pan też jest zawodowym oficerem i zapewne wie, co chcę przez to powiedzieć.

- Przykro mi, ale rozkaz to rozkaz.

- Jeśli samolot się nie rozleci i starczy nam paliwa - zauważył spokojnie pilot - może zdołamy dotrzeć do bazy Naha na Okinawie. To najbliższe lotnisko, jeśli wykluczmy

Japonię.

- Odpada - rzekł stanowczo Sandecker. - Musimy zostać poza zasięgiem obrony przeciwlotniczej wyspy i utrzymywać kontakt radiowy z człowiekiem działającym na dnie. Ta operacja ma zbyt wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego, byśmy się wycofali. Proszę utrzymywać maszynę w powietrzu tak długo, jak tylko to możliwe. Jeśli przyjdzie co do czego, niech pan siada na falach.

Turner poczerwieniał i westchnął ciężko, lecz zdobył się na niewyraźny uśmiech.

- W porządku, admirale, ale niech pan lepiej obmyśli sposób dopłynięcia do najbliższego lądu.

Rozwścieczony Sandecker chciał już ostro odpowiedzieć, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się szybko. Ujrzał przed sobą oficera łączności, który popatrzył mu w oczy i smętnie pokręcił głową.

- Przykro mi, admirale, radio nie działa. Nie możemy nawet prowadzić nasłuchu.

- A więc sprawa jasna - rzekł Turner. - Z uszkodzonym radiem możemy tylko latać w kółko.

Sandecker spojrzał na Giordina, a głębokie zmarszczki na jego twarzy odzwierciedlały smutek i wściekłość.

- Dirk nie będzie miał żadnego wsparcia. Pomyśli, że go zostawiliśmy.

Al zapatrzył się niewidzącymi oczyma w ledwie rozróżnialną za szybą linię horyzontu. Coś go ścisnęło za serce. Już po raz drugi w ciągu ostatnich tygodni miał wrażenie, że opuszcza w potrzebie najlepszego przyjaciela. Kiedy w końcu uniósł głowę, na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Dirk nas nie potrzebuje. Tylko on może zdetonować tę bombę i doprowadzić "Wielkiego Bena" do najbliższego lądu.

- A myślisz, że ja przestałem w niego wierzyć? - zapytał szybko Sandecker.

- Okinawa? - wtrącił Turner, zaciskając silnie palce na drążku.

Admirał spojrzał na pilota i bardzo powoli, z wyraźnym trudem, jakby musiał pokonać podszeptującego mu coś w głębi ducha diabła, rzekł:

- Okinawa.

Olbrzymi transportowiec pochylił się, wchodząc na nowy kurs. Odgłos silników szybko zamarł w oddali i nad oceanem zapanowała cisza.

“Wielki Ben”, z bombą zawieszoną na przegubowych wysięgnikach, dotarł nad krawędź wielkiego rowu oceanicznego, mającego dziesięć kilometrów szerokości i dwa kilometry głębokości. Pitt spoglądał ponuro na ziejącą przed pojazdem mroczną otchłań.

Jako optymalne miejsce detonacji, która miałaby spowodować osunięcie gruntu i wielką sejsmiczną falę przyływową, geofizycy wybrali punkt położony dwieście metrów poniżej krawędzi rowu. Okazało się jednak, że nachylenie stoku jest o dobre pięć procent wyższe od tego, co wskazywały fotografie satelitarne. Co gorsza, górna warstwa osadów na krawędzi miała konsystencję półpłynnej mazi.

Dirk uruchomił wysięgnik teleskopowy do pobierania próbek dna morskiego, lecz spoglądając na wyświetlane przez komputer wyniki analiz, zasepił się jeszcze bardziej. Groziło mu wielkie niebezpieczeństwo, musiał toczyć nieustanną walkę, aby ciężki pojazd nie ześliznął się po niestabilnym gruncie aż na samo dno rowu.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli raz skieruje “Wielkiego Bena” w dół zbocza, nie będzie już miał odwrotu - gąsienice PEGO nie znajdą na tyle pewnego oparcia na śliskim podłożu, by można wyprowadzić pojazd z powrotem na podmorską równinę i przed eksplozją odjechać na bezpieczną odległość. Postanowił, że po uzbrojeniu bomby pojedzie dalej wzdłuż rowu, niczym narciarz trawersujący pokryte grubą warstwą śniegu zbocze. Jedynej szansy - choć wydawała mu się ona znikoma - upatrywał w tym, by wykorzystać siłę grawitacji, ściągającą pojazd na dno zagłębienia, do nabrania dodatkowej szybkości i ucieczki z rejonu zagrożonego zejściem lawiny mułu, która by pogrzebała “Wielkiego Bena” na dziesięć milionów lat.

Zawsze w takich chwilach przychodziło mu na myśl, jak cienka linia oddziela życie od śmierci. Ironicznie stwierdził w duchu, że ani na chwilę nie przestaje działać prawo Murphy’ego, mówiące, że jeżeli coś może pójść źle, to pójdzie. Specjalnie zostawił Giordina w samolocie, a teraz się zastanawiał, dlaczego utracił łączność z transportowcem. Musiało się coś stać, miał bowiem pewność, że Al i Sandecker nie opuściliby go w potrzebie. Ale za wcześniej było szukać odpowiedzi, za późno natomiast żegnać się ze sobą.

Poczuł się samotny i zagubiony, bo nawet płynące z głośnika radiostacji czyjeś słowa podnosiły go na duchu. Odczuwał coraz silniejsze zmęczenie. Opadł na oparcie fotela, opuściły go resztki optymizmu. Sprawdził po raz kolejny współrzędne miejsca eksplozji i popatrzył na zegarek.

Przełączył pojazd na sterowanie ręczne, wrzucił bieg i powoli skierował “Wielkiego Bena” w dół zbocza.

Przejechał zaledwie sto metrów, gdy nachylenie stoku zwiększyło się jeszcze bardziej.

Pitt zwątpił ostatecznie, czy uda mu się zatrzymać wehikuł, coraz szybciej ześlizgujący się na dno rowu. Wkrótce przekonał się, że hamowanie wcale nie ogranicza prędkości, zęby gąsienic nie napotykały żadnego oporu w luźnej warstwie osadów. Olbrzymi PEGO zsuwał się po śliskim mule, niczym wagonik kolejki górskiej w lunaparku.

Wielka bomba huśtała się złowieszczo w uchwytach manipulatorów. Wisiała prosto przed oczyma Dirka, który chcąc nie chcąc, musiał na nią spoglądać, zerkając jednocześnie kątem oka na wskazania przyrządów na pulpicie.

Poraziła go nagle kolejna straszliwa myśl. Gdyby bomba wyrwała się z uchwytów i potoczyła w dół zbocza, nigdy by jej nie odnalazł. Ogarnęło go przerażenie - ale nie był to lęk przed śmiercią, ale strach przed tym, że nie zdoła uratować wielu swoich rodaków.

Zadziałął błyskawicznie, decydując się na takie ryzyko, jakiego pewnie nie podjąłby nikt przy zdrowych zmysłach. Wrzucił wsteczny bieg i dodał gazu. Gąsienice zamlaskały w zdradliwym mule, lecz pojazd wyraźnie zwolnił.

Otoczyła go ciemna chmura zmaconego osadu, ale w końcu PEGO się zatrzymał. Pitt czekał cierpliwie, aż będzie mógł cokolwiek dojrzeć, wreszcie ruszył, ujechał dalsze pięćdziesiąt metrów i znów wyhamował, gazując na wstecznym biegu. Kontynuował te manewry, za każdym razem z lękiem wyczekując chwili, kiedy nie bez trudu odzyskiwał panowanie nad pojazdem, a gąsienice znajdowały oparcie na solidniejszym fragmencie podłoża.

Zaczynał się też coraz bardziej spieszyć, a każda upływająca minuta powiększała jego desperację. W końcu, prawie po półgodzinnych zmaganiach, by skierować PEGO w pożądanym kierunku, komputer nawigacyjny zasygnalizował, że znaleźli się w wyznaczonym miejscu eksplozji. Na szczęście Pitt znalazł tu kawałek nieco bardziej poziomego terenu i po chwili wyłączył silnik.

- Przybyłem na miejsce detonacji i zaczynam uzbrajać bombę - rzekł do mikrofonu, kierowany płonną nadzieją, że Sandecker i Giordino czekają jeszcze w powietrzu na tę informację.

Pospiesznie opuścił oba wysięgniki i miękko posadził bombę na grząskim terenie. Ponownie obrócił głowicę manipulatora, wsunął dłoń w rękaw serwomechanizmu, uruchomił pilę i z najwyższą ostrożnością odciął fragment korpusu bomby, za którym znajdowały się pierwotne elementy detonatora.

Były tu cztery proste układy radarowe oraz włącznik ciśnieniowy. Gdyby bombę zrzucano z samolotu, systemy radarowe prowadziłyby ciągły pomiar odległości od ziemi, a po minięciu założonej granicy, przy zgodności odczytów dwóch układów, zostałyby uruchomiony

zapalnik klasycznych ładunków wybuchowych, umieszczony w przedniej części sfery implozyjnej. Włącznik barometryczny, który można było ustawić na żądaną wartość ciśnienia, stanowił drugi, niezależny mechanizm detonacyjny.

Ponadto obwód uruchamiający zapalnik przerwany był wyłącznikiem zegarowym, który uniemożliwiał detonację w trakcie lotu. Po jego uruchomieniu zapłon możliwy był dopiero po pewnym czasie, aby bomba mogła znaleźć się w sporej odległości od samolotu.

Po usunięciu fragmentu osłony Dirk włączył miniaturową kamerę w głowicy lewego manipulatora. Odnalazł szybko włącznik ciśnieniowy i skierował na niego obiektyw. Wykonany ze stali zwornik pokrywała warstwa korozji, ale mosiężne i miedziane części znajdowały się w znakomitym stanie.

Pitt obrócił końcówkę drugiego manipulatora i uruchomił chwytak. Zgiął następnie przegubowe ramię, przysunął je do skrzynki narzędziowej umieszczonej na przedzie podwozia PEGO, uniósł pokrywę i wyjął niewielki przedmiot ceramiczny, przypominający lekko spłaszczoną piłkę. Zagłębienie na końcu owego urządzenia zamykała miedziana płytką, osadzona w miękkiej masie plastycznej. Był to zmyślny pojemnik ciśnieniowy zawierający półpłynną masę, na którą składało się plastikowe wypełnienie oraz kwas. Ceramiczna obudowa ze żrącą substancją została tak wyprofilowana, że idealnie pasowała do wyłącznika barometrycznego, a masa plastyczna miała uszczelnić połączenie i zabezpieczyć styki przed działaniem wody.

Posługując się manipulatorem, Pitt z wprawą umieścił ceramiczny pojemnik na włączniku ciśnieniowym i docisnął uszczelnienie. Następnie skruszył niewielki korek, przez co do wnętrza zaczęła się powoli sączyć woda morska, a w zetknięciu z nią z obojętnej masy miał się wydzielać silnie żrący kwas. Po przetrawieniu miedzianej płytki - której grubość została tak dobrana, żeby wszystko trwało godzinę - żrąca substancja miała zaatakować miedzianą obudowę włącznika, doprowadzając w końcu do zwarcia między stykami i powodując detonację bomby.

Pitt złożył wysięgniki i cofnął nieco "Wielkiego Bena", odsuwając się od tego przerażającego kolosa, spoczywającego w grubej warstwie mułu. Rzucił okiem na zegar umieszczony na tablicy kontrolnej pojazdu.

Musiał oddalić się stąd jak najszybciej - uciekać jak najdalej od "Oddechu Matki", który wreszcie, po czterdziestu ośmiu latach, miał eksplodować, jak gdyby przeniesiony do innego czasu.

- Są jakieś wiadomości? - zapytał prezydent przez telefon z Gabinetu Ovalnego.

Jordan wciąż czuwał w centrum dowodzenia.



- W nie wyjaśnionych okolicznościach urwała się łączność.

- Czy to znaczy, że straciliśmy admirała Sandeckera?

- Obawiam się, że tak, panie prezydencie. Próbowaliśmy wszystkich możliwych sposobów, ale nie możemy nawiązać łączności z samolotem.

Prezydent poczuł na karku dreszcz strachu.

- Co się mogło stać?

- Nie wiemy. Ostatnie zdjęcia z Pyramidera wykazują, że transportowiec opuścił stanowisko nad jadącym po dnie PEGO i wziął kurs na południe, w kierunku Okinawy.

- To się nie trzyma kupy. Dlaczego Sandecker miałby przerwać operację po tym, jak Pitt zdołał bezpiecznie wydobyć bombę z wraka "Demonów Denningsa"?

- Nie powinien był się wycofać, chyba że Pitt miał jakiś groźny wypadek i nie może dalej prowadzić akcji.

- Zatem wszystko stracone - rzekł ciężko prezydent.

- Trudno powiedzieć cokolwiek pewnego, dopóki nie otrzymamy wiadomości od admirała - odparł Jordan, w którego głosie także dało się wyczuć cień strachu.

- Jak idą poszukiwania samochodów z głowicami?

- Agenci FBI odnaleźli i rozbroili kolejne trzy auta ukryte w dużych miastach.

- Co z kierowcami?

- Wszyscy są zaślepionymi zwolennikami Sumy i jego Złotych Smoków, gotowymi poświęcić życie dla dobrej sprawy. Ale żaden z nich nie stawiał oporu ani nie próbował zdetonować bomby w trakcie aresztowania przez FBI.

- Wszyscy tacy potulni i układni?

- Mieli rozkaz zdetonować bomby dopiero po odebraniu zakodowanego sygnału z Centrali Smoka.

- Ile jeszcze aut pozostaje w ukryciu na terenie naszego kraju?

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie Jordan odrzekł powoli:

- Co najmniej dziesięć.

- Dobry Boże! - wykrzyknął z niedowierzaniem prezydent, odczuwając coraz silniejszy strach.

- Ja wciąż wierzę w powodzenie akcji Pitta - rzekł cicho Jordan. - Nic nie wskazuje na to, że nie zdołał uruchomić układu detonatora bomby.

W prezydenta wstąpiła słabiutka nadzieja.

- Kiedy będziemy wiedzieć coś pewnego?

- Jeśli Pitt trzyma się harmonogramu, detonacja powinna nastąpić mniej więcej za

dwanaście minut.

Prezydent wbił wzrok w blat biurka. Dopiero po dłuższej chwili powiedział tak cicho, że Jordan ledwie mógł rozróżnić słowa:

- Ściskaj mocno kciuki, Ray. Już nic innego nam nie pozostało.

Po zetknięciu z wodą morską powstały kwas z wolna przeżarł miedzianą płytkę i zaatakował włącznik ciśnieniowy. Po pewnym czasie między stykami przeskoczyła iskra, która spowodowała zwarcie obwodu detonacyjnego.

Niemal po pięćdziesięciu latach oczekiwania zadziałały trzydzieści dwa zapalniki, rozmieszczone wewnątrz stalowego korpusu, a konwencjonalne ładunki wybuchowe spowodowały powstanie masy krytycznej. Strumienie neutronów przeniknęły w głąb ładunku plutonu, wywołując reakcję łańcuchową. Wewnątrz materiału rozszczepialnego powstało ciśnienie rzędu milionów atmosfer, a temperatura sięgnęła milionów stopni. Olbrzymia kula rozżarzonych gazów pomknęła ku powierzchni oceanu i wyrwała się z objęć toni, otoczona gigantyczną ścianą wody, którą fala uderzeniowa cisnęła w mrok nocy.

Nieściśliwa woda stanowi wręcz idealne środowisko dla rozprzestrzeniania się fali uderzeniowej, która przemieszcza się w niej z szybkością blisko dwóch kilometrów na sekundę. Fala ta dosięgła i przetoczyła się przez wędrującego powoli wzdłuż krawędzi rowu "Wielkiego Bena", kiedy pojazd znajdował się w odległości ośmiu kilometrów od epicentrum - mozolna jazda w śliskim mułu spowodowała, że Pitt był o cztery kilometry bliżej miejsca eksplozji niż zakładano. Wewnątrz pojazdu odebrał ten straszliwy huk w taki sposób, jakby siedział wewnątrz blaszanego bębna, w który uderzył gigantyczny młot. PEGO wytrzymał jednak ów cios, niczym wprawny zapaśnik robiący unik przed szarżującym osiłkiem.

Niemal całkiem ogłuszony Dirk z wielką radością powitał masę poderwanego z dna mułu, która doszczętnie przesłoniła mu widoczność.

W chwili eksplozji odegnał wszelkie myśli o niepowodzeniu. Koncentrując się na wskazaniach sonaru, w znacznie lepszym nastroju pojechał dalej zygzakowaną trasą przez zmaconą wodę, ku nieznanemu. Jechał po długiej, prawie poziomej półce, która ciągnęła się mniej więcej w połowie wysokości zbocza rowu, ale mimo to robił zaledwie kilka kilometrów na godzinę więcej niż podczas prób forsowania stromej pochyłości. Tutaj także gąsienice nie znajdowały pewnego oparcia w grząskim dnie i wszelkie próby wyprowadzenia wehikułu na równinę spelzały na niczym. PEGO zsuwał się po stoku, niczym wyładowana ciężarówka na oblodzonej jezdni.

Pitt w pełni zdawał sobie sprawę z zagrożenia, powoli przegrywał w tym wyścigu, którego celem była ucieczka z rejonu zagrożonego lawiną osadów. Miał niemal całkowitą pewność, że masa osuwającego się mułu porwie wehikuł. Nie czuł jednak strachu, kierowała nim jedynie uparta chęć przeżycia.

Na powierzchni oceanu, niewidoczna w ciemnościach ściana wody osiągnęła wysokość

dwustu metrów i zaczęła z wolna opadać. Ale w głębi uskoku tektonicznego, pod dnem rowu, fala uderzeniowa zapoczątkowała pionowe przesuwanie się warstw skorupy ziemskiej. Jeden wstrząs wywoływał następny, a fala spazmów rozszerzała się i przybierała na sile, przechodząc w trzęsienie ziemi o wielkiej skali.

Liczne warstwy nagromadzonych przez miliony lat osadów dennych zaczęły się przemieszczać względem siebie, powodując osuwanie się wulkanicznego podłoża wyspy Soseki, jakby to był ciężki głaz z wolna grzęznący w sypkim piasku. Gigantyczny masyw skalny, wsparty na miękkich, sprężystych osadach jak na poduszce, pierwsze minuty trzęsienia przetrzymał bez uszczerbku. Ale po pewnym czasie zaczął się szybko zanurzać, a spienione fale omywały coraz to wyższe partie urwistych brzegów.

Wyspa Soseki osiadała w morzu do chwili, kiedy poruszone warstwy osadów ponownie uległy ściśnięciu i wielki masyw skalny spoczął na nowym podłożu. Ale wtedy fale Pacyfiku nie rozbijały się już o przybrzeżne klify, lecz przewalały przez skalisty brzeg, docierając nawet między drzewa.

W kilka sekund po eksplozji, wraz z narastaniem wstrząsów sejsmicznych, olbrzymia część wschodniej ściany podmorskiego rowu zatrzęsała się w posadach. Setki milionów ton luźno związanego mułu z wielkim hukiem runęły na dno uskoku. Uwolniona, niewyobrażalna wręcz energia, objawiła się gigantyczną falą, która pomknęła ku powierzchni, spiętrzając przed sobą ogromne masy wody.

Tak oto zrodziło się wszechmocne tsunami.

Fala, która na powierzchni miała zaledwie metr wysokości, szybko pomknęła na zachód, uzyskując prędkość 500 kilometrów na godzinę. Taki wał spiętrzonej wody, mogący przebyć wiele mil oceanu, jest najbardziej destrukcyjną siłą na ziemi. A na drodze tego tsunami, w odległości zaledwie dwudziestu kilometrów, znajdowała się tonąca z wolna wyspa Soseki.

Nic już nie mogło zapobiec katastrofie.

Minuty Centrali Smoka były policzone.

Tsuboi i Yoshishu znajdowali się ciągle w sali obserwacji radarowych, śledząc na ekranach ucieczkę trafionego transportowca.

- Dostał dwoma rakietami i wciąż utrzymuje się w powietrzu - rzekł zdumiony starzec.

- W każdej chwili może się rozbić... - Tsuboi urwał nagle, kiedy doleciał ich stłumiony huk eksplozji "Oddechu Matki". - Co to było?

- Przypominało bardzo odległy odgłos grzmotu - rzekł Koyama, odwracając się od ekranu radaru. - Prawdopodobnie nadciąga burza i przez szyby wentylacyjne doleciało echo

wyładowania.

- A nie czujecie tego?

- Tak, jakieś delikatne wibracje... - przyznał Yoshishu.

Kurojima obojętnie wzruszył ramionami. Trzęsienie ziemi to dla Japończyka nie nowego, co roku na wyspach notuje się ponad tysiąc wstrząsów i nie ma tygodnia, by w którymś rejonie kraju ziemia nie dygotała ludziom pod stopami.

- To trzęsienie. Znajdujemy się tuż przy krawędzi uskoku, tutaj wstrząsy odczuwa się bardzo często. Nie ma się czym martwić. Wyspę tworzy lita skała, a Centrala Smoka została tak zaprojektowana, żeby wytrzymać nawet silne wstrząsy.

Stojące na pulpitych różne przedmioty zadygotały, kiedy gasnąca fala uderzeniowa eksplozji jądrowej dotarła do wyspy. Lecz w chwilę później podziemnymi korytarzami przetoczył się niczym odgłos wielkiego bębna huk osuwającej się ściany rowu. Centrala Smoka zadygotała, stojący ludzie tracili równowagę. Na twarzach zebranych osób odmalowało się zaskoczenie, które wkrótce przemieniło się w niepokój i zaraz potem w przerażenie.

- To silny wstrząs - zauważył nerwowo Tsuboi.

- Nigdy przedtem nie zarejestrowaliśmy aż tak intensywnego - stwierdził wystraszony Kurojima, który cofnął się o krok i oparł plecami o ścianę.

Yoshishu dość pewnie stał na nogach, ale był wyraźnie zdeprimowany.

- Musicie mnie stąd wyprowadzić - rozkazał.

- Tu jest znacznie bezpieczniej niż w tunelu! - Koyama musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć narastający tumult.

Osuwające się masy osadów, na których spoczywał skalny trzon wyspy, były powodem kolejnego wstrząsu. Ludźmi cisnęło na podłogę. Wszystko dokoła dygotało i chwiało się, w miarę jak wulkaniczny masyw osiadał coraz głębiej. Wszystkie urządzenia, które nie były przytwierdzone do ścian i podłogi, zaczęły się przesuwać i przewracać.

Tsuboi wcisnął się plecami w kąt pomieszczenia i rozszerzonymi oczyma spoglądał na Kurojimą.

- To wygląda tak, jakbyśmy spadali.

- Widocznie wyspa osiada coraz głębiej! - krzyknął tamten przerażony. Ludzie, przeżywający chwile grozy, nie wiedzieli jeszcze, że w dwie minuty po ustaniu podziemnych wstrząsów do wyspy dotrze niszczycielskie tsunami.

Pitt sterował ręcznie "Wielkim Benem", lecz mimo jego wysiłków ślizgający się w mule pojazd coraz bardziej zjeżdżał w głąb rowu. Co jakiś czas gąsienice traciły oparcie i PEGO

zsuwał się ukośnie po zboczu, dopóki znów nie natrafił na fragment nieco bardziej zbitego podłoża.

Dirk czuł się jak ślepiec prowadzący traktor w całkowitych ciemnościach, liczyły się dla niego jedynie wybrane wskaźniki na pulpicie kontrolnym oraz soniczny zarys dna na ekranie komputera. Bez przerwy oceniał swoje szanse, na podstawie danych lasera i sonaru analizował sytuację na zewnątrz i nieodmiennie dochodził do wniosku, że jakimś cudem wehikuł jeszcze nie zagrzebał się doszczętnie w grubej warstwie osadów. A zgodnie z wyliczeniami geofizyków nie minął jeszcze granicy bezpieczeństwa, poza którą nie groziło mu zasypanie lawiną spadającego mułu.

Uparcie poszukiwał jakiegoś twardszego, może nawet skalnego występu na stromym stoku, który stwarzałby szansę przetrzymania lawiny. Ale coraz bardziej niepokoił go także fakt, że musiał uciekać w niewłaściwym kierunku. Chcąc dotrzeć do wybrzeży Japonii, powinien zjechać na dno rowu i wspiąć się na przeciwległe zbocze.

Pitt nie miał pojęcia - tym bardziej że ze skanowanego obrazu nie mógł odczytać struktury podłoża - że nigdzie nie znajdzie ani solidnej półki, ani też łagodniejszego zbocza, po którym mógłby wyprowadzić PEGO z rowu. Co gorsza, podmorski uskok stawał się coraz głębszy i zakręcając na południowy wschód ciągnął się na długości ośmiuset kilometrów, nie stwarzając większych szans na wyjście z rowu. Dirk dostrzegł nagle na ekranie komputera jakiś ruch, jak gdyby w klepsydrze zaczął się przesypywać piasek. Wielka część wschodniej ściany rowu osunęła się w dół, a lawina osadów zbliżała się do niego z zawrotną szybkością.

“Wielki Ben” nadal mełł gąsienicami muł, kiedy dopadły go masy spadającego błota. Pitt poczuł, że wehikuł traci oparcie i pojął szybko, że przegrał. Ogłuszający huk przypominał ryk wodospadu, zamknięty w niewielkiej przestrzeni kabiny. Dirk poczuł na karku lodowaty dotyk śmierci, Zdażył zaledwie chwycić się mocno fotela, kiedy lawina mułu ogarnęła PEGO i tocząc go przed sobą niczym zabawkę, porwała w głąb mrocznej otchłani, gdzie miał zostać pogrzebany pod zwałami bezpostaciowej mazi.

Zdawać by się mogło, że ocean oszalał. Wielki wał tsunami pomknął przez noc, niosąc ze sobą zniszczenie. Niczym rozpędzony walec na zboczach wulkanicznego masywu wznosił się jeszcze wyżej nad powierzchnię, osiągając niewiarygodną wręcz moc destrukcyjną.

Kiedy czoło fali wyhamowało na podnoszących się z dna skałach, napierające z tyłu masy wody błyskawicznie wydzwignęły się nad powierzchnię morza na wysokość ośmiopiętrowego budynku. Grzbiet czarnej jak noc, rozpędzonej ściany połyskiwał fosforescencyjnie niczym roziskrzony sznur ogni sztucznych, a ogłuszający huk, który przetaczał się nad oceanem, przypominał nie milknący grom. Zdawało się, że z morza

wychynął jakiś straszliwy potwór i rzucił się na tonące w falach palisady bezbronnej wyspy.

Przerażająca fala śmierci i zniszczenia porwała każde drzewo, każde źdźbło trawy, zmiotła wszelkie budowle, niczym tornado rozsypujące domki z kart. W mgnieniu oka z powierzchni skały zniknęło absolutnie wszystko, co stało na drodze żywiołu złożonego z trylionów litrów wody. Wyspa zanurzyła się jeszcze głębiej, jakby uderzeniem gigantycznej pięści wepchnięta w toń oceanu.

Zaledwie część nieogarnionej mocy tsunami przypuściła atak na główne wyspy Japonii. Powstające w coraz płytszych wodach przeciwfale spowodowały, że olbrzymia spiętrzona masa w znacznym stopniu została zepchnięta w głąb oceanu. Do wybrzeży Honsiu dotarły jedynie resztki napierającego wału, które metrowej wysokości przybojem wdarły się do najbliższych portów rybackich, powodując pewne straty. Nie było jednak ofiar w ludziach.

Po przejściu tsunami pobudzonego eksplozją "Oddechu Matki", wyspa Soseki wraz z mieszczącą się w jej wnętrzu Centralą Smoka bez śladu zniknęła pod wzburzonymi wodami oceanu i nigdy więcej nie miała się już wynurzyć na powierzchnię.

Wewnątrz podziemnych tuneli echo wstrząsów rozbrzmiewało jeszcze jak artyleryjska kanonada, gdy niezliczone tony wody, pchane straszliwym ciśnieniem rozpędzonego tsunami, wdarły się do szybów wentylacyjnych i tuneli wind. Z pęknięć w sklepieniach wydrążonych komór, z poszerzających się szczelin w litej wulkanicznej skale, trysnęły strumienie.

Wszystkie korytarze Centrali Smoka wypełnił huk wdzierającego się do środka oceanu. Pomieszczenia na wyższych poziomach wypełniały się wodą przy wtórze ogłuszających grzmotów. Wreszcie fale dotarły do centralnych pomieszczeń, pchając przed sobą masę sprężonego powietrza.

W jednej chwili wybuchła panika. Setki zgromadzonych w podziemiach ludzi stanęły nagle oko w oko z nieuchronną śmiercią. Nic nie mogło ich ocalić, nie było żadnej drogi ratunku. Podmorski tunel został zniszczony już w trakcie osiadania wyspy i wody oceanu wdarły się również do niżej położonych poziomów Edo City.

Tsuboi, który poczuł nagle ucisk w uszach od narastającego ciśnienia, błyskawicznie rozpoznał po nasilającym się huk, że do podziemnych korytarzy wdarła się woda i że za chwilę centrum dowodzenia systemami obronnymi także zostanie zalane. Nie zdążył jednak zrobić jednego kroku, nie zdążył nawet krzyknąć, kiedy rozpędzona fala wdarła się do komory. W ostatniej chwili dostrzegł swego opiekuna, starego przywódcę świata przestępczego, Yoshishu, którego masa wody oderwała od kolumny wspornika niczym strumień z węża ogrodniczego porywający muchę. Z cichym krzykiem starzec zniknął pod wodą.

Tsuboiego ogarnęła wściekłość. Nie odczuwał strachu przed śmiercią, lecz jedynie bezgraniczną furję, że ślepe żywioły odcięły mu drogę do najwyższych zaszczytów w nowym imperium. Po śmierci Sumy i Yoshishu to wszystko należałoby do niego. W ostatniej chwili przed śmiercią jego umysł pogrążył się w halucynacjach.

Woda porwała go i uniosła w głąb korytarza. Bębenki w uszach popękały mu od strasznego ciśnienia, a płuca rozerwało sprężone nagle powietrze. Jego ciało, rzucone na skalną ścianę, zostało w jednej chwili zmiażdżone.

Wszystko ucichło zaledwie w osiem minut po eksplozji "Oddechu Matki". Centrala Smoka uległa całkowitemu zniszczeniu, projekt Kaiten przestał istnieć, a wyspa, znana w zamierzonych czasach pod nazwą Ajima, stała się tylko wzniesieniem na dnie oceanu.



Prezydent i grupa doradców z Narodowej Rady Bezpieczeństwa przyjęli wieść o doszczętnym zniszczeniu Centrali Smoka wymęczonymi uśmiechami i nieśmiałościami oklaskami. Wszyscy byli zbyt wyczerpani, by okazać spontaniczną radość. Martin Brogan, dyrektor CIA, porównał ostatnie godziny do całonocnego czuwania w szpitalu w oczekiwaniu na przyjście na świat pierwszego dziecka.

Prezydent zszedł do centrum dowodzenia, żeby osobiście pogratulować Rayowi Jordanowi i Donowi Kemowi. Był w świetnym nastroju i tryskał humorem, niczym hostessa przed wejściem do samolotu.

- Odwaliliście kawał wspaniałej roboty - rzekł, ściskając dłoń Jordana. - Wszyscy obywatele Ameryki są waszymi dłużnikami.

- Wyrazy uznania należą się całemu zespołowi MZB - odparł Kern. - To oni wprowadzili w czyn to, co zdawało się niewykonalne.

- Ale nie bez strat własnych - dodał cicho Jordan. - Ta operacja kosztowała życie Jima Hanamury, Marvinina Showaltera oraz Dirka Pitta.

- Nie ma żadnych wiadomości od Pitta? - zapytał prezydent.

Kern pokręcił głową.

- Wydaje się niemal pewne, że lawina porwała Pojazd Eksploracyjny Głębin Oceanicznych i zagrzebała go w grubej warstwie mułu.

- Badaliście zdjęcia z Pyramidera?

- Podczas pierwszego przejścia satelity nad miejscem eksplozji kamery wyłowiły jedynie gigantyczną chmurę zmaconych osadów i ani śladu wehikułu.

- Może uda się go zauważyć podczas kolejnego przelotu - rzekł z nadzieją prezydent. - Jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że Pitt jeszcze żyje, proszę zorganizować wszechstronną akcję ratowniczą, bez względu na jej koszty. Wiele zawdzięczamy temu człowiekowi i nie można dopuścić do tego, by został zdany na pastwę losu.

- Będziemy go szukać - obiecał Jordan i szybko zmienił temat rozmowy.

- Czy są jakieś wieści o admirale Sandeckerze?

- Jego samolot został trafiony dwoma rakietami wystrzelonymi z Centrali Smoka. Pilot zdołał jednak wylądować na brzuchu w bazie lotniczej Naha na Okinawie. Według pierwszego meldunku transportowiec został silnie uszkodzony i utracił wszelką łączność.

- Są straty w ludziach?

- Nie - odparł Kern. - Jakimś cudem uratowali się wszyscy, odnieśli tylko powierzchowne rany.

Prezydent w zamyśleniu pokiwał głową.

- Wiemy przynajmniej, dlaczego tak nagle urwała się łączność.

Podszedł do nich sekretarz stanu, Douglas Oates.

- Są jeszcze inne dobre nowiny, panie prezydencie - powiedział z uśmiechem. -

Wspólne działania rosyjskich i europejskich grup wywiadu doprowadziły do wykrycia niemal wszystkich aut z głowicami jądrowymi rozmieszczonych na ich terenie.

- Dokładną mapę lokalizacji kryjówek także zawdzięczamy zespołowi MZB - wtrącił Kern.

- Szkoda tylko, że nam ona niewiele pomogła - rzekł Jordan.

Kern skinął głową.

- Stany Zjednoczone miały być głównym celem ataku, Japończycy mniej się interesowali Wspólnotą Europejską i państwami bloku wschodniego.

Prezydent spojrział na Jordana.

- Czy znaleziono dalsze auta na obszarze naszego kraju?

- Sześć - odpowiedział dyrektor CIA. - Teraz, kiedy możemy już działać spokojnie, powinniśmy bez trudu odnaleźć pozostałe bomby.

- A co z Tsuboim oraz Yoshishu?

- Zapewne utonęli.

Prezydent wyglądał na zadowolonego.

- Panowie - rzekł, zwracając się do wszystkich zgromadzonych w sali - dziękuję wam serdecznie w imieniu całego narodu amerykańskiego, który nawet się nie dowie, jak straszliwa groziła nam katastrofa, zażegnana dzięki waszym wysiłkom.

Kryzys minął, ale natychmiast pojawił się następny. Jeszcze tego samego popołudnia dotarły wiadomości o wybuchu walk na granicy irańsko-tureckiej oraz o zestrzeleniu przez kubańskiego miga dwadzieścia pięć amerykańskiego samolotu pasażerskiego, który przewoził turystów wracających z Jamajki.

Poszukiwania jednego człowieka ustąpiły miejsca ważniejszym sprawom, a wyrafinowane technicznie kamery Pyramidera trzeba było skierować na inne rejony kuli ziemskiej. Upłynęły niemal cztery tygodnie, zanim znów wykonano zdjęcia dna morskiego w sąsiedztwie Japonii.

Ale nie odnaleziono na nich nawet śladu "Wielkiego Bena".

**CZEŚĆ V**  
**NEKROLOG**

Podano dziś do wiadomości publicznej, że Dirk Pitt, dyrektor działu projektów specjalnych Krajowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, zaginął i prawdopodobnie poniósł śmierć w wypadku, jaki miał miejsce na dnie oceanu w pobliżu Japonii.

Pitt, znany ze swych odkryć na lądach i w podmorskich głębinach, do których należy zaliczyć odnalezienie u wybrzeży Grenlandii prekolumbijskiego wraku bizantyjskiego statku «Serapis», odzyskanie bezcennych zabytków z biblioteki aleksandryjskiej, odkrycie skarbu «La Doradus» na Kubie oraz wiele innych osiągnięć, dowodził także akcją podniesienia z dna «Titanica».

Dirk Pitt urodził się i wychował w Newport Beach, w rodzinie Susan i George'a, senatora ze stanu Kalifornia. Ukończył Wojskową Akademię Lotnictwa i został sklasyfikowany na dwunastym miejscu w swojej specjalności, a podczas studiów wslawił się jako niezastąpiony ćwierćbek w drużynie futbolowej Falcon. W ciągu dziesięciu lat służby w lotnictwie Pitt uzyskał stopień majora, a później, na osobistą prośbę admirała Jamesa Sandeckera, został przeniesiony do NUMA.

W dniu wczorajszym admirał oświadczył krótko, że Dirk Pitt był człowiekiem niezwykle pomysłowym i odważnym. Uratował życie wielu ludziom, w tym samemu Sandeckerowi oraz prezydentowi podczas groźnego incydentu na wodach Zatoki Meksykańskiej. Dla Pitta, któremu nigdy nie brakowało twórczej inwencji, nie istniały za trudne do zrealizowania projekty.

Ludzi takich jak on nigdy się nie zapomina”.

Sandecker siedział na zderzaku stutza w hangarze Pitta i smutnym wzrokiem wodził po nekrologu w gazecie.

- Tak wiele uczynił, że wydaje się po prostu niesprawiedliwe, by streszczać jego życie w tak zdawkowym nekrologu.

Giordino ze skupioną miną krążył wokół należącego do Luftwaffe myśliwca typu Messerschmitt Me-262 A-la. Gert Halder dotrzymał słowa i uczynnie odwrócił głowę, kiedy Al z Dirkiem wyciągali samolot z podziemnego bunkra, ładowali na przyczepę ciężarówki i zakrywali plandeką. Sam jednak zajął się formalnościami związanymi z przewiezieniem go do Stanów na pokładzie duńskiego frachtowca. Zaledwie dwa dni temu statek zawinął do Baltimore, skąd Giordino przetransportował samolot do hangaru w Waszyngtonie i znalazł dla niego odpowiednie miejsce wśród pozostałych pojazdów składających się na kolekcję

Pitta.

- Dirk powinien tu być i obejrzeć samolot - powiedział powoli Giordino. Przeciągnął dłonią po brudnozielonym dziobie maszyny, pokrytym od dołu jasnoszarą farbą, i zapatrzył się na wystające z kadłuba cztery lufy trzydziestomilimetrowych działek. - Na pewno zająłby się nim z pasją.

W najgorszych przypuszczeniach żaden z nich nie wyobrażał sobie podobnej sytuacji. Sandecker czuł się tak, jakby stracił syna, a Giordino brata.

Al wyszedł na środek hangaru i ponad dachami aut spojrzął na przeszkloną część mieszkalną.

- Powinienem być siedzieć w PEGO u jego boku.

Sandecker uniósł głowę.

- Wtedy zapewne zginęlibyście obaj.

- Do końca życia będę żałował, że z nim nie pojechałem.

- Dirk zginął na morzu. Sądzę, że właśnie takiej śmierci by sobie życzył.

- Zapewne stałby tu obok mnie, gdyby jeden z wysięgników "Wielkiego Bena" był zakończony szuflą, a nie głowicą wielofunkcyjną - stwierdził Giordino.

Sandecker wolno pokręcił głową.

- Nie wrócisz mu życia, nawet jeśli całkiem popuścisz wodze fantazji.

Al oderwał w końcu wzrok od części mieszkalnej Pitta.

- Nie mogę się pozbyć wrażenia, że wystarczy na niego zawołać, a zaraz zejdzie na dół.

- Odczuwam dokładnie to samo - przyznał admirał.

Na dźwięk otwieranych drzwi na antresoli obaj mężczyźni osłupieli, lecz zaraz odetchnęli razem, kiedy w wejściu pojawiła się Toshie, niosąc na tacy dzbanek z herbatą i filiżanki. Z niezwykłą gracją zeszła po kręconych schodkach i podeszła do Sandeckera oraz Giordina.

Admirał na jej widok zmarszczył brwi.

- Wciąż jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób zdołałeś przekonać Jordana, żeby przekazał ją pod twą osobistą opiekę.

- To żadna tajemnica. - Giordino uśmiechnął się. - Dobiliśmy targu. On zrobił mi prezent z dziewczyny, a ja w zamian zgodziłem się nie pisnąć ani słowa na temat projektu Kaiten.

- A nie miał ochoty zapakować cię w cementowe buty i zrzucić z mostu do Potomaku?

- Ja tylko blefowałem.

- Ray Jordan nie jest głupi, na pewno się tego domyślił - rzekł oschle Sandecker.

- W porządku, uznajmy więc, że dostałem ją w ramach wynagrodzenia za świadczone usługi.

Toshie postawiła tacę na zderzaku, tuż obok admirała.

- Nalać panom herbaty?

- Tak, poproszę - rzekł Sandecker, podnosząc się z miejsca.

Toshie szybko przyklękła i odprawiła krótką ceremonię herbacianą, zanim rozlała parujący napój do filiżanek. Wreszcie wstała i z podziwem popatrzyła na messerschmitta.

- To piękny samolot - mruknęła, jakby nie dostrzegła grubej warstwy kurzu, sflaczałych opon i łuszczącej się farby.

- Mam zamiar przywrócić mu pierwotny wygląd - rzekł cicho Giordino, który w wyobraźni widział już pieczołowicie odnowioną maszynę. - W prezencie dla Dirka.

- Mówisz tak, jakbyś spodziewał się jego zmartwychwstania - skarcił go Sandecker.

- Bo on nie zginął - odparł Giordino, choć wbrew tym słowom w jego oczach zabłyśły łzy.

- Czy będę mogła pomóc? - zapytała Toshie.

Al ukradkiem wytarł oczy i ze zdumieniem popatrzył na dziewczynę.

- Przepraszam, ślicznotko, ale w czym chcesz pomóc?

- W naprawie samolotu.

Giordino i Sandecker wymienili szybkie spojrzenia.

- Znasz się na tym? - zapytał Al.

- Pomagałam ojcu budować i naprawiać jego łódź rybacką. Był bardzo dumny, kiedy zreperowałam zepsuty silnik.

Giordino uśmiechnął się szeroko.

- Niebiosa mi cię zesłały. - Umilkł i popatrzył na powycierany dres, który ktoś ofiarował Toshie przed wypuszczeniem jej z więzienia. - Ale zanim się do tego razem zabierzemy, chciałbym cię zaprowadzić do najlepszego butik w Waszyngtonie i kupić ci coś twarzowego.

Toshie uniosła brwi.

- Ty również masz bardzo dużo pieniędzy, tak jak pan Suma?

- Nie - jęknął z żalem Giordino. - Mam tylko mnóstwo kart kredytowych.

Loren uśmiechnęła się i energicznie zamachała ręką, kiedy portier Dwudziestej Pierwszej Federalnej, najlepszej waszyngtońskiej restauracji, wprowadził Stacy i klucząc między barierkami z jasnego drewna oraz marmurowymi stolikami powiódł ją w kierunku zarezerwowanego miejsca. Dziewczyna miała włosy zebrane z tyłu głowy i przewiązane wielką

kokardą. Ubrana była w kaszmirowy golf, szal z grubej, szarej wełny i tegoż koloru spodnie.

Loren miała na sobie elegancki wełniany żakiet i czarną plisowaną spódnicę, a pod spodem bluzkę koloru khaki. W przeciwieństwie do innych kobiet, które czekałyby siedząc, wstała i wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Cieszę się, że przyszedłeś.

Stacy uśmiechnęła się szeroko i uścisnęła dłoń Loren.

- Zawsze miałam ochotę zjeść tu obiad. Jestem wdzięczna za umożliwienie mi tego.

- Czego się napijesz?

- Wiatr na dworze robi się coraz zimniejszy. Poproszę o manhattan bez lodu, może się trochę rozgrzeję.

- Wybacz, że nie zaczekałam i wypłam już jedno martini.

- Więc zamów sobie drugie, żeby nie przeszył cię ziąb, kiedy wyjdiesz na ulicę. - Stacy zaśmiała się z wdziękiem.

Kelner przyjął zamówienie i odszedł w kierunku wykwintnego baru. Loren ułożyła serwetkę na kolanach.

- Na wyspie Wake nie miałam nawet czasu, żeby ci szczerze podziękować. Wszyscy byliśmy pod silnym wrażeniem.

- Wszelkie podziękowania należą się Dirkowi.

Loren odwróciła głowę. Płakała całą noc, kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci Pitta, lecz mimo to, na wspomnienie o nim, łzy znów napłynęły jej do oczu.

Stacy spoważniała szybko i ze współczuciem popatrzyła na Loren.

- Tak mi przykro z powodu Dirka. Wiem, że byliście sobie bardzo bliscy.

- Przeżywaliśmy lepsze i gorsze chwile, ale na dobrą sprawę zawsze byliśmy ze sobą związani.

- Nie myśleliście o małżeństwie? - zapytała Stacy.

Loren szybko pokręciła głową.

- Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dirk należał do tych mężczyzn, których nie można zdobyć do końca. Jego pasją było morze, a ja poświęcałam się karierze politycznej.

- Miałaś szczęście. Jego uśmiech był zniewalający, a te zielone oczy... Na Boga, w ich spojrzeniu topniała każda kobieta.

Loren spojrzała na nią zaniepokojona.

- Wybacz mi, proszę, sama nie wiem, co się ze mną dzieje, ale muszę znać prawdę. - Zawahała się i zaczęła obracać w palcach łyżeczkę.

Stacy spojrzała jej prosto w oczy.

- Odpowiedź brzmi: nie - skłamała. - Złożyłam mu kiedyś wizytę późnym wieczorem, ale z polecenia Jordana miałam mu tylko dostarczyć pewne instrukcje. Nic między nami nie było, wyszłam po dwudziestu minutach. Od tamtej chwili, aż do rozstania na wyspie Wake, łączyły nas wyłącznie sprawy zawodowe.

- Wiem, że zabrzmiało to głupio. Dirk i ja często chadzaliśmy własnymi drogami, spotykaliśmy się z innymi mężczyznami i kobietami, ale chciałam mieć pewność, że w ostatnich dniach jego życia tylko ja się dla niego liczyłam.

- Kochałaś go o wiele bardziej, niż sądziłaś, prawda?

Loren nieznacznie skinęła głową.

- Tak, ale pojęłam to zbyt późno.

- Znajdziesz kogoś innego - rzekła Stacy, chcąc pocieszyć Loren.

- Ale nikt nie zajmie jego miejsca w moim sercu.

Kelner przyniósł im trunki i Stacy uniosła szklaneczkę.

- Za Dirka Pitta, tego cholernie dobrego faceta.

- Za tego cholernie dobrego faceta - powtórzyła Loren, a po jej policzku stoczyła się łza.

- Tak... On naprawdę był cholernie dobry.



W jadalni pewnej wiejskiej posiadłości w Marylandzie Jordan spożywał lunch razem z Hidekim Sumą.

- Czy mogę coś uczynić, by umilić pański pobyt w tym domu? - zapytał.

Japończyk zmrużył oczy, delektując się aromatem zupy z porów na rosole z kaczki, podanej z makaronem i przybranej rzodkiewkami oraz złotym kawiozem.

- Owszem, mam jedną prośbę - rzekł, nie podnosząc głowy.

- Słucham.

Suma ruchem głowy wskazał agenta trzymającego straż przy drzwiach; drugi wartownik podawał do stołu.

- Pańscy przyjaciele nie pozwolili mi porozmawiać z kucharzem. To znakomity fachowiec, chciałbym przekazać mu wyrazy uznania.

- To kobieta, która prowadzi jedną z najbardziej znanych japońskich restauracji w Nowym Jorku. Ma na imię Natalie i często współpracuje z agencjami rządowymi przy realizacji niektórych zadań specjalnych. Przykro mi, ale nie mogę jej panu przedstawić.

Jordan wpatrywał się w twarz Sumy. Jego mina nie wyrażała ani wrogości, ani rozzalenia z powodu przetrzymywania w tym silnie strzeżonym domu - absolutnie niczego poza ogromnym zadowoleniem. Ciągące się przez cztery tygodnie wielogodzinne przesłuchania, podczas których stosowano różne środki farmakologiczne, nie pozostawiły po sobie żadnego śladu. Jakby wyrzeźbione z onyksu oczy pod grubymi szpakowatymi brwiami wciąż spoglądały hardo. Ale tak właśnie powinno być, Suma nie mógł pamiętać ani posthipnotycznych sugestii, ani tego, że gromadzie zainteresowanych inżynierów i naukowców zdradził wiele informacji technicznych. Jego pamięć została wyeksploatowana tak dokładnie, jakby dobrał się do niej wprawny złodziej, który po przeszukaniu całego domu zostawia wszystko w takim stanie, w jakim się znajdowało.

Jordan pomyślał, że był to jeden z niewielu wypadków, kiedy agenci amerykańskiego wywiadu wykradali tajemnice przemysłowe innego kraju.

- Szkoda. - Suma wzruszył ramionami. - Myślałem o tym, żeby ją zatrudnić, kiedy mnie w końcu wypuścicie.

- To nie będzie możliwe - rzekł Jordan.

Japończyk skończył zupę i odłożył łyżkę.

- Nie możecie mnie tak więzić, jak pospolitego kryminalistę. Nie jestem złoczyńcą, którego można aresztować z byle powodu, kiedy tylko wychyli nosa. Sądzę, że okażecie tyle rozsądku, żeby uwolnić mnie jak najszybciej.

Nie było to nawet żądanie, lecz zakamufLOWANA groźba człowieka, któremu nie powiedziano, że jego straszliwa potęga przestała istnieć, a całą Japonię obiegła wieść o jego śmierci. Zorganizowano nawet odpowiednią ceremonię i przeniesiono już jego duszę do Yasukuni. Suma nie wiedział, że dla całego świata był trupem. Nie poinformowano go także ani o śmierci Tsuboiego i Yoshishu, ani o zniszczeniu Centrali Smoka. Przypuszczał prawdopodobnie, że rozmieszczone w ramach projektu Kaiten samochody z głowicami jądrowymi nadal bezpiecznie czekają w ukryciu.

- Po tym wszystkim, co pan zrobił - powiedział ostro Jordan - powinien się pan cieszyć, że nie stanął przed międzynarodowym trybunałem oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości.

- Mam pełne prawo chronić moją ojczyznę. - Cichy, stanowczy głos dotarł do Jordana tak, jakby powiedział to ktoś siedzący pod stołem.

Poirytowany Ray wyczuł, że się czerwieni.

- Poza tym, że jesteście najbardziej izolującym się społeczeństwem, główny problem Japończyków w kontaktach z resztą świata polega na tym, że wasi przemysłowcy nie wyznają żadnych zasad etycznych i żadnych reguł uczciwości w takim sensie, w jakim my je pojmujemy. Pan i pańscy koledzy z zarządów korporacji głęboko wierzyacie w to, że wolno wam postępować wobec innych narodów w taki sposób, w jaki wy nigdy byście nie pozwolili nikomu postępować wobec siebie.

Suma sięgnął po filiżankę i dopił resztę herbaty.

- Japończycy są bardzo dumnym narodem, bez reszty oddanym swojej ojczyźnie.

- Oczywiście, ale koszty tego waszego oddania ponoszą inni, obcokrajowcy.

- My nie dostrzegamy żadnej różnicy między wojną ekonomiczną a wojną militarną - odparł spokojnie Suma. - Traktujemy wszystkie kraje uprzemysłowione jako przeciwników na bezkresnym polu walki, gdzie nie obowiązują żadne reguły zachowania i nie można ufać żadnym umowom handlowym.

To zaślepienie, przemieszane z elementami realistycznej oceny sytuacji, wydało się Jordanowi śmieszne. Stwierdził, że nie ma najmniejszego sensu przekonywać Japończyka. Zresztą może ten szaleniec miał rację, może faktycznie Stany Zjednoczone podzielą się kiedyś na wiele państweczek, a wszystkim rządzić będzie pogoń za zyskiem. Odegnął od siebie te czcze rozważania i wstał od stołu.

- Muszę już iść - oznajmił.

Suma spojrział na niego.

- Kiedy będę mógł wrócić do Edo City?

Jordan zastanawiał się przez chwilę.

- Jutro.

- Miło mi to słyszeć. Proszę zadbać, żeby jeden z moich prywatnych samolotów czekał na lotnisku Dullesa.

Ale ma tupet, pomyślał Jordan.

- Skontaktuję się z waszą ambasadą.

- Do widzenia, panie Jordan.

- Do widzenia, panie Suma. Ufam, że wybaczy mi pan wszelkie niedogodności, na jakie został pan narażony.

Japończyk zacisnął wargi w wąską prostą kreskę ust i spojrzał na Jordana spod przymrużonych powiek.

- Nie, panie Jordan, nigdy wam tego nie wybaczę. Mogę pana zapewnić, że przyjdzie wam zapłacić słoną cenę za to, że mnie porwaliście.

Suma zaczął sobie nalewać drugą filiżankę herbaty, co miało wyraźnie oznaczać, że skończył rozmowę.

Kern czekał na Jordana tuż za wzmocnionymi drzwiami prowadzącymi z holu do salonu.

- Jak ci się udał lunch?

- Jedzenie było niezłe, ale towarzystwo paskudne. A twój?

- Siedziałem w kuchni i przysłuchiwałem się trochę waszej rozmowie. Natalie usmażyła mi hamburgera.

- Szczęściarz.

- Co zrobimy z naszym przyjacielem?

- Powiedziałem mu, że jutro zostanie uwolniony.

- Słyszałem. Myślisz, że zaraz zacznie się pakować?

Jordan uśmiechnął się.

- Po dzisiejszym wieczornym przesłuchaniu nie będzie o niczym pamiętał.

Kern wolno pokiwał głową.

- Jak myślisz, czy długo zdołamy go utrzymać na chodzie?

- Dopóki nie wyciągniemy z niego wszystkich wiadomości, nie poznamy każdego sekretu, każdego wspomnienia, jakie kryje pod czaszką.

- To potrwa z rok albo dłużej.

- I co z tego?

- A co później?

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie możemy w nieskończoność trzymać go pod nadzorem. A jeśli go wypuścimy i pozwolimy wrócić do Japonii, to tak, jakbyśmy wydali na siebie wyrok.

Jordan z obojętną miną popatrzył na Kerna.

- Kiedy Suma nie będzie miał już nic do wyjawienia, Natalie trochę mocniej przyprawi jego ulubioną zupę z porów.

- Proszę wybaczyć, panie prezydencie, ale używając waszego powiedzenia, mam związane ręce.

Prezydent popatrzył przez długość stołu konferencyjnego na uśmiechniętego, niskiego mężczyznę, o krótko przyciętych siwych włosach i brązowych oczach o wyzywającym spojrzeniu. Z wyglądu bardziej przypominał dowódcę batalionu piechoty niż szefa gabinetu japońskiego.

Premier Junshiro, który przybył do Waszyngtonu z oficjalną wizytą, siedział w otoczeniu dwóch ministrów i pięciu doradców, podczas gdy prezydentowi towarzyszył jedynie tłumacz.

- Przykro mi, panie premierze, ale jeśli sądzi pan, że o tragicznych wydarzeniach minionych tygodni można po prostu zapomnieć, to muszę pana rozczarować.

- Mój rząd nie ponosi żadnej odpowiedzialności za wspólne działania Hidekiego Sumy, Ichiro Tsuboiego oraz Kororiego Yoshishu. Jeżeli naprawdę, jak pan utrzymuje, to oni spowodowali obie eksplozje jądrowe, jedną na waszym terenie, w stanie Wyoming, a drugą na środku oceanu, to działali w absolutnej tajemnicy i wyłącznie na własną rękę.

Spotkanie zapowiadało się niezbyt przyjemnie. Junshiro nie wyraził zgody na przeprowadzenie jakiegokolwiek dochodzenia w Japonii i zachowywał się tak, jakby cała historia została wymyślona przez służby wywiadowcze.

Prezydent omiół uważnym spojrzeniem Japończyków, którzy do każdych rozmów zbierali tak liczne grono.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan poprosił swoich ministrów oraz doradców o wyjście z sali i został tylko z tłumaczem. Biorąc pod uwagę delikatny temat naszej rozmowy sądzę, że będzie znacznie lepiej prowadzić ją w cztery oczy.

Junshiro poczerwieniał, kiedy przetłumaczono mu tę prośbę. Nie podobało mu się to. Prezydent uśmiechał się przyjaźnie, ale w jego spojrzeniu nie było nawet śladu wesołości.

- Nie sądzę, żeby było to konieczne. Z pewnością możemy o wiele więcej osiągnąć w obecności moich doradców.

Prezydent uniósł dłonie nad blatem olbrzymiego mahoniowego stołu.

- Jak pan widzi, ja nie mam żadnych doradców.

Jak należało się tego spodziewać, premier był wyraźnie zmieszany. Zaczął szybko naradzać się po japońsku z towarzyszącymi mu osobami, które - sądząc po tonie głosów - wyrażały swoje obiekcje.

Tłumacz prezydenta uśmiechnął się delikatnie.

- Nie podoba im się to - mruknął. - To nie w ich stylu. Uważają, że zachowuje się pan nierozsądnie i narusza protokół dyplomatyczny.

- Może uważają mnie za barbarzyńcę?

- To słowo nie padło, panie prezydencie, lecz ogólny wydźwięk jest właśnie taki.

W końcu Junshiro zwrócił się ponownie do gospodarza.

- Jestem zmuszony zaprotestować przeciwko takim niedyplomatycznym rozwiązaniom, panie prezydencie.

Ten spokojnie wysłuchał tłumaczenia i odparł lodowatym tonem:

- Nie jestem w nastroju do rozmów o protokole, panie premierze. Albo wyjdą pańscy ludzie, albo ja.

Junshiro zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

- Jak pan sobie życzy.

Pospiesznie kazał wyjść wszystkim Japończykom. Kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły, prezydent zwrócił się do tłumacza.

- Proszę przetłumaczyć mi wszystko dosłownie, bez żadnych okrągłych słówek i bez owijania w bawełnę.

- Rozumiem, panie prezydencie.

- Wracając do rzeczy, panie premierze, prawda jest taka, że pan i członkowie pańskiego gabinetu byliście na bieżąco informowani i w tajemnicy popieraliście produkcję broni jądrowej przez zakłady Suma Industries, którą w znacznym stopniu finansowała organizacja przestępcza znana pod nazwą Złotych Smoków. Następnie powstał projekt Kaiten, przerażający plan szantażowania całej społeczności międzynarodowej, który teraz próbujecie ukryć za stertą kłamstw i zaprzeczeń. O nim także pan wiedział, od samego początku, i akceptował go pan, nie interweniując i zachowując milczenie.

Kiedy Junshiro usłyszał tłumaczenie, zabębnił palcami w stół, chcąc okazać, że poczuł się znieważony.

- Ani jedno słowo nie jest prawdą. Nie ma pan żadnych podstaw, żeby wysuwać tak absurdalne zarzuty.

- Informacje z różnorodnych źródeł wywiadowczych nie zostawiają nawet cienia

wątpliwości, że był pan zaangażowany w tę sprawę. W tajemnicy popierał pan działania znanych kryminalistów, którzy dążyli do zbudowania "nowego imperium", posługując się szantażem ekonomicznym i nuklearnym.

Junshiro zbladł, lecz nie odpowiedział. Przeczował, że zbliża się katastrofa polityczna, oznaczająca koniec jego kariery. Prezydent wpatrywał się w niego z uwagą.

- Nie musimy mydlić sobie oczu gadaniem o własnych prawach. Zawsze będzie istniał podstawowy konflikt między interesami amerykańskimi a japońskimi, ale nasze kraje nie mogą istnieć bez współpracy.

Junshiro szybko pojął, że prezydent chce mu umożliwić wyjście z twarzą z całej tej afery.

- Co pan proponuje?

- Jeśli chce pan oszczędzić swoim rodakom wielkiego wstrząsu oraz wstydu, proszę złożyć dymisję. Zaufanie między naszymi rządami zostało nadszarpnięte i nic nie zdoła go odbudować. Tylko nowy premier i gabinet złożony z uczciwych ludzi, nie mających żadnych powiązań ze światem przestępczym, pozwolą nam kontynuować bliską współpracę obu naszych krajów. Mam nadzieję, że będziemy też mogli poświęcić więcej czasu na wzajemne zrozumienie dzielących nas różnic kulturowych i ekonomicznych.

- I wszystkie wydarzenia pozostaną tajemnicą?

- Obiecuję, że zachowamy wyłącznie dla siebie historię Centrali Smoka i projektu Kaiten.

- A jeśli nie złożę dymisji?

Prezydent odchylił się na oparcie i rozłożył szeroko ręce.

- Ośmielę się wyrokować, że w takim wypadku japońscy przemysłowcy powinni się przygotować na głęboką recesję.

Junshiro podniósł się z fotela.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, panie prezydencie, grozi pan zamknięciem rynków w Stanach Zjednoczonych dla wszystkich towarów japońskich.

- Nie muszę tego robić - odparł prezydent z obojętną miną. Z jego oczu zniknęły błyski wściekłości i teraz spoglądał na Japończyka z dziwnym zamyśleniem. - Wystarczy, że opinia publiczna dowie się o japońskiej bombie atomowej, którą przemycono do Stanów Zjednoczonych i zdetonowano w samym sercu pięknej krainy, bogatej w zwierzynę... - Przerwał na chwilę, żeby jego słowa wywarły większe wrażenie. - Wątpię, czy wówczas Amerykanie będą nadal łaskawym okiem patrzyli na japońskie towary.

## 76

Zdała od utartych szlaków turystycznych, tysiąc sto dwadzieścia pięć kilometrów na południowy wschód od Japonii, leży samotna wyspa Marcus. Ten zagubiony w bezmiarze oceanu atol koralowy tworzy zarys niemal idealnego trójkąta równobocznego, którego każdy bok ma w przybliżeniu długość półtora kilometra.

Oprócz krótkiej wzmianki o zbombardowaniu atolu przez lotnictwo amerykańskie w czasie drugiej wojny światowej, mało kto słyszał o wyspie Marcus do czasu, gdy pewien japoński podróżnik wylądował przypadkiem na tutejszej plaży i doceniwszy możliwość wykorzystania tego zakątka na miejsce wypoczynku zmęczonych zimą rodaków, zajął się budową luksusowego kurortu.

Szybko powstała wioska turystyczna, utrzymana w polinezyjskim stylu, obejmująca także pole golfowe, kasyno, trzy restauracje z barami koktajlowymi i salami tanecznymi, amfiteatr, gigantyczny basen w kształcie kwiatu lotosu oraz sześć kortów tenisowych. Ten kompleks wypoczynkowy, łącznie z pasem startowym lotniska, pokrył całą powierzchnię wysepki.

Po zakończeniu budowy przedsiębiorczy Japończyk wynajął setki agentów, którzy dostarczyli biurom podróży darmowe ulotki. Kurort szybko zyskał popularność w kręgach bogatych turystów, lubujących się w zwiedzaniu tego typu egzotycznych miejsc, chociaż najmniejszym zainteresowaniem cieszył się w samej Japonii. Miękki, mlecznobiały piasek atolu upodobali sobie głównie mieszkańcy Australii, Nowej Zelandii, Tajwanu i Korei.

Po pewnym czasie kurort stał się prawdziwą Mekką dla szukających przygód samotników oraz nowożeńców spędzających tu miodowy miesiąc, których zachwycał spokój oraz możliwość uprawiania różnorodnych sportów na zmianę z uprawianiem miłości w parterowych domkach rozrzuconych wśród palm.

Brian Foster z Brisbane wyszedł ze szmaragdowych wód laguny i ruszył przez plażę ku swojej młodej małżonce Shelly, drzemiącej w rozkładanym trzcinowym fotelu. Drobnutki piasek parzył bosc stopy, a popołudniowe słońce błyszczało w kropelkach wody spływających po jego skórze. Brian wytarł się ręcznikiem i popatrzył w kierunku rafy koralowej.

Koreańskie małżeństwo, państwo Kim oraz Li Sangowie, którzy mieszkali w sąsiednim domku, pobierali właśnie kolejną lekcję windsurfingu. Nieco dalej, już przy samej rafie, pływał Edward Cain z Wellington, a jego żona opalała się na dmuchanym materacu.

Foster cmoknął Shelly w policzek, poklepał ją delikatnie po brzuchu i położył się obok

niej na piasku. Włożył okulary przeciwsłoneczne i zaczął obserwować ludzi w morzu.

Sangowie z trudem przyswajali sobie wskazówki kierowania deską z żaglem. Zdawało się że bez końca będą wchodzić na deskę, podnosić żagiel i próbować utrzymać równowagę, co nieodmiennie kończyło się lądowaniem w wodzie.

Brian skierował następnie swą uwagę na Cainów, podziwiając Moirę, która obróciła się na plecy i nie spadła przy tym z materaca. Miała na sobie jednoczęściowy ciemnożółty kostium kąpielowy, który tylko w nieznacznym stopniu zakrywał jej pociągające kształty.

Jego wzrok przykuło nagle jakieś poruszenie w kanale wiodącym przez rafę na otwarte morze. Coś tam się działo pod wodą. Foster był pewien, że dostrzeże zarys jakiegoś monstrum poruszającego się przy dnie. Nie mógł rozpoznać kształtów, ale zdawało mu się, że coś ogromnego przedziera się przez rafę w kierunku laguny.

- Tam coś jest! - krzyknął do żony i zerwał się na nogi.

Wbiegł do wody i zaczął wymachiwać rękoma, wskazując przejście w rafie koralowej. Jego zachowanie szybko przyciągnęło uwagę wczasowiczów i dokoła zebrał się spory tłum ludzi, którzy opalali się nad basenem lub siedzieli w restauracji.

Instruktor udzielający lekcji Koreańczykom usłyszał krzyki Fostera i popatrzył w kierunku wskazywanym przez Australijczyka. On także dostrzegł jakiś wielki cień pod wodą i pośpiesznie skierował swoich uczniów do brzegu. Wskoczył następnie za burtę i popłynął, żeby ostrzec Cainów, którzy nieświadomie pluskali się w wodzie, wprost na drodze wdzierającego się do laguny potwora.

Edward Cain nurkował w pobliżu materaca, podziwiając zza szyby maski niezwykle kształty i żywe kolory rafy koralowej, przy której kręciły się stada połyskujących luminescencyjnie rybek.

Usłyszał jakiś stłumiony warkot, sądził jednak, że to któryś z gości kurortu wypłynął z przystani skuterem wodnym. Niespodziewanie stada rybek, które obserwował, rozpierschły się na boki i odpłynęły. Caina przeszył lekki dreszcz strachu, w pierwszej chwili bowiem przyszło mu do głowy, że w lagunie pojawił się rekin.

Wynurzył się szybko i zaczął wypatrywać charakterystycznej płetwy ogonowej rozcinającej spokojne wody. Nie zauważył jednak niczego. W pobliżu znajdował się jedynie materac, na którym drzemała jego żona, oraz dryfująca pusta łódka. Posłyszał dobiegające z brzegu krzyki, odwrócił się i ujrzał tłum gości i pracowników kurortu, którzy wymachiwali rękoma i wskazywali wylot kanału.

Poczuł przenoszone przez wodę silne wibracje i szybko zanurzył głowę z powrotem. Cóż to może być, na Boga? - pomyślał. W głębi turkusowej toni, nie dalej jak pięćdziesiąt



metrów od niego, zamajaczył jakiś gigantyczny cień, pokryty zielonymi i brązowymi plamami osadów.

Chwył brzeg materaca i energicznie pracując nogami skierował się w stronę najbliższego, wystającego nad wodę fragmentu rafy. Moira, nieświadoma tego, co się dzieje, pomyślała, że chce ją zrzucić do wody i uczepiła się kurczowo materaca.

Na szczęście niezwykle potwór nie zwrócił na nich uwagi, minął przejście w rafie i skierował się wprost ku plaży. Powoli wynurzył się z wód laguny, niczym jakaś przerażająca zjawą z filmu grozy. Osłupiali ludzie rozstąpili się na boki, kiedy ociekający wodą moloch, wywołując silne wibracje, wyjechał na plażę, wsunął się w cień najbliższych palm i tam wreszcie stanął.

Wszyscy gapili się na niego w całkowitej ciszy. Olbrzymi pojazd składał się z podwozia na szerokich gąsienicach i wydłużonej, opływowej, dużej kabiny. Dwa sterzące z przodu przegubowe wysięgniki przypominały zdeformowane czułki gigantycznego owada. Cały kadłub pokryty był girlandami wielkiej kolonii omułków, a przezroczystą pierwotnie kopułę kabiny pokrywała gruba, zbita warstwa brunatnego mułu.

Z cichym szcękaniem otworzył się właz na szczycie kabiny, kłapa odskoczyła do tyłu.

Ze środka wyjrzała głowa ze skołtunionymi, czarnymi włosami i gęstą, długą brodą. Człowiek miał wychudzone, zapadnięte policzki, ale zielone oczy, spoglądające spod zapuchniętych powiek, pełne były żywego blasku. Powiódł spojrzeniem po osłupiałych wczasowiczach i wyłowił z tłumu młodego chłopaka, który kurczowo zaciskał obie dłonie na kolistej tacy.

Twarz przybysza rozjaśnił szeroki uśmiech.

- O ile się nie mylę, jesteś tutaj kelnerem? - zapytał chrapliwym głosem.

- Tak... proszę pana.

- Znakomicie. Po miesięcznej przymusowej diecie, złożonej z kanapek z mielonką i kawy zbożowej, gotów jestem się zmierzyć z sałatką z krabów oraz tequilą z lodem.

W cztery godziny później syty Dirk Pitt zasnął kamiennym snem, a był to najprzyjemniejszy i najbardziej relaksujący odpoczynek w jego życiu.